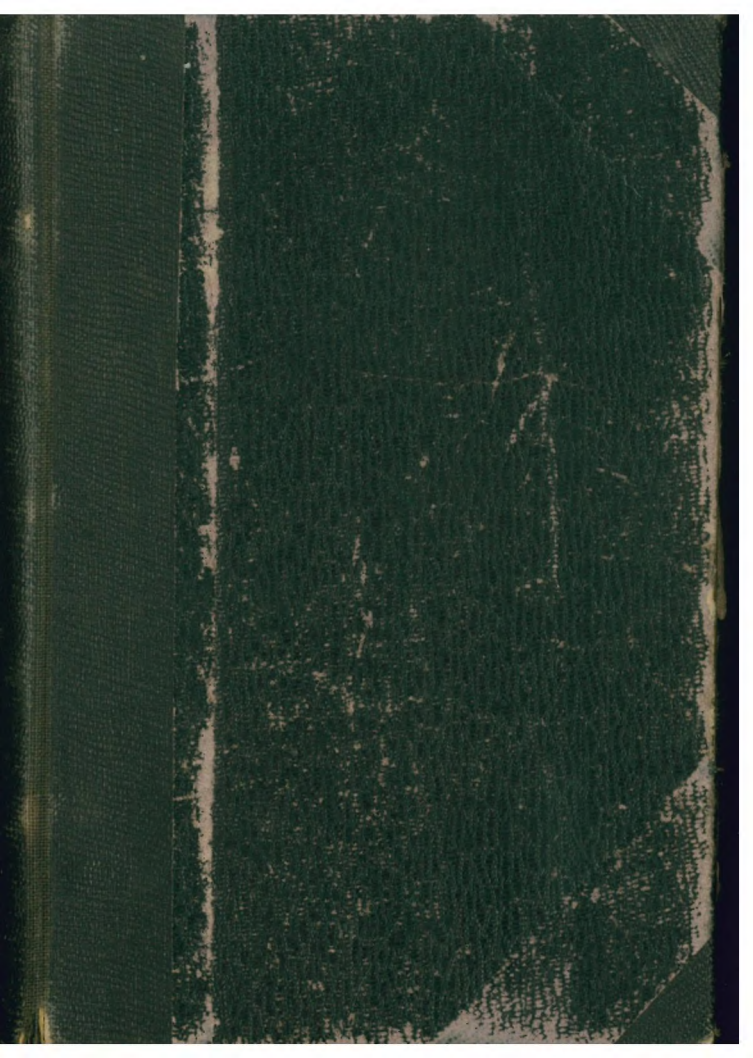

Bolesław Prus

Zygmunt Grabowski.
Grabowski.

1883

I

ALINA

POWIEŚĆ.

L. 34

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.
[1886]

202987

Z pośród kilkunastu towarzyszów ze szkolnej ławy, z którymi ściślejsze potem związki przyjaźni łączyły mię w moim burzliwem, wędrownem życiu — wyróżniałem zawsze niejakiego Adama Dzeskiego, syna dzierżawcy niewielkiej wioseczki w Piotrkowskiem.

Adaś, już jako dziecko, w szkołach, dawał się, jak to mówią, lubić niezmiernie; dobry, uczynny, potulny, cały był na usługi towarzyszów. Mając dobre początki z domu wyniesione, szczególniej odnośnie do obcych języków, poprawiał nam, robił nawet chętnie wypracowania, gdy zaś zdarzyła się sposobność jakiej psoty, nigdy nie uchylał się od wspólnictwa i często, z pięknej porady ducha świętego, który, jak wtedy utrzymywano, zalecał młócić dziatwę ile tylko można, obrywał za nas porządnie i... nie po uchu naturalnie.

Wtedy mieliśmy inspektorów i dyrektorów, dla których alfą i omegą wiedzy był batóg i batóg jeszcze; wychowani sami wśród ciągłej grozy kija, nie pojmowali, aby grzbiet dzieci na inny mógł służyć użytek. Że zaś my byliśmy zupełnie innego zdania, trzy razy na pięć bolesnych wypadków, odpowiadał nasz Adaś poczciwy.

W takich warunkach, chłopiec powinien był wyróść na nic dobrego lub co najmniej, zostać potem konserwatystą w życiu. Przeciwnie, udał się wyjątkowo może.

Społeczne burze potem, zastały go na stanowisku; a choć rzadki dar przewidywania i nad wielu rozwinięte i ustalone poglądy pozbawiały go złudzeń, niemniej przeto spełnił obowiązek sumiennie.

Potem jeszcze, los rzucił nim daleko, daleko; następnie znalazł się śród obcej ziemi, niemal własnym siłom pozostawiony.

W roku 1870 spotykałem go kilkakrotnie śród nieubłaganego Francyi wroga, z szablą w ręce, na czele niewolniczo fałszywej idei hołdujących, ale bądźcobądź dzielnych zastępów. Przed trzema laty, bawiąc czasowo w Louvain, w Belgii — spotkałem się z nim w cukierni.

Mimo przeszło dziesiątka lat rozdziału, poznałem go odrazu; pięknych oczu kobiety i twarzy druha z pola bitwy, nigdy się nie zapomina.

— Adasiu! — rzekłem wyciągając rękę.

I on poznał mię, rozpromieniło mu się piękne, męzkie oblicze.

— Co ty robisz tu, w tem gnieździe jezuityzmu? — spytał.

— Przejeżdżając, postanowiłem odwiedzić naszego kolegę, Urbana Manolskiego.

— Jezuitę?

— Nie... zdolnego chemika, profesora tutejszego uniwersytetu.

— Jezuickiego?

Poruszyłem się niecierpliwie.

— Racz wyłączyć chemię z tego credo.

— Eh! — odparł — umieją oni i w...

Przerwał i zapalając cygaretkę:

— Przejeżdżasz tędy?... a gdzie się udajesz?

— Do kraju.

— Tak? do kraju? — powtórzył dziwnym tonem. — Prawda! ty zawsze marzyłeś o tem. Widzisz, pamiętam jeszcze twoje wierszydło, posłane mi z Afryki, z Algieru:

„Kto lata gorycz pił pełną czaszą
„Śród chmurnej doli i krwawych mar...
„Kto lata tęsknił za ziemią naszą,
„Ten tylko pojmie powrotu czar!

— Adasiu!

— *Veder Varsavia e poi morir!...* — zawołał trawestując przysłowie znane.

— Tak.

— Ale z głodu! — szydził jeszcze.

— Chociażby!!

Adam wydał mi się zmieniony bardzo. Był blady niezmiernie, ten szyderczy uśmiech, ze

wszystkiego i ze wszystkich, jakby mu przymarł do twarzy. Na czole błądziła troska, w oczach pięknych, wyrazistych, niegdyś pełnych ognia i zapału, widać było pewne moralne przygnębienie. Czy go tak zmieniły uciechy, czy niedole życia? nie wiedziałem wcale.

— Długo tu zabawisz? — spytał nagle.

— Ze dwa dni jeszcze... Urbaś obiecał dać mi kilka cennych rękopisów do przejrzenia.

— A po obiedzie jesteś?

— Nie.

— No, to wybornie — zawołał zacierając ręce.

— Pójdziesz na obiad do mnie...

— Więc mieszkasz stale w Louvain?

— Tak, od trzech lat.

— W tem... *jezuickiem mieście?* — zawołałem kładąc, jak on poprzednio, nacisk na ten wyraz.

Uśmiechnął się mimowoli.

— Od lat trzech mieszkam tu z córką i jej nauczycielką.

— Ah, więc ożeniłeś się.

— Dawno już, jeszcze przed wojną.

— A żona?...

W tej chwili nadszedł kolega nasz Urbaś i z właściwą sobie żywością, przystępując do mnie:

— Wiedziałem, że cię tu znajdę — zawołał. — Obiadujemy razem.

— Jestem już zaproszony! — odparłem wskazując na Adasia i przedstawiając go jednocześnie.

Przywitali się i po chwili rozmowy opuściliśmy cukiernię.

* * *

Adam mieszkał przy Brukselskiej ulicy, w bardzo pięknym, zakrawającym na pałacyk domu.

Gdy weszliśmy do salonu, przyjęła nas prześliczna, trzydziesto letnia może kobieta, wyglądająca jednak znacznie młodziej. Miała czarne włosy i duże, również czarne, o szczególnym blasku oczy, smutne trochę, lecz czarujące łagodnością spojrzenia.

Na widok obcego, zarumieniła się lekko; może dlatego, że była w domowym negliżyku tylko, bez gorsetu i w pantofelkach.

— Widzisz — rzekł do mnie Adam — nie potrzebujesz się uniewinniać, że nie masz fraka na sobie, bo i ona przyjmuje cię po domowemu. I dodał zwracając się do pięknej brunetki:

— Edmeo, pan Zygmunt Gr..., mój przyjaciel z lat dziecinnych jeszcze... Panna Edmea Faloni, przybrana matka mej Aliny, nieodstępna jej towarzyszka od lat dwunastu prawie.

Po wymianie ukłonów, usiedliśmy. Niebawem, ładniutkie, trzynastoletnie dziewczę wbiegło do pokoju i przywitawszy ojca, rzuciło się na szyję damy. Z pod małego, nader eleganckiego kapelusika, wymykały się jasnych włosów sploty, niebieskie, jakby ultramaryną pomalowane oczęta, uśmiechały się wesoło i rozumnie.

— Alinko, czy nie widzisz gościa?... — rzekł ojciec.

Zwróciła się ku mnie z ukłonem.

— Podaj rękę temu panu, to przyjaciel papy! — rzekła po polsku panna Faloni, z lekkim jednak cudzoziemskim akcentem.

I dziewczątko wyciągnęło do mnie śliczną rączkę, powtarzając naiwnie:

— Jeżeli pan przyjacielem papy, to musisz mię także kochać jak on i... mama

Uśmiechnęła się przyjaciółka Adama i rzekła:

— Wyniańczyłam ją... mamą mię zawsze nazywa.

. . . . . .

Po obiedzie, zeszliśmy kręconymi, z jadalnej salki schodami, do pokojów Adama, gdzie palić było można.

— Przejdź do mej sypialni — rzekł przeprowadzając mię przez salon — tam najwygodniej, porozmawiamy spokojnie.

Zatrzymałem się w zachwyceniu.

Na ścianie, po prawej stronie dużych okien, wisiały dwa portrety przedstawiające w naturalnej wielkości pannę Faloni i drugą, równie piękną jak ona, ale jasną blondynkę, zupełnie podobną do małej Alinki.

— Ah! — rzekłem — to zapewne twoja żona?

— Tak.

— Umarła?

— Przy urodzeniu córki...

Wymówił to dziwnie jakoś; w głosie przyjaciela czuć było jakby lekki cień smutku i wyrzutu.

— Szkoda! taka piękna!... musiałeś cierpieć bardzo!

Popatrzał na mnie dziwniej jeszcze, niż wyrzekł powyższe słowa.

Przyniesiono czarną kawę, likiery i cygara; zaczęliśmy gawędkę o dawnych czasach.

W domu Adama, mimo pierwotnego mego zamiaru opuszczenia po kilku dniach Louvain'u, zabawiłem przeszło dwa tygodnie.

Przed odjazdem, opowiedział mi pewnego wieczora, ustęp ze swego życia, dotyczący jego małżeństwa.

Nie zmieniając nic w opowiadaniu przyjaciela, powtarzam je tu, dosłownie prawie, za-

znaczając tylko, że życie istotnie nieraz znacznie się różni od powieści, w której wymagamy zwykle typów i charakterów, umotywowanych psychologicznie, i przynajmniej z funta morałów na końcu.

Nie nasza wina, że ludzka natura miewa często takie wybryki, o jakich nie śniło się panom psychologom.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1.

Nigdy może, podczas tysiącznych moich podróży po świecie, nie czekałem z takiem upragnieniem na zatrzymanie pociągu kolejowego, jak w 1866 r. udając się z Regensburga do Lindau. Poprzednio już, bądź w latach dziecinnych, z rodzicami, bądź sam, po ukończeniu szkół, zwiedziłem całą niemal Europę, okoliczności jednak udaniu się do Szwajcaryi zawsze stawały na przeszkodzie. Alpy podziwiałem zdaleka, raz ze szczytu kościelnej wieży w Avignon'ie, raz z oka słynnego posągu Bawaryi, pod Mnichowem; dopiero jednak we wspomnianym wyżej roku. w początku września, znalazłem możność zwiedzenia uroczej ojczyzny Tellów i Winkelriedów.

Cóż więc dziwnego, że mimo wyjątkowo dość ostrego wiatru i szalonego biegu kuryerskiego pociągu, na kilka już stacyi przed Lindau, nie opuszczałem okna wagonu, oczekując chwili, w której ujrzę fale Bodeńskiego jeziora, lwa legendowego nad niem na straży, i po drugiej stronie, tę obiecaną ziemię wolności, o której marzyłem od lat tylu.

Niestety jednak, nadzieje moje, chwilowo przynajmniej, zostały zawiedzione. Pociąg, dojeżdżając do miasta, okrążał wzgórze a potem dążył do stacyi między szeregami fabryk, których budynki i wysokie mury okolenia, zasłaniały mi widok upragniony.

Przybywszy do Lindau, kazałem natychmiast rzeczy moje przenieść do dorożki i pojechałem ku przystani.

U brzegu wielki parowiec, podobny do tych, jakie przewożą pocztę i podróżnych z Marsylii do Barcelony, oczekiwał już, komin potężnej maszyny buchał kłębami czarnego dymu, jeden z dwóch mostków, łączących go z przystanią, zapełniony był ludźmi znoszącymi rzeczy i paki towarów, drugi podróżnymi obojga płci, spieszącymi na pokład.

Kupiłem bilet i niebawem znalazłem się na tyle pięknego statku, śród kilkudziesięciu osób różnej narodowości, rozmawiających głośno przynajmniej sześcioma językami.

Środek pomostu i boki, przy bronzowem okoleniu, zajmowały wygodne, szerokie, amerykańską skórą obite ławki, osłonięte od deszczu pięknym daszkiem z nieprzemakalnego płótna.

Usadowiwszy się na jednej z nich, w pobliżu budki sternika, z cygarem w ustach, zacząłem przyglądać się moim towarzyszom. Przeprawa do Rorschach — ładnej, czyściuchnej mieściny, na szwajcarskim brzegu, miała trwać przeszło godzinę — pozostawało mi więc dosyć czasu i na zebranie wzorków z tak różnorodnego otoczenia i na zachwycanie się istotnie wspaniałym widokiem jeziora i na pół we mgle jeszcze tonących wybrzeży.

Na prawo iskrzyły się krzyże świątyń konstancyeńskich, zaledwie widzialne, jak żółtawe gwiazdy na ciemnem tle nieba; bliżej, na pół ukryte w drzewach letnie mieszkania — na lewo Bregenz i za nim ośnieżone szczyty alp tyrolskich — przed nami, za niezmierną przestrzenią wód, Alpy Sankt Gallenu i za nimi strzelająca w obłoki góra Sentis, w Apencelskim kantonie.

Zadumany śledziłem oczyma owe wierzchołki szwajcarskich olbrzymów, białą smugę, pozostawioną na falach przez kłębienie się wód za śrubą maszyny statku — czekałem, ażali nie wynurzy się gdzie z głębin ów lew

legendowy, z narzeczoną swą, córką rybaka, w potwornej paszczy.

Tuż za mną, usłyszałem szmer kółek, jakby fotela przesuwanego i zaraz potem, pełen troski głos kobiecy, odzywający się po niemiecku:

— Upierasz się pozostać na pokładzie, Alino — a powietrze już za ostre dla ciebie...

— W salonie duszno nie do wytrzymania, miałam zawrót głowy — odparł głos cichy, ale dziwnie dźwięczny, widocznie z młodej, choć może chorej piersi wydobyty.

— Aby ci się tylko nie pogorszyło...

— Przeciwnie, mamo! tu czuję się lepiej...

Nieznacznie, niby poprawiając się na ławce, zwróciłem głowę w stronę rozmawiających. Dostrzegłem jednak w tem położeniu, niewiele: przód rozkładanego fotelu dla chorych, brzeg czarnej, aksamitnej sukienki i... uroczy, skórkowy bucik, który mógłbym cały wygodnie pomieścić na dłoni. Z pod sukienki wyglądał się jeszcze brzeżek jedwabnej, niebieskiej halki.

Powstałem z miejsca i podszedłem do bronzowej balustrady. Tam dopiero odwracając się ku środkowi pokładu, spojrzałem już śmiało przed siebie.

Na krześle, zbudowanem w rodzaju wózka, spoczywała młoda, może ośmnasto letnia dziewczyna o bladej, przejrzystej niemal twa-

rzyczce i ciemno-błękitnych oczach. Z pod niewielkiego kapelusika ogromne dwa warkocze jasnych włosów wysuwały się na ramiona. Oblicze chorej, nęcące poprawnością rysów, było prosto zachwycające: dość silnie, ale elegancko zakreślone usta, teraz pół otwarte, choć pozbawione tej purpury, jaka cechuje zupełne zdrowie, musiały uśmiechać się uroczo, nos prosty, prześlicznie urobiony, o ruchliwych nozdrzach, oznajmiał uporną chęć życia; a choć bladość niezmierna i trochę przymglone oczy nie obiecywały wiele — czuć było, że pod tą powłoką, wskazującą cierpienie, ubiegające życie walczyło zawzięcie z wzmagającą się niemocą. Linia ramion chorej była bardzo szczupło wymierzona — zato jednak kształty szyi i łono jak dłutem Canowy wykute.

Zadziwiły mię te sprzeczności — błądząc po zdumiewająco pięknem licu nieznajomej, daremnie starałem się odgadnąć rodzaj niemocy, łamiącej ten kwiatek uroczy.

Przy niej, na składanym taborecie, siedziała stosunkowo młoda jeszcze, czterdziestoletnia kobieta — czarne jednak, nader bujne włosy jej były już silnie szronem przysypane — twarz, nosząca ślady piękności niezwykłej, zdradzała niewymowne cierpienie — szerokie, otwarte czoło nosiło ślady przebytych burz,

strasznych bólów może. Blade oczy, jak sądziłem, matki tej Aliny, nie opuszczały ani na mgnienie twarzyczki chorej; ręce jej tuliły jej rączki. Teraz, szeptała jej coś przyciszonym głosem, — biedne dziecko uśmiechało się smutno.

Jedna rączka dziewczęcia, bez rękawiczki, tak jak i twarz przejrzysta, z mnóstwem błękitnawych żyłek, odbijających silnie od alabastrowej białości skóry, trzymała książkę w safian oprawną. Zdaje się, że z powodu tej książczyny, matka robiła chorej uwagi, gdyż po chwili, dziewczę odłożyło ją, z lekko nadąsaną minką, jakby rzec pragnęło: „cóż chcesz?... to rzecz prześliczna!... w błędzie esteś sądząc, że takie czytanie mi szkodzi!...“

Nagle chora podniosła oczy i dostrzegła moje, upornie błądzące po jej twarzy.

Niewiem jak długo krzyżowały się tak nasze spojrzenia, dość, że ona pierwsza skierowała swoje ku szumiącym falom jeziora. Lekki rumieniec przemknął po jej twarzy, nieznaczne nawet zniecierpliwienie uwydatniało się na niej, gdy po chwili dostrzegła, że ciągle jeszcze wracam na nią uwagę.

Niektóre kobiety podobne wpatrywanie się ajniesłuszniej uważają za rodzaj impertynencyi, albo lekceważenia. Przyglądamy się — co do obojga płci stosować się może — chętnie

rzeczom udatnym, pięknym, nęcącym nas wdziękiem lub estetycznymi kształty. Ja nie mogłem, przyznaję to, oderwać oczu od tej dziwnie sympatycznej postaci; do podziwu jej piękności, łączyło się jeszcze pewne uczucie smutku. Sądziłem, że biedna było sparaliżowaną...

Odsunąłem się więcej ku sterowi, i ztamtąd swobodnie już śledziłem obie kobiety.

Wnosząc z odzieży, musiały być dość zamożne; cóż jednak po mieniu, gdy podobno niemoc łamie życie w całej swej sile?

Po kilku chwilach znów się spotkały nasze oczy; nie chcąc robić przykrości chorej, odwróciłem się nieznacznie i oddałem cały przeglądaniu towarzystwa.

. . . . . .

Zbliżaliśmy się do Rorschach. Na wybrzeżu wprost przystani zapełnionej mnóstwem łodzi, między któremi piętrzyły się trzy duże parowce, ładny we włoskim stylu pałacyk, nęcił podróżnych dużym balkonem z markizą i napisem nad oknami pierwszego piętra: „*Helvetia-Hôtel*“. Jeszcze w Mnichowie zalecono mi go, jako jedyny w Rorschach, tak pod względem komfortu pokojów jako i doboru potraw przy *table-d'hôte*. Miałem zamiar zrobić kilka wycieczek w okolice górskie — ku Bregenz i po jeziorze — postanowiłem

tedy przed udaniem się do Sankt Gallen, gdzie pragnąłem przebyć czas dłuższy — spędzić dwa lub trzy dni w tym hotelu.

Zaledwie parowiec przybił do wysokiego, ciosem wyłożonego wybrzeża, dwóch posłańców z przystani widocznie już poprzednio zamówionych, weszło na pokład i zbliżyło się do nieznajomych pań, aby przesunąć fotel chorej. Ukazała się też pokojówka z drobnemi rzeczami: z szalem, okryciem szkockiem i kilkoma ręcznemi walizkami.

Niezmiernie zaciekawiony, usunąłem się w głąb pokładu, przemyśliwając jak zrobić, aby się dowiedzieć coś więcej o nieznajomych — gdy uczułem czyjąś rękę na mojem ramieniu.

Odwróciłem się żywo: był to jeden z mych rodaków — nudziarz zawołany, od którego nie tak łatwo uwolnić się było można. W jednej chwili zarzucił mię tuzinem pytań i nie czekając odpowiedzi sam zaczął opowiadać jakąś przygodę, której jak zwykle był bohaterem. Łatwo można było uwolnić się od natręta — szanowałem jednak jego rodzinę bardzo, zresztą i względy towarzyskie stawały na przeszkodzie.

Trzymał mię za rękę — nie puszczał jej, mówiąc bezustannie.

— Zatrzymam się przez dni kilka w Helweckim hotelu; jeżeli tu pozostajesz, odwiedź mię, ale teraz wybacz, że cię pożegnać muszę...

— A to dla czego? przeciwnie, znam właścicielkę hotelu i jej córkę, bardzo miłe osoby, polecę cię... a tymczasem pomogę znieść ci twoją tekę literacką... nie dasz sobie rady z okryciem, laską i parasolem...

Nie było rady. Podczas gdy opędzałem się zbyt życzliwemu znajomemu, fotel wytoczono na brzeg, chora przy pomocy matki i pokojówki opuściła go, wsiadła w dorożkę. Zanim zdołałem odebrać rzeczy i kazać je przenieść do hotelu, urocze zjawisko cierpiącej zniknęło mi z oczu.

Znajomy mój podbiegł do mnie z książką jakąś w ręku.

— Patrz! — zawołał — oto co znalazłem, tam, na ławce..

Poznałem oprawę, przedmiot należał do młodej nieznajomej.

Żywo wziąłem mu książkę z ręki, mówiąc:

— Znam właściciela... to pewien Anglik... spotkam się z nim w S-t Gallen'ie... zwrócę.

Pan X... otworzył ją i spojrzał na mnie, śmiejąc się:

— Anglik?... czy jesteś tego pewny?... patrz, to jeden z tomów poezyi Juliusza Słowackiego, a na okładce... patrz, czytaj:

„Alina Marya Rowińska“.

— Tak, tak — odparłem zmięszany — to jego córka...

— Co pleciesz...

Nie bacząc na dziwnie podejrzliwy wyraz twarzy mego znajomego, książkę włożyłem do mej podróżnej, ręcznej walizki.

2.

Po kilku dniach pobytu w Rorschach, udałem się do S-t Gallen'u.

Dziwnie ładne, schludne miasto i część jego nowa, pełna szerokich, ozdobionych drzewami ulic, wil i pałacyków — tak zwany gród stary, dokoła pięknego ratusza rozsiadły, przypomina do złudzenia tak zwany nowy rynek lipski, lub jedyną czystą część naszego Starego miasta... Kanonię. — Niewielkie, najwyżej trzypiętrowe domki, o trzech lub czterech oknach frontu, starannie utrzymane, o wymytych zawsze szybach, z poza których widać świeże zazdrostki i firanki tiulowe w duże, białe desenie, a u wierzchu niebieskie lub zielone rolety. Drzwi sieni zawsze zamknięte — opatrzone rączką do pukania, lub dzwonkiem i mosiężną tabliczką z nazwą właściciela domu, zajmującego zwykle cały, jak to ma miejsce naprzykład w Brukseli.

Stanąłem w hotelu „Pod białym jeleniem“ i otrząsnąwszy się z pyłu podróży udałem się dla wyszukania odpowiedniego mieszkania.

Nad S t Gallen'em, na górze, właściwie na niezmiernej, lesistej wyżynie, ściętej od strony miasta, jak słynna Stołowa góra nad Cap'em w południowej Afryce, wznosi się fabryczne miasteczko Sanct-Georgen, nad którem nawet w najpogodniejsze dnie wznosi się bezustannie wieniec czarnych, gęstych dymów. Schody kamienne, liczące nie mniej jak siedmset stopni, prowadzą na górę po za katedrę — droga dla wozów, na lewo miasta zbudowana, okrąża część wyżyny.

Błądząc po S-t Gallen'ie, znalazłem się na tym, wyżej wspomnianym, schludnym rynku małym. Jedna z kamienic uderzyła mię dość pięknemi ozdobami szczytowemi. Pokostowana cała na blado-zieloną barwę, z gzemsami u okien, drzwi i t. d. białymi zupełnie, nęciła swą wyjątkową czystością. Dwie zwierciadlane szyby w oknach, szerszych niż w sąsiednich domach, zastawione były błękitnymi ekranami na dole — na pierwszem zaś i drugiem piętrze widniały w nich wazony z białego i purpurowego marmuru, pełne kwiatów.

Nad wchodowemi drzwiami, opatrzonemi otworem z brązową kratką, dostrzegłem wywieszoną jakąś kartkę z napisem. Podszedłem

bliżej i wyczytałem: „Salonik z alkową, umeblowane, wchód zupełnie oddzielny, zaraz do wynajęcia. Na żądanie, może być i całkowite utrzymanie“.

Dom był dość obszerny, stosunkowo do innych wyglądał nawet z pańska trochę. Zadzwoniłem, otworzyła mi ładna Berneńka, w narodowym stroju z naramiennikami srebrnymi u gorseta, w oszytej nicianemi koronkami koszulce, oślepiającej czystości.

— Co pan sobie życzy? — spytała z niezbyt miłym, właściwym góralkom, trochę gardłowym akcentem.

— Chciałbym zobaczyć mieszkanie...

— Ah, to trzeba się udać do właścicielki domu, bo ja służę u pani Rowińskiej...

Zrobiłem tak zabawnie zdziwioną minę, czułem to, że dziewczyna aż cofnęła się o krok odemnie.

— Czy pan myślał, że to u nas?...

— Nie, nie! — odparłem. — A gdzież mieszka właścicielka?

— Na drugiem... po jednej stronie, a po drugiej jest to mieszkanie...

Podziękowałem i udałem się na górę.

Dziwny zbieg okoliczności stawiał mię znów na drodze tych dwóch kobiet. Przypomniałem sobie, prócz tego, fakt dość szczególny, to jest, że na parowcu mówiły po nie-

miecku. zupełnie poprawnie, z czystym germańskim akcentem... a nosiły nazwiska polskie i — ten tom poezyi naszego mistrza...

Postanowiłem zbadać tę zagadkę.

Właścicielka domu, wdowa po jakimś kantonalnym urzędniku, była z pod Genewy, mówiła wybornie po francusku. Co do lokalu, porozumieliśmy się zupełnie i wieczorem już, tego samego dnia, rozpakowawszy rzeczy i książki, zabrałem się do zwykłej pracy.

Nazajutrz, wynająłem. jak to czyniłem w każdem mieście, gdzie dłużej przebywałem, pianino i zaabonowałem się na nuty.

Około południa, odziany czarno, poszedłem złożyć wizytę pani Prünel, właścicielce domu.

Przyjęła mię z uprzedzającą grzecznością. Szwajcarzy lubią Polaków bardzo, w zajmowanem przezemnie mieszkaniu przez dłuższy czas gościło kilku. Poczciwa stara Genewianka nie mogła się o nich naopowiadać.

— A to widać szczęśliwy dom... gdyż zawsze, choć pośrednio, ale muszą go twoi zamieszkiwać rodacy, panie D...

— Jakto, pośrednio? — spytałem.

— A tak. Od roku, pierwsze piętro całe, pod nami, zajmuje pani Rowińska...

— Pośrednio? — podchwyciłem z uśmiechem.

— Tak, gdyż one: jedna z męża tylko, druga z ojca, zaliczają się do waszego kraju...

Nadarzała się wyborna sposobność zadowolenia jednej z mych wad... ciekawości.

— Rowińska? powiada pani...

— Tak. Więcej jednak nie wiem i nikt pewno w S-t Gallen'ie.

— Żyją tak tajemniczo?

— Od czasu jak tu przybyły, nie wiem nawet skąd, nikt u nich nie bywa i nie odwiedzają nikogo...

— A pani?...

— Ani ja... — rzekła, mimowoli może, z lekkim przekąsem. — Mają Berneńkę za służącę, dość gadatliwą, jak wszystkie jej rodaczki, ale co do przeszłości jednak tych pań, nic z niej wydobyć nie można. Płacą regularnie, z góry. Niedawno bawiły u wód jakichś... zdaje mi się w Norderney, w Niemczech północnych. Wróciły przed pięcioma dniami...

— Więc są cierpiące?

— Córka tylko tej pani... Alina...

— Zapewne suchoty? — rzekłem, ot, aby coś powiedzieć.

— Nie sądzę. Podobno, mając lat dziesięć, tam w stronach swych rodzinnych... miała jakiś straszny wypadek i od tego czasu...

— Rozstrój nerwów... prawda?

— Tak mi mówiono. Ale, ale — rzekła zmięszana trochę — pan podobno wynajął fortepian...

— Dziś rano.

— Mój Boże, nie wiem sama, jak to panu powiedzieć...

Nie pojmowałem dobrze tego nagłego zwrotu rozmowy.

— Podobno — ciągnęła dalej z wahaniem — pannę Alinę muzyka rozstraja bardzo, wywołuje szkodliwe jej zdrowiu napady nerwowe...

— A ja zamówiłem i małe organy... rodzaj melodikonu — rzekłem żywo. Dostawić mi je mają jutro...

Pomyślała chwilę.

— Może się to da jakoś pogodzić. Jak pogoda, codzień obie te panie, wyjeżdżają na spacer...

— W każdym razie — rzekłem powstając — może pani liczyć, że jej, jako lokator, innym nie narażę, i chętnie ograniczę się, w graniu, do chwil, w których tych pań nie będzie w domu.

. . . . . .

. . . . . .

Nazajutrz rano, otrzymałem wyborny, pięciooktawowy melodikon, z całą seryą regestrów; owego też dnia, dostrzegłszy, że nad

wieczorem, pani Prünel pojechała dorożką, po wykonaniu dość lichem, mówiąc otwarcie, kołysanki Chopin'a, zacząłem grać na organie jeden z tych porywających hymnów naszych, które, tak mistrzowsko słyszałem grającego niegdyś Grosmana.

Zaledwie jednak doszedłem do drugiej strofy, usłyszałem szmer otwieranych drzwi na górze, zaraz potem żywe kroki po schodach i lekkie, widocznie trwożną ręką pukanie do drzwi mego saloniku.

W pobliżu fortepianu i harmonium płonęły świece w dwóch kandelabrach na stole, duży ekran, od strony instrumentów, rzucał całe światło ku zasłonie adamaszkowej, u drzwi zawieszonej.

Powstałem i, otwierając, spotkałem się oko w oko z ową panią ze statku. Była ubrana czarno zupełnie, na piersiach błyszczał na sznurku z czarnych perełek żelazny, przejrzysty krzyżyk, z cierniową koroną przez ramiona.

Uczułem wyrzut sumienia, wstydziłem się mego postępku, wszakże byłem o wszystkiem uprzedzony...

Pani Rowińska, znalazłszy się dopiero w obec mnie, pojęła może, iż w tym kroku jej było niewłaściwości trochę.

— Nie chciałam posyłać służącej... — szepnęła po niemiecku; — lękałam się pana

obrazić, przychodzę tedy sama, prosić cię, abyś grać przestał...

Miała łzy w oczach, brakło jej tchu...

— Córka moja od powrotu do Szwajcaryi, ma się gorzej... — mówiła szybko, bez związku. — Zgubiła książkę na statku... książkę ulubioną... Dar ojca... A teraz jeszcze, gra pańska...

— Chciej pani zapewnić córkę, że nie dotknę fortepianu ani harmonium, tylko wtedy, gdy was nie będzie w domu.

Nie śmiałem prosić jej do saloniku. Odeszła, uniewinniając się jeszcze.

— Następnego dnia, napisałem taki list, po niemiecku:

„Szanowna pani!

„Tom poezyi Słowackiego, należący do córki pani, znalazłem na ławeczce na parowcu, którym przeprawiałem się równocześnie z wami, do Rorschach. Byłbym tę książkę zwrócił natychmiast właścicielce, gdy jednak chciałem to uczynić, panie już odjechały ku S-t Galleńskiemu dworcowi. Załączając ją, przy niniejszem, śmiem oświadczyć pani raz jeszcze, że nic mi nie zależy na częstszem lub rzadszem poświęcaniu się muzyce; nieraz bez powodu, tygodnie całe nie dotykam instrumentu.

Proszę przyjąć i t. d.“

Wziąwszy posłańca miejskiego, aby uniknąć zapytań mej ciekawej gosposi, poleciłem zanieść list i książkę pod wskazanym adresem.

3.

Kilkanaście dni upłynęło.

Fortepian i harmonium, szczelnie zamknięte, odpoczywały, ja, znalazłszy dobrego znajomego, w osobie jednego z naczelników wydziału w Stowarzyszeniu ubezpieczeń „Helvetia“, wieczory spędzałem z jego rodziną

Raz, wróciwszy późno dość wieczorem do domu, znalazłem na stole list, nadesłany miejską pocztą, pod moim adresem.

Pochodził od pani Rowińskiej — zawierał tylko te słowa, skreślone na bilecie odwiedzinowym:

„Miło mi będzie bardzo, widzieć pana u nas, jutro wieczorem, o ósmej“.

Dziś jeszcze, choć prawie piętnaście lat od owego dnia upłynęło, pomnę, jakby to było wczoraj, wrażenie, tem zaproszeniem wywołane.

Istotnie, z uczuć moich, nie umiałem sobie zdać sprawy. Raz widząc kobietę, trudno zakochać się w niej przecie. Podziwiałem, zachwycałem się, co prawda, niezwykłą pięknością Aliny, ale to było wszystko. Ślepy traf uczynił mię potem sąsiadem Rowińskich, jeżeli

zaś grałem, umyślnie urywki znane wszystkim, to istotnie sam nie wiem, dla czego to uczyniłem wtedy.

Teraz nagle, otrzymywałem pozwolenie wstępu, miałem widzieć ją, mówić z nią; wiedziałem, że cierpiała, że życie jej wisiało na włosku niemal.

Byłem zaledwie o pięć lat starszy od Aliny, sam dziecko prawie; dłuższy jednak pobyt za granicą, wczesna znajomość życia, już wtedy pełną czarą spełnione jego rozkosze i gorycze, nareszcie ostatnie lata przebytych burz szalonych, wszystko to uczyniło mię dojrzałym zupełnie, nadawało twarzy i postaci wyraz lat, których nie miałem istotnie.

Nie myślałem jednak w pierwszej chwili o niczem, prócz, że znów ujrzę uroczą postać dziewczyny, dźwięczny jej głos usłyszę.

Odziawszy się zupełnie czarno, dowiedziałem się z lustra, iż w tej barwie było mi bardzo do twarzy, poszedłem na dół i zadzwoniłem do drzwi, na których była mosiężna tabliczka z napisem:

Helene von Rowińska
Oberstwitwe.

Otworzyła mi ta sama ładna Berneńka i na moje zapytanie, „czy panie przyjmują“ i wręczenie karty wizytowej, poprosiła do salonu.

Oświetlony był dużą lampą, nieprzyćmioną zasłoną żadną, umeblowany z wielkim smakiem, świadczącym wymownie, że zajmowały się tem inteligencya i dłoń wykształconej kobiety.

Na ramach rozpięte, jedwabne, ciemnobłękitne, w duże srebrne kwiaty obicia, meble palisandrowe, ciemniejsze od obić, odpowiednie zasłony drzwi i okien w srebrnych ujęciach i z takimi-że sznurami. Przepyszny perski kobierzec zaścielający posadzkę, cenne brązy na tabletce kominka z czarnego marmuru, prześlicznego dłuta zegar przedstawiający grupę Laokoona, odpowiednie dwa świeczniki i lustro w srebrzonych, posianych girlandami niezapominajek ramach. W rogu dostrzegłem fortepian Erarda, ale zamknięty, na ścianach kilka wybornych kopii Pawła Veroneza, Guida Reni i prześliczny krajobraz, oryginał Von-Ostade'a. Najbardziej jednak uderzył mię portret, przedstawiający w naturalnej wielkości oficera ułanów, z krzyżem „virtuti militari“ na piersiach, w kasku, z ręką prawą na szabli opartą. Był to młody człowiek, lat dwudziestu pięciu może, piękny, za piękny nawet na mężczyznę. Żywy obraz Aliny: ten sam niewysłowiony wdzięk oblicza, te same ciemno-szafirowe oczy.

Domyśliłem się, że to był... Rowiński, ojciec chorej dziewicy.

Jeszcze rozglądałem się po salonie, w którym na kominku gorzał suty ogień, gdy uniesiono zasłony w głębi i ukazała się pani Rowińska.

Witając mię, obrzucała jednocześnie ciekawie oczyma.

— Nawet pan nie wiesz — rzekła z miłym uśmiechem — jaką łaskę nam, a właściwie mej Alince wyświadczyłeś, zabierając z sobą ze statku książkę; po stracie jej biedne dziecko byłoby niepocieszone. Rada jestem, że ustnie, raz jeszcze. mogę panu podziękować.

Wypowiedziała to tchem jednym, w wybornej francuzczyźnie. Wiedziona delikatnością, właściwą wykształconym kobietom, nie użyła niemieckiego języka. Mając męża Polaka, zapewne wiedziała, jak nam niesympatyczną jest ta mowa.

I zaczęliśmy rozmowę, której przedmiotem z konieczności już był nasz kraj, nieznany jej zupełnie, ubóstwiany przez męża. Mówiła o nim, jak o pięknym, nieurzeczywistnionym śnie, zakończyła smutną uwagą, że po stracie człowieka którego kochała, teraz, ze względu na zdrowie córki, zwiedzenie go stało się tembardziej niemożliwe.

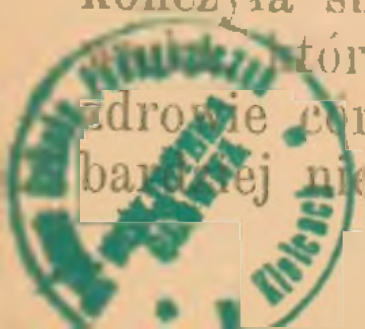

— Pojmuję boleść pani; a wolno wiedzieć jak dawno... umarł?

— Umarł?... — szepnęła, z dziwnym jakimś, łzawym odcieniem w głosie. — Umarł? ah, prawda, pan nie wie...

— Czy może wypadek jaki?...

— Przepadł bez wieści, dwanaście lat temu, podczas wojny krymskiej, po bitwie pod Bałakławą...

— Może zabity?...

Spojrzała na mnie.

— Zabity?... wiemy z pewnością, że nie.

We drzwiach ukazała się Berneńka.

— Herbata na stole! — rzekła, rozsuwając zasłony.

W sąsiednim pokoju, o ile sądzić mogłem z pierwszego wejrzenia, buduarze przytykającym do sypialni, znalazłem moją piękną półrodaczkę, siedzącą w wygodnym fotelu, bladą jak podówczas, gdy ją raz pierwszy ujrzałem, odzianą czarno, z temi pysznemi kosami jasnych włosów i zamglonem spojrzeniem.

Gdy mię matka przedstawiła, dziewczę wyciągnęło do mnie rączkę i rzekło poprawnie co do składni, choć z lekkim cudzoziemskim akcentem, po polsku:

— Daruj pan, że nie wstaję... lepiej mi od dni kilku, ale oszczędzam siły... dziękuję za książkę...

Tym sposobem, pierwsze lody zostały złamane, zaczęliśmy rozmawiać swobodnie, ale po francuzku, gdyż pani Rowińska zaledwie trochę rozumiała język nasz ojczysty.

Niebawem, delikatnie, może w chęci zbadania stopnia umysłowego wykształcenia dziewicy, zwróciłem rozmowę na literaturę i sztuki piękne. Alina odpowiadała mi lub zadawała pytania tak swobodnie, zdania jej były tak oryginalne, a bystre poglądy tak słusznie określone, że nie mogłem nie wyrazić swego podziwienia, nie oddać pochwał nawet...

Z uśmiechem wskazała na matkę.

— Oto moja... nauczycielka. Co zaś do literatury *naszej* — położyła rozkoszny nacisk na ten wyraz — to zawdzięczam ją... Słowackiemu. Na jego pracach nauczyłam się czuć i kochać nieznaną mi dotąd, moją ziemię. Dopomógł mi też Krasiński...

— A Mickiewicz? — szepnąłem.

— Znam prac jego bardzo mało, gdy wyzdrowieję, zajmę się studyami nad nim. Była to wina mej nauczycielki polskiego języka, że dotąd zaniedbałam takiego poetę...

Któż jednak opisze moje zdumienie, gdy w dalszym ciągu rozmowy przekonałem się, iż ówczesnych głośnych naszych pisarzy jak: Korzeniowski, Rzewuski, Kraszewski,

Zacharyasiewicz i poetów jak: Lenartowicz, W. Pol i innych znała również dokładnie.

Była godzina dziesiąta, a my, jeszcze rozmawialiśmy.

Poprzednio już, chciałem powstać, lękając się znużyć chorej, lecz matka, widząc, że dziewczę promieniało mówiąc o tych rzeczach, spojrzeniem prosiła mię, abym pozostał jeszcze.

Nagle przerwał nam dzwonek w przedpokoju i zaraz potem wszedł do budoaru człowiek niemłody już, o wesołej, uśmiechniętej twarzy, w białym krawacie, odziany czarno.

— Widziałem u pani światło w salonie i tu, z ulicy, zaszedłem więc w obawie... — rzekł podając rękę pani domu. — Ale, co widzę, moja pacyentka czuwa jeszcze...

W tej chwili spostrzegł mię i zatrzymał się, rzucając pani Rowińskiej nieme pytanie oczyma.

— Pan Adam D..., rodak mego męża, od tygodnia sąsiad nasz najbliższy...

Nigdy i nikt nie spojrzał mi w twarz tak badawczo, niechętnie nawet, jak doktor Laube, gdy mu zostałem przedstawiony.

Bystre oczy lekarza przebiegły po całej mej postaci, z nietajoną nieufnością. Potem, nagle, zwróciły się ku Alinie, której policzki, pod wpływem żywej rozmowy, zabarwione były teraz.

— Ależ pani masz gorączkę dziś! — zawołał ujmując rączkę chorej.

Wyjął chronometr i zaczął liczyć uderzenia tętnicy.

— Raz, dwa, trzy, pięć... przeszło sto uderzeń na minutę... Łóżko, okłady z lodu, lekarstwo uspakajające... — dodał żartobliwie trochę... I znów spojrzał na mnie.

Wziąłem kapelusz, nierad z tego badania...

Żegnając się, miasto podać rękę Alinie, złożyłem jej ukłon głęboki, podobny lekarzowi; pani Rowińska podała mi dłoń i wyszła ze mną do salonu.

— Domyślam się — szepnęła tam — że musiał pana niemile dotknąć badawczy wzrok pana Laube. Człowiek to przepoczciwy, ale... dziwak trochę i kochający szalenie Alinę. Przed rokiem, na tę samą nerwową chorobę, stracił jedyną córkę, czyni co może aby ulżyć mojej... Nagłe pojawienie się u nas obcej twarzy...

— Może z czasem, będę umiał zasłużyć i na jego życzliwość...

— Choć znamy się tak mało, masz pan już naszą; zresztą, słusznie pan mówisz... z czasem i on pana... oceni, bo ja, odrazu.

Byłem trochę pomięszany temi słowy, oddałem ukłon i opuściłem mieszkanie.

Rano, zaledwie że ubrany, kończyłem śniadanie, przyszła pani Prünel, zapewne aby wywiedzieć się czegoś; o mojej bytności u Rowińskich już jej służąca powiedziała.

Ciekawą gosposię zbyłem kilkoma ogólnikami, nie wiem dla czego, rozdrażniła mię swą natarczywością.

— Więc pan chyba musiałeś już znać te panie.

— Tak, z kilku towarzystw za granicą, przed dwoma jeszcze laty...

— A nic o tem nie wspominałeś?

Ruszyłem ramionami.

— U nas tyle jest Rowińskich i tyle panien cierpiących na nerwy...

— Żeś pan nie wiedział czy to te same?... — dokończyła z przekąsem.

— Tak, pani... nie byłem pewny — odparłem najspokojniej w świecie.

Opuściła mój salonik bardzo niezadowolona.

Piątego dnia, znów około ósmej wieczornej, poszedłem na pierwsze piętro.

Przyjęto mię, prawie jak dawnego znajomego: matka z miłym swym uśmiechem, Alina z rozpromienioną twarzyczką. Czuła się, jak mówiła, znów lepiej, rano, owego dnia, przechadzała się oparta na ramieniu matki po salonie, całe... dziesięć minut.

Biedne dziecko mówiło to głosem dziwnie dźwięcznym, poprawiając zalotnie śliczne swe, jasne włosy.

Nie upłynęło i kwadransa, przyszedł doktor Laube, oświadczając, że składa wizytę jako przyjaciel domu.

Rozmawialiśmy ogólnie, do dziesiątej, o wszystkiem i o niczem. Z niechcenia, zręcznie bardzo, lekarz skierował rozmowę na moje stosunki osobiste, zamiary na jutro... cel życia. Potem, ja zacząłem mówić o podróżach, wplotłem w nie, z jaką taką zręcznością, jakiś epizodzik; opowiedziałem go dość płynnie.

— Opowiadasz pan dziwnie zajmująco! — rzekł najspokojniej. — Wolę to, niż żeby panna Alina za dużo czytała; opowiadanie lub słuchanie mniej ją męczy... Ale teraz, z gościa, staję się znów lekarzem. Panno Alino — zakończył powtarzając: — proszę o rączkę.

— Czy znów pan będzie liczyć uderzenia tętnicy? — spytała.

— A jakże: raz, dwa... ho, ho! jak przed pięcioma dniami, te szatańskie sto dwadzieścia. Ale i na to poradzimy! A teraz... dobranoc.

Podał mi rękę i — rzecz dziwna, uścisnął ją jak w żelazie.

* * *

Tak miesiąc upłynął cały. Od tygodnia, byłem już codziennym gościem rodziny. Przychodziłem wcześniej, pozostawałem do jedenastej, nieraz później nawet.

Pani Rowińska dawała mi dowody niekłamanej życzliwości. Alina, gdy przychodziłem, witała mię z uśmiechem.

Raz, ładna Berneńka, podczas gdy panie były na przechadzce, zaszła do mnie, pod pozorem zabrania pozostałych książek Aliny; właściwie na pogawędkę.

— Ah! jak tu ładnie u pana! prawie tak jak u nas... — rzekła rozglądając się po saloniku.

Służące w Szwajcaryi mają pewne przywileje, w niektórych razach nawet, wolno im głos zabrać, są one uczciwsze, wykształceńsze, stąd i lepiej uważane, niż nasze. Małgorzata, tak Berneńce było na imię, służyła już od lat pięciu u Rowińskich, nic też dziwnego, iż nauczyła się dzielić z niemi radość i smutek, wglądać nawet potrosze w ich sprawy.

— Teraz, to przynajmniej i u nas weselej trochę i panienka jak do rany... odkąd pan przychodzi.

— A cóż to pomogło? — spytałem.

— Ah, i wiele. Jak panienka wesoła, to i pani nie zrzędzi wcale... raj w domu. Wczo-

raj naprzykład — szczebiotała dalej — to panna Alina bardzo dziwne zadała mi pytanie...

Zawahała się.

— Sama nie wiem, czy mam panu powtórzyć...

— Owszem, proszę, wszakże nic złego chyba! — odparłem zaintrygowany.

— Oh, nie, przeciwnie! Podczas, gdy sprzątałam, a pani była w kościele, zawołała mię do swego pokoju i spytała niespodzianie: Moja Małgosiu, jakże ci się nasz znajomy pan Adam podoba? powiedz, ale otwarcie. Bardzo, ale to bardzo — odparłam bez namysłu. Wtedy panienka uśmiechnęła się, ale to tak wesoło, rozkosznie, jak nigdy jeszcze uśmiechającej się nie widziałam. Kazała mi podać szkatułkę swą z szuflady komódki, wyjęła z niej duży sznur prawdziwych korali i dała mi go...

— To dla mnie, dla mnie? — zawołałam, czując, że się czerwienię z radości.

— A dla kogóżby?...

— Nie zasłużyłam...

— Weź tylko i nie dziękuj... — szepnęła. — Spojrzałem na nią, była cała pąsowa.

Milcząc także, choć bez rumieńca na twarzy, wyjąłem dwie sztuki złota i podałem je Berneńce.

Zrozumiała mię wybornie.

Wieczorem, przyszedłszy trochę wcześniej niż zwykle, zastałem Alinę samą.

— Mama musiała dziś udać się do adwokata naszego z Zurychu. Przyjechał tu, ale zawiadomił, że dopiero wieczorem załatwi się z interesami. To w naszej majątkowej sprawie — rzekła, podając mi rączkę na powitanie.

Usiadłem i zaczęliśmy rozmawiać, nie kleiło nam się jednak. Alinie było lepiej, chodziła przed mojem przybyciem sama po pokoju. Zganiłem jej takie próby...

— Mogłyby pociągnąć za sobą smutne może następstwa! — rzekłem — ot, aby coś powiedzieć.

Uśmiechnęła się smutno.

— Zadałabym straszny cios mej poczciwej mateczce! — szepnęła. — Gdybym umarła, prócz niej, niktby mię nie żałował może.

— Czy się godzi mówić coś podobnego?

Spojrzała mi w oczy. Nie wiem co w nich wyczytała, lecz ciemny rumieniec wykwitł jej na twarzy.

— Masz pan dobre serce! — odparła zniżając głos — litujesz się nad biedną chorą... ale, ja nie chcę litości!

I nagle, wybuchnęła głośnym płaczem.

Powstałem wystraszony, przystępując do dziewczyny, wziąłem obie jej rączki w swe dłonie, odsunąłem od twarzy.

— Panno Alino! — zawołałem — raz jeszcze powtórzę: czy to się godzi? Znamy się tak mało, a jednak... wierz mi, ofiarą życia radbym ci powrócić zdrowie i siły...

— Nie wrócą nigdy... to daremne! — odparła cicho, tłumiąc łzy.

I zaraz potem:

— Mam prożbę do pana!...

— Co pani każesz?

— Ale trzeba mi dać słowo, że zadość uczynisz memu życzeniu, a nie powiesz o tem ani mamie ani memu lekarzowi...

— Zrobię wszystko...

— Proszę, siądź do fortepianu i zagraj mi ten hymn, który grałeś nazajutrz po sprowadzeniu się do tego domu. Ojciec go grywał zawsze.

Patrzałem na nią, oczom własnym nie wierząc.

— Proszę.. zaklinam! będę słuchała spokojnie.

— Tak sądzisz, tak radabyś uczynić — przekładałem jej łagodnie — lecz objawy nerwowe nie są zależne od twej woli...

— Panie Adamie! — zawołała i złożyła rączki, jak do modlitwy.

Pierwszy to raz mówiła mi po imieniu...

— Będę grzeczna... bardzo, ale to bardzo — dodała uśmiechając się przez świeże jeszcze łzy.

Powstałem; otworzywszy drzwi salonu, usiadłem do fortepianu.

Zaledwie pierwsze zabrzmiały akordy, ona podniosła się z wysileniem i podpierając laseczką, przyszła i usiadła przy mnie, na nizkim taburecie, i tak z głową spuszczoną na piersi, słuchała wspaniałej pieśni.

Gdy skończyłem:

— Jeszcze, jeszcze... to samo! — szepnęła. Głos jednak dziewicy był zmieniony, drżała na całem ciele.

— Czy pani słabo? — spytałem przyglądając jej się uważniej.

Nie odpowiedziała.

Nagle wyrwał jej się z piersi krzyk przytłumiony. zachwiała się... zaledwie zdążyłem ująć ją w ramiona, aby nie upadła. Była bez przytomności.

Nie chcąc dzwonić na Berneńkę, podniosłem ją jak dziecko i przeszedłszy salon, złożyłem w fotelu. Główka jej spoczywała na mojem ramieniu, czułem jej łono rozkoszne na mojem, w rękach urocze kształty dziewczyny.

Ogarnął mię szał jakiś, mąciło mi się w głowie.

W chwili gdy składałem ją w budoarze, nachyliłem się i... przyłożyłem me usta do jej warg, purpurowych teraz, jak i twarz cała...

Usteczka te były rozchylone, oczy dziewicy zamknięte, w piersiach słabe tylko tchnienie, czułem jednak, że zadrżała na całem ciele. Czyżby miała świadomość tego, co uczyniłem?

Odstąpiłem z wyrzutem sumienia; a ona wciąż miała zamknięte oczy, po licu tylko przebiegały płomienie.

Zamknąłem fortepian i gdy wróciłem do budoaru, Alinie wróciła już przytomność zupełnie.

— Podaj mi pan wody! — szepnęła. — Przeceniłam moje siły... chciałam okazać panu, że nabieram odwagi i zdrowia...

Usłyszeliśmy dzwonek.

— To mama wraca!... ani słowa przed nią.

Patrzała na mnie, dziwnie jakoś, sądzić by można, że z wyrzutym źle ukrytym, z trochą żalu.

5.

Leżałem jeszcze w łóżku, gdy weszła posługująca mi dziewczyna, z wizytową kartą w ręku.

Spojrzałem na zegarek, była zaledwie ósma rano; na kartę — wyczytałem: doktor Roustan Laube.

— Poproś do saloniku! — rzekłem służącej — i oświadcz, że służę za chwil kilka.

Ale poczciwiec był już w progu mej alkowy.

— Oddal pan sługę i nie wstawaj! i tak pomówimy. Wracam od Aliny! — dodał, gdy wyszła.

— Ah Boże! — zawołałem. — Czy chora?

— Byłem przy jej łożu już o szóstej. Przeszła straszliwe, trzy po sobie następujące napady... teraz leży jak bez ducha, tak osłabiona, żeby może i głowy nie uniosła.

— Więc w nocy?...

— Tak, od wczoraj... po twej wizycie, panie D...

— Czyżby z mojej winy? — szepnąłem naiwnie.

Popatrzył na mnie uważnie.

— Nie wiem; ale to wiem, że jeżeli nie wywołamy gwałtownej kryzys, i to w tych dniach, dziś jeszcze, jeżeli można, to...

— Jakto, radbyś konsyliarz sam...

— To... zgubiona bez ratunku! — ciągnął dalej, nie bacząc na to, że mu przerwałem.

— Choć i tak może, wszystko będzie daremnie.

— Co pan mówisz?

Miasto odpowiedzi, powstał, zaczął przechodzić się wzdłuż i wszerz po saloniku. Ja porwałem się z pościeli i biorąc szlafrok, udałem się za nim.

— Ależ ja pana nic nie rozumiem! — rzekłem. — Mówisz, że kryzys potrzebna, atak wywołać należy gwałtowny, i znów...

Przerwał mi. Stanął patrząc prosto w oczy i spytał:

— Czy pan ją kochasz?...

— Ja?

— No tak! — dorzucił z właściwą sobie, ale dobroduszną porywczością. — Ty, nie ja przecie!

— Byłożby to zbrodnią?

— Eh, do licha, któż ci to mówi! Ale nauczże się odpowiadać wprost na postawione pytanie.

— Więc dobrze — odparłem. — Kocham ją, choć czynię sobie wyrzuty...

— Z powodu?

— Wszak ona skazana; zaledwie czasem kilka minut o własnych siłach powstać może.

— Ta, ta, ta, kochanku! W tych dniach, albo ją pochowamy, albo postawimy za miesiąc zupełnie na nogi. To będzie zależeć od ciebie...

— A to jak?

— Ona cię kocha!

— Alina?

— Tak. Kocha do szaleństwa prawie! Tem więcej, że uczucie to powstało nagle... niemal od razu.

Szczęście przepełniało mi piersi. Ah, gdyby ten człowiek mówił prawdę! Widziałem sam, że mi jest życzliwą, nie nauczony jednak wtedy, tak jak teraz, czytać w sercu kobiet, wątpiłem...

— Słuchaj mię, młody przyjacielu, powiedz szczerą prawdę! Ja wszystko wiedzieć muszę... Ona nie zasłabła tak bez powodu...

— Myśli pan?

— Jestem tego pewny. Co zaszło między wami wczoraj?

Trochę wstydząc się, ale opowiedziałem wszystko.

— A widzisz?... byłbym był rękę w ogień włożył. Otóż, posłuchaj mię teraz: Dziś, skorzystałem z tego, że była z początku nieprzytomna, zbadałem stan jej organów dokładnie. Ma piersi wątłe trochę, ale zdrowe, kości rozwinięte normalnie, mięśnie tylko osłabione. Dotąd, spała zmysłowo, że się tak wyrażę. Poznanie ciebie, przestawanie z tobą, rozbudziły ją... ma lat ośmnaście, więc potężnego lekarza... przyrodę, tę młodość i tę krew jak lawę wulkanu. Nauka wiele jeszcze tajemnic nie rozświeciła... tobie poświęcić się trzeba... może uratujemy nieszczęśliwą.

— Ależ to zbrodnia niemal?

Zaśmiał się.

— Zbrodnia? gdzie? jaka zbrodnia? Mówię ci przecie, że po za tem dziwnem osłabieniem i napadami nerwowymi, które ją jeszcze bardziej sił pozbawiają, życiowe organa ma nienaruszone. Może zostać matką... ręczę za to .. to ją ocali...

— Lecz ona...

Przerwał mi znów:

— Kochasz ją, prawda? Więc dobrze, trzeba ci wiedzieć, że Alina mniej sił utraci w tysiącu pocałunków, niż w jednym ataku takim jak dwa dzisiejsze. Ją rozpacz zabije... zabije nieświadomość. Nieszczęśliwej zdaje się, że jest niezdolną zachwycić kogoś, obudzić, a co smutniejsze... zadowolnić uczuć ukochanej istoty.

— A pan myślisz...

— Myślę? Wiem z pewnością, że tak nie jest... Dziś musisz jej powiedzieć, że kochasz, zmusić do wyznania... z matką, ja pomówię. Ona w południe pójdzie jeszcze do swego adwokata... udasz się na górę, a ja cię oświadczę już, licz na to.

— Jeżeli jednak znów to wywoła nagły atak?

— Weźmiesz ją w twe objęcia... będziesz szeptał wszystkie te słowa trzy po trzy, które

tak lubią zakochane kobiety; szeptał póty, póki atak nie minie...

Wziął kapelusz i unikając dalszych pytań, wyszedł z pokoju, mrucząc coś swym zwyczajem.

* * *

Na kilka minut przed południem, zostałem wpuszczony do pokoju Aliny przez Berneńkę, uprzedzoną już przez lekarza.

Gdy wszedłem, dziewczę drzemało. Jedna rączka i różowe ramię opadły na brzeg łoża, rozkoszne łono, wyzierając z za rozchylonych rąbków bielizny i odrzuconego trochę w tył, jedwabnego nakrycia, rzuciło mi w żyły płomienie.

Główka Aliny spoczywała pochylona ku mnie, na poduszce, tonąc w pysznych, jasnych włosach, rozrzuconych teraz w nieładzie.

Usiadłem na krześle, tuż przy śpiącej.

— Alino! — szepnąłem nachylając się.

Na pół przytomna, bo senna jeszcze, otworzyła swe cudne, szafirowe oczy. Poznała mię, rączki instynktowo chciały ująć kołdrę jedwabną. Ująłem je w moje.

— Alino! — powtórzyłem. — Wiesz, że cię kocham... chcesz być moją... moją nazawsze?...

Płomienie na twarz jej wystąpiły, mieniły się oczy...

— Alino!!

I nagle, zarzuciła mi rączki na szyję, całą w ogniach twarzyczkę przytuliła mi do lica.

— Mój Boże! — rzekła tak cicho, że odgadłem więcej, niż zrozumiałem jej słowa. — Cóż ja jestem warta... złamana niemocą? Czyżby godziło się, przywiązywać cię do skazanej na śmierć?... Mówisz to przez litość tylko..

Zaczęła płakać, ale bez tych nerwowych wybuchów, które mię poprzedniego dnia tak przestraszyły.

W uniesionych zasłonach podwoi ukazał się doktor Laube i matka Aliny.

Milcząc, poważna jak zawsze, przystąpiła do łoża i składając pocałunek na czole córki, połączyła nasze dłonie.

— Kochacie się — rzekła tylko — wiem o tem... niech was Bóg błogosławi!

Takie były nasze zaręczyny.

Wtedy, poczciwy lekarz zajął moje miejsce przy łożu, badał długo puls chorej, śledził wyraz jej oczu...

— Dziś sobota, prawda? — zawołał wesoło prawie. — Za tydzień, wyprawimy wesele...

— Za tydzień? co pan mówi? — szepnęła pani Rowińska — a przygotowania, a wyprawa, a...

— Teraz ja tu rozkazuję, łaskawa pani! — odparł żartobliwie ale... stanowczo. — Panna Alina za kilka dni już opuści łoże.

— Czy jednak będzie mogła utrzymać się o własnej sile?...

— Ołtarz urządzi się w sali, oparta na mojem ramieniu...

Na to nie było odpowiedzi.

A dziewczę, z oczętami rzucającemi płomienie, słuchało tych postanowień, zasłaniając od czasu do czasu uroczą twarzyczkę, aby nie widziano rumieńców, przebiegających po niej co chwila

. . . . . .

Przeszliśmy do salonu, aby dać wypocząć chorej.

Tam, pani Rowińska wskazawszy mi miejsce obok siebie i drugie lekarzowi:

— Wszystko to odbyło się tak nagle.. — szepnęła — że dotąd z podziwu i, czemu nie rzec prawdy, z niepokoju wyjść nie mogę. Uczyniłam źle, czy dobrze? czas to pokaże; wierzę jednak, że pan — zwróciła się do mnie — uszczęśliwisz dziecko moje. Inaczej ukarałby cię Bóg... Jesteś młody, obdarzony zdolnościami, masz przyszłość przed sobą, świat otwarty... ja, już nic prócz tej dzieciny; zabijając ją, zabiłbyś i mnie, a to przecie krew twoja także... on był Polakiem i padł tam

może, jak inni... na wyłomie! Winna ci jestem szczerą prawdę, panie Adamie; widzisz — uśmiechnęła się — mówię ci już ty... Dziś wieczorem, opowiem wszystko. A teraz, jeszcze słowo: nie pytam o twe stosunki majątkowe...

— Mam matkę jeszcze, która mię wspiera od czasu do czasu; resztę, dorabiam piórem...

— Nie o to mi chodzi. Mam majątek... wystarczy nam wszystkim. Ojciec Aliny był także... bez chaty, jak wielu waszych, ale... słuchaj, miej tylko połowę jego szlachetności, połowę wielkiego jego serca... córka moja będzie szczęśliwą!...

Stary Laube ocierał łzy i nie wstydził się tego.

Wstała, wyjęła z biurka prześliczną fotografię Aliny i wręczyła mi ją.

— Poślij ją zaraz jutro matce i powtórz to, co ci dziś opowiem. Bez jej błogosławieństwa, nie oddam ci córki.

— A ja, ja, czy także mogę przyjść dziś wieczorem? — zapytał doktor, całując z uszanowaniem rękę kobiety.

— Naturalnie, należysz przecie do rodziny — odparła z powagą.

Chciałem jeszcze pożegnać się z narzeczoną.

— Zostaw ją teraz w spokoju! — rzekł Laube — mamy co innego do załatwienia. Znam kogoś w konsystorzu... trzeba dziś

zaraz zrobić podanie o uwolnienie was od zapowiedzi, indult być musi na wtorek już w naszych rękach.

Stąpając na palcach, aby nie obudzić chorej, wyszliśmy z salonu.

6.

Doktor Laube, idąc ze mną, zacierał ręce; był w różowem usposobieniu.

— Wyleczymy ją, wyleczymy! — powtarzał — jakich bo niemocy miłość nie usunie! — i zaczął mi wyliczać żartobliwie: bladaczka, niedokrwistość, migreny, melancholia, nerwowe choroby, jak naprzykład twej narzeczonej, panie Adamie! Żart jednak na stronę, sądzę, że wszystko pójdzie dobrze; ty jednak musisz uzbroić się w odwagę.

— Odwagę, do czego?

— Alina będzie cię dręczyć, literalnie dręczyć swą miłością; dobra, szlachetna z usposobienia, może za powiewem wiatru najlżejszej przeciwności zatruć ci życie.

— Co pan mówi?

— Znam takie natury — studyowałem je. Kocha cię dziś bardzo, całą potęgą niezepsutego serca — całą siłą nagle wzbudzonej, nieznanej jej dotąd namiętności. Jutro, chcę powiedzieć: po ślubie, straci głowę zupełnie. Swemu szczęściu nie bardzo teraz ufa jeszcze,

z jej oczu widziałem, że coś podejrzywa. Bój się Boga, chłopcze, strzeż się. A nie trzeba ci mówić, że będzie zazdrośną do idyotyzmu, już dla tego samego, że dużo czasu upłynie, nim wyzdrowieje zupełnie i będzie mogła towarzyszyć ci wszędzie... zapatrywać się na życie z właściwego stanowiska.

— Ja mam do niej wielkie przywiązanie...

— Tak, dziś, jutro... ale potem?... Zresztą, czy zniesiesz kobietę, nieznającą miary w niczem? Taką będzie z pewnością. Strzeż się więc i uzbrój się w cierpliwość, mój drogi.

. . . . . .

Wieczorem, wchodząc razem do budoaru, zdumieliśmy się zastając Alinę w fotelu.

Cudnie jej było w białym negliżyku, z koronek i wstążek całym prawie. We włosach, rozpuszczonych zupełnie, ujętych tylko w błękitną wstążkę, umieściła purpurową kamelię.

Gdy lekarz zwrócił uwagę, że wstawać była niepowinna:

— Czułam się znacznie lepiej — rzekła uśmiechając się — zresztą...

Spojrzała na mnie i zarumieniona, wyciągnęła rączkę:

— Siadaj pan tu... przy mnie...

— Pan?...

— Siadaj przy mnie, Adamie... — poprawiła cichutko, nie puszczając już ręki mojej.

Po herbacie, pani Rowińska zapuściwszy zasłony drzwi, zabrała głos według rannej obietnicy:

— Moje drogie dziecko! — rzekła, zwracając się najpierw do córki — daruj mi, że bolesne wspomnienia poruszę, potrzeba jednak, aby pan Adam wiedział o wszystkiem, teraz pobieżnie przynajmniej. Jeżeli nie czujesz się na siłach, przejdziemy do salonu.

Uśmiechnęła się smutno.

— Nie, mamo, nie trzeba! prawie niema dnia, abym o tych rzeczach nie myślała...

„Męża mego — zaczęła opowiadać pani Rowińska — poznałam w końcu 1847 roku, gdy jako młody, urlopowany kapitan francuski, mieszkał u nas, w Zurychu, skąd pochodzę sama.

„W lutym, następnego już roku, wbrew woli mej rodziny, pobraliśmy się, że zaś małżeństwo upełnoletnia, odebrałam przypadający mi po rodzicach majątek, wyjechaliśmy w Poznańskie i tam urodziła się moja Alinka.

„Henryk, choć kochał mię bardzo, zajmował się zawsze gorąco sprawami swego kraju, głównie Księstwa Poznańskiego, gdzie spędził młodość całą i kończył szkoły.

„Gdy wybuchnęła wojna Krymska, udał się do Paryża i nanowo przyjął służbę w ar-

mii czynnej. Ojca mego dziecka opuścić nie chciałam i mimo jego oporu, ufna, że za złoto znajdę pewne wygody dla siebie i dla dziecka, towarzyszyłam mu do Krymu.

„O kilka mil od Sewastopola, w pięknej willi, zajmowanej przez część sztabu generała de Lamoriciere, wynajęłam dla nas pomieszczenie, Henryk widywał się z nami prawie codziennie.

„Po miesiącu — widzisz pan, że przytaczam tylko fakta same — zmieniono pozycye 3 go korpusu, w willi pozostałam sama, z jakąś włoską rodziną dostawcy armii.

„Radzono mi, abym i ja podążyła za wojskiem, że jednak musiałabym zamieszkać pod namiotem lub w drewnianym baraku, nie usłuchałam ostrzeżenia.

„Henryk przyjeżdżał rzadziej, lecz mianowany już pułkownikiem, zawsze z kilkunastoma ułanami eskorty i najczęściej w nocy.

„Raz, dziecko zaniemogło trochę, siedziałam nad łóżeczkiem, pełna niepokoju, tem więcej strapiona, że trzy dni już męża nie widziałam i żadnej nie miałam o nim wiadomości.

„Alinka drzemała, majacząc lekko.

„Nagle tuż przy willi, usłyszałam tentent koni i jednocześnie prawie kilkadziesiąt strzałów. Dwie kule wpadły do naszej sypialni.

„Na pół obłąkana z przestrachu, porwałam dziecko na ręce, niezdecydowana co czynić.

„W pokoju płonęła nocna tylko lampka, rzucając niepewne, niebieskawe światło dokoła. W chwili gdy unosiłam Alinkę, otulając ją szalem, oślepiła mię prawie światłość niezmierna, purpurowa... były to płomienie, wybiegające z okien zabudowań należących do willi. A wystrzały huczały teraz tuż przy pałacyku.

„Dziecko, oniemiałe z trwogi, patrzało dokoła błędnym wzrokiem obejmując mi rączkami szyję. Przeraźliwy krzyk, jednocześnie z trzaskiem otwieranych drzwi salonu, wyrwał się mu z piersi. Strzały też ucichły nagle.

„Odwróciłam się. Oparty na ramieniu szeregowego ułana, mój Henryk słaniał się w progu, cały krwią oblany, z szablą w ręku. Dziecko zaczęło trząść się na całem ciele, wymówiło „papa“ kilka razy i straciło przytomność zupełnie.

„Nie wiedziałam co czynić na razie; po chwili dopiero ułożyłam je w łóżeczku i rzuciłam się ku Henrykowi.

— Tyś ranny? — zawołałam.

— Lekko tylko... W chwili gdy jechałem tu z mymi ludźmi, wpadłem w zasadzkę.. nieprzyjaciele... ale ustąpili... straciłem trzech ludzi.

„Ułan chwycił go wpół, gdyż zachwiał się i ledwo nie upadł.

„A dokoła szalały płomienie, wiatr pędził je ku nam, obejmował już dach willi...

. . . . . .

„Dzielni ludzie mego męża porobili naprędce nosze i zsiadłszy z koni zanieśli nas wszystkich do blizkiej, napół zrujnowanej chatki leśnika.

„Cóż powiem dalej!

„Po miesiącu, Henryk wyzdrowiał zupełnie. Kula co go trafiła w piersi, na szczęście, nie obraziła płuc; zato jednak pamięć straszliwej nocy, do dziś jeszcze pozostała w skutkach... od niej datuje niemoc Aliny.

„Nie pomogły moje prośby i zaklęcia, Henryk, jak tylko opuścił łoże, udał się zaraz do pułku.

— Obowiązek przedewszystkiem — powiedział mi. — Jestem żołnierzem.

„Na to nie było rady.

„Niebawem, pułk jego otrzymał rozkaz wykonania rekonesansu w okolice Bałakławy i tam nieszczęśliwy Henryk przepadł bez wieści.

„Ułani, zaskoczeni przez całą niemal brygadę wroga, bronili się do upadłego. Pułkownikowi zabito konia, ale... potem ani między

rannymi, ani między poległymi odszukać go nie można było.

„Dla tego też, do dziś jeszcze, nie tracę nadziei.

„Wtedy, rozrzucałam złoto, aby czegoś dowiedzieć się, powziąć choćby najbłahsze wskazówki... daremnie. Odtąd też i takie to życie moje, ciągle między nadzieją a rozpaczą... trosk pełne. Teraz, wiesz pan wszystko".

Przerwał opowiadającej doktor Laube.

— Trudno! — szepnął — trzeba się pogodzić z losem, dziś masz pani pociechę... Alina wyzdrowieje z pewnością.

Dziewczę, słuchając opowiadania, z przymkniętemi powiekami, nie puszczało ani na chwilę mej ręki.

I tak długo jeszcze rozmawialiśmy o zaginionym. Pocieszać było trudno, ograniczyliśmy się więc z lekarzem na współudziale w tej niedoli.

* * *

Do mej poczciwej mateczki wysłałem list obszerny — pisałem noc całą. Zaklinałem ją, aby przysłała odpowiedź telegraficzną a list potem, gdyż doktór Laube uparł się, aby ślub nie został odroczony.

„Marzeniem twojem, droga mamo — tak zakończyłem — było zawsze, aby syn twój nie wprowadził pod strzechę obcej krwi. Matka mojej Aliny jest cudzoziemką, to prawda, ale... Szwajcarką, córką tego dzielnego ludu, co umiał i walczyć i umierać na wyłomie. Wiesz wszystko, jak ona dobra, zacna, przekonasz się sama, a jak uroczo piękna, powie ci załączony portret. Domyślam się, że teraz przynajmniej, trudno ci będzie przyjechać, mateczko droga, później jednak, liczymy na to. Tymczasem chciej pobłogosławić, choć zdaleka“.

Chociaż pani Rowińska pragnęła, aby prócz świadków, to jest lekarza i jednego z mych rodaków, nie było na ślubie nikogo z obcych, nie poprosić gospodyni i w kilka dni po mojem zamieszkaniu w S-t Gallen, przybyłej jej siostrzenicy, sieroty, z wyższej Lozanny, było wprost niemożliwie. Uprosiłem tedy przyszłą teściowę, że zgodziła się na moje w tym względzie przedłożenie.

Pani Prünel dowiedziawszy się z ust moich o wszystkiem, aż podskoczyła na krześle z podziwu.

— Wiedziałam, że pan bywasz u pań Rowińskich, ale żeby tak daleko zaszło...

I przerywając rozmowę:

— Edmeo! — zawołała — proszę cię, przyjdź tutaj. To moja siostrzenica — rzekła do mnie... — ukończyła świeżo pensyonat w Lozannie, będzie teraz bawić u mnie.

Otwarto drzwi w głębi i ukazała się w nich przywołana.

Mimo wielkiego przywiązania, jakie miałem dla Aliny, mimo, że narzeczona moja uderzała rzadką pięknością twarzy, nie mogłem pohamować lekkiego wzruszenia na widok siostrzenicy pani Prünel. Był to skończony typ południowej piękności, przypominała lekką śniadością cery i niezwykłym blaskiem dużych, czarnych, iskrzących oczu, owe zachwycające Prowensalki, przezwane kobietami z płonącej lawy.

Wysoka, wspaniale, na kształt Wenus z Milo zbudowana, choć zaledwie siedmnaście lat liczyć mogła, wyglądała na dwadzieścia przynaimniej. Las czarnych, w granat wpadających włosów zdobił przepyszną głowę rzymianki, mocno, ale nader poprawnie zakreślone czarne brwi i długie, jedwabiste rzęsy, zdwajały jeszcze matową białość szerokiego czoła i metaliczny blask ruchliwych oczu. Kończyny rąk i nóg były uroczo zmodelowane, strój skromny, czarny, podnosił jeszcze powab całej postaci.

Kochając szczerze Alinę, nie mogłem oderwać oczu od tej dziewczyny.

— Pan Adam Dzeski — moja siostrzenica, Edmea Faloni — przedstawiła nas wzajemnie pani Prünel

Po kilku chwilach potocznej rozmowy, powstałem i biorąc kapelusz rzekłem:

— Ciotka pani zrobiła mi zaszczyt i przyjęła zaprosiny na mój ślub, mający się odbyć w przyszłą sobotę, liczę że i pani nie odmówisz nam... narzeczona moja jest jeszcze bardzo cierpiąca, inaczej byłaby tu przyszła z matką.

— Ah, pan się... żeni? — rzekła patrząc na mnie. Ciocia mi nic nie wspominała.

— Bo sama dowiedziałam się o tem przed chwilą dopiero...

— Mam nadzieję, że panie ze względu na słabość panny Aliny, zechcą w tych dniach jeszcze odwiedzić ją... będzie bardzo szczęśliwa...

— Czułem się jakoś *mal à l'aise,* jak mówią Francuzi, pod światłem oczu Edmei — jej chłodnem, badawczem spojrzeniem, błądzącem mi po twarzy.

Złożyłem ukłon i oddaliłem się.

7.

Po wspólnej naradzie, do której i doktor Laube został przypuszczony, umówiliśmy się,

że ślub odbędzie się o piątej po południu, a po nim obiad w rodzinie — nic więcej.

Tymczasem, ja z Aliną mieliśmy zająć moje pomieszkanie, do którego pani Prünel, naturalnie za sowitem wynagrodzeniem, odstąpiła jeden ze swych pokojów, przytykający do mej ówczesnej sypialni. Wszystko z nich miało być we czwartek wyniesione, a tapicer podjął się urządzić moje gniazdko na sobotę rano.

Cały zajęty myślą o przypodobaniu się mej ślicznej narzeczonej, wiedząc, że za błękitną barwą przepada, poleciłem w tym kolorze ustawić meble w jej budoarze i odpowiednie obicia i zasłony — do sypialni zato wybrałem orzech ciemny i ciężkie jedwabne, stalowej barwy ze złotem opony.

Wypadkowo, błądząc w środę przed ślubem po sklepach kilku przekupniów starożytności, odnalazłem prześlicznego pędzla kopię Matki Boskiej Rafaela, w gotyckich, miedzianych, w ogniu srebrzonych ramach. Obraz miał prawie dwa metry wysokości.

W sypialni na wprost łoża, między oknami poleciłem go umieścić, wraz z klęcznikiem i lampką uczepioną przed nim.

Poprzednio już, pani Rowińska korzystając, iż znalazła się ze mną chwilę w salonie sama,

wręczyła mi mały pakiecik, prosząc, abym się nie obraził i przyjął to, co w sobie zawiera.

— Od dziś, wszystko będzie wspólne między nami — rzekła łagodnie, ściskając mi rękę — obraziłbyś mię śmiertelnie i dotknął boleśnie, a co gorsze jest, twoją narzeczonę, gdybyś odmówił... Córce mojej daję posagu teraz, ośm tysięcy franków renty, to jest dwakroćstotysięcy kapitału.

Pakiecik zawierał 10.000 franków.

We czwartek około południa, gdy wstawaliśmy od śniadania, przyszła pani Prünel przedstawić Edmeę i powinszować Alinie i jej matce.

Właśnie czytaliśmy telegram nadesłany z Warszawy, w którym zacna moja mateczka posyłała mi swe pozwolenie i błogosławieństwo.

Nieopuszczając fotelu mej narzeczonej, na którego poręczy byłem oparty, śledziłem baczne wrażenie, jakie wywrze na obu kobietach pierwsze spotkanie.

Z usposobieniem Aliny, spotęgowanem jeszcze niemocą, nie można się było spodziewać zbytku uprzejmości, a choć wrażenia swe umiała jak każda wykształcona kobieta, dobrze pokrywać ułożeniem i grzecznością, niemniej przeto śledziłem ją uważnie. Edmea jednak umiała rozbroić dziewczę odrazu. Przystąpiła do mej narzeczonej i rzekła ujmując jej rękę w swoje dłonie:

— Od cioci tyle słyszałam dobrego o pani, że nauczyłam się już lubić cię, nie znając. Chcesz, będziemy dobremi przyjaciółkami, wszak prawda?

Wypowiedziała to żywo, czarującym, pieszczotliwym głosem, obrzucając ślicznemi swemi oczyma moją przyszłą.

Alina utkwiła w nią swoje, długo, badawczo, potem odparła uśmiechając się radośnie:

— Nie miałam nigdy przyjaciółki... nie znam prawie tego uczucia...

— Rozkoszne, wierz mi i niezbędne w życiu.

I podczas gdy ja, nieopuszczający nas teraz po dniach całych zacny lekarz, pani Rowińska i gospodyni nasza, rozmawialiśmy przy stole — we framudze okiennej, gdzie stał fotel Aliny — obie dziewice szeptały już, śmiały się... czyniły sobie zwierzenia.

Spoglądałem na nie nieznacznie. Dwie te cudne postacie dziwną sprzeczność stanowiły. W złotawem oświetleniu jesiennego słońca obie główki w jakiejś iskrzącej tonęły aureoli. Podczas gdy drobne ciało Aliny niknęło w koronkach białych, jak we mgle, na tle purpury aksamitem wyłożonego krzesła, pełna życia, rozwinięta nad wiek, jak posąg starożytny zbudowana Edmea, przewyższając ją o całą głowę, wyobrażała wdzięk zdwojony siłą. Prześliczne łono i wyzywająco zakreślone biodra

zdawały się chcieć rozerwać obcisłą czarną sukienkę, drobna, dziecięca, ale kształtna, elegancka nóżka panny Faloni, wysunięta trochę, poruszała się nerwowo, jakby nadając takt słowom, płynącym przez pełne, o krwawej barwie, uderzająco zmysłowe usteczka.

— Pójdź pani ze mną, pokażę ci moją ślubną suknię! — rzekła nagle Alina i powstawszy z pewną trudnością, oparta na ramieniu młodej Lozanianki, skierowała się ku swej sypialni.

Gdy przechodziły koło mnie, podczas gdy Alina uśmiechnęła się, uścisnąwszy mi rękę, Edmea rzuciła jakieś dziwne spojrzenie. Zdawało mi się czytać w niem te wyrazy: widzisz, jeżeli zechcę, ona mnie pokochać musi koniecznie.

I tak się też stało.

Po wyjściu gości, jak to się zwykle zdarza, mówiliśmy o nich.

— Istotnie, zaczynam lękać się! — szepnęła Alina, przechylając, rozmarzona, jasną swą główkę na poręcz krzesła.

— Lękać czego? — zagadnąłem.

— Tyle szczęścia, naraz...

— Jakto, Alino?

— Twoje, jej przywiązanie...

— Czy ci się tak podobała panna Faloni?

— Prawdziwie, czuję, że ją pokocham... kocham już może... — odparła moja narzeczona, jak zwykle, egzaltując i to uczucie.

— Co do mnie — odezwał się poważny głos lekarza — ta wasza panna Edmea wcale mi się nie podoba.

— Mnie także nie bardzo! — szepnąłem bezwiednie.

Alina spojrzała na nas surowo niemal.

— Ah, jacy wy jesteście dziwni oba, moi panowie. Przyznać musicie, że ładna bardzo, a ja wam dodaję, że ma serce...

— Tak odrazu umiałaś je... ocenić?

— Dla mnie to poczciwa dziewczyna, ma narzeczonego daleko... aż w Tunisie; a jak ona go kocha!...

— Co mówisz, zwierzyła ci się? — spytał Laube.

— Najniewinniej w świecie, ze wszystkiego. Może zdradzam jej tajemnicę, bo o tem nawet ciotka jej nie wie, ale was przekonać muszę. Pokochała jeszcze na pensyi, przed dwoma laty, młodego człowieka... oboje nie mają majątku; ona kształciła się na nauczycielkę, on pracuje w zawodzie handlowym. Przed rokiem pojechał do Afryki, jako buchhalter jakiegoś domu komisowego...

— Czyż to wszystko dowodzi serca? — przerwał lekarz niecierpliwie, trochę szyderczo.

— Edmea, choć jej się zdarzały dwie świetne partye, postanowiła dochować wiary i czekać, choćby lata jeszcze całe...

Widocznie, nie chciał drażnić chorej, gdyż umilkł i zaczął przeglądać album czy książkę jakąś będącą pod ręką.

* * *

Wychodziliśmy razem na miasto.

Zaledwie zatrzasnąłem drzwi sieni i znaleźliśmy się na ulicy:

— Stanowczo, nie podoba mi się ta brunetka! — zawołał. — Ma coś w oczach...

— O, to nie, oczy ma czarujące — rzekłem nieuważnie.

Przystanął i spojrzał w moje; potem z pewnem wahaniem:

— Pochwyciłem w locie jej spojrzenie — rzekł — gdy obie wychodziły obejrzeć suknię: było w niem wyzwanie, czy...

— Dokończ pan!

— Porozumienie.

Zaprotestowałem, oburzony prawie.

— Ah, jak pan jesteś podejrzliwy! — zawołałem. — Czy to się godzi?

— Wszystko, gdy chodzi o szczęście i życie tego biednego dziecka. Widzisz — dodał łagodniej — i ja miałem córkę... musiała ci wspominać o tem pani Rowińska; a ja ci do-

dam, że zabiłem ją może, skutkiem mej nieoględności... i ona kochała...

Żywo w umyśle rozbudzone wspomnienie zaćmiło mu łzami oczy.

— No, no! — szepnął — nie bierz uwag zbolałego, zdziczałego starca tak zaraz do serca, panie Adamie... wyraziłem się fałszywie, ale.. proszę, radzę i zaklinam, strzeż się tej dziewczyny...

— Ależ mi ona obojętna zupełnie. Raz z nią mówiłem.

— Będziesz rozmawiał częściej, jest przyjaciółką Aliny i ma czarujące oczy.

I położył nacisk szczególny na te wyrazy.

— Kocham Alinę i...

Przerwał mi ruchem ręki.

— Dzieciństwo z mej strony, lecz mam jakieś złe przeczucie. Adamie, strzeż się!

Choć nie śmiałem przyznać się przed nim, i mnie także uderzyło owe, wyżej wspomniane spojrzenie panny Faloni.

Marząc o lazurowych oczętach Aliny i o szczęściu, jakie mię za kilka dni spotkać miało, udałem się, aby ostatnie porobić sprawunki, opłacić taksę udzielonego nam już indultu i zamówione kwiaty.

8.

Nareszcie nadszedł dzień z takiem upragnieniem oczekiwany.

W południe wracając do domu, znalazłem już wszystko urządzone, nie wiedząc jak zabić czas do czwartej, udałem się do S-t Galleńskiego parku, na przechadzkę.

W głowie miałem trochę chaosu — także i w sercu.

I mnie spotykało niespodziewane szczęście w życiu!

Bez chaty, wykolejony, miałem wczoraj jeszcze przed sobą żywot pracy, ciężkich zawodów, bolesnych rozczarowań, a zawsze osamotnienia i niepewnego jutra; a teraz, los rzucał mi w objęcia urocze dziewczę, tem ponętniejsze, że cierpiące i że w moich objęciach miało odżyć dopiero; dawał jeszcze w ręce środki materyalne, *nervus rerum* życia, ułatwiał walkę, dozwalał kształcić się, dopomagać drugim i dojść może do najrozkoszniejszej nagrody, stania się użytecznym rodzinnej ziemi.

Krew popłynęła mi bystrzej w żyłach, siedząc na ławeczce, w cieniu rozłożystej lipy, marzyłem rozkosznie. Zamknąwszy oczy, widziałem przed sobą Alinę, z krwawymi rumieńcami na policzkach, rzucającą mi się

w ramiona, słyszałem szelest jedwabnej, białej sukni, czułem jej delikatne rączki na mej szyi, woń włosów spływających mi po twarzy, wargi jej drżące przewidywaniem rozkoszy i łzy szczęścia w zamglonych oczach...

Może spałem, nie wiem, zbudziło mię lekkie dotknięcie w ramię i dźwięczny, choć teraz przyciszony głos kobiecy.

— Marzysz pan o niej... prawda?

Rozwarłem powieki, przedemną stała panna Faloni; wzrok jej przejmujący błądził po mej twarzy.

Chciałem odpowiedzieć, usiadła przy mnie i robiąc rączką ruch nakazujący milczenie:

— Marzysz pan o niej... prawda? — powtórzyła wolno — warta tego. Ah, jaka ona szczęśliwa, jak pana kocha!...

Ochłonąłem z pierwszego wrażenia.

— Pani, tutaj?... — odparłem opanowując wzruszenie. — A strój druchny, a pomoc Alinie przyrzeczona?...

Uśmiechnęła się czarująco.

— Mam być u Aliny dopiero o drugiej. Zabrakło mi koronek popielatych, udałam się dorożką po nie i przejeżdżając przy kracie parku...

— A bukiet czy już pani posłano?

— Dziękuję! wręczył go ogrodnik w południe. Cudna w nim jedna kamelia, purpu-

rowa zupełnie, musi mi ją pan sam zerwać, włożę ją we włosy...

— Ja? — powtórzyłem bezwiednie.

— Tak, pan! to mi przyniesie szczęście w życiu, jestem Włoszką po ojcu i... pełną przesądów.

Skinęła mi rączką, powstała i zniknęła na zakręcie bocznej drożyny.

. . . . . .

. . . . . .

Nigdy w życiu nie widziałem równie pięknego zjawiska jak Alina w swej białej sukni i w obłoku koronek i gażowej zasłony srebrem przetykanej, ale te, i nigdy lepiej uwydatnionej zmysłowej urodyj jak w postaci czarnookiej Edmei, odziane. w popielatą jedwabną, powłóczystą szatę balową, z prawie zupełnie obnażonem łonem, bo na mocno wyciętej sukni, narzuconem tylko leciuchną gazą; krótkie rękawiczki dozwalały podziwiać posągowe ramiona, elastyczny gorset całą giętkość kibici.

Podczas gdy Alina miała włosy w górę zaczesane, siostrzenica pani Prünel rzuciła je w dwóch ogromnych warkoczach na ramiona.

Gdy w salonie zmienionym w istną cieplarnię, pełną kwiatów zwrotnikowych, śród których ołtarz urządzono, ksiądz ubierał się

do obrzędu, w budoarze Alina zbliżyła się do mnie i podając mi bukiet panny Faloni:

— Proszę cię, Adamie — szepnęła — zerwij tę kamelię i daj ją Edmei.

— Dla czego? — spytałem, choć czułem, że mi się ściska serce na myśl kłamstwa i to w tak uroczystej chwili.

— To jej szczęście przyniesie! — odparła. — Proszę, zrób to dla mnie.

Rad nie rad tedy, wyjąłem z bukietu kwiat żądany i podałem go dziewicy. Przysunęła go do twarzy, trwało to mgnienie...

— Ah, jakaż ja dziecinna!... — zawołała śmiejąc się — zapomniałam, że przecie kamelia nie wydaje żadnej woni!

I wpięła ją we włosy.

* * *

Po skończonym obrzędzie, podczas gdy obiadowaliśmy w towarzystwie kapłana, który przyjął zaproszenie nasze, w sali uprzątano wszystko. Przy stole Alina, siedząc przy mnie, okazywała dziecinną wesołość, wybuchy jej śmiechu rozpromieniały poważne, chmurne często oblicze lekarza, który nie spuszczał z niej oczu.

Wbrew przewidywaniom, nie czuła znużenia, zwolna, z pewną trudnością, chwiejąc się lekko, lecz powstawała kilka razy, a właśnie ta niepewność kroków i postawy nada-

wała powiewnej jej postaci wdzięk niewysłowiony.

Za to Edmea była zamyślona... smutna trochę.

Gdy przyszedł służący zawiadomić, że w salonie podano czarną kawę, żona moja wraz z paniami poszły na chwilę do budoaru.

Po kwadransie weszła do nas przebrana, w prześlicznym negliżu, puszczonym od ramion, ujętym w pasie błękitną, szeroką wstęgą tylko.

Oczy jej ciągle szukały moich, na cudnej twarzyczce malował się niepokój pewien, rączka drżała, gdy ją ująłem w me dłonie.

Około dziewiątej pierwszy ksiądz i mój znajomy, będący drugim świadkiem ślubu, opuścili towarzystwo. Wkrótce za nimi pani Prünel i Edmea, złożywszy na czole Aliny pocałunek. Mnie podała rączkę i nie patrząc na mnie:

— Szczęśliwa! — szepnęła tak cicho, że zaledwie odgadłem ten wyraz po jej ust poruszeniu.

Gdy wyszła, ująłem moją żonę za rękę i klękając z nią u stóp matki:

— Pobłogosław nas raz jeszcze! — rzekłem, uchylając głowę.

Poczciwy Laube ocierał chustką łzy, lecz nie spuszczał oczu z Aliny.

Gdy wstaliśmy z kolan wzruszeni, a matka na mojem i córki czole złożyła ostatni pocałunek, lekarz przystąpił i wziął żonę moją za rączkę.

Cała w purpurze, trzęsąc się jak w febrze, ukryła główkę na moich piersiach... chwiała się, czułem to.

— Ojciec mojej ślicznej pacyentki, rzekł z powagą — nie obecny tu; ominęła go, niestety, najpiękniejsza uroczystość rodzinna... w jego imieniu tedy, oddaję ci Alinę, a nie wątpię, iż wiernie dotrzymasz przyrzeczenia i uszczęśliwisz ją... *L'enfant ne demande qu'à être aimée* — dodał ciszej — *vu sa beauté extraordinaire et ses qualités intellectuelles, il vous sera, je crois, très facile...*

I dodał jeszcze ciszej: *sa vie depend de cet amour...*

. . . . . .

Żonę, na pół przytomną, poniosłem na rękach do naszego mieszkanka, na górze.

9.

Następnego dnia, około południa, gdy zeszliśmy na dół, na śniadanie, moja Alina znalazła list od Edmei, dziwny trochę, a w każdym razie... nie spodziewany.

Panna Faloni, otrzymawszy o świcie telegram z Lozanny, wzywający ją do chorej

przyjaciółki, już o 8-mej rano, wyjechała z St. Gallenu. Obiecywała pisać, wedle adresu, który liczyła na to, mieliśmy jej nadesłać później z drogi.

Podczas śniadania, na którem zjawił się i stary Laube, z zapasem dowcipów i trochę złośliwych uwag o nagłem, z dziś na jutro *wypięknieniu* mej żony — omówiliśmy sprawę poślubnej podróży.

Ze względu na Alinę, o wyjeździe do Włoch, przez góry, mowy być teraz nie mogło; postanowiliśmy tedy, iż następnego dnia rano udamy się do Monachium, ztamtąd do Drezna — następnie zaś do Krakowa i do Lwowa i później przez Wiedeń do Tryestu a ztamtąd dopiero do Wenecyi, Florencyi i Rzymu.

Podróż trwać miała dwa miesiące — powrót zaś przez Nicę i Lion do Bazylei i Zurychu i po zwiedzeniu Rapperswylu, do domu.

Moja śliczna żoneczka cieszyła się jak dziecko na tę wycieczkę — na te dwa miesiące, które mieliśmy spędzić przeważnie w hotelach.

— A czy nie będzie to z krzywdą dla zdrowia Aliny? — wtrąciła nagle pani Rowińska.

Dr. Laube, który, mimo całej zacności usposobienia, ogłady towarzyskiej i względów należnych niewiastom, nie mógł się czasem

pozbyć swej szwajcarskiej szorstkości a raczej szczerych, lecz dobrze płaskich dowcipów, bo tylko do takich Niemcy są zdolni — uważał za stosowne wyrazić zdanie, którego powtórzyć tu nie podobna.

— Tak, dodał jeszcze — kochany mąż przy boku — wygodny, zaciszny apartamencik...

Alina, zarumieniona tem więcej, że i pani Prünel było obecną przy stole — ukryła nosek w talerzu...

W samej rzeczy, podówczas przynajmniej wcale na cierpiącą nie wyglądała.

Była to zawsze, ta sama wątła, śliczna porcelanowa figurka — ale oczęta, mimo wyraźnych śladów znużenia i sinawych obwódek, rzucały snopy świateł; gdy rozmawiałem z towarzystwem, biegały mi po obliczu chciwie, badawczo, ale z wyrazem pełnym miłości. Jakby prądem elektrycznym ze mną połączona, odczuwała każde moje wrażenie — każdy ruch ciała mego i ją poruszał odrazu. Gdy powstałem aby podać matce, zapomnianą na bufecie chusteczkę, choć wiedziała o co idzie, zwróciła główkę w moją stronę, przeprowadzała mię wzrokiem, jedząc, odruchowo...

Gdy podano w sąsiednim pokoju czarną kawę i usadowiłem się w fotelu z papierosem w ustach — żona moja, bez ceremonii obej-

mując mi szyję rączkami, usadowiła się na moich kolanach.

— Onegdaj czytałam „Antoninę“ Dumasa syna — szepnęła przysuwając mi do warg filiżankę...

Poruszyłem się zdumiony.

— Ależ ja nie jestem suchotnikiem, Alciu!

— Za to ja... role między nami są odwrócone. Teraz ty musisz mię leczyć... miłością!

Stary lekarz promieniał cały — mrugał oczyma i rzucał znaczące spojrzenia na Rowińską.

* * *

Wieczorem, znaleźliśmy się znów na jednym z parowców obsługujących linię Rorschach-Lindau, a nad ranem, w hotelu „Czterech pór roku“ przy ulicy Maksymiliana, w Monachium.

Śliczna moja żoneczka wywoływała wszędzie niepospolite wrażenie. Czy w teatrze, czy w galeryach dzieł sztuki, w pracowniach znakomitszych artystów i na ulicy nawet, nazywano ją „schoene Polin“ — wywiadywano się nieraz tajemnie w hotelu, gdzie spędzimy wieczór lub co śród dnia zwidzać będziemy.

Piękność Aliny i wspaniałe jej oczy wprawiały w podziw znawców — błagano mię o pozwolenie sportretowania pani Dzewskiej...

Te objawy hołdu pochlebiały mi, wyznaję to otwarcie; byłem dumny z wyłącznego posiadania takiego skarbu.

To samo powtórzyło się w Dreźnie i wszędzie indziej — tylko...

Niestety — szalona, odurzająca miłość żony, trochę ciężyć mi zaczynała — kaprysy jej, niewinne co prawda, stawały mi się czasem niewysłowienie ciężkie do zniesienia. Poza chwilami spędzonemi w objęciach ukochanej, czułem niezmierną próżnię. Życie miękkie, rozkoszne — nie przeczę — miało swoje powaby, ale brak mu było bodźca — brak pracy, po której stanowiłyby te upojenia rodzaj wypoczynku czy nagrody. Sybarytyzm i to dolce farniente, w jakie byłem pogrążony, przetwarzały się powoli w nieznośną czasami tyranię.

Przyjeżdżaliśmy np. do jakiegoś grodu, i zaraz po okrzykach zachwytu na dworcu i szmeru pochlebnym — Alina, zaledwie za służącą lub kelnerem zamknęły się drzwi hotelowego apartamentu, zrzucała z siebie strój podróżny i padała mi w ramiona, skarżąc się, że tak długo mnie była pozbawiona. Jednakże bez względu na potrojone wydatki, jeździliśmy zawsze osobnem coupé lub też, za pozostawianie nas w spokoju podczas jazdy grubo, wynagradzałem nadkonduktorów.

Ta zmysłowość wyjątkowa — łatwo wytłumaczalna ze stanowiska fizyologii — stawała się dla mnie niezmiernym ciężarem — krępowała moją inteligencyę wrodzoną, wytwarzała ospałość umysłu, groziła zanikiem, nie mówię już, poczucia godności osobistej, ale tej siły żywotnej, która podpiera władze umysłowe, dozwala im działać prawidłowo.

Nieraz chciałem otrząsnąć się z tego sybarytyzmu, wpłynąć na Alinę, skierować jej myśli na otaczające nas, co raz to inne przedmioty, godne uwagi; starałem się rozbudzić w niej zamiłowanie do zwiedzania gmachów, dzieł sztuki, zabytków z lat i wieków ubiegłych — daremnie.

„Więc już nie kochasz mię?... Znudziłam ci się...“ powtarzała łzawym głosikiem.

Albo jeszcze:

„Co mi po tych wszystkich dziełach geniuszu bóstwa, dziełach geniuszu ludzi? Dla mnie, miłość twoja wystarczy zupełnie. Zewnętrzne otoczenie jest mi zupełnie obojętne; puste to ramy obrazu, jeżeli w środku nie widzę ciebie...

Dr. Laube odwidził nas w Wiedniu, gdy jednak prosiłem aby wpłynął na moją żonę — ruszył ramionami, prosząc, abym cierpliwy był jeszcze i ulegał woli Aliny. Zresztą umył ręce od wszystkiego.

10.

Wróciliśmy nareszcie do St. Gallenu pod skrzydełka... mamy.

Smutnej, biednej kobiecie promieniły się oczy, gdy ujrzała córkę.

Alina, mimo kolosalnych nadużyć cielesnych, wypiękniała jeszcze, jeżeli to możliwe. Kibić jej nabrała pełnych uroku zaokrągleń, cała postać mimo nie imponującego wzrostu, sprawiała wrażenie. Cudne oczy sypały iskier snopy — pogodziła się nawet z muzyką, która nie przyprawiała jej już więcej o te straszne wstrząśnienia nerwowe, przykre dla oka, szkodliwe dla jej własnego zdrowia.

Na peronie dworca, pochwyciłem urywek rozmowy:

— *Eh bien?* — szepnęła matka, okrywając córkę pocałunkami.

— *Je suis heureuse, immensement heureuse!* — odpowiedziała, rzucając mi przelotne spojrzenie.

Biedna kobieta, mimo wszystko Niemka do szpiku kości, nie wiedziała jak wywdzięczyć się mi za szczęście córki.

Nazajutrz rano, znalazłem przy filiżance kawy, pugilaresik, którego okłady własną jej ręką były zahaftowane i w nim... dziesięć biletów 1000 frankowych.

Teutońskie trochę pojęcia, opłacać szczęście... pieniądzmi.

CZĘŚĆ DRUGA.

1.

Niespełna w tydzień po naszym powrocie, bez listu, bez telegramu donoszących o pr ybyciu, zjawiła się u nas panna Faloni — między dwoma filiżankami herbaty znalazła się w naszym salonie, z wyciągniętą do mnie rączką na powitanie.

Była bledszą, zeszczuplała, lecz jej to wyszło na dobre; trochę wgłębione oczy nabrały większego jeszcze blasku, śliczne kształty ciała więcej smukłe, wytworności w zarysach.

Potem rzuciła się na szyję Aliny, wyrzucającej jej, że nie pisała.

— Miałam że mięszać wam spokój, mącić szczęście? Od niedawna się znamy, lecz umiałam ocenić twe serce, smutki moje obeszłyby cię, a w upojeniach życia, nie lubimy goryczy w czarze słodkiego napoju.

— Niedobra! — szepnęła moja żona — a on?... ten on, żyjący tam zdala?...

— Kocha inną — odpowiedziała prosto.

— Co mówisz?

— Tak jest... napisał mi to!

— Nikczemny.

— Cóż poradzę? dziś kocham go tembardziej, więcej jeszcze może. To moja wina — dodała cicho — nie powinnam była zaślepić się tak, od pierwszego wejrzenia...

Mówiąc to, spojrzała na mnie.

Zwróciłem na inny przedmiot rozmowę.

Od naszego przyjazdu panna Faloni bywała u nas codzień; jak podczas naszej nieobecności umiała się wkraść w serce pani Rowińskiej, tak teraz, po kilku tygodniach, stała się niezbędną Alinie.

Żona moja postanowiła uczyć się po włosku i wzięła ją za nauczycielkę.

— Prawda, Adasiu? ty nie będziesz o nią zazdrośny?

— O nią? co za dzieciństwo!

— Bo widzisz, dziwny, niepokonany pociąg czuję do tej dziewczyny. Prawda, że śliczna?

Ruszyłem ramionami.

— Nie lubię brunetek! — rzekłem spokojnie.

— I ja nie bardzo! — odparła naiwnie — ale ją, kocham wyjątkowo. Ah, jak ona cierpi, żebyś ty wiedział! kocha bez nadziei... opowiedziała mi wszystko. Poznała swego Adama, bo mu tak jak tobie, mój złoty, na imię,

przypadkowo, mówiła z nim dwa słowa i... pokochała odrazu. A on już podobno miał narzeczoną... nie zwracał na nią uwagi.

— O ile sobie jednak przypominam, to przed naszym ślubem opowiadała to inaczej trochę.

— Ah, tak, masz słuszność, ale to wtedy, gdy nie znała mię bliżej; dziś jednak... Otóż widzisz, ożenił się... kocha żonę...

— To postąpił źle bardzo...

— Ależ nie! — przerwała mi żona — nieznośny jesteś, ten Adam nie wiedział, że ona go kocha... że od pierwszej chwili poznania... To dziwne, prawda, Adasiu?

— Rzeczywiście, dziwne! — odparłem zamyślony.

— Mówisz to takim tonem...

Weszła Edmea.

Żona moja pobiegła ku niej i całując ją:

— Darujesz mi — rzekła — że...

— Że co?

— Zdradziłam twoją tajemnicę... powiedziałam mu...

Czoło, twarz, szyję i ramiona dziewicy oblała purpura, w oczach zaświeciły łzy.

Lękałem się zrozumieć prawdę. Czyżby biedne dziecko istotnie powzięło dla mnie tyle życzliwości?

Nie badałem, postanowiwszy strzedz się, pamiętając na uwagi doktora Laube.

Innym razem, uniosła zasłonę salonu w chwili, gdy Alina, siedząc na mych kolanach, tuliła się do mnie, okrywając mi, jak zwykle, pocałunkami twarz i włosy.

Śmiertelnie blada panna Faloni upuściła trzymany w ręku wazon z bukietem świeżych kwiatów, który przyniosła mej żonie. Piękny wazon rozbił się na setne kawałki, kwiaty nie związane, rozsypały się po całym pokoju.

— Ah, jakże jestem nieuważną! — zawołała schylając się, aby ukryć pomięszanie i dać nam czas do opamiętania.

Alina jednak najspokojniej w świecie, wziąwszy dzwonek ze stołu zadzwoniła i do wchodzącej Berneńki:

— Sprzątnij to wszystko! — rzekła, a składając mi na ustach jeszcze jeden pocałunek, nie pomyślała nawet, żeśmy nie byli sami.

— Alino! — szepnąłem — co robisz! i delikatnie, zesunąłem ją na posadzkę.

Takie sceny powtarzały się często i zaczynały mię nużyć bardzo. Z początku obecność Edmei żenowała trochę moją żonę, potem jednak upierała się nieraz odbywać lekcyę przy mnie, jedną rączką okalając mi szyję, przerywając naukę dziesiątkami pocałunków.

Edmea wtedy bez tchu prawie, ze wzrokiem utkwionym w książkę, udawała, że nic nie widzi, łatwo jednak pojąć było można, że cierpiała. A przychodziła ciągle, jak mogła najczęściej, mało mówiąc ze mną, ograniczając się nieraz do koniecznych słów powitania i pożegnania tylko.

Ja oczekiwałem niecierpliwie na wiadomości z Paryża. Podczas naszej tam bytności, uprosiłem jednego z moich rodaków, mającego rozgałęzione stosunki, aby mi wynalazł miejsce jakie, na początek choćby podrzędne, byle z możnością awansu potem. O zamiarach moich nie wspomniałem nic Alinie, oczekując aż dopiero coś pewnego otrzymam w tym względzie. Przeczuwałem z jej strony opozycyę, żyć jednak tak dłużej, było wprost niemożliwe. Czułem to sam dobrze.

Rano wstawaliśmy około dziesiątej, ubieranie się, połączone ze sprzeciwianiem się i żartami żony, zabierało czas do południa prawie; potem śniadanie, rozmowa z matką, przechadzka, czytanie gazet i lekcya włoskiego z panną Faloni, następnie obiad, rozmowa i czytanie książek do późnej nocy. Z powodu nerwowego stanu Aliny, z naszych rozrywek, teatr i muzyka były zupełnie wykluczone; słysząc grę na jakimbądź instrumencie, nie wpadała już jak poprzednio w takie gwałtowne

rozdrażnienie — niemniej przeto bladła, drżała jak listek jeszcze.

Doktor Laube, który po nas miesiąc jeszcze został w Paryżu, powrócił nareszcie, niechętnem jednak patrzał okiem na zażyłość żony mej z Edmeą; raz nawet zwrócił jej na ten stosunek uwagę.

— *Est-ce que je n'ai pas le droit d'avoir une amie?...* — rzekła wzburzona, pierwszy raz odpowiadając tak szorstko starcowi.

Ruszył ramionami i odparł ze zwykłą stanowczością:

— *Cette fille me déplait souverainement.*

Na to jednak zdanie i ja się nie godziłem. Dla panny Faloni miałem wiele życzliwości, zdawało mi się nawet, że postępowaniem swem zasługiwała na nią. Nigdy nie starała się znaleźć ze mną sam na sam, nigdy żywsze słówko z ustek jej nie wyszło. Oczy tylko dziewczyny często błądziły mi po twarzy. Była coraz smutniejsza, zamyślona.

Na piersiach nosiła duży, złoty medalion, ozdobiony brylantami, pamiątkę po matce.

Pewnego popołudnia, gdy Alina, cierpiąca trochę, spała w swym pokoju, a ja czytałem w saloniku, weszła niespodzianie.

— Czy Alina nie poszłaby ze mną przejść się? — spytała, wahając się, czy przestąpić próg pokoju.

— Śpi teraz! — odparłem — ale niebawem zapewne się zbudzi — i wskazałem jej krzesło.

Byłem owego dnia sam jakiś zdenerwowany, w trochę złośliwem usposobieniu. Dziś, z pewnością nie umiałbym wytłumaczyć się, dla czego postanowiłem nagle podręczyć trochę pannę Faloni, dość, że patrząc na nią:

— Czemu pani nie siada? — szepnąłem. — Widzę, że od pewnego już czasu unikasz mię... czyżbym cię obraził, panno Edmeo?

— Nie, nie! — odparła z żywością, niezmiernie pomięszana.

Chcąc ukryć rumieniec, pochyliła się nad otwartym jakimś albumem na konsoli i zaczepiła aksamitkę podtrzymującą medalion. Rozerwała się odrazu, cenne świecidełko upadło na posadzkę i otworzyło się.

Ze środka wypadły suche listki... było ich kilkanaście...

— Ah — rzekłem — panno Edmeo, nie patrzę wcale... jakieś wspomnienie... kwiat uschnięty...

Chwilę stała niezdecydowana, co czynić; potem podnosząc załzawione oczy na mnie:

— Czy to... zbrodnia? — szepnęła. — Czyż wymagam wzajemności?...

Schyliła się i zaczęła zbierać rozrzucone listki.

Nigdy mi się piękniejszą nie wydała, jak w owej chwili. Milcząc poszedłem obudzić Alinę.

Gdy wchodziłem, zdawało mi się, że się poruszyła, poprzednio już słyszałem jakiś szelest... spała jednak, blada, w tej aureoli jasnych włosów, które raz pierwszy w życiu, wydały mi się mniej piękne niż zwykle; miałem jeszcze przed oczyma wonne, czarne sploty Edmei.

Żona kochała mię, kochała szalenie, ale... to bierne jej, uległe przywiązanie, te błękitne, ciągle w moje zapatrzone oczy i bezustanne godzinami trwające szepty miłości zaczynały stawać mi się ciężarem.

Nie kochałem Edmei, nie mogłem jednak nie widzieć jej do mnie przywiązania, nie porównać tych dwóch kobiet w myśli.

Wszakże nie czyniłem nic złego! Wtedy, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że istotnie, moralnie przynajmniej, już sprzeniewierzałem się żonie.

2.

Nareszcie zjawił się pewnego dnia roznosiciel i wręczył mi list... z Paryża.

Poczciwy znajomy donosił w nim, że przyobiecane miejsce było do objęcia od kwietnia, miejsce korzystne, bo sekretarza w jednym ze znanych bankierskich domów przy ulicy de la Victoire, z płacą pięciu tysięcy franków rocznie.

Uszczęśliwiony, gdyż rzeczywistość o wiele przewyższała moje nadzieje, postanowiłem przyjąć ofiarowaną posadę.

W saloniku naszym wszyscy byli zebrani, gdy wszedłem z listem ręku.

— Ah, otrzymałeś wiadomości?... skąd? — spytała moja żona.

Podałem jej trzymany papier w odpowiedzi.

— I myślisz, że ja na to pozwolę? — zawołała po przeczytaniu. — Mamo! patrz, Adaś starał się o posadę, donoszą mu, że wakuje u panów Briard i spółka, chce ją objąć...

— Cóż w tem tak dziwnego, Alino? — spytałem.

— Przecież niepotrzebujesz tego; dzięki Bogu wystarczy nam na utrzymanie do śmierci! — odparła, nie pojmując może, jak mię dotknęła tem nieoględnem powiedzeniem.

— Tak, wystarczy tobie, ale nie mnie.

— Jakto?

— Tobie, bo to twój majątek! — odparłem rozdrażniony.

— Adam ma słuszność, Alino! — wtrącił milczący dotąd doktor Laube. — Niepowinien trawić czasu bezczynnie...

Nie pojmowała.

— Ależ to przecie wspólne, wszystko co posiadamy... — rzekła patrząc na mnie.

Powstałem i ująłem jej rączkę.

— Nie, moje dziecko! wspólne może być przywiązanie, troski i radości domowego pożycia, wspólnym jeszcze majątek męża, ale mienie żony, nigdy.

— A to dlaczego?

— Ponieważ gardzi się w ogóle mężczyzną, żyjącym z funduszów kobiety.

— Żony?

— Wszystko jedno! Błogosławieństwo kościoła i zezwolenie prawa, to tylko forma społeczna — nic więcej; w istocie rzeczy leży sam fakt, wspólne pożycie. Mógłbym mieszkać równie dobrze z kochanką aż do śmierci i nieopuścić jej, cóżbyś wtedy powiedziała, coby świat powiedział, gdybym żył z jej pieniędzy? Po za tą formą społeczną jest, powtarzam, nagi fakt życia we dwoje; mężczyzna przyjmujący pod swój dach kobietę, winien jej dać utrzymanie...

Słuchała zdumiona.

— Ale ja nie chcę jechać i żyć w Paryżu!

Mimo, że lekarz dawał mi znaki, odparłem stanowczo:

— Pojedziesz, moje dziecko, bo ja tam za tydzień się udaję...

Błękitne oczy Aliny szeroko rozwarte pozostały bez ruchu, utkwione w mej twarzy.

— A mama? — szepnęła.

— Jeżeli nas kocha, uda się z nami chętnie.

Pani Rowińska milczała, nieśmiąc odezwać się, zapewne z obawy podrażnienia córki, Edmea przystąpiwszy do okna, spoglądała przez szyby na ulicę.

Alina, nic nie odpowiedziawszy, wstała i wyszła z pokoju, przykładając chustkę do oczu. Nim jednak zdołaliśmy powiedzieć słowo po jej wyjściu, wróciła i z zarumienioną twarzą, z płonącym wzrokiem, rzuciła mi ze drzwi to pytanie:

— A gdybym wręcz odmówiła udania się z tobą do Francyi?

Była tu chęć widoczna rozjątrzenia mię, wyprowadzenia z granic.

— Nie wiem jeszcze, cobym zrobił! — odparłem chłodno; — w każdym jednak razie, jedno z dwojga tylko: zmusiłbym cię do towarzyszenia mi, lub wyjechał bez ciebie.

— Adamie! — szepnął lekarz z wyrzutem. — Miejże wzgląd...

Przerwał mu przeraźliwy krzyk Aliny, która słaniając się, pochwyciła brzeg zasłony i oberwawszy ją swym ciężarem, upadła na posadzkę.

Wszyscy rzuciliśmy się ku niej, nie wyłączając Edmei, która pierwsza znalazła się przy chorej. Straszliwy atak nerwów wstrząsał całem ciałem nieszczęśliwej, na usta występowała piana, oczy szeroko rozwarte, były bez wyrazu, jak szklanne.

Zanieśliśmy ją na górę, rozebrali i położyli na łożu; była ciągle jeszcze nieprzytomna. W pół godziny dopiero zaczęła przychodzić do siebie.

Zażądała, abyśmy wyszli wszyscy, prócz matki.

— Czy to było potrzebne? — rzekł doktór Laube, gdy znaleźliśmy się w salonie. — Wszakże ostrzegałem...

— Ależ w takim razie życie moje byłoby istotną ciągłą męczarnią tylko! Czyż jej co przykrego powiedziałem? Nie mogę zostać bezczynnym całe życie i liczę na ciebie, doktorze, że gdy się uspokoi, dasz jej to do zrozumienia.

Ruszył ramionami.

— To się na nic nie przyda; ja obawiam się, że teraz, codzień będzie gorzej; wróci do dawnego stanu rozdrażnienia...

— A może ja... — szepnęła Edmea, dotąd milcząca.

— Pani, pani? — zawołał lekarz. — Ależ ona cię dziś czy jutro znienawidzi! ręczę ci za to.

Udałem, że nie pojmuję tych słów znaczenia, panna Faloni spuściła oczy i nic nie odpowiadając, usiadła przy oknie, z jakąś książką w ręku.

Alina całą noc była cierpiąca bardzo, doktór Laube obawiał się nerwowej gorączki, nie opuszczał wcale jej łoża. Mnie zalecił nie pokazywać się w sypialni.

Matce usiłował wytłumaczyć powody mego postępowania; biedna kobieta starała się zrozumieć mię, rada była uniewinnić może, przywiązanie jednak do córki stanęło na przeszkodzie.

— Chcę wierzyć — szepnęła — że słuszność może i jest po pańskiej stronie, niemniej przeto, biedną Alinę oszczędzać należy. Jesteś młody, gdyby i dwa i trzy lata spędzić ci przyszło bezczynnie, sądzę, że za przywiązanie, jakie ona ma do ciebie, godziłoby się...

Czułem, że zawiniłem, kość jednak była już rzucona.

Nazajutrz poszedłem do żony. Było jej trochę lepiej, przyjęła mię jednak chłodno, obojętnie niemal.

— Kiedyż wybierasz się... do Francyi? — spytała nagle nie patrząc na mnie.

— Jak tylko wyzdrowiejesz, moja Alinko.

— A ze mną co będzie?...

— Pojedziesz także! — rzekłem, usiłując być spokojnym.

— Nie.

— Alinko!

— Nie, tysiąc razy nie! Widzisz, nie unoszę się wcale, ale wszelkie twoje perswazye, prożby nawet, byłyby daremne.

Wyszedłem z sypialni.

Życie niezawsze tak się ujawia, jakby tego wymagali psychołogowie. Natura ludzka mimo wszystkiego co o niej dotąd napisano, zawiera jeszcze tajemnice, których długo zbadać nie będzie można.

Dziwaczne sceny, które opisuję, miały istotnie miejsce i upór Aliny dający się wytłómaczyć tylko rozstrojem nerwów, był dotkliwym dla jej otoczenia, należało mieć wyrozumienie lekarza i zaślepienie matki, aby znieść go spokojnie.

Ja kochałem żonę istotnie. Gdy jednak tak stanowczo wystąpiła, niemogąc logicznie niczem poprzeć swych dziwacznych wymagań, czułem, że miłość moja znacznie osłabła.

Wszakże nie szukałem jej przywiązania, nie ubiegałem się o nie! Doktor Laube wpłynął na mnie, działałem pod wrażeniem chwili. Lubiłem ją, gdy była panną jeszcze: a któż z nas nie zgodzi się na poślubienie pięknej, bogatej dziewczyny, gdy wie jeszcze, że jest kochany?

Miłość moja miała Alinie zapewnić zdrowie, uratować ją. W samej rzeczy, pierwsze miesiące małżeństwa oddziałały dodatnio na chorą, mógłżem jednak być przez lata całe przykuty do niej w ten sposób, aby nie mieć własnej woli, ulegać zachciankom cierpiącego, to prawda, ale i kapryśnego, rozpieszczonego dziecka, robić ofiarę z uczuć honoru i godności osobistej!

Postanowiłem raz jeszcze rozmówić się z matką i lekarzem, i wymódz na nich, aby burzę zażegnali. Co do mnie, zamysł udania się do Francyi był nieodwołalny. Przebaczyłem chętnie Alinie wybuch dnia poprzedniego, sam bowiem zawiniłem, że nie miałem odwagi lub cierpliwości uprzedzić ją pierwej, przygotować, ostatnie jednak wystąpienie żony i ton stanowczy, jakim wręcz oświadczyła, że nie pojedzie, oburzyły mię niewymownie.

* * *

Trzy dni całe, prawie nic nie rozmawialiśmy z sobą. Wchodziłem do sypialni po

kilka razy dziennie, odwiedzić żonę, o podróży nic jednak nie wspominałem, pozostawiając załagodzenie nieporozumienia matce i lekarzowi.

Jak dziś pomnę, było to we czwartek nad wieczorem; siedziałem na sofce w mieszkaniu pani Rowińskiej, która wyszła z Edmeą za jakiemiś sprawunkami.

Usłyszawszy lekki szmer za sobą, odwróciłem się.

Alina w tym samym negliżu, w którym ongi rozpromieniony, pełen miłości i nadziei posiadania ślicznego dziecka, unosiłem je na rękach, stała przy sofce.

Była bardzo blada. Kilka dni wzruszeń i niemocy zmieniły ją nie do poznania. Żal mi jej się zrobił serdeczny, przypomniałem sobie chwile niedawnych jeszcze upojeń...

Wziąłem ją wpół i przyciągając do siebie, posadziłem gwałtem prawie na kolanach.

— Więc mię już nie kochasz? — szepnąłem, całując wonne, jasne sploty, w nieładzie rozrzucone po koronkach ubrania.

— I ty możesz pytać mię o to? — odparła. — Nie, Adamie, kocham jak dawniej, więcej jeszcze może, ale...

— Mam upór zepsutego dziecka, prawda? — dokończyłem.

— Może. Sądzę jednak, że godziłoby się zrobić dla mnie to ustępstwo...

— Wszakże pojmujesz chyba, że nie mogę prowadzić dłużej bezczynnego życia, wydawać twoje pieniądze...

— Tak ci ono cięży? Przesyciłeś się mną... prawda?

— Czy ci matka i doktor Laube nic dziś nie mówili?

— Owszem. Nie wiem jednak dla czego, mówię ci to szczerze, Adasiu, sama nie wiem, dla czego, lecz boję się tego Paryża... za nic w świecie... może przeczucie... czy ja wiem?

I składając rączki:

— Zostań, zostań! zaklinam cię! Ja cię tak kochać będę...

Odpowiedzieć jej coś stanowczego, byłoby to wywołać znów podobną, jak przed kilkoma dniami scenę. Postanowiłem jechać, ale do ostatniej chwili, unikać zajść tak przykrych!

— Zobaczymy to! — odparłem łagodnie, tuląc ją do siebie. — Wszakże nie odjeżdżam jeszcze.

Zarzuciła mi rączki na szyję; w błyszczących jej oczach czytałem wyraźnie pewność, że na swojem postawi. Nigdy też pocałunki żony nie wydały mi się tak gorące, tak namiętne, nigdy uścisk jej rozkoszniejszym nie był.

Wieczorem, wcześniej udała się na spoczynek, my pozostaliśmy jeszcze w salonie, w mieszkaniu teściowej. Około dziesiątej poszła pani Rowińska na górę zobaczyć czy córka śpi spokojnie, zostawiając mię czytającego gazetę a Edmeę zajętą szydełkową robotą.

Zaledwie ucichły kroki oddalającej się — rzekła Edmea, niepatrząc na mnie:

— Panie Adamie! Mam wielką prośbę.

— Służę — rzekłem odkładając dziennik. — Co pani każe?

— Zaklinam, chciej mi otwarcie odpowiedzieć na jedno pytanie.

— Jakie?

— Czy.. pojedziesz do Paryża?

— Pojadę z pewnością.

— Alina postanowiła tu pozostać.

— Domyślam się. Niemniej przeto ja... pojadę.

— Zabijesz ją! — szepnęła.

Uśmiechnąłem się.

— Takie rzeczy nie zabijają. Jeżeli kocha... nie zniesie rozdziału i za mną pojedzie.

— Takby może uczyniła zdrowa, ależ ona chora! Doktor Laube obawia się... powiada, że teraz za nic ręczyć nie może.

— Mamże żyć na jej koszcie, bezczynne prowadzić życie?

— Więc pan pojedziesz?

— Tak.

— Kiedy? odpowiedz, proszę.

— Najdalej za tydzień. Jutro piszę do owego banku.

Podniosła główkę. Nie pojmowałem dobrze co się działo w jej sercu, widziałem jednak, że walczyła z sobą.

Powstała i biorąc mię za rękę:

— Zostań przy żonie! — szepnęła drżąc cała.

— Cóż pani na tem zależy? — spytałem.

— Zostań... zabijesz ją, a ona cię kocha...

— Jeżeli kocha, to pojedzie! — odparłem z uporem.

Usłyszeliśmy szelest na górze, wracała moja teściowa.

— Dziś rano rozmawiałam z córką — rzekła patrząc na mnie. — Edmea wie o wszystkiem, możemy mówić otwarcie.

Byłem rozdrażniony, wszystko to nudzić mię zaczynało.

— Nie wiem o czem mamy mówić, otwarcie! — odparłem niecierpliwie. — Albo Alina jest moją żoną, albo nie, kocha mię, lub też...

— Jest cierpiącią, zdenerwowaną, należy się jej to ustępstwo... Ja sama widzę, że to upór dziecinny, ale... przez nią mówi więcej niemoc... od dziecka, od tej strasznej nocy

jest taką! Doktór Laube uprzedzał cię przecie, mówił mi o tem. Dziś sam wywołujesz.

Powstałem.

— Alina jest moją żoną i pojedzie ze mną lub zostanie tutaj... nazawsze.

Ukłoniłem się i opuściłem salon.

Gdy zbliżyłem się do łoża żony, wyciągnęła do mnie rączkę:

— Zostaniesz, prawda? — szepnęła napół senna, uśmiechając się. — Ja cię będę tak kochać... jeżeli to możliwe, bardziej niż poprzednio nawet.

Zamknąłem jej usteczka pocałunkiem, w chwili jednak gdy z oczyma pełnemi łez, tuliła się do mnie, sprawiając mi ból niemal szalonym swym uściskiem, przemknęła mi w myśli czarnooka Edmea, jej purpurowe, silnie zarysowane wargi, jak z marmuru wyciosane okrągłe ramiona i czarowne łono.

— Jakiś ty zimny... obojętny, Adasiu! — szeptała żona.

. . . . . .

. . . . . .

3.

W Warszawie żyła jeszcze matka moja, prócz stałej, dość znacznej pensyjki dożywotniej, pobieranej od krewnych, spadkobierców brata, który jej zapisał resztę, posiadała jeszcze

około piętnastu tysięcy rubli własnego kapitaliku.

Napisałem jej następnego dnia rano list obszerny, prosząc aby mi posłała weksel na 10,000 franków.

Poczciwa kobieta umiała się tak urządzić, że w tydzień otrzymałem już żądaną kwotę w przekazie na bank kredytowy ziemski, w Paryżu.

List został mi posłany jak tego żądałem, poste restante, i tego dnia właśnie, wróciwszy do domu dowiedziałem się z niemałem zdziwieniem, że przed godziną panna Faloni wezwana listownie do Genewy, wyjechała nagle do swego krewnego, który podobno był śmiertelnie chory. Zaledwo zdążyła pożegnać się i zostawić mi pozdrowienie.

Odjazdem pięknej Edmei uczułem się głęboko dotknięty i to nawet może wpłynęło na moje usposobienie.

Z żoną pozostawałem na stopie dawnej, nieraz jednak śród najgorętszych jej pieszczot, nie mogłem pokonać pewnego przymusu. Zapytywana przezemnie kilkakrotnie, choć z całą względnością, czy zrzecze się swego uporu co do pozostania nadal w Saint-Gallen'ie, odpowiadała mi zawsze milczeniem lub łzami.

— Cóż chcesz, mój drogi? — rzekł raz do mnie nasz poczciwy Laube — ja sam gubię

się w domysłach daremnie. Wiem tylko, że Alina od tych dwóch tygodni zmieniła się zupełnie, wraca do dawnego stanu rozdrażnienia.

Istotnie, stawała się co dzień... nieznośniejszą. Po wybuchach szalonej miłości, następowały chwile zgryźliwe, półsłówka pełne ironii i po nich znów, nagle zarzucała mi ręce na szyję, lub jak dawniej kładła się u kolan mych na dywanie i godzinami wpatrywała się w me oblicze.

Pewnego wieczora siedzieliśmy sami w naszym saloniku na górze. Ja zadumany nie pomnę o czem, ona z książką w ręku, przy mnie, na nizkiej leżance.

Położyła mi rękę na ramieniu.

— O czem ty myślisz, Adasiu? — zagadnęła.

— O niczem! — odparłem zbudzony jakby ze snu.

— O Edmei... prawda? Oh, nie uniewinniaj się... nie kłam! wiem o tem...

— Co mówisz! co za szaleństwo?

Wstrząsnęła smutnie głową.

— Wiem coś oddawna, tylko nic nie mówiłam, nie okazywałam tego po sobie!

— Alino! — rzekłem wzburzony. — Czy to się godzi?

— Widziałam was wtedy, gdy jej się resztki konwalii wysypały z medalionu... ja nie spałam!...

— Przecież sama prosiłaś, abym ją wyjął z bukietu... cóż jestem winien, że...

— Że co? — podchwyciła.

— Że ją zasuszyła na pamiątkę?...

Twarz żony pokryła bladość śmiertelna.

— A skąd ty wiesz, że te listki były kameliowe i właśnie z kwiatu, który jej dałeś do włosów, w dzień mego ślubu? Widzisz? nie kłam. Podeszłam cię...

— Ależ przysięgam ci, Alino.

— Nie przysięgaj!... Wiedziałeś, że cię kocha...

— Lecz ja...

— Nie dziś, to jutro, będziesz ją kochał także.

Mówiła szybko, urywanie, drżąc ze wzruszenia; ja czułem, że zawiniłem, choć nie miałem sobie dotąd nic do wyrzucenia.

— Tak, będziesz ją kochał — powtórzyła.— Bo wyście tacy! Ja nudzę cię już, jestem chora, uporna... ona, dobra jak anioł, cicha, słodka; ale mimo to, umiała mi wydrzeć twe przywiązanie!...

— Alino — rzekłem, biorąc ją za rączki, choć je wyrywała. — Alino, klnę ci się na wszystko, co mi drogie w życiu, że nigdy

między nami nie było nic, nic zgoła, ani jednego słowa, z którego by wnioskować można... Alino!

Wyrwała się z mych ramion.

— A skądże wiesz, że od dnia naszego ślubu, nosiła ten przeklęty kwiat w medalionie? — zapytała hamując się.

— Mówiła poprzednio, że on jej szczęście przyniesie, widząc więc rozsypane listki i pomięszanie Edmei...

Radbym był ofiarą połowy życia cofnąć nierozważne słowo, lecz było już zapóźno; Alina powstała i z takim spokojem, jakiego przy jej usposobieniu nigdy spodziewać się nie można było:

— Głowa mię strasznie dziś boli! — rzekła podając mi rękę. — Proszę cię, zostaw mię samą...

Wyszła nie oglądając się i zapuściła za sobą zasłonę drzwi prowadzących do naszej sypialni.

. . . . . .

Nazajutrz rano, podczas gdy żona spała jeszcze, nakreśliłem list następujący:

„Alino!

„Na upór niema lekarstwa, a z kobietami nie nawykłem używać siły. Co do naszej wczorajszej rozmowy, powtarzam ci raz jeszcze, że się mylisz, co do mnie przynajmniej, pomija-

jąc już, że samo podobne podejrzenie ujmę mi przynosi.

„Gdy ten list otrzymasz, ja będę już na drodze do Paryża. Przybywszy, adres ci mój natychmiast zatelegrafuję. Jeżeli mnie kochasz, to jako dobra i wierna żona, przyjedziesz natychmiast.

„Teraz. tembardziej, w obec uczynionego mi wczoraj zarzutu, żyć nie mogę z twych funduszów.

Twój Adam“.

Następnie napisałem długi, szczery list do doktora Laubego, nie ukrywając nic, ani tego nawet, że wiedziałem o przywiązaniu Edmei. Prosiłem go, aby wpłynął na żonę i użył swej powagi, dla znaglenia jej do wyjazdu.

Potem, zapakowałem część potrzebnych mi rzeczy i bielizny i moje papiery w walizę i korzystając z nieobecności Aliny, która z matką udała się do kościoła, wyprawiłem do miasta kucharkę i pokojówkę Berneńkę, stróżowi zaś poleciłem przywołać dorożkę i udałem się na pociąg odchodzący do Zurychu.

Gdyby Alina, podczas rozmowy naszej poprzedniego wieczora, zamiast zamknąć się w swej sypialni, jedno przyjazne wyrzekła była słowo, kto wie, może byłbym się i zrzekł, na

czas dłuższy przynajmniej, mego zamiaru podróży.

Teraz, los, czy wspólna lekkomyślność nasza i chęć postawienia na swojem, wykopały przepaść, której zapełnienie już nie odemnie tylko samego zależało.

4.

Przybywszy do Paryża, wynająłem niewielkie, tylko z salonu, sypialni i przedpokoju składające się mieszkanie, przy ulicy Vaugirard i po kilku dniach byłem już zupełnie urządzony.

Żonie, według obietnicy, posłałem depeszę z adresem, pozdrowienie i prożbę, aby przybyła. Potem, odziany czarno, poszedłem przedstawić się panu Briard, przełożonemu banku, w którym miałem objąć posadę.

Przyjął mię nader uprzejmie, przedstawił swemu spólnikowi i następnego już dnia, pod kierunkiem dodanego mi, najstarszego z buchhalterów, zacząłem obeznawać się z czynnościami.

Nie były zbyt trudne: polegały na prowadzeniu wydatków nadzwyczajnych, kontroli nad obrotami funduszu złożonego z akcyj zagranicznych przedsiębiorstw i załatwianiu poufnej handlowej korespondencyi przedstawiciela firmy.

Udawałem się do biura około jedenastej rano, opuszczałem je o drugiej lub o trzeciej po południu.

Codzień, wracając na ulicę Vaugirard, zapytywałem mego odźwiernego o listy i codzień, tę samą otrzymałem odpowiedź: *il n'y a rien, monsieur!*

Tak upłynęło dni dziesięć — pełnych niepokoju.

Nareszcie raz, znalazłem list oczekiwany... poznałem na okrywce pismo doktora Laubego.

Był lakoniczny, a przytem obojętny niemal, chłodny.

„Dobrowolnie potargałeś węzły łączące cię z kobietą, która cię tak kochała — pisał w nim. — Żona twoja, pozornie przynajmniej, ma się nie źle, ale o połączeniu się z tobą nawet słuchać nie chce. Wyjazd twój spowodował straszliwy atak nerwowy, przez kilka dni obawialiśmy się o nią. Teraz jest osłabiona, ale... spokojna zupełnie.

„Matka powiada, żeś jej zabrał dziecko, aby je zgubić potem. Co do mnie, radzę powrócić i to jak najprędzej. Cóż u licha, mój drogi, setki tysięcy ludzi żyją na koszcie żon swych, może to źle jest, ale... dla Aliny godzi się przecie zrobić tę ofiarę. Ja ostrzegałem nieraz. Dziś, to tylko mogę ci zaręczyć,

że wykopałeś przepaść między tą biedną kobietą a sobą".

List ten wzburzył mię niezmiernie.

Więc nawet w oczach poczciwego lekarza byłem... tyranem, postąpiłem źle. Miałem tam wracać?... a to po co? czyż nie obowiązek to żony towarzyszyć wszędzie mężowi? Jedno ustępstwo na tem polu wywołałoby z czasem tysiące innych.

Odpisałem, że pracuję, że posady tak nie rzuca się bez powodu i że obowiązkiem jest Aliny przyjechać do mnie.

Tak upłynął miesiąc cały, z domu żadnej więcej nie otrzymałem wiadomości.

W Paryżu prowadziłem życie samotne, unikając starannie spotkania się z temi kilkoma rodzinami znajomych, w których poprzednio przedstawiłem był moją żonę.

Wolne chwile od zajęć spędzałem w Bibliotece narodowej, lub na długich przechadzkach w Luksemburskim parku. Przywiązanie do żony gasło powoli... gubiłem się daremnie w myślach o istotnym powodzie jej postępowania. Pojmowałem, że była cierpiącą, rozdrażnioną jeszcze tem więcej, ileże podejrzywała mnie o chęć pozyskania serca Edmei; niemniej przeto, nie powinna była tak postąpić ze mną.

Szczere przywiązanie zawsze pochlebia i nikt się o nie ani gniewa ani oburza. Wiedziałem, że panna Faloni miała dla mnie wiele życzliwości, czyż jednak dla tego należało mi zerwać z nią? Czemuż tego Alina nie uczyniła, jeżeli rozsypane listki z medalionu wzbudziły jej podejrzenie?

Teraz, wiedząc przecie, że mię martwi milczeniem, pozostawiała tak długo bez żadnej o sobie wiadomości.

Postanowiłem przeczekać jeszcze tydzień i dojść potem, bądź co bądź, do jakiegoś stanowczego rezultatu.

Miałem co prawda kilka bardzo życzliwych mi osób w S-t Gallenie, udawać się jednak do nich, byłoby to rozmazywać domowe niesnaski, dawać ogółowi powód do domysłów różnych, do obmowy. Wolałem tedy czekać jeszcze i potem rozstrzygnąć kwestyę odrazu.

Tymczasem w biurze pracowałem usilnie, aby pozyskać względy przełożonych, i tym sposobem wywalczyć sobie niezależne stanowisko, dozwalające mi nie oglądać się na pieniądze żony.

Pewnego dnia nad wieczorem, jadąc omnibusem ku przedmieściu, na którem mieszkałem, zdawało mi się przez okna wehikułu, że dostrzegłem Edmeę skręcającą za Odeon, ku ulicy Laufflot.

Smukłą jej, elegancką postać, byłbym był poznał zawsze i wszędzie; na los szczęścia, choć jeszcze przypuszczałem, że się mylę, wyskoczyłem i chyżo udałem się w tę stronę.

Nie myliłem się jednak, była to panna Faloni, zniknęła mi w rogowym domu wprost Panteonu.

Wszedłem doń w kilka minut później, żywo zaciekawiony tym zagadkowym dla mnie pobytem dziewczęcia w Paryżu.

— Panna Edmea Faloni? — spytałem odźwiernego, rzucając mu jednocześnie pięciofrankówkę przez okienko loży.

— Na piątem, drugie drzwi na prawo.

I domyślając się zapewne, że pieniądz rzucony był hasłem rozwiązania języka:

— Jak się zdaje — dodał — bardzo to przyzwoita panienka i piękna ogłupiająco, ale...

Spojrzał na mnie domyślnie.

— Ah, *il'y a un mais*? — szepnąłem, wstydząc się tego śledztwa, lecz nie mogąc przezwyciężyć ciekawości.

— *Je crois que c'est une honnête fille tout de même.*

— Tak myślisz?...

— Z taką jak jej buzia, niepotrzebowałaby mieszkać z myszami i kotami pod strychem i jeść smażone kartofle *(des pommes frites)*...

Położywszy jednę jeszcze sztuczkę złotą w okienku cerbera:

— Czy dawno tu mieszka? — spytałem.

— Od tygodnia dopiero. Przyjechała dorożką z dworca Orleańskiego prosto do nas i najęła izdebkę za 12 franków na miesiąc. Jest nauczycielką, ale poczciwa, że aż miło... głupio poczciwa! mój dobry panie. Mieliśmy już dowody.

— A to jakie?

— Zaraz nazajutrz, jak tylko wyszła na ulicę.... gdy wróciła, przyszło aż dwóch pytać się o nią. Jeden to, panie, miał własny powozik, przysłał tylko grooma. Potem zaczęto u mnie zostawiać dla niej listy.

— Które jej oddawałeś!

— Naturalnie, ale cóż, panienka brała je i nie czytając, darła zaraz w loży. Dziś jeszcze rano...

Podziękowałem za objaśnienia.

— Jeszcze jedno — zawołał odźwierny. — Dziś rano kazała sobie przynieść numer „Petit Journal“, pomieściła tam ogłoszenie...

Wyszedłem zadumany.

Ten nagły wyjazd Edmei zawierał w sobie coś, co mi ukryto w St. Gallenie. Czyżby biedne dziecko paść miało ofiarą jakiej intrygi lub nieporozumienia? Chce dawać lek-

cye.. w Paryżu! sama, bez znajomych, może bez pieniędzy... co się z nią tu stanie?

Kupiłem „Petit Journal“ i zacząłem przeglądać dzienniczek, mający przeszło 500.000 przedpłacicieli. Na ostatniej stronie wyczytałem ogłoszenie:

„Wykwalifikowana nauczycielka włoskiego, niemieckiego, muzyki i śpiewu, posiadająca gruntownie i język francuzki, udziela lekcyi na mieście, za bardzo umiarkowanem wynagrodzeniem. Wiadomość przy ulicy Soufflot 18, odźwierny wskaże“.

Postanowiłem bądź co bądź, widzieć się i rozmówić z Edmeą.

Głowa mi płonęła, szał ogarniał serce. Przeczuwałem, że ona mię kocha, że może dla mnie tu przybyła... wszakże pytała tak uporczywie w S-t Gallenie, czy z pewnością udam się do Paryża... mój Boże, co to wszystko znaczyć miało?

Nigdy może, wyznaję to otwarcie, nie spędziłem tak wesoło wieczoru jak po dowiedzeniu się, że piękna moja znajoma jest w Paryżu. Nie umiejąc zdać sobie sprawy z uczucia, które mną owładnęło, zrozumiałem tylko, że byłem już mniej samotny, że był ktoś, co

cierpiał dla mnie może, a z pewnością wraz zemną!

Spotkałem kolegę z banku Briard i poprosiłem go do teatru, nie miałem nikogo, komuby zwierzyć się było można. Przyjaciel mych rodziców, ten, co mi wyrobił miejsce, był to człowiek wiekowy już, nie zrozumiałby mnie. Towarzysz z ulicy Victoire, pan Vernier, młody, bardzo inteligentny, od pierwszej chwili mego wstępu do biura okazywał mi żywą sympatyę.

Po przedstawieniu, poszliśmy na kolacyę do angielskiej kawiarni i tam przy szklance Alicante, zwierzyłem mu się o tyle, aby nienarazić nikogo, a otrzymać jakieś wskazówki.

Gdy późno w nocy, już około drugiej, wracałem do domu, plan dalszego mego postępowania był ułożony:

Edmei z pomocą przyjść trzeba było koniecznie.

5.

Niepewny, czy panna Faloni znała moje pismo czy nie, zmieniwszy rękę, posłałem jej bilet następującej treści, miejską pocztą:

„Mademoiselle!

„Vous êtes priée de vouloir bien venir aujourd'hui vous entendre avec nous, au su-

jet de l'annonce d'hier, inserrée dans le Petit Journal.

„Nous vous attendons vers les cinq heures du soir.

Harriot".

Był to podstęp mały, nie przeczę; nic innego jednak nie pozostawało mi do wyboru.

Na ulicy nie chciałem zaczepiać Edmei, ani też odwiedzać ją w domu.

Miałem starą odźwierną, poczciwości kobietę, poleciłem jej tedy, zapytującej o państwo Harriot damie, wskazać moje mieszkanie.

Mimo, że w każdym domu w Paryżu jest loża dozorcy, złodzieje i tak umieją się zakradać na schody i do mieszkań. Aby nie zostawiać mojego na opiece Bożej, mając przy przedpokoiku mały alkierzyk, umieściłem w nim młodego, piętnastoletniego synka odźwiernej; za odzież i kilka franków miesięcznie, posługiwał mi bardzo dobrze.

Około piątej usłyszałem dzwonek i zaraz potem głos mego małego grooma, zapraszającego Edmeę do saloniku.

Ah, nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie mój widok wywarł na biednej dziewczynie.

Wszedłszy do pokoju, usiadła na krześle; na szelest unoszonej zasłony, widocznie po-

wstać chciała, lecz daremnie, nogi jej odmówiły posłuszeństwa. Blada jak płótno, pozostała bez ruchu.

Przystąpiłem bliżej, ująłem jej rączkę.

— Czy mi przebaczysz, Edmeo? — rzekłem łagodnie. — Czy mi przebaczysz ten podstęp niewinny? Nie chciałem cię narażać, odwiedzając tam, gdzie mieszkasz, ani zbliżyć się na ulicy...

— A tu?... w pańskiem mieszkaniu?... — szepnęła podnosząc na mnie swe śliczne oczy, teraz łez pełne

— Tu, nikt cię nie zna...

Spojrzałem na nią, miała przy czarnym kapeluszu gęstą zasłonę.

— Weszłaś zasłonięta... daruj, tak lepiej się stało, gdyż chciałem pomówić z tobą koniecznie.

Mięszała się coraz bardziej, drżała trzęsła się prawie.

— Edmeo, wiem, że masz dla mnie dużo, dużo życzliwości. Czy prawda?

Milczała.

— Czy prawda? odpowiedz.

— Ah, dla czego mię pan tak dręczysz? dla czego?

— Wiem jeszcze, żeś przezemnie dużo tam wycierpiała... chcesz że przyjąć przyjaźń moją, ale tak, szczerze, otwarcie...

Zawahała się chwilę; potem, nagle podała mi rękę i zaczęła płakać.

— Musisz jednak zgodzić się na wszystko o co prosić będę... Oh, nie lękaj się — dodałem — nic nie żądam takiego coby... nam ujmę przynieść mogło — (położyłem nacisk na te wyrazy) — ale trzeba usłuchać mej rady.

Słuchając, już śmielej trochę podniosła główkę.

— A cóż uczynić należy?

— Być najpierw tak dobrą ze mną, jak dawniej, tam w S t Gallenie — odparłem — a zacząć od zdjęcia kapelusika i okrycia... — dodałem z uśmiechem.

— Ja będę musiała pójść zaraz! — szepnęła.

Zawołałem małego Ludwika i poleciłem mu przynieść obiad na dwoje, z blizkiego cafe-restaurant na placu Odeońskim.

— Mój Boże, co pan robi? co powiedzą ludzie?...

— Jacy ludzie? — spytałem żartobliwie.

Pomyślała chwilkę; potem zdjęła kapelusik, okrycie i nieznacznie (o córki Ewy!) poprawiając włosy i rzucając okiem w zwierciadło, rzekła:

— Widzisz pan, że jestem... posłuszną i...

— Zalotną trochę, prawda? — podchwyciłem.

Zaczerwieniła się, spuściła oczęta pomięszana.

— Dla czego mi pan tak... dokucza? — rzekła cicho, nie patrząc na mnie.

. . . . . .

Po obiedzie byliśmy już jak w S t Gallenie, oboje weseli, uśmiechnięci.

Zmrok zapadał przez duże, balkonowe okna saloniku, wychodzące na ogród właściciela domu, wpływało orzeźwiające powietrze gasnącego czerwcowego dnia, pełne woni rozwiniętych róż, jaśminów i rezedy.

Usiadłem przy Edmei.

— Posłuchaj mię! — rzekłem do zapatrzonej w ciemno-szafirowe niebo i zieleń drzew ogrodu. — Całą prawdę co do przejść w S-t Gallenie powierz mi, gdy zechcesz, Edmeo...

— Nigdy! — szepnęła nagle.

— Dobrze, nigdy tedy! Nim jednak to nigdy nastąpi — ciągnąłem łagodnie — żyć trzeba, prawda? Mam dla ciebie wiele życzliwości, niczem więcej, niestety, prócz dobrymi przyjaciółmi być nie możemy, przyjaźń jednak często trwalszą jest od innych uczuć w człowieku. W imię tedy wspólnego nam tego uczucia, zapytuję cię Edmeo, co myślisz robić tu z sobą?

— Będę dawała lekcye...

— Czy myślisz, że je otrzymasz? Nie łudź się; w Paryżu masz kilkanaście tysięcy nauczycielek, z których niemal trzy czwarte żyją z półtora lub dwóch franków dziennie.

— Obejdę wszystkie zakłady naukowe... — szepnęła.

— Nie, moje dziecko, i to złudzenie Jesteś cudzoziemką, musiałabyś najpierw złożyć tu egzamin... otrzymać świadectwo uzdolnienia, a tymczasem...

— Przecież mię Pan Bóg nie opuści! złego nic nie uczyniłam w życiu.

— Powiedz mi, Edmeo, śliczna moja przyjaciółko, otwarcie, ile masz pieniędzy?

Była to drażliwa kwestya, ale uniknąć jej nie mogłem.

Dziewczę zaczerwienione, zasłoniło twarz rączkami.

— Będę pracować! — szepnęła — choćby w jakim magazynie.

— Nie, na to ja nie pozwolę... zrobimy inaczej. Nademną, tylko na trzeciem piętrze, jest ślicznie umeblowane, takie samo ja moje mieszkanie za 600 franków rocznie. Meble te, zupełnie nieużywane, gdyż kupione przez siostrę gospodarza, która nie mieszkając tam jeszcze, musiała Paryż opuścić na lat kilka, będzie można nabyć tanio, za bezcen, może

za półtora lub dwa tysiące. Tym sposobem, będziesz u siebie, Edmeo, i w możności przyjmować uczennice... pracować... dużo zarabiać nawet...

— I pan myślisz, że ja się na to zgodzę?

— Nietylko myślę, ale jestem tego pewny, Edmeo.

— Nie, tej ofiary...

— Edmeo, wiem wszystko, a przynajmniej odgaduję smutną prawdę. Przezemnie a raczej przez za żywe może okazanie, że masz dla mnie tyle życzliwości, naraziłaś sobie ciotkę, zrobiłaś wroga z mej żony. I ty myślisz, że ja pozwolę na to, aby kobieta, która dla mnie cierpi, znosiła jeszcze i niedostatek?

— Panie Adamie! — szepnęła składając rączki. — Miej litość nademną!

— Przedstawię cię gospodarzowi jako moją siostrę cioteczną, sierotę przybyłą tu na moje wezwanie, dla kształcenia się dalszego w zawodzie nauczycielskim, tym sposobem cześć twoja nie będzie narażoną.

Powstałem.

— Już późno, dziewiąta godzina. Czy moja dobra mała siostrzyczka pozwoli się odprowadzić do domu?

Milczała chwilę, z twarzyczką ukrytą w mroku okiennej zasłony, słyszałem tylko oddech przyśpieszony.

— Edmeo, więc przyjmujesz? powiedz! — szepnąłem.

— Przyjmuję... — odpowiedziała.

— Jutro tedy, czekam cię tu o dziewiątej rano, pójdziemy razem do mego gospodarza...

* * *

Po odprowadzeniu panny Faloni na ulicę Sufflot, wróciłem do domu, aby namyślić się jak mam postąpić z Aliną.

W owej jeszcze chwili, gdyby albo przyjechała, albo też napisała sama list pojednawczy, byłbym był zapomniał wszystko, stał się dla niej nanowo dobrym i przywiązanym. Milczała jednak upornie.

— Jeżeli do dziesięciu dni listu nie będzie, mając znajomego prefekta kantonu (Landsmana), wezwę żonę urzędownie, aby zamieszkała zemną... — szepnąłem udając się na spoczynek.

Ale obraz pięknej Edmei błądził mi przed oczyma mimo ciemności, słodki głos dziewicy i te błyszczące oczy czarne przemieniały mi w żyłach krew w lawę wulkanu.

Wiedziałem przecie, że mię kochała!

. . . . . .

Miałem sen niespokojny, pełen widziadeł dziwacznych. Śniło mi się, że panna Faloni

opuściła Paryż, że nie miałem jej widzieć już w życiu...

Zbudzony około czwartej rano, przez jakąś awanturę na ulicy, zasnąć już nie mogłem. I nagle, ogarnął mię dziwny niepokój, zdawało mi się, że istotnie Edmea zechce opuścić Paryż...

— Dzieciństwo! — myślałem znów — wszakże o dziewiątej...

Mimo to, porwałem się z łoża i ubierając, rozbudziłem Ludwika.

— Biegnij po dorożkę! — rzekłem chłopcu — natychmiast!

Jakkolwiek przestrzeń między mojem mieszkaniem a Panteonem była nieznaczna, wolałem mieć pod ręką powóz.

Piąta godzina była na Luksemburgu, gdy skręcałem koło żelaznej kraty parku, w poprzek bulwaru Św. Michała, na ulicę Soufflot.

Z daleka już dojrzałem, że przed nr. 18-ym stała remiza i drzwi sieni były otwarte. Zatrzymać się tedy poleciłem mojemu woźnicy i czekałem.

Przeczucie mię nie omyliło, niebawem wyniesiono duży kufer, a za nim, ukazała się w progu panna Faloni. Rozmawiając z odźwiernym, wręczyła mu coś białego, co mi się wydało listem.

Woźnica ruszył w kierunku Panteonu, a więc na dworzec Orleański.

Zaledwie zniknął wolnym truchtem za wspaniałą świątynią, dziś sekularyzowaną i poświęconą pamięci wielkich mężów Francyi, poleciłem mojemu zajechać przed dom.

Odźwierny, stojący jeszcze w sieni, poznał mię odrazu.

Wyjąłem swoją kartę wizytową i podałem mu ją.

— Gdzie panna Faloni odjechała? Czy masz co na to nazwisko, to jest dla mnie? — i wsunąłem mu dziesięć franków w nadstawianą już po datek czapkę.

Spojrzał na bilet i wyjmując list z kieszeni, wręczył mi go.

— Gdzie pojechała?

— Na dworzec Orleański.

Wsiadłem do mego powozu.

— *Vingt francs pour toi, mon brave!* — zawołałem porywczo — *si tu dévances la voiture qui vient de quitter cette maison. A la gare d'Orléans et lestement!*

Szczęściem, że woźnica miał wyjątkowo wybornego konia i ulice, o tej rannej porze, były jeszcze puste prawie.

Popędził galopem i aby skrócić drogi, udał się wzdłuż wybrzeża.

. . . . . .

Na dworcu, nie wiele było jeszcze osób, kasa zamknięta.

Ukrywszy się między kolumnami przedsionka, dla zaczekania na przybycie dziewczęcia, rozerwałem okrywkę listu, i oto co wyczytałem:

„Adamie!

„Pierwszy to i ostatni raz, używam do ciebie tego drogiego dla mnie miana.

„Piszę otwarcie, gdyż się już nie zobaczymy w życiu!

„Odjeżdżam, odjeżdżam mimo danego ci przyrzeczenia, gdyż cię kocham, Adamie. Przy tobie, przyjąwszy twą ofiarę, cóżby mi pozostało? rzucić ci się w objęcia i być potem, po chwilach szału i przesytu, odtrąconą może, albo... umrzeć. Czyż mogłabym żyć niemal przy tobie, widzieć cię co dzień, słyszeć i nie oszaleć zupełnie?

„Spytasz może, jak mogło powstać to dziwne moje do ciebie przywiązanie? Jak?... albo ja wiem, Adamie? Tyle tylko powiedzieć mogę, że poczęści, może w tem i ciotki mojej wina. Gdy przybyłam, opowiedziała mi, że mieszka u niej Polak, człowiek wykształcony, miły, uprzejmy i że go pani Rowińska przynęca do siebie, prawdopodobnie, aby zań wydać córkę,

dziewczynę ładną, ale chorą, skazaną na śmierć prawie.

— Tyś taka śliczna, moja Edmeo! — zakończyła. — Zaproszę go tu kiedy. Byłaby to świetna dla ciebie partya!

„Tymczasem w tydzień potem, gdy zaledwie widziałam cię dwa lub trzy razy, z za uchylonych drzwi, ot, ze zwykłej kobiecej ciekawości, przyszedłeś prosić nas obie na twój ślub... z Aliną.

„Nie wiem czemu, ścisnęło mi się serce, ogarnął je żal głęboki. A przecie cię nie znałam prawie. To dziwne, prawda?

„Poznałam twoją żonę, polubiłam ją szczerze, płaciła mi równą życzliwością. Przebywałam jednak tak z Tobą.. Wiem, należało zerwać, należało opuścić St-Gallen, nie poddawać się... szałowi, ale zabrakło mi odwagi!

A gdybyś ty wiedział co wycierpiałam, widząc ją w twych objęciach. Wiedziałam, że kochasz żonę... cieszyłam się jednak jak dziecko widząc twe oczy pełne życzliwości, skierowane czasem na mnie, uśmiech twój... uścisk ręki czując. Niczego się nie spodziewałam, nie mogłam, nie powinnam była spodziewać, a jednak... za całe skarby świata, nie byłabym oddała tych chwil, spędzonych pod twoim dachem w Szwajcaryi.

„Rozsypanie listków owej biednej kamelii, zdradziło moją tajemnicę .. ty nie oburzyłeś się... byłam szczęśliwa już tą myślą, iż odgadujesz moje przywiązanie a nie odtrącasz mię od siebie.

„Nagle, pewnego ranka, przyszła mi myśl dziwna: w albumie w salonie, były trzy czy cztery twoje fotografie, postanowiłam wziąć jedne z nich; wszakże prosić o nią było niemożliwe, bo Alina od dnia owej sceny z medalionem. choć była zemną jak dawniej, przeczuwałam jednak, że mię o miłość dla ciebie podejrzywa. Czasem oczy jej zwrócone na mnie, miewały groźne błyski; czasem patrzyła na nas oboje tak dziwnie jakoś...

„W chwili, gdy wysunąwszy portret twój z kartonu, chowałam go za gors, uczułam się pochwyconą za rękę.

— Podła! — krzyknęła stojąca za mną Alina — wydzierasz mi serce męża!

„I siłą wyrwała mi ją z rąk.

„Nie wiedząc co czynię, odepchnęłam ją gwałtownie i pobiegłam do cioci, na górę.

„Za chwilę, pani Rowińska wezwała moją krewnę do siebie.

„Cóż ci powiem więcej?

„Ciotka oburzona moim postępkiem i prawdopodobnie ubarwionem opowiadaniem obu kobiet, wymówiła mi natychmiast dom swój.

— Za godzinę odchodzi pociąg do Genewy — rzekła chłodno — oto masz 1.000 franków, jedź i bałamuć innym mężów — znać cię więcej nie chcę!

„W Genewie, miejsca w pensyonatach były zajęte, straciłam tam miesiąc czasu daremnie. Domyślając się, że będziesz w Paryżu, udałam się tam, marząc, że choć zdaleka, zobaczę cię od czasu do czasu — byłoby mi lżej znosić nędzę głód nawet.

„Gdy wezwałeś mię na Vaugirard, miałam już adres banku, w którym pracujesz...

„Całą noc dzisiejszą, rozmyślałam jak postąpić. Mimowoli, ale zatrułam życie twej żonie; bo i ty, widziałam, przeczuwałam sama, przy ciągłem przebywaniu razem, byłbyś może żywsze powziął dla mnie uczucie.

„Czyż nie lepiej, że się rozłączymy na zawsze? Sercu nakazać trudno, aby nie kochało, ale w takich warunkach, walczyć z porywami ciała, nakazują honor i sumienie. Tobie z łatwością przyjdzie zapomnieć mię, ale ja?... Ah, słuchaj, jakże szczęśliwe są kobiety, co mogą zgłuszyć sumienie i zapomnieć, że są święte obowiązki, w obec których cierpieć tylko można. Ileż ja razy, tam jeszcze w S-t Gallenie, miałam chęć wyznać ci wszystko... wczoraj nawet, choć ani jednem słowem nie

dotknąłeś przeszłości, myśl, że może zerwiesz z żoną, przepełniała mi radością serce!...

„Kończę, dziękując ci, Adamie, żeś był szlachetnym aż do końca, gdy na jedno twoje słowo, na jeden uścisk... ja byłabym oszalała chyba i zapomniała o świecie całym przy tobie.

„Czuję, że i ty, choć trochę cierpieć będziesz, ale... zaklinam, pogódź się z Aliną. Teraz dopiero gdy mi samej serce pęka z boleści, pojmuję położenie tamtej. Chorą jest, więc nieznośną, kapryśną, uporną, ale... ona cię także kocha...

„Kończę, choć mi się zdaje, że nagle, a jak? nie wiem sama, zjawisz się tu, przeszkodzisz mi oddalić się...

„Świeca gaśnie... odjeżdżam o świcie, gotowa złorzeczyć chwili, w której do walki z tem uczuciem zabrakło mi odwagi, bo czuję, że mię ono dziś czy jutro, zabije z pewnością.

Edmea Faloni“.

List ten złożyłem napowrót w okrywkę i wsunąłem do kieszeni.

Po upływie kilku minut, dostrzegłem Edmeę wchodzącą do sali.

Owinięta dużym szalem, z gęstą zasłoną na twarzy, szła drżąca, niepewna, wahająca się, ku oddziałowi kasy dla podróżnych.

Przystąpiłem żywo i ujmując jej rączkę:

— Edmeo! więc chcesz oddalić się odemnie koniecznie? — rzekłem. — Ja na to nie pozwolę.

Musiałem kibić jej otoczyć ramieniem, aby biedne dziewczę nie padło na posadzkę.

— Miałem przeczucie, sen niemiły, na los szczęścia udałem się na ten dworzec.

Oprzytomniała.

— Puść mię... pan, puść, proszę! jechać muszę. Ale powiedz! — szepnęła zbierając siły — czy byłeś w domu, gdzie mieszkam?

O list biednej chodziło.

— Nie, wprost udałem się tutaj.

Odetchnęła swobodniej.

— Jechać muszę! — powtarzała.

— Nie.

— Muszę! puść mię! czas nagli...

Nie słuchając próźb Edmei, uprowadziłem ją ku mojemu powozowi.

Domyślny woźnica już zeskoczył z kozła i stał przy otwartych drzwiczkach. Na wierzchu karetki umocowany był kufer panny Faloni. Poczciwiec porozumiał się z woźnicą dziewicy, podczas gdy ja rozmawiałem z nią przy kratce kasy.

Edmea wsiadła milcząca, usiłując stłumić łzy chusteczką przykładaną do oczu.

— Słuchaj! — szepnęła nagle — mam prożbę. Każ mu jechać przez moją ulicę, u odźwiernego zapomniałam mojej parasolki...

Domyśliłem się, że to o list chodziło, aby nie dostał się w moje ręce.

— Nie, nie teraz! toby dziwnie wyglądało trochę. Po wynajęciu mieszkania, podczas gdy udam się do biura, będziesz mogła pójść i odebrać...

I powóz ruszył w kierunku Luksemburga.

6.

Mój mały pan Ludwik, otwierając mi, zrobił wielkie oczy, gdy spostrzegł tę samą co dnia poprzedniego damę.

— Idź, i poproś tu matkę! — rzekłem. Panna Edmea, moja siostrzenica, która tu mieszkać będzie, chce zaraz obaczyć apartament na trzeciem piętrze. Pierwej jednak przynieś kawę.

I znów, jak wczoraj, w tym samym saloniku, usiadłem przy pięknej nauczycielce.

— Masz że jeszcze żal do mnie, że cię zatrzymuję w Paryżu? — spytałem, patrząc w rozkoszne jej oczy, choć usiłowała uniknąć moich.

— Nie! — odparła z westchnieniem — ale cierpię okropnie. Co świat powie, że przyj-

muję od ciebie... utrzymanie. Czy myślisz, że ludzie uwierzą w nasze pokrewieństwo?...

Chciałem odpowiedzieć, lecz weszła odźwierna.

W godzinę, wszystko już było załatwione. Gospodarz, uszczęśliwiony, że i mebli się pozbędzie niepotrzebnych i wynajmie mieszkanie, opuścił mi razem na wszystkiem jeszcze dwieście franków. Edmea podpisała kontrakt i wręczono jej klucze.

Apartament był istotnie z wielkim smakiem przyozdobiony.

W salonie meble białe ze ślicznym haftem, odpowiednie obicia i zasłony, w sypialni jasno-niebieskie, w srebrne kwiaty. Pościel zupełna, pokrowce i t. p. z przedniej weby, na sześć zmian, kołdry z Orleanu, edredon (pierzynka na nogi) pokryty jedwabną materyą.

Edmea na chwilę zapomniała o wszystkiem. Klaszcząc w rączki, i ciesząc się jak dziecko, biegała z pokoju do pokoju, od drzwi do okien i napowrót, zachwycona każdym drobiazgiem, każdym szczegółem umeblowania.

Około dziesiątej pożegnałem ją i przed biurem, pobiegłem do odźwiernego, przy ulicy Soufflot.

— Jeżeli tu przyjdzie panna Faloni — rzekłem popierając te słowa luidorem — i zapyta o list swój...

— To powiem, że oddałem. Więc ona nie pojechała?

— Nie; powiesz, żeś go upuścił nieostrożnie, odmykając klapę kanału i że tam wpadł; czyli, że ja go nie otrzymałem.

— A!...

— Tak powiesz i w ogóle, że tu nikt nie pytał o nią.

Zrozumiał nareszcie.

* * *

Nazajutrz, wystosowałem list do S-t Galleńskiego zwierzchnika, prosząc go o wezwanie do siebie mej żony i nakazanie jej przyjazdu do Paryża. W liście tym, noszącym cechę urzędowego zażalenia, oświadczałem, że nie chcąc żyć z majątku mej towarzyszki życia, objąłem posadę, wystarczającą dla nas obojga na utrzymanie.

To uczyniwszy, zająłem się sprawą panny Faloni.

Napisaną przez nią prożbę do wydziału ministerstwa oświecenia sam wręczyłem w dzienniku i poparłem w radzie egzaminacyjnej tak skutecznie, że po tygodniu już wezwano dziewczę do egzaminu. Zdała go świetnie z odznaczeniem. Opłaciliśmy taksę i otrzymała prawo nauczania w wyższych zakładach rządowych i prywatnych.

Pan Briard lubił mię bardzo; wydając wieczorek z powodu urodzin żony, zaprosił kilku urzędników banku a między nimi i mnie także. Skorzystałem ze sposobności, aby mówić z nim o mojej kuzynce, zdolnej bardzo, potrzebującej lekcyi.

— A czy udziela je i po za domem?

— Nie wiem — odparłem umyślnie — sądzę jednak, że się zgodzi.

— To dobrze, panie D... pomówię z żoną. Jak wiesz, mam dwie córeczki, a moja pani mnóstwo znajomych... wystaramy się o korzystne godziny dla twej krewnej.

Po godzinach biurowych, cały czas spędzałem w towarzystwie panny Faloni, a trudno wyobrazić sobie takt, z jakim ze mną postępowała. Nigdy jednem nawet słowem nie dała mi poznać swego przywiązania, ani tego, że cierpi, będąc w obec mnie na takiem dziwnem stanowisku.

Biedne dziewczę potrzebowało wielu rzeczy; musiała je przyjmować odemnie, miała jednak ten zmysł właściwy kobietom z sercem i wykształceniem, że nie wspominała nic o wdzięczności.

Obiady do mnie przynosił Ludwik, potem wychodziliśmy na przechadzkę, najczęściej do

parku Luksemburgskiego — od czasu do czasu do teatru lub na dramat.

Do domu nie pisałem już wcale, a z Edmeą nigdy też o przeszłości nie rozmawialiśmy. Ona była pewna, że choć wiem, iż mię kocha, ale nie mając listu w ręku (był zgubiony, wedle jej mniemania), nie przepuszczałem nawet, jak silnem było to przywiązanie.

W połowie sierpnia były urodziny Edmei, postanowiłem tedy zrobić jej niespodziankę, nie licząc wcale, że mię także coś oczekiwało z St. Gallenu.

Nabyłem u firmy Erard prześliczne pianino koncertowe i poleciłem, podczas gdy dziewczę poszło do kościoła, wstawić je do saloniku panny Faloni. Zaledwie ukończono przenosiny, zawołał mię Ludwik, dla podpisania kwitu i przyjęcia poleconego listu, który przyniesiono z poczty.

Na okrywce było pięć urzędowych pieczątek.

Drżącą ręką rozerwałem je i znalazłem papier z zarządu kantonalnego, komunikujący mi, że wezwana przed Landsmana pani Alina z Rowińskich Drzeska zeznała, nie podając powodu, iż miasta nie opuści, chyba, że mąż za pomocą władz, użyje przysługującego mu prawa dostawienia jej do Paryża pod eskortą;

ale wtedy i ona zastrzega sobie możność podania o separacyę.

Co podając mi do wiadomości, władza kantonalna oświadczała się gotową do poczynienia, na moje wezwanie, dalszych kroków w tej sprawie.

Obrączkę i portret miniaturowy żony w medalionie, nosiłem dotąd; teraz zdjąłem je z palca i od zegarkowego łańcuszka i pogrzebałem w głębi jednej z szufladek mego biurka.

Nie miałem już żony przecie.

Co się stało z tą kobietą, myślałem. W co obróciły się: jej przywiązanie, przysięgi?...

Wszakże nieraz ludzi napiętnowanych zbrodnią ratuje z ostatecznego upadku niewieście przywiązanie; gdy szczere, nie ma ono granic, nie ma żadnej zapory.

Znałem kobiety, nie żony, które pod wpływem takiego przywiązania, rzucały dom, rodzinę, rwały wszystkie węzły społeczne, stając się istotnie ofiarami własnych uczuć... A ona... była przecie żoną. Czyż są przewinienia, którychby czas nie zatarł, nie przebaczyła miłość?

Postanowiłem i ja potargać te węzły, stworzyć nieprzebytą zaporę między mną a Aliną.

Edmea nie wracała, musiałem pójść do biura.

Zaledwie przybyłem, otrzymałem polecenie udania się do jednego z zamków okolicznych, pod S-t Germain en Laye, gdzie należało wręczyć właścicielowi kwotę pół miliona w gotówce i otrzymać pokwitowanie.

— Ale ja muszę być dziś wieczorem w Paryżu! muszę koniecznie! — rzekłem, gdy mi pan Briard dawał czek na wspomniane pieniądze do kasy.

Spojrzał na zegarek.

— Za pół godziny odchodzi pociąg, możesz pan być na piątą z powrotem.

Po drodze na dworzec zdążyłem jeszcze wysłać list do Edmei, zawiadamiający ją o przyczynie mej niebytności.

O wpół do szóstej wieczorem, wchodziłem do mego saloniku, w którym przy zastawionym stole, czekała już panna Faloni.

— Chcesz koniecznie, panie Adamie, popsuć mnie zupełnie! — szepnęła wyciągając do mnie rączki. — Jakie ślic ne pianino... ale ty się rujnujesz dla mnie... Nie marzyłam nawet o takiej niespodziance.

Uśmiechnąłem się.

— Ani ja o tej, jaką mi zrobiła Alina...

Pierwszy to raz wymówiłem przy niej imię żony.

— Alina?... czy może jest w Paryżu? — zawołała blednąc.

Podałem jej raport urzędowy, śledząc wyraz twarzy dziewczęcia podczas czytania; prócz jednak rumieńca na licu, niczem nie zdradziła co się w niej działo.

— I... i cóż począć zamierzasz? — szepnęła nie patrząc na mnie.

Wskazałem jej moją rękę bez obrączki.

— Więc...

— Nie mam już żony.

. . . . . .

Po obiedzie, oboje jakoś niespokojni, pomięszani, udaliśmy się na przechadzkę, rozmawiając o rzeczach zwykłych, obojętnych. Czułem tylko, że rączka dziewicy drżała pod mojem ramieniem, upornie unikała mych spojrzeń.

Około dziesiątej, wróciliśmy do domu.

— Nie jeszcze tak późno, Edmeo, czy zechcesz mi co zagrać dziś jeszcze?...

Zawahała się, trzęsła się jak listek, wspierając silnie na poręczy schodów.

W mieszkanku, pełnem balsamicznej woni kwiatów i krzewów, panowało półświatło pięknej, sierpniowej nocy, wpadając przez otwarte okno.

— Zapal lampę! — szepnęła wchodząc, zmienionym trochę głosem.

— I tak widno, Edmeo; lubię śród takiego mroku, słuchać muzyki. Patrz, widać wybornie klawisze i wszystkie dokoła przedmioty!

Nie odpowiadając, usiadła i zaczęła grać któryś z walców Chopin'a, potem rozkoszną kołysankę...

Fala uroczych tonów, pod wprawnemi paluszkami dziewczyny, spływała dokoła brylantową kaskadą. Nareszcie skonały ostatnie dźwięki czarownej pieśni...

— Edmeo — rzekłem nie powstając z sofy — Edmeo! pójdź tu, proszę — mam dla ciebie podarek...

— Dla mnie? — powtórzyła jak echo. — Dla mnie?...

— Tak, Edmeo.

Powstała od fortepianu i podeszła zwolna.

— Usiądź tu, przy mnie!

Powolna jak dziecię, uczyniła zadość memu życzeniu; ukryła twarz w rączkach i pochyliła główkę.

Kilka dni przedtem, nabyłem u Fontany, piękny pierścień z szafirem, otoczonym brylantami. Wziąwszy rączkę panny Faloni, wsunąłem go jej na palec.

Zadrżała, gdyż nie puszczałem jej dłoni.

— Adamie! — szepnęła.

Wydobyłem z bocznej kieszeni żakietu list, który mi w chwili zamierzonego odjazdu napisała i wręczając go:

— Myśl, że może zerwę z żoną, przepełniała ci radością serce! — rzekłem jej... — tak pisałaś w tym liście. Edmeo, ja zerwałem i kocham cię... kocham szczerze...

Ze wzrokiem spuszczonym ku ziemi, siedziała tak, jak spłoszona gołąbka, nie śmiąc poruszyć się nawet.

— Edmeo! — powtórzyłem — od czasu jak żyjemy razem, nauczyłem się nietylko kochać cię, ale i cenić twe poczciwe serce. Ten list dowodzi, że umiesz i panować nad sobą i wytrwać na drodze obowiązku. Ale teraz, dla czego dręczyć się mamy oboje? Czy sądzisz, że za wszystkie nawet skarby świata, chciałbym łączyć się kiedybądź z Aliną? Odpowiedź jej w biurze Landsmana, wykopała niczem niezapełnioną przepaść między nami...

Mogłem był mówić tak długo jeszcze, nie usłyszałaby mię, bo straciła przytomność zupełnie.

Przyciągnąłem ją ku sobie, otoczyłem kibić ramieniem. Główka dziewczyny spoczęła mi na piersiach i upłynęło tak chwil kilka.

— Edmeo — rzekłem, widząc, że wraca do zmysłów — raz jeszcze powtarzam: dla czego oboje dręczyć się mamy daremnie?

— A potem?... — szepnęła.

— Potem?

— Rzucisz mię... gdy tamta...

— Dokończ!

— Ona przecie jest twoją żoną... ma do ciebie prawo!...

— Straciła je swem postępowaniem.

Okrywałem pocałunkami cudne włosy, załzawione oczy dziewczyny; nie broniła się wcale...

7.

Jeżeli przy mojem gwałtownem usposobieniu, sporej ilości uporu i niezależnym charakterze, kto mógłby, mimo to, wywierać na mnie wpływ jaki, opanować nawet zupełnie, to z pewnością Edmea. Jeden uścisk tej dziewczyny wystarczał, aby wola jej, najdziwaczniejsza może zachcianka, stały się dla mnie prawem.

Posiadała dwie potęgi, przy pomocy których wszystko zrobić może kobieta, umiała obłąkać zmysły i oczarować umysł zupełnie.

Lubiłem ją bardzo, zdawało mi się, że kocham nawet, gdy po utrzymaniu zawiadomienia Landsmana z S-t Gallenu, postanowiłem, bądź co bądź posiąść pannę Faloni; nie spodziewałem się w jej objęciach ani większego

czaru, ani silniejszych wrażeń, niż w pożyciu mojem z Aliną.

Tymczasem stało się inaczej!

Może to urok zakazanego owocu, może myśl, że Edmea wszystko mi ochotnie poświęciła, nie wiem; to tylko pewne, że gdy po uniesieniach i objawach miłości żony, tęskniłem za chwilami spokoju, ostatni pocałunek Edmei, spojrzenie jej wilgotnych, tchnących rozkoszą oczu, burzyły mi nanowo krew w żyłach, nęciły myśl o nowych upojeniach w ramionach czarno włosej czarodziejki.

Alina umiała tylko powtarzać mi do znudzenia wyraz: kocham, ta kochać umiała istotnie i więcej nawet, nie nadużywać swej władzy.

Po za chwilami oszaleń zmysłów, nie starała się ani jednem słowem, ani jednem spojrzeniem dać mi uczuć, że teraz posiada prawo pewnej, choćby względnej nademną władzy, pozostała taką, jak przedtem: skromną, cichą, starającą się na każdym kroku umilić mi życie, zatrzeć w sercu i pamięci ślad przeszłości.

Dzięki staraniom państwa Briard, otrzymała mnóstwo lekcyi korzystnych, przeważnie w domach handlowych z ulic Laffitte i de la Victoire; miała ich cztery dziennie, po pięć franków każda. Nie starałem się przeszkadzać

temu, wszakże praca uszlachetnia, podnosi we własnych oczach, lepszą czyni człowieka. Kochała mię, oddała się bez żadnej rachuby na jutro, zmusić ją do życia z mych funduszów byłoby to, poniżyć ją do roli płatnej kochanki.

Była mi wdzięczną za to, że zgodziłem się na wydatki wspólne, że nie łączyłem porywów serca z wymaganiami codziennego życia.

W Paryżu mało komu byłem znany, a stosunki moje osobiste z S-t Gallenu zachowywałem w najściślejszej tajemnicy; nic mię więc nie zmuszało do ukrywania mej pięknej... siostrzenicy.

Postanowiłem wprowadzić ją w świat, trochę miłości własnej (któż od niej wolny) pochlebiało niezmiernie, mieć u ramienia kobietę, na którą cała stolica zwróci uwagę.

Nadarzyła się sposobność, galowe przedstawienie w wielkiej operze.

Zamówiłem lożę na przedsceniu, a u słynnego już podówczas Wortha suknię dla Edmei.

W wigilię przedstawienia, po obiedzie, byliśmy w jej saloniku na górze. Ja czytałem gazetę, ona siedząc obok na sofce, ułożyła mi główkę na kolanach i drzemała trochę.

Ozwał się dzwonek i zaraz potem pokojówka przyszła zawiadomić, że przyniesiono duże pudło z pracowni Wortha.

— Cóż to takiego? — spytała mię Edmea.

— Niespodzianka mała — odparłem, i powstałem. — Kazałem zrobić suknię balową... jutro pojedziemy do teatru.

Bywaliśmy nieraz na przedstawieniach, najczęściej jednak w stalach lub na balkonie, odziani zwyczajnie.

— I do tego potrzeba sukni... balowej? — spytała naiwnie.

— Tak, moje dziecko.

I zwracając się do pokojówki:

— Czy to posłaniec przyniósł? — spytałem.

— Nie, proszę pana, dwie panny i powiedziały, że pani przymierzyć musi zaraz, aby na czas poprawić było można.

— Wprowadź je tu — odparłem.

Któż jednak wysłowi moje zdumienie, gdy w jednej ze szwaczek poznałem niejaką Maryę Wedel, z S-t Gallenu. Pracowała w zakładzie, w którym ubierano Alinę. Znała ją i mnie wybornie, a prawdopodobnie musiała u nas widywać i pannę Faloni.

Dziewczyna widząc, że udaję, jakobym jej nie poznał, nie przypomniała się także; co do Edmei, ta zajęta cała myślą zobaczenia wyrobu cesarskiego krawca, wcale na szwaczkę nie zwróciła uwagi. Może nawet nie pamiętała jej rysów.

Suknia była istotnem arcydziełem, z atłasu sinej barwy, przerabianego srebrnemi palmami, z ogromnym trenem, ubrana ciemniejszym trochę aksamitem, upięta bukiecikami konwalii, naśladowanymi z łudzącą prawdą. Skandalicznie, według ówczesnej mody wycięty stanik, odkrywał prawie zupełnie przepyszne łono Edmei, o złotawych trochę barwach, wyzywająco ku górze wzniesione, o idealnych zarysach, które w niektórych tylko posągach starożytnych bogiń spotkać można.

Według rady szwaczek, pyszne czarne sploty Edmei, miały być puszczone zupełnie swobodnie; wpleść tylko w nie należało, poczynając od wierzchołka głowy, girlandę z takichże jak u sukni kwiatków, ze srebrnymi listkami.

Suknia, choć tylko wedle innej, codziennej sukni przystrojona, w ramionach i w kibici przylegała jak rękawiczka.

Podczas, gdy dziewczę w towarzystwie jednej ze szwaczek, wróciło do swej sypialni, aby ją zdjąć z siebie, druga, właśnie ta Marya Webel, pozostała zajęta w saloniku poprawianiem szerokiej szarfy, która miała otaczać uroczą kibić panny Faloni.

— Bądź jutro o dziesiątej rano, na rogu bulwaru i ulicy le Pelletier; pomówić z tobą

muszę koniecznie! — szepnąłem, wciskając jej w rękę bilet stufrankowy.

Pieniądze, w kieszonce stanika szwaczki, zniknęły błyskawicą, skinęła głową, że mię zrozumiała wybornie.

— Strój uroczy!... — szepnęła Edmea, po wyjściu dziewcząt — ale, czy godzi się wyrzucać tysiąc franków...

Uśmiechnąłem się.

— Przecież nie codzień robimy takie wydatki. Chcę, żeby jutro poruszyć Paryż cały...

— Do tego jeszcze jedno... — szepnęła obejmując mię za szyję i ukrywając mi główkę na ramieniu.

— Co takiego? powiedz!

— Nigdy się nie odważę ukazać tak w loży, w obec kilku tysięcy widzów...

— Nie rozumiem cię!...

— Suknia, u ramion i szyi prawie mię nie okrywa!...

Była cała w purpurze, mówiąc to.

— Wszystkie balowe suknie są takie.

— A możebym zarzuciła choć gazę na wierzch...

— Nie, Edmeo...

— Nigdy!

— Jeżeli mię kochasz istotnie, to ulegniesz prożbie mojej.

Chciałem dorzucić jeszcze: mam w macel, powód... ale musiałbym się był wytłótem czyć dziewczynie. Umilkłem tedy, kierując rozmowę na inny przedmiot.

Nazajutrz znalazłem szwaczkę na oznaczonem miejscu.

— Dawno opuściłaś Szwajcaryę? — spytałem.

— Tydzień dopiero; rodzice posłali mię tu na naukę.

— Słuchaj, Maryo — rzekłem bez żadnych wstępów. — Byłem dla ciebie tam dobrym zawsze, prawda?... szkodzić mi nie masz powodu?...

— Więc to prawda, co tam mówię ludzie! --- szepnęła.

— Co mówią, co prawda?...

— Że pan porzucił panią nazawsze. I to jeszcze ..

Miałem tłómaczyć się jej.

— I to jeszcze — powtórzyła — właśnie, gdy pani...

Spojrzałem jej w oczy, miały wyraz smutny, pełen wyrzutu. Sięgnęła do kieszonki i wyjmując wczoraj ofiarowane jej pieniądze:

— Odbierz je pan... przyjąć nie mogę. Nic tam nie napiszę, przysięgam panu! Teraz,

toby ją zabiło... ale pieniędzy przyjąć nie mogę!...

— Ależ co, co takiego? nie rozumiem cię...

— Pan nie wie? naprawdę, nie wie nic?

— Nie, Maryo! daję ci słowo.

— Pani już od czterech miesięcy jest w odmiennym stanie...

— Co mówisz?

— Przed dziesięcioma dniami byłam tam, przynosiłam jej nowy szlafroczek.

Wiadomość ta przyprawiała mię niemal o obłąkanie, istotnie musiała mię przyroda obdarzyć niesłychaną mocą charakteru, że wysłuchałem spokojnie Maryi.

— Ah, jaki pan blady!... — szepnęło dziewczę. — Co panu?

— Nic, to nic! — powtórzyłem. — Mówisz tedy, że jest w takim stanie?

— Tak.

— Nie mylisz że się czasem?

Zarumieniła się biedaczka na to śmieszne trochę, a dla niej żenujące pytanie.

— Nie! — odparła spuszczając oczy.

— Czy zdrowa przynajmniej?

— Zdaje mi się, że nie! — odparła z pewnem wahaniem. — Ma podobno straszliwe ataki nerwowe, lekarz jej nie odstępuje.

— Wysoki, siwy?...

— Tak, znam go dobrze, doktór Laube.

Miałżem wypytywać dalej jeszcze?

— Proszę cię, Maryo! nie odmawiaj tych stu franków, przyjm je. Trudno żebym ci wszystko opowiadał, przewiniłem jednak mniej, niż myślisz...

— Ah, to wiem! Wszystkiemu ona winna, ta pani z czarnymi włosami. Jaka ona śliczna! — dodała, jakby do siebie. — Ja nic nie napiszę, bo toby żonę pańską zabiło, ale ona!...

Pożegnałem dziewczę i udałem się do mego banku, zataczając się jak błędny, z dziwnym zamętem w głowie i w sercu.

8.

Więc miałem być... ojcem! rozkoszny wyraz! ah, jak mi biło serce na myśl samą!

Teraz, dla mnie przynajmniej, wyjaśniła się tajemnica uporu i wybuchów gniewu i zazdrości Aliny. Obliczyłem najskrupulatnie, daty, przypomniałem sobie pewne objawy... takj nie ulegało żadnej wątpliwości, nawet doktor Laube w początkach nie poznał się na tem.

Przed dwoma laty, to jest w 1865 roku, wyszło nakładem E. Dentu, dość głośne dziełko fizyologa A. Debay'a p. t.: „Hygiène et physiologie du mariage“, nabyłem je wychodząc z biura i w jednej z kawiarń przy bulwarze,

zasiadłem w kąciku, dla przerzucenia części traktującej o odmiennym stanie kobiety.

Niestety, im bardziej zagłębiałem się w czytanie, tem widoczniej okazywało się, że przewiniłem więcej, niż myślałem. Na potwierdzenie przytaczanych, najdziwaczniejszych faktów, powoływał się Debay, na pierwszorzędne powagi w dziedzinie położnictwa.

Co począć należało?... jak postąpić teraz, skąd zasięgnąć rady?...

Od czasu pobytu Edmei w Paryżu, w miarę jak wygasało dawne moje do żony przywiązanie, wzrastała miłość dla panny Faloni; dziś obok tego uczucia, spotęgowanego urokiem świeżego posiadania, zakradło się w serce moje inne, dotąd nieznane mi zupełnie... Czułem niewysłowioną sympatyę dla matki mego dziecka, gotów byłem zapomnieć wszystko odrazu.

Chroniczna choroba nerwów w nagłem połączenia z poczuciem macierzyństwa, wywołała bezwątpienia te objawy uporu i kaprysów; dodawszy do tego zazdrość o Edmeę, łatwo było można usprawiedliwić Alinę.

Teraz, samochcąc, rzuciłem między nami zaporę, miłość dobrej, szlachetnej dziewczyny, której bądź co bądź, nadużyłem przywiązania do mnie. Wszystko w innem świetle mi się obecnie przedstawiało. Czyż zapewniając byt

i otaczając tysiącem starań moją przyjaciółkę, nie działałżem podstępnie trochę? Wszak w liście otwarcie mi wyznała wszystko, a ja wiedziałem dobrze, iż walczyć przeciw ukochanemu przychodzi z trudnością.

Porzucić Edmeę i wrócić do Aliny, było istotnem niepodobieństwem; zgubiłbym był do reszty nieszczęśliwą! A znów z drugiej strony, czyż mogłem zrzec się mego dziecięcia?...

Coś jednak postanowić należało. Wybrałem pośrednią drogę... wyczekiwania; było to jak sądziłem, najstosowniejszą rzeczą w owej chwili.

Gdy wróciłem do domu, Edmea przyjęła mię okrzykiem trwogi niemal.

— Co ci jest, Adasiu! tyś blady jak trup, oczy masz zmęczone, jakby po kilku bezsennie spędzonych nocach... tyś chory, prawda?...

Więc wszystko odbiło mi się na twarzy?

— Nie, nic mi nie jest, czuję się tylko istotnie zmęczonym trochę. Przeglądałem rachunki, wyszła mi różnica dziesięciu tysięcy franków, a raport dziś złożyć należało — stąd silne natężenie umysłu...

— Ale pieniądze się znalazły? — zawołała blednąc.

— Naturalnie, błąd był przez jednego z buchalterów popełniony, poprawiłem, błąd tylko książkowy, nic więcej.

— To wiesz — rzekła siadając przy mnie — nie idźmy dzisiaj do teatru, udasz się wcześniej na spoczynek...

— Nic nie szkodzi, pójdziemy...

— Kiedy ja bez żalu zrzeknę się...

Potrzebowałem odurzyć się... zapomnieć.

— Nie Edmeo, ruch, blask, wir życia, orzeźwią mię...

Po obiedzie około ósmej, zajechał powóz przezemnie wynajęty, właściwie ofiarowany mi przez właściciela zakładu ekwipażów, stałego klienta naszego banku.

— Słuchaj! — szepnęła jeszcze Edmea, składając rączki jak do modlitwy, w chwili gdy białe, atłasowe, oszyte gronostajami „sortie de bal“ zarzucałem na jej obnażone łono i ramiona. — Słuchaj, Adasiu! ja spalę się ze wstydu, obnażona tak, w obec ludzi... mam gazową koszulkę, za dwie minuty ją upnę, jeżeli pozwolisz.

Uparłem się że nie, i pojechaliśmy.

Potrzebowałem odurzyć się, upoić tryumfem Edmei a prócz tego, miałem cel jeszcze... Poleciłem tedy stanąć ekwipażowi w Palais Royal, przed Fontanną, wszedłem i kupiłem upatrzony dawno naszyjnik z ametystów, przeplatanych brylantami.

U pana Briard miałem nieograniczone zaufanie i kredyt na moje wydatki, prawie bez granic. Wiedział, że go nie nadużyję.

— Jeżeli kiedy zapotrzebujesz kilku, lub i kilkunastu tysięcy franków, panie Adamie — powiedział mi kilka dni przedtem — nie żenuj się zupełnie.

— Ile kosztuje ten naszyjnik? — spytałem jubilera. — Jestem sekretarzem firmy Briard et C-ie, znanej panu osobiście.

— W takim razie, cieszy mię, że i pan zaszczycasz mój magazyn. Ah! pan już tu nabyłeś pierścień z szafirem? W takim razie, jak to czynią w kołach finansowych, ustępuję panu z ceny... naszyjnik ten oddam za trzy tysiące franków.

Było to za bezcen, gdyż ametysty były wielkości soasońskiego grochu, brylanty duże i prześlicznej wody.

Wróciłem do powozu i sam zapiąłem go Edmei na szyi.

— Nie będziesz już tak obnażoną!... — szepnąłem żartobliwie.

— Psujesz mię! — odparła, ściskając mi rękę. — Kochałabym cię tak samo w perkalikowej sukience, pracując ciężko na życie, bo wiem...

— Co wiesz, najdroższa?

— Że ty nie chciałbyś mię gubić przecie, rzucić kiedy jak zużyty przedmiot, cacko, którem się przesycono.

— Co za myśl dziecinna!... rzucić ciebie?...

W wielkiej operze grano Normę Belliniego. Główne schody przybrano zwrotnikowymi kwiatami, wysłano olbrzymim kobiercem. Na dole, przy marmurowych posągach, stali centgardy cesarskie, także i na górze u podwojów wielkiego foyer.

Napoleon III. z żoną miał przybyć lada chwila i udać się do swej loży wielkimi schodami, przez ten foyer iskrzący tysiącami świateł, pełen teraz dam dworu i wyższych oficerów.

My poszliśmy wprost do loży. Była zastawiona ekranami, panował w niej mrok jeszcze.

Sala była już napełniona prawie, pierwsze miejsca w lożach, zajęte przez najpiękniejsze kobiety Francyi i zagranicy, krzesła przez kwiat inteligencyi, majątku i rodu.

Gdy otwierająca nam kobieta zwiększyła płomienie świecznika, ja sam zostałem oślepiony idealną pięknością panny Faloni. Wydawała mi się inną zupełnie. Na rozkosznem jej łonie iskrzył się naszyjnik, którego brylanty walczyły daremnie pysznym blaskiem

z czarnemi źrenicami Szwajcarki. W matowo czarnych włosach lśniła girlanda z konwalii, podnosząc wrażenie — delikatnie zarysowane, a jak dłutem Fidyasza wyżłobione ramiona i szyja, zdumiewały poprawnością kształtów.

Jak tylko rozsunąłem zupełnie ekrany na balustradzie loży i Edmea usiadła z wachlarzem w ręku, w sali powstał szmer uwielbienia i tysiąc lornet skierowano w naszą stronę.

Czoło, twarz i szyję dziewczyny oblała purpura, oczy opuściły się ku ziemi, wachlarz skierował instynktowo w stronę, skąd szkieł ognie pochłaniały urocze, obnażone teraz skarby. Przez jego sinawe koronki iskrzyły się drogie na kamienie naszyjnika.

— Adasiu! — szepnęła, rzucając mi obłąkane ze wstydu spojrzenie — zaklinam cię na miłość dla mnie, zasuń ekran!

W oczach zabłysły łzy — lecz pozostałem niezwruszony.

I w sali dostrzeżono dla wyuzdanej za cesarstwa rzeszy niepojęte pomieszanie panny Faloni, powstał szmer nowy, w krzesłach znajomi wyrywali sobie literalnie szkła zbliżające.

Słyszeliśmy nawet wyraźnie tu i owdzie wymawiane: „*c'est incroyable... mais c'est une Phrynée comme noblesse et beauté des femmes*“. Albo też: „*elle a des yeux qui incendieraient*

la salle entière“ i znów szmery uwielbienia i zachwytu.

Wejście rodziny cesarskiej przerwało na chwilę tę istotną owacyę na cześć Edmei.

— Uspokój się! — rzekłem jej — i... nie patrz tak na mnie. *Ici, c'est tout bonnement ridicule.*

Zaczęła przyzwyczajać się powoli do tego przepychu, świateł, odurzającej woni bukietów i upajająco ciepłej atmosfery w sali.

Po pierwszym akcie, podałem jej rękę i ze swem „sortie de bal“ na ramionach, poszła zemną na foyer, już przepełnione.

Rozstępowano się przed nią, robiono miejsce, pochłaniano ją oczyma i nie żenowano się wcale robić półgłosem uwag w rodzaju tych naprzykład: czy to jego żona, siostra? Najpiękniejsza to kobieta w Paryżu!... Kto ona?...

Gdy po przedstawieniu wyszliśmy do przysionka, karetę otaczało kilkunastu lokajów, rozmawiających z moimi ludźmi.

Na Vaugirard, podczas gdy odźwierny otwierał bramę i Edmea znikała w przedsieniu, wyjąłem luidora i dałem go lokajowi.

— Dziękuję! — rzekł z tą poufałością, właściwą wynajmowanej służbie ekwipaży — myśmy z woźnicą przeszło trzysta franków już dziś zarobili — dodał uśmiechając się.

— A to jakim sposobem? — spytałem.

— Wiele osób osobiście lub przez służbę, podczas każdego antraktu, usiłowało dowiedzieć się o nazwisku pani, kto ona jest i gdzie mieszka?

— I cóż odpowiedzieliście?

— Żeśmy zajechali pod ten numer po państwo i że więcej nie wiemy.

Podążyłem za Edmą, nierad teraz z mej nieoględności. Ludziom jednak trudno było dać zakaz mówienia.

Gdyśmy weszli do saloniku na trzeciem piętrze, zaspanej pokojówki dobudzić się nie można było; musiałem ją zastąpić przy Edmei.

Ręce mi drżały, a choć i ona była pomięszaną, musiała się uśmiechać co chwila z mej niezręczności. Rozpinając naszyjnik, zepsułem sprężynę zameczka — rozerwałem potem kawałek girlandy, zgniotłem upięcie sukni i złamałem stalkę gorsetu. Rozzuwszy dziecięce stopy dziewczyny, lubiącej wieczorem, chodzić boso po dywanie, skaleczyłem jej nóżkę klamerką podwiązki.

Patrząc na nią, miałem zawrot głowy istotny; nawet wtedy, gdy cała w płomieniach, niemal nieprzytomna, wstrząsana serdecznym płaczem, oddawała mi się raz pierwszy, nie widziałem jej tak piękną, jak w dniu powrotu z opery.

Zapomniałem o świecie całym, o Alinie i nawet o tym skarbie, którym mię obdarzyć miała, a co najdziwniejsze, żałowałem zrobionej próby pokazania Edmei światu, drżałem teraz, żeby mi nie wydarto ukochanej.

Jedliśmy kolacyę z jednego talerza, jak dzieci, sprzeczając się i drażniąc wzajemnie, ona tupała nóżką o podłogę, ja kradłem jej pocałunki z rączek, z szyi, z włosów pełnych czarującej woni...

9.

Rano około dziewiątej, przebierałem się w swej sypialni, na pierwszem piętrze, gdy zadzwoniono i Ludwik przyniósł mi kartę wizytową, oświadczając, że oddawca czeka w saloniku.

Edmea znużona trochę, nie wstała jeszcze, poleciłem zanieść kawę do niej, na górę, miałem tam pójść niebawem.

Grom spadający u nóg moich, mniejszeby zapewne wywarł wrażenie, niż te trzy wyrazy na bilecie przybysza wylitografowane:

„Roustan Laube“ médecin“.

Co powiem temu człowiekowi? Jakim czołem przed nim stanę? Czy będę miał

odwagę spojrzeć mu w oczy, po tem co się stało?

Oto pytania, które mi się na myśl nasunęły, gdy ochłonąłem ze wzruszenia.

Nie mogłem jednak nie wyjść natychmiastowo, gdyż lokaj zapewne powiedział doktorowi. że już nie śpię i nie leżę w łóżku.

Gdy wszedłem, Laube, pełen taktu, wyciągnął dłoń do mnie przyjaźnie.

— Nie spodziewałeś się mnie tu, przyjacielu... — rzekł ze smutkiem i dziwną powagą w głosie. Nie przybyłem czynić ci wyrzutów, ale obudzić w tobie głos sumienia, gdyż wiem, że mimo wszystko, masz dobre serce

Ten wstęp uspokoił mię trochę. W każdym razie nie miałem przecie wroga przed sobą.

On umilkł i, nie puszczając mej ręki, spoglądał mi w twarz badawczo.

— Będziesz miał... córkę — Alina jest w siódmym miesiącu...

— Skąd wiesz doktorze, że... córka?

Uśmiechnął się.

— Starym jestem wyjadaczem, — miałem już trzy podobne pacyentki... te same objawy...

Podsunąłem fotel.

— Siadaj że, konsylarzu.

— Na chwilę, jeśli pozwolisz; ale czas nagli.. podróż tę przedsięwziąłem z własnej

inicyatywy. Sam, w obec siebie, zobowiązałem się dostawić cię do St. Gallenu... biorąc pociąg południowy, na Belfort, Dôle i Bazyleę — rano znajdziesz się w domu.

Mówił znów szybko, urywanie, gorączkując się trochę...

— Mam zobowiązania tu.. służę — odparłem. Z dziś na jutro urlopu nie dostanę, tembardziej, że wieczorem pojadę zapewne do Brukselli...

Machnął ręką niecierpliwie.

— Przy dobrej woli, wszystko zrobić można.

— Tylko nie narażać swego bytu...

— *Vouloir c'est pouvoir!* jak mówią francuzi. Zresztą, Rowińska, przy zeszłomiesięcznem ciągnieniu złotej węgierskiej renty, wygrała przeszło 400.000 fr.

— Tak; ona — ale nie ja.

— Znów ta pycha! Adamie, tu chodzi o życie twego dziecka...

Potrącił czułą strunę w mej piersi. Cóż jednak począć miałem? Zostawić tu Edmeę — jechać tam, pogodzić, właściwie połączyć się z żoną i dzięki jej dużemu majątkowi..

Odgadł widać moje myśli.

— Wiem wszystko! — zawołał. Ta mała rodaczka ma język długi... ale ja jestem wyrozumiały. Cóż u licha, Adamie — kiedy już

tak daleko zaszło, nie widzę innego środka, jak jechać tam natychmiast — no, *allons, jeune homme... au bon mouvement!...*

Milczałem.

— Alinie się to należy... należy się twemu dziecku... Nie rekryminujmy o przeszłości... Wielu jest ludzi mających żony i...

Zawahał się poczciwiec.

— I metresy! prawda? — to chciałeś rzec, doktorze.

Skinął głową twierdząco.

— Trzeba jednak umieć pogodzić to razem, jeżeli już inaczej być nie może... Alina, jak sądzę, pod wpływem macierzyństwa chętnie zgodzi się przenieść z matką do Paryża... Cała poświęcona dziecięciu, mniej ci będzie ciężarem, mniej wglądać w twe czynności. Widzisz, jakie pozytywne wypowiadam poglądy... prawda?

Mimo oględności w wyrażeniach i życzliwości, jakie odgadywałem w tej jego mowie — drażniła mię ta wizyta — mówiąc prawdę: dręczyło trochę i sumienie. Cóż jednak począć miałem na razie?

Zadzwoniłem na służącego, i napisawszy słów kilka do mego zwierzchnika — poleciłem chłopcu wziąć dorożkę i natychmiast przywieźć odpowiedź.

Tymczasem Dr. Laube, pogrążony w zadumie, maczał od czasu do czasu usta w filiżance herbaty, otaczając się kłębami cygarowego dymu.

Odpowiedź, przywieziona niebawem, pochodziła od jednego ze spólników bankiera. On sam wyjechał o świcie do Marsylii — polecając abym ja, w sprawie konwersyi pożyczki tureckiej, udał się wieczornym kuryerem do Londynu.

Żachnął się Laube, czytając tę odpowiedź, zaklął nawet dość dosadnie.

— Zostawiłem Alinę wysoce rozdrażnioną; tak dalece nawet, iż na czas mej nieobecności, musiałem powierzyć biedne dziecko pieczy jednego z mych kolegów. Obawiam się...

— Cóż na to poradzę?

— A kiedy wrócisz?

— To zależy... najpewniej pojutrze, t. j. w niedzielę rano.

Powstał i nakładając rękawiczki:

— Więc dobrze — rzekł spokojnie — poszlę natychmiast depeszę na ręce pani Prünel, aby nie niepokoić pani Rowińskiej i jej córki — że w poniedziałek wieczorem tam będziemy. Tymczasem urządzi się tak, aby módz tu już przyjechać z żoną.

— A gdzie stanąłeś, doktorze?

— Rue Vivienne, w Hôtel des Etrangers... w niedzielę punkt o 11 g. rano czekam cię na dworcu kolei wschodniej...

— Pociąg z Boulogne przybywa o 10-tej dopiero...

— Godzina czasu ci wystarczy; chyba Adamie, powiedz sobie, że inaczej być nie może.

Wyszedł, raz jeszcze kładąc nacisk na swe postanowienie.

10.

Uprzedzać zaraz Edmei o wszystkiem, nie mogłem jeszcze. Była to rzecz do namysłu. Ciężka wina i ciężki wyrzut sumienia spoczywały na mnie, a rekryminacye, żal i nawet najszczersza chęć poprawy niemożliwej sytuacyi, były daremne.

Z jednej strony namiętne przywiązanie do ślicznej genewianki — z drugiej rozbudzone uczucie ojcowskie i pełne uroku wspomnienia Aliny.

W wagonie, jadąc do Boulogne, postanowiłem rozważyć całą tę smutną sprawę, a nareszcie, w razie niemożności wynalezienia punktu wyjścia lub wytworzenia jakiegoś „modus vivendi“ — należało zdać się na los szczęścia.

. . . . . .

Wieczorem, przygotowany zupełnie do podróży, siedziałem w saloniku przerzucając wieczorne dzienniki.

Edmea krzątała się przy stoliczku, na którym szumiał samowar, poustawiała filiżanki, rzucając mi co chwila ukradkiem spojrzenia.

Widocznie miała myśl jakąś w główce, ale wypowiedzieć jej nie śmiała.

— Więc za godzinę jedziesz, Adasiu — rzekła nareszcie, odstawiając herbatnik i nakrywając go serwetką.

Odrzuciłem gazety i spojrzałem na nią.

— Wiesz to przecie już od rana!

— Tak... ale...

— Ale co?...

Podeszła ku mnie, i obejmując mi szyję rączkami:

— Rada bym pojechać z tobą do Anglii...

— Ależ to niemożliwe, Edmeo! — odparłem z łagodną stanowczością.

— Czy o wydatek idzie?

— Wiesz dobrze, iż nie; ja jednak po przyjeździe zaraz pójdę na miasto i nie mógłbym ci poświęcić ani chwilkę czasu. Być w Londynie i nie widzieć nic, prócz ulic i mgły — to byłoby wprost śmieszne...

— Gdybyś jednak chciał...

— Wracam już pojutrze...

Dzwonek w przedpokoju przerwał nam rozmowę.

Usłyszałem jakiś hałas w pierwszym pokoju, następnie drzwi do salonu z trzaskiem otworzono i na progu, w obramieniu zasłon ukazała się... Alina.

Ogniami i krwią nabiegły oczy mej żony, zaciętych ustek i pogardliwego ruchu ręką — nie zapomnę nigdy w życiu.

Edmea, jak piorunem rażona, przytuliła się do mnie.

— *Ah, coquine — infâme coquine!* — krzyknęła Alina — *c'est toi qui me vole l'amour de mon mari!...*

Postąpiłem na przód, machinalnie wyciągając ręce przed siebie, odurzony nagłem zjawiskiem — nie zdając sobie sprawy ze strasznego położenia.

Alina tymczasem, z niepojętą dla mnie szybkością wyciągnęła rewolwer, odwiodła kurek i zanim zdołałem przeszkodzić zbrodniczemu zamysłowi, dała ognia do stojącego o kilka kroków dziewczęcia.

Rzuciłem się ku żonie, usiłując wyrwac jej broń z ręki — zdążyła jednak, widząc upadającą na dywan Edmeę, skierować zabójcze narzędzie ku swej piersi i wystrzelić raz drugi.

Wszystko to odbyło się z taką niesłychaną szybkością, że niestety dramatowi przeszkodzić nie zdołałem.

Gdy zbiegli się ludzie, następnie zaś nadszedł i komisarz policyi, byłem jeszcze cały pod wpływem przeżytej strasznej chwili.

Służący mój, wyrzuciwszy bez ceremonii ciekawych, zatrzasnął drzwi i pobiegł po lekarza — jeden z agentów prefektury stanął w sieni, aby przeszkodzić zbiegowisku na schodach.

Komisarz przystąpił do panny Faloni, broczącej krwią na dywanie, zemdlonej zupełnie — ja podniosłem żonę i złożyłem ją na łożu w mej sypialni.

Niebawem nadeszło dwóch lekarzy i zabrali się do obejrzenia i opatrzenia rannych kobiet.

Edmea miała przestrzelone ramię lewe — żona moja zraniła się ciężko trochę poniżej lewej piersi...

Opatrzoną tymczasowo pannę Faloni przeniesiono na górę — dla mojej żony, której przytomność nie wróciła, posłano po dwóch lekarzy do kliniki... gwałtowne wstrząśnienie, rana i wogóle całe to smutne i straszne zajście, przyspieszyły kryzys, w brew prawom natury.

Komisarz z uprzejmością nie zwykłą oświadczył, że protokół sprawy opisze nazajutrz rano, u siebie, i tam wezwał mię ze służącym moim na 10 rano.

W owej chwili, żadnej z rannych nie zagrażało bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Posłałem do hotelu des Etrangers na ulicę Vivienne, po doktora Laube, z poleceniem wręczenia mu bileciku następującej treści:

Doktorze!

Dzięki tajemnicy, jaką otoczyłeś przyjazd Aliny — wpadła niespodziewanie, przed dwoma godzinami do mego mieszkania. Strzeliła do Edmei, druzgocąc jej lewe ramię i sama raniła się ciężko w piersi.

Adam D...

11.

Około jedenastej, dwie szarytki wezwane przezemnie z Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, doglądały chorych.

Na kilka minut przed północą zostałem... ojcem. Narodzona dziewczynka była zdrowa, ale Alina nie wróciła jeszcze do przytomności. O wydobyciu kuli, która utknęła w górnej części ostatniego żebra, myśleć na razie nie było można; za to rana p. Faloni okazała się mniej ciężką niż mniemano. Kula przebijając

najpierw rzeźbiony wierzch sofy, straciła część swej siły i uwięzła w mięśniach tylko, nie obrażając wcale kości.

Zmęczony i znękany, usiadłem w saloniku, na tej samej sofie, na której nie dawno złożono ranioną Edmeę; z sąsiedniej sypialni, przez zapuszczone zasłony, dochodził mię miarowy szelest wahadła regulatora, i szelest przyspieszonego, ciężkiego oddechu Aliny, wraz z cichym szeptem starej zakonnicy, odmawiającej automatycznie obowiązkowe, jak sądziła, pacierze.

Smutne refleksye przesuwały się mi po głowie. Cóż mi teraz było po życiu? Krótkotrwałe upojenia — trochę zadowolonej miłości własnej i na zakończenie ulotnych chwil wesela... skandal grożący mojej czci i czci kobiety, którą kochałem teraz. Z drugiej strony nędzna, przed kilkoma godzinami urodzona dziecina... krew moja przecie, widomy obraz ciężkich obowiązków w przyszłości i tam, za temi zasłonami, w gruncie rzeczy niewinna ofiara własnego uporu i mojej lekkomyślności... Czułem dla niej wielką sympatyę, wyrodzoną z reszty wspomnień i straszliwego, obecnego jej położenia.

Gdybym był śmiał — porównałbym był to wszystko i wypowiedział wedle myśli wielkiego poety:

„Zamknięty jestem w kole jakiemś tajemniczem!
„Mogłem zostać człowiekiem, a tak — jestem niczem!“

Ale Słowacki mówił to złamany niedolą nie własną, lecz ogólną, wijąc się i ginąc śród warunków, jakie ta niedola wytworzyła — pełen rozpaczy, że nic zdziałać nie mógł na razie.

Ja, w pospolitych, nie zawsze budujących przejściach potocznego życia — najlekkomyślniej w świecie złamałem życie dwóch kobiet. Pod wpływem wprost namiętności, zapomniałem, że kobiety, jeżeli nigdy prawie nie umierają z miłości — za to popełniają pod wpływem tego uczucia — niesłychane szaleństwa.

Należało usunąć się, widząc rodzące się przywiązanie Aliny — opuścić St Gallen zupełnie — a nareszcie, gdy już pojąłem to biedne dziecko na żonę, unikać Edmei.

Teraz, sytuacya była nie do zniesienia, a co gorzej — zupełnie bez wyjścia.

Dumania moje przerwał Dr. Laube, wpadając jak huragan do salonu.

— Przysięgam ci, na przywiązanie, jakie żywię dla twej rodziny — iż nic nie wiedziałem o tem szaleństwie Aliny. Musiała wziąć widocznie pociąg następny po moim...

Był cały w potach, zadyszany...

Rozsunął zasłony, wszedł do sypialni i kazał szarytce opuścić ją na chwilę.

— *Je suis son medecin!* — szepnął do zakonnicy — *je veux rester quelques instants seul avec la malade...*

Po kwadransie wrócił do salonika śmiertelnie blady, z drgającemi nerwowo usty, i gdy doglądająca chorą wróciła na swe stanowisko, rzekł szybko i urywanie:

— Wypowiadam ci straszną prawdę, Adamie, żona twoja nie pożyje do południa... byłby to cud, gdyby ją uratowano, a cudów niema...

Stałem jak skamieniały.

— Zastrzyknąłem jej morfiny, za chwilę odzyska przytomność... nie połóg przyspieszony i nie gwałtowne wzruszenia ją zabiją ale... strzał doskonale wymierzony... wywołał *peritonitis*... obrażenie słabizny brzusznej... Poślij natychmiast po księdza. gdyż wiem, że Alina jest bardzo religijną.

Po wydaniu stosownego rozporządzenia, przeszliśmy do pokoju chorej.

Niebawem otworzyła oczy — powiodła niemi trochę błędnie do koła, nareszcie zatrzymała je na nas, spoglądając i jakby zbierając rozpierzchłe wspomnienia..

Z niewysłowioną trudnością uniosła prawą rękę, a gdy ją ująłem w moje, oczami wezwała bliżej Laubego.

— *Mon... enfant...* usłyszeliśmy a właściwie zrozumieliśmy z warg poruszanych.

W nogach łoża, maleństwo, owinięte w przygodne pieluszki, które sprytna siostra miłosierdzia ze sobą przyniosła — spało spokojnie, poruszając usteczkami. Wziąłem je i ostrożnie obróciłem tym sposobem, aby Alina widzieć mogła drobną jego twarzyczkę.

Zaiskrzyły się mgłą zaszłe oczy, a gdy złożyłem pocałunek na czole dziecka:

— *Tu l'aimeras bien?... pas vrai?...* szepnęła z wysileniem.

Laube wydobył z pugilaresu maleńki szklanny przyrządzik i raz jeszcze ponowił dawkę morfiny.

. . . . . .

Wszedł ksiądz, wezwany z kościoła św. Symplicyusza. Odłożyłem ciągle śpiące dziecko na otomanę w głębi sypialni i pozostawiliśmy chorą samą z kapłanem.

*
* *

Gdy po półgodzinie wyszedł z sypialni — sługa boży, aby nas wezwać do uczestniczenia w obrzędzie udzielenia ostatnich sakramentów, zaraz za nim wyszła i szarytka, pro-

sząc mię do żony, której zupełna wróciła przytomność.

Leżała spokojnie, z obliczem pogodnem niemal.

— Czy *ona* (położyła szczególny nacisk, na ten wyraz), tak chora... że przyjść by tu nie mogła?... szepnęła Alina, siląc się na utrzymanie równowagi umysłowej.

— Ona?...

— Tak; choć chwilę widzieć ją, mówić z nią muszę... koniecznie...

— Alino, odparłem — cała wina jest po mojej stronie.

— Ah, szepnęła znów z goryczą — jak ty ją kochasz, kiedy teraz nawet starasz się ją uniewinnić...

Sięgnąłem do pugilaresu, dobyłem zeń ów list Edmei, napisany przed wyjazdem z Paryża, który, jak wiesz, nie doszedł do skutku — i rozłożony, podsunąłem pod oczy żony.

— Czytaj! — rzekłem łagodnie, ja zaś idę po nią.

. . . . . .

Na górze, Edmea, z całą lewą ręką obandażowaną i owiniętą w dużą serwetę, przypasaną prócz tego do ciała, przez piersi i plecy — drzemała na łożu. Gorączka dotąd się nie objawiła — ze względną łatwością przyszło mi tedy wymożenie na biednej, iż

z pomocą siostry miłosierdzia i pokojowej, zdołała w szlafroczku powstać z pościeli.

Wziąłem ją w silne ramiona i zniosłem na dół.

Ułożywszy ranną na sofie, w salonie, wróciłem do sypialni.

Alina kończyła czytanie, drżąc ze wzruszenia.

Po przeczytaniu listu, złożyła go, oddała mi i rzekła niebawem, pokrzepiona zachęcającem spojrzeniem kapłana·

— Poproś ją tu, Adasiu... to moja ostatnia do ciebie prożba w życiu...

Wyszedłem i wprowadziłem płaczącą dziewczynę.

Na jej widok, przez jedno mgnienie, rozszerzyły się źrenice chorej, w oczach przemknął ten sam ogień ponury, ta sama nienawiść co w chwili, gdy nas znalazła razem w salonie.

— A odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!... — mówił ksiądz patrząc na moją żonę.

Wtedy płomienie w oczach biednej przygasły zupełnie, drugą rączkę, tę z krzyżykiem, wyciągnęła ku Edmei.

— I tobie przebaczam także! — rzekła pewnym, łagodnym, choć cichym głosem. — I tobie, Edmeo! Do grobu chcę ponieść tylko

miłość i przebaczenie, ale zaklinam cię, bądź matką dla sieroty, dla mojej biednej Alinki. Rozumiesz, Edmeo! Tak, jak umiesz kochać Adama, kochaj i dziecko jego, a ja umrę spokojna zupełnie.

Uklękliśmy wszyscy, kapłan odmówił modlitwę i zaczął udzielać sakramentu.

Potem podano jej dziecko i tak tuląc je do piersi, nie puszczając rąk naszych, szepnęła jeszcze:

— Edmeo, przebaczam ci, ale kochaj moją Alinkę... bądź dla niej matką zawsze.

W godzinę, niemal w objęciach naszych, topiąc mi w twarzy swe modre źrenice, zasnęła nazawsze.

12.

W miesiąc po śmierci Aliny, umarła i Rowińska, nie chcąc się widzieć ze mną nawet. Nieszczęśliwa tracąc córkę, pożegnała ostatnią nadzieję życia.

Moja śliczna, mała Alinka, rosła tymczasem zdrowa, uśmiechnięta, pod opieką Edmei.

Nieraz, choć znałem szlachetne serce panny Faloni, dla uspokojenia własnego sumienia wychodziłem z biura, pod pozorem zapomnienia czegoś, i wracałem nagle do domu. O której bądź porze dnia to uczyniłem, za-

stawałem zawsze moją towarzyszkę, pochyloną nad kołyską, okrywającą pocałunkami moją pieszczotę.

Cicha, kochająca, teraz smutniejsza trochę (a z tą powagą i smutkiem było jej dziwnie do twarzy), żyła tylko myślą o mojem dziecku. Gdy chore było, spędzała noce u jego kołyski, zdrowe, cały dzień niańczyła, nie chcąc, za żadną cenę, rozdzielić się z niem ani na chwilę.

Wracając z biura, byłem zawsze pewny, iż spotkam ją w progu. Gdy chciałem wziąć pocałunek z rozkosznych ustek Edmei:

— Najpierw Alinka! — szeptała z uśmiechem, broniąc się rączkami — ja, potem dopiero. Wiesz, Adasiu! ona, tam z nieba, patrzy na nas i... błogosławi!

Byłem szczęśliwy, tak szczęśliwy, iż chwilami trwoga mię ogarniała, aby grom jaki niespodziewany nie zdruzgotał mi skarbów życia.

Pewnego dnia, właśnie gdy zabierałem się opuścić biuro, spotkałem zacnego doktora Laube. Szedł do mnie.

— Tyś tutaj znów, doktorze? — rzekłem ściskając serdecznie rękę lekarza.

— A tak, i tym razem, jeżeli pozwolicie... na zawsze. Cóżbym tam robił w S-t Gallenie? Majątek mam wystarczający na utrzymanie, tam nic mię nie wiąże już. Zresztą, nie wie-

działeś pewno o tem, matka moja była Francuzką...

— Zamieszkasz u nas, prawda?

— Jeżeli pozwolicie! — odparł ze zwykłym, szczerym uśmiechem.

Poszliśmy do domu.

Drzwi były niezamknięte, pokojówka czyściła moją odzież w sieni.

Unosząc zasłonę, dzielącą salon od sypialni, zastaliśmy w tej ostatniej Edmeę, leżącą na kobiercu, obok wyjętej z kołyski i uwolnionej z pieluszek Alinki.

Dziecko ciągnęło ją za rozplecione, kruce włosy rączkami, uśmiechało się, śledziło oczkami każde poruszenie ślicznej dziewczyny.

— Mama! no, Alinko, ma-ma! powtórz, moje złoto! — szeptała panna Faloni, okrywając pocałunkami ciałko śmiejącej się głośno mej córeczki.

Nie widziała nas.

Leciuchna sukienka muślinowa zarysowywała urocze kształty Szwajcarki; bawiąc się na kobiercu z Aliną, miała miękkie, błyskawiczne ruchy pantery; obejmując dziecię ramionami, odrzucała w tył swe pyszne włosy.

Tuląc maleńką do łona, odwróciła się na wznak zupełnie i.. spostrzegła nas obu; nim zdążyliśmy rzec słowo, była już na nogach,

pomięszana, strwożona, rzucając nieufnym wzrokiem na lekarza.

Postąpił ku środkowi sypialni i z ukłonem pełnym szacunku, wyciągnął rękę do Edmei.

Podała mu ją, z pewnem jeszcze wahaniem, ze wzrokiem spuszczonym ku ziemi, cała drżąca, w płomieniach.

Stary lekarz, o dziwo, złożył na niej pocałunek, nie mógł jednak oprzeć się pokusie:

— Raz, dwa, trzy... — szeptał wyjmując swój czasomierz. — Lekka gorączka, dziewięćdziesiąt trzy uderzeń tentnicy, ale to nic — dodał puszczając rączkę panny Faloni — gorączka... szczęścia, taka śmierć nie grozi nikomu!

Podczas gdy otoczywszy ramieniem wiotką kibić dziewczyny, składałem na jej czole pocałunek powitania, lekarz bujał na rękach moją córkę, która uczepiwszy się rączętami siwej brody zacnego eskulapa, czuła się widać bardzo dobrze w tem położeniu.

Od owego dnia było nas troje do kochania i czuwania nad dzieckiem tej, co tyle w życiu wycierpiała.

* * *

Alinka moja miała już prawie półtrzecia roku, gdy wybuchnęła francusko-pruska wojna.

Po niepowodzeniach oręża Gallów, spowodowanych nieudolnością dowódzców a poczęści

i zdradą, ogłoszono rzeczpospolitę i walkę na śmierć z Teutonem.

Polacy, przebywający we Francyi, z małymi wyjątkami, rzucili się wszyscy prawie, bądź w szeregi armii loarskiej, bądź zaciągnęli do oddziałów wolnych strzelców lub kohort Garybaldego.

Doktór Laube i ja, postanowiliśmy także wziąć udział w walce; wszakże i ja i on mieliśmy walczyć dla jednej i tej samej idei, on naturalnie niosąc ulgę rannym Francuzom.

Nic nie mówiąc Edmei, podaliśmy prożbę do ministra wojny; we dwa dni on otrzymał nominacyę na lekarza trzeciego pułku dragonów, ja na podporucznika w tymże pułku.

Nazajutrz, odziani już w stroje wojskowe, przyszliśmy do domu.

— Spodziewałam się tego lado chwila! — szepnęła Edmea — ale... — wskazała na kołyskę — co będzie z twoją córką, Adasiu?

— Zostawię jej, jeżeli zginę, najzacniejszą pod słońcem kobietę za matkę. Jutro będziesz moją żoną, Edmeo, a wieczorem opuszczamy Paryż, może na długo bardzo.

Zachwiała się, blednąc okropnie.

— Twoją... żoną? — powtórzyła.

— Tak, Edmeo.

Widziałem, czułem to, pierś jej zalewało szczęście, ale walczyła.

I nagle, przystępując do mnie:

— Słuchaj, Adasiu! — rzekła poważnie, spokojnie niemal. — Wiesz, jak was kocham! ciebie i to biedne dziecko, ale... żoną twoją być nie mogę... nie będę nigdy!

— Co ty mówisz! — zawołałem patrząc na nią zdumiony.

Miała łzy w oczach, głos drżał teraz, pozostała jednak niewzruszoną:

— Zaraz ci powiem dla czego! a ty, doktorze, osądź i wyrokuj, czy mam słuszność.

— Ja o niczem wiedzieć nie chcę! jutro nasz ślub! — zawołałem wybuchając.

Położyła mi rączkę na ustach i biorąc Alinkę w ramiona:

— Zasłonię się tą dzieciną! — szepnęła okrywając pocałunkami twarz mej córeczki. — Wszakże wydarłam jej matkę; bo ty wiesz, Adasiu, że zabiłam ją prawie... Słuchaj, czyż wolno mi zająć teraz jej miejsce?... To moja kara.

— Edmeo!

— Nie przerywaj mi! Nawet najniżej upadła kobieta marzy o tem szczęściu, o zostaniu żoną człowieka którego kocha. Ah, i ja — zawołała unosząc się — lata całe marzyłam o tej uroczej chwili, w której z podniesionem do góry czołem, miałabym prawo nie ukrywać się z mojem do ciebie przywiązaniem. Marzy-

łam o tem, ale między nami stoi cień tej biednej kobiety, której ściskałam kiedyś dłonie, która była moją przyjaciółką. Nie, Adasiu, wszak już dość tego, że nie mam i nie będę mieć nigdy odwagi wyrzec się ciebie! Alinka kocha mię jak matkę, tamtej nie znała, w dniu jednak, w którym jakiś fatalizm odkryje jej całą tajemnicę, zapyta: jakiem prawem zajęłam miejsce jej rodzicy? i znienawidzi mię z pewnością!...

— Ależ ona ci przebaczyła!! — rzekłem wzruszony.

— Tak.. ona! ale Bóg?... To będzie dla mnie karą... odcierpieć także błędy należy...

— Doktorze! — krzyknąłem prawie. — Powiedzże jej, że się myli, że...

Ale lekarz ujął rączkę dziewczyny i ściskając ją w swoich dłoniach:

— Nie dręcz jej, Adamie! — szepnął ocierając łzy — ona może ma i słuszność. Alina kochać może kobietę, co jej zastępuje matkę, nawet gdy się dowie kiedyś prawdy; ale nie przebaczyłaby jej, że sięgnęła po święte miano twej żony...

. . . . . .

Drugiego dnia wieczorem, złożywszy pocałunek na bladem, ale pogodnem czole ukochanej, przytuliwszy córeczkę do piersi, opuszczałem mieszkanie przy ulicy du Cirque

w towarzystwie Laube'go i jednego jeszcze rodaka, który także udawał się do Orleanu.

Czarnowłose dziewczę nie płakało wcale; iście spartańska dusza była w tem uroczem ciele!

— Mam dobre przeczucie! — szeptała — wrócisz nam zdrów, cały. Cóżbyśmy robiły bez ciebie w życiu?

Jeszcze jeden uścisk, jedno, pełne miłości zamienione spojrzenie i udaliśmy się na dworzec Orleański.

Daremnie opowiadałbym ci dzieje walk naszych za świętą sprawę wolności, mój Zygmuncie, znasz je lepiej odemnie przecie

Dnia 3 go grudnia 1870 roku, ponawialiśmy bój o świcie, już niemal u bram Orleanu.

Prawie bez dowódzcy, bez żywności i bagażów, otoczeni przez pięćkroć liczniejszego wroga — opuszczaliśmy nasze pozycye pod Loigny, aby po raz trzeci, od dwóch dni, spróbować szczęścia i przełamać linie księcia Fryderyka Karola pruskiego, najeżone lasem bagnetów i secinami dalekonośnych armat nowego systemu.

Od tygodnia byłem przy głównym sztabie; pułku mego dwa szwadrony, wraz z całym 7-ym ułanów, zaliczone do dywizyi de Courcy, zajmowały wierzchołki wzgórz, u stóp których

krańce obszernej równiny zalegały niemieckie zastępy.

Wróg zgromadził znaczne w tem miejscu siły, przeszło trzy pełne dywizye i ośmdziesiąt armat. Zionęły one huraganem żelaza, ostrzeliwając ze skrzydła nasze stanowiska.

Szczególniej jedna, dwunastodziałowa polowa reduta, dawała się środkowi naszej linii we znaki.

Pociski, choć rzucane z olbrzymiej, pięciowiorstowej odległości, pękały w środku kolumn naszych — francuskie działa nie donosiły tak daleko.

Generał Chanzy, otoczony całym sztabem, śledził z pod wiatraka w Loigny lunetą przebieg bitwy.

— Przeklęta baterya! ta pierwsza, na prawo! — rzekł głośno — trzeba ją uprzątnąć ztamtąd koniecznie!

Zwrócił się do naczelnika generalnego sztabu:

— Który to pułk ułanów ma de Courcy w swej dywizyi? Ale patrz, patrz! baterya zaprzodkowywa... posuwa się na równinę! Oh, les canailles! zasypią nas pociskami. Który to pułk, generale?

— Siódmy i dwa szwadrony dragonów z trzeciego...

— Siódmy? — powtórzył przyszły pogromca Ben-Amam'a — ah! to Rowiński tam dowodzi! Polak, no, ten im zrobi niespodziankę !...

I zwracając się do mnie:

— Mr. Dzeski! — zawołał — partez tout de suite, la batterie doit être enlevée dans dix minutes... enlevée à tout prix!

Miałem pysznego, siwego arabczyka; poczuwszy ostrogi, jak wicher pomknął ku dywizyi na wzgórzu. A jak mi biło serce na myśl, że ujrzę ojca biednej Aliny! Co się jednak stało... Więc ożył? dla czego nie zgłosił się do S t Gallenu?... Nie pojmowałem tego, niemniej przeto rad byłem uścisnąć dłoń... Mój Boże! przyszła mi myśl nagła: z jakiemże to uczyniłbym czołem? Wszakże, wracając z ziem dalekich, musiał być w S-t Gallenie, dowiedzieć się prawdy. Cóż odpowiedziałbym, gdyby mię zapytał o córkę... powód śmierci...

Zobaczono mię zdaleka, spodziewano się rozkazu.

General de Courcy spytał mię, co przywożę.

— L'ordre verbal d'attaquer immédiatement la batterie nr. 1. Le 7 ème des lanciers doit l'enlever à tout prix!

— To wracaj pan i przywieź rozkaz pisany.

— Naczelny wódz wydał ustny tylko! — odparłem spokojnie i odwracając się, spostrzegłem o kilka kroków pułkownika.

Poznałem go odrazu, miał oczy żony i córki mojej a rysy twarzy, mimo pewnego już wieku, dziwnie ujmujące, podobne do rysów Aliny.

Siedział na ślicznym, bułanym ogierze, o złotawej grzywie.

— Pułkowniku — rzekł pan de Courcy — oto porucznik przywiózł rozkaz zaatakowania bateryi nr. 1-szy, ale... ustny.

— Wystarczy mi zupełnie! — odparł, i zwracając się do pułku, którego pierwszy szwadron był o kilkanaście kroków tylko:

— Trompettes! — zawołał — sonnez la charge!

Dwie minuty nie upłynęły, jak już przeszło sześćset koni runęło na bateryę.

Przestrzeń, stosunkowo niewielką, przeleciano błyskawicą, niemniej przeto baterya zdążyła strzelić dwa razy kartaczami, usłać równinę trupami koni i ludzi.

Silny wiatr podrywał dym natychmiast, wszystko widzieliśmy dokładnie.

W chwili gdy pierwszy szwadron, zmniejszony niemal do połowy pociskami, dopadał

armat pruskich, zahuczały iglicówki niemieckie...

Było już jednak zapóźno.

Ułani zanurzali swe lance w ścieśnionych szeregach piechoty broniącej dział, nieliczny poczet konny, zrzucony z siodeł, w okamgnieniu, zniknął z bateryi, nim zdołał wystąpić nawet. Natomiast woźnice z przodkami rzucili się w tył galopem.

Zagwoździono działa, wyciągając tylne śruby i zastawy, niektórzy ułani, pozsiadawszy z koni, rąbali saperskimi toporami koła. A wszystko prędzej się stało niż opisać można.

Nagle, z poza lasu, ukazały się szwadrony wroga cwałem kierujące się ku zdobytej reducie. Liczyliśmy z bijącem sercem... było ich jedenaście.

Jedenaście, na zdziesiątkowane cztery naszych ułanów!

— Generale! — zawołałem — czy nie możnaby posłać dragonów na pomoc? Napadając z boku możeby ich ocalili...

Ruszył ramionami.

— Nie mam rozkazu, a na moją odpowiedzialność *)... trudno.

I dodał zaraz:

---

*) Tacy byli, niestety, głośni dowódzcy francuscy w ostatniej wojnie. (Przyp. autora).

— Poruczniku Rovincourt, popędź tam i każ zatrąbić do odwrotu.

— A może ja, generale? — zawołałem dobywając szablę.

— Owszem...

Znikałem już w tumanie kurzu, poderwanego z lekko zmarzniętej ziemi kopytami mego konia.

Położenie pułku było istotnie krytyczne.

Gdy dopadłem pułkownika, kolumna kirasyerów pruskich była już o dwieście metrów może.

— Sonnez la retraite! — krzyknąłem.

Pułkownik spojrzał na mnie bystro, gdy osadzałem konia.

— Ne bougez pas! — zawołał na swych trębaczy — i: formez le front... face à l'ennemi! — rzekł zwracając się do ludzi.

Zaledwie, robiąc podwójną woltę, zdążyłem cofnąć się na stronę, lance ułanów, z głuchym szelestem, pochyliły się naprzód.

— Ouvrez les rangs! — krzyknął jeszcze Rowiński i cała ta masa koni i ciężkiemi zbrojami okrytych Niemców, jak lawina wpadła między ułanów.

Spojrzałem na równinę, ku sztabowi Chanzy'ego... jeden z adjutantów lotem strzały pędził ku naszej dywizyi, odgadłem, że z rozkazem poruszenia dragonów.

Ułani bronili się zawzięcie, lance wyrzucały z siodeł ciężkich kirasyerów, uderzając

w pachwiny koni, powalały je wraz z jeźdźcami.

Rowiński, z szablą ociekłą krwią zupełnie, w poszarpanym mundurze, bez kasku, z lewą ręką, ranną znać, gdyż obwisłą wzdłuż ciała, rąbał zawzięcie na prawo i lewo.

Spiąłem ostrogami mego wierzchowca i jednem cięciem pałasza wywracając jakiegoś szwabskiego oficerka, stanąłem przy nim w chwili, gdy jeden z kirasyerów mierzył z boku doń z rewolweru.

Ręka wraz z bronią upadła między pozabijane konie — na drugą stronę padł okaleczony żołnierz Bismarcka.

— Merci! — krzyknął pułkownik i rąbał dalej spokojnie.

Zabiło mi serce z radości, śród wrzawy walki zdawało mi się słyszeć trąbki mego pułku. Odwrócić się nie mogłem, zmuszony zastawiać się szablą przeciw jakiemuś drabowi z nad Sprei.

Nagle, część kirasyerów zwróciła konie,, usłyszałem nawoływania oficerów.. dwa pełne nasze szwadrony, jak nawałnica spadały z boku na wroga.

— Vive la France! sabrez-moi cette canaille allemande! — zahuczał głos mego majora i w mgnieniu oka znalazłem się przy nim.

— Tam, tam! — krzyknąłem na ludzi mego plutonu — trzeba uwolnić pułkownika!

Moi dragoni byli nieporównani. Unosząc się w strzemionach, długiemi swemi szablami rabali i kłuli tylko w twarze...

Tak dostaliśmy się do Rowińskiego, niestety jednak, było już zapóźno!

Biedny pułkownik, z przestrzeloną piersią, przywalony zabitym koniem, leżał nieprzytomny przy wywróconem, zdobytem przez siebie działe, trzymając za gardło pruskiego kirasyera. Kawałek pałasza tylko wisiał na pasku u prawicy mego rodaka, lecz palce ściskały jeszcze Niemca zawzięcie.

Był to major... żył, ale na pół zduszony. Strzeliłem mu do ucha z rewolweru.

Zeskoczyłem z siodła i z dwoma ludźmi, podnieśliśmy rannego.

Wróg, złamany na całej linii, cofał się w pędzie koni, za słabi byliśmy, aby podążyć za nim w ślady.

Kilkunastu Prusaków rzuciło pałasze i zsiadło z koni, oddając się moim ludziom.

Dokoła jeszcze wrzał bój cząstkowy. Skinąłem domyślnie na dragonów, podnosząc rewolwer do góry. Zrozumieli mię... padło kilkadziesiąt na raz strzałów!...

Cóż mi było po jeńcach, w takiej chwili?

Gdy złożono na noszach Rowińskiego, zbliżyłem się doń i przyklękając, ująłem go za rękę.

Poznał mię, oddał uścisk za uścisk i szepnął po francusku:

— Ocaliłeś mi życie, poruczniku, ale sądzę, że nie na długo. N'importe, merci tout de même.

— Jestem Polakiem! — odparłem. — Pułkowniku, Alina mi przebaczyła zupełnie; w tem co zaszło, była nasza wspólna wina.. I ty przebacz... masz wnuczkę, także Alinę...

Oniemiał, wpatrzył się we mnie zdumiony.

— Więc jesteś...

— Adam Dzeski...

Wyjąłem z za munduru fotografię Alinki i podałem umierającemu.

Długo, długo, topił oczy w ślicznej dziecka twarzy, i zachodziły mu łzami.

— Mój Boże — szepnął — jak ona do matki podobna!...

Nie puszczał jej z rąk już.

— Dacie mi ją do grobu... prawda?

Wyciągnął rękę ku mnie.

— I ja ci przebaczam, Adamie, ale... czuwaj mi nad dzieckiem, mów mu o mnie... powiedz, że mię widziałeś tu... w obec wroga, umierającego, jak marzyłem, jak ongi ci... śród zdobytej reduty!

Po kilku chwilach, zamknął oczy na zawsze.

Aureli Urbański.

Z ZA KULIS

i ze świata.

Szkice, obrazki, humoreski.

Tomik I.

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

[1884]

I.

Yzsym-An-Akpałup.

Yzsym-An-Akpałup?!?...

Przebóg — cóż to za potwór?

Zali to zboczenia umysłowego synonim?

A może prowokacja?

Albo sztufada na dziko, podlana sosem tatarskim?

Albo kakofonią spaczony dziwoląg, zapożyczony z idiomu neo-giermańskiego *Vaterland*'u, dumnie ochrzczonego cesarsko-niemieckim *Kamerun*'em?

Yzsym-An-Akpałup?!?...

To chyba przerażające wężowisko skłębowanych błędów drukarskich, arcywybryk kaprysu składacza czcionek?

Zgoła nie.

Yzsym-An-Akpałup, to *pułapka na myszy*, zwane czytelnikami; najpospolitsza pułapka na łase myszki, które koledzy po lutni, ni to przyskwarzoną słoninką, przynęcać zwykli najpotworniejszymi tytuły.

Zawieś na czele niniejszego tomiku, miasto cudackiego onego napisu, skromny, nieefektowny szyldzik z krótką zapowiedzią: „przedmowa“ — a nader smętna czeka ją prognoza. Każdy z Was, Najzacniejsi, Najczcigodniejsi, nerwowym odruchem zniecierpliwienia, nie czytając wcale, przerzuci pierwsze stronice, byle jeno wpaść *in medias res*, tj. — za kortynę...

Kogoż bowiem, raz choć w życiu, nie łechce wkraść się — *za kulisy?*

W bieżącej zaś fazie *fin-de-siecle'*u, brzemiennej potężnemi hasłami, przesiąkłej ostrym swędem nitrogliceryny, a trawionej gorączkową pożądliwością demonicznych niespodzianek — kto dziś (pytam) czytuje przedmowy?

Nikt.

Czytajcież, moi państwo; to nie przedmowa. To: *Yzsym-An-Akpałup.*“

Jeśli apetytną słoninką senzacyjnego tytułu znęcona, wpadnie do pułapki ciekawa a lubieżna myszka, — cel osiągnięty. Banalny zkąd-innąd napis, odwrotnym czcionek porządkiem, zrobił swoje. Jak kontrabandę przemyciłem coś nakształt przedmowy...

Atoli gwałt ten czytelnikowi zadając, poczuwam się do obowiązku uchylenia rąbka tajemnicy, dlaczego tyle na onem orędziu mi zależy.

Zależy mi na niem, ponieważ — — (tu wydawcy nożyce bolesną wyrządziły mi krzywdę,

wycinając z rękopisu dziewięćdziesiąt i dziewięć wyczerpująco wyłuszczonych argumentów).

Zależy mi na niem nakoniec — (i oto główny, przewodni motyw przygrywki) — przedwstępna bowiem taka pogawędka pyszną nastręcza okazyjkę do mówienia... o sobie. Owóż i kryterjum osobliwego rozlubowania się literackiej braci w przedsłowiach najrozmaitszego pokroju.

Rzecz tedy załatwić każą nam zwięźle. Nie z racji, jakobyśmy nie potrafili napiętrzyć tylu a tylu tyrad, refleksyj, *leader'*ów, apostrof, tez i hipotez, paradoksów, cytat, aforyzmów, głębokich domyślników, szyderczych pytajników, jak niemniej wykrzykników cierpkiego rozczarowania lub cnotliwej grozy — ile okazałaby się potrzeba gwoli przyzwoitego nadziania tylu a tylu kolumn *cursivą*, *ciceronem*, czy *garmontem*. Nie,—zgoła nie z tej racji.

Hamulec pod rozluzowane koło rozpędowe wartkiej fantazji wsuwa mi znienacka znowu mości wydawca, stanowczym wyrokując głosem:

„Kto się nie złapie na *zakulisowy* tytuł, dla tego szkoda czernidła na przedmowę."

Ot, co jest.

W srogiem utrapieniu nie pozostaje mi, jak jeno ograniczyć się na suchą wzmiankę, że obrazki z życia, nowelki i humoreski, literacki on dorobek, który oto (że tak rzekę) w powabnej podaję Wam wiązance, zdobiły ongi (że tak się wyra-

żę), feljetony galicyjskich i warszawskich czasopism.

O ile one twory doczekały się zasłużonych przekładów na obce języki, nie świadomo mi tej chwili; sprawdzić jednak bajecznie łacno, iż niejaki *Mr. Kain Pik-po-ket*, obskurny zresztą nowelista krainy Papuasów w Nowej-Gwinei, bez miłosierdzia obłupiwszy mnie z wawrzynów, olbrzymi wśród wybrednych swych ziomków wzniecił entuzjazm. Niech mu to wyjdzie na zdrowie; stać nas na to...

Publiczną zresztą tajemnicą, że jako chlubnie znany producent na niwie dramaturgii, liryzmu i beletrystyki, idealną odznaczam się skromnością, tak dalece, że dopiero przyparty do ściany i niemal zgwałcony do porównań, zaledwie jakie-takie odgrzebuję powinowactwo ducha między sobą — a *Williamkiem*, *Wiktusiem* i *Julkiem*, w których domyśleć się Wam wolno autorów: „Kupca weneckiego“, „Człowieka śmiechu“ i „Balladyny“.

Lecz i miłość prawdy nie do pogardzenia jest cnotą. Nie mogę tedy oprzeć się potrzebie serca i muszę przyznać się państwu ściśle *sub rosa* (choćby narazić mi się przszło na najbardziej rubaszne *dementi* ze strony odnośnych redakcyj), że wyłącznie *moje* tylko feljetony całą tę plejadę czasopism poli- i niepolitycznych, codziennych i tygodniowych, utrzymywały przy życiu...

Fakt ten mówi za siebie. Owoż i powód na-

nizania tych „perełek ojczystej literatury“ na jedną, „złotą“ nić zbiorowego wydania. Równocześnie jednak oświadczam, iż wszelkie złośliwe powątpiewania lub aluzje pod tym względem, napiętnowałbym właściwem mianem, doszczętnie druzgocąc czarne duchy na temat brudnego egoizmu, nieposzanowania zasług, zawiści zawodowej i zdziczenia u nas obyczajów.

Atoli nikt nie przeczy.

Czekam.

Nikt?

Sprawę tę uchylam tedy z pod dyskusji, co niewysłowioną sprawia mi ulgę...

*

Ah, a przecie... wbrew tak bujnie rozkrzewionemu poczuciu własnej wartości, trętwieje mi kręgosłup pod śrubą lodowego obręcza niepokoju; wzdłuż pacierzowego mlecza drobniuchne, lecz piekące przebiegają iskierki... Zjawisko to, nie licujące z samopoczuciem i powagą autora, gmin pospolicie zwie — ciarkami. Wspólne ono wszystkim ciężko obżałowanym o t. zw. uprawianie literackiego płodozmianu. Niech by tam kto najniezłomniej był przeświadczonym o niebotyczności swojego: „ja“, — z obłoków piorunem spada na ten ohydny padoł cięć bolesnych i radykalnych rękoczynów na samą wzmiankę o — krytycznym skalpelu...

Przezorniej pono, nie dopuścić do ostateczności A nuż zjadliwy gryzoń nadszarpie wielki palec jeszcze większego naszego posągu lub utrąci mu piętę?... Palca szkoda, a pięta także coś warta, zwłaszcza — achillesowa...

Wypada tedy być wspaniałomyślnym. *Noblesse oblige*... Pp. krytykom oszczędźmy wyrzutów sumienia i czarnych trosk oszczędźmy na sędziwe lata! Byle misternie, z wytrawną finezją wziąć się do dzieła...

Niema nad doświadczenie! Imajmyż się tedy taktyki trzydziestoletniej, wypróbowanej. Taktyka, machiawelizmem nieco trącąca, lecz niezawodna. Podajemy ją tu *ad usum delphini*, bez podniesienia ceny wydawnictwa.

Ilekroć z warstatu spuszczamy koturnowy dramat, z regularnością czasomiaru uśmiercający przynajmniej jednego bohatera i jedną heroinę, — nie omieszkamy z każdym po kolei p. recenzentem ożywionego nawiązać dyalogu, mniej więcej w ten sens:

— Słyszałeś? Jestem gotów.

— Ha no... Niewątpliwie trajedja i (oczywista!) dwa trupy.

— Et, tak... coś, niby... Ot, obrazeczek bez pretensji...

— Phi... Dramaturg — bez pretensji!

— Cóż bo znowu? Jak to: dramaturg? Co za: dramaturg? To nie mój żywioł. Ja — liryk.

Uważcież państwo, działa to jak *tinctura bromi jodati* uśmierzająco na nerwy tych panów, w skutek czego, po premierze, udobruchany *Rhadamant* szepce na ucho *Minosowi:*

— Nie mierzmy go tam skalą krytyczną. Weźmy go przez paljowe rękawiczki. To nie jego fach.

Do tejże samej uciekam się procedury, uposażając rynek księgarski miluchnym foljancikiem lirycznych wylewów wezbranego uczucia.

— *My dear* — (daję się słyszeć na prawo i na lewo pieszczotliwym dyszkantem) — naklepało się rymów kilka arkusików... Nakładcę Bozio dał... Ha, niech tam zeszycik przekrada się w świat...

— Oh... oh... (burknie chór skrytobójców, z ukosa morderczym strzelając ku mnie zwrokiem) — znów ze sceny skok w orkiestrę?! Zdałoby się — —

— *My dear,* (podchwytuję skwapliwie) — „sobie“ spiewam, nie „Muzom“... Ot, zbiorczyna bez pretensji...

— Kpisz chyba, czy o drogę pytasz? Bez pretensji! Liryk — bez pretensji?!

— Co za liryk?... Zkądże liryk?... Uchowajże mnie, Panie... Wszak ci ja dramaturgus z krwi i z kości!...

I patrzcież państwo — orkan się uśmierza, jak ręką odjął. *Probatum est.*

To też i dziś, przezorną zachowując rezerwę, czepiam się wypróbowanego *arcanum*, jak jemioła gałęzi.

Wszem w obec i każdemu z osobna, czarno na białem, podaje się niniejszem do wiadomości uprawnionych, że składając Narodowi w dani kilka dziesięcin bezpretensjonalnych szkiców, niefachowym nabazgranych kwaczem, zgoła tem samem nie zaciągamy się w szereg oficjalnych nowelistów *par excellence*. Tem ci mniej zaliczamy się do humorystów.

Chroń nas Boże od tej pokusy!... Pek... Pek!... *Apage satanas!...*

Naszym żywiołem — liryka. W Syrenim Grodzie ochrzczono nas przecie (prawda, że poronionym) romantyków epigonem...

Wiadomo oraz powszechnie, że nieszczęsnej a zbrodniczej ulegam pasji wylęgania dramatów.

Tak — czy nie?...

Odetchnąłem.

Owoż to tak, żałobni czytelnicy, jak wątła łódź poławiacza sardynek, po morskich odmętach złowrogimi miotana cyklony, przez zwyż ćwierć wieku lawiruje Wasz sługa między groźnymi szkopułami trzech bezdennych otchłani oceanu, zwanego: literaturą, to potulnie ściągając żagle, to hardo je wydymając. Flagi natomiast otwartej — nie wywieszam nigdy...

Ale... ale!

Duchem proroczym przeczuwam skradające się widmo o łakomie naszczurzonym pyszczku, w którym krwi łaknące miga żądełko... Tuż, tuż — kolnie!...

Uprzedźmy ukłucie.

Tak jest, wielce szanowny szerszeniu dobrodzieju! Książeczki mojej horyzont niezbyt przestrony, kręcenie się zaś w ciasnem kółku pisarskiego kierata, podróż taka „dokoła pokoju“, wprost domaga się pióra choćby specjalisty *de Maistra*...

Jeszcze słówko.

Tytuł książeczki: „*Z za kulis*“...

Jeśli kto z Was w połowie lektury, z tłumionym mrukiem gorżkiego zawodu ciśnie tomikiem w kąt sofy, nie nasyciwszy się pikantnym wyskokiem zakazanego owocu — dobrze mu tak, bardzo dobrze temu P. T. Ktosiowi!...

Niech go nie wabią zakulisowe misterje — lubieżnie niech nie węszy za dekoltowanymi skandalikami — i... niech się nie łapie na tytuł.

Skończyłem.

Lwów, w Styczniu 1894.

AUTOR.

II.

Pierwszy debiut dramaturga.

... Struny duszy grały mu szerokim akordem boskiego upojenia; dziewicze jego serce, nie draśnięte jeszcze ostrymi kolcami zawodów, otwierało bratnio całemu światu wrzeciądze, a świat uśmiechał się doń tak słodko, tak różowo...

Nad wyraz czuł się szczęśliwym... i nie dziwna; zliczywszy bowiem najskrupulatniej do zwierciadła wszystkie włoski, ciekawie z nad górnej wynurzające się wargi i dla tem większej pewności po raz setny zajrzawszy do metryki, przekonał się, iż właśnie-co dwudziesta i druga minęła mu wiosna... Raz jeszcze przebiegł w myśli długi, długi szereg nieprzespanych, przemarzonych nocy, płonące przetarł czoło, i wciągając w płuca jakoby cały chaos ognistych języków natchnienia, z dumą zawołał...

Co zawołał, to zawołał — rzuciwszy się zaś ku chwiejnemu stolikowi akademickiej izdebki

przy ulicy Ś-go Mikołaja, siadł, bujnymi potrząsł kędziory, pióro zamaczał w inkauście i pisać jął — *dramat*...

Kto z was, szczęśliwi czy nieszczęśliwi pióra adepci, pamięta cudowne owe chwile pierwszego tworzenia?... Pomnicie, jak duch na poły nieprzytomny błąka się po mglistych, bezbrzeżnych przestworach bez kresu i początku... Jak pacierzem pochylonego grzbietu elektryczne przemyka *fluidum*, tajemnicze wywołując dreszcze?... Jak lazurowy firmament, spływając zwolna coraz niżej i niżej, pulsującą skroń otacza wiankiem barw tęczowych, strzelających promieni, gwiazd wirujących, eolskich melodyj i rymy szepczących gnomów?...

Dumał, z potu ocierał czoło, wzdychał, jęczał, deklamował z cicha i znów dumał, nie spiąc i nie jedząc. Stary Onufry, pospolity śmiertelnik (stróżysko poczciwe, nieznośnie kłapiące pantoflami,) od czasu do czasu przerywał głuchą ciszę izdebki, to zapytując, to zrzędząc, to wnosząc garnuszki z kawą o ponętnym kożuszku, to wynosząc je, jak wynaszał nietknięte talerze... Tworzący nie widział Onufrego, nie słyszał jego reprymend i kłapiących pantofli, nie słyszał nawet skrzypienia swojego pióra i dźwięku zegara na kościele Bernardyńskim, wybijającego chrypliwie godziny.

Nagle zerwał się, rzucił okiem na ostatnią

ćwiartkę rękopisu, przeczytał głośno: „zasłona spada,“ — piórem strzepnął o krawędź stolika — i zatarłszy ręce, z chorobliwym pospiechem zabrał się do wygładzania zmiętych szczegółów swojej garderoby. Dodajmy, iż powłoczyste a zadowolone wpijał spojrzenia w kryształową szybę zwierciadła, miłośnie ogarniając niemi kontury swojego oblicza. Spojrzeniami temi witał w sobie twórcę, korząc się sam przed sobą — stolik zaś kulawy, studencka, niepozorna szafeczka, piec nawet (żałobna ruina przepalonych cegieł i rdzą zżartego żelaziwa) — wszystko to szeptało doń z podziwem i rewerencją: *autor*, *autor!*...

Rękopis zwinął w trąbkę, czapkę narzucił na ucho i wybiegł.

Ilu zgorszonych potrącił przechodniów, ilekroć sam potrącony naruszył spokój jesiennej, błotnistej toni Placu Marjackiego i Teatralnej Ulicy — mniejsza; dość, iż zadumany, silnie robiąc piersiami, stanął przed okazałym portykiem gmachu hr. Skarbka, który stanowił alfę i omegę jego dążeń, gorących pragnień i niewymownych zachwytów.

Stanął przed portykiem teatru, zawahał się nieco u kamiennego proga i już stanowczym rzutem przekroczyć zamierzał Rubikon przybytku Melpomeny — aliści błyskawicą wstrzęsła nim myśl, iż dziecię jego pierworodne, potężnego natchnienia płód wypieszczony, nie zdolen jeszcze poczciwem

wylegitymować się nazwiskiem... W szale uniesienia nieopatrzny rodzic zapomniał o chrzcie, — autor o tytule...

Oh, tytuł!... Sądzicie, że to lada błahostką, noworodkowi wytłoczyć na czole miano, zanim go się pchnie w świat szeroki, w świat obojętnych przeżuwaczy chleba, szyderczych oraz Zoilów?...

Ojciec w zwykłem, pospolitem znaczeniu tego wyrazu poradzi się cioci jednej i drugiej, spyta kalendarza i z lekkiem sercem nad kolebką wygłosi bez troski: „Przyniósł cię Święty Nikazy lub Święta Pryska panna: będziesz więc Nikazym lub Pryską!“ Ale — *autor?*... Dość on już przewertował kalendarzy, zanim ochrzcić zdołał bohatera i bohaterkę swojego dramatu, czułych ich rodziców lub niepowołanych opiekunów, banalnych ich braciszków i naiwne ich siostrzyczki, zanim imię i nazwisko dał Czarnemu Charakterowi, niezbędnemu *Bonvivant*, szlachetnemu Wujaszkowi, głupkowatemu Fagasowi i sprytnej jego Dulcynei, garderobianej pani domu!...

Owóż autor nasz, smętny powrócił do swej izdebki, zgnębiony padł na nierozebrane łoże i ponownie w głębokiej pogrążył się kontemplacji. Legion przepysznych, sensacyjnych tytułów pretensjonalnym krokiem przedefilował przed oczyma jego duszy. Zrazu z szaloną radością witał każdy nowy pomysł, rozkoszując się nim przez

chwilę; wszelako co rychlej wysuwała się mgiełka tej lub owej wątpliwości i zniechęcony marzyciel, machnąwszy ręką niecierpliwie, znów gorączkowo sięgał myślą do bezdennego, lecz próżnego już skarbca wyobraźni... Po całonocnych zapasach — po zaciętej walce, w ciągu której tuzinami padały trupy, iżby nie podnieść się więcej, zawrzał ostatecznie srogi bój między dwoma już tylko przeciwnikami. Zaciętymi szermierzami były: „*Podeptane serca*“ *i* „*Pączki uszczknięte.*“ Poeta chwycił już za pióro, aby rozstrzygnąć zwycięztwo na korzyść pierwszego lub drugiego zapaśnika, aliści znów lodowa gadzina zwątpienia wypełzła ze skrytości spracowanego mózgu, nowe sycząc bezlitośnie zarzuty... „*Podeptane serca*“, w skutek dość racjonalnej assocjacji myśli, nasuwały mimowoli obraz kłapiących pantofli zrzędy-Onufrego, „*Pączki*“ zaś, prozaicznie przywodząc na pamięć odświętny gastronomom termin „Trzech Króli“, reminiscencją tą tkliwiej obiecywały działać na żołądki, aniżeli na serca przyszłego audytorjum.

Głowa ciężko opadła mu na piersi, — usnął, fizycznej uległszy niemocy i nie ochrzciwszy pierworodnego...

Pierwsze to były jego bole na drodze kwiecia pełnej, lecz i pełnej cierni...

— „Czy mogę pomówić z panem dyrektorem?“ — pytał nazajutrz w budynku teatralnym (na schodach pierwszego piętra) blady, trwożliwy młodzian, dusząc w zanadrzu rękopis, jaśniejący cudownie wykaligrafowanym napisem:

„*Serce i duma*“, *dramat w 3. aktach, oryginalnie napisany przez...* (Otóż na złość nie dokończę).

— Pan dyrektor *bywszy* za kulisami, właśnie *wychodząc* na próbę z „*Gałganducha*“ — wygłosił z namaszczeniem zapytany i okrasił odpowiedź giestem wysoce tragicznym.

Ignacy mu było. — *Ci devant* krawiec teatralny, wygolony zawsze gładko ni to artysta dramatyczny, pełnił obowiązki rzeczywistego, tajnego wykonawcy poleceń pani dyrektorowej, *vulgo* kalafaktora, pełen zaś poczucia urzędowej swej godności, przemawiać zwykł był z koturnu, przyczem wykwintnego dobierając stylu, odurzał słuchacza śmiałymi krasomowczymi zwroty, niespodziewanie ciskając imię słowami, niby doborem rakiet i szmermeli.

— Pan dyrektor tak rychło ze sceny nie *wróciwszy* — dodał pan Ignacy fistułą, z akompaniamentem wywrócenia białek.

— Panie dobrodzieju... nie mógłbym też przypadkiem... za kulisy?

— Pilny *mając* interes? — (Równoczesny,

zaokrąglony ruch ręki, naśladujący gracją dworzanina Jego król. Mości Ludwika XV-go).

— Bardzo pilny, panie dobrodzieju... niecierpiący zwłoki...

— *Zaprowadzony będąc*, atoli ostrożnie się *trzymawszy*, bo ciemno. (Intonacja głosu tkliwa; oraz groźne wzniesienie wskuzującego palca ku niebiosom).

Stało się!... To, o czem młodzian w zuchwałej imaginacji zaledwie dotychczas śmiał marzyć, ucieleśniało się za jednym rozmachem; marzenie przeistaczało się w rzeczywistość. Młody autor zdążał — *za kulisy*... Cudnyż-bo, rajski wytworzył on był w sobie obraz tego świata za tajemniczą kortyną... coś, w rodzaju zaczarowanego pałacu z „Tysiąca i jednej nocy“, przybytku, woniejącego ambrozją i nektarem i lśniącego mirjadami świateł, a zamieszkałego przez tytanicznych półbogów, zwanych pospolicie aktorami, oraz — ah — przez skrzydlate Aniołki-Cherubiny, noszące miano artystek...

Ruszył tedy za przewodnikiem, straszną palony gorączką.

Z pierwszego piętra schodki wąskie, koszlawe, ciemne jak noc, ubocznym, wąskim korytarzykiem wiodły na scenę. Charon, eks-krawiec, czeluścią kroczył śmiało i z tą pewnością siebie, jaką daje talent i rutyna; za nim potykając się ustawicznie i trwożliwie ślizgając palcami po murach, posu-

wał się chwiejnie młody dramaturg. Serce tłukło mu się młotem, uderzając rytmicznie o rękopis, kurczowo tulony do piersi.

— *Zważywszy!* — przestrzegał od chwili do chwili mistrz-kalafaktor, nadając swojej fistułce ton melodramatyczny. Jeszcze kilka kroków — znów schodki — drzwiczki — znów schodki — i oto czarna, ponura, pogłębiona otchłań, z której dna tajemnicze, nieokreślone dobywały się szmery. Otchłań ta czarna, Dantego niby piekło, to... scena w *dzień*, taż sama scena, której przybytek *wieczorem*, w jaskrawej pożodze kinkietów, niewysłowionym napawa nas urokiem!...

Charon pociągnął poetę za sobą — atoli pierwszy już krok na śliskich deskach *„znaczących świat“* przyprawił naszego adepta o potężnego guza; czoło bowiem jego, ta skroń wawrzynu spragniona, nagle odskoczyła niezbyt elastycznie od krańca wystającej kulisy. Mimo czarnej, ponurej nocy zamigotały mu świeczki w oczach. W tem z głębi zagrzmiał głos stentorowy, ukrytego w chmurach Jowisza:

— Ignacy! Opryszku! Niesiesz krople dla panny czy nie niesiesz?

„Byłoszy!“ — odfistułował tkliwie p. Ignacy i puściwszy samopas Febowego pasierba, zniknął w głębokiej pomroce.

Młody wieszcz, sromotnie poczuwszy się opuszczonym, usiłował trwożnie przeszyć wzrokiem

tajnie egipskich mroków, aliści grobowe jakieś widmo wynurzyło się z otchłani tuż przy jego ramieniu i w ucho syczące padły mu wyrazy: „Znowu czyhasz pan na Muszkę? Słowo honoru, piszczele ci podruzgocę, stary ty pryku!“

— Głupi *Widelec!* — zaszczebiotało coś obok. — Zazdrośny, jak Fotello! Odczep się raz, zmierżony raku i nie napastuj spokojnych facetów!

— Chórrr na scenę!! — zagrzmiał w głębi organ nosowy i obie postacie ulotniły się jak kamfora...

Tymczasem oko, nagłem przejściem ze słonecznego światła do czarnej ciemnicy porażone, oswoiło się nieco z cieniami otoczenia. Autor „Serca i dumy“ obaczył się wciśniętym między dwie kulisy, ni to nawę ustrzęgłą między dwiema nadbrzeżnemi rafami. Przed nim biegła ukosem ku orkiestrze scena, nad którą górowała w postaci zbawczej konchy budka suflera; dwie skromne lampki oświetlały jej wnętrze; z wnętrza zaś chrypliwie dobywał się przytłumiony głos owego *spiritus familiaris* p. p. artystów, którego zadaniem, nie godnem pozazdroszczenia, recytować monotonnie „egzemplarz“. Przed budką trzy panie i dwu panów powtarzało pomrukując „kwestje“ za Aniołem-Stróżem, oddając się z dramatycznem przejęciem gryzieniu włoskich orzechów. Obok, krokiem równym jak tykotanie pendułu, przechadzał się jegomość w długim paletocie

piernikowej barwy, z założonemi w tył rękoma; stawał on od czasu do czasu i podnosząc głowę w stronę dachu, wołał gromko: „Ciszej tam, na bantach, do k*h*oćset djab*u*ów!“ — co jednak zgoła nie przeszkadzało ustawicznemu pukaniu, piłowaniu i przesuwaniu płócien nad kulisami.

— *E*-trzymasz *Knapa*, czy nie? — (wrzaśnie ni z tąd ni z owąd jeden z recytujących w głąb budki). Masz suflować, to sufluj *e*-głośniej! — *De*-laczego? — *De*-latego, bo nic nie *e*-słyszę... *De*-mucha sobie przez nos! Co to za nos? To nie nos — to ogórek! *E*-bąka przez ogórek — a potem się *e*-człek na *spektaklu sypnie!*

— Po co tak głośno? Nie krzycz, *Knapa* — protestuje równocześnie dama — jak pacierz umiem rolę... Pan mnie stanowczo zatrębujesz. Ciszej, kochany panie. Zlekka tylko poddawać, bez wytężenia.

Puk! Puk! Puk!

— Maszynista! Hej, cicho tam na bantach, *u*ajdaki!

— Szelma bojko! Co trzeci orzech pusty.

— Aniele! Nie obdarzysz-że mnie spojrzeniem miłosierdzia?...

— Jeszcze czego! Mów pan! Teraz pańska *kwestja:* „Przebóg — to ona!“

— Nie mam w roli tej *kwestji*...

— Inspicjent! gdzie inspicjent?

Puk! Puk! Puk!

— Inspekcja! Wylać tych pukotuuków! Sufleha nie suychać.

— Paniusia nie chcesz dać wiary, że usycham z miłości?...

— Hi! Hi! Hi! Bałamut!

— Sufleh! Znów pan ustałeś?! Ostatnie suowa: „jak kometa machnie ogonem...“

Kr-r-rak!

— Dajcież spokój z tymi orzechami! Cóżto za zgryźliwa próba?!

Kr-r-rak! — Puk! Puk! Puk!

— Teraz przechodzisz pan na lewo, ja zaś padam panu w objęcia.

— Padaj, rozkoszna Syreno! — *Knapa!* Repetycja od początku djalogu...

— Kto widział inspicjenta? Szymonie! Skocznо pod „piuamidkę!“

— Dlaczego nie padasz mi pani w objęcia?

— Zaraz! Zaraz! Tak mu pilno!...

— „O śnie uroczy! Luba, przy twym boku“.

— Usuń pan rękę, bo cię trzepnę!

Kr-r-rak!

* * *

Stał za kulisami wymarzonej świątyni ideałów — niemy, skamieniały — nie mogąc zdać sobie sprawy, czy to sen, czy jawa. W duszy jego odmętach szalony, niesamowity odbywał się proces, proces rozczarowania... Zdawało mu się,

iż jeszcze przed chwilą wiotkim był, gotowym do wzlecenia ku sferom gwiazd balonem, którego ściany rozkosz wydymała i pycha, bałwochwalczy pietyzm i spora doza nieprzepartej ciekawości... Nagle, jakoby złośliwy djablik-dręczyciel ostrem narzędziem przebił wydętą ducha powłokę... Z balona piorunem uchodzić poczęła lotna jego zawartość; ściany jego kurczyły się, marszczyły, klęsły... Poeta uczuł się nad wyraz nikłym, nędznym, upokorzonym...

Tr-r-r... Obie ruchome kulisy zachwiawszy się, z piskiem i zgrzytem posunęły we wręcz przeciwnych kierunkach, pchnięte ręką niewidzialnego maszynisty; przerażony młodzian, uległszy popędowi zmysłu zachowawczego, skacze mimowoli na sam środek sceny w mniemaniu, iż cały ten kompleks płócien, desek, ram i przystawek wali mu się na nieszczęsną głowę... Skacze — i twarz w twarz staje w obec jegomości w piernikowym paletocie, który wybuchnął rykiem rozsrożonego lwa (jegomość, nie paletot):

— Ki djab*ua* k*h*ęcisz mi się po scenie?... *H*az mówi*u*em, że podczas p*h*óby wejście wzb*h*onione! Co to? *H*achunek ze sklepu? — To mówiąc, wyrwać zamierza rękopis z zaciśniętej pięści skonsternowanego wieszcza.

— Przepraszam pana dobrodzieja — jąka się syn Apollina, z rąk rozpaczliwie nie puszczając skarbu, — ja... ja nie ze sklepu...

— Więc kto pan jesteś — do k*h*oćset djabu*ó*w?

— Jestem panie dobrodzieju — autorem „Serca i dumy...“

— Auto*h*em?... Pan?... A czegoż pan tu chcesz?

— Przyniosłem dramat, panie dobrodzieju...

— Eh, dajcie nam święty pokój z temi bzdu*h*stwami! Ci kandydaci do Pija*h*ów *h*odzą się jak grzyby po deszczu, a nieboh*a*k a*h*tysta kuć musi te banialuki na pamięć... Przep*h*aszam pana, nie mamy czasu... *Knapa!* Dalej jazda!

Krzykliwe ekspektoracje pana reżysera — (on to był, piernikowy jegomość) — zgromadziły dokoła oszołomionego tem przyjęciem poety cały zastęp artystów i artystek, chórzystów i chórzystek, komparsów i figurantek; jak z pod ziemi zjawił się napróżno potąd puszukiwany pan inspicjent w towarzystwie pana rekwizytora; wszyscy jak zatrute sztylety wlepili wzrok padalczy w nieszczęśliwego autora; sufler nawet, ów automat w budzie, zamilkł i podejrzliwem zmierzył go spojrzeniem. „Artystyczna“ ta pauza piekielne sprawiała mu męczarnie.

Ponuro opuścił skroń i milczał... W oku ostatnia zgasła iskra zapału, natomiast u powieki zwisła mu łza... pierwsza łza goryczy, uroniona na krótkiej ścieżynce autorstwa!

I dłoni jego dotknęła dłoń ciepła, miękka...

a głosik tkliwy, melodyjny, jaki w różanych tylko mieszkać może usteczkach, zadźwięczał:

— *Królu!* (abrewiatura nazwiska pana reżysera) miejże sumienie... Młody ten człowiek nie musi być bez talentu. Rysy i czupryna wiele obiecujące... Przedewszystkiem niech rozmówi się z dyrektorem. Ah, ... to pański rękopis? Pokaż no pan...„ *Serce i duma*“ — nie zły tytulik; to coś jak „*Intryga i miłość...*“

Otucha wstąpiła *mi* w serce; głosik ten brzmiał *mi* w uchu boskiem pieniem aniołów; bezwiednie rączkę jej podniosłem do ust i wycisnąłem na niej gorący pocałunek wdzięczności...

Tak... to *ja* byłem, moi państwo...

A ona?...

Lat już temu tyle dziesiątek!... Od dawna na łyczakowskim smętarzu zbutwiały, pochylony próchnieje tam krzyżyk... Pod nim, w skromnej, zapadłej mogiłce spoczywa *ona*, z której ust pierwsze usłyszałem słowa współczucia... Gdyby nie *ona* — kto wie, czy „*Serce i duma*“ ujrzała by była światło kinkietów... Spoczywaj w Bogu, poczciwa, serdeczna duszo!...

*

— Pan dyrektor *oczekując* właśnie w garderobie! — woła fistułka.

Charon nadbiegł, wziął mnie poufale pod ra-

mię i zawiódł przed pana dyrektora: „Tylko odwagi! Już *my* pana *poprotegowawszy!*“

Kochany Ignacy!...

On to, w cztery tygodnie po tej audjencji, podczas inauguracyjnego przedstawienia mej „sztuki“, kiwał głową dobrodusznie stojąc przedemną, gdy po pierwszym akcie, obojętnem milczeniem publiki stroskany, jak trup blady siedziałem pod drzwiami męskiej garderoby; on to z olimpijską powagą kładąc mi trzy palce na ramieniu szeptał pocieszając: „Kurażnie!... Kurażnie!... I *my* tak *bywszy* z początku... Ale furda! Trzech od szewca mam na bantach... Pójdziemy *durch!*“

No — i poszliśmy *durch!*...

Kochany Ignacy!...

A jak łudząco naśladować potrafił szczekanie Burka w trzecim akcie!... Ejże, Ignasiu mój, niebożę — czy też nie tobie zawdzięczam pierwsze (niewątpliwej wagi) wawrzyny moje autorskie!?...

III.

Tryumf mój w Zagórniku.

Już papa Szekspir znał się (stary ćwik!) na tego rodzaju niezawodnym efekcie, iż bezpośrednio przed wprowadzeniem na widownię potężnych działaczy przeznaczenia, mistycznie wprawić należy w nieład całą naturę, każąc jej grzmieć, łyskać i wyć w niebogłosy...

A więc — maszynista do korby!

R-r-r-bum!...

*

Sklepienie niebios uginało się pod brzemieniem olbrzymich chmur ołowianych...

Rozczochrana wiedźma tuczy targała drzew konarami, kościstą łapą miotając grube, gęste dżdżu krople; igraszka ta zaś niezwykłą sprawiała jej rozkosz, gdyż źrenice poczwary płonęły od blasku krwawych błyskawic a pierś jej prawie bez przerwy zanosiła się od ryhotania piorunów...

W „kancelarji“ jegomości, pod strzechą skromnego dworku w Jamnie siedziało ich dwu przy syczącym samowarze. Właściwie jeden z nich tylko statecznie dosiadywał, a był nim wysoki, barczysty, szpakowaty szlachcic, z wiśniowego cybucha ssący gęste kłęby dymu; podczas gdy drugie, bardzo młode indywiduum również rodzaju męzkiego, o długich, pretensjonalnie roztrzęsionych kędziorach, zrywało się z krzesła co chwila, by szerokimi kroki gorączkowo mierzyć podłogę.

Barczystym, pykającym fajkę mężczyzną, był mój stryjaszek, znany w szerz i wzdłuż „pan superarbiter z Jamny“ — młodziutkim zaś osobnikiem o długich, kruczych zwojach byłem... ja, w charakterze ukończonego lwowskiego akademika, kuzynka na wakacjach.

Przy tej sposobności ciekawa (bez wątpienia) płeć nadobna zasięga *en passant* języka, iż przed tylu a tylu laty przystojnym było się brunetem...

Mes dames!... Acz nieokiełznana lokomotywa czasu, mknąc bujnem zalesieniem mózgowej mojej skrzynki, torowała sobie po sapersku drogę wśród dziewiczego jej zarostu, — zaręczam, *mes dames*, iż jestem nim *jeszcze*, t. j. prawie przystojnym i prawie brunetem; jeślibym zaś takim *de facto* już nie był, niewysłowioną sprawicie mi rozkosz, jeśli łaskawa wyobraźnia odmaluje mnie wam *jeszcze* brunetem, oczywista przystojnym...

A zatem ulewa chłostała szyby dworka. Monotonny plusk potóków dżdżu zlewających się ze strzechy — głuszyły z zewnątrz ryki piorunów, wewnątrz zaś porywające wybuchy swady wyżej opisanego.

Ho!... Porwać słuchacza było czem... Wszak ci z ognistych ust płynęła mi opowieść nagłych moich powodzeń literackich... Przed kilku zaledwie tygodniami drugi z rzędu dramat — na domiar pięcioaktowy — (ba!) wierszem rymowanym misternie skoncypowany — ujrzał światło nocne lwowskiego proscenium, młodego zaś autora pobłażliwa i jak zazwyczaj zachęcająca publiczność po trzykroć „wywołała“ — szczęściem nie za drzwi, jeno na scenę...

Mierząc tedy kancelarję sążnistymi kroki, poprawiając bujnej czupryny i w międzypauzach przyglądając się chyłkiem w lilipuciem zwierciadełku, z kapitalnym patosem taką ciałem perorę do milczącego pana Zenona:

— Kłamstwem, ohydnem kłamstwem przysłowie: *Nemo in patria propheta*... *Ja* wręcz zadaję mu kłam — *ja,* stryjku dobrodzieju! Po zgonie Korzeniowskiego, po zamilknięciu Fredry, ażali w kurzu i pajęczynie butwieć ma berło Molierów naszych i Rasynów?... Nie wątpię, iż przezorne przeznaczenie *mnie* wybrało i na oczekiwanego namaściło Messjasza... Stanę jako mąż spiżowy, nową głosząc erę... (Widzicie państwo,

do czego doprowadza pobłażliwa krytyka przyjaciół...) Mojemi barki podparte, dźwignie się sceny ojczystej rusztowanie i maluczko a spadnie chwila, iż ogłosicie mnie drugim jej rodzicem... Spytacie, zkąd ta pewność?... (Stanąłem właśnie przed pykającym panem Zenonem z wyciągniętą ku niemu prawicą.) Oto czuję, jak rośnie we mnie duch, który cały kraj przerazi swoim ogromem; a zresztą mam od publiczności mandat i namaszczenie, gdyż mnie *en suite* trzy razy wywołała!... Przyjmuję zatem mandat i biada temu, kto się poważy wydrzeć mi go — amen!

Ryk dalekiego grzmotu uzupełnił uroczyście *speech* mój proroczo-kapłański.

— Słyszysz, stryjku? Firmament stwierdza moje przysięgi... Będę — wielkim!

Milczący dotychczas pan Zenon, powstawszy z flegmą, splunął, poprawił coś w stambułce i rzekł:

— Jesteś wielkim — i umrzesz wielkim... Tu urwał, gdyż jaskrawa błyskawica przeszyła zygzakiem widokrąg a piorun z okropnym trzaskiem ugodził gdzieś w bór lisowiecki. Nagle Zagraj warknął pod stajnią — Śmiga zawtórowała mu z ganku — rudy Doskocz wraz z sędziwym, bezzębnym Hulajem dały od strony sadu znak życia — i niby pod batutą energicznego kapelmistrza zabrzmiał wrzaskliwy, ogłuszający kwartet. Prym o cienkich falsetach wiodła, jak

zwykle, Śmiga z niesłychaną brawurą; tenor Doskocz i baryton Zagraj z werwą zaatakowali równem tempem swoje partje, Hulaj zaś akompaniował basem, krótkie, w miarowych odstępach wytrzymując pauzy.

Na dziedzińcu skrzypnęły koła zajeżdżającego wehikułu.

— Stryjenka wróciła z Górki — zawołałem, porywając lampę i skacząc ku drzwiom.

— Zkądżeby dziś, postrzeleńcze — zauważył z flegmą pan Zeno, zdążając wolnym krokiem z nieodstępną swą towarzyszką, stambułką.

*

Przed werandą (o ile mdłe i migające światło latarki, uwiązanej u dyszla, dostrzedz pozwoliło) stała żydowska półbudka. Z kozła zsuwał się w błoto mężczyzna, którego głowę przemokły od deszczu osłaniał szal nakształt turbana; z głębi zaś budki gramoliła się postać niewieścia, opierając na wasążku trwożliwą nóżkę, na którą widocznie miał chrap prześcigający się w ujadaniu psi kwartet.

— Jędrek! Mazgaju, zabierz psy! — huknął gromko gospodarz.

— Sam tu, Zagraj! Do budy, Hulaj! Na tu, Śmiga! Wciornaści! — lamentował nadbiegający fornal.

Atoli zacietrzewiony czworowtór umykając

to w lewo, to w prawo, uparcie garnął się ku przybyłym i tak długo z namaszczeniem oddawał się muzykalnej produkcji, dopóki cybuch pana domu nie położył jej kresu, znienacka spocząwszy na grzbiecie primadonny. Nastała chwilowa pauza. Skomląc sopran, tenor, baryton i bas ukryły się w cieniach nocy pod przeciwległym płotem ogrodowym, poczem wdzięcznem „*da capo al fine*“ jęły to *crescendo,* to *decrescendo,* z bezpiecznej naszczekiwać oddali.

Przymokłych do nitki gości wprowadziliśmy do kancelarji.

* *

— Kogo Bóg łaskaw? — pyta gospodarz, z pod krzaczystych brwi zyzując ku przybyszom.

Co do mnie, zaledwie doświadczonem okiem dramaturga objąłem oblicze mężczyzny, który skwapliwie pozbywał się zagadkowego a przesiąkłego deszczem turbana, alić jakby mnie coś tknęło... Nasz gość twarz miał gładko ogoloną, twarz o charakterystycznem owem, generalnem piętnie... Nie — to nie złudzenie...

— Emeryk, Longin Gryff, dyrektor prowincjonalnego teatru — (przedstawił się nowo przybyły i uzupełnił:) Panna Sylwerja, bohaterka mojej trupy, mleczna siostra jednej z najpierwszych tragiczek Warszawy. (Dodatek wygłoszony z odpowiednim naciskiem i z giestem dumy.)

— Hrrm... — odchrząknął gospodarz, topiąc we mnie gniewne, niesformułowanym jakimś zarzutem brzemienne spojrzenie. Patrzcież państwo... i ja, ja oblałem się mimowoli rumieńcem, acz do żadnej nie poczuwałem się winy.

Panna Sylwerja, skłoniwszy skroń majestatycznie i nie czekając zapraszającego skinienia stryjaszka, rzuciła się na fotel, co prędzej w malowniczej układając się pozie.

— Mości dobrodzieju — (ciągnął dalej elokwentnie pan dyrektor) — przed piętnastu dniami, w cywilizacyjnym moim pochodzie nawidziłem z niepospolitą moją trupą miasto Zagórnik. Miejscowość ta, goszcząca w swoich murach ck. starostwo, ck. sąd i ck. urząd podatkowy, wabiła mnie perspektywą pewnych korzyści materjalnych, któremi przedsiębiorca w dzisiejszych czasach gardzić nie może i nie powinien... Atoli jakże dotkliwie zawiodły mnie wszelkie rachuby!... Acz ze wstrętem, muszę jednak przyznać się panu dobrodziejowi, iż od tych piętnastu dni gaże nie popłacone, należytość za „lokal“ u Srulowej w zaległości, na sceniczne zaś moje przybory haniebny położono areszt!... Znana szczodrobliwość pana dobrodzieja, (tu stryjaszek skrzywił się okrutnie i niespokojnie ręce wsunął w kieszenie) szczodrobliwość, z jaką nie szczędzisz poparcia na cele oświaty narodowej (nie gniewaj się kochany stryjaszku, lecz obydwom nam wia-

domo dokumentnie, iż nie poczuwasz się do tak ciężkiego grzechu!), ośmieliła mnie u schyłku spóźnionej naszej wędrówki po okolicy, do zawadzenia o dom czcigodnego mecenasa sztuki i literatury.

— Wycieczki? (bąknął pan Zeno, ażeby w ogóle bąknąć cośkolwiek)...

— Tak, mości dobrodzieju! Nadwątlony stan moich finansów podratować może jedna udatna reprezentacja, którą w przyszły piątek przeznaczam na benefis naszej bohaterki, mlecznej siostry jednej z najpierwszych tragiczek Warszawy.

Panna Sylwerja podniosła się, znów majestatycznie skinęła skronią, w paluszkach zaś jej pojawił się gruby pakiet biletów.

— Bardzo pięknie... bardzo pięknie... (jąka się gospodarz). — Owoż tedy...

— Owoż tedy — służę bilecikami... I ja szlachecką, acz podupadłą szczycę się prozapią — i nie wątpię, że pan dobrodziej...

— To jest... tego właśnie... żona moja z córkami bawi u rodziny w Górce... Zostałem sam... zajęcia... gospodarstwo... siano, kośba panie dobrodzieju...

— Jakto? Pan, tak słynne noszący nazwisko... pan, zapewne krewny, jeśli nie szczęśliwy imiennik młodego lwowskiego autora, którego rozgłos sięga już po za Kulików, Zagórnik i Tyrawę Wołoską?...

— *Ja* nim jestem! — Zawołałem z dumą, rozpromienionej fizjonomii nadawszy skromny niby wyraz niemile zdradzonego *incognita* — *ja* nim jestem — i miło mi powitać tak godnego, tak zasłużonego sceny kierownika!... (Kompliment za kompliment).

Zaledwie padły te wyrazy, w kordjalnym znalazłem się uścisku. Pan dyrektor w serdecznych objęciach omal nie pogruchotał mi kości; panna Sylwerja zaś ugodziła mnie wprost w serce tak przeszywającą strzałą piwnej źrenicy, iż zapłonąłem jak sucha wierzba od uderzenia pioruna...

— Łaskawco! Dobrodziejaszku! Bóg mi cię zesłał w rozpaczliwej iście sytuacji... Ratujże mnie w tem rozbiciu. Słuchaj!...

Puściwszy mnie z objęć, stanął w pozie nad wyraz klasycznej, i krząknąwszy, wygłosił z emfazą:
„Bądź mi druhem, Tytusie, a z dłonią w *twej*
[dłoni,
Czemże mi niecnych wrogów złowróżbne za-
[chcianki?
Oko twe nad mą dolą jeśli łzę uroni, —
Ha! całe to stulecie, patrz, wyzywam w szran-
[ki!!“...

— Autorze kochany, drogi, słodziutki autorze! — (szeptała słowiczym szczebiotem bohaterka, dłoń moję ściskając, ah, tak serdecznie) — nie dopuść, by na benefis dano mi „*Rożka-Cymbałka*“ lub „*Syrenę z Dniestru!*“... Brak

nawet aktorów i dekoracyj; ja sama musiałbym równocześnie co najmniej cztery grać role... O panie Aureli!... *(timbre* jej głosiku przypomniał znów gruchanie wabiącej synogarlicy), słodziutki panie Aureli, dajże mi sztukę na benefis...

— Synciu, lubko! (kuł żelazo dyrektor, póki gorące) masz z sobą egzemplarz „Ziemowita“, znakomitego „Ziemowita“, niezrównanego „Ziemowita?“

— Oczywista mam... ale...

— *Victoria!* Jestem ocalony! Zacny gospodarzu, zostawiam na stole dziesięć bilecików do krzeseł i dwa do lóż, nie kładąc tamy dobroczynności; wszak na reprezentację słynnego utworu kuzynka ociągać się pan dobrodziej nie będziesz? Teraz zaś, daj co przetrącić i postaw z butelczynę cienkusza, bośmy przemokli i zmarzli, jak nieboskie stworzenia. A zresztą, wypada przecie wychylić zdrowie autora, a kuzyna tak godnego obywatela!

Dobroduszny stryjaszek, przekonany wymownymi argumenty zagórnickiej Melpomeny kierownika, uwierzyć w końcu musiał w posłannictwo i wielkość synala stryjeczno-wujecznego brata, wygładził bowiem brwi, należytość za bilety ze sutym zapewne naddatkiem wsunął w rączkę benefisantki, (wnosiłem to z uroczego jej dygu), mnie pocałował w czoło i „duchem“ zadysponował cale przyzwoitą wieczerzę... Nie pamiętam, ile pękło butelek; ile razy głos zabierał

pan dyrektor, coraz tkliwsze intonując toasty; ilu mówkami replikował w odwecie gospodarz; ile kupletów ze „Skalmierzanek“ odspiewała artystka na uporczywe domagania się rozhasanego szlachcica, który w końcu gotów był nawet puścić się z nią gwizdanego mazura; — dość, że dobrze jakoś z północy, przy wypogodzonem niebie, Jmćpan Gryff z Jmćpanną Sylwerją w najlepszym odjechali humorze, uwożąc ze sobą rękopis „Ziemowita“. Pamiętam natomiast najwyraźniej, że na odjezdnem dałem autorskie słowo honoru, iż nie pokażę się w miasteczku, aż w sam dzień przedstawienia, — że pan dyrektor dziwnie plątał językiem, w budce już zapewniając gospodarza o bezdennej czci swojej i bezgranicznym dlań szacunku, — że panna Sylwerja przy pożegnaniu lewem oczkiem czule mrugała do szlachcica, prawem zaś mdlejącemi obdarzała spojrzeniami jego kuzynka — tudzież, że po ich odjeździe kochany stryjaszek wykręcił się wesoło na pięcie i poklepawszy mnie po policzku, wysapał: „Jak Boga kocham, do rany przyłożyć, miłe ludziska... Pojadę z tobą w piątek do Zagórnika“, — nakoniec, że groźnie huknął Jędrkowi w ucho: „Jeżeli, błazny, który z was słówko piśnie pani, żeśmy tu kolację jedli z aktorką, to go lunę w kark, że ruski miesiąc popamięta!“

Powróciła z córkami pani Zenonowa. Migiem przemknął tydzień — i zaświtał długo oczekiwany piątek... Acz pierwsze moje dwa autorskie debiuty, wprost na stołecznej odbyte scenie, połechtały nieco dumę świeżo upieczonego dramaturga — nie powiem, jakoby ujrzenie „Ziemowita“ na deskach skromniutkiego małomiasteczkowego teatrzyku, wielkiego dla mnie naonczas niemiało powabu. Aktor i autor dramatyczny, od pierwszych już kroków na tych deskach, łaknie „braw“ jak ptak powietrza, jak wody ryba; za oklaski odda on wszystko; ten grać, ów pisać będzie o chłodzie i głodzie, choćby jeno dla aplauzów, gdyż są im one słodko upajającym szampanem żywota... Nie dziwo tedy, iż nieraz — i ten — i ów — fałszywy zrobi krok, częstokroć za niedozwolonym goniąc efektem, byle tylko przebojem oklask pozyskać tłumu!... Nie dziwo tedy, że czułem się szczęśliwym do zbytku, lecz i nad wyraz rozdrażnionym, zwłaszcza, że guzdranie się dam przy pomocy kucharki, pokojowej, żony ekonoma, trzech córek gumiennego, mamki, niańki i kilkorga dziewcząt od krów, końca i końca nie miało....

Ubrała się nareszcie pani — ubrały się panienki — i zajęły miejsca w fajetoniku; stryjaszek nawet, przyrodzonej zbywszy się flegmy, po kilkukrotnem zaledwie wracaniu do stodoły, by dać i zaraz potem cofnąć dane Butrymowiczowi

dyspozycje, rozparł się raz już stanowczo w siedzeniu, nieodstępną nakładając stambułkę.

Ruszyli. Ja, za nimi konno — po laury — do Zagórnika.

Napróżno ślęczałbyś, skrupulatny czytelniku, nad mapą królestw Galicji i Lodomerji wraz z Wielkiem Księztwem Krakowskiem, — Zagórnika nie odszukasz. Tyle zaledwie szczegółów odsłonić ci mogę, iż królewskie, wolne to miasto 2,345 liczy mieszkańców (przeważnie braci mojżeszowego wyznania) i że leży między 19 a 26 stopniem wschodniej długości, między zaś 48 a 50 stopniem północnej szerokości. Mógłbym zresztą podać wam odległość jego od południka, wolą Ludwika XIII. nakreślonego przez wyspę Kanaryjską *Ferro;* nie przyda wam się to jednak na nic; to też odległości wymienionej nie podaję.

Równym kłusem zdążałem za fajetonem. Murowany gościniec, pomnę, wysadzony był jarzębiną. Nie spamiętałbym błahego tego szczególiku, gdyby nie okoliczność, że każda drzewina, to z lewej, to z prawej, z dewocją uchylała czubałka przed kłusującym bohaterem dnia, z zapałem potrząsając żółtawo-czerwonymi swymi koralami... Wprawdzie dochodziły mnie z fajetona narzekania stryjenki na wiatr, dmący silnie od miasteczka jadącym wprost w oczy — na wiatr, który może i wierzchołkami przydrożnych jarzębin poruszał; atoli ja, w duchu, innego by-

łem zdania — rozstrzygnięcie zaś spornej tej kwestji z całem zaufaniem pozostawiam czytelnikowi.

Rumak mój parskał wesoło, co od wieków za dobrą uchodzi wróżbę. Czule głaskałem go po szyi, powtarzając co chwila: „Zdrów!! — Smigaj, Siwku! W Zagórniku czeka cię porcja owsa, mnie zaś nowa porcja bobkowych liści“.

Pół ćwierci milki przed celem naszej podróży, u samego skrętu gościńca, błyszczy na tablicy napis: „Królewskie wolne miasto Zagórnik. Przewuz napojuf spirytusowych bez opłaty — wzbroniony“.

Nieopodal, tuż przy pierwszych domkach przedmiejskich, uderzył mój wzrok drugi słup z tablicą, na niej zaś olbrzymi, czerwony afisz... Czytajmy — i zanotujmy go sobie *pro aeterna rei memoria,* w pamięci:

Teatr polski w Zagórniku.

Za pozwoleniem zwierzchności.

Dziś 23 Sierpnia 1865.

Pod dyrekcją Emeryka, Longina Gryffa

z Królestwa:

Uroczyste galowe przedstawienie z powodu bytności Autora w mieście!!!

Ziemowit, Książę Mazowiecki,

dramat w 5. aktach, oryginalnie wierszem

napisany przez etc. etc. etc.

Utwór repertoarowy sceny stołecznej we Lwowie.

Przy cenach podwyższonych.

Oświetlenie brillant! (*sic.*)

W 5. akcie ognie bengalskie.

-Osoby: etc. etc. etc.

U dołu, poniżej zwykłego spisu grubo przesolonych cen miejsc, czytamy:

* *Rolę* **Heleny** *odegra panna* **Sylwerja**, *artystka z królestwa, mleczna siostra jednej z najpierwszych tragiczek Warszawy.*

** **Autor** *obecnym będzie na przedstawieniu w loży Nr. 1. na prawo.*

(NB. O benefisie ani wzmianki!...)

I nie bądź-że tu dumnym! *Coram populo* tak uroczyście zapowiedziano przyjazd mojej znakomitości!... Wydało mi się jeno opacznem, dlaczego afisz nie ogłaszał narodowi, iż Rada miejska postanowiła dzień ten uczcić co najmniej udzieleniem mi honorowego obywatelstwa.

Spiąłem Siwka i w lansadach stanąłem przed szeroko otwartą bramą „lokalu“ Pani Srulowej, przeciskając się przez tłumy chałatowej i pejsatej gawiedzi.

Lokal ten stanowiło ogromne, na poły rozwalone karczmisko przy gościńcu, stokilkadziesiąt

kroków przed rogatką. Ściany drewniane, niebezpiecznie ku stronie pola przechylone, podpierały rozmaitej grubości i długości drągi i oszwary. Dach, jak rzeszoto podziurawiony, nagiemi tu i owdzie świecił krokwiami. Natomiast na pokrzywionym drążku, misternie przyczepionym do szkieletu komina, powiewała zwietrzała i od wichrów stargana bandera o niepewnych barwach. Po obudwu stronach bramy chwiały się dwie wbite w ziemię jodły i dwie z potłuczonemi szkłami migały latarki. Pod dachem, u wejścia, transparent zdobny festonami ze sośniny, jaśniał napisem: „*Witaj!*“

Zaledwie zeskoczyłem z Siwka, którego w opiekę wziął kulawy Icek, rodzony syn ślepego Lejbka, rodzonego syna nieboszczyka garbatego Srula, — zjawił się przy mnie Emeryk, Longin Gryff i z ostentacją ująwszy mnie pod ramię, wprowadził do przybytku Muz, do loży Nr. 1. na prawo.

Emeryk, Longin Gryff miał na sobie spłowiały wprawdzie, lecz maszenstrowy haftowany frak barwy marchwi, z żabotami z czasów Ludwika XV... Głowę mu osłaniał tupet, na pół cala mąką przypudrowany... Nogi tkwiły w olbrzymich papenhajmerach; u boku zaś marcjalnie dzwonił pałasz austrjackich dragonów.

Anomalij tych dostrzegłem dopiero w chwili, gdy pan dyrektor, wprowadziwszy mnie do loży

skleconej z czteru desek a bujnie przybranej festonami, usiąść raczył po mojej lewicy. Atoli zdziwienie z powodu osobliwej garderoby Emeryka Longina ustąpiło natychmiast błogiemu uczuciu pychy, skoro zauważyłem, iż osoba moja stała się przedmiotem ogólnej admiracji... Wszystkich oczy zwróciły się ku mnie; damy w lożach (mój Boże, co to były za loże!...) skierowały na mnie około pół tuzina lorynetek; mężczyźni stawali na ławach, iżby nasycić się widokiem zamorskiego potwora, jakim bezsprzecznie jest autor, zjawiający się w małem miasteczku; na galerji zaś tłoczył się czarny tłum w stronę loży Nr. 1. na prawo, wskazując na mnie palcami i wołając bez ceremonii: *„Sikste! — Kikste! — Der Szemofit!!“*

Nareszcie ozwał się dzwonek — szmer przycichnął — pan dyrektor wymknął się z loży — orkiestra żydowska przy „rzęsistem“ oświetleniu dziesięciu kopcących szabasówek odrzępoliła bez miłosierdzia polonez Ogińskiego — znowu głos dzwonka i — zasłona z szelestem podniosła się w górę.

Na scenie majestatycznie ukazała się księżna Helena, Ziemowita mazowieckiego nieszczęsna małżonka... Nagle serce bić mi przestało... Co to?... Kulisy z prawej przedstawiały kąt staroniemieckiej jakiejś knajpy, podczas gdy z lewej rozrastał się demonicznie dąb lub może kasztan,

na którego konarach cudownie ceglaste kwitły róże... Na domiar „mleczna siostra jednej z najpierwszych tragiczek Warszawy,“ dla tem wybitniejszej zapewne charakterystyki stulecia królowej Jadwigi, paradowała w długiej sukni Pompadour z ogonem, którą nakształt balona wydymała czystej krwi paryska krynolina; piękna blond peruka, obowiązkowo przypudrowana i trzy (wielkości fasoli) czarne muszki w równej, pionowej linii pod noskiem, na brodzie i między piwnemi oczęty dopełniały kostjumu, który — kto wie, czy nie rozminął się nieco z prawdą historyczną.

Straciłem prawie przytomność... Przemknęła pierwsza scena między księżną i jej powiernicą, podczas której straszliwie kotłowało mi w mózgu, alić na *proscenium* wypadł czarny charakter, sekretarz księcia, Konrad, rycząc okropnym głosem:

— „Jaż tak nisko upadłem?!...“

I upadł... Klnę się na wszystkie świętości — runął jak długi, w najtrywialniejszem znaczeniu tego wyrazu... „Niski ten upadek“ uniesione audytorjum powitało rzęsistym oklaskiem; Konrad powstał, ukłonił się, i deklamował dalej...

Nie!... Nie słyszałem, co Konrad deklamował dalej, gdy bowiem podniósł się z podłogi, poznałem w nim Emeryka, Longina Gryffa, w żabotach *à la Louis XV.*, w papenhajmerach i przy austrjacko-dragońskim pałaszu!

Mam-że wam tu rzędem cytować wszyst-

kie tego rodzaju niespodzianki?... Mamże opisywać, jak idealnie rozmiłowany Arnold, w chwili tkliwego wygłoszenia słów:

— „Ah... i jam kochał tę kobietę!...“ zamiast na rozczuloną księżnę, wskazał na głupkowatego fagasa, wchodzącego z dzbanem na tacy. Mamże rozdzierać zagojoną ranę serca wspomnieniem, jak u schyłku tegoż aktu platoniczny kochanek przy słowach: „Arnoldzie... bądź mężny!“ zasłonił sobie dłonią oblicze, ażeby potem, po chwili niemego pasowania się z sobą, wznieść ją tragicznie ku niebu, — wraz z zerwaną tym ruchem lewą połową wąsa...

Nie!... „Dość tych pchnięć sztyletu!...“ zawołałem z bolejącym Ziemowitem, — zdążam zaś ku katastrofie...

Zasłona spadła. Akt pierwszy dobiegł swojego kresu... Frenetyczne zagrzmiały brawa — i całe audytorjum, naśladując stolicę, jednym, potężnym wybuchnęło okrzykiem: „Autor! — Autor! — Na scenę! — Wiwajt!“

I wybiegłem z loży — i pocieszony nieco wsunąłem się za kulisy — i spostrzegłszy unoszącą się w górę kortynę, już-już wystąpić miałem na scenę z ułożonym w myśli efektownym ukłonem — wtem... ha!!... wtem, z za kulis, wypada spłoszone aplauzem... cielę Srulowej ze starganym na szyi postronkiem, — staje okrakiem przed budką suflera, i wlepiwszy głupie, by-

dlęce spojrzenie w publiczność — rozpaczliwie zawodzi *be-e-e!...*

Śmiech... nie... ryk śmiechu wstrząsnął węgłami karczmy... Jednym susem dopadłem Siwka i cwałem pomknąłem do Jamny, rwąc sobie włosy, drąc na piersiach kamizelkę i przysięgając piekłu i niebu, że już nie tknę pióra...

W trzy tygodnie po tej katastrofie urodziła się nowa — trzyaktowa — tym razem: komedja.

IV.

„Zbudziło się w nim serce“...

... i to w malowniczych, gęsto borami podszytych Jodłowcach.

Jeśli szczególna protekcja losu obdarzyła mnie na Zachodzie naszej Galilei, w okolicy mitycznego Zagórnika, kochanym, poczciwym stryjaszkiem — to w szczodrobliwości swojej dodała mi na Wschodzie, w ziemi sanockiej, niemniej poczciwego i niemniej kochanego wujaszka, w skutek czego młodociane moje sny i marzenia o wakacyjnych, niebieskich migdałkach, do pożądanej sprowadziła równowagi.

Obudwu ascendentów wzrost nie lada, prezencja okazała, głosy tubalne — a serca złote; a jednak wujaszek Hipolit żywy to kontrast stryjaszka Zenona. O ile ten flegmatycznym odznaczał się temperamentem o kontemplacyjnym nastroju, do czego niepomału przyczynić się musiały ustawiczne niepowodzenia gospodarskie — o tyle tamten nieodrodny stanowił typ krewkie-

go, porywczego szlachcica z gór sanockich, co to panie i do tańca i do rożańca, do wypitki i do wybitki...

— „Kuropatw i szaractwa u mnie mnogo. Kaszy, chwała Bogu, dość. Żętycy po uszy. Po akademickich kollokwiach wytchnienie, piękna natura i górskie powietrze wielce pożądane. We wtorek na noc posyłam Matwija z fornalką do Przemyśla. Czekać będzie „pod Dębem“ — przyjeżdżaj“.

Już to z kollokwiami było coś krucho... zkądże bowiem nabrać czasu do mozolenia się nad jakimiś tam egzaminami w obec faktu, iż z zaciekłością Danaid oddawałem się filtrowaniu „oryginalnych“ dramatów i komedyj (po kilka sztuk na miesiąc), tudzież ścisłym badaniom zakulisowych tajemnic sztuki?... Wszelako wakacyjna próżniaczka z perspektywą nie tyle pochłaniania żętycy, ile mordowania kuropatw i szaraków, nęciła mnie niepomiernie.

W kilka dni po onym liście, dziedzic Jodłowiec i Okłotowa, nie licząc miodopłynnego przysiołka „Żonusina“, uściskał mnie kordjalnie u progu swej rezydencji, zapowiadając z góry z ubolewaniem, iż „skoro panicz wygląda mizernie i widocznie naukami musi być wycieńczony, bezwarunkowo nie wyprosi się codzień od trzech kwart zbawiennej, cudownie działającej serwatki...“

Mróz przebiegł mi pacierzem; od czegoż je-

dnak pomysłowość i fantazja dramaturga *in spe?*... „*Utile*“ łącząc „*dulci*“, po przełknięciu garnca życiodajnego płynu w przytomności wujaszka, strzegącego mnie jak oka w głowie z kubkiem w jednej, zegarkiem zaś w drugiej dłoni, kryłem się codziennie na chwilę w sowicie zaopatrzonej apteczce wujanki dobrodziejki, która mdłości żętyczne przeróżnemi zakrapiała nalewkami własnego pomysłu — i było mi z tem dobrze, bardzo dobrze... W kilka tygodni wyglądałem, nie przymierzając panie, jak „pyza“, dzięki może pochłanianiu cudownej serwatki wujaszka Poldzia, a może dzięki pilnemu zażywaniu antydotów wujaneczki Luni.

Spokój mojego ducha, nie zamącony nawet uporczywem zazieraniem w modre oczęta kuzyneczki Lorci, nagle na ciężką wystawiony został próbę!... „Są rzeczy na niebie i na ziemi etc.“, wywnętrzył się był powołany w poprzednim obrazku papa Szekspir, który *także* zajmował się autorstwem dramatycznem, a wypowiedział to w proroczej zapewne wizji, *mnie* mając na myśli i *panne*... Lecz nie wyprzedzajmy toku wypadków.

Moi państwo! Dla serc i budy Thespisa Zachodu niema ni Wschodu, nie istnieją stopnie geograficzne, granice, ni przestrzenie — jeśli zaś w sąsiedztwie Jamny zagadkowe zrządzenie losu umieściło Zagórnik, dlaczegożby nieopodał Jodłowiec na ten padoł płaczu i zabójczej miłości ci-

snąć nie miało powabnego Kurnika?... Zagórnik nie różnił się prawie od Kurnika; przypuszczam nawet, że Kurnik z Zagórnikiem równocześnie ongi wypaść musiały z biesag przelatującego „ducha dziejów“ — jeno, że pierwsze to „miasto“ w sanockie, drugie zaś w mazurskie runęło błoto... Atoli do rzeczy.

Od kilku dni zauważyłem pewne zaniepokojenie we wzorowem stadle, prześcigającem się w najrozmaitszych próbach tuczenia „mizernego“ mieszczucha; nie wypuszczano mnie tak łacno za ogrodzenia dworskie; starano się zatrudniać mnie bezustannie lekturą; panna Lorcia zaś do melodyjnego swojego szczebiotu podwójną dolała dozę słodyczy... I długo jeszcze byłby się ukrywał przedemną w tajemnicy powód tych szeptów po kątach i wtapiania we mnie niespokojnych spojrzeń, gdyby nie mimowolny wykrzyk serduszka, który niebacznie wyrwał się z różowych ustek kuzyneczki:

— Pan Lolo (tak zwano mnie do lat dwudziestu czteru)... pan Lolo tęskni do naszego miasta, bo go tam ciągnie magnes... Nieprawdaż?

— Magnes?...

Urwała i uszła z pokoju. Ba! od czego dworska propinacja?...

Moszko wyspiewał mi wszystko.

Do Kurnika zawitał „teatr“, pod osobistem głównem kierownictwem ImćPana Hilarjona, Ty-

burcjusza Sfinksa, celem rozpoczęcia szeregu artystycznych przedstawień... Że wieść ta zelektryzowała mnie gwałtownie, nikt z Was, Szanowni Państwo, nie wątpi, mianowicie po spowiedzi mojej, uwiecznionej w poprzednich obrazkach. Wprawdzie smętne echo fatalnego „*Souvenir de Zagórnik*“ ścigało mnie we snach jeszcze po upływie roku, mimo tego jednak bolesnego wspomnienia, zaraz nazajutrz rano, po ostatnim kubku żętycy, oraz po bezzwłocznem zneutralizowaniu tegoż kieliszkiem antidotum, dubeltówkę przerzuciwszy przez plecy, puściłem się manowcami jodłowieckiego boru do miasteczka.

I owo na rynku, na pierwszy rzut oka odkryłem cel mej wycieczki, przybytek Melpomeny... Poznałem go po stereotypowych dwu świerkach u wjazdowej bramy „pańskiego hotelu“ i po niepewnej barwy banderze, zwieszającej się smętnie z drążka u szczytu komina. Na ławeczce, obok bramy, niewieścia siedziała postać, przyglądająca się z zajęciem poważnemu pochodowi syczących zbawczyń Kapitolu, skubiących trawę na rynku pod figurą Ś-go Florjana. Postać ta, podniosłszy głowę, wyrzuciła z piersi urwane lecz wysokie: A!! Spojrzałem... przebóg!... To ona była... to była panna Sylwerja!...

Zabulkotało mi w sercu i rozżarzyło się w niem wygasłe popielisko wspomnień... Naprędce policzyłem w myślach wszystkie przeszywające

spojrzenia, któremi druzgotała jestestwo moje w Jamnie, przed, podczas i po owych kupletach ze „Skalmierzanek“... To też jednym skokiem zająłem obok niej miejsce na ławeczce — i w obec błękitu niebios, promiennej tarczy słońca, w obec Ś-go Florjana i maszerujących gąsek, z ust jej melodyjną, a następującą wysnułem relację z dziejów trupy w okresie ostatnich dwunastu miesięcy:

W Zagórniku (mimo katastrofy z świeżo odłączonym epigonem arendarskiej Krasuli, która to katastrofa tak niespodziewanie potężny zatarła efekt wallensztajnowskich papenhajmerów Emeryka Longina Gryffa) wiodło się „towarzystwu“ wcale nie źle. Natomiast w Suchych Moczarach, dwumiesięczna prawie słota zabójczy zadała cios przedsiębiorcy. Grywano przed pustemi ławkami; dochody ze „spektaklów“ pokrywały zaledwie koszta „rzęsistego“ oświetlenia; orkiestra mojżeszowa, posłannictwa szczytnego nie pomna, w połowie przeniosła się do obskurnej garkuchni „Pod kogutkiem“, w połowie zaś rzępolić jęła w okolicy po odpustach; *Szpagat* (pochwyciwszy „forszus“) umknął do Woźniakowskiego; *Hrabiemu* udało się dotrzeć aż do Krakowa; *Biskup* sprzeniewierzył się chwilowo Muzom, o innej, popłatniejszej marząc „kondycji“; *Kocia* zaś u miłosiernego jakiegoś proboszcza przyjęła występy gościnne w charakterze gospodyni... U rozwalonego ogniska Melpomeny, ni to Marjusz na gru-

zach Kartaginy, pozostał Emeryk Longin Gryff, strzegąc rozpaczliwie suflera, tudzież szczelnie kryjąc w zanadrzu jedyną parę trzewiczków panny Sylwerji, czem uniemożebnił puszczenie się tejże w ślady zbiegłej braci. Gdy nadto właściciel gospody zajął w zastaw dekoracje i garderobę, tuzin zaś Abrahamów, Izaaków i Jakubów złowrogo potrząsał wekslami — genialne jeno przecięcie gordyjskiego węzła ocalić mogło przyszłość niedobitków... Emeryk Longin Gryff znikł nagle z horyzontu Suchych Moczar wraz z panną Sylwerją i suflerem... i przepadł jak kamień w wodę, dekoracyj uroniwszy i papenhajmerów, ni to ów lis-mykita, który w żelazne ujęty kleszcze, łapę sobie odgryza, byle tylko nędzne ocalić życie... I oto po upływie zaledwie trzech tygodni, o mil kilkanaście na południe od Suchych Moczar — w Gołogórach — cudem jakimś wypłynęła nowa trupa: Ewarysta, Symforjana Pełki, której ozdobę stanowiła „mleczna siostra jednej z najpierwszych tragiczek Warszawy“. Wypłynęła owa trupa, ażeby po efemerycznej żegludze po chwiejnych fluktach rozmaitych finansowych operacyj w Biednicy, Nędzotach i Głodomorku, ponownie „dać nura“ w Przepadlińcach... Niezłomność jednak zasad i hart duszy, niepojęte stwarzać umieją cuda!...

Olbracht, Prot Feniks. urągając ścigającym go przeciwnościom losu, pokazał znowu głowę,

wynurzając się z toni na rynku Kurnika wraz z trupą, dekoracjami, garderobą i... „mleczną siostrą jednej z najpierwszych tragiczek Warszawy“... Istnieje pono przypowiastka: „ciśnij nagiego niemca do Dunaju lub Szprei, a wypłynie we fraku i w cylindrze“... Panowie! Pogrążcie Emeryka, Longina Gryffa — Ewarysta, Symforjana Pełkę — Hilarjona, Tyburcego Sfinksa — Olbrachta, Prota Feniksa — pogrążcie go w najgłębszych toniach Spokojnego Oceanu, w stanie, w jakim wydało go na świat łono matki-natury, a ręczę Wam iż do czteru tygodni wypłynie w Mrzygłodzie z trupą, dekoracjami i garderobą...

— Jakimże trybem wiedliście we dwoje żywot w krytycznych chwilach, zanim udało się wam zreorganizować „towarzystwo“? — zapytałem Sylwerję.

— Oh, „starszy pan“ przebiegła to sztuka; fantazji nie traci w najokropniejszych kataklizmach. W Szkorbutówce, po trzech dobach życia „na borg“, zdołał u starostwa wyrobić sobie koncesję na przedstawienie: „Powrotu Mojżesza z ziemi Egipskiej“, które naśladować miało produkcje religijno-dramatyczne w Oberamergau... Dnie Krzyżowe nadawały się wyśmienicie do tego rodzaju przedstawienia, świątobliwy zaś przedmiot, zapożyczony ze Starego Testamentu i trzyłokciowe, czerwone afisze liczną zgromadziły publiczność.

— Jakto? podróż tę odegraliście — we dwoje?

— A we dwoje. Gdy podniosła się zasłona, siedziałam jako chłopiec-pastuszek na skrzyni, przedstawiającej skałę. Wchodzi „starszy pan“, udrapowany w starą firankę, jako Mojżesz. „Czy tędy droga do Jerozolimy?“, pyta — „Tędy“, odpowiadam. — „Pójdź za mną!“ — i wychodzi. Ja za nim. „Starszy pan“ zabrał kasę i w nogi ze mną do Baranic...

— A publiczność?

— Czekała z pół godziny na „ciąg dalszy“, a nie doczekawszy się, rozeszła się do domów. — W Baranicach udało się nam jeszcze sprytniej. Zapowiedzieliśmy afiszami na mój benefis: „Dam nogę!“ Odwidziliśmy wszystkich miejscowych honoracjorów. Wyprzedało się bilety i naddatków uzbierała się spora sumka. Byłabym z tą sumką drapnęła od „starszego pana“ — cóż, pilnował mnie jak czart grzesznej duszy.

— I znów graliście we dwoje?

— A to po co? Zebrawszy pieniądze „daliśmy nogę“, zgodne z zapowiedzią na afiszu.*)

W podobnym rodzaju toczyła się zajmująca nasza pogawędka na ławeczce przed „pańskim hotelem;“ gdy jednak słonko południowe przypiekać zaczęło, panna Sylwerja, ująwszy mnie za rękę, powiodła do oparkanionego ogródka za

*) **Autentyczne.** Obacz wspomnienia E. Web... z życia trupkoczujących przed kilkudziesięciu laty. **(Przyp. aut.)**

oficyną, gdzie pod rzeźwiącym cieniem wiszenki, wśród woni polnych róż i świergotu czupurnych wróbli, zmieniła nagle przedmiot interwiew'u, przypuściwszy do słabo bronionej twierdzy młodzieńczego serca atak niesłychanie energiczny a morderczy. Źrenice jej sypały kongrewskie race, usta zaś wśród plutonowego ognia krzyżujących się westchnień, prażyły nieopatrzną ofiarę ciężkimi pociskami podchwytliwych zagadnień... Wobec tak dzielnego a rutynowanego przeciwnika, łacno pokonany, złożyć musiałem broń... Ach, bo też porywającemi iście tyrady, uchyliwszy zasłonę przeszłości, skreśliła mi rozczulające szczegóły romantycznej swojej biografji...

Panna Sylwerja była (naturalnie!) ofiarą zdradzieckiego *fatum,* które od wieku znęcało się nad znakomitem, iście *high-life* gniazdem jej rodziny... Pseudonim jej teatralny ukrywał przed oczyma pospolitego gminu potomczynię karmazynowych kasztelanów i wojewodów... Ojciec, przez czarny podstęp i podstępną zdradę wyzuty z kolosalnych majętności, zginął na dyspepsję z racji spożycia zatrutego udka aligatora, właśnie w chwili, gdy ludożercy wyspy Gwadelupy ofiarowali mu królewską koronę... Matce pękło serce na wieść o tragicznym zgonie małżonka... Sierota (w tajemnicy przed rodziną) w głębi borów Polesia wychowana, uledz musiała nieprzepartemu popędowi talentu, przeważnie

zaś brutalnemu naciskowi konieczności i „poświęciła się“ zawodowi artystki dramatycznej... Lubo osaczona miliardami pokus, przez wzgląd na wysoki ród i krew błękitną, płynącą w jej żyłach, przechować umiała niepokalaną czystość śnieżnej lilji, której dziewiczego kielicha nawet muszka świętojańska dotknąć nie śmiała skrzydełkiem!... Powodzenie świetnego talentu artystki, jak zgrzyt noża po marmurze, obudziło z uspienia żądełka zoilek-koleżanek; drżały przed nią w Krakowie, we Lwowie i w Poznaniu; lękały się jej srodze w Warszawie; nawet we śnie, prześladowało ją widmo Halpertowej, torturując wzniosły jej umysł jadem zazdrości!... Talent ten wielki, olbrzymi, niepojęty, również jak rekuzy, dane konkurentom do białej jej rączki trzem hrabiom i siedmiu baronom, oto kryterjum niecnych, oszczerczych pogłosek, dybiących na dobrą jej sławę... Szepcą wprawdzie po zaułkach, że matka jej była praczką na Podwalu, że zaś córka, sprzykrzywszy sobie igiełkę, uszła z magazynu z jakimś tam wachmistrzem od dragonów, — ona jednak czuje się wyższą nad wszelkie potwarze złych języków... Tyle jeno prawdy, iż Joslowi Szturmfiszowi dłużną jest za stancję 15 guldenów 75 centów w austrjackiej walucie; atoli fakt ten dowodzi jedynie zaparcia się artystki, oraz jej fenomenalnej cnotliwości... Gorżkie przebyła i przebywa chwile; spokojnie

jednak spogląda w przyszłość, szukając serca, któreby ją pojąć i ocenić zdołało... etc... etc...

Dodajcie do czułej tej spowiedzi woń róż, wróbli świegot, gorące uściski dłoni i kaskady łez, z pod spuszczonych tryskające rzęs, a pojmiecie, dlaczego zawrzałem kipiątkiem świętego oburzenia na świat zły i przewrotny, dlaczego roztkliwiłem się jak niemowlę nad okropnym losem wojewodzianki.

W godzinę potem wracałem lasem do Jodłowiec, załzawiony, rozmarzony, rozanielony i... lżejszy o 15 guldenów 75 centów w austrjackiej walucie...

*

Codziennie, po obiedzie, z dubeltówką na plecach gubiłem się w zrębie „Na żupanie“ — i codziennie późnym powracałem wieczorem. Wujenka utyskiwała na zasępiony wyraz pobladłego mego oblicza; wujaszka dziwiło niepomiernie, iż z najlepszego miotu regularnie powracałem z próżnemi rękoma i że słowa nie wspominam u kurnickim teatrze; kuzyneczka zaś Lorcia szpilkowała mnie przy każdej wieczerzy, zapytując od czasu do czasu z przekąsem:

— Panie Lolu!... Co ładnego widział dzlś kuzynek w lesie?

— Nic, kuzyneczko... W borze dumam, układając scenarjusz nowej trajedji.

— Czy tytuł jej: „Obłuda wierszoklety?“

— Nie, kuzyneczko... „Przekora pensjonarki.“

Aż tu pewnego dnia, właśnie gdy z dubeltówką przez ogród puściłem się ku „Żupanowi,“ staje nagle przedemną kuzyneczka i (wścibska za pozwoleniem, jak każda białogłowa) zagadnie znienacka, patrząc mi bystro w oczy:

— Co to za cedułka wypadła kuzynkowi z kieszeni, przy obiedzie?

— Mnie?... Cedułka?... Nie wiem nic o żadnej cedułce...

— W istocie? — i ćwiarteczkę, wydartą z moich notatek, z tryumfem wznosi nad główką.

Zarumieniłem się po same uszy... Karteczkę tę wydrzeć mogła tylko ona!...

Trzeba Państwu wiedzieć, że już od pierwszej klasy gimnazjalnej, rodzic mój, uczony fizyk i matematyk, przyuczał wyrostka do skrupulatnego notowania wszelkich wydatków, pragnąc w ten sposób nerwowego, niesfornego, ciągle po mlecznych gdzieś drogach bujającego ducha, przyuczyć do pewnej żywota metody. Oto, co na karteczce tej wiernie wypisałem:

Niedziela. Dla Josla Szturmfisza za stancję 15 fl. 75 ct.

Poniedziałek. Przesyłka ryżowego kapelusza z Przemyśla (pranie i wstążki) 4 fl. 42 ct.

Wtorek. Na poczcie porto za zarzutkę ze Lwowa 1 fl. 30 ct.

Środa. Dwa pakiety karmelków z Przemyśla 2 fl.
Czwartek. Pakiet ditto, ditto, 1 fl.
Piątek. Ćwierć funta, ditto, 25 ct.
Sobota. Wiadome gruszki 13 ct.

W pierwszej chwili zdławił mnie kurcz w przełyku tak, że z miną winowajcy, to blady, to ponsowy, nie mogłem wykrztusić ani słówka; zebrawszy nareszcie całą odwagę, zawołałem oburzony, wyrywając jej z rączki *corpus delicti:*

— Bardzo proszę... To moje rachunki jeszcze ze Lwowa. Winszuję kuzyneczce sprytu, z jakim plądrujesz po kawalerskich tużurkach!

Dziewczęciu łzy trysły z pod powiek. Uszła...

Od tej chwili panna Lorcia, w odpowiedzi na moje zapytania, nigdy nie używała innych wyrazów, krom: *tak... nie — tak... nie!*

*

Tu — posługując się efekcikami kunsztu pisarskiego — powinienbym zamieścić np. apostrofę do pierwszej, młodzieńczej, różowej, poetyczno-platonicznej miłości... Możnaby napomknąć nieco o bożku wszechwładnym Erosie, przytoczyć dużo zaklęć, przysiąg, zawracań oczu, westchnień przytłumionych i t. p. rzeczy, które wynikiem są wiwisekcji, dokonywanej za młodu na naszych sercach przez szalonego partacza Kupidyna.

Wolę jednak zaniechać podobnego rodzaju zboczeń i fioritur, wymienionym zwyż wylewom

uczucia dając za wygrane; zwracam jeno uwagę Państwa na przytoczony zwyż rachuneczek, w którym cyfry wydatków z dnia na dzień z przerażającą obniżają się szybkością. Przyczyny tego zjawiska szukać należy nie w stygnięciu sercowej lawy, lecz w pospolitem wyczerpaniu t. zw. „środków materjalnych“ terminującego dramaturga, któremu marzyć dopiero wolno o tłustych tantjemach... Zresztą „dla kochanka i kochanki dość chatki pustelnika!“... Któżby z Was jednak dał temu wiarę, Szanowni Czytelnicy, iż o ile deficyt *rósł* w mojej portmonetce, o tyle właśnie, w prostym, arytmetycznym stosunku, *ubywała* w niepojęty sposób czułość panny Sylwerji?... Wyrzuty moje zdawały się ją niecierpliwić; spóźnione przybycie dawniej tak oczekiwanego, przestało z ust jej wyciskać skargi, z powiek gorżkie łzy... Pewnej niedzieli nie ukazała mi nawet uroczej swojej twarzyczki pod pozorem niedomagania, acz gruntownie wywiedziałem się od suflera, iż ze swywolą broiła na porannej próbie i perłowym swoim ząbkom nie pożałowała dwu potężnych kromek chleba z masłem...

Niepokojące one symptomy rzuciły w głąb mojego mózgu żagiew piekielnej zazdrości; żagiew ta roznieciła pożar, który jednym rzutem ogarnął nagromadzony zapas palnych materjałów młodzieńczej krewkości...

Na pozór zimny i spokojny, jakkolwiek stra-

szliwa hydra szarpała mi wnętrze, milczkiem rozwinąłem cały aparat śledczy, z subtelnością chemika analizując każde półsłówko „kobiety z kamienia“; wymykałem się niespodziewanie od jej boku; wpadałem znienacka za kulisy; a jak ją podglądałem!... Wszystko napróżno... Uznawszy w końcu nieporadność moich usiłowań bez zawarcia skrytego sojuszu, rozglądnąłem się za wspólnikiem.

Sufler, *recte* Wilczek, przezwany Bibułą (zapamiętałym bowiem był lubownikiem wszelkiego rodzaju cieczy alkoholem zaprawnych, nie mniej syconych chmielem), zaklęty w imię starej znajomości, przyjaźni i t. d., szepnął mi nareszcie, po pewnym namyśle, do ucha:

— Zafunduj mi pan pięć kufelków „pohulanieckiego“ i daj mi słowo, że nie zdradzisz.

— Dziesięć słów i dwadzieścia kufelków!

— Pójdźmyż więc „Pod gwizdającego raka“.

Usiedliśmy „Pod gwizdającym rakiem“ w kąciku, za stołem; tu Bibuła po wysączeniu trzydziestu i trzech kufli, dokonał zręcznej operacji zdjęcia mi katarakty z oczu, wyjawiając mi dokumentnie:

Primo, że panna Sylwerja bez żenady w obec kolegów i koleżanek nazywać mnie zwykła „rozwierżgańcem“, —

- *Secundo*, że nosiła się ze stanowczym zamiarem „puszczenia mnie w trąbę“, skoro wręczę jej przyobiecane trzy „sztuki“ na benefis, —

Tertio, że nagle sympatje swoje zwróciła w stronę pana Nicefora Shlastal, c. k. adjunkta podatkowego w Samochwałach, który pięćdziesięcioletnim wprawdzie był kawalerem, któremu jednak ciotka, „damska“ rzeźniczka z Jarosławia, każdego pierwszego przysyłała *Zulage* w kwocie 30 złotych austrjackiej waluty, —

Quarto, że pan Nicefor sprowadził pannie Sylwerji owę zarzutkę ze Lwowa, za którą opłaciłem tak drogie porto, —

Quinto, że codziennie po „spektaklu“, a zatem po 10. godzinie z wieczora, zdradziecka Hero schodzi się ze swoim Leandrem w Olszynce, za rogatką, pod t. zw. krzyżem „wisielca“.

Piorunem ugodziła we mnie straszliwa ta wieść. Zawrzało we mnie piekłem... Jakto?... Kasztelanów i wojewodów szlachetna latorośl, córa pretendenta do tronu ludożerców na wyspie Gwadelupie, tak nizkim uległa instynktom?... Znakomita sztuki kapłanka wzgardziła sentymentem natchnionego syna Feba i afekt swój płocho zwróciła ku c. k. podatkowemu adjunktowi?!...

Zemsty!... Zemsty!...

Wypadłszy z „Pod gwizdającego raka“ pomknąłem gościńcem i zagłębiłem się w bór, by na wilgotnej murawie, moralnie zdruzgotany, krwawą snuć przędzę mściwych rojeń... I zdawało mi się, że niewidzialny chór szatanów obsiadł mnie dokoła, dmuchając ku mnie z mieszków rozpalonem powietrzem Sahary.

Nazajutrz we dworze obudziła mnie demoniczna fluksja; atoli cierpienia fizyczne, ni moralne, nietylko nie zdołały ostudzić żaru wściekłości, jakim pałała moja dusza ku całemu niewieściemu rodowi, lecz nadto spotęgowały go w dwójnasób... Korzystając z lekkiego obrzmienia twarzy, zamknąłem się w moim pokoiku, ażeby nie pokazać się ani przy śniadaniu, ani przy obiedzie. Podwieczorka, ni wieczerzy nie tknąłem, lecz rzuciwszy się blady, z wypiekłymi policzki, na sofkę i wlepiwszy w powałę wzrok ponury, przesiedziałem w nieruchomej tej pozycji godzin z rzędu co najmniej szesnaście... Ha!... Tysiące rozmaitych pomysłów pomszczenia się na wiarołomnej wirowały mi w czaszce, gniotąc mi mózg i paląc go piekielnem zarzewiem...

Wyzgrzytała kukułka zegarowa dziesiątą w nocy; dwór spoczywał głęboko, pogrążony już we śnie, gdy nagle zerwałem się na równe nogi. Z kłębowiska najbardziej skomplikowanych płodów rafinerji wyłonił się pomysł, twórczej godny fantazji... Związawszy z szalonym pospiechem zawiniątko, skoczyłem z okna i pomknąłem ku stajni... Matwij, którego osobliwymi szczyciłem się względami, przyzwyczajony zresztą do wybryków „panicza ze Lwowa“, osiodłał mi na prędce karego wierzchowca wujaszka... Skoczywszy w siodło, cichaczem wydobyłem się z dziedzińca i cwałem puściłem się ku miastu... Przed rogatką,

zsiadłszy z Karego, powiodłem go w krzaki w bok gościńca i rozwinąłem tobołek. W dziesięć minut dosiadłem rumaka, owleczony w ekscentryczny zaiste kostjum z garderoby Molocha... Tak górna, jak i dolna połowa mojej postaci, tkwiła w jaskrawo-czerwonych trykotach (w które troskliwa matka nie omieszkała „od wszelkiego przypadku“ zaopatrzyć pokaszlującego jedynaka, wybierającego się „w góry“); głowę opasywała mi chustka fularowa wujenki, barwy *sang de boeuf*... Dodajcie do piekielnej tej garderoby dzianeta czarnego jak kruk, i owo żywy wizerunek Samiela z „Wolnego strzelca“...

Przy jasnem świetle księżycowej pełni, przesadziwszy rów, puściłem się strzałą ku Olszynce, od strony miasteczku przeciwnej... Mały ten gaik, gęstwiną podszyty, od wieków odgrywał rolę „alei westchnień“, jako jedyne miejsce czułych schadzek rozmarzonych Romeów i Juliett Kurnika. W pośrodku gaju, na polance, wznosił się spróchniały krzyż dębowy, o którym fantastyczne krążyły legendy; opowiadano sobie, iż stoi on na zapadłej mogile jakiegoś wisielca, pogrzebanego ongi w niepoświęcanej ziemi Olszynki.

Gęsta trawa pastwiska głuszyła tentent kopyt. Dopadłszy lasku, powstrzymałem bieg Karego i odginając gałązki młodych olch i leszczyny, podsunąłem się ostrożnie pod krzyż wisielca.

Spojrzałem... Tak, to ich dwoje... Jak gru-

chająca para turkawek siedzieli pod krzyżem, na kurhanku, tyłem odwróceni odemnie... On, — nędzny uwodziciel — tulił ją do łona w czułym uścisku: ona, — anioł upadły, — uchyliwszy wdzięcznie skroni, w oczy mu patrzyła miłośnie... Nieopodal, gdzieś na gniazdku, tęskne trele wywodził słowik... Pst, to ona mówi:

— O luby!, przez wzgląd na wysoki ród i niebieską krew płynącą w moich żyłach, serce to zachować umiało niepokalaną czystość śnieżnej lilji, której dziewiczego kielicha nawet muszka świętojańska dotknąć skrzydełkiem nie śmiała...

— A ten *sem jugendlicher Held* z Lembergu?

— Kto?... On?... Ten smar....

Nie! nie powtórzę... Krew uderzyła mi do głowy... spiąłem konia... przesadziłem mogiłkę i jednym skokiem stanąłem przed przerażoną parą.

— *Himmel! Der todte Wiszeletz!* — wrzasnął zrywając się Leander.

— On! — piskliwym wykrzykiem zawtórowała mu skostniała Hero.

— Tak, on — zawołałem głosem grobowym. — Ten sam, którego nikczemną zdradą pchnąłaś w objęcia lodowego grobu!...

— Umarłeś?! — jękła głucho, zasłaniając sobie oczy.

— Na śmierć — od samobójczej kuli — przed półgodziną! — Biada ci... biada... biada!!! —

— *Mein Gott!... Mein Gott!* — zakwilił pan adjunkt podatkowy, rzucając się w krzaki.

— Panie Zhlastal!! — piszczała wiarołomna, puszczając się zanim, jedną ręką chroniąc oczy przed widokiem samobójcy, w drugiej zaś ściskając kurczowo połę surduta uchodzącego cicisbeja. Łacniej jednak powstrzymałbyś w biegu spłoszoną sarnę!... Pan Zhlastal dzikimi jęcząc tony, wlókł za sobą pannę Sylwerję... Niestety, wątły materjał adjunktowej powłoki uległ fizycznemu prawidłu „o dwu przeciwlegle działających siłach“... poła pękła... z okropnym wrzaskiem zgrozy dwa ciała runęły w trawę... Atoli strach wielkooki równocześnie poderwał je na nogi... Jak sprężyną pchnięci podskoczyli oboje... Lecz cóż to?... Przy jasnem, bardzo jasnem świetle pełni księżycowej łysnęły dwie fatalne, jak kolano nagie łysiny... U nóg pana Nicefora zmięty leżał przedmiot, w którym poznałem rudą perukę kochanka; u haftki zaś stanika panny zwieszał się melancholijnie długi przedmiot, niby smukła gałązka brzozy płaczącej — a były nim krucze sploty kochanki.

Mój Boże!... Mój Boże!... Tak stara... tak brzydka... a co gorsza, tak śmieszna!...

Homerycznym wybuchnąwszy śmiechem, zawróciłem Karego i z lekkiem sercem ruszyłem gościńcem ku Jodłowcom, z zabójczej uleczony namiętności; przedemną zaś, ni to dwie gwiazdki, biegły... biegły... modre oczęta kuzyneczki Lorci.

Katastrofa pod Cholewkowem.

I.

Lipcowe słonko przypiekało w południe, widocznie w upartym zamiarze odszkodowania sobie całego tygodnia słoty. Nieopodal wezbranego i mętnego jeszcze koryta Dniestru, wzdłuż drogi wiodącej z Zagumna do Bajurzyc, wlokły się za sobą ospale trzy wozy, brnąc w kałużach błota po osie. Woźnice w jarmułkach, drzemiąc kiwali głowami to tędy, to owędy, skoro wóz w tę lub ową przechylał się stronę, od czasu zaś do czasu — wio! ho! — automatycznie poruszali biczyskami, nie odmykając nawet znużonych upałem powiek. Wychudłe szkapy, do podobnego rodzaju podróży przywykłe, nie zwracały zgoła uwagi na pobieżne te objawy życia nieruchomych automedonów, lecz opędzając się flegmatycznie chmarom zuchwałych bąków, krok za krokiem posuwały się naprzód ze smętnie wprawdzie zwieszonymi łbami, lecz i z uznania godnym stoicyzmem.

Na ostatniej z rzędu bryce piętrzył się stos tłomoków, skrzyń i dziwnego kształtu pomalo-

wanych płócien i kartonów. Natomiast pierwsze dwa wozy zajmowało dość liczne grono podróżnych, skupionych obok siebie jak przysłowiowe śledzie w beczce lub bracia mojżeszowego wyznania, w piątek pod wieczór na szabasowe zdążające modły.

Pierwszy wóz mieścił na tylnem siedzeniu trzy damy, które wobec wahadłowych ruchów wehikułu splotły się jak trzy gracje w serdecznym uścisku. Matrona z lewej, zażywna, podsadkowata, z przekwitłemi już różami na wyblakłych policzkach, dźwigała słomiane kapeluszysko o olbrzymich skrzydłach, związanych pod brodą zbrukanym fularem. Również niemłoda, szczupła niewiasta z prawej, owinęła skronie szafranową chusteczką, z pod której z pewnym zakrojem przedsiębiorczej zalotności, nagumowane, dwucalowe wyglądały filutki. Dama ta dzierżyła w ręku potężny, czerwony deszczochron, osłaniając nim dobroczynnie od pocisków palącego Heliosa tylną połowę bryki.

W pośrodku dwu tych przedstawicielek płci nadobnej, prawie na ich kolanach, usadowiło się (jakby dla kontrastu) młodziutkie, różowe, piętnastoletnie dziewczę o jasnych loczkach a zielonkawych, ruchliwych ślepkach jaszczureczki; główka, bez żadnego okrycia, spoglądała w świat ciekawie a krnąbrnie, pulchna zaś rączka, w długą słomkę zbrojna, manipulowała około nosów

siedzących naprzeciw a w głębokim śnie pogrążonych trzech mężczyzn, którzy porządkiem, jak słomka dotykała ich nozdrzy, pocieszne stroili grymasy. Trzej ci niezbyt gładko ogoleni panowie, typowymi odznaczali się rysami. Środkowy jegomość, nizki a pękaty, w połamanym cylindrze na ryżej peruczce, rozlał się sadłem na sąsiadów tak bezmiłosiernie, iż ci pod grozą tego potopu szczelnie przycisnąwszy się do drabinek i tak po obu bokach bryki napoły wychyleni, sztucznem tylko jakiemś ekwilibrjum utrzymać zdołali równowagę na snopie, udającym siedzenie. Sąsiad z prawej, wysoki, o herkulesowej budowie i kwadratowej facjacie, liczyć mógł około lat czterdziestu, podczas gdy ofiara z lewej, smukłym, bladym była młodzieńcem, którego nikła kompleksja (iście skóra i kości) nadawała się chyba do straszenia wróbli-szkodników po przydrożnych zagonach prosa.

W drugim z rzędu, węgierskim wózku, uprzężonym w jedną tylko rozynantę, wrzało za to życie, nieustannym kipiące gwarem, który od chwili do chwili w zapalczywą wybuchał kłótnię. Pośród rozmaitych pudeł i zawiniątek ulokowało się tam czteru młodych kawalerów w wyszarzanej garderobie i nader defektowej bieliźnie; braki te jednakowoż sowicie wynagradzały fontazie jaskrawych krawatek, oraz dziwnego kroju toki z piórkami, któremi potrząsali bundziucznie.

Dwu z nich siadło wprost ku sobie na tłomokach, dwaj zaś bokiem do towarzyszy balansowali tak zręcznie na drabinkach wozu, iż owa czwórka, mając pakę w pośrodku, cięła sobie na niej zapalczywego ferbelka... na kredyt do „pierwszego“.

W połowie odległości między Zagumnem a Bajurzycami, pod Cholewkowem, droga ze stromego pagórka spuszcza się ku Dniestrowi, przy którego przeciwnym brzegu starożytny kołysał się prom, osadzony na okrętowej linie. U wjazdu do rzeki zatrzymały się nasze wozy, budząc ospałych z objęć Morfeusza i kładąc tamę dwudziestej siódmej z rzędu kłótni amatorów „krótkiego“...

— Hola, he! Podawaj prom!

Skrzypnęła lina, plusnęły fale; galar, przy wytężeniu wszystkich sił przewoźników, zwolna ruszył ku podróżnym, którzy tymczasem skwapliwie wyskoczyli z wozów, by skurczone długiem siedzeniem wyprostować członki.

Wezbrany Dniestr szumiał złowrogo, unosząc w błotnych swych nurtach złomy jodeł, resztki płotów, belki i tarcice, widoczne jeszcze ślady niedawnego wylewu.

— Za nic w świecie! — zapiszczała podsadkowata jejmość w słomianym kapeluszu. — Róbcie co chcecie, ja się nie odważę. Zgrozą przejmuje obraz rozszalałego żywiołu... Filciu, dziecino...

— Daj mi mama spokój!

— Nieprawdaż, Fileczko, na ten widok coś tu mdli...

— Że mdli, to mdli.

— A widzisz.

— Ba, skoro się od rana nic nie miało w ustach!

Podsunął się ku pannie Filomenie blady, wymokły młodzieniec i westchnął.

— Spojrzyj pani w mętną tę toń... Jeden skok i po wszystkiem!

— Skacz pan sobie. I tak upał nieznośny...

— Okrutna! Dla kogoż opuściłem ławy gimnazjalne? dla kogoż z rodzicielskiego umknąłem domu? dla kogoż włóczę się z wami dwa już przeszło miesiące... Och!

— Nudnyś pan!

— To nie kobieta — to posąg z zimnego marmuru!

— Przepraszam, gdybym była z marmuru, to by mi głód nie dokuczał...

— Aniele!... Bóstwo!...

— Aniołowie nie tęsknią bodaj do pieczonych kartofli.

To rzekłszy, odwróciła się opryskliwie, wydymając z pogardą różowe usteczka.

— *Semper* — zawsze; *stomachus, stomachi* — żołądek... jęknął ponuro eks-gimnazjasta i w syczących odmętach mdlejące zatopił spojrzenie. — O ludzie, ludzie!... Plemię krokodyle!...

Uśmiech mają na ustach, a skryte sztylety w zanadrzu!...

— Tfi! Oszalał mleczak! — zahuczała basem cytrynowa dama z filutkami. — Kwęka „Karola Moora,“ zamiast skoczyć do karczmy i postarać się choćby o kufelek chłopskiego piwka.

— A będzie moją?

— Kto?

— Panna Filomena.

— Mądryś! Albo to ciotka jest matką? Zresztą wysługuj się młodzieńcze, a obaczymy...

Młodzieniec puścił się pędem ku karczmie, przed którą jegomość w peruczce wraz z Herkulesem i z ferbelkowiczami dopijali już z blaszanek rozcieńczonego pseudo-nektaru Gambrinusa. Tymczasem prom mozolnie przybił do brzegu, poczem trzy wozy wtoczyły się nań z łoskotem.

— Filciu! Ja nie popłynę!...

— Mamo, spóźnimy się do Bajurzyc na obiad; poco te komedje?

— Patrz, jak lina się chwieje... Nie myślę ginąć w wodzie!

— A ja na brzegu, z głodu!

— W pani nie tli ani skra uczucia! — zawodził nadbiegający z kufelkami blady młodzian.

— Idź pan do licha z tą lurą. Na płacz mi się zbiera.

— Łzy te radbym okupić życiem...

— Wolałabym pół porcji zamaszystych zrazów z kaszą...

Przekomarzaniu się bojownika romantyzmu z przedstawicielką prądu realistycznego położył tamę pękaty jegomość, nadciągający z resztą towarzystwa.

— Wsiadać! — gromko zawołał.

— Dyrektoruniu!... Dyziu — dodała ciszej matka panny Filomeny — drżę cała, umrę ze strachu.

— Zostań więc pani w karczmie, bo ja przed wieczorem stanąć muszę w Żydaczowie. Wsiadać! — Panie Macedoński!

— Jestem, dyrektorze. (Był nim ów blady, wysmukły młodzieniec).

— Uważaj pan na dekoracje. Jazda!

Kilka urywanych, spazmatycznych wykrzykników mamy, kilka piskliwych „daj-że mama spokój“ Filci, kilka basowych, uspokajających przedstawień cioci, jedno jeszcze „wsiadać baby“ pana dyrektora... Wsiedli. Skrzypiący prom opornie odbił od brzegu.

Cisza... słychać jeno tarcie kółek o linę, szum i plusk żółtych, gęstych wód chłoszczących zaciekle bok galaru, nawoływania dyszących ciężko przewoźników, tkliwe westchnienia bladego zbiega i głośne pukanie serc reszty podróżnych, którzy dopiero na środku wartkiego prądu groźne przeczuli niebezpieczeństwo... Chyżo nadpłynął porwany gdzieś falą tram i jak taranem ugodzić już miał w ścianę galaru, gdy zręcznem

pchnięciem bosaka jeden z przewoźników inny mu nadał kierunek.

Odetchnęło przelękłe grono; galar zbliżał się już do swego celu, gdy nagle z trzaskiem złowrogim pękła zbyt wytężona lina, prom zaś, obróciwszy się szybko około swej osi, pomknął z prądem.

Wrzask okropny wstrząsnął powietrzem... Wszystko co żyło rzuciło się ku przodowi nawy; ta przechyliła się pod naciskiem ciężaru i wóz z dekoracjami, rwąc za sobą biedne szkapiska, runął do rzeki. Równocześnie prawie, krawędź galaru uderzywszy o brzeg, wstrzymała pęd jego na chwilę. Uderzenie to zwaliło z nóg struchlałe „towarzystwo“.

— *Semene, trymaj!*

Przewoźnicy, raźnie skoczywszy na ląd i pochwyciwszy za łańcuchy promu, przytrzymali go szczęśliwie... Konie, szarpiąc się, wydobyły wóz na brzeg, dekoracje jednak z całym taborem pak i skrzyń popłynęły z prądem ku Czarnemu Morzu.

Z podróżnych pierwszy stanął na ziemi-zbawicielce blady nasz młodzian, garnąc do jasnokościstych swych żeber pannę Filomenę.

— Ocaliłem cię, aniele! — zawołał dumnie, stawiając ją ostrożnie na piasku.

— Co mi za Herod macedoński! — odcięła panienka i nagle głośnym wybuchnąwszy śmiechem, wskazała w kierunku gramolących się

w popłochu towarzyszy. Rozpychając się wzajem, obdarzając się bezwzględnie kułakami, tłoczyli się coprędzej na brzeg. Matrony kapelusz, dziwacznie wykoszlawiony, sterczał jej po za lewem uchem, podczas gdy skłębiony fular zapchał mamie usta, z których nieartykułowane dobywały się tony. Cioci szafranowa chusteczka jak flaga powiewała w powietrzu, jeden zaś z filutków, zmieniwszy samowolnie kwaterę, zaglądał jej ciekawie do noska. Czerwony parasol, haniebnie fiszbinami wywrócony na nice, zastępczo pełnił służbę hełmu na skroniach seledynowego z przerażenia Herkulesa; za wszystkimi zaś, jak dynia, świeciła naga mózgownica dyrektora, który w zamięszaniu machając zdartą peruczką, wielkim wołał głosem: „Jestem zgubiony — zrujnowany — zarżnięty bez noża!“...

Tegoż samego popołudnia gruchnęła po najbliższej okolicy wieść czarna, że pod Cholewkowem wzburzony Dniestr pochłonął z kretesem całą wędrowną trupę pana Dyzmy Filarkiewicza, to jest: samego pana dyrektora, amantkę, szlachetną matkę, subretkę, naiwną, bohatera, intryganta, charakterystycznego komika, rezonera, bon-vivant'a i mnogą liczbę młodych adeptów sztuki obojga płci, ogółem około osób trzydziestu, wraz ze stu dwudziestu pięciu centnarami rozmaitych arcykunsztownych przyborów i dekoracyj. Jeśli tak szczegółowo ten fatalny opisałem wy-

padek, to w celu, iżbyście się, Szanowni Czytelnicy, przekonali, jak to stugębna fama, zwykłym na świecie trybem przesadza nad miarę, z komara robiąc słonia. Niemniej ze stanowiska historjografa przekazać chciałem potomności *modus*, w jaki podobnego rodzaju wycieczki artystyczne odbywać się zwykły.

A jednak, komar czy nie komar, któżby mógł się był spodziewać, że katastrofa na Dniestrze nieprzewidzianym skończy się pojedynkiem, w którego przebiegu wasz historjograf niepoślednią odegrać miał rolę...

II.

Nad dziewiczej Pełtwi zrodzony zdrojem, w stolicy królestwa, na którego herbowej tarczy (przypadkiem, lub może z umysłu) fatum krzykliwą namalowało „kawkę“ czy „gawrona“ — spędziłem między grodecką a łyczakowską rogatką całą moję młodość. Składam solenne to oświadczenie *coram populo* z całym naciskiem i z całą stanowczością, w tem dręczącem mnie jasnowidzeniu, że po moim skonie Kulików, Mościska lub inne niemniej słynne i zasłużone miasto galicyjskie wystąpi kiedyś z pretensjami, dowodząc, jakobym w jego murach ujrzał światło dzienne lub przynajmniej zgłębiał misterje wielkiego i małego abecadła. Przezornie z góry tak

zapobiegłszy zwadzie, w rodzaju tej, jaka n. p. zawrzała po śmierci nieboszczyka Homera, dołączam tu nader ważny dla przyszłego biografa szczegół, iż corocznie, w miesiącach wakacyjnych, skwapliwie brałem rozbrat z wonią rodzimego ruczaju oraz z wapienną lwiego grodu kurzawą, by z niepohamowanym zapałem mieszczucha, w tkliwej kontemplacji przyszłego (z przeproszeniem) wierszoroba, wiejską napawać się sielanką. Ponieważ zaś na ten padoł płaczu nieco zbyt choleryczny i kapryśny przyniosłem z sobą temperament, lubujący się bez końca w nowalijkach, perypetjach, przewrotach i zmianach, co roku tedy w innej grasowałem okolicy, wzdłuż karpackiego podnóża od Prutu po Dunajec.

Owoż w chwili zwyż opisanej katastrofy, otrząsłszy się z wampirowego brzemienia „matury,“ lekki jak ptaszę, bujałem właśnie po niwach sąsiedniej wioski naddniestrzańskiej, gdy Szloma, zięć arendarza, z bułkami i mięsiwem powróciwszy z Bajurzyc, Hiobową w karczmie rozgłosił nowinę; ponieważ zaś podówczas wirowały mi już w mózgu mgliste zarysy kilku okropnych, krwią i mordem dyszących trajedyj, nieprzeparta zaś moc przeznaczenia parła mnie ku budzie Thespisa, — rzeczą przeto naturalną, iż w skok stanąłem zadyszany przed ratuszem podgórskiej mieściny.

Mianem ratusza sławetni autochtonowie

ochrzcili kulawą i garbatą karczmę, która rozsiadła się w pośrodku tak zwanego rynku. Połowę domostwa zajmował urząd gminny i kancelarja p. burmistrza wraz z izbą radną, nad drugą zaś połową ponętnie kołysała się wiecha, symbol miejskiej propinacji. Panowie rajcy mieli tedy niezaprzeczoną wygodę: z wygody zaś korzystać tak nawykli, iż zwoływani „na radę“ zamiast zdążać na prawo, gubili się na lewo, zkąd żadna siła ludzka przed północą wydobyć ich nie zdołała, w skutek czego wielce szwankował wiecznie a napróżno oczekiwany „komplet“... Przed drzwiami wiodącemi do miejskiej tej instytucji „zalewania robaka“, tłoczyła się gromadka ciekawych; wewnątrz zaś izby, na ławach i ocalonej garstce pak i skrzynek, spoczywała żałobna trupa artystyczna pana Filarkiewicza, przywodząca mimowoli na myśl pożałowania godną grupę Niobidów. Mama wraz ciocią, łkając z cicha, leżały sobie w objęciach; smętne oblicze pana Mikuły ponuro zwieszało się nad kieliszkiem jamajki; czterej zaś zapamiętali wyznawcy hazardu, pokurczeni na resztkach kawalerskich swoich manatków, w milczeniu dumali nad niestałością fortuny i znikomością rzeczy ludzkich; jedynie panna Filomena pod oknem swobodnie przekomarzała się z bladym młodzieńcem, p. Filipem Macedońskim, bebniąc w szybę różowymi paluszkami. Na środku izby pan dyrektor, w rozgorycze-

niu załamując ręce, powtarzał poraz setny burmistrzowi:

— *Finita la comedia,* panie prezesie dobrodzieju! Żółć się we mnie poruszyła... Jestem zrujnowany. Jeżeli gród ten inteligentny nie poda mi dłoni pomocnej, owoc ciężkiej pracy całego żywota, fiut, popłynął z wodą niepowrotnie! Przepadły przepyszne dekoracje ze Lwowa, arcydzieła penzla!... Djabli wzięli bogatą garderobę, tak teatralną, jak i prywatną dam tych i panów, wartości (między braćmi) trzech przynajmiej tysięcy, nie licząc jedwabnej żółtej sukni z trenem i z czarnemi koronkami!... (Tu ciocia głośnym zaniosła się płaczem). Wszystko to jednak niczem (lamentował dalej pan Filarkiewicz) wobec faktu, iż w tej chwili Syreny Dniestru rozchwytują całą moję kasę, ot taki gruby pęk banknotów, złożonych w nowiutkim safianowym pugilaresie na dnie mojego tłomoka... O, panie prezesie dobrodzieju, to boli!... Okrutnie boli!... Ha no, jeszcze po jednej piołunkówce!...

Chichot niepoprawnej panny Filomeny, obojętnej na tragiczne następstwa katastrofy, zwrócił moją uwagę w stronę okna. Ciekawem spojrzeniem objąłem pannę i bladego jej towarzysza; bladego młodzieńca wzrok spotkał się z moim — i jednym rzutem w serdecznym utonęliśmy uścisku.

— Filipku, to ty?! — *Philip der Grosse!*

— Tak, to ja.

Uściskaliśmy się raz jeszcze.

— Koleżko — (szepnął mi do ucha) — na miłość Boską pójdź, zafunduj bodaj serdelka, bo trupem padnę z głodu...

Zaciągnął mnie do alkierza. Pani propinatorka migiem zastawiła stół rybą po żydowsku, piernikiem i dzbanem miejscowego piwa, poczem wyniosła się dyskretnie. Filipek, rzuciwszy się jak wściekły wilk na te przysmaki, zmiótł je za jednym zamachem, pociągnął ze dzbana i odsapnąwszy z lubością, krzyknął nagle uderzywszy pięścią w stół:

— Wiesz, „spalili“ mnie zdrajcy!... Z każdego „przedmiotu“ na wyrywki połknąłem po kilkanaście arkuszy, przeżegnałem się i siadłem do „matury“ w Złoczowie. Zaczęli od historji. Pyta mnie Okularnik o jakąś tam „pragmatyczną sankcję“... Umiałem jak pacierz „wędrówkę narodów“ — —

— I cóż?

— Jakto, cóż? Palę im „wędrówkę narodów“ od początku bez zająknienia.

— I nie przerwano ci?

— Owszem. Zrazu próbowali, potem przycichli i czekają... Odbębniłem z półtora arkusza; mówią: dość. Zagaduje mnie sam inspektor: „Proszę przytoczyć mi powody przeniesienia się papieztwa do Awinionu“... Trafił jak kulą w płot, myślę sobie. Historji kościelnej nie liznąłem; natomiast wpadła mi na myśl biblia...

— Jakto biblja?

— Ha nic! Pal djabli; mówić cobądź, byle mówić śmiało. Odchrząknąwszy tedy, recytuję płynnie: „Bóg stworzył niebo i ziemię w dniach sześciu; siódmego zaś dnia spoczął.“ — Inspektor machnął ręką, zanotowali coś i zabrali się do łaciny.

— Jakże wypadła łacina?

— Wywinąłem się jako tako, ratując się nieco ministranturą.

— A greka?

— Otóż to, w grece utknąłem fatalnie... Jak mnie zarwali z „Anabazy“ i „Katabazy,“ struchlałem, lecz ciągnę... W tem licho nadało przeklęty jakiś „aoristus“ — i zdechł pies...

— Dali więc spokój?

— Grece; lecz przyszła kolej na matymatykę... Już to, jak ci wiadomo, nigdy nie czułem powołania na Archimedesa — lecz jak zabrali się do ptaszków...

— Jakich ptaszków?

— No te... pamiętasz... (Tu machnął ręką, rysując w powietrzu znak pierwiastka.) Ja im spokojnie zaczynam, od „reguły trzech“, a inspektor na to: „Dość. *Sequens*...“ No, pomyśl sobie: spalili mnie nikczemnie, nawet bez poprawki, i basta!

— Nieboraku!

— Taka to sprawiedliwość na świecie!...

Cóż było począć? Ojcu ani weź pokazać się na oczy... Aż tu nadtaszczył się Filarkiewicz z „towarzystwem“. Przystałem do nich.

— Bez namysłu? Tak impetycznie poczułeś żyłkę artystyczną?

— Uważasz, koleżko... bardzo mi się to podobało... a potem... — i urwał.

— Cóż?

— Jest tu w trupie cudowna blondyneczka, panna Filomena. Jak raz rzuciła na mnie oczkiem, zrobiło mi się czarno we łbie; za drugiem spojrzeniem zrobiło mi się różowo w sercu; za trzeciem spakowałem manatki i pojechałem z nimi... Jestem artystą, grywam amantów, oddycham jej powietrzem, słowem, kocham się szalenie i...

— I czujesz się szczęśliwym?

— Głodnym czułem się nieraz — szczęśliwym zawsze! A jednak... a jednak — szeptał ciszej, pukając pięścią o pierś namiętnie — tu, tu zakradła się zimna, jadowita żmija, co mi serce lodowymi opasała skręty — i kąsa...

— Biedny Filipku! Panna nie jest ci wzajemną?

— Wzajemną? Ta kobieta szydzi dziś z najświętszych moich uczuć... urąga moim cierpieniom... natrząsa się z mojej melancholji... nazywa mnie „macedońskim szpagatem,“ „widelcem,“ „cieniem,“ „tyczką od fasoli“...

— Niewybredna w przezwiskach...

— A pojmujesz, z jakiego powodu?

— Łatwe do pojęcia... Jesteś szczupły, wysoki, wymokły...

— Wymokły?... Tak, to miłość wyciągnęła mnie, jak strunę... Wymokły? Zapewne!... Z pulchnym Pipinem mierzyć się nie mogę.

— Pipin? Tłuścioch Pipin? *Pipin der Kleine?*

— Tak, Pipin *majordomus*... pamiętasz go?

— Wyśmienicie; z szóstej jeszcze klasy zabrał go nam na wieś zamożny papa z trwogi, by go w mieście nie popsuto. Zkądże jednak mowa o Pipinku?

— Czemuż, oh, czemuż nie połamałem mu kości w retoryce!... Posłuchaj... Panna Filomena...

— Pi... Pi... zaczynam pojmować genezę szyderstw i złośliwych przydomków.

— Zgadłeś... Jego to dzieło! Przed rokiem zmarł papa Harpagon i mamony zostawił *multum*. Jedynak, mamin synek, postarał się o elegancki fajetonik, parę kasztanowatych jukierków, grooma w dwułokciowym lakierowanym cylindrze z pomarańczową kokardą — i hula panicz po jarmarkach, trwoniąc nieboszczyka akcje i kredyty. Przed sześciu tygodniami uczepił się naszego „towarzystwa“ i tłucze się za nami z miasteczka do miasteczka, krok w krok, jak zmora. Basuje mu dyrektor, skaczą koło jego kieszeni nasi panowie, panie zaś nasze — ot, jak córki Ewy!...

— Nie wyjąwszy panny Filomeny?

— Nie wyjąwszy panny Filomeny. Chórem rozpływają się nad jego wytwornością i dowcipem. Karlik ten, wobec mnie, „tyczki na dwa sążnie“ — w prawdziwego urósł olbrzyma; unicestwił mnie i wymazał w jej sercu z rzędu żyjących.

— I to wszystko zniosłeś tak potulnie?

— Mój Boże... co ja biedny poradzę?...

Wtem zatętniło na rynku. Filipek, jakby złowieszczem szarpnięty przeczuciem, rzucił się ku oknu i równocześnie odskoczył wskazując na szybę, bledszy jeszcze aniżeli zazwyczaj. Spojrzałem: pędził właśnie mimo ratusza zgrabny fajetonik. Z kozła, parą dzielnych kasztanków powoził w szykownym garniturku młokosik, dojrzałego udający kawalera; za nim, z fizjonomją buldoga, w migdałowej liberji, siedział groom w wysokim cylindrze z pomarańczową kokardą. Pipin w przelocie ukłonił się z uśmiechem (spostrzegłszy zapewne we drzwiach pannę) i wtoczył się w załom uliczki.

Filipek westchnął ciężko, padł na ławę, zakrył twarz i w głębokiem pogrążył się milczeniu; po chwili jednak zerwał się i zawołał:

— Masz rację. Ja — albo on!

— Jakto? chcesz więc, Filipku...

— Bóg mi ciebie zesłał. Musisz być moim sekundantem!...

3.

Nazajutrz rano, w czarnem ubraniu, z miną nader poważną, przekroczyłem próg „traktyeru“ (sic) i arystokratycznego domu gościnnego „Pod trąbką.“ Myśl rozkoszna, iż pierwszy raz w życiu czynny wezmę udział w pojedynku, nie narażając notabane własnej skóry, podnosiła mnie w oczach własnych i uszlachetniała nad wyraz. Przestałem być pospolitym śmiertelnikiem. A jak to lubo łechce przy pierwszej lepszej sposobności módz wygłosić (mianowicie w obec dam) n. p. takie słowa: „przeszłego roku, gdy w Bajurzycach sekundowałem koledze“ — albo: „miasto Bajurzyce, słynne z pojedynku, w którym brałem udział, jako świadek artysty pana N. N.“ — Nie... na honor, życie to coś warte!...

Wszedłem pod nr. 3-ci. Przeciwnik leżał jeszcze w łóżku, obudzony jednak mem wejściem siadł otulając się kołdrą i wytrzeszczone przecierając powieki. Na widok koleżki, z którym kilka lat na jednej przesiedziało się ławce, w jednej chwili wywietrzały mi ułożone po drodze górnolotne frazesy i z wyciągniętemi ramiony skoczyłem ku łóżku.

— Majordomku! Pipinku!... *Servus*!

— Za pozwoleniem — wycedził młodziutki pseudo-arystokrata, mrużąc powieki z komiczną grandezzą — Z kim mam honor?

— Jakto? nie poznajesz mnie — mnie, kolegi ze Lwowa?

— Aa... pan... nie przypominam sobie... być zresztą może... niech siada...

Wyciągnięta prawica strętwiała mi drewnem; zdawało mi się, że w powale niewidzialna pękła szluza i że katarakta zimnej wody zlała mnie od czuba do pięty. Cofnąwszy się tedy o dwa kroki, rzekę z zastosowanym do chwili i okoliczności aplombem:

— Mój panie, w honorowej zgłaszam się sprawie... Przyjaciel mój, p. Filip Macedoński, artysta dramatyczny, czując się obrażonym na czci, domaga się satysfakcji.

— Co to pana obchodzi?

— Mam zaszczyt być jego sekundantem.

— Bez pojedynku niema sekundantów. Ja z lada histrjonem bić się nie myślę... Moja mama hrabianka Kozodojska z domu. Żegnam.

— Mój panie... to nie żarty! Zechciej pan rozważyć skutki nowej tej obelgi. Przyjaciel mój będzie zniewolony do chwycenia się represalijów...

— Co to? groźby? — Patryk!

Wszedł groom, któremu właściwie było na imię Petro. Ponieważ wyniosły giest Majordomusa drzwi konwersacji zatrzasnął mi przed nosem. Patryk zaś doświadczonem rzucił okiem na mój manszester, jakby chciał zbadać trwałość materjału, zręcznym przeto odwrotem skoncentro-

wałem się w sieni i wypadłem na ulicę. Piekło!... Tak mnie znieważyć!... Filipek musi obciąć mu uszy!

Po zdaniu sprawy z mojego mandatu, zapienił się blady druh z bezsilnej wściekłości, jak ja trząsłem się z oburzenia, oraz trwogi, by tak piękna sposobność pozowania na bohatera (cudzym kosztem) nie rozwiała się jak mgła jesienna... Nuż więc deklamować długo i z zapałem, każdy wyraz zaprawiając taką dozą jadu i goryczy, iż gdy grzmiącemi skończyłem słowy: „Filipku! jeśli masz choć krztę honoru, nie darujesz mu tego!“ — jąkający się od gwałtownego wzruszenia koleżka okropnym ryknął głosem:

— *Pi-pi-pin der Kleine!* Malec!... Karlik!... Pętelka!... Zgniotę go!...

Potem porwał mnie pod ramię:

— Pójdź! Pójdź! Natychmiast!

— Dokąd?

— Do Mikuły, do Mikuły!... On go nienawidzi... Mamoniarz odmówił mu wczora nędznej piątki... Pójdź!

Wybiegliśmy... W pół godziny skończyło się tajemne posiedzenie u Herkulesa, przy drzwiach zamkniętych i przy szczelnie zasłoniętych szybach. Z całego wyniku narady zdradzić mi wolno tylko tyle:

że Herkules objął kierownictwo spisku, nakreśliwszy kilku śmiałymi zarysy szkic planu;

że dzieła postanowiono dokonać w przeciągu dni trzech;

że mnie, sekundantowi mojego klienta, polecono wystarać się o broń palną...

Tego jeszcze wieczora, w wynajętej przezemnie izdebce w demokratycznej spelunce „Pod wydrą“, zwróciłby był uwagę bystrego dostrzegacza przedmiot tajemniczy, ostrożnie za piecem ukryty. Był to mój *plaid*, w długą zwinięty rurę, w nim zaś mieścił się *nervus rerum* pojedynków: jedyna broń palna, na jaką zdobyć się mogły Bajurzyce — stary, drutami związany garłacz... i krótka, zardzewiała krucica.

4.

Pan dyrektor Filarkiewicz, który właściwie zdążał był do Żydaczowa, poczuł się katastrofą na Dniestrze (jak sam twierdził) gwałtownie zniewolonym do dania kilku „Wielkich“, “Nadzwyczajnych przedstawień“ w Bajurzycach, apelując do szlachetności i patrjotyzmu sławetnego mieszczaństwa i wysokiej szlachty. Urządziwszy więc naprędce scenkę za pomocą wypożyczonych u p. burmistrza kilimków i firanek, łokciowymi a czerwonymi afiszami zapowiedział „Młyn djabelski“, ku niewypowiedzianemu *gaudium* rozłakomionej publiczności.

Odbywała się właśnie przedpołudniowa próba. Pipinek, który kroku nie ruszył bez grooma i fa-

jetona, lekko przed swoją rezydencją wskakiwał na koziołek w zamiarze poszwędania się za kulisy. Nagle z za furty przeciwległego domostwa wypadły trzy zaczajone tamże widma... W okamgnieniu Herkules siedział obok panicza na koźle, Filipek zaś wraz z waszym historjografem zajęli miejsca na tylnem siedzeniu po obudwu bokach Patryka. Mikuła pochwycił lejce, machnął batożkiem i cwałem pomknęliśmy przez rynek za miasteczko... Na mych kolanach spoczywała tajemnicza, zwinięta rura.

Tak panicz, jak sługus, ust nie otworzyli z przerażenia, siląc się w karkołomnym pędzie utrzymać równowagę; dopiero gdy ostatnia chata mignęła piorunem, *majordomus* z wrzaskliwym odezwał się protestem: „Oh... eh... za pozwoleleniem...“

— Milcz pan, albo cię zgniotę! — burknął Herkules... i Pipinek jęknął spopielały i drżący.

Patryk półgłosem odmawiał Ojcze Nasz, czystym małoruskim językiem.

Zboczywszy z gościńca, stanęliśmy u brzegu gęsto podszytej dębiny.

— Pilnuj szkap, gapiu! — zagrzmiał Mikuła, rzucając groomowi lejce, sam zaś, jak piłkę porwawszy struchlałego Goga, w mig zsadził go z fajetonu i kopnął się z nim w głąb lasu. Ja z Filipkiem skoczyliśmy za nimi.

— Gwałtu! — ryknął Patryk, tracąc panicza z oczu.

— Ani mru-mru, bo strzelę z za krzaka! — odhuknął Herkules. — Czekaj na pana i siedź cicho.

— Gwałtu! — co raz przeraźliwiej biadało wierne stangrecisko.

— Każ mu pan milczeć. Wszak masz do czynienia z ludźmi honoru.

— Cicho, cicho, Petruniu... To tylko żart. Nieprawdaż, panowie?

I dzwonił zębami...

Stanęliśmy na polance, wśród gęstwiny: Herkules z miną Rinaldo-Rinaldiniego, szlachetnego rzezimieszka — anemiczny Filipek bardzo blady, lecz spokojny i zdeterminowany — Majordomus siny jak trup, skurczony jak we febrze, dygocący, bez siły oporu, bez ducha — ja... dumny jak młody Richelieu, na pierwszą ruszający wyprawę. Mikuła ułamał trzy gałązki, odmierzył kroków trzydzieści, dwie z nich wetknął na krańcowych punktach prostej linji, trzecią zaś w jej środku, zbliżył się potem ku Pipinowi, skłonił się z lekka i rzekł:

— Mam zaszczyt być pańskim sekundantem.

— Prote... stuję — wykrztusił karłowaty Horacjusz, z pod oka z przerażeniem olbrzymiego mierząc Kuracjusza.

— Protestować pan *możesz;* bić się pan *musisz.* Kolego-świadku, proszę o broń.

Rozwinąłem *plaid*, z którego fałdów wyłonił się garłacz i krucica.

— Panowie! — prawił Mikuła dalej — oto cały bajurzycki arsenał: pojedynka nabita lotkami, krucica kulką... Warunki spotkania następujące...

— Ależ ja prote... stuję...

— Warunki następujące: mały pistolet dla wielkiego klienta, wielka fuzja dla małego klienta. Prawo pierwszego strzału przysługuje wyzwanemu, to jest panu... Na dany znak wypalisz pan od mety na kroków trzydzieści. Przeciwnik, jeśli go nie sprzątniesz, postępuje kroków piętnaście, staje przy mecie środkowej...

— I pal! — uzupełniłem efektownie.

— Panowie... prote... stuję...

— Proszę na miejsca.

Wbrew protestowi, rozstawiliśmy przeciwników; sążnistego Filipka z malutką krucicą, drobnego zaś Pipinka z okrutnym garłaczem. Majordomus, porównawszy naprędce imponujące narzędzie śmierci, które przemocą mu w palce wetknięto, z niewinnym widocznie instrumentem adwersarza Goliata, nabrał animuszu i milcząc oczekiwał hasła, podczas gdy wylot lufy w drżącej jego dłoni elipsy kreślił i zygzaki. Świadkowie ulokowali się bezpiecznie za grubymi pniami dwu rosochatych dębów. Nareszcie Herkules zawołał:

— Kolego-świadku, licz pan!

Donośnym głosem począłem liczyć:

— Raz — dwa...

Nie czekając komendy „trzy“ — Majordomus wypalił... Z wierzchołka odległego dęba posypały się liście... Filipek, z wyciągniętą ku piersi przeciwnika krucicą, straszliwe niby widmo komandora, miarowym krokiem ruszył do mety. Już-już stawał przy fatalnej gałązce — groźny, mściwy, bezmiłosierny — aliści Pipin, z rąk puszczając wystrzeloną fuzję, usiadł nagle na darni i słodko przemówił:

— Drogi koleżko...

Tkliwy dźwięk głosu, czułe, wymowne spojrzenie sakramentalnych dwu tych wyrazów wzruszyły poczciwą „tyczkę do fasoli.“ — Opuścił rękę.

— Czego chcesz, Pipinku?

— Pogodzić chcę się z tobą, Filipku... Dyktuj warunki...

— Owszem. Siądziemy do fajetonu; wrócimy do miasta „Pod trąbkę“; w przytomności naszej spakujesz twoje walizki i znikniesz z Bajurzyc, dawszy słowo honoru, że nie zbliżysz się już nigdy do panny Filomeny...

— Masz je. Uroczyste słowo honoru, wobec świadków.

— Uściskaj mnie, Pipinku!

— Z ochotą, Filipku!

Przeciwnicy rzucili się sobie w objęcia.

Pomknęliśmy do miasta. Majordomus przebrał się skwapliwie, Patryk do koczyka przyśrubował walizkę, uściskaliśmy się raz jeszcze

i szczęśliwy panicz ze szczęśliwym groomem znikli nam z oczu w obłoku kurzu — na zawsze.

Filipek pełną odetchnął piersią.

— Dziękuję wam... Spieszmy teraz na próbę. Filarkiewicz kląć musi, jak potępieniec.

Swobodnie uchylając kilimka, wkroczyliśmy na estradę, dumni z odniesionego zwycięztwa.

5.

Zaraz u wstępu złowróżbnym mrukiem powitała naszego bohatera — ciocia.

— Umywam ręce. Nawarzyłeś pan sobie piwa; wypij-że własną warkę.

Za nią przystąpiła mama; usta miała zacięte, źrenice jej miotały pioruny.

— Panie Macedoński! Proszę wybić sobie z głowy moję Filcię... Kto zdolen tak zacnego insultować kawalera, ten na względy nasze liczyć nie powinien.

Nadbiegła panna.

— Wyrwałeś pan się jak Filip z konopi. Zawsze byłeś niezręcznym „widelcem“ i zostaniesz nim do śmierci. Młody obywatel obiecał mi kolczyki z turkusikami... pan pozbawiłeś mnie prezentu. Adieu! — Odwróciwszy się, pobiegła ku jednemu z ferbelkowiczów i zawracać nań jęła ślepięta, jak postrzelona gołębica.

— Mości panie! — zagrzmiał głos dyrekto-

ra — nie masz pan za grosz talentu. Artystą nie będziesz nigdy. Stanąłeś mi okoniem w trakcie zaciągnięcia pożyczki u zamożnego młodzieńca; ponieważ zaś szkodzenie interesom dyrekcji pociąga za sobą dymisję, żegnam pana!

Smętni zeszliśmy ze sceny... Filipek innego spodziewał się przyjęcia... Przybył tryumfatorem, powracał zdeptaną ofiarą losu, bez kawałka chleba.

Ponuro uścisnął mnie za rękę; łza gorżka potoczyła się po bladem obliczu...

— Przyjacielu — wyszeptał — pożycz mi kilka papierków na drogę... wracam do ojca.

*

Ależ to katastrofa w Bajurzycach, nie pod Cholewkowem! — zawołacie moi Państwo...

Ha, drobne napozór przyczyny częstokroć brzemienne bywają w nieobliczalne skutki. Gdyby nie przetarcie promowej liny na Dniestrze, pan Filarkiewicz, popasłszy byłby ruszył do Żydaczowa, ja byłbym nie wkroczył na widownię, by skrę tlejącą w łonie cichego Wertera w gwałtowną rozdmuchać pożogę i — i... nie byłoby niniejszego obrazka.

W rok po tem zdarzeniu, pewnego dnia, gdy jako *civis academicus* opuszczałem salę wykładową w gmachu Św. Mikołaja, pedel wręczył mi list. Poznałem pismo Filipka i zagłębiwszy się we framudze okna na krużganku, rozerwa-

łem niecierpliwie kopertę. Z listu wypadło kilka banknotów.

„Kochany przyjacielu, (czytałem), przedewszystkiem uiszczam się z długu, zaciągniętego u ciebie w chwili tak bolesnej...Mój drogi, przysługi tej nie zapomnę ci do grobu. Ona to umożliwiła mi powrót do starego ojca... Uleczony z mrzonek, zbywszy się iluzyj, rzuciłem się namiętnie do skryptów. Wczoraj w Tarnowie siadłem do matury po raz drugi — i... już mnie „nie spalono.“ W tych dniach pospieszam wprost do Krakowa i zapisuję się na wydział medyczny. Krajać będę nieboszczyków z taką wściekłością, z jaką przed rokiem żywcem ćwiartowano mi serce... Ściskam cię serdecznie. Wspominaj czasem twojego

Filipa.

P. S. Filarkiewicz bawi obecnie w Samborze. Panna Filomena nosi turkusowe kolczyki. *Majerdomus* nieodstępnym jest jej opiekunem.“

Aureli Urbański.

Z ZA KULIS

i ze świata.

Szkice, obrazki, humoreski.

Tomik II.

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.
[1894]

VI.

Z monografii „smołowca.“

Znacie pana Spirydjona? Tego, tego wywiędłego, opryskliwego, marcowego kawalera o ruchach sztywnych i opiętych? Tego, tego pana Spirydjona, ponurego wiecznie, jak gdyby od zarania młodości pełnił jeno funkcję karawaniarza przy przedsiębiorstwie *des pompes funèbres?* Tego, tego pana Spirydjona o fizjonomji znękanej, otrętwiałej, przypominającej gipsową maskę, odlaną z oblicza nieboszczyka?

Nie znacie go? Szkoda.

Po części jednak poznać go możecie, pilnie odczytawszy wytłoczony poniżej urywek z jego pamiętnika. Mam zaś honor zaliczania się do jego najzaufańszych; tych zaś niewielu. Właściwie jest ich jeno dwu: buldok *Dżim* — i ja. Wczora, po długiej, długiej niebytności, odwidził mnie niespodziewanie — siadł milcząc — pokaszliwał — kwękał — wzdychał — wargi kilka-

krotnie ocierał webą, jakby dla pokrycia srogiej alteracji — nareszcie wstał — krząknął — machnął ręką — i na biórku położył mi nieczytelnie zabazgrany manuskrypt.

— Masz. Popraw. Drukuj. Niech naród wie, co to *smoła.*

Nieco tedy ogładziwszy styl zaniedbany, podaję do druku kilka tych ćwiartek z pamiętnika *smołowca.*

Nie ja to piszę; nieboraczysko pisze, pan Spirydjon.

„Są chwile w życiu człowieka“ — —

Przekreślam.

„W życiu narodów i pojedyńczych jednostek“ — —

Nie. Podobnemi refleksjami rozpoczęto już sto jedenaście feljetonów i pięćdziesiąt siedm rozdziałów pięćdziesięciu siedmiu nowel i romansów. Przekreślam.

A przecie żal mi, serdeczny żal bezmyślnie tak zużytych, nieoględnie tak sponiewieranych, tak zaś głęboko pomyślanych frazesów, którymi mnie bądź-co-bądź nielitościwie uprzedzono. Oh, gdyby nie filozof-myśliciel, tez onych głębokich rodzic, zrozpaczony mój mózg bezsprzecznie stałby się był twórcą tych i tym podobnych koturnowych wywnętrzeń..

Bo też przesycony jestem piołunem, czarną napęczniały mankolją, jak gąbka, tak dalece, iż gdyby prześladowcze potęgi przeznaczenia dozwoliły mi bez dotkliwych wstrząśnień rozwionąć się w powietrzne lazury, — poczciwa zaś matka-przyroda gdyby zdradzała zamiar wydania mnie na świat w ponownej, poprawnej edycji, — przed ewenementem tak rozstrzygającej dla mnie (no, i dla społeczeństwa) wagi, ośmieliłbym się ze skromną wystąpić petycyjką...

Na gładkim, ministerjalnego formatu arkuszu *in folio*, w myśl odnośnych przepisów należycie ostemplowanym (by znowu nie spadł na mnie grom w postaci *Stempel-Gebühr-Befund'u*), z submissją, właściwą tego rodzaju aktom urzędowym, — potulny *pierwoszcz* człowieczego mojego zarodka kornie wystylizowałby i do protokołu następujące wniósłby podanie:

Ajer Hochwolgeboren Frau Frau Mutter-Natur!

Untertenigst und gehorsamst endesgefertigtes Protoplasma eines cukinftigen, hofnungsfolen Menszen-jinglings, erkint sich cu den Sztufen ajres erhabensten Trones eine allerdemitikste Bite cu einreichen:

Allermechtigste Frau Frau Mutter-Natur geruhe den miserablen meines Lebens Nachen lenken cu wolen nach den Sferen des ersztenbesten Sonnenplaneten, absolut ausszlisend ein-

firalemal disen abszajlichen Abgrund von Trenen, Hemoroidalszmercen und Pech, der da gewenlich genant wird Erdenkugel.

Foler Cufersicht in die Mutter-sorge der Hochwolgeboren Frau Frau Mutter-Natur, nicht minder in der demitigsten Cugelasenheit, dass ajne solche Translokation Ajrer Hochwolgeboren ist ganz egal und kajnen wi imer Namen habenden Unterszid Ajrer Hochwolgeboren wird machen —

caichne mich
untertenigster, alergehorzamster und
tifergebenster
Sklawe und Knecht
Embrjo X. X.

Petycja ta, zbyt może zwięźle i bez wyłuszczenia powodów wykoncepowana, nie pobudzi Was, P. T. Czytelnicy, do charakterystycznego puknięcia w czoło z przydatkiem miłosiernego wzruszenia ramionami, skoro napomknę nawiasowo, że (jakto z uczonych zaczerpnąłem traktatów pierwszorzędnych astronomów) gwieździste płanety Marsa, Merkurego, Westy i t. p. wręcz odmiennym od ziemi cieszą się systemem roku słonecznego, z racji czego przypuścić by należało, że z feralnymi *piątkami* zgoła nic nie mają do czynienia.

Nieodrodny wyznawca realistycznych haseł XIX. stulecia, brzydzę się wszelkimi przesądami

i z wszelkich natrząsam się zabobonów; wargi wykrzywiam z przekąsem, gdy lękliwe manjaki żachają się na wspomnienie *trzynastek;* z góry traktuję zacofańców, którzy w *poniedziałek* za żadną cenę nie puściliby się w drogę, choćby od łyczakowskiej rogatki do Winnik; z indygnacją załamuję dłonie w towarzystwie tchórzów, blednących na widok spadającego z gwoździa „lanszaftu“ lub na trzask pękających nagle filiżanek; a przecież, (nie do wiary!), każdego *piątku* ze snu budzi mnie zmora niewysłowionego niepokoju i aż do samej północy w żelaznym trapi mnie uścisku. Przez przeciąg całego dnia włóczę się niemy z kąta w kąt, ciężkiego jakiegoś, nieobliczalnego wyglądając ciosu...

W *piątek* posilam się zrana kubkiem czystej, przefiltrowanej wody, w tem podejrzeniu, że na dnie szklanki ulubionej mojej mokki spotkam się z osadem jadowitego arszeniku; wychylając się ukradkiem na miasto, czujnie omijam chodniki, iżby z dachu tej lub owej kamienicy nie runęła mi na czaszkę śmiercionośna cegła; równocześnie zaś mrozem stygnę z obawy, ażeby na skręcie ulicy nie stratował mnie dorożkarz-pijanica... W *piątek* psa nie pogłaskam, nawet *Dżima*, wiernego mojego *Dżima*, gdyż jak mnie długoletnia pouczyła praktyka na własnej skórze, w ten dzień szpice czy mopsy, buldogi czy kundysy, gryzą z pewnem rozjuszeniem... W *piątek* wie-

czorem nikt mnie jeszcze nie widział w świątyni Thalji i Melpomeny, od jej progów bowiem odpychają mnie widma spalonych na węgiel ofiar wiedeńskiego Ringteatru.

To już nie bezpodstawny przesąd, nie dziecinna, politowania godna chimera! Dojrzały to owoc, uszczknięty z jabłoni doświadczenia dogmat, oddawna wyniesiony przez Waszego sługę do rzędu niezbitych, matematycznych pewników.

Mam zaś kuzyna, który od lat czterdziestu w dzień *piątkowy* kart nie tknie, co mu z mojej strony niewypowiedziany zjednało szacunek; w *piątki* bowiem, w skutek niefortunnego padania młotek w szlachetnem: „moje — twoje“, pozbył się gospodarskich kłopotów, uroniwszy (nad wyraz rączo) Zagrajowiec oraz Czepielowa. Kuzynek, ongi porucznik austrjacki, nawykły z ś. p. czasów *alleweil-fidel* tłumaczyć się z kiepska po niemiecku, twierdzi stanowczo, że *piątki* uparcie oblepiały go *smołą (pech)*, mnie zaś, towarzysza swego w nieszczęściach, *smołowcem* przezwał — *piątkowym smołowcem*.

Dziewiętnastego stulecia mianując się synem, tyle zresztą posiadam praktycznego zmysłu, że w niczem nikomu nie daję wiary, dopóki mnie z góry o podstawności swojego twierdzenia przekonanać nie potrafi. Ze stanowiska tedy równouprawnienia rzecz biorąc, nie oburzyłbym się

zgoła, gdyby (na odwet) gołosłownym moim wywodom wiary dać nie chciano. Że zaś, z jednej strony, za niezłomną przyjąłem zasadę: z gruntu być objektywnym, — z drugiej zaś nie trudno mi namacalnych dostarczyć dowodów, — zatem uprzedzając zarzut bredzenia od śliny, ku obronie zasad moich i przekonań, następujące dołączam allegaty:

Allegat pierwszy.

Jeszcze młokosem, pokutującym na ławie gimnazjalnej za grzechy przyszłego żywota, gorącą ku płci nadobnej żywiłem inklinację. W szesnastej wiośnie życia (pono w „syntaksyce“) nieprzypartemu uległem już urokowi ostrokonturowych wdzięków panny Pulci, nad miarę wysmukłej jedynaczki p. profesora historji naturalnej,— panny Pulci, której fizycznemu rozwojowi w szerz „czeskie dołki“ widocznie nie posłużyły.

Z przedmiotem moich marzeń. z ideałem bezsennych moich nocy, po raz pierwszy zetknąłem się w dzień trzydziestopięcioletniego jubileuszu jej urodzin, co najmniej zaś siedmnastoletniego jubileuszu „siania“ przez nią „rutki“...

Mój Boże, jak gorąco tęskniłem do tej chwili!... Z kilku bowiem (niewinnych może) rzutów panieńskiego jej oczka, rościć sobie jąłem niezaprzeczone prawo do (nieuzasadnionego może) wniosku, że niepocieszona potąd pustynia jej dziewictwa, szczelnie skryta między stalkami (zbę-

dnego zresztą) stanika, zapłonęła ku młodzieniaszkowi żarem wzajemności...

Dawno upragnioną okazyjkę do romantycznego tego *tete-à-tete* nastręczyła mi okoliczność, że szanowny jej rodzic, pan profesor, po godzinie dziesiątej przed południem, podczas pauzy rekreacyjnej, powierzył mi na szkolnym krużganku niewielki pakiecik, w druki katalogowe troskliwie owinięty i na krzyż owiązany szpagatem.

— *Troll dich, Bube!*

Pakiecik bezzwłocznie doręczyć mi kazano pannie Pulci.

Że po drodze serce tłukło mi się gwałtownie, fale krwi tłocząc do pulsujących skroni, — że drganiom serca towarzyszyło dziwne owo napięcie umysłu, zwane ciekawością, — że ciekawość owa przemogła szkolny rygor, — że w zaułku bocznej uliczki ośmieliłem się rozwiązać supły szpagatu i uchylić rąbka warstwy bibuły, — że z pod tej warstwy wynurzyły się trzy pulchne smakołyki, kremowe ciasteczka od Sparnapagni'ego, — że nagle nerwy podrażnił mi łechcący dreszcz na myśl, że *ona* tych łakoci karminowemi dotknie usty, — że w skutek oszołomiewającej tej myśli nie zdołałem oprzeć się pokusie choćby jeno musnięcia językiem wzdłuż jednego z tych przysmaczków,—że ciastka, niestety, wygląd miały nader powabny, z kremu zaś słodko zalatywała woń wanilji, — że ostatecznie, z za-

mrużonemi rojąc powieki, wszystkie trzy smakołyki, po kolei, pochłonąłem doszczętnie, — że w bezładnem zagmatwaniu pojęć wybrance serca puste doręczyłem zawiniątko, na krzyż owiązane szpagatem, — że cmoknąwszy ją w długopalczastą rączkę, w poczuciu winy umknąłem sromotnie, — wszystko to wyznaję otwarcie, niby u spowiedzi, licząc na znaną powszechnie pobłażliwość pięknych Czytelniczek... Że jednak z piorunującą szybkością dosięgła mnie ręka sprawiedliwości — i w jaki sposób mnie dosięgła — pozwólcie mi, o Wy, tkliwe Czytelniczki, zamilczeć...

Dopełnię chyba, że lewa małża mojego ucha przez przeciąg całego tygodnia przekornie przedrzeźniała się prawej małży szkarłatnym inkarnatem, — że odtąd nie śmiałem już podnieść rozmarzonych źrenic ku wyżynom „kaszpenia“ gigantycznej panny Pulci, — oraz, że nieprawidłowy mój czyn, jak niemniej nieprawidłowości tej ekspiacja wydarzyły się — w feralny *piątek*...

Nie będę się motał w uniewinnieniach. Wolę przystąpić wprost do przedłożenia Wam drugiego z rzędu dowodu — co to *pech!*...

Allegat drugi.

W kilka lat później, inna niebianka, panna Kazia, pieszczotliwie wyawansowana na *Kozię*, stała się wyłączną władczynią snów moich i westchnień.

Przeznaczył jej los — być siostrzenicą wdowy po targowym kanceliście. Wdowa. po targowym kanceliście trudniła się dostarczaniem „gospodarskiego“ wiktu „za mierną cenę“ pp. studentom. Widywałem tedy Kozię na Sieniawszczyźnie codziennie, w porze obiadowej. Za pośrednictwem różowych jej paluszków zjawiały się na stole przed nami (t. j. przedemną i moimi koleżkami) niezbyt wykwintne i niezbyt dziewiczej czystości majoliki ze stęchłą kaszą hreczaną, okraszoną odgrzewanymi skwarkami, na przemian zaś z postnymi kapuśniaczkami bez śladu omasty. Ale co tam!... Magnetyczny blask kocich jej źrenic, dziwnie migocąc, przykuwał nas do koszlawych, skrzypiących stoliczków. garkuchni. Wikt cioci kanceliściny „za mierną cenę“ siarczyście dawał się nam we znaki, pozostawiając na niewybrednych naszych podniebieniach stały, obmierzły posmak ziłczałego łoju. Lecz zato lśniące te, migotliwe oczęta!... ah, te oczęta!...

Lubo fertyczne ono stworzeńko z perkatym noskiem, (jakoby na przekor morderczym moim spojrzeniom), przysiadać się wolało do starszych wiekiem towarzyszy, lubo z widoczną predylekcją obdarzać miało zwyczaj pokaźniejszemi „półporcjami“ pp. akademików o wykłutych już wąsikach, — przecie otaczałem ją niemem uwielbieniem, patrząc i wzdychając. Dzień po dniu w grobowem milczeniu wtłaczałem w gardziel wstrętne

wyroby kulinarne wdowy po targowym kanceliście, smażąc najfantastyczniejsze plany oświadczyn w rozpalonym tyglu mojej mózgownicy... Nareszcie, u schyłku dwunastu niemych, długich miesięcy, w uroczysty dzień patrona zakochanych, św. Józefa Oblubieńca, postanowiłem spalić za sobą most odwrotu i śmiałem rozcięciem gordyjskiego węzła urwać łeb gadzinie trawiącej mnie niepewności... Po ciężkich prokrustowych mękach porodu, uciąłem serdecznie tkliwą a wściekle ognistą epistołę na ukwieconej różyczkami ćwiarteczce, z ostrożnem pominięciem imienia bogdanki, z otwartą jednak przyłbicą kładąc mój podpis, zdobny w olbrzymi, kaligraficznie wyrzeźbiony wykrętas... Poetycznemi barwy odmalowałem w niej czarną moją rozpacz, niebieskie moje wzloty i różowe nadzieje młodzieńczego serca... Całą wyczerpałem paletę natchnienia...

Stało się!... Siła rozpędu nie opuściła mnie w chwili stanowczej. W trakcie między kaszką na słodkiem mleku a płuckami na kwaśno, nieznacznie liścik wcisnąłem jej w paluszki...

Wybiegła. Chyłkiem wyniósł się za nią Julko, złośliwy adept chirurgji z trzeciego roku, z którym (latem czy zimą) zawzięcie grywała „w zielone“.

Niebawem wtoczyła się do izby Magda — opasła, osmalona, rozczochrana, bosonoga, szepleniąca Magda, korreferentka pani kanceliściny od

pomywania rądli i wylewania cebrzyków — potwór istny, straszydło od siedmiu boleści — i w obec całego grona współbiesiadników cisnąwszy mi na talerz odpieczętowaną epistołę, groźnie jęła przywoływać mnie do porządku.

Gromkie admonicje, nie zbyt wytwornymi przeplatane epitetami, nawałą lunęły z rozsierdzonej jej paszczęki na biedną moją głowę. Na zakończenie sążnistej tyrady, wymownym giestem ulokowała czerwoną, mięsistą pięść w najbliższem sąsiedztwie mojego podbródka, z tem energicznem dołożeniem, że jeśli jeszcze raz poważę się uczciwość jej i cnotę narażać na szwank i wieść na bezdroża, — obronę niewieściej czci zniewoloną będzie powierzyć bagnetczajce „narzeczonego“, aspiranta do kapralskiego *porte épée* przy mężnym pułku „Łużanów“ *(Nugent)*.

I to odbyło się znowu — *w piątek*.

Wyleciawszy jak z procy, zbeszczeszczony w najszczytniejszych sentymentach, zrobiłem krzyżyk na uiszczony z góry miesięczny trybut za „gospodarski“ wikt po „miernej cenie“ — i odtąd z daleka okrążałem Sieniawszczyznę wraz z wdowim przybytkiem studenckiej gastronomji, przesiąkłym wonią łoju i pozłoty...

Chcecie dalszych dowodów?

Dobrze.

Allegat trzeci.

Jako jurysta bawiąc na wakacjach u czcigodnej matrony, pani wiceprezesowej, matki kolegi Bonusia, po raz trzeci porażon zostałem strzelistym grotem bożka Amora.

Tym razem sięgnąłem już wyżej.

W sąsiednich Zakątkowicach mieszkał (wprawdzie tylko) dzierżawca, lecz za to *były* właściciel dóbr ziemskich, wciąż zaś jeszcze właściciel dorodnej córuchny — pan Oksza.

Zaledwie otrzepawszy się z podróży, zawieziony przez Bonusia do Zakątkowic, poznałem ja tę córuchnę, która właśnie co w rodzicielskie powróciła progi z pensji od *Madame Coûtequecoûte* w Kawkowie. Wszelkie powaby, jakimi szczodrze rozporządza bóstwo kobiecego wdzięku na utrapienie serc męzkich, zlały się w jedną, cudowną całość, by wytworzyć cacko, ochrzczone mianem Loli.

Liljowa śnieżność liczka, miękki jedwab kruczych splotów, ocząt modre turkusy, korale usteczek, ząbków lśniące perły, — ot, i znów cała serja zużytych już niestety orzeczeń... i znów ogarnia mnie rzewny żal na myśl, że zachłanni ci panowie od pióra, od *Szems Edin-Hafiza* począwszy, na *Skorodrackim* zaś nie skończywszy, srodze ubiegli mnie w pomyśle zainaugurowania tak poetycznych porównań. Zaręczam jednak uroczyście, że niepodobna właściwszych, nie po-

dobna dosadniejszych dobrać wyrażeń, by wiernie módz odmalować te cuda!...

Panna Lola potroszę bawiła się w sawantkę, imponując całemu partykularzowi wygłaszaniem niezliczonego szeregu piosnek papy *Béranger'a*. Przy sposobności nie omieszkała też pochlubić się podręczną swoją biblioteczką. Oniemiałem na widok napiętrzonych tam skarbów, wśród których poczestne dzierżyli miejsce: *George Sand*, *Sue*, *Balzac* i *Paul de Kock*. Panna bowiem pomna, że jest przecie córką *byłego* właściciela dóbr ziemskich, — panna „dobrze“ przeto urodzona i „dobrze“ przez *madame Coûtequecoûte* do zadawania szyku ułożona, — panna, która z pamięci całego wygłosi ci *Béranger'a* (choćby z uporczywym, poczciwo-mazurskim akcentem na każdej przedostatniej zgłosce), — tak wykształcona panna nie przepomni o tem na chwilę, że jest się przecie po kądzieli cioteczno-wujeczną wnuczką hrabiny Ropuszyńskiej...

Panna Lola tedy wielce romantycznego była usposobienia; alabastrowymi paznokietkami pukając biegle po klawiaturze, łzy i jęki wycisnąć z nich umiała, interpretując z uczuciem „*les cloches du monastère.*“*)

---

*) Co za zmiany!... Co za zmiany!... Dziś panna Lola, miasto **Béranger'a**, studjowałaby **Marks'a**, usiłując zarazem wyrzucić z gardziołka wysokie **sol** czy **fis** z modnej **Cavalleria rusticana**. (Przyp. autora.)

Niebawem przekonałem się na serjo, że pannie wpadłem w oczko. Obok nimbusu przybyłego ze stolicy kawalera, obok dystynkcji mojego ułożenia i niezaprzeczenie wielce prawidłowej architektoniki szczegółów mojego oblicza, snać ujęło ją solenne z mej strony zapewnienie, że w wolnych chwilach od zajęć akademickich „rymom“ nader szczęśliwie „zaplatam ogony“. Skwapliwie podzieliłem się z nią onym sekretem, zwłaszcza, że zaraz z góry w jaśminowej altance zapewnić mnie nie omieszkała, iż wyłącznie jeno poetyczną duszę pokochaćby mogła i że szczytem nazwie doczesnej szczęśliwości, jeśli swoją rączką obdarzy kiedyś wieszcza—barda—lutnistę...

Na św. *Szarlottę* (nie na pospolitą Karolinę) wystąpić tedy postanowiłem z imponującym poematem, wzgardziwszy (choćby najkwiecistszą) prozą od chwili onego bolesnego zawodu u panny Kozi. Trzy libry zniszczyłem konceptowego papieru, arkusz drąc po arkuszu. Ani rusz!... A to zda się tak łatwem gryzmolić wiersze!... Głęboko odczułem karlęcość mojego ducha. Niezwykłą tę skromność autorską anioł-stróż zapewne zanotował mi w stanie *aktywów* księgi mojego żywota; równocześnie jednak obciążyć musiał moje *passywa* pomysłem, którego jąłem się jako deski zbawienia w ciężkiej alternacie.

. . . . . .

Zakątkowicki dwór zajaśniał pełnym blaskiem

arystokratycznych reminiscencyj b. właściciela dóbr ziemskich. Cały zapas lamp, świeczników, lichtarzy i latarek oblał rezydencję panny Loli morzem światła.

W saloniku, w cieniu sztucznych kląbów ze świeżo ściętych jałowców w olbrzymich makutrach, wśród gęsto rozsianych gipsowych figur, rozsiadło się na kanapie, fotelikach i krzesłach liczne sąsiedztwo, obywatele wiejscy z magnifikami i z młodem panieńskiem pokoleniem, urzędnicy z pobliskiego miasteczka i spore grono księży. Natomiast nieprzyjemnie czułem się dotknięty, gdy przedstawiono mi „pana profesora". Był to kierownik zakątkowickiej akademji nauk. Każdy szanujący się dom obywatelski powinien stanowczo wystrzegać się tego rodzaju pospolitowania towarzyskich swoich aspiracyj...

Gdy po przebrzmieniu eterycznych dźwięków „*les cloches du monastère*", wydobytych przez solenizantkę z rozstrojonego klawikordu, frenetyczne przycichły aplauzy, rozpromieniona panna domu wskazała z lubym uśmiechem na mnie, (który z wyszukaną elegancją odwracałem jej nuty) — i syrenim rzecze głosikiem:

— Po muzyce... poezja. Zapraszam autora do wygłoszenia nam cudownego, dziś mnie poświęconego poemaciku.

— Prosimy! Prosimy! — zahuczało w salonie.

Skłoniłem się zlekka — krok pełen gracji

zrobiłem ku etażerce — podniosłem z niej zwitek wstążeczką opasanego welinu — rozwinąłem go z namaszczeniem i z powagą — lwią wstrząsłem grzywą — i zacząłem głośno, bardzo głośno, kładąc nacisk na każdą głoskę z kolei:

Umrzeć lub cierpieć — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą zlać trza w Twojem niebie,
Lub, gdy nie można — żyć w piekle bez Ciebie!

Tu z umysłu zrobiłem artystyczną pauzę, uderzając całą potęgą wzroku w utopione we mnie oczęta panny, która dumą pokraśniała i uczuciem. Źle wychowane jakieś indywiduum z szarego końca słuchaczy krząknęło... Zmarszczywszy brwi, ciągnąłem dalej:

Szlij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem więcej mi błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę...

Wtem, z zacienia kącika, z pod wazona z długolistnym fikusem, słyszeć się dało ponowne krząknięcie — i bakałarz, nieznośny ów „pan profesor“ w kapocie po same pięty, naprzód się skromnie wysunąwszy, rzecze:

— Za pozwoleniem...

— *Monsieur* Kogucikiewicz, racz pan nie przerywać poecie — z majestatycznym ruchem oburzenia zawołała panna, miażdżąc intruza spojrzeniem obrażonej królowej.

— Ależ panno Lolu dobrodziko... To *glossa.*

— Co za *glossa?*

— Świętej Teresy.

— M-mój p-panie! — wydławiłem, gdyż krtań niewidzialne ścisnęły mi kleszcze.

— Pan dobrodziej deklamujesz nam urywek z utworu poety-anonima, którym ma być niejaki Krasiński.

Zygzakowato, niby iskra elektryczna, przemknęło zgromadzeniem prychanie śmiechu. Stałem wryty, blady, niemy, unicestwiony... Sawantka z zakładu naukowego pani *Conte-que-conte* spazmatycznie syknęła: „T-a-a-k?“ i chusteczkę poszarpała na strzępki...

. . . . . .

Umknąłem piechotą we fraku, w białym krawacie, bez szapoklaka, klnąc na czem świat stoi i złorzecząc przeklętej hiperprodukcji inteligencji. Tego już nadto!... Taki Kogucikiewicz, zakątkowickich analfabetów zatabaczony mentor, czytuje jakieśtam *glossy* i w najniestosowniejszej chwili, wpadając jak Piłat w Credo, śmie popisywać się swoją erudycją!...

. . . . . .

A co to był za dzień?... *Piątek.*

Tak jest. Pomnę doskonale.

Był to *piątek.*

Zda mi się, że po sumiennem zbadaniu powyższych allegatów, nikt już z przekonanych niewątpliwie Czytelników, żadna z rozrzewnio-

nych Czytelniczek niniejszego „jęku boleści“, nie posądzi mnie o hołdowanie zabobonom i przesądom. *Facta loquuntur*, powiedział ongi łacinnik na to jedynie, ażeby znów złośliwie ubiedz mnie w zastosowaniu oryginalnego naszego: „Stało się, mościa panno!...“

Mniemam tedy, że nikogo już nie wprawi w zdumienie potulny ów mój postulacik, domagający się translokacji na złocistą tarcz *Marsa*, *Westy*, a choćby... *Wenery*, iżby ujść z tego padołu naciągań uszu, wdowich garkuchni i zbyt oczytanych bakałarzy. Owoż i wyczerpująco podane motywy, dlaczego po dziś-dzień w kawalerskim wegietuję stanie. Atoli raz już w toku poufnych zwierzeń, czuję, że niepodobna nie odsłonić Wam skrytek mojej duszy aż do dna... Zaniecham wprawdzie szczegółowego wyliczenia wszelkich pomniejszej wagi *piątkowych* „pechów“ — opowiedzieć Wam jednak muszę zdarzenie z lat ostatnich, (upartego *piątkowego* djablika *couronnement de l'édifice*), które pomieścimy w

Allegacie czwartym i ostatnim.

Było to w roku... dalibóg nie pomnę, lecz coś nie bardzo dawno...

Załatwiwszy w czwartek zrana ważną sprawę familijną, puściłem się z powrotem, z Zajęczej Górki do Lwowa, ażeby koniecznie przed wieczorem stanąć w progu domowych penatów.

W południe, na rynku w Moszkowie, wypadło popaść chabety, wynajęte u Iwana Kopyry w Zajęczej Górce. Z nędznej, niechlujnej mieściny radbym był wydostać się corychlej; alić zaledwie wstąpiłem w bramę jedynego w Moszkowie zajazdu, mianującego się: „traktyer'em“, rzuca mi się na szyję Julko, ów Julko ongi z III. roku chirurgji, który (jak się pokazało) piastował *loco* urząd miejskiego weterynarza. Acz z epoki studenckiej, z wiadomych pobudek, żywiłem doń pewną niechęć, wynikiem spotkania był objadek, wesoło skonsumowany w mieszkaniu pana „konsyljarza“, po czarnej zaś kawce preferansik, od którego (wywdzięczając się za gościnę) wymówić się nie było sposobu.

Preferek z „dziadkiem“ w trójkę. t. j. przy pomocy p. aptekarza, trwać miał godzinkę, przewlókł się jednak do wieczora. W pierwszej zaraz *puli*, z ósemką *pique singeltonem*, „położywszy się“ pięć razy na *mizerkę z kontrą*, „padałem“ raz po raz i zacietrzewiłem się tak dalece, że Iwan Kopyra napróżno pod progiem skrobał się markotnie w czuprynę. Dopiero po ósmej, zgrany jak basetla, lecz ościskany i ocałowany, windować się jąłem na mój wehikuł, — gdy pędem od małżonki p. pocztmistrza nadbiegło dziewczę z karteczką do p. „konsyljarza“, w której pani pocztmistrzowa błaga go usilnie, iżby przyjaciela swego (tj. mnie) nakłonić ra-

czył do przyjęcia na swą „okazję“ panny ekspedytorki. Pannie ekspedytorce nad wyraz pilno do Lwowa...

Lubo, w skutek matrymonialnych niepowodzeń, do całego rodu niewieściego przejął mnie pewien rodzaj nieufności a nawet awerzji, jak tu odmówić, w obec serdecznych zaklęć Julka i natarczywych cmoktań pana aptekarza? I znów czekać musiałem godzinę, zanim nadciągnęła panna ekspedyktorka, mimo późnej pory zakwefiona woalem. Zwłoką tak byłem poirytowany w obec tuż-tuż czychającego już *piątku*, że podczas prezentacji zaledwie uchyliwszy kapelusza, mruknąłem coś pod nosem, nie rzuciwszy nawet okiem w stronę przyszłej towarzyszki podróży. Usadowiono nas nareszcie obok siebie i wehikuł puszczono w ruch, życząc nam szczęśliwej drogi.

Jechaliśmy gościńcem w milczeniu. O czem dumała moja towarzyszka, nie wiem; co do mnie, z coraz bardziej potęgującym się niepokojem obliczając godziny i kwadranse, popychające mnie ku feralnemu *piątkowi*, doszedłem do niepocieszsnej konkluzji, że dobrze z północy dowleczemy się do Samlasu.

Trzy ćwierci mili za miasteczkiem, gdy już księżyc dobroczynnem rozlał się światłem, z pod gazy kwefu wydobył się nagle głos, jakby wzruszeniem przytłumiony:

— Pan mnie nie poznajesz, panie Spirydjonie?...

Dźwięk tego głosu obudził we mnie ciemne jakieś, zamglone wspomnienia; usunęła się gęsta zasłona woalki — i przy srebrnym blasku dziewiczej Luny zoczyłem tuż przy moim boku sentymentalną twarzyczkę panny Loli, starszą wprawdzie o lat dwadzieścia, lecz zawsze jeszcze niepospolicie zajmującą... zwłaszcza przy księżycu.

Mimo patrjarchalnej łysinki zadrgało mi coś wyżej śledziony i słodkie opanowało mnie wzruszenie. Taka to już potęga wspomnień!...

— Pani?... pani w Moszkowie?... pocztową eksp— — (dyskretnie urwałem).

Westchnąwszy głęboko a boleściwie, odrzecze:

— Papcio zmarł... Inwentarz spieniężono na publicznej licytacji, bo papcio zapomniał uiścić się z dzierżawnej tenuty — i podatków coś tam zaległo... Tułałam się tu i owdzie u członków rodziny, żyjąc czarnym chlebem łaski — ja, panna z takiego domu i z taką edukacją... Czasy złe; ludzie materjalizmem przesiąkli... Nie trafiał się nikt — bo czemże edukacja bez posagu?... I ja, panna z takiego domu i z takiem wykształceniem, korzystać musiałam ostatecznie ze zdobyczy nowoczesnego postępu... Zresztą emancypacja płci... No, i pociąg do literatury... Na poczcie zawsze są francuskie gazety... Zrobiłam krok heroiczny; zdałam ekspedytorski egzamin... I tak — (tu zakrztusiła się spazmatycznym, kurczowym śmiechem) — i tak przebywam obecnie na poczcie, w Moszkowie!...

Noc była letnia, gwieździsta, księżyczna, cudownie jasna; woń skoszonego siana upajała zmysł węchu; z przydrożnych pól ciche dolatywały szepty świerszczyków, chrapliwe wabienia chruścieli i skrzeczenie żabek w rowach przy gościńcu...

Gwarzyliśmy coraz poufalej, spowiadając się z wzajemnych nieszczęść i przeciwności. Zamrożona zdawna pierś odtajała mi od lawy krwi, wydymającej mi żyły...

Rączka jej drżała w mojej dłoni — gdy nagle wóz zatrzymał się na szosie. *Pr-r-r!...*

Iwan Kopyra zeskoczywszy z drabinki, z płota wyłamał kół potężny i umieściwszy go na grochowinie przy swoim boku, ruszył dalej w drogę. Przerwa ta byłaby uszła uwadze rozmarzonej pary, gdyby nie okoliczność, że znów niebawem usłyszeliśmy:

— *Ha-hou!... Pr-r-r!...*

— Co tam, Iwanie? — zagadnąłem chłopa. Iwan znów zeskoczył, z tyłu woza zdjął zakrzywioną lusznię i położywszy ją przy moim boku, odparł z flegmą a węzłowato:

— *To wid zbijnikiw.*

Od zbójców?!... Kłapnęły mi zęby... Trwożliwie rozglądnąłem się dokoła. Wóz nasz wtaczał się w czeluście czarnego, dziwnie milczącego boru.

Wielki Boże!... Rozwidniło mi się w pamięci;

straszliwa banda osławionego Neczyporowicza nie zaniechała wyłonić się i w tej części Galicji.

Biada podróżnemu, który w nienasycone, krwiożercze popadł jej szpony! Iluż to żydków-handlarzy napotykano po drogach, spętanych, z zakneblowanemi usty, płaczących straty koni, bryki i towaru!...

Blada, z rozwianym włosem, wiedźma paniki rozgłaszała po całym kraju potworne wieści o secinach morderstw; szczęściem nie sprawdzały się one dokumentnie, rozgorączkowane jednak umysły wietrzyły wszędy krew, trupy i pożogę...

Mimowoli drgnąwszy, łokciem nacisnąłem okolicę kującego młotem serca — i stary repetjer wydzwonił dwunastą... Panna ekspedytorka, tuląc się do mojego repetjera coraz goręciej i coraz poufalej, z cicha kwiliła rzężąco...

Zamilkła swobodna nasza pogawędka; nawet Iwan gnuśne swoje rumaki zachęcać przestał energicznemi: *wiśta! — hejta! — tss!*, coraz skwapliwiej za to machał biczyskiem. Słyszałeś jeno skrzyp drewnianych osi, parskanie koni i gwałtowne dwojga serc kołatanie... Szlochającą pannę, sam dygocąc, opiekuńczo przycisnąłem do łona...

Nagle — na skręcie gościńca — prawie tuż przed dyszlem — błysnęło czerwone światełko latarni i z ziemi, niby fantastyczne dwa duchy, dwie olbrzymie podniosły się postacie. Piorunem zagrzmiało:

— Stój!!

Lola, głuchy wydawszy jęk, ramionami oplotła mi szyję.

Silną pięścią Iwana zacięte siwki rzuciły się naprzód przebojem, spięły się jednak, stając dęba, pochwycone przez napastników za postronki. Dzielny Rusin zerwał się z drabinki, plunął w ręce — i kół zawarczał w powietrzu.

— *Byjte, jegomość!!*

Jak to się stało? Dość, że się stało... Ni to sprężyną podrzucon, całem wytężeniem mięśni odtrąciłem ściskającą mnie niebogę, na dno powalając ją półkoszka, — sam zaś, sążnistego dawszy szczupaka, jednym skokiem znalazłem się na szosie, drugim w krzakach... Jakby piekieł poszczuła mnie psiarnia, leśną ścieżką pędziłem przed się na oślep, sadząc potężnymi susami coraz dalej a dalej...

Kołując w ciemnościach boru, z rozbitym o pnie buków łbem, z podrapanymi przez krze policzkami, stanąłem znów na gościńcu — przed karczmą — u oświetlonej rogatki.

Czernił się przed nią tabor bryk w niczem niezamąconym spokoju. Szkapy, gryząc sieczkę, chrupały; przy szkapach uwijali się woźnice.

— Ratunku!...

Na pół omdlały zsunąłem się na kupę szutru.

. . . . . .

I cóż powiecie? Zamiast kondolencji, wyśmiano mnie w dodatku...

Lajzor, dzierżawca myta na rogatce, pogłaskawszy poważnie siwą brodę, wytłumaczył wylękłym brodzkim brykarzom, iż olbrzymi dwaj napastnicy byli to sobie dwaj pachołcy drożnika, czuwający przy blasku ostrzegającej, czerwonej latarni, ażeby kto z niebacznych podróżnych nie wjechał nocą do głębokiego przekopu na samym środku gościńca...

. . . . . .

Lolę raz tylko jeszcze ujrzałem we Lwowie, na ulicy. Ujrzałem ją z daleka — i wpadłem do pierwszej trafiki, iżby niemiłego uniknąć spotkania; acz bowiem od fatalnego onego nieporozumienia z sześć już minęło tygodni, czoło panny przepasywała czarna kitajka, prawą rączkę niosła na temblaku, na lewą zaś nóżkę utykała — ale jak utykała!...

Owóż macie *piątki!*...

Przysiągłbym, że śmiertelnie rozchoruję się w *piątek* — w *piątek* ostatnie oddam tchnienie, — i jeśli tylko nie sprzeciwią się temu (ostre zresztą) sanitarne przepisy, w *piątek* spuszczą trumnę moją do grobu...

VII.

NA PRZEKOR.

1.

Kto to był pan Medard.

Cierpiał na błyskawiczne uderzenia krwi do głowy, zwłaszcza jeśli sześć godzin z rzędu zgarbiony przesiedział przy biurku; nieobojętne zaś objawy tego rodzaju kazały mu obawiać się zarodków zabójczej *meningitis*... A może były one w łączności z ową jakąś nieokreśloną ociężałością lędźwi po wychyleniu kilkunastu litrów „pilznera“, oraz z poczuciem pilśni w podeszwach po kilkugodzinnej bieganinie za interesami siostruni Zenobji, zamieszkałej w Kulikowie, co wszystko nieomylną przecie stanowi zapowiedź straszliwej choroby mlecza pacierzowego, zwanej *tabes dorsalis*... Co gorsza, nieraz u schyłku dżdżystego, jesiennego wieczora, przejmowały go lekkie dreszcze; niekiedy nawet zakrawało na chrypkę, w skutek czego na noc okryć się wy-

padało dwiema kołdrami. Chwali mu się tę pieczołowitość o najcenniejszy skarb człowieka, zdrowie; atoli nad wszelkie spodziewanie, pod podwójną warstwą grubo wywatowanych okrywadeł obfite zlewały go poty. Komuż nie wiadomo, że w ten sposób rozwijają się suchoty galopujące *(phtisis florida)*, które przedwcześnie przecinać zwykły pasmo żywota. Uprzedzić mógł je chyba atak sercowy z racji anewryzmu, który wywiązać się musiał z niedomykalności zastawki *(valvula bicuspidalis)*, dokuczającej mu od lat przeszło dwudziestu i siedmiu...

Zagrażającą życiu tę komplikację znieśćby on potrafił z godnością męża, gdyby na domiar fatalne obrzmienie w okolicach wątroby i śledziony nie naprowadziło go na myśl, że degeneracja żółci już nieunikniona. Wprawdzie jego szwaczka, z idjotyzmem profanki, z uporem zaś kobiety, stanowczo twierdzić sobie pozwalała, że bezpośrednim powodem tego obrzmienia było — *tycie*... atoli równoczesny stan anormalny nerek, zwiastun śmiertelnej choroby *Brighta*, dowodził mu namacalnie, iż o „tyciu“ zgoła mowy być nie może...

Zresztą zdrów był kompletnie, tylko że uskarżał się jeszcze na rozdęcie żołądka i przewłoczny nieżyt jelit; są to jednak tak rozpowszechnione, (że się tak wyrazimy) nagminnie modne przypadłości, że wspominać o nich nie warto...

A na imię było mu Medard. Widocznie nie sprzyjał mu patron, ów wiecznie zachmurzony opozycjonista po tamtej stronie Styksu, malkontent ów, co to w przystępie złego humoru obdarzać zwykł nas śmiertelników czterdziestodniowym melancholijnym kapuśniaczkiem...

Pełnił zaś obowiązki rachunkowego oficjała przy którejś z c. k. skarbowych dykasteryj. Dziwna wszakże, iż wobec tak nędznego stanu zdrowia cielesnej swojej powłoki, rumiano wyglądał, jak rozkwitła piwonia, co (nawiasem mówiąc) gryzło go nad wszelki wyraz, gdyż nikt żałosnym jego skargom i utyskiwaniom wiary dać nie chciał.

2.

Nieco o panu Cyprjanie i o astronomicznych jego obserwacjach.

Podczas gdy pan Medard walczył między chorobą mózgową a szpikową, suchotniczą a sercową, żółciową a nerkową (nie licząc nieżytu organów trawienia) i z dnia na dzień zdecydować się nie mógł, na który właściwie z tych rodzajów śmierci doczesny ma zakończyć żywot, — pan Cyprjan, iście djametralny jego antypoda a nieubłagany antagonista, kwitnącem cie-

szył się zdrowieczkiem... Apetyt miał wyśmienity, humor niezrównany; nawet katar znał bodaj tylko z opowiadania. Wprost zazdrościć możnaby panu Cyprjanowi, gdyby nie okoliczność, że wbrew świetnym zdrowotnym warunkom, szczupły był jak wrzeciono, na twarzy zaś wymokły, jak śledź marynowany. Zresztą nie dbał o to...

Pan Cyprjan pewną zdradzał namiętność... Co wieczora, zimą czy latem, skoro tylko na ulicach zapalać zaczynano latarnie, skrupulatnie pojawiał się na Rynku — i wolnym, miarowym krokiem Halicką Ulicą zdążał ku rogowi Bernardyńskiego Placu, ażeby z powrotem znów zwolna popłynąć ku Rynkowi. Przechadzka trwała godziny; interpelowany o powód stałego tego „ciągu“, tłumaczył się... zamiłowaniem do badań astronomicznych. Zaciekły obserwator zapewniał, iż zasnąć nie mógłby spokojnie, gdyby codziennie przed zapadnięciem nocy nie skonstantował naocznie, iż każda z niebieskich konstellacyj przynależne na firmamencie zajęła stanowisko i że „Wielka niedźwiedzica“ porządnie uplasowała się między Bankiem hipotecznym a bożnicą na Rybim Targu... Drwinami zbywali koleżkowie wywody tajemniczego epigona ś. p. Kopernika; nie zbywało nawet na Wściubskich, którzy z za węgłów i z za bram kamienic wyszpiegowali nareszcie, że pan Cyprjan, podczas astronomicznych swoich wycieczek zgoła nie spogląda ku „Wiel-

kiej niedźwiedzicy“ lub „Kwoczkom“, lecz po prostu — kobietkom zaziera pod kapelusze... Gdy z przekąsem wyciągano go na język, czego właściwie nie w pionowym, lecz w poziomym szuka kierunku, — „gwiazdek“, odpowiadał cmokając:

„*Niewieście ślepki — to także nielada konstellacja!*“...

Widocznie nie służyła mu astronomja, skoro (mimo wrodzonego wstrętu do zapracowywania się w biurze) wygląd miał tak szczupły a mizerny...

Bo też, krom badań planetarnych, oddawał się pan Cyprjan również i buchalterji; co więcej, w tym samym służył departamencie w którym pan Medard chorobliwego dokonywał żywota; jeszcze co wiecej, w tem samem *pracowali* (sic) biurze, w jednym nawet i tym samym urzędowali pokoju. Pan Cyprjan po prawej stronie, ku oknu, — pan Medard ku lewej, w pobliżu pieca. Wysiadywali krzesełka w odległości od siebie półtora metra, co jednak nie wyklucza wcale faktu, iż nie mówili z sobą ni słówka.

3.

Wzgarda pana Medarda i szykana pana Cyprjana.

Buchalterzysta, który wiecznie cierpi i buchalterzysta, który nigdy nie choruje, sympatyzować z sobą nie mogą. Dowiodła tego praktyka. Ztąd pan Medard milcząco przez cały rok Boży „*kontował w księdze głównej*“, pan Cyprjan zaś przez cały Boży rok „*prowadził skontro*“ milczący, jak gdyby każdy z nich w singeltona siedział sobie w pokoju. Czasem tylko pan Medard stęknął, gdy pan Cyprjan siódmą z rzędu nakładał fajeczkę; czasem tylko pan Cyprjan zagwizdał wesoło pod nosem, gdy pan Medard, stękając, pocierał okolice serca lub wątroby. I znów skrzypiały pióra... Częstokroć nie skrzypiały wcale; obadwaj siedzieli głusi i niemi, z podpartemi brodami, z źrenicami wlepionemi w zakurzoną powałę. Jeden marzył o jakiejś nowo odkrytej parze „gwiazdek,“ drugi liczył w zadumie uderzenia tętna lewej ręki.. Ztąd niezbyt pełnem cieszyli się uznaniem pana radcy, który bez końca wytykał im „zaległości“.

Dawniej, przed laty, żyli z sobą na stopie poufałej. Hipochondryk zwierzał się astronomowi z najsubtelniejszych odcieni swych dolegliwości, lubo powiernik coraz niecierpliwiej wzruszał ra-

mionami. Astronom natomiast nie szczędził melancholikowi popularnych wykładów, o ile błyszczące oczęta, czarne jak węgiel, więcej posiadają siły magnetycznej od ocząt modrych jak bławatki; wszelako niemy tych wywodów słuchacz coraz zapalczywiej zżymał się i wprost ziewał z nudów. Chory pojąć w ogóle nie mógł, iż kogoś zająć niezdolen ciekawy opis objawów jego dyspepsji; romantycznego zaś badacza przyrody obruszało niewymownie, iż ktoś nad cudne blaski mrugających gwiazdek przenosi *sulfas chininae* lub proszki *Dovera*...

Razu pewnego, znękany widokiem gwałtownego ataku newralgii towarzysza, pan Cyprjan przezwał jęczącego kolegę *Bolbeckim* z „Consilium facultatis“, w skutek czego pan Medard omal nie wyskoczywszy ze skóry, szydzącego towarzysza *uwodzicielem* nazwał i *lampartem*. Bomba pękła... Odtąd nie znali się, nie mówili z sobą, nie widzieli się wzajem, nawet na pół kroku. Natomiast dokuczali sobie chyłkiem, jak tylko mogli. Panu Medardowi przy „kontowaniu“ znikały z pod łokcia całe ryzy systematycznie przykrojonych bibułek; pan Cyprjan zaś przy „skontrze“ szukać musiał ustawicznie linii lub „dzienników.“

Słowem, pan Medard z głębi rozgoryczonej swej wątroby pogardzał trzpiotowatym panem

Cyprjanem; w odwet. pan Cyprjan drwiąc z urojonych cierpień pana Medarda, szykanował go w oczy i po za oczy, co wlazło.

4.

Skutki popytu za nabiałem i związek tegoż z poczuciem patrjotyzmu.

Lat temu dziesięć, nasze gosposie w ustawicznych a gorżkich żyły kłopotach... Byle tylko zwarzyła się śmietanka, ani weź mężulkowi smacznej podać kawuni; jeśli usłużna nie poratowała sąsiadka, posyłało się pędem Hankę lub Maryśkę do „grajzlerni“ po płyn szarawo-niebieskawy o smaku krochmalu a woni bryndzy i czosnku, lub też załzawione ocierając oczęta, oczekiwało się niecierpliwie wizyty baby z Kleparowa, Zamarstynowa lub Sokolnik. Oh, te śmietanczarki — pożal się Boże!... Co która sprzeda w mieście kwaterkę, to doleje wody po drodze — i podajże potem małżonkowi szklaneczkę nektaru, jak on to lubi, z kożuszkiem!... Fe!... Lura!... Jak tu po takiem śniadaniu lub podwieczorku przymówić się o nowe rękawiczki lub bilet do teatru?

Dziś — to *ale!*... Śmietanczarki poszły w odstawkę, w skutek zaś coraz gwałtowniejszego

popytu, kędy spojrzysz, na każdej ulicy, od rogatek aż do rynku, co druga kamienica: *szynk*, a co trzecia: *mleczarnia*...

A *jakie* mleczarnie!... Nabiału do syta; kawka wiejska, że warto buzi dać; pieczywa do wyboru; nawet oskubanych już a pulchnych nie brak pulard i kapłonów... Już to pod względem gastronomji zrobiliśmy krok potężny naprzód. Niech żyje cywilizacja — i postęp — i pani Izydora przy ulicy — —

Ba... nie powiem.

Owoż, przy „niewypowiedzialnej“ tej ulicy istniała mleczarnia; że zaś każde przedsiębiorstwo ugania się dziś za popularnym rozgłosem i bijącym w oczy a sympatycznym lubi posługiwać się sztandarem, nad „nabiałowym“ tedy „lokalem“ pani Izydory piętrzył się ogromny, fioletowy szyld z czerwonym napisem:

„*Pod dzielnym Lodomerczykiem.*“

Patrjotę tego przedstawiła wizerunek opasłego jegomości w sążnistej baranicy; z jednej ręki wypadała mu para kiełbasek z chrzanem, z drugiej zaś wylewała się półliterka śmietany.

Powiadają, że pani Izydora przybyła ongi „*von Draussen*“ i że patrjotycznym szyldem zatrzeć usiłowała reminiscencje swojej prozapji, oraz że wstępnym bojem zgnieść postanowiła wszelką konkurencję. Jeśli taki był jej plan, to powiódł się znakomicie. Na przestrzeni stu kwa-

dratowych metrów rozsiadło się pięć mleczarń; wszelako żadna nie cieszyła się takim napływem amatorów. Bo też gdy po szklaneczce „prosto od krowy“, lub „podśmietania“ zażądałeś porcji czegoś „domowego“ a postawiono ci „kluseczki z serem“, „pierożki z kapustą“ „gołąbki na *kielu*“ (sic), albo zresztą wsławione „zrazy z kaszą“ — oblizywałeś palce co się zowie...

Każdemu gościowi usługiwała pani Izydora we własnej osobie. Czepeczek zawsze czyściutki z kokardą — fartuszek zawsze wykrochmalony i szeleszczący — rączki zawsze pulchne i bieluchne — oczy, ach! oczy zawsze czarne i błyszczące!...

W wolnej chwili rada była z gościem pogawędzić i pochichotać się nieco, a wtenczas z za różowych usteczek wyskakiwały małe, o porcelanowym połysku ząbki...

Mimo to, jeśli zakład pani Izydory prosperował, przypuszczamy, iż garnięto się doń tylko z czystego patrjotyzmu.

5.

Pacjent zmienia ordynarjusza i metodę kuracji.

Nie!... To nie do zniesienia!... Nasz chory zaniósł się od wybuchu kaszlu (patrz: *nervus vagus*), na sam widok, że złośliwy a przekorny

koleżka świeżej dobywa paczki „Dreikönigu.“ Skoczywszy z impetem, uchylił zasuwkę u okna. Antagonista w lot odsunął lufcik u pieca i nadomiar drzwi od korytarza otwarł na oścież. Przeciąg powietrza zawirował bibułkami na biurkach; pan Medard pochwyciwszy więc czapkę, jak pocisk z katapultu, warcząc i sapiąc, wyleciał na ulicę. Przeszedłszy się po „Wałach“ ku pomnikowi pogromcy niewiernych, Jabłonowskiego, i z powrotem ku figurze pogromcy smoka, św. Michała Archanioła, ochłonął nieco ze wzburzenia; ochłonąwszy, dziwne poczuł „ssanie“ w żołądkowym dołku. Źle!... Bardzo źle!... Spotkany *Dr. Gol-Pan*, wstąpił z nim do apteki, opatrzył go, opukał, i stwierdziwszy stanowczo, że poprzedni ordynarjusz, *dr. Bierz-Pan*, kompletnym jest nieukiem, kazał „*Tinct. rhei aquos*“. wyrzucić za okno i po głębokiem zasumowaniu się zaordynował:

„*Rp. Pepsin vitul. 1. 0.*
Natr. Chlorat. 0.70.
Mfp. d. t. i. duedecim. Jeden proszek przed każdem jedzeniem.“

Oraz polecił pacjentowi udać się „Pod trzy korony“ na „befsztyk z jajem“ i „pilznera“.

Befsztyk był potężny i smaczny; „pilzner“ wytrawny; danie to uzupełniło się opętaną porcją „naleśników z powidłami“ i popiło się „fifką

stołowego“... Po obiadku ustało wprawdzie „ssanie“, atoli chory dziwne poczuł „wzdęcie.“ Źle... Bardzo źle!... Dalej do lekarza!...

Tuż przed restauracją spotkał innego zdrowiodawcę. *Dr. Pal-Pan* wstąpił z nim do apteki, opatrzył, opukał i stwierdziwszy kategorycznie, że *dr. Gol-Pan* to skończywszy *asinus laureatus*, po głębokiem zastanowieniu się zaordynował:

„Co rana na czczo dwa kubki „*Karlsbad-Schlossbrunn*“ ogrzanej do *43·8 Reaumura* i ścisła dyjeta. A teraz suń pan za miasto, na kilkogodzinną przechadzkę.“

Pan Medard stęknął z głębi rozdętego żywota i kłusem puścił się w dal... Minąwszy rogatkę błądził światami; nad wieczorem przeciwległą rogatką powrócił do miasta. Z powrotem znaczną już uczuł ulgę; co więcej, gdy z zamiejskiej ciszy dostał się w gwar uliczny, który przypomniał mu ludzi i codzienne ich potrzeby, tak chorobliwy odezwał się w nim apetyt, iż mimowoli jął rozglądać się za gastronomicznym jakimś przybytkiem. Szyld „Pod dzielnym Lodomerczykiem“, uderzył znużoną jego źrenicę; lekarz zalecił dyjetę; dyjeta znaczy: pożywienie lekkie, a strawne; kaszka na mleczku i pożywi — i nie przeciąży żołądka...

Wszedł. Jeden tylko stoliczek próżny stał w kącie; wszystkie inne dokoła roiły się od ła-

knących. Zanim stuknąć zdołał na posługę, ozwał się przy nim dźwięczny głosik:

— Czego pan dobrodziej pozwoli?

Podniósł oczy, a te zdybały się w pół drogi z czarnemi oczętami, z płonącemi, ciekawemi oczętami pytającej pani Izydory.

Naprędce poprosił o szklaneczkę „niezbieranego“. Podano mu ją. Przy tej sposobności zauważył, że podająca bieluchne miała rączki o niebieskich żyłkach.

Zażądał więc drugiej szklanki; potem trzeciej. Przy trzeciej, gosposia usiadła przy nim i zajmującą rozpoczęła pogawędkę. Ni ztąd ni zowąd, po mleczku skonsumował porcję zrazików, po niej pół porcji domowych kluseczek z serem. Rozgadawszy się i podjadłszy sobie z apetytem zapomniał o anewryzmie serca, hipertrofji wątroby i nieżycie jelit; tym razem zaś uderzenia krwi do głowy odbywały się z akompaniamentem nader przyjemnego łechtania...

Dał słowo pani Izydorze, iż odtąd u niej tylko stołować się będzie, przekonał się bowiem, że „nigdzie nie gotują na tak świeżem masełku“...

Na chwilę odwinęła się gosposia — aż tu drzwi otwarły się z trzaskiem i z fantazją a z szykiem wpadł pan Cyprjan. Podbiegłszy wprost do właścicielki „zakładu“, podał jej rękę, konfidentnie szepnął jej coś do uszka, co znowu u niej wywołało lekki uśmiech i ukazanie bia-

łych ząbków; potem rzuciwszy okiem wzdłuż szeregu nakryć i jeden tylko spostrzegłszy stół wolny, wykręcił się na pięcie i rzucił się ku niemu. Zaledwie mruknąwszy: „przepraszam“ usiadł, ze zdumieniem zauważył przy swoim boku pana Medarda, który, (oczywista) odsunął się z indygnacją. Przybysz, przymrużywszy drwiąco lewe oko, zabębnił widelcem w talerz marsza. Najdrobniejszy szczegół nie uszedł nigdy uwadze gosposi; skoro więc przed nowo przybyłym postawiła obfitą porcję „gulaszu“, umieściła się swobodnie między Montecchim a Capulettem i z właściwą sobie nonszalansją zagadnęła ich:

— Panowie się znają?

— Hm... — krząknął Montecchi.

— Hm... — zawtórował Capulet.

Zawiązanie pogadanki nie udało się. Pan Medard wzburzony poczuwszy nagle dziwne dławienie w przełyku (*singultus*), wstał, obliczył się z panią Izydorą i pobiegł wprost do *dra Pal-Pana*. Na odchodnem pożegnało go stłumione parsknięcie astronoma.

Było to w środę...

W czwartek znów spotkali się obadwaj w zakładzie „Pod dzielnym“ etc.

W piątek nie brakło ich także...

W sobotę nasi buchalterzyści spotkali się tamże przy obiedzie i przy wieczerzy...

I tak, prócz biura, mleczarnia pani Izydory

stała się ich stałym, codziennym punktem zbornym po południu i z wieczora...

Pan Medard siadywał przy stole po prawej stronie bufetu, pan Cyprjan po lewej.

Czarnooka Hebe z równą witała ich uprzejmością. W poniedziałki, środy i piątki miała uśmiech i uścisk rączki dla pana Medarda a czułe spojrzenia dla pana Cyprjana; we wtorki, czwartki i soboty czułe spojrzenia dla pana Metarda a uśmiech powabny z towarzyszeniem uścisku rączki dla pana Cyprjana. W niedziele uśmiechała się wdzięcznie do obudwu i obudwom znacząco ściskała palce... Manipulacja ta wywołała skutek tego rodzaju, że astronom coraz zjadliwiej natrząsał się z hipochondryka, hipochondryk zaś coraz zapalczywszą dyszał nienawiścią ku astronomowi.

6.

Wywiady i informacje; przypuszczalne zamysły i stanowcze decyzje.

W przybytku czarnookiej Hebe niewiele jeszcze zgromadziło się łaknących, Newton zaś z Halickiej Ulicy widocznie się spóźnił; pani Izydora przysunąwszy się więc do tem swobodniejszego jego kolegi i podparłszy główkę, rzecze tonem poważnym:

— Kochany panie... Co to za człowiek z tego pana Cyprjana?

— Alboż co?

— Prosiłabym o bliższe informacje.

— Cóż on panią obchodzić może?

— Właśnie zaszły pewne okoliczności...

— Okoliczności? No, proszę!...

— Za pozwoleniem... Jaką dostałby pensję, gdyby podziękował za służbę?

— On, który służy zaledwie lat piętnaście?

— Tak...

— Przyznanoby mu dwadzieścia kilka guldenów miesięcznie, hołyszowi.

— Co?!

— Tak jest, moja pani; dwie dziesiątki i kilka guldenów.

— Ależ to podstęp!

— Co za podstęp?...

— Dał mi do poznania, że pragnie się spensjonować, ażeby...

— Ażeby?...

— Ożenić się ze mną i podnieść mój zakład.

— Kto?... On?... Ha, Judasz!... Czując, że wnet go skwieskują, kosztem pani wygodnie żyć chce ten nieroba?!... Widzisz go!... Astronom!...

Tu zniżywszy głos i cały drżąc z gniewu jął objaśniać znaczenie astronomicznych wycieczek przedsiębiorczego buchalterzysty.

O wilku mowa... Właśnie nadciągnął. Gospo-

sia przyjęła go zimnem skinieniem głowy i mimo, że to był czwartek, nie podała mu rączki. *Tarde venientibus ossa...*

Samotnie przy swoim stoliku wieczerzał pan Cyprjan, zaciskając zęby od czasu do czasu; natomiast między jego adwersarzem a właścicielką lokalu długie toczyły się narady i szepty. Po upływie godziny pan Medard, słodkim pożegnany uśmiechem, opuścił zakład. Na odchodnem zmierzył przeciwnika druzgocącem spojrzeniem dumnego i pewnego siebie zwycięzcy...

Tylko co zawarły się drzwi za tryumfatorem, czarnooka Hebe siedziała już u boku pokonanego. Podparłszy sobie główkę, rzecze doń po chwili namysłu:

— Kochany panie... Co to za człowiek z tego pana Medarda?

— To żaden człowiek; to cykorja, lukrecja, chodzący emetyk.

— Cóż za przesada! Bardzo miły gość.

— Rzecz gustu.

— Za pozwoleniem, jaką dostałby pensję, gdyby np. przeniósł się w stały stan spoczynku?

— Pensję?... Co mi za pensja!... Nie wystarczy na doktora i recepty.

— Ależ posiada podobno jakąś realność w Kulikowie?

— On?... Fałsz! Połowa nędznej chałupy była jego własnością a połowa należała do jego

zamężnej siostry Zenobji, lecz od roku już sprzedał swoją schedę szwagrowi na pokrycie aptekarskich rachunków u Mikolasza i Piepesa.

— No proszę... no proszę...

— Alboż co?

— Et, nic... Sądząc z jego projektów, możnaby go uważać za dobrą partję...

— Kogo? Tego nieboszczyka?... Ależ to hołysz i marynata!

— No proszę...

— Rano *sitzbad* i opaska — w południe opaska i mikstura — wieczorem proszek i opaska — na noc...

— No proszę... No proszę...

— Nie posiadam wprawdzie więcej mamony od niego, to prawda, i nie młodszym od niego; ale za to zdrowie moje — O!... (tu uderzył się pięścią w piersi). — O!... (tu ruchem gimnastycznym wyprężył ramię).—O! (tu z impetem rzucił nogami w powietrze). Tak, moja pani; nie chorowałem jeszcze nigdy ani przez pięć minut, a nawet w przybliżeniu nie znam smaku szpitalnych ziółek.

Dwoje ich jeno było w mleczarni; gawędzić więc mogli swobodnie, bez świadków. Wychodząc, pan Cyprjan, stanowczo był zdecydowany uprzedzić zamiary pana Medarda. Z rękoma w kieszeniach, pogwizdując, spieszył na nocny spoczynek i dumał:

— Ona ma kamieniczkę, mleczarnia zaś prosperuje... Radca, intrygant, kopie mi dołki; gotowi skwieskować... Hop, kasztan do wody! — ożenię się *na przekor*.

Pan Medard tegoż wieczora kładąc się do łóżka, zatarł ręce z wewnętrznego zadowolenia i owijając się kompresem rzekł do siebie:

— Kamieniczkę ma, a z mleczarnią wyborny interes... Ślęczeć w biurze zdrowie nie pozwala... *Risico banco... na przekor* — ożenię się!

Pani Izydorowa zasuwając na noc rygle u drzwi zakładu, tak kombinowała w duszy:

— I ten niezły i tamten niezgorszy... Spensjonować się nie pozwolę żadnemu... Mąż i tysiąc reńskich rocznie, interes wcale dobry... jeśli zaś urzędnik kłapnie, pewniutka wdowia pensja po jego śmierci.

— — — — — — — — — — — —

Tejże nocy pan Markus Lilienblüt, wielbiciel baletu i trawestji Blumauera, oraz członek czarnej giełdy z „Wałów hetmańskich“, rzucając się w ramiona Morfeja, odłożył na bok „Neue fr. Presse“, zgasił lampę i zaszwargotał do pani Loli Lilienblüt:

— *Herste, Lola-leben, für wus* ten adjunkt w sądzie zwleka mi z mleczarniem? Kamieniczkę mam już w kieszeni... żeby tylko raz przyznali fantowanie i egzekucję na ten sklep z całem

mlekiem, szafkiem, stołkiem, bufetem i z całe *Einrichtung!...*

To rzekłszy, obrócił się do ściany i usnął snem sprawiedliwych.

7.

Zapaśnicy wciągają do swojej walki powiernika.

Na bufecie stanęły ozdobne, porcelanowe dwa dzbany; codziennie pojawiały się w nich dwa świeże, ogromne bukiety: bukiet róż białach jak śnieg od pana Medarda i bukiet róż czerwonych jak krew od pana Cyprjana — nowa edycja zaciętej, historycznej wojny „*białej*“ róży z „*czerwoną*...“ Codziennie inną perfumą woniała pulchniutka pani Izydora; astronom przepadał za „larendogrą“, coraz weselszy zaś hipochondryk chwalił sobie modny „Jockey-Club.“

Trwało to przez cztery tygodnie.

Bukiety i pachnidła kosztują... Za bilety do teatru płaci się również gotówką... Pan Markus Lilienblüt, dobry znajomy wszystkich biur urzędniczych w mieście, wygodzi w każdej potrzebie...

„Pojedynek szlachetnych“ grozić począł wyczerpaniem sił... materjalnych; że zaś żaden pojedynek nie obędzie się bez sekundanta, więc i w tym specjalnym wypadku wyłoniła się w koń-

cu nowa postać, biorąca udział w zapasach. Nową tą postacią był Gwidonek-rozjemca.

Gwidonek, młody chłop barczysty, wysłużywszy jako wachmistrz rachunkowy dwie kapitulacje i uciuławszy sobie „premję“ wysokości kilkuset guldenów, otrzymał był posadę kalkulanta w biurze naszych bohaterów. Skromny jego kapitalik imponował starszym nawet kolegom; ponieważ zaś dla zaskarbienia sobie ich względów, nowy kalkulant od czasu do czasu nie szczędził fundy u Wojciechowskiego, więc też zjednał sobie i mir i pewien stopień poufałości. Przed nim to pan Medard najcięższe wywodził jeremiady przeciw złośliwemu koledze; przed nim to pan Cyprjan najnielitośniej natrząsał się z rumianego a wiecznie konającego pacjenta; od niego to w razie nagłej potrzeby (gdy zabrakło pod ręką pana Markusa Lilienblüta) drobne zaciągali pożyczki. Gwidonek z miną pogrzebową ubolewał nad cierpieniami pierwszego, prychającym chichotem witał uszczypliwe dowcipy drugiego, od obudwu zaś pani Izydorze nosił bukiety.

Z biura często się absentował — zawsze w godzinach urzędowania pp. oficjałów. Natomiast w zakładzie czarnookiej Heby nie spotykali się z nim nigdy. Czy nie dość, że codzień w południe, korzystając z jego „biegania po za szkołę“, posyłano przezeń białe i czerwone róże?...

8.

Duobus litigantibus tertius gaudet.

Znów niedziela. — O niezwykłej porze, gdyż na dwie godziny przed punktualnym terminem kolacyjek, przypadkiem wpadł do mleczarni pan Cyprjan z flakonem „larendogry“ i — nie zastał gospodyni. Wyszła na miasto... po sprawunki. Trzeciego dnia przypadło święto. Wolny od zajęć biurowych pan Medard zajrzał podobnież nieco zawcześnie do zakładu pani Izydory, kryjąc w zanadrzu flakonik „Jockey-Clubu.“

„Pani“ była na wizycie u cioci... Odtąd i w dnie powszednie ulatniali się z biura pp. oficjałowie i w rozmaitych, nieprzewidzianych porach dnia stawali na „punkcie zbornym“. Okazało się, iż pani Izydora niezmiernie długi posiadała szereg ciotek i wujenek...

Krążył astronom; krążył i melancholik... W tajemniczych tych poszukiwaniach skrzyżowali się nieraz... Oczywista, jakby się nie widzieli...

Pewnego pogodnego popołudnia, pan Medard znalazłszy znów zakład li na opiece służby pozbawiony dozoru właścicielki, smętnie przesuwał się sąsiedniemi uliczkami wytężając wzrok na wszystkie strony. W tem zadyszany stanął przed nim pan Cyprjan.

— Chodź pan!

Zagadnięty stanął słupem.

— Chodź pan! czy słyszysz?... Chodź pan natychmiast!!

Pan Cyprjan straszliwie był blady. Pan Medard (i tak rumiany) sponsowiał — ale poszedł.

Astronom biegł szybko naprzód, melancholik sapiąc, za nim... Tak zabiegli aż na Pohulankę.

W romantycznem ustroniu przechadzało się ich dwoje...

Był to Gwidonek w towarzystwie pani Izydory...

Nagle z za krzewu leszczyny ukazał się blady jak trup pan Cyprjan, za nim czerwony jak ćwikła pan Medard.

— Pani!... zawołali groźnie, prawie równocześnie.

Czuła parka rozskoczyła się zapewne?... Broń Boże. Dama z lekkiem zdziwieniem skinęła spokojnie główką; towarzysz grzecznie uchylił kapelusza.

— Tak to?... bełkotał blady choleryk.

— Nie spodziewałem się... charczał ponsowy apoplektyk.

Piękna brunetka zmarszczyła wyniośle brwi.

— Moi panowie... Zkąd nieuzasadnione jakieś pretensje? Któż mi zabroni wyjść na przechadzkę z narzeczonym?

— Z narzeczonym?!... Kto? Ten pan?!

— Ten pan nie myśli wcale pensjonować

się, chyba (czego nie spodziewam się) danoby mu dymisję. Ten pan zresztą zajął się poważnie moim losem i wczoraj ugodził się z Lilienblütem...

I ujmującym uśmiechem wygładziwszy twarzyczkę, dodała:

— Spodziewam się, że panom, tak mi życzliwym, zrobiłam prawdziwą przyjemność udzieleniem tak ważnej dla mnie wiadomości... A teraz żegnam kochanych panów. Pana Cyprjana ciągnie zapewne do jego *obserwatorjum;* pan Medard zaś niech ma wzgląd na drogie swoje *zdrowie;* tu wilgoć leśna; przeziębić się gotów. Proszę nie zapominać, że dziś na kolację świeżutka wędzonka z młodym groszkiem.

Podała ramię Gwidonkowi, który pełen szacunku złożył ukłon pp. oficjałom i posunęli spokojnie ku huśtawce.

— — — — — — — — — —

Nasi dwaj bohaterowie zostali sami.

Pan Cyprjan coraz bledszy — lecz i pan Medard mniej już czerwony...

Pan Cyprjan coraz bardziej ponury — pan Medard zaś coraz swobodniejszy...

Spojrzeli sobie w oczy.

— Et, głupstwo! — rzekł pan Medard po chwili milczenia i machnął ręką. — Straciłem kilka dziesiątek, lecz za to nabrałem rozumu.

— Głupstwo?! — jęknął pan Cyprjan — piękne mi głupstwo!... Wczora, po kłótni z radcą,

podałem się na piśmie o spensjonowanie. I tak chcieli się mnie pozbyć. Skorzystają więc z podania — i —

— Przepadłeś pan. Ho, ho!... Ja nie dam się tak złapać — i teraz oddycham błogo... błogo... Jak Boga mego, czuję się lepiej...

(Tu w pełne płuca wciągnął czystą pohulaniecką atmosferę i zrobiło mu się lekko... leciuchno.)

— — — — — — — — — — —

Wrócili do miasta ręka w rękę.

Pan Medard, uniknąwszy szczęśliwie katastrofy, czuł się codzień zdrowszym i z każdym dniem nabierał humoru. Pan Cyprjan, w oczekiwaniu „niebieskiego arkusza“, zapadł na uporczywą żółtaczkę i bezustannie dręczył uszy powolnego kolegi opowiadaniem dziwnych, nieopisanych ataków i dolegliwości...

VIII.

AFAZJA.

(Studjum patologiczne).

Każdego z góry czytelnika zwykło się tytułować „łaskawym“; każdej (bez wyjątku) czytelniczce składamy z góry hołd zapewnieniem, iż „nadobną“ jest i „czarującą...“ Autorską praktyką uświęcony to zwyczaj. Niewinnych imamy się pochlebstw *ad captandam* P. T. publiczności *benevolentiam*... Czytelnik bowiem, bazgraninę twoją literacką biorący do ręki, w onem samna-sam w żarłocznego zmienia się Lewiatana, który ma prawo połknąć cię z kretesem, który zaś wyłuszczać nie potrzebuje powodów, dlaczego znalazł cię mdłym lub niestrawnym... W dobrze przeto pojętym własnym interesie, wszyscy wielcy (a cóż dopiero mniej wielcy autorowie) sprytnie starają się emablować Was, moi państwo; przedewszystkiem zaś niebezpiecznej wystrzegają

się wzmianki, jakoby przypuścić mogli, iż ktoś z czytających wtajemniczony nie jest w najbardziej zawiłe, choćby nawet przedepokowe zagadnienia...

A przecież, wbrew przyjętej tej zasadzie, wbrew (wszystkim Wam społem i każdemu z osobna) winnemu szacunkowi, zdobędę się na wyskok cywilnej odwagi i wręcz spytam niedyskrytnie:

Czy wiecie państwo, co to jest... *afazja?*

W zuchwalstwa mego zapędzie pozwolę sobie podzielić Was na dwie kategorje: na tych, którzy z oburzeniem wzruszą ramionami, iż o jakąkolwiek nieświadomość posądzić ich mogłem — tudzież na tych, którzy najspokojniej oczekują rozwiązania zagadki. Pierwszych solennie błagam o przebaczenie z prośbą, by opuścili kilkadziesiąt następujących wierszy, — dla drugich zaś, mentorską przybrawszy powagę, z namaszczeniem wygłaszam ex cathedra następującą prelekcję: *Afazja* jest to — —

— „Wiem już!“—(zawoła młodziuchna, w starożytnych jednak dziejach oczytana czytelniczka) — Afazja była to Karyjczyków królowa, matrona wielce świętobliwa; do małżonka swego, Mauzolosa, tak niesłychaną pałała miłością, iż po śmierci ubóstwionego, do codziennego swego napoju wsypywała szczyptę prochów nieboszczyka.“

— „„Przepraszam!““—(nadobna przerwie jej

towarzyszka, która ciekawie ku niniejszej ramocie zaglądała jej przez ramię) — „„Afazja była to rozkoszna z czasów Peryklesa Greczynka tak niepospolitej urody, że nawet filozofowie, dla których pomoc fryzjera była już kwestją przeszłości, wdziękom jej nieśli hołdy i hojne palili ofiary.““

Mylicie się, *mes dames*... Matrona zwała się: Artemizją; płochej zaś kapłance Wenery na imię było: Aspazja.

Nie, moje panie; *Afazja* — to ani panna, ani mężatka, ani wdowa.

— A więc rozwódka! — plasnąwszy w dłonie, trzpiot zachichocze podlotek, nad wyraz uniesiony swem odkryciem.

Nie, porywcza moja panieneczko... Tem ci mniej ona rozwódką... Atoli ponieważ w uczonej mojej dysertacji na nieustanne narażony jestem przerwy, przeto zwijam mentorską powagę i chowam ją do kieszeni, ciekawych zaś odsyłam do pierwszego lepszego *Konversations Lexicon'u.*

Widzę, jak z szafeczki dobywszy pierwszego tomu, niecierpliwie przerzucacie kartki; widzę, jak skacząc błądzicie wzrokiem po drabince wyrazów, z których każdy zaczyna się od litery A.

— Abominacja...

— Achromatyczna skala...

— Abdelkader...

— Abecadło...

— Adonis...

— Afryka...

Za daleko. Wracajmy. Afo — Afi — Afe — Afa — —

— Afazja. Jest!... Czytajmy:

...Afazja z greckiego *αφασια*, stan chorobliwy, utrudniający pacjentowi swobodne posługiwanie się darem mowy, lubo chory swobodnie włada odpowiednim organem i jasną zachował przytomność umysłu. Wprawdzie pojmuje on prawidłowo każde do siebie wyrzeczone zdanie; własnych jednak myśli nie zdołając wyrazić słowami, usiłuje wyłożyć je giestem. Stan ten anormalny trwa nieraz tygodnie, miesiące, czasem do śmierci; niekiedy jednak usuwa się już po upływie kilku godzin, po czem pacjentowi powraca pamięć wyrazów i zdolność ich wypowiedzenia.“

Otóż to jest — *afazja*, moi Państwo. Jeśli komu z Was przedmiot ten wydaje się zupełnie nowym, nie ubliża mu to zgoła; nie każdy bowiem osobnik nieprzezwyciężony czuje pociąg do zgłębiania tajemnic newrozy i powikłanej symptomatologji.

1.

Pan Herkulan, atleta to jak dąb, dwu prawie metrów wysokości, o potężnej, na byczym karku osadzonej skrzynce mózgowej i o tak szerokich barkach, że usiadłszy w teatrze na fote-

lu, trzem conajmniej widzom zasłoniłby sobą proscenium. Tubalny jego głos turkoce jak Claytona młocarnia w pełnym ruchu, gdy zaś rubasznym wybuchnie śmiechem, na komodach przerażone podskakują filiżanki a szyby brzęczą w oknach. Pan Herkulan służył ongi wojskowo i w dragońskim mundurze podporucznika imponujące sprawiać musiał wrażenie; zaledwie jednak srebrnej dosłużył się gwiazdki, „kwitował“ twierdząc, że omierzły mu burze i rozgardjasze marsowego żywota i że za domowym, cichym tęskni spokojem. Złe języki rozniosły, jakoby nadmierna ilość ostemplowanych świstków, z których każdy opiewać zwykł: „dnia... zapłacisz pan... na zlecenie...“ itd. jedynym była powodem tak doraźnego wyrzeczenia się dalszej karjery; w obec dokonanego jednak faktu, pobudek tegoż zgłębiać nie będziemy, zwłaszcza iż czytelnika nader mało one zajmują. Pan Herkulan „kwitował“ — i przy krajowej Dyrekcji wymiaru należytości niezbyt lukratywne uzyskał stanowisko manipulacyjnego dyurnisty.

Pani Renata, niewiasta to jak badylek dziewanny drobna, żółta i tak szczupłych rozmiarów, że skoro na ulicy ze złożonym pojawi się deszczochronem, z trudnością zdołasz rozróżnić, który cień niewiasty jest cieniem, a który cie-

niem parasola. Głosik jej cichy, to szept wiosennego Zefira; histeryczny zaś jej śmieszek, gdy usłużne sąsiadki z jaką skandaliczną przybiegną ploteczką, zgrzyt przypomina podwójnych szpilek, ciskanych do porcelanowej miednicy.

Panią Renatę znano pod mianem „pani kontrolowej,“ lubo żadnego nie cytowano wiarygodnego świadka, któryby pamiętał ś. p. jej małżonka lub bliższych udzielić mógł danych, co, gdzie i przy której dykasterji nieboszczyk ongi kontrolował. Pokątnie szeptano wprawdzie po przedmieściu przeróżne mniej lub bardziej uwłaczające jej czci pogłoski; gdy jednak podobnego pokroju wieści tyle czytelników zająćby mogły, co owe plotki systematycznie rozsiewane o panu Herkulanie, puszczamy je tedy mimo uszu. Atoli faktem, że pani Renata intabulowaną jest właścicielką schludnego dworka „na Bajkach“; przypuścić zaś wolno, że kiedyś, może jeszcze za czasów krymskiej kampanji, białogłowa ona daleko młodszą i mniej szafranową, natomiast zaś nieco pulchniejszą być musiała... Miano ją też w podejrzeniu, że na nieochybną hipotekę, lecz i na niedozwolony procent (za pośrednictwem osławionej Moszkowej) pokaźne polokowała kapitaliki; wskazywano oraz na odwieczną, wypełzłą, starannie okutą a zamczystą skrzynię pod jej łóżkiem, utyskując na jejmości nieuczynność i sknerstwo; wszelako skrzynia ukrywać mogła drogie wspo-

mnieniom pamiątki, przed złych zaś języków obmową nikt ustrzedz się nie zdoła...

2.

Pan Herkulan, (acz biura krajowej Dyrekcji wymiaru należytości w samem rozsiadły się śródmieściu, pod opiekuńczem skrzydłem odwachu) postanowił tak dla mebli swoich, jak i dla siebie, w przyzwoitej odległości wyszukać schronienia. Do decyzji tej niewątpliwie przyczynić się musiał szacunek, jakim każdy funkcjonarjusz do siedziby przełożonej swej władzy przejętym być winien; niemniej jednak wpłynął zapewne na to postanowienie wzgląd na pożądany spokój, tudzież na świeższe, przedmiejskie powietrze. Co do nas, gotowiśmy posądzić pana Herkulana, że właściwie jeno różnicę czynszów miał na oku; skoro zaś już raz napomknęliśmy o domowem urządzeniu tego pana, wyliczenie poszczególnych utenzyljów tak czasu, jak papieru wiele nam nie zabierze. Kawalerskie jego mebelki stanowiło żelazne, eksporucznikowskie łóżko, z dodatkiem szarag, krzesła i stolika. Mniemamy, że nazbyt przyzwoicie we wszelkie był zaopatrzony potrzeby, zwłaszcza, że przepomnieliśmy o zielonej karafce, pełniącej to służbę dzbanka, to lichtarza. Przy zmianie pomieszkania nic tyle nie sprawia kłopotów, jak nadmiar zbytkownych, a więc i zbytecznych gratów i gracików...

Pani Renata, — acz na nieochybną hipotekę polokować miała pokaźne kapitaliki — roztropnie obliczyła a dokładnie, iż dworek „na Bajkach“ rocznie $4^1/_2{}^0/_0$ nieść powinien; jeśli zatem izdebka od podwórza jeszcze przez przeciąg czteru tygodni stać będzie pustką, dochody tegoroczne zmniejszą się o ośm gładkich, niebieskich, jednoguldenowych karteczek. Ponieważ zaś czynsz z tej izdebki przynosił rocznie czterdzieści i ośm również niebieskich, jak niemniej gładkich papierków, cokolwiekbądź przeto przyjemniej jest i pożyteczniej całą pobrać preliminowaną sumkę, aniżeli ukróconą o ośm bankocetli. Rozumowania tego wynik skoncentrował się na ohyblowanej, stopę kwadratową zajmującej deszczułce, którą od frontu do sztachet przymocowano goździami. Na deszczułce zdaleka już zwracał uwagę przechodniów napis: „Pokój dla pp. kawalerów z osobnym wchodem zaraz do najęcia“.

3.

Pana Herkulana, w żmudnych po za Marją Magdaleną poszukiwaniach, zawiodło przeznaczenie „na Bajki.“ Krokiem stąpał swobodnym i lekkim, fantazji zaś pełen wywijał w powietrzu laseczką. Okiem w *monocle* zbrojnem rzucając od niechcenia wzdłuż parkanów, zatrzymywał wzrok na drzwiach i okienicach, wcale nie z miną dye-

tarjusza, śledzącego za taniem schroniskiem, lecz raczej pozował na obywatela, który powszedniemi nie trapiony troski, przedmiejskim (dla konkokcji) inhaluje się kwasorodem. Dłubał pono nawet w zębach cieniuchnem drewienkiem, jakoby dopiero-co u Żorża wykwintne spożył śniadanko, jakkolwiek od rana, krom nędznego kawałka salwalady z bułką, prawdopodobnie nic nie miał w ustach. Z fantazją taką przebywał *Hanibal* Alpy, zdążając na zdobycie świata. Nikt też nie wątpi, że zdobywca, *in gratiam* tak olbrzymiego przedsięwzięcia, codziennie posilnym pokrzepiał się obiadkiem...

Panią Renatę zapobiegliwa około własnego obejścia skrzętność, zawiodła była właśnie ku furtce dworka, tuż pod deszczułkę przymocowaną u sztachet. Zanurzywszy dłonie w kieszonkach niezbyt czystego fartuszka, pobrzękiwała gospodarnie pękiem kluczyków. W jeden, niewidzialny punkt utkwiwszy przymrużone oczka, obliczała w duszy uronione procenty od uronionego na czynszach kapitału. Tak perłożerna dumała *Kleopatra* w chwili, gdy przeznaczenie dzielnego ku niej wiodło *Antoniusza*... Kto wie, żali w tem oczekiwaniu także nie brzękała kluczykami?...

4.

— Czy wolno obejrzeć pokój z osobnym wchodem? — grzecznie zagadnął zadumaną pan Herkulan.

— Natychmiast! — skwapliwie zawołała, obudzona z zadumy, pani Renata.

Wieczorem, przed dworkiem „na Bajkach", stanęła dychawiczna szkapa, ciągnąca skrypliwą jednokonkę. Drynda przywiozła bohatera naszego, meble jego i jego losy...

Pan Herkulan zajął izdebkę od podwórza we dworku pani Renaty.

5.

Pan Herkulan od miesiąca już zamieszkiwał skromny swój apartament i przez przeciąg czteru tych tygodni widocznie nie próżnował, skoro w tak krótkim czasokresie wiele zajmujących, choć zgoła mu obojętnych napiętrzył wiadomości. Ku zaspokojeniu niewinnie ciekawej z natury żyłki, wywiedział on się niebawem, że realna wartość murowanej realności z przyległościami dosięga około sześciu tysięcy; że do dworku należy jeszcze pięć morgów drenowanego prawieczarnoziemu i rozległy ogród warzywny z inspektami, co w guldenach austrjackiej waluty

znowu około pięciu wynosiło tysięcy; że powyższa nieruchomość nie obciążona żadnymi tabularnymi długami; dalej, że regularnie co półrocza, dnia 1. Maja i 1. Listopada, pani Renata w głównej Kasie krajowej mienia kupony od obligacyj indemnizacyjnych na gotówkę, tudzież, że każdego 30. Czerwca i 31. Grudnia, co półrocza, tejże samej dokonywa manipulacji w kasie Towarzystwa kredytowego. Kuponiki punktualnie w terminach odcinane, pokaźny a okrągły reprezentowały kapitalik dziesięciu tysięcy nominalnej wartości, ulokowany przezornie w obudwu gatunkach walorów po połowie. Nie koniec na tem; jakich nasz bohater ku zaspokojeniu niewinnej swojej ciekawości użył sprężyn, nie wiadomo — dość, że w kieszonce kamizelki nosił drobny skrawek papieru, na nim zaś mieściły się ołówkiem skreślone, zagadkowe a lapidarne zapiski: „Pazurkiewicz (17%) 2,550 zł.; Szlamowa (15%) 2,335 zł.; Hrabia Golski (150%) 700 zł.; na Dmuchowie intab. 3,200 zł.; Dr. Przepadło (wątpliwe) 300 zł.“ Na odwrotnej stronie karteczki czytamy: „Cukiernica srebrna *massiv*, wewnątrz pozłacana 1; łyżek srebrnych z monogramem 10 (dwie dokupione, *chinasilber*); łyżeczek srebrnych 12; szczypce do cukru *ditto* 1; kandelabrów *ditto* dętych 2 (czy nie *paktong?*); zegarek damski złoty emaliowany o podwójnej kopercie 1; *ditto* męzki srebrny, stary

repetjer o załamanej kopercie 1; pierścionków z rubinami 7, z turkusami 15; kolja złota 1; brasseleta złota ze szmaragdem 1; cwancygierów starych 123; dukat holenderski oberżnięty 1; talarów Marji Teresy z Matką Boską 72; złotych polskich w srebrze sztuk 49; imperjałów złotych 2; napoleondorów 7; rubli srebrem 13; lira 1.“

Pani Renata, przez przeciąg tegoż samego miesiąca, w niemniej wytężonych pogrążała się rozmyślaniach. Pierwszego tygodnia, pobrzękując kluczykami snuła się po kątach, wielce zaniepokojona okolicznością, że szykowny a niesłychanie nadskakujący lokator, pomimo upłynięcia dni ośmiu, zaniechał opłacić z góry komornego. W drugim tygodniu niepokój wzmógł się do nieskończonej serji ciężkich westchnień z akompanjamentem nerwowego trzaskania drzwiami. W trzecim tygodniu przerażające przybrał on rozmiary, graniczące już prawie z bezsennością i z gwałtowną utratą apetytu. Lecz skoro i czwarty tydzień upłynął bez skutku, zaświtał zaś pierwszy dzionek miesiąca, termin dla wszelakiego rodzaju funkcjonarjuszy tak uroczysty, przez właścicieli zaś kamienic i dworków z lubością wyglądany, — owoż wieczorem tegoż dnia pani Renata, czatując u furty na wracającego z fantazją pana Herku-

łana, cierpko zainterpelowała go o powód niepojętej opieszałości.

— Mościa dobrodziejko... U mnie, jak w depozycie... Grosik nie przepadnie... Poniekąd jednak zachodzą pewne okoliczności, iż wbrew najgorętszym moim zamiarom...

— Ubolewam bardzo, lecz byłabym zmuszoną wypowiedzieć panu od piętnastego.

— Tego pani nie uczynisz, jako żywo... Wyrozumiałość i uczynność czytam w łagodnem Twojem obliczu... Serca szlachetność i duszy wzniosłość maluje się na niem niezatartemi pociągnięciami denzla natury... Wrażenie anielskiej tej twarzyczki raz na zawsze ustrzęgło na dnie mojej pamięci, pamięci nie tyle czynszownika, ile wielbiciela cnót Twoich i Twojego charakteru...

Gdy wobec miodopłynnej pana Herkulana wymowy, pani Renata w milczeniu ku ziemi spuściła oczęta, obliczając w duchu, przez ile miesięcy z czynszem pożegnać się wypadnie, pan Herkulan zlekka panią Renatę powiódł ku ławeczce, usiadł przy jej boku i (w skutek zapewne zapomnienia) nie puściwszy z męzkiej swojej dłoni, dłoni jej niewieściej, słodkim głosem doradcy i powiernika zagrał na niestarzejącej się nigdy lirze wdowiego serduszka. Grał... grał... symfonię grał pastoralną, z pewnym zmysłem kompozytorskim pozostawiając sobie przeskok z *dolce cantabile* do *grave maestoso* przy efektownem *finale.*

— W ogóle nie pojmuję, droga pani, zkąd tyle cywilnej masz odwagi!... W takiej od miejskiego ruchu oddali, żyjesz w zaciszu samotna... Stary Szymon i głucha Kaśka — cóż to za dozór i opieka?... Ogród zasię tuż graniczy ze wzgórzami po nad Pełczyńskim stawem... W czarnych jamach kamieniołomów zwykł nocować stek rzezimieszków i rycerzy kilofu i dłuta...

Zadrżała pani Renata na wspomnienie „rycerzy mgły,“ których ongi ze zgrozą obserwowała z trzeciego piętra amfiteatru *hr. Skarbka*... Pan Herkulan, barwnym wysilony stylem, zamilkł; pani Renata dziękczynnie uścisnęła dłoń pana Herkulana; pan Herkulan czule ucałował rączkę pani Renaty.

Od tkliwej onej pogadanki nie powtórzyła się już cierpka wzmianka o zaległym czynszu; natomiast, zrazu co niedzieli, potem co środy i niedzieli, później co drugi dzień, nareszcie (z niewymownym podziwem starego Szymona i głuchej Kaśki, oraz całego legionu bliższych i dalszych sąsiadek) pan Herkulan stał się codziennym gościem i konsumentem pani Renaty. Co noc, gdy z za pełczyńskich wzgórzy zapadały cienie, pani Renata nie zasnęła spokojnie tak długo, dopóki przez szparę w okienicy nie przekonała się naocznie, że w izdebce pana Herkulana świeci się,

t. j., że atletyczny a tak miodowej i kwiecistej swady pełen pan Herkulan powrócił z miasta, a zatem, że w razie napadu „rycerzy mgły“ okutej, zamczystej skrzyni jak lew bronić będzie...

Nawet we śnie pracował jeszcze mózg pani Renaty obliczając do cencika, iż skoro pan Herkulan pokrywać może własne potrzeby ze subsydjów czerpanych w krajowej Dyrekcji wymiaru należytości, utrzymanie jego nie kosztowałoby wiele więcej, gdyby w dodatku do bezpłatnego obiadu i bezpłatnego mieszkania, codzień jeszcze poranną i popołudniową ofiarowała mu kawunię...

6.

Czas pomyka lotem sokolim; nim się obejrzysz, zmieniły się już stosunki; mrą i żenią się ludzie.

Na Michała pono Archanioła, w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Marji Magdaleny, zagrzmiało z ambony: „Do stanu małżeńskiego zabierają się: pan Herkulan z panią Renatą — zapowiedź pierwsza.“

Całe przedmieście zakłębiło się ni to olbrzymie, jedno mrowisko i zawrzało jak garnek ukropu. Od rafinerji Mikolasza za gródecką rogatką do placu Św. Jura, od gmachu inwalidów po Snopków, biegano... kupiono się w gromadki... giestykulowano... szeptano... aż do połowy października. W dzień Św. Korduli panny klamka za-

padła; pięknego tego poranka pani Renata została panią Herkulanową.

7.

...Cóż wspólnego ma to wszystko z Artemizją, Aspazją, czy jakąś tam Afazją?! — zniecierpliwione zawołają damy; podlotek jeno milczy zadowolony, iż losy bohatera i heroiny autor do jednego sprowadził mianownika, — mianownika, którego wspomnienie zawsze panieńskimi wstrząsa nerwami, który zaś zwie się—marjażem...

Już to, że afazja, t. j. chorobliwa trudność swobodnego wysławiania się, nie wiele z panią Herkulanową mieć może wspólnego, przyznać wolę z góry; niezaprzeczonym to bowiem pewnikiem, że płeć, do której (mimo statecznego wieku i draśniętych zębem czasu wdzięków) zaliczyć wypada naszę heroinę, nader rzadko i to sporadycznym jeno ulega atakom rzeczonej choroby... Przeciwnie, jak to już na swojej połowicy uczony skonstatował Sokrates, ścięgna krtani, podniebienia, mianowicie zaś muskulatura języka u płci tej osobników specjalnie rozwinięta, przeważnie ku polifazji czyli wielomowności zdradzać zwykły inklinację.

Wszelako obok heroiny niniejszej rozprawy, figuruje i bohater, który po upływie miodowego półtygodnia pod względem patologicznym zmienił się nie do poznania. Jak każda groźna choroba

pewnymi (częstokroć laikom niezrozumiałymi) zapowiada się symptomami, tak i metamorfoza nerwowego ustroju pana Herkulana niecić jęła w pani Herkulanowej uzasadnione niepokoje. Mianowicie mężulek, przedewszystkiem „*dyurnę*“ puściwszy „w trąbę“, coraz częstszym i coraz dłuższym oddawał się „*nocturnom*“; co więcej, zrazu cichutko i czule, później gromko i z dobitnym naciskiem domagać się ośmielił apanażu odpowiedniego swojemu wzrostowi i swojej korpulencji;—ba, gwałtownym nawet wybuchem zażądał wprost zrobienia bliższej znajomości z wnętrzem okutej a zamczystej skrzyni pod jejmości łóżkiem. Hucząca tuba jego głosu nie tylko nie odmawiała mu jeszcze posłuszeństwa, lecz nadto potęgę rozwijała orkanu... Grzmiąc—dudniąc—rycząc i piorunując—trząsł rusztowaniem dachu i węgłami realności; stołki i ławy, jak za dobrych czasów panowania duchów pukających, koleją wirowały po izbach; tajemnicza nawet, zamczysta skrzynia głucho tętniła w żelaznych okuciach... Jedynie pani Renata, wątlutki ów komarek w obec przedpotopowego mastodonta, badylek ów dziewanny w obec niebotycznego borów króla, żółtsza wprawdzie aniżeli zazwyczaj, lecz i jak głaz niewzruszona, wybuchom tym niezłomny stawiła opór. Wyłączną odpowiedzią, która wśród pauz cyklonu monotonnie słyszeć się dawała, był *refrain*: „Nie dam kluczy. Kluczy nie dostaniesz.“

„Lilliputanki“ z „Brobdingnaczykiem“ zapasy trzymały się przez cały listopad w niezmiennem stadjum gwałtownych szturmów i biernego odporu. Panu Herkulanowi nad wyraz obmierzły już „Bajki“, w skutek czego u Eljasza coraz głębiej sondował za „prawdą“; że zaś „ołomunieckie“ dziwną posiada właściwość, zażyte bowiem po nad pewną, maksymalną ilość litrów, na ścieżaj rozwiera serc wrzeciądze i do poufnych skłania wywnętrzeń, to też b. pan dyetarjusz. w kółku codziennych swych współbiesiadników a dawnych swoich biurowych koleżków, posępnemi barwy retuszował gorycze zawodów i w poczuciu własnej niemocy walecznie odgrażał się „staremu grzybowi.“

Atoli w przekornej to już leży, zawistnej ludzkiej naturze, że wywnętrzeń podobnego rodzaju nie słucha się z taką kondolencją, z jakim podawane bywają ferworem... Pp. dyetarjusze dalecy byli od rzewnego ronienia łez nad b. koleżki niedolą. Wszakci był on panem i mężem zamożnej, bardzo zamożnej białogłowy — i nie potrzebował już w krajowej Dyrekcji wymiaru należytości piórem machać od 9-tej bez wytchnienia do 3 ciej i elokubracje konceptowiczów „mundować na czysto.“ Gorżkie więc żale pokutnika kończyły się zjadliwemi tylko szyderstwy pana Łucka, pana Tomka, pana Ferdzia i pana Rafałka.

8.

Pewnego wieczora (powiedzmy: bardzo już późnego wieczora)—gdy drwinki i dotkliwe słówka skrzydlate w bohatera naszego godziły z okrutną bezwzględnością,—gdy wręcz trywialne imioniska, (z których „pantofel“ najmniejszą jeszcze tchnął obrazą) warczały mu koło uszu, jak w drugorzędnych włoskich teatrach warczy grad zgniłych owoców koło uszu chrypliwego tenora—pan Herkulan zamilkł, łokieć oparł na prożnym kuflu, na łokciu zaś sponiewieraną złożył głowę.

— *Hol der Tajfel!* (huknął pan Ferdzio). Chłop jak dąb, a z babą rady sobie dać nie umie!

— Ja nie straciłbym kontenansu (flegmatycznie zauważył pan Rafałek). Lebo klucze — lebo separacja!...

— Separacja?! (poderwał pan Łucek). Powiedział, co wiedział!... Harpagona w spodnicy wziąłbym, ot tak, w śruby — *und schon!* (Tu dłonią potarł o dłoń, jakby panią Renatę rozetrzeć chciał między niemi na miazgę).

— *Argumentum ad hominem,* ot co, panie dobrodzieju! (wywijając literkiem, chuderlawy zapiszczał pan Tomko). Niech baba zna mores!

— Alboż on panem w domu?! (zachichotał pan Ferdzio). Obaczycie; niebawem fartuch mu przypasze i prażyć każe śmietaneczkę!

— Dobrze ci tak, zuchu!... (zawtórował chór

serdecznych, wskazującymi palcami dziobiąc go w piersi).

Pan Herkulan podniósł skroń z łokcia, łokieć oderwał od kufla i powstał. Blady był nieboszczyków bladością, jeno dokoła powiek krwawy czerwienił się rąbek. Zachwiawszy się nieco na pedałach, straszliwie zatoczył białkami i z całym zamachem uderzył pięścią w stół, aż litry z brzękiem powaliły się sobie w objęcia.

— Fartuch mi przypasze?!! (ryknął)... Ja nie panem w domu?!!... (powtórzył, szarpiąc na sobie kamizelkę). Obaczymy!!... Kto mnie kocha— proszę za mną!

— Dokąd? Do „Piekiełka?“

— Do mnie — na preferansa.

— Hura!!... Brawo!!... Burżliwy oklask powitał tę propozycję. Pochwyciwszy paletoty i z fantazją nałożywszy kapeluszy, Szeroką Ulicą ruszono ku „Bajkom.“ Pan Herkulan pełną piersią wytrębywał kuplety z Sinobrodego, pan Tomko piskliwie wtórował mu kawatyną Rossiniego, pan Ferdzio kułakiem walił w plecy pana Rafałka, naśladując dudnienie wielkiego bębna, pan Łucek zaś, zgrzytając zębami, w takt uderzał w końce palców głęboko przekonany, że z nich wydobywa dźwięk czynell.

Zegar na ratuszu wydzwonił jedenastą.

Rezydencja państwa Herkulanów w głębokim spoczywała śnie.

Ciszę nocy przerywał jękliwy poświst jesiennego wiatru i dalekie, hen od Wulki, psów naszczekiwanie. Wódz nocnej wyprawy, pan Herkulan, z niewiadomych powodów zamilkł już u wstępu na przedmieście, w czem wesoła naśladowała go kompanja.

W ponurej ciemności, grząskie przebrnąwszy topieliska, powodując się raczej instynktem aniżeli zmysłem wzroku, szajka Argonautów stanęła u furty.

— Gospodarzu, dzwoń!

Pan Herkulan zadzwonił. Milczenie... Szarpnął rączką po raz drugi — i trzeci — i dziesiąty... z równym skutkiem.

Upłynęło pół godziny.

— Ha, no, chłopcy... leźmy przez sztachety.

Z niemałym trudem, wzajem się podsadzając, znaleźli się po tamtej stronie ogrodzenia.

Gospodarz pukać jął do drzwi energicznie. Pukał palcem, grzmocił w podwoje pięściami — szturmował kolanami — milczenie...

— Tam do licha... Ha no, przez okno!...

Z wysileniem przekręcono śrubę, z zawiasów zdjęto okienicę, wysadzono szybę i odsunięto zasówki. Gospodarz stanął pierwszy w swoim pokoju; za nim koleją wtargnęli do wnętrza towarzysze.

— Wszyscy jesteście? — zapytał.

— Wszyscy — odpowiedział chór.

Pan Herkulan dobył z kieszeni kilku zapałek, potarł je o ścianę i przytknął do stoczka. Pokój oblała mdła struga światła.

Spojrzeli dokoła; potem spojrzeli sobie w oczy; pokój był próżny, prożniuteńki w dosłownem znaczeniu tego wyrazu; ni sofki, ni łóżka, ni szafy, ni stolika; ani stołka nawet, choćby jednego na okaz!... Puste, nagie cztery ściany...

— Kaśka!—zdumiony huknął pan Herkulan.

Z trzaskiem otwarły się podwoje. W progu, w bieli, stanęła pani Renata. W lewicy dzierżyła lichtarz z zapaloną świecą — w prawicy... trzepaczkę.

Weszła trupio-żółta, spokojna, sztywna. Świecą powiodła rzędem wzdłuż szeregu idjotycznie wytrzeszczonych ślepi pp. Argonautów, którzy w milczeniu ogołocili głowy z kapeluszy... Poczem wymownym ruchem ręki wszechwładnej bogini domowego ogniska wskazała ku otwartemu oknu i z ust gniewnej Junony jeden tylko, krótki padł wyraz:

— Precz!!!

Skłoniwszy się niezgrabnie, pan Tomko wysunął się pierwszy; za nim wymknął się skonfundowany pan Ferdzio; w ślad Ferdzia wyniósł się milczkiem pan Rafałek; ostatni ulotnił się potulnie pan Łucek.

Małżonek został sam.

— Lamparcie! — syknęła dama.

Szeroko wydęły mu się piersi; jeszcze szerzej rozwarły mu się powieki; najszerzej usta...

— Łobuzie!! — powtórzyła dobitniej.

Tysiąc myśli piorunem skrzyżowało mu się w mózgownicy...

— Próżniaku!!! — apostrofowała jejmość.

Tysiąc groźnych zastrzeżeń zakotłowało w głębi męzkiej jego ambicji... Tysiąc dosadnich klątw, popychając się tłumnie, tłoczyło mu się wartkim prądem do gardła...

— Opryszku!!!! — coraz głośniej i piskliwiej łajała pani domu.

...A on stał — z rozwartą stał paszczęką — niby skamieniały rekin, czyhający na Jonasza. Głuchy stał... niemy... istny posąg milczenia.

Pytałyście, piękne panie, co to *afazja?*

Rzućcie oczkiem na nieszczęsnego tego małżonka, spojrzyjcie nań z ubolewaniem i westchnąć raczcie — choćby z miłosierdzia...

Tak jest. Ostry to afazji atak, *mes dames* — atak, tak silny, iż spodziewać się nie pozwala szczęśliwego powrotu do normalnego stanu zdrowia.

Jaki sceny małżeńskiej dalszy był przebieg, milczy kronika; pewnikiem jeno, iż pan Herkulan od tej sceny zaniemógłszy chronicznie, nigdy już

do normalnego nie powrócił stanu... Lubo języka jego mięśnie i ścięgna dawną odzyskały elastyczność i lubo w przytomności trzecich osób zupełnej oddawać się mogły swobodzie, niech-no jeno zdaleka posłyszy stąpanie pani Herkulanowej, aliści organ mowy pacjenta wykrztusić zdolen dwa jedynie słówka:

— „*Owszem*“ i „*zaraz*“...

Niekiedy, niekiedy, udaje mu się wygłosić słodko wyraz trzeci: „*duszko*...“

— „*Owszem, duszko*...“

— „*Zaraz, duszko*...“

Specjalnemu objawowi zagadkowej tej choroby nadajemy miano: „*aphasia matrimonialis*.“

Na tem kończę — dumny, że niniejszą rozprawą niezaprzeczone położyłem zasługi około umiejętnych badań nad istotą i przyczynami *afazji*. Nie wątpię na chwilę, że pp. wyznawcy Eskulapa wdzięczni mi będą za przedstawienie im tak ciekawego pod względem patologicznym okazu,—oraz, że na najbliższym swoim zjeździe publicznie zawotują mi dzięki... przez powstanie.

IX.

Pan Glimke poluje nad Strypą na niedźwiedzia.

Ktoś, gdzieś, (nie pomnę: gdzie, i kto), ogłosił był może i trafne, choć niezbyt subtelne studjum porównawcze. Prawi on (jeśli mnie pamięć nie zawodzi) w ten sens: Syn mglistego Albionu, uroniwszy doczesnej szczęśliwości w postaci funtów szterlingów i tem samem nabawiwszy się narodowej fluksji, zwanej *spleenem*, w pierwszy lepszy mglisty poranek pali sobie w łeb i społeczeństwu prawdziwą wyrządza tem przysługę.

Gallów potomek z tamtej strony Renu, gdy szczątki luidorów coraz rzadziej sączą mu się przez palce, milczkiem opuszcza Faubourg St. Germain i czmycha wprost do Monaco, by fortuny tentować w ruletkę. „Audaces fortuna juvat“ brzmi u nas po staropolsku: „śmiałków psy gryzą.“ Dewiza ta sprawdza się niestety częściej z kiepska... po polsku, jak z klasyczna... po łacinie.

Pobratymiec jego z nad brzegów Manzanaresu lub Gwadalkwiwiru, sięgnąwszy do kieszeni i nie doszperawszy się w niej jak kilku tylko *pezos*, jeśli nie sprzyja mu sposobność wyłonienia się znienacka w którem ze Sierrów na czele bandy przemytników pod firmą nieśmiertelnego Don Karlosa, by walczyć za „wiarę," „ojczyznę" i „*fueros*," — dumnie w fałdy układa wystrzępioną almawiwę i z dworską grandezzą raczy... domagać się jałmużny. *Stolz lieb ich den Spanier.*

Teutonów bitnych epigon, gdy mu fatalny dzwonek grobowo jęknie: *ausgeblieben*, poczuwa nagle nieprzeparty „*Drang nach Osten*" i co tchu spieszy cywilizować barbarzyńską Sklawonię lub przypomniawszy sobie, że pod Gravelotte lub pod murami Metz'u w pień wycinał Francuzów dla honoru i wielkości Germanji, przekształca się w zasłużonego majora-emeryta i śmiało puszcza się śladem szczwanych *hochstapplerów.*

Pomińmy, jak w obec podobnie drażliwej sytuacji radzi sobie rumuński bojar lub chiński mandaryn. — A cóż my?...

Jakto co? — — My... nic... My mamy „polskie" szczęście... Nieprawdaż? Jakoś to będzie...

Zaglądnijmy np. na wieś. Skoro przez lat kilka z rzędu srodze zawiódł urodzaj, — gdy Bank hipoteczny odmawia pożyczki na wątpliwą hipotekę, a Towarzystwo kredytowe zaległych rat kredytować już nie chce, grożąc egzekucją sądo-

wą,—gdy nawet usłużny Moszko lub Juda, zamiatając przedsionek sobolową czapką, z najpokorniejszym ukłonem wypowiada termin, czynsz zaś propinacyjny oddawna już zalicza się do *plusquamperfectum*—(właściciel Wielkiej i Małej Wyssanki nie traci fantazji. Palnięcia sobie w łeb nie domaga się (kapryśny wprawdzie, lecz przynajmniej nie mglisty) klimat — do Monaco jechać nie ma już właściwie o czem, gdyż monety nawet na podróż nie starczy, — a jużci, Bogiem a prawdą, do opryszkowstwa jakiegobądź rodzaju moszczerdziej nasz, jak świat światem, nigdy żadnego nie czuł powołania, — natomiast zaś gwałtownego parcia w kierunku cywilizacyjnym na zewnątrz... nie doświadczał tak bardzo na sobie.

Cóż tedy począć?...

Jest jeszcze lasu kawał, jest zboże na pniu, jest humor i wiara w „polskie szczęście.“ Z postępem czasu przeżyły się u nas rozliczne hasła. Jedno tylko, niezachwiane hasło bez uszczerbku dotrzymała tradycja: „Eh, co mi tam! Jakoś to będzie...“

Może bogata ciocia coś zapisze...

Może niespodzianie zjawi się stereotypowy wujaszek z Kalifornji...

Może kiedy wygra się wielki los...

Może... może... Kto tam wie!...

Dalibóg, ten „ktoś,“ który „gdzieś“ zestawił

etnograficzne one właściwości, albo znał naszych pp. posesjonatów na wylot, albo ongi sam był posesjonatem...

Może nie prawda? Ktoby chciał gołosłownie zaprzeczyć, niechno zajrzy w okolice Magnatówki, albo Pankowic, albo Szlacheckiej Woli...

Ot, naprzykład pan Romuald z Liczmanowa.

Kto hoduje przynajmniej jedną parę laskonogich wyścigowców, nierobów? — Pan Romuald.

Kto przepłaca chudszego jeszcze od nich, lecz niezaprzeczenie rodowitego John'a lub Tom'a? — Pan Romuald.

Kto corocznie około N. M. P. Szkaplerznej wlecze się do wód za granicę?—Pan Romuald.

Kto rad ugaszcza u siebie szanowne sąsiedztwo, ale to ugaszcza po dawnemu, że aż cały powiat (panie) chwieje się potem jak trzcina na stawisku?—Pan Romuald.

A tu, jak Bóg Bogiem, z propinacji od trzech lat ani kapnie, zbiórka spieniężona na pniu z zastrzeżeniem terminu i wagi, Towarzystwo kredytowe szle upomnienia coraz bardziej stanowcze, Bank hipoteczny zaś nie odpowiada wcale na podania. A była tam już i sekwestracja; wnet zaś będzie druga...

A przecie pan Romuald nie traci ani krzty fantazji! Zauważono raczej, że nawet jakoś nabył

jej więcej... Zkąd, jakim sposobem, dlaczego, — ktoby się dopytał.

Może co zapisała mu ciocia...

Może miał wujaszka z Kalifornji w perspektywie...

*

W połowie października, po sutej fecie, wyprawionej na swoje urodziny, fecie, o której cuda opowiadają pp. Marcin i Ambroży—i p. Kalikst—i jedynak pani Izabeli—i liczna ich służba,—po wspaniałej onej fecie pan Romuald kręcić się jął bardzo niespokojnie; wyjeżdżał do Lwowa, powracał, znów kędyś wyjeżdżał, znów powracał, by konferować z pachciarzem, propinatorem, dzierżawcą tartaka i młyna, tudzież ze starym Lejbusiem z pobliskiego miasteczka (notorycznym powiatowym Nababem); nareszcie w którąś niedzielę przed kościołem przymówił się delikatnie panu Marcinowi, w następny wtorek odwidził pana Ambrożego, we czwartek złożył uszanowanie pani Izabeli, w sobotę zjawił się niespodzianie u pp. Kalikstów. Z wizyt wracał jakoś nie swój i markotny, — aż tu gruchnęło w okolicy, że na 15. listopada zapowiedziany pierwszy termin licytacji Liczmanowa. Żałowano ogólnie kochanego sąsiada, zacnego obywatela, wypróbowanego przyjaciela, i dobrego Polaka,—lecz jak zaradzić nieszczęściu?...

Pan Marcin chętnieby mu pożyczył, by ra-

tować *swego.*—lecz sam był bez grosza przy duszy i kontent, że choć do popielca jakoś się wymotał...

Pan Ambroży z całego serca poręczyłby mu podpisem, — ale podpis jego tyle miał wagi, co i podpis pana Romualda...

Pani Izabela nie namyślałaby się ani sekundy, — rozporządza jednak tylko dożywociem, co ogranicza słaby jej kredyt zaledwie do zakresu osobistych jej potrzeb...

Państwo Kalikstowie zaś wydają właśnie obie córeczki za mąż, za inżynierów od „Transwersałki“ — i co tam było troszka w szkatule, wszystko pochłonęły wyprawy...

Żałowano więc powszechnie pana Romualda— atoli do zażegnania nadciągającej burzy nie nadał się nikt w całej okolicy, zażegnać zaś ją mogło jedynie co najmniej dziesięć sztuk bankocetli po 1000 zł. wyłożonych gotowizną na stół.

Ha no—jak nie ma rady, to i nie ma!...

Snać niepodobieństwo zaradzenia złemu uznał w końcu sam p. Romuald, gdyż i nadal niezmienną dla sąsiedztwa zachował przyjaźń; przekonawszy się zaś, że „z próżnego nikt nie naleje“, powiedział sobie: „Et, głupstwo. Czy to ja pierwszy?“ — Tak sobie powiedziawszy, puścił w niepamięć wszelkie finansowe kłopoty oraz dzień zbliżającego się sądu Bożego.

Zkądże ten spokój? Kędy źródło nadziei?

Może bez żartu przyśniło mu się terno w czerwonem polu...

Może naprawdę doręczono mu w tajemnicy jaki zbawczy list ze złotopłynnej Kalifornji...

A może... kto tam wie?

Dnia 1-go listopada, tak łaskawi sąsiedzi, jak i matadory urzędowe z miasteczka, otrzymali ozdobnie litografowany bilet następującej osnowy:

„Mam zaszczyt zaprosić uprzejmie W. Pana na polowanie, które odbędzie się w Liczmanówce dnia 3. bm., w dzień św. Huberta, w kniei: „Las Wielki“, sekcja: „Dąbrówka.“ — Miejsce zboru: dwór.—Zjazd o 8-ej z rana.—Śniadanie o w pół do 9-tej.—Wymarsz do kniei o 10-tej. Liczy się na punktualność.—Z uszanowaniem“ etc...

Nikt się nie dziwił. I czemu się dziwować? Wielkie polowanie ze śniadankiem we dworze, na dwa tygodnie przed licytacją, rzecz to zupełnie naturalna, tradycją wreszcie utarta. Niepotrzebny był jeno bombastyczny ów dodatek: knieja „Wielki Las“, sekcja: „Dąbrówka“; całemu bowiem powiatowi przecie wiadomo, że w Liczmanówce oddawna już wycięto wszystko, co było do wycięcia, z wyjątkiem $^1/_{10}$ cząstki „Wielkiego (ongi) Lasu“, (sekcja „Dąbrówka“), która to czterdziestomorgowa resztka, niby szczypta kosmyka u zanglizowanego podolskiego wałacha, zdaleka czerniła

się małą plamką wśród nagiego tła rozległych liczmanowskich zrębów.

W dzień św. Huberta, punktualnie o ósmej z rana, stawiło się grono zaproszonych. Ruch we dworze, gwar służby miejscowej i obcej, brzęk talerzy i trzask dobywanych korków, rubaszne śmiechy myśliwych, kordjalne pocałunki „z dubeltówki“ witających się sąsiadów, radośne wykrzyki gospodarza, wszystko to lepsze przypomniało czasy. Nic nie mąciło swobody i dobrego humoru. Jeden chyba Wicek, zaufany Jaśnie Pana kamerdyner i bywalec, co to z tego i owego pieca chleb jadał i przed kilku dziesiątkami lat z wielkiej zawieruchy przywędrował bez oka, a przez zazdrosnego ekonoma „lizunem“ był zwany, „włóczęgą“ i „zausznikiem“, znosił flaszki z lamusa, nieznośnie mrucząc i gderając coś pod nosem...

Gdy już cała kompanja zasiąść miała do gorącego bigosu (pan Romuald zasadniczo zawsze nim rozpoczynał a nie kończył zimowe łowy), ostatni zajechał p. Kalikst, nieznanego wiodąc z sobą gościa. Był to nikły, chuderlawy, łysy, podstarzały już mężczyzna o ryżych, nieco już siwizną przypruszonych faworytach, z okularami w złoconej oprawie; wrażenie sprawiał uprzywilejowanego posiadacza fizjonomji, wołającej o pomstę do nieba.

— Sąsiedzie dobrodzieju, przedstawiam ci

pana *Glimke* z Torunia. Zapalony myśliwy, choć przybywa bez broni. W miasteczku, na przejezdnem, zapoznał mnie z nim na rynku poczmistrz. Dowiedziawszy się, że jadę do sąsiada na polowanie, tak gorąco a usilnie mnie obligował, że nie mogąc mu odmówić, przywożę go z sobą.

— Bardzo mi przyjemnie—odparł gospodarz niepewnym głosem, powściągając skurczenie się lewego kącika ust, co zawsze u niego było oznaką niezadowolenia.—Proszę panów do bigosu.

Usadowiwszy nowo przybyłych, pan Romuald szepnął panu Ambrożemu na ucho:

— Szołdra Prusaczysko szpieguje mnie na własnem śmieciu...

— Ej—co?

— Ma chrap na Liczmanówkę.

— Kto to sąsiadowi powiedział?

— Lejbuś. Sza!...

Podczas gwarliwego śniadania, gdy już winko pełną lało się strugą, Wicek dotknął z lekka ramienia chlebodawcy i wyniósł się z nim do gabinetu.

— Jaśnie Panie, ja tego Prusaka znam.

— Zkąd?

— A z Poznania. Jasny Pan wie przecie, że ja z tamtych stron. Służąc u pana Strzelbickiego pod Szremem, widywałem ja go nieraz. Mówią, że dziad jego nazywał się Glinka i był sobie poczciwym przedmieszczanem w Swarzędziu: wnuk

sprusaczył się jak nieboskie stworzenie i od trzydziestu lat, od podrostka, faktoruje przy zakupnie dóbr i lasów. Powiadają, że ma już gruby pieniądz.

— Ha no... Piętnastego chyba mnie zlicytuje.

— Niedoczekanie jego! A wszystko szło jak z płatka. Nikt z panów pod infamisem nie miał stanąć do licytacji, a żydki dali słowo *pod chajrem*.

— A widzisz, kiedy djabli go przynieśli.

— Jaśnie Panie... na polowaniu, niby przypadkiem, palnę mu w łeb...

— Głupiś.

— To na wyjezdnem kości mu połamię...

— Ani mi się waż. Gość, to gość. Zresztą co mi tam! Już ja się wyliżę.

Wrócił do biesiadników; Wicek zaś szarpnął jeno ramionami.

Przy stole, jak to zwyczajnie przed polowaniem, po wódeczce, po bigosie, po winku, hucznie a wesoło.

— *Bei uns, in Preussen* — u nas, na Prusach — *jacht man ouch jerne*, lubi *sze* polowanie. *Aber* tylko na *fasany*, albo *zajonse*, albo *in jewissen Jejenden auf n' Fuchsen*. W *Posen* gadali mnie, że tu in *Jalicien* są jeszcze wilki *und die, wie heessen see, die Beeren. Noble Passion!*

— Są na podgórzu, są, panie dobrodzieju— potwierdził pan Ambroży.

— Na *potguschu? Was heesst das:* na *potguschu?*

— Trzecia ztąd wieś—bąknął, łypiąc powiekami pan Marcin, powiatowy krotochwilnik.

— *So-o-o?...* Dwa, trzy mile?... *Diese Bestien* chodzą *manchmal* na *Litschmanufke?...*

— Oh, dlaczegożby nie? Pan się nie obawiasz przecie?

— *Wer?... Ich?...*

— Zkądżeby sąsiedzie!—przerwie pan Ambroży. — Pan Glimke gromił może Bourbaki'ch i Bazaine'ów, a lękałby się pierwszego lepszego kudłacza?...

— *Natürlich... natürlich... S'is mir janz pomad!*—protestował pan Glimke, choć wargi nieco mu się wykrzywiły.

Dodajmy, że szlachta, raz wpadłszy na ten temat, świetne miała pole do wzięcia cywilizatora „na fundusz"; wiadomo bowiem, że Liczmanówka pana Romualda leży sobie nad Strypą, na równinie, nieopodal podolskiego czarnoziemu i że polowania w „Wielkim Lesie" odbywały się na niewinne szaraki.

— A czy pan Glimke widział już kiedy niedźwiedzia?—indaguje dalej pan Marcin.

— *Eenen Beeren? Oh, warum denn nicht?... Im Thierjarten, in Berlin.*

— Ba! To, panie, już zgiermanizowane bestje, przesiąkłe na wskróś cywilizacją, oczytane w romantycznych przygodach hejnowskiego dansera *Atta-Trolla.* Ale nasze galicyjskie Mysie, to nieokrzesana hołota. Jak hukniesz z lufy, a nie powalisz na miejscu, adje Fruziu!

— *Jo... jo... Dennoch,* panie *dobrotscheju,* ja nie *boj se... Een alter Schwede, ich hab jar keene Furcht.*

Pan Marcin trącił pod stołem pana Romualda, a ten rzecze:

— Widocznie tkwi to już w walecznej naturze zdobywców Paryża; bo co do mnie, poluję lat 30 z okładem a nie bardzo tęsknię do takiego nieprzewidzianego spotkania w lesie. A teraz, szanowni panowie myśliwi, komu w drogę, temu czas. Proszę za mną na „Dąbrówkę."

Hałaśliwie ruszono od stołu; na odchodnem kielich pomknął jeszcze raz w „niezawodne ręce", potem ten i ów poprawił torby, przewiesił fuzję i marsz! do kniei, kędy czekał już leśniczy z ekonomem na czele czeredy wiejskich chłopaków.

Myśliwi ciągnęli polami długim sznurem, jak żórawie. Po drodze Wicek zrównał się z Jaśnie Panem i plótł coś półgębkiem i plótł, a Jaśnie Pan kiwał niechętnie głową, poczem Jaśnie Pan snać strofował go z cicha, a znowu Wicek opryskliwie wzruszał ramionami. Nareszcie burknął i został w tyle, przy panu Marcinie.

Gdy już stanęli pod lasem, gospodarz zbliżył się do pana Glimke, który ledwie-że dowlókł się zasapany, z taką drobiazgową pieczołowitością opakował go był pan domu. Dźwigał on na sobie ogromne niedźwiedzie futro; szyję, jak wąż olbrzymi, oplatał mu alpagowy szal; nogi od kilkostopniowego tylko mrozu ochraniały potężne papucze po kolana; na łysinie zaś na pół łokcia sterczał bobrowy, ciężki kołpak. Pan Glimke dowlókł się bez broni, podpierając się grubą laską gospodarza.

— Z umysłu panu nie wręczyłem strzelby, ażebyś nie sforsował się po drodze. Oto pierwszy miot. Służę moją własną lefoszówką. Najlżejsza to pukawka na cały powiat, a nabiłem ją własnoręcznie.

— A pan *dobrotsche*?

— Dla mnie strzelbę niesie służący.

Stanęli.

Leśniczy z ekonomem i z huczkami znikli w borze. Myśliwi uszykowali się i na dany znak, gęsiego, za gospodarzem pomknęli na stanowiska.

Panu Glimke przypadło w udziale zostać przedostatnim. Przed nim, w odległości kilkudziesięciu kroków, zajął stanowisko pan Marcin, ostatni zaś posterunek, także o kroków kilkadziesiąt, zatrzymał dla siebie sam właściciel Liczmanówki.

Cisza zaległa bór.

Tuż przy panu Marcinie wynurzył się z krzaków Wicek i krząknął z cicha. Pan Marcin, odwróciwszy się, zlustrował go bacznie. Czuprynę powiernika Jaśnie Pana okrywała wysoka barania, czarna kuczma, cały zaś otulony był w stare szopy pana Marcina, które w pospiechu lub przez pomyłkę włożył odwrotnie t. j. na wierzch włosem, tak, że podniesiony kołnierz osłaniał mu całą twarz aż po kuczmę. Pan Marcin skinął ręką i Wicek znikł w gąszczach.

Nasz cywilizator ujrzawszy się osamotnionym, oparł się plecami o rozłożysty buk i krótki swój wzrok jął wytężać na wsze strony. U stóp jego ciągnęła się leśna parja, gęsto podszyta krzakami. Nad nim spokojny, ołowiany firmament. Dokoła bezlistna, ciemna gęstwina.

— *Verdammtes Be-e-renland!...* mruknął cywilizator i obszedłszy ostrożnie pień buka, sięgnął dłonią na próbę ku najniższemu z konarów.

Epizodowa gawędka o galicyjskich niedźwiedziach nastroiła mu ducha nie zbyt różowo. Gdyby nie interes, gdyby nie chętka naocznego przekonania się o stanie dworskich budynków, za nic w świecie nie byłby się naraził na nużącą wycieczkę do wyniszczonego lasu. Tak zaś nic mu nie pozostało, jak zagorzałego udawać łowca, pocić się w ogromnem futrzysku uczynnego gospodarza, medytować smętnie nad rozmaitymi, ewentualnymi kataklizmami w spustoszonych bo-

rach *von Halb-Asien* i kląć z cicha, wyglądając końca polowania.

Aż tu podchodzi ku niemu pan Marcin.

— Panie Glimke, powinszować panu stanowiska. Wzrok masz krótki, lecz widzisz przecie ten wąwóz?

— *Fonfus?* — *Jo... jo...*

— Tą parją chadza zawsze gruby zwierz.

— *So o-o?...*

— Za pozwoleniem. To gospodarza strzelba?

— *Freilich. War so charmant...*

— Hm... Widziałem, jak nabijał ją sarniakiem. Że też on zawsze liczy tylko na capa lub kota! A tu panie dobrodzieju, nie żarty. Tą parją chadza gruby zwierz.

— *Aus... potgusche?...*

— Tak, tak, z podgórza. Szkodaby całego zachodu. Musiałbyś pan Mysia przepuścić. Panie Glimke, bierz pan moją kniejówkę. Trochę ciężka, lecz bije... buzi dać.

— *So... so...* A pan *dobrotsche?*

— Ja wezmę pańską lefoszówkę i prędko zmienię naboje. *Adje!* A popraw pan okulary i celuj dobrze.

— *Dank scheen...*

Rozeszli się; Pan Marcin z pukawką gospodarza wrócił na swoje stanowisko; p. Glimke poczuł się znów samotnym z kniejówką pana Marcina.

Cisza... W tem z daleka, z tamtej strony kotliny ozwały się zrazu głuche, potem coraz donośniejsze nawoływania nagonki.

Gwar nagonki rośnie, potęguje się, wstrząsa całym miotem. Mięszane głosy huczków spływają w jeden dziki chaos. Zgiełk—świst—wycie—łomot—słowem wstrząsająca nerwami muzyka pełnej myśliwskiej orkiestry.

Ha... Co to? Pada strzał. Jeden — drugi — trzeci... tyralierka—paf!—pif!—puf!

Pan Glimke przetarł chustką okulary, zagłębił wzrok w gęstwinie parji i czeka. Z kurczowo ściśniętej grdyki z trudnością dobywa mu się krótki, syczący oddech; kolana pod nim dygocą; końce lufek opisują w powietrzu to kółka, to parabole.

Nagle w gąszczy wąwozu zatrzeszczało.

Spojrzy — *Himmel-kreuz-donnerwetter* — z krzaków wyłaniają się ciemne kudły!... Straszliwe jakieś stworzenie podnosi się z ziemi, prostuje się, olbrzymieje. Kudłacz wali wprost na Prusaka.

— Pilnuj! — huknie pan Marcin.

Nasz cywilizator zadrżał—złożył się—i pociągnął za cyngiel od prawki. *Klap*... Nie wypaliło.

Kudłacz łbem już trąca o lufy. Pociąga za cyngiel od lewki. *Klap*... Nie wypaliło.

Skamieniał. Ba, instykt zachowawczy, (ów

obok popędu miłości najpotężniejszy motor), w danej chwili przełamuje wszystko: nawet bezwładność przerażenia przeistacza piorunem w zwinność baletniczą.

Pan Glimke cisnąwszy kniejówkę, mimo ciężkiego futra—raz, dwa—znalazł się na konarze, sześć stóp nad ziemią.

— *Jeschisch-Maria!... Een Be-e-r!... Een Be-e-r!...*

*

Gdy z buka zdjęto bezprzytomny futerał cywilizatorskiego ducha — niedźwiedzia ni znaku; ani dzika, ani wilka, ani nawet choćby lisa. Przeszukano krzaki, badano tropy, napróżno; w całym promieniu, dokoła sekcji „Dąbrówka“ nie napotkano jak tylko „klucz“ jakiegoś chudziny szaraka i same ludzkiemi podeszwami wydeptane ślady.

Prusaczyska przyniesiono do dworu wpół żywego. Dozwolił wlać w siebie dwa czajniki gorącej herbaty i stękając dopraszał się wózka i koni. Pojechał. W miasteczku rozchorował się na dobre i odleżał dwa miesiące. Kleiki i rosołki warzył mu Wicek, który u Jaśnie Pana wyprosił się do posługi choremu.

*

A cóż z dniem 15. listopada? Jak wypadła licytacja? Co słychać z panem Romualdem?

Do licytacji nie stanął nikt. Prusak byłby może Liczmanówkę nabył niżej ceny wywoławczej; niestety, chory leżał w oberży. Co do żydków, ci natarczywym natrętom taką dawali odpowiedź:

— Pieniędzy mu nie pożyczymy, bo z czego odda? Za to Liczmanówki żaden z nas licytować nie będzie, bo on dobry dla żydków i wielki przyjaciel od naszego rabina. A zresztą... Liczmanówka nie warta tyle, jak ją w sądzie otaksowali. (Zdaje się, że przeważył ostatni ten argument)...

Tak pan Romuald znów utrzymał się chwilowo przy swojem dziedzictwie.

W pół roku umarła mu jakaś cioteczno-wujeczna i zapisała kochanemu Romkowi okrągłych 20.000.

Pan Romuald co prędzej kupił trzy angliki, *vollbluty, pur sang;* w karnawale urządził trzy kawalerskie baliki, że aż „pisało“ o nich po gazetach; w poście wyprawił trzy polowania z „szampiterkiem“ i „maczusiem“: tylko—tylko zapomniał uiścić zaległe raty...

I nic mu się nie stanie.

Nic?... Dlaczego?

— Ot, polskie szczęście!...

Aureli Urbański.

Z ZA KULIS

i ze świata.

Szkice, obrazki, humoreski.

Tomik III.

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

[1895]

X.

Oj, ten djabełek!...

— Co za nudy dziś w tem waszem „Kole literackiem!...“ A no, partję pikiecika, hę?

— Przepraszam mecenasa dobrodzieja, nie grywam.

— Ekarcjusza może?

— Ubolewam, ale — —

— Dardla — ferbelka — sztosika?...

— Wybacz, mecenasie — —

— Jak to? Wcale nie grywasz w karty?

— W preferka chyba, po szóstce *szton* i to wyjątkowo, dla uzupełnienia partnerom czwórki.

— A ty nudziarzu! Cóż do licha będziem tu robili?

— Oto domino. Przepadam za dominkiem.

— Dziwna pasja; bezmyślnie dostawiać *blanż* do *blanżu* a *ósemkę* do *ósemki!* Niebawem podadzą mi befsztyka; potrzebuję czegoś podniecającego dla nabrania apetytu, czegoś, coby podrażniło mi nerwy.

— Ja przeciwnie. Dotykając kamieni mojego domina, czuję błogi spokój duszy i oddycham swobodnie, pewny, że nic mi nie grozi...

— Nic nie grozi — nic nie grozi!... Głowę ci utnę, nudny wierszorobo?... A no, krótkiego *djabełeczka*, hę... Cóż to? Żachnąłeś się, jak bym ci nastąpił na nagniotek.

— Ja?... przywidzenie.

— Pokaż-no puls... Oh! oh!... Zkądże to przyspieszone tętno? Słuchaj, w czytelni siedzi Miksturkiewicz; pójdź, zapisze ci *aquam lauro-cerasi*.

— Dziękuję. To przejdzie.

— W tem coś jest. Dlaczego tobą rzuciło na wspomnienie o... *djabełku?*

— Uważasz, mecenasie — — ot, stare dzieje...

— A więc w tem coś jest!... Siadaj, bazgraczu. Wyłuszcz mi powód zagadkowej irytacji.

— Ależ to cała historja...

— Owszem. Tam smażą befsztyka, a ty z historją na stół!

— Niech i tak będzie. Siadajmy tu w kąciku.

Czytujesz, mecenasie, warszawskie „Echo?“ A więc czytujesz. Owoż, onego czasu, spowiadając się szerszemu kołu czytelników z pierwszych moich kroków na ciernistej ścieżce autorskiego żywota, miałem zaszczyt przedstawić wam w fe-

ljetonie „Echa“ poczciwego, kochanego mojego stryjaszka, pana „superarbitra“ z Jamny.

— Pana Zenona znam osobiście, bez warszawskich twoich feljetonów. Dzielny to, acz przeciwnościami znękany hreczkosiej, oraz najzacniejszy pod galicyjskiem niebem flegmus. Nie taki postrzeleniec, jak (nie przymierzając) jego bratanek.

— Dziękuję. Owoż ten pan Zenon z Jamny, w dziejach mojej młodości odegrał rolę bezprzecznie nader ważną, co tem dziwniejsza, ile że jego usposobienie zawsze zdradzało wrodzony wstręt do wszelkiej inicjatywy — i że pierwszy (pono zaś i ostatni) raz w życiu nie lada popisał się energią.

— A to ciekawe. No, jak to było?

W roku 1865. czy 1866., puściłem się ze Lwowa w Jasielskie, do pana Zenona, by po mroźnej, długiej zimie a srodze przeklinanej, dżdżystej wiośnie odświeżyć piersi lipcowem, wiejskiem, mazurskiem powietrzem.

„Każda droga wiedzie do Rzymu“, mówi przysłowie; stworzyła zaś je praktyczna mądrość ludowa, mając zapewne na myśli onych osobników, którzy choćby przelotnie otarli się raz już o kulisy...

Artystyczna dziatwa z gmachu ś. p. hr.

Skarbka gościła naonczas w Tarnowie, klepiąc biedę ogórkowego sezonu; oczywista więc, że lubo moja marszruta kazała mi zatrzymać się w Dembicy, jako ostatniej, wskazanej mi stacji kolei Karola Ludwika, wysiadłem aż w Tarnowie.

— Oczywista. Natura wilka ciągnie do lasu. Jedźmy dalej!

Wysiadłem tedy — i w „angielskim“ stanąłem hotelu. List napisawszy do stryjaszka z prośbą o przysłanie po mnie najtyczanki i uporządkowawszy nieco podróżną odzież, pospieszyłem wprost na przedpołudniową próbę do drewnianej budy w pobliżu seminarjum. Zaręczam, że jeno żywe zajęcie, jakie ta najpiękniejsza z sztuk pięknych już naonczas niecić we mnie zaczęła — —

— Hm, hm...

— Nie krząkaj, mecenasie. Przeszkadzasz mi.

Na wstępie, witając gościa, szepnął mi (ni ztąd, ni z owąd) protektor mój, zacna, poczciwa dusza, niezapomniany p. Adam: „Ziemowitku, bodaj ci nózia spuchła. Aż do Tarnowa za Ziunią, co? Bałamucisz mi „naiwną“.

— Hm, hm...

— Nie krząkaj, mecenasie. Cóż bo znowu, zaraz posądzenia!... Był to sobie żarcik jowialnego, serdecznego, nieocenionego pana Adama. Można mi wierzyć, że — —

— Hm, hm...

— Kiedy-bo przeszkadzasz, mecenasie.

— Sam sobie przerywasz. Nie kręć się, nie wierć się, a opowiadaj porządnie.

Ha no, z za kulis nadbiegła (istotnie rozpromieniona) panna Ziunia i przedewszystkiem zapoznała mnie z bliźniakiem swoim, Felkiem, przybyłym niedawno, z nadwiślańskiej stolicy. Bliźniak Felko, czystej wody był Warszawiakiem. Elegancki, szykowny, wielomowny, łatwo poufalący się, słowem — od pierwszej chwili przylgnął mi do serca ni to plaster *Rigollot'a*... Ofiarował mi uprzejmie lafermowskiego papierosa, jeszcze uprzejmiej przyjął zaproszenie na „*englisch-bitter*“, potem na obiadek. Spożyliśmy go wesoło w trójkę, ja — niezrównany Felko — i nadobna Ziunia. Tak jest... i ona; no, przecie z braciszkiem... Po obiedzie baraszkując puściliśmy się ku Gumniskom; zachwycająca przechadzka!... Z powrotem, nad wieczorem, młoda artystka pospieszyła do garderoby, my dwaj zaś ramię w ramię wałęsaliśmy się po mieście aż do przedstawienia.

„Słuchaj“ — rzecze Felko (byliśmy już ty-a-ty) — „a po spektaklu jaki program?“

„Po spektaklu? Chyba kolacyjka.“

„Zaproś-że i Ziunię, gdyż nie mam nikogo pod ręką, ktoby ją odprowadził do mieszkania.“

„Gdyby tylko przyjąć raczyła inwitację...“

„Już to moja rzecz.“

I widocznie zdołał nakłonić siostrzyczkę, gdyż kolacyjka po spektaklu udała się kapitalnie. Około północy pękła piąta pono butelka szampiterka i tak nam było błogo a ochoczo, że gdy na wychodnem Felko przedostatnią pożyczył odemnie dziesiąteczkę, nie tylko nie miałem czasu zastanowić się nad dziwną próżnią portmonetki, lecz z wylanem sercem byłbym mu nawet ofiarował genewski mój (właściwie papy — nie mój) zegarek z łańcuszkiem do chwilowego przechowania go w zastawie *Pii Montis*... Szczęściem, podochocony Felko nie pałał jakoś zbyteczną ciekawością, żali już daleko z północy. Pannie towarzyszyliśmy na przedmieście, aż pod drzwi dziewiczego jej pokoiku, poczem Felko zaproponował, wyciąwszy piętami dziarskiego hołupca:

„Braciszku, suńmy do *dziadzia*“.

Do *dziadzia*? Niech mu będzie *dziadzio*. Posunęliśmy tedy do *dziadzia*.

Kto zacz był „*dziadzio*“, jakie przeszłości jego koleje i z jakich czerpał źródeł, niedocieczona tajemnica pokrywała w nieprzenikliwych swoich fałdach tę zagadkę. Nie znano nawet, pod jakiem właściwie nazwiskiem zapisany był w metrykalnych księgach ludności dwojga Królestw i jednego Wielkiego Księstwa. Oglądał się na ulicy, gdy nań zawołano: „*Choil!*“ lub „*Morunio!*“ pospolicie zaś tytułowano go: *dziadziem*.

Karłowata to była, nędzna, wymokła figurka steranego starca, jakby ulepiona z niewypalonej terrakoty. Wiecznie (zimą czy latem) w jednej i tej samej, szarej, wytartej surducinie o przykrótkim stanie i przykrótkich rękawach, z szyneczku dreptał do szyneczku, z knajpy do knajpy. Często po północy mogłeś go zastać drzemiącego gdzieś w zakątku nocnej kawiarenki. Służba nie budziła go wcale; wolno mu było przespać się swobodnie, choćby na bilardzie, aż do ponownego otwarcia „zakładu“. *Dziadzio*, zawsze pochylony, o wiecznie sennych, obrzękłych powiekach, niemy jak ryba, chętnie każdemu usłużył i gotów był do wszelkich posyłek; najstalszem zaś jego zajęciem było notowanie „punktów“ graczom kawiarnianym w bilardowe kręgielki, którzy za każde szczęśliwe „dwadzieścia i cztery“ obdarzać go musieli obowiązkowem „kuba“ i kieliszkiem absyntu.

Tajemnicza ta postać *dziadka*, na bruku lwowskim wcale popularna, naonczas wynurzyła się sporadycznie w Tarnowie, gdzie w jednym z zaułków w pobliżu dworca kolejowego, w walącej się chałupinie przedmiejskiego łatacza obuwia, gościnny znalazła przytułek. — Ziewasz, mecenasie?

— Z nawyczki, mój feljetonisto. A wiesz, tego *Choila* czy *Morunia* przypominam sobie ongi... ongi... Stawałem ja w jego sprawie przed

karnym trybunałem, jako obrońca z urzędu. Faktorował pono szulerskiej szajce i wszedł był w konflikt z §§...

— Na miłość Boską, jeno bez paragrafów. To moja śmierć.

— No, to jedźmy dalej!

Jedźmy dalej... Przestąpiwszy próg obskurnej, zadusznej, ciasnej izdebki, powitani zostaliśmy przeciągłym kilkunastu gardzieli okrzykiem. Ciemną, wilgotną norę oświetlała jedyna, u pułapu wisząca, zakopcona lampka. Na środku spelunki mieścił się długi, wąski, niechlujny stół, kulawymi otoczony zydlami. W kącie, pod piecem, mierzwił się barłóg przegnitej słomy. Ot, i całe urządzenie. Dokoła stoła siedziała skurczona grupa mężczyzn, pożądliwe topiących spojrzenia w kilku taljach kart, padających z szelestem z rąk śniadego, wysokiego bruneta z rozczochraną hiszpanką. *Dziadzio* w kąciku podpierał sobą apatycznie piec i dzierżąc w lewej dłoni słój, w prawej zaś łyżkę, rozcierał nią żółtka, zniewalając machinalnym tym ruchem rzęd szklanek i flasz z arakiem na przypiecku do nieustannego, łechcącego ucho brzęku.

Felko, tameczny snać *habitué*, wyrazistem skinieniem spowodował mnie do wydobycia skromnej portmonety i zasiliwszy się resztką jej zawartości popchnął mnie ku stołowi.

Bardzo weseli i bardzo grzeczni byli to pa-

nowie. Dwu wojskowych miejscowego garnizonu — czerwony jak ćwikła, trędowaty feldpater — kilku aktorów — opasły jakiś wieprzobójca z Limanowy — ufryzowany i pachnidłami zlany, czupurny semita, udający zagorzałego antysemitę, tytułowany zaś (z przeproszeniem mecenasa) „mecenasem“ — sygnetami błyszczący przedsiębiorca kolejowych budowli — jąkała urzędnik z magistratu — śniady ów, wysoki brunet z roztrzępioną hiszpanką — ot i całe, wielce dobrane towarzystwo.

— Hm... hm... Mości realisto, a czytałeś ty niejakiego Eugeniusza *Sue'go*?

— To mi pytanie!

— „Tajemnice Paryża?“

— Bah!

— No, nic. Spytałem, tak sobie, mimochodem... Jedźmy dalej!

Jedźmy dalej... Noc, ponczowemi przeplatana libacjami, mignęła przelotem. Rumieniec świtu położył kres walecznym zapasom. Opasłego „wieprzobójcę“ *zrobiono nieszkodliwym*, poczem zacna kompanja rozeszła się z hasłem: „Dziś, po jedenastej z wieczora.“

Co do mnie, jako w tych igraszkach nowicjusza — i co do Felka, jako „prowadzącego pióro“ w swojem i mojem imieniu — w wyśmienitym powracaliśmy humorku. Serdeczny druh, operując wytrawnie pożyczonym odemnie

ostatnim szpargałem mamony, „podwatował“ sobie kieszonkę od kamizoli pękiem banknocików, spłacił mi zaciągnięty dług honorowy, nadto zaś (z pewną nawet naddawką) powetował mi ekstraordynaryjne wydatki, łożone na obiadek, kolacyjkę i szampiterka...

Bardzo przyzwoici, bardzo grzeczni panowie...

Nazajutrz, znów na przedpołudniowej próbie, ośmieliłem się pannie Ziuni skromniuchną ofiarować pamiąteczkę w postaci pozłacanej braseletki, którą jednak dopiero na usilną interwencję bliźniaka Felka przyjąć raczyła.

— Niema co mówić. Panienka dobrze wychowana. Ale jedźmy dalej, szanowny autorze „Tajemnic miasta Tarnowa“.

— Jedźmy dalej...

Wieczorem, po przedstawieniu i po kolacyjce, zabłądziliśmy ponownie do *dziadzia*. Z drobną zmianą, towarzystwo toż samo, grzeczne, wesołe a przyzwoite. I znowu hołd mi wypadło złożyć operacjom finansowym Warszawiaka, których (ja laik) tylko milczącym byłem świadkiem, to z dreszczem trwogi sięgając do kieszeni, to z zachwytem zanurzając w niej ściągnięte z obiegu świstki, zwane bankocetlami.

Za białego już dnia, gdy bezsennością znużony rzuciłem się na hotelowe łóżko w moim „numerze“, — wsunął się pokornie fornal stryjaszka dobrodzieja, z biczyskiem w jednej, z li-

stem zaś w drugiej ręce. Pan Zenon, serdecznie zapowiedzią mojego przybycia ucieszony, przysyła wóz i konie, nagli do wyjazdu z Tarnowa i kończy pisanie prośbą, ażebym (złożonych na wozie przy tej sposobności) sześć worów rzepaku odstawił firmie *Blutigiel & Comp.* w rynku.

Już to pan Zenon z końmi pospieszył nad wszelkie przypuszczenia... Co za szkoda!... Jakże nęciło mnie choćby jeszcze dobę spędzić w towarzystwie Felka, grzecznej kompanji u *dziadzia*, no... i panny Ziuni także. Przepadło. Stryjaszek nagli do wyjazdu i na domiar obarcza mnie gospodarskim kłopotem. Poddajmy się losom... Fornalowi tedy zaleciłem pogotowie do podróży na czwartą z południa z nadmienieniem, że po drodze, na wyjezdnem, doręczy się p. Blutiglowi wory z rzepakiem. Tak zarządziwszy i zbudzić się poleciwszy w porze obiadowej, usnąłem snem sprawiedliwych.

— Gawędziarzu przewlekły, po co te szczegóły? Lada chwila zawołają mnie do befsztyka.

— Szczegóły nieodzowne, czcigodny mecenasie. Służą one do uwypuklenia dramatycznej akcji.

— Masz go, komedjanta!... Jedź dalej!

Jedźmy dalej... Objad upłynął nam w srogiem rozkrochmaleniu. Widmo rozłąki zwiesiło nad nami czarne swoje skrzydła... (Nie jęcz, mecenasie — styl to człowiek...) Przesoliło nam ono kalafio-

rową zupę, w łykowaty kawał chomąta przeistoczyło nam pieczyste, szodo zaś budenia zaprawiło posmakiem koperwasu. Były i lody; zmrożony chyba rozczyn soli glauberskiej... Domorosły nawet szampuś nie zdołał wygładzić zmarszczków zbrużdżonych skroni... Panna Ziunia, milcząc markotnie, składała i rozkładała lepką od pomidorów serwetkę; wzburzony Felko z błotem mięszał wylękłego kelnera; ja zaś raz po raz zapalałem papierosa, który co chwila popielał mi w zaciętych wargach...

„Wiesz co“ — westchnął bliźniak, gdy zostaliśmy sami — „do czwartej zagryść się można z żalu. Dla zabicia czasu wartoby zaglądnąć do *dziadzia*.“

„O tej porze?“ — pytam zdziwiony.

„Dlaczegoż-by nie? Wiedząc, że odjeżdżasz, zamówiłem na drugą *Hidalga*.“

„*Hidalga?* Kto to?...“

„To ów śniady brunet z hiszpanką. Powiadam ci, pyszny chłop. No — i poganin nie jest bez *gotiu*. Facet handluje z Madjarami zbożem, a trzosik nosi grubo podszyty. Heretyk, przed tygodniem orżnął mnie na trzysta rubli, i co powiesz, dziś w nocy kurjerkiem chce dać nogę do Pesztu. Pójdź, przystawię mu bańki i odskubię moje rubelki.

„Ależ...“

„Wypatroszę chłopa, słowo uczciwości. Już ja to czuję w wątróbce.“

„Wolałbym się przespać. *Cliquot* był dziś tak ciężki... poszedł mi do głowy.“

„To irytacja, nie *Cliquot*. Rozerwiesz się; a zresztą, twoje *blaty* przynoszą mi szczęście. Orżnę go na pewniaka. Obaczysz, wygolę mu hiszpankę bez brzytwy.“

Ha... z przyjaźni cygan dał się powiesić. Pożegnajmy się tedy z *dziadziem*...

— Słuchajno, amatorze rozwałkowanych djalogów, daleko do końca? Zda mi się, Alojzy kiwa, zapraszając na befsztyk.

— Tak?... W chwili, gdy zawikłanie dobiega do punktu kulminacyjnego?... A to pięknie!

— Kiedybo ty witasz się — i żegnasz się — jakbyś rozciągał gumielastykę literacką po pięć groszy od wiersza. Zresztą kończ. Befsztyk i tak prosto z patelni. Jazda!

Jedźmyż dalej... Izdebka *Morunia* trzęsła się od chrapliwego duetu. W kąciku, na barłogu, jak miech kowalski sapał *dziadzio*; przez stół przechylony, z głową opartą na skrzyżowanych ramionach, sekundował mu brunet z hiszpanką. *Hidalgo* słuch musiał posiadać subtelnie czujny, równocześnie bowiem ze skrzypnięciem zawias porwał się na równe nogi i zawołał: „Dziadziu, dawaj poncz!“ Z pominięciem wszelkich zbytecznych formalności, wyłożywszy przed się pę-

katy pugilares, natychmiast zabrał się do tassowania talji kart.

Zasiedliśmy w milczeniu — Hiszpan zimny i spokojny — Felko pogwizdujący i rozgorączkowany — ja skwaszony i senny. Przed nami stanęły ogromne szklenice ze złocistym, wrącym napojem o gryzącej woni galicyjskiej Jamajki. Głowa ciężyła mi ołowiem; wciąż przywierałem i żmudnie rozlepiałem nabrzmiałe powieki, bezwiednie prawie przysłuchując się szelestowi kart i monotonnym, urywanym półsłówkom zapaśników...

Od chwili do chwili Felko niecierpliwie poruszał się na zydlu, klął coraz zapalczywiej i pięścią walił w stół, których to zresztą wybuchów obojętnym, ni to obumarłym byłem spektatorem. Zaledwie może minęło pół godzinki, serdeczny mój Felunio syknie mi do ucha: „Braciszku, Hiszpan gnębi mnie okrutnie.“

„Hiszpan?“ — powtórzyłem, zbierając myśli.

„Jużem go y, jak tuz żołędny. Dawaj mamonę.“

„Mamonę?... A to na co?...“

„Tchórzu, za kwadrans zwrócę ci do gronia. Jedna szczęśliwa *wolta* — i jestem w domu.“

Wahając się, ospale dobyłem portmonetki z kieszeni, alić Warszawiak wydarł mi ją z ręki i w gardło wlał mi szklankę ponczu, nie dopuszczając do żadnego protestu; sam duszkiem wy-

chylił drugą szklenicę—i batalja na całym froncie rozwinęła się na nowo. Oczy zaszły mi mgłą... broda opadła na piersi.

I znowu słyszę drżący szept serdecznego druha: „Masz co jeszcze przy sobie?“

W półśnie potrząsnąłem głową, przecząc energicznie.

„Dość!“ — mruknął *Hidalgo* z lodowatym spokojem zgarniając banknoty.

„Za pozwoleniem!“ — krzyknie Felkó — i niewyraźnie poczułem ruch jakiś zagadkowy u kieszonek mojej kamizelki. Instynktowo pobiegłszy palcami w tym kierunku, napróżno usiłowałem domacać się łańcuszka z zegarkiem; chciałem coś bąknąć, atoli język odmówił mi posłuszeństwa, ramię zaś jak drąg żelazny opadło mi pod zydel. Gwałtownie porając się z przemagającem ubezwładnieniem rozsunąłem nieco sklejone rzęsy i przedmiot moich poszukiwań odkryłem na stole, na pęku banknotów.

Ni to przez sen słyszę głos straszliwego Hiszpana: „Basta!“

„Dlaczego basta?“ — oponuje Felunio — „Sześć worów rzepaku.“

„Po cenie?“

„Po dziesięć — czyni sześćdziesiąt.“

„Pięćdziesiąt.“

„Stoi.“

Strzepnąłem jeno palcami pod zydlem, jak gdybym natarczywą odpędzić chciał muchę... Znów szelest kart i znów słyszę: „Basta!“

„Jeszcze nie basta! Fura i para fornalek.“

„Widziałem w stajni. Chude szkapska.“

„Ale młode.“

„Zaglądałem w zęby. Piłowane. Rejestr fatalny.“

„Sto pięćdziesiąt.“

„Siedmdziesiąt pięć.“

„Stoi.“ — I znów szelest...

— A to wyśmienita historja! Kryminał! Zbrodnia z §§... I to rzetelna prawda? Nie komponujesz?

— Ni źdźbła romantyzmu. Ultrarealistyczna, naga prawda. Ale pański befsztyk — —

— Poczeka. Streszczaj tylko te nieszczęsne djalogi. Jedźmy dalej.

Jedźmy dalej... Dalej?... Dalej: mgła... noc... próżnia. Pomnę chyba, że *dziadzio* zawiódłszy mnie do hotelu, troskliwie położył mnie do łóżka.

Po nocy czarnych zmor i szubienicznych widziadeł, obudziwszy się wśród przygnębiających przejawów choroby, t. zw. *lamentatio felium* (ś. p. *Lam* nieboszczyk dał jej miano „*kociokwików*“), załamałem ręce w szalonej, bezbrzeżnej rozpaczy...

Złamanego przy duszy szeląga — genewskiego zegarka i łańcuszka ni śladu — na domiar zaś,

krom dłużnej w hotelu należytości, z całej stryjaszka przesyłki (po ulotnieniu się woza, koni i rzepaku) sam pozostał Mazur-fornal z biczykiem w cholewie, idjotycznie skrobiący się w sieczką przypruszone kudły.

„Nieszczęsny!“ — gromić jąłem ogłupiałego Maćka, szarpiąc na sobie poszczególne części ubrania, zaciąganego na dygocące się członki — „nieszczęsny, ślepy Mazurze! I ty poważyłeś się puścić z rąk pański dobytek?!“

„Panicu, a dyć mom od was cedułkę...“

„Jaką cedułkę?“

Dobył z flegmą z za zagięcia magierki. Tak... to moje pismo... mój podpis... najdokumentniej rozkazałem wóz z końmi i z rzepakiem powierzyć oddawcy, którym (jak się pokazało), był brunet-hiszpan. *Hidalgo* oświadczył Maćkowi, iż Blutiglowi sam odstawi rzepak, konie zaś z wozem zwróci przed wieczorem.

Jak szalony wypadłem na miasto... Znikł bez śladu *Hidalgo*; znikł i panny Ziuni bliźniak, serdeczny Felko. Zginąłem!...

— A niechże cię gęś kopnie, rymująca ty człowiecza pokrako!... A toś się ubrał!... I nie komponujesz?...

— Rzetelna prawda, mecenasie. Zgoła nie do śmiechu. Nieprawdaż, sytuacja nie do pozazdroszczenia?... Ale — ale, Alojzy znów kiwa; befsztyk czeka.

— Niech czeka. Kończ.

Kończę. Całe popołudnie spędziłem w gołem polu, za miastem, pod smętarzem, wyciskając z mózgu myśli, jak sok z cytryny. Cytryna jednak była sucha, rozpaczliwie sucha... Co począć?... Rany boskie, co począć?!... Ni tędy, ni owędy — nic — żadnego ocalenia... Mdły wzrok musnął wrota smętarza — a więc grób!... Tak jest; trzeba umrzeć; umrzeć trzeba koniecznie... Jedyna droga wyjścia — okropna — lecz jedyna... Niestety, fatalna pani z kosą nie zawsze zjawia się na zawołanie; nieproszonego zazwyczaj, wstrętnego gościa częstokroć nie ułapisz, acz zmiażdżony ciosem wyglądasz go z tęsknotą.

A więc samobójstwo... *Alea jacta.* Rozchodzi się jeno o sposób, w jaki pozbyć się ciężącego brzemienia żywota...

A gdyby — wybrawszy sobie punkt oparcia na gałęzi, zadzierżgnąć konopny węzeł... Fe!... Niepodobna; to ściskać musi ohydnie...

Brzytwy użyć? — Brrr!... Widok posoki zawsze przejmował mnie niewymowną odrazą... Niepodobna.

Nabój prochu — kłak — kulka?... Bezsprzecznie, romantyczny to epilog. Paf! — i po wszystkiem. Powiadają nawet, że nie bardzo boli... Lecz zkąd wyrwać choćby skromną krucicę?... Niepodobna.

Trucizna?! — Myśl nie zła; ale to rżnięcie w żołądku... Zresztą zkąd wziąć receptę?... I aptekarz nie zborguje... Niepodobna.

Mam już!... W pewnej od miasta odległości płynie Dunajec; płynie i Biała. Dunajec dalszy, lecz głębszy. Biała płytsza, lecz bliższa. Dunajec górskie, zimne toczy nurty; Biała, w przyjaźniejszych z *Reaumur*'em stosunkach, słodziej jakoś nęci do ostatniej w życiu kąpieli...

Otoż i ona... Miłośnie mruczy, w objęcia spieszące Dunajca-oblubieńca, czysta... łagodna... cicha. Wód jej zwierciadła nie marszczy najlżejszy powiew Zefiru... Zanurzyłem końce palców; stopni co najmniej + 18° R...

Usiadłszy płacząc na kamieniach, nad brzegiem, zwolna złożyłem z siebie składowe części letniego, kamgarnowego garnituru, sztuka za sztuką, i — skoczyłem w toń.

Tonią — pospolity realista nazywa kilkosążniową głębię; w poetycznej przenośni każde mniej lub więcej mokre miejsce po za obrębem stałego lądu, zwiemy — tonią...

Skoczyłem tedy w toń — i, o dziwo, stanąłem na nogi. Usiadłszy na dnie rzeki, skurczyłem się nader odważnie we dwoje; skonstatowawszy jednak stanowczo, że wilgoć sięga mi zaledwie po łopatki, uważałem za rzecz wskazaną podnieść się co prędzej, krok zrobić ku brzegowi, drugi ku moim kamgarnom, usiąść

spokojnie na kamieniach, odziać się przyzwoicie i puścić się ku miastu z powrotem.

W godzinę po tym odwrocie, fornal Maciek z biczyskiem za cholewą a z listem w zanadrzu, *per pedes apostolorum* ruszył gościńcem ku Jamnie. List skruszonego bratanka do drogiego sercu stryjaszka, w najsubtelniejszych szczegółach opiewał odysseję ofiary sprzysiężenia się potęg imfernalnych. Piszący nie pominął żadnego efektownego zwrotu, który sędziego łagodniej mógłby był usposobić dla winowajcy... Jaskrawość faktów przeplatały najtkliwsze wybuchy czułości, zakończone solennem zapewnieniem poszkodowanego, że skoro jeno kiedyś w przyszłości inkulpat dorwie się własnego grosiwa, nie omieszka tak nieprzewidzianego powetować mu uszczerbku. A był tam ustęp iście nader wstrząsający:

„O jedyny Bracie jedynego mojego Ojca!... Jeśli w zapamiętałej zatwardziałości serca nie przygarniesz do stryjecznego Twojego łona ofiary złowrogiego zbiegu okoliczności i (na domiar) nie załagodzisz rachunku, narosłego w „angielskim“ hotelu, — nie pozostanie mi do wyboru, jak jeno popełnienie straszliwego mordu na własnej osobie, w następstwie czego nie tylko postradam nędzny żywot, lecz i duszę zgubię na wieki!...“

Wyobrazić sobie możesz, mecenasie, w jak

dręczącej niepewności, w jakich Tantala męczarniach przewegietowałem kilka piekielnych dni, nie wychylając się zgoła z hotelowej mojej izdebki i w rozkiełznanej wyobraźni licząc każde żółwiowe stąpnięcie posłańca. Teraz stanął w Pilznie... teraz wypoczywać musi w Brzostku... teraz minął już zapewne Kołaczyce... teraz opuszcza Jasło... Jest w Brzyściu... w Osobnicy... Pagorzynie... Ha! — stanął przed werandą w Jamnie... Stryjaszek zdumionem śledzi okiem za wozem i fornalką... Odbiera list... Rozłamuje pieczęć... Odrzuca kopertę... Rozwija pismo... Czyta...

Serce zamarło mi w piersiach...

— Zlituj-że się, rozmachany pegaziewiczu, nie żyłuj mnie stylowemi fioryturami; staraj się streścić literackie owe figi-migi — i kończ. Mój befsztyk, na Boga, mój befsztyk!...

— Jak to? Ani jednej łzy współczucia?... Mecenasie, Twoje paragrafy wysuszyły Cię na drzazgę!...

— Kończysz?

— Kończę.

Po długiem, długiem oczekiwaniu, gdy tak między życiem wisiałem a śmiercią, puka ktoś do drzwi. Wchodzi „Butrym“, pana Zenona totumfacki. Blady jak trup zrywam się z drelicha...

„Pan Jędrzej!...“

„Pochwalony“ —

„Co słychać?...“

„Nic, paniczu. Starszy pan kłania się i prosi do Jamny, ale duchem.“

„A konie są?“

„Nie ma paniczu; pojedziemy pocztą.“

„A hotel — a...“

„Starszy pan kazał mi wszystko pozapłacać.“

„Stryjaszek bardzo — krzyczy?...“

„Nie, paniczu; jak zwykle. Tylko Maciek fornal zdegradowany na pastucha od (z przeproszeniem) bezrogów...“

„Na pastucha?“

„A tak... wedle tych koni, co mu z przed karczmy po drodze ukradli. Nasza pani nawet nic nie wie o tej psocie.“

Odetchnąłem... Poczciwy, kochany, drogi, jedyny stryjaszek! Jak on to dowcipnie urządził!... Konie więc skradziono z przed karczmy, po drodze... O mój złoty, djamentowy mój stryjaszeczku!...

— Po djalogu — refleksje. Kończysz raz?...

— Kończę.

Stanąłem w Jamnie.

Na werandzie okrzykami radości powitali mnie: stryjaneczka — i braciszek Staś — i siostrzyczki Władzia, Helcia i Maniusia. Starsze dziewczątka cudownie podrosły; panny całą gębą! Z za stodoły nadciągnął pan Zeno ze swoją nieodstępną stambułką, uściskał mnie gorąco i po-

dać kazał wieczerzę na werandzie, — wieczerzę z winem, ku uczczeniu mojego przybycia.

Wesoło bawiliśmy się do nocy. Władzia z Helcią produkowały się w saloniku na fortepianie; Staś deklamował o „kruku z serem w dziobie“; Maniusia w parze z kotkiem Mruczkiem tańcowała tramblantkę. Nareszcie rozeszliśmy się na spoczynek.

— No, przecie koniec. Alojzy, gdzie mój befsztyk?

— Jeszcze nie koniec. Następuje *coup de théâtre*.

Wyścielono mi kanapę w saloniku, przy fortepianie. Po tylu perypetjach, ledwie-co przytuliłem twarz do poduszki, w głęboki zapadłem sen. Nagle budzi mnie ciche stąpanie tuż przy mojej kanapie. W okamgnieniu siadłem na pościeli.

„Kto tam?“

„Ja. Stryj. Mam z tobą coś do pomówienia.“

Aliści z pionowej pozycji piorunem znalazłem się w poziomej, z przerażeniem nabierając przeświadczenia, że od stóp do głowy jakby mnie w żelazne pochwycono śruby. Stryjaszek pojawił się z latarką, z sukursem dwu zamaszystych fornali — i z charakterystyczną swoją flegmą, w równych, miarowych odstępach spuszczać jął i podnosić ramię, ramię (niestety) zbrojne w gibki, elastyczny bykowiec... We wnętrzu fortepiana głucho zabrzęczały struny...

„Niebożeńku, zatnij zęby, bo w trzecim pokoju spi żona z dziewczętami...“

„Stryjaszku dobrodzieju...“

„Za głośno, niebożeńku; zbudzisz mi baby.“

„Nigdy już, póki życia...“

„Nieco ciszej, niebożeńku. Na co ci wstydu?“

„Ależ póki życia... najświętsze słowo honoru...“

„Jeszcze za głośno.“

„Żeby mnie święta ziemia pochłonęła...“

„Dajesz tedy słowo?“

„Słowo... słowo...“

„Honoru?“

„Ho-ho-noru, stryjaszeczku dobrodzieju...“

„Że nie tkniesz djabełka, maczka, sztosa itp. paskudztw?“

„Nie tknę, nie tknę, żebym miał skonać...“

„Ani w żadne nie puścisz się hazardy?“

„W żadne, jak Boga kocham...“

Djalog znowu nieco przydługi — to mniejsza; co jednak przyczyniało się do uczynienia go wprost nieludzkim, to akompaniament instrumentu, dzierżonego w silnej prawicy interlokutora.

„A teraz fornale za drzwi! Pst, ani mru-mru; słyszycie — bo baty! A ty, niebożeńku, spij sobie spokojnie. Po podróży należy się wypoczynek.“

I wyszedł na palcach. Fornale za nim.

— A niech-że cię dunder!... Tędy droga? Dlatego więc nie grywasz w karty?

— Dlatego, mecenasie.

— Hm... A cóż się stało z wozem, z końmi, z rzepakiem?

— Kamień w wodę. W kilka lat później, dochrapawszy się pierwszej tantjemy, posłałem ją listownie stryjaszkowi na częściowe zaspokojenie wiadomego długu. Odwrotną pocztą pan Zeno zwrócił mi pieniężną przesyłkę z taką odpowiedzią:

„Kochany mój bratanku! W onej nocy z dnia 23. na 24. lipca rachunek między nami wyrównał się do grosza, nie pojmuję tedy, o jakim wspominasz długu? Nie susz sobie napróżno uwieńczonej laurami łepety — i kochaj stryja tak, jak ciebie kocha twój *Zeno.*“

— A teraz, dobrej nocy mecenasowi życzę.

— Hm... Dobranoc. Przyjdziesz tu jutro?

— Przyjdę. Albo co? Może znów jaki epizodzik?

— Epizodzik?... Z djalogami?... A niech cię nie znam. W każdym jednak razie naprzód befsztyk — a potem pogawędka. *Vale!*

XI.

W TERMOPILACH

czyli

autentyczna o literackich bobrach historja.

Lat temu zwyż trzy dziesiątki...

Grudzień... Śnieżyca... Noc głęboka... Godzina duchów i rzezimieszków... Ponury Boreasz wyjąco dmuchał od cypla Wysokiego Zamku, wirując tumanami mokrych płatków śniegu. Na ulicach pusto — czarno — straszno... U skrętów, wicher miotał się na węgły kamienic, rycząc z wściekłości, iż nieporuszone głazy zacięty śmią stawić mu opór... Po rogach ulic, tu i owdzie migotały jeszcze latarnie...

Z głównej bramy gmachu św. pam. hr. Skarbka, który z wyjątkiem kilku rzęsiście oświetlonych okien trzeciego piętra spał snem, jakim odwieczne spią piramidy Faraonów — trzy skulone wysunęły się postacie. Chwiejnym nieco (z powodu burzy zapewne) wysunęły się krokiem i w milczeniu przez zaspy brnąc śniegu, po przed ówczesny front c. k. policji, gęsiego ruszyły ku Ojcom Jezuitom.

Ilekroć trzej ci panowie mijali kręgi migotliwego światła, rzucanego przez narożne latarnie, bystry obserwator mógłby był zauważyć, że za-

opatrzeni byli w obuwie nieposzlakowanej całości, za pomocą zaś deszczochronów od śnieżnej zawiei bobrowe zasłaniali futra. Niepospolitej wagi te szczegóły przejęłyby były każdego przechodnia rzetelnym dla nich szacunkiem; nie tyle może nawet szacunkiem, ile podziwem—zwłaszcza, iż trzej ci panowie zaliczali się do nielicznego gronka galicyjskich literatów i z zawodu dramatycznej hołdowali Muzie.

Powiedziawszy: *z zawodu*, właściwie rozumieliśmy: *z amatorstwa*, co konstatujemy skwapliwie, iżby z góry już niekorzystnie dla siebie nie uprzedzić czytelnika, nie radzi uzasadnione wzniecać w nim podejrzenia na punkcie autorskiej naszej prawdomowności. Któż bowiem w olbrzymim tym geograficznym rogalu między Wisłą a Zbruczem (słowem: pod galicyjskiem naszem niebem) widział kiedykolwiek literata *z zawodu* w całem obuwiu i w bobrowem futrze?... Podobnego rodzaju egzemplarz nie długo wałęsałby się bezkarnie wśród (pono) półsiodma miliona zazdrośnych Galilejczyków; co rychlej skręconoby mu kark, wypchanoby go mchem lub sianem, w celach konserwacyjnych zaprawionoby go arszenikiem — i jako nader ciekawy okaz, co więcej, jako unikat, zamieszczonoby go w rzędzie *najrzadszych* krajowych *ptaszków* w oszklonym gablocie muzeum Dzieduszyckich.

Trzej ci panowie *z amatorstwa* tedy poświę-

cali się kultowi Melpomeny; dwaj z nich bowiem, wiekiem nieco starsi, od kolebki już nie po macoszemu traktowani przez fortunę, ba, obdarzeni nawet koronami o dziewięciu perełkach, z grzeszną obojętnością mogli nie oglądać się zgoła na tantjemy; trzeci zaś z nich, najmłodszy, tyle wrodzonego posiadał sprytu, iż dobiwszy się skromnego lecz ustalonego stanowiska na szczeblach urzędniczej hierarchii, w wolnych jeno chwilach od zajęć biurowych, nieszkodliwe zresztą społeczeństwu popełniał trajedje, dramaty komedje, płodził libretta i krotochwile.

Napróżno łamiecie sobie głowy, kto zacz byli trzej ci panowie; ponieważ zaś szczególnie na tem nam zależy, ażeby ścisłe (mianowicie co do najmłodszego z tej trójki) zachować *incognito*, przeto pozwolimy sobie jednego z nich nazwać panem *Alfą*, drugiego panem *Omegą*, trzeciego zaś (z finezją, nie do rozpoznania przekręcając imię) przezwiemy panem — (dajmy na to) *Aureolim*.

W milczeniu więc kroczyli gęsiego; na przedzie p. *Alfa*; za nim skulony pan *Aureoli*; pan *Omega* zaś zgodnie z ostatnią głoską greckiego alfabetu zamykał pochód. U rogu kościoła OO. Jezuitów p. *Alfa* stanął, wstrzymując rozkołysany krok swoich epigonów.

— *Sacré-nom*... — syknął — ani jednej dryndy!

— Brrr! Żeby nie reminiscencja artystyczno-płomiennych ślepków solenizantki, przemarzłbym do szpiku... — mruknął p. *Omega*.

— Ślepki, jak ślepki — chwiejnym dorzucił tenorem p. *Aureoli* — ale ten dzik z hecze-peczem był pyszny.

— Za to *Dry-Imperial* z nalepianemi ety-kietami stanowczo nie trącił *George*'em — za-konkludował p. *Alfa*.

I znów gęsiego puścili się ku katedrze. Z kilku tych mimochodem rzuconych wyrazów dowiadujemy się, iż z artystycznych wracali imienin, że solenizantka czarujące posiadała oczęta i że celem zapobieżenia skutkom niestra-wności po spożyciu łopatki z dzika, nie zbyt przezornie zakropili się domorodnym *szampusiem*.

Na Marjackim Placu zatrzymał się p. *Aureoli*.

— Mam...

— Co?...

— Natchnienie.

Zwinął parasol i wymachując nim, niby ka-pelmistrz batutą, wygłosił:

O nocy, chmurna nocy — chmurna i ponura!...
Przed nami śnieżna chmura — i za nami chmura...
Chmur do koła zamęt...
Wichrów dziki lament...
Posępny zaś firmament
Czarny — jak atrament!...

Raz już w rozpędzie, wolne silił się puścić wodze fantazji; wszelako nad rozmachem natchnienia wziął nagle górę wybuch niepowściągnionego uczucia... Załkał i gorżkiemi zalał się łzami, on i dwaj jego towarzysze. Doraźny atak żalu serdecznym, potrójnym ukoiwszy uściskiem, puścili się gęsiego ku zajazdowi „Pod tygrysem“. Tam przystanął p. *Omega.*

— Stójcie!... Mam pomysł.

— Mów.

— Zaspiewajmy włosko hiszpańską balladę...

— Którą?

— O „zdradzonej Małgosi.“

— *Eviva!*

P. *Alfa* z p. *Omegą,* w środek wziąwszy p. *Aureolego,* spletli się ramion węzłem i wzdłuż gnącego się od wichru szeregu bezlistnych topoli Akademickiej Ulicy, brzegiem zamarzłej Pełtwi, fałszywy wprawdzie, lecz donośny rozległ się trójspiew:

Pampellona!... Pampellona!...
Blada Donna z bolu kona;
Z bolu kona,
Włosy targa
Opuszczona
Donna Marga —
Ritta — Margaritta!...

Tuż przed trójką minstrelów ciemna, nieruchoma zarysowała się bryła, grubą powłoką przysypana śniegu.

— Hola! Krzaczysko wyrosło na bruku.

— To nie krzak; to św. Jan Nepomucyn.

— Brednie! Do mostka milion jeszcze kilometrów.

Wtem bryła — przemówiła:

— *Hol-ber-da!*

— Swój!

— Swój, czy nie swój — po nocy *klumpy formirowat* i hałasowat zakazano. Proszę za mną, na Chorąszczyznę, do *furdygi*.

Długi to był i szeroki płaszcz, z pod którego kapuzy wojskowe wynurzało się czako.

— Pan policjant?

— No... *ja!*

— Mroźno?!

— *Saperment!...*

Pod „Szymonkiem“ świeciło się jeszcze. *Alfa* objął nagle ramionami bryłę w płaszcz okutaną, podniósł ją w górę jak piórko, podbiegł z nią kilka kroków, piętą wyważył drzwi u „Szymonka“ i przed szynkwasem postawił chłopa na nogi. Policjant w płaszczu i kapuzie niemy stał i wyprostowany jak struna; z wąsów zwieszały mu się dwułokciowe sąple lodu.

— Szymonku! Krupniku dla pana policjanta.

Piorunem zjawił się kieliszek. Stójkowy splunął, łyknął, po wojskowemu trzy palce przytknął do daszka przy kaszkiecie, wykręcił się na pię-

cie i wyszedł. Trójka za nim; stróż publicznego bezpieczeństwa ku miastu; trójka ku łazienkom św. Anny.

I znów rzędem skrzypiących topoli melancholijny rozległ się trójspiew:

Margaritta... Margaritta!...
Nie trefiona — i nie myta...
W żyłach krążą
Żółć i lawa...
Wróć Alfonżo,
Zdrajco, kawa —
Lerze — kawalerze!

Nagle p. *Aureoli* przycisnął do piersi dłonie towarzyszy.

— Stójcie! Co to?...

— Nic. Wicher wyje jak dusza potępieńca.

— Gdyby nas napadnięto...

— Nas *trzech*?

— Ich może być sześciu, a tu ni żywej duszy...

— *Vogue la galère.* W ręku mam klucz od bramy; to bokser nad boksery.

— Wiecież choć, *jak* obdzierają? Plastrem zalepią gębę... ani zipniesz!...

— Ale nas *trzech!*

— I klucz od bramy w dodatku; nie tchórz, koleżko!

Koleżka zamilkł — i poszli dalej. Nieboszczyk ś. p. *Hejne* rozpoczyna swoją księgę pieśni wyznaniem, iż podobnie jak dziatki wśród

nocnej ciszy starają się spiewem stłumić rosnący strach, tak i on, dziecko szalone, folgę dając trwogą ściśniętej piersi, głośne z niej dobywa piosenki... Trójca poetów naszych, nie tak może pod hejnowskiego „weltschmerz'u“ wpływem, jak nieokiełznanemu ulegając niepokojowi, zastosowawszy mimowoli maksymę genialnego liryka, niby na dane hasło wybuchła trzecią zwrotką włosko-hiszpańskiej ballady:

— Traditore!... Traditore!...
Sennor zdradził swą Sennorę...
Noc tak wonna...
Słowik nuci...
Jęczy Donna,
Don zaś uci —
Kinier — ucikinier!...

Długi szereg zaśnieżonych topoli kończył się ongi kamiennym mostkiem z krzywą figurą św. Jana Nepomucyna, postawioną przez Wiernych z Chorążczyzny gwoli pobożnemu chyba skonstatowaniu, iż w *tem* miejscu strącony w nurty spowiednik srogiego króla Czechów, niezawodnie męczeńskiej nie byłby poniósł śmierci...

— Ot i krzyżowa droga — rzecze p. *Alfa*. Nam obudwom na lewo przez most, *Aureolemu* zaś na prawo, ku Garncarskiej. Do domu masz kilkadziesiąt kroków. Żegnaj *Sennor!*

— Żegnajcie, *Sennorowie* — odparł najmłodszy z *Kalderonów*. Równocześnie wionąć

musiała dziwnie mroźna wichura, gdyż szczęka dramaturga głośno zadzwoniła o szczękę.

I tak rozeszli się; *Alfa* z *Omegą* znikli za mostkiem na lewo — opuszczony zaś samotnik pomknął Akademickim Placem ku prawej. Jakie uczucia samotnym miotały wędrowcem, odgadnąć nie zbyt trudno; lubośmy bowiem wszyscy w czambuł z jednej i tej samej ulepieni gliny, i jednym i tym samym tchnięci duchem, jednakowoż (acz każdy fajans i każda porcelana właściwie jeno jest gliną) nie każda przecie glina jest fajansem lub tężyzną chlubi się porcelany... Rozchodzi się po prostu o jakość materjału, tudzież o to, ażali tenże energiczniej lub też wątlej był wypalony... Porcelanowa powłoka pana *Aureolego* nie zbyt wytrawnej poddaną być musiała procedurze wypalenia, pojedyncze bowiem składowe jej części za każdym krokiem tak dygotały niefortunnie, jakoby siłą centryfugalną parte rozlecieć się chciały w kawałki; natomiast duch, który powłokę tę zamieszkiwał, widocznie jakością swoją i wagą ciężki, z górnych piątr człowieczego rusztowania z szybkością nagle spadającego termometra usuwać się jął ku mezzaninie, aż nareszcie — chyłkiem zdążając ku suterenom — skoncentrował się... w piętach. Brzemię to naszemu literatowi ciężyć musiało, jak kula ołowiana cięży u nóg tulońskiego galernika; zawianym bowiem chodnikiem

posuwał się nader mozolnie, z podaną naprzód górną połową ciałokształtu, z wytężonym organem słuchu i z szeroko rozwartemi powieki.

Pusto — czarno — infernalnie... W międzypauzach koncertowej kakofonii dmącego w puzan Boreasza słychać było jedynie chlust tryskającej wody ze studni na środku placu.

Noc.. Noc czarna... Wiatr świszcząc za wzgórzami ginie...
Skurczył się Lwów drzemiący w ciasnej swej kotlinie...
Jak dalece w ciemnościach wzroku sięga meta,
Jeden to, wielki kocioł czarownic z Makbeta...

Jak wiadomo, ongi Plac Akademicki zwężał się ku południowi, ciasny tworząc przesmyk, wiodący na wszechnicę św. Mikołaja; przesmyk ten stanowił oraz zaczątek Ulicy Garncarskiej, dość stromo pnącej się w stronę cytadeli. Nocą, u wejścia na podmurowany teras wszechnicy, odludne to ustronie mdło oświetlała suchotnicza latarnia.

Przesmyk, o którym mowa, przed laty przez akademików *Termopilami* nazwany, tak był wąskim, iż zaledwie dwom chłopskim furom wyminąć się pozwalał. Jeden, jedyny przedstawiciel władzy policyjnej, ni to waleczny *Leonidas*, mógł w nim bez wysiłku powstrzymać kserksesowy choćby natłok wozów, budek i dorożek, w skutek czego zapewne ten za dnia tak uczęszczany pasaż chlubne zyskał miano, użyczone z czasów bohaterskiego lwa Sparty. Miejsce dziś

dwupiątrowej, okazałej, narożnej kamienicy, zajmowała głęboko w ziemię zapadła rudera, w której nędzna tawerna „Pod prochownią“ odwieczne miała siedlisko. Owoż ku tej cieśninie zdążał nasz dramaturgus z wytężoną czujnością żórawia.

Pst... W odległości kilkunastu kroków, po tamtej stronie studni, błysnął w ciemnościach nocy ognisty punkcik, zwolna powietrzem płynący ku przesmykowi.

Pan *Aureoli* drgnął i przystanął.

Stanął i ognik, jaśniejszem zatliwszy światłem, ni to koniuszek sygara, rozżarzonego silniejszem wciągnięciem w płuca tlenu. Światełko to — na mgnienie oka — czarną zarysowało postać olbrzyma...

Przez chwilę stały dwa cienie nieruchomo, śledząc się podejrzliwie; poczem, jak na skinienie, równoległe do siebie, puściły się ku tawernie „Pod prochownią“.

I znów, na odmianę, tajemniczy przystanął wielkolud, w skutek czego nasz poeta skostniawszy... stopami zarył się w śnieg.

Nowa pauza. Literata w bobrach dziwny ogarnął smętek...

Wstrząsł się — nabrawszy jednak nieco animuszu, skwapliwie puścił się naprzód, ku *Termopilom*...

Podejrzane widmo, jakby jeno czekało na to

hasło, pospieszyło niemniej raźnie. I dziwo!... Jeśli kroku zwolnił *Kalderonik*, natychmiast zapęd swój miarkował nieznajomy; skoro zaś nasz bohater w energiczniejszy ruch wprawił drżące pedały, wnet ciętym kłusem puszczał się i jego prześladowca.

Widocznie żaden z obudwu osobników nie chciał pozostać w tyle.

Na literata literalnie uderzyły poty; bobry przygniotły go tysiącem kilogramów. O, Feba synu! Niebawem... wbrew woli... oswobodzony może będziesz od literackiego tego luksu!...

U ujścia Garncarskiej, tuż u wrót zwężającego się przesmyka, wstrzymał bieg zadyszany dramaturgus; osadził się na miejscu i napastnik.

Tamten oparł się o róg żółtego domku piekarza; ten zaś, *vis-à-vis*, przycupnął u rogu spelunki...

Hic Rhodus — hic salta!...

Lubo fortuna hojnie uposażyła naszego herosa zasobem iście dramatycznych kombinacyj, twórczość jego — w chwili tak stanowczej — zawiodła go boleśnie, wyłącznie jeden poddając mu sposób rozwiązania naprężonej sytuacji: odetchnąwszy, całą mocą wysilenia rzucić się postanowił ku latarni po tamtej stronie *Termopilów*, ażeby tym rzutem tropiącego wyprzedzić *Chourineur'a*, dopaść trzema skokami bramy wszechnicy (tj. domowego swojego gniazda) i byle

jeno szarpnąć za dzwonek — a sukurs odźwiernego pewny...

Kombinował nasz Muz pomazaniec; kombinował i jego przeciwnik. Bez kwestji kombinował; skoro bowiem autor ku latarni rozpaczliwego dał susa, równocześnie olbrzym jednym skokiem odsadził się od rogu spelunki i nagle znalazł się pod latarnią.

Jakie są skutki działania dwu sił, w jeden punkt skoncentrowanych, wiadomo z mechaniki.

Karambol straszny był... Rozpędzone dwa ciała zderzyły się, ni to błyskawiczne dwa pociągi... Równocześnie runęły o ziem, lecz i równocześnie poderwały się na nogi.

— Gwałtu! — przeraźliwie wrzasnął młody wieszcz.

— Gwałtu! — jeszcze donośniej ryknął rzekomy *Chourineur*.

I galopem, po przed kościół św. Mikołaja, wzdłuż murowanego terasu, puścili się ku bramie akademji, to uderzając o siebie — to od siebie odskakując — dysząc i sapiąc jak dwie dogorywające lokomotywy.

U bramy, równocześnie szarpnęli za drut dzwonka.

— Za pozwoleniem...

— Bardzo proszę...

— To pan, panie *Aureoli*?

— Ja... Czy nie pan *Otokar*?

— Do usług.

— Kiegoż licha napadłeś pan na mnie?

— Ja? A to sławne... Ja się tylko broniłem.

— Ależ ja, z przeproszeniem, miałem pana za opryszka...

— Wybacz pan... Miałem to samo podejrzenie.

— A to przepraszam.

— I ja, najsolenniej.

Zgrzytnął klucz w zamku. Skrzypnęły zawiasy. W głębi gmachu znikli: pan *Otokar* z panem *Aureolim*. Ten zgubił się na pierwszem, ów podążył na drugie piątro.

Za nimi zapadło skrzydło bramy. Cisza...

* * *

Pan *Alfa* z panem *Omegą* stanęli już byli u wylotu Fredrowskiej Ulicy, aliści w oddali, w kierunku uniwersytetu, srogi, dwukrotny rozległ się okrzyk: „Gwałtu!“ — „Gwałtu!“...

— Słyszysz, *Omega?*

— Słyszę, *Alfa.*

— Czy to nie głos koleżki?

— Przysiągłbym: obdzierają *Aureolego.*

— Możeby...

— Oczywista. Wracajmy!

Pomknęli piorunem.

U stóp wiadomej latarni stało kilku kamie-

nicznych stróżów, zwabionych wołaniem o pomoc; dygocąc z mrozu pod narzuconymi na opaszki kożuchami, ciekawie badali teren, jeden zaś z nich przyświecał ręczną latarką. Kupa śniegu głęboko była rozoraną w tem miejscu; śmiertelne toczyć się tu musiały zapasy... Niepowołana ta komisja rzeczoznawców orzekła: „Obdarto kogoś i związanego, może nawet trupa, powleczono ku akademji...“

Pan *Alfa* z panem *Omegą* nie w ciemię byli bici; wszak-ci pisywali dla teatru!... Do mieszkania koleżki kilka jeno kroków; skoczyli tedy zasięgnąć języka.

Jaką opowieść wysnuł im koleżka, napróżno usiłujemy odgadnąć; przypuszczamy jednak, że poeci wybujałą odznaczają się fantazją...

Nazajutrz, jeden z „nadpełtwiańskich monitorów“ podzielił się ze swoimi czytelnikami senzacyjną wiadomością. Czytano:

„Szerokim znany kołom, młody, utalentowany autor dramatyczny, pan *) *) *), wczoraj po północy przerażającemu omal nie uległ atentatowi. Z literackiego wracał właśnie posiedzenia. Na skręcie z Placu Akademickiego ku Garncarskiej, opadła go banda czarno zamaskowanych opryszków. W żelazne pałki, sztylety i inne śmierciono śne narzędzia zbrojni, targnęli się na bobrowe jego futro, pośrednio nawet zagrażając życiu poety. Futro było od Armatysa. Deszczo-

chronem jedynie, po bohatersku, bronił bobrów napadnięty. Dwu zbrodniarzom trzy przetrąciwszy kolana, trzeciemu ramię zgruchotał w pobliżu szczęki. Łotry uszli, unosząc z sobą rannych. Szamotanie się trwało około 37 minut. Dopiero gwałtowne jęki pogruchotanych rzezimieszków obudzić zdołały ze snu okolicznych mieszkańców. Jak zazwyczaj, w pobliżu *żadnego nie było organu bezpieczeństwa... Quousque tandem*, ck. mości policjo, *quousque?!!*... Jakto?... A więc w obec karygodnego lekceważenia kassandrowych naszych *memento*, uronić nam w końcu przyjdzie najzdolniejszych naszych literatów?!!...“

Piszemy się na ten wykrzyk sprawiedliwego oburzenia; choćby bowiem nie zbyt zdolnych — i nie zbyt literatów — zawsze jednak tak rzadkich *literackich bobrów* niepowetowana szkoda!...

XII.

TAKŻE POLOWANKO.

Z rękoma po napoleońsku założonemi w tył, z głową zwieszoną, głęboko zasumowany, posuwałem się odludniejszą ścieżką Botanicznego Ogrodu. Wtem stanął przede mną mężczyzna w sile wieku, średniego wzrostu, o orlim, szla-

chetnie zakrojonym nosie i gęstej, kruczej, tu i ówdzie szronem przyprószonej brodzie, uderzył mnie z lekka po ramieniu i zmierzywszy mnie poczciwem, łagodnem swem okiem, rzecze:

— Nad czem tak dumamy?

Był to autor „Kłopotów starego komendanta.“

Kto nie zna autora „Kłopotów starego komendanta“, nie czytał pysznych jego humoresek i czytając je, któż nie uśmiał się zdrowym, serdecznym owym śmiechem, co to nie denerwując burzliwie, lecz swobodnie, jak spokojna fala płynąc z klatki piersiowej i różowo cię usposabia i dodaje apetytu?

Z pism jego znamy go wszyscy. Ja liczę się do tych szczęśliwszych, którzy zaszczytną mają przyjemność, a oraz przyjemny zaszczyt znania go nietylko z druku, lecz i z osoby.

— Nad czem tak dumamy? — powtórzył.

— Ratuj kochany, drogi panie Albercie! Tonę.

— Tam do licha... W jakąż wpadłeś pan kałużę?

— Autorską. Wylęgam i wylądz nie mogę.

— Ba, łatwiej wywodzić kurczęta, aniżeli pomysły. I nad czemże ślęczycie tak mozolnie?

— Chciałbym... tak... coś z życia, na dany temat. Domagają się na odmianę obrazka ze sfer *nemrodowych*. Tytuł mam; lecz dalej, ani rusz.

— Jaki tytuł?

— *„Polowanko.“*

— Otóż macie! Brak mu pomysłu, a ma tytuł i błądzi *właśnie* po Botanicznym Ogrodzie.

— *Właśnie?...* Nie rozumiem.

— No, a wasze „polowanko“ z przed laty trzydziestu? Wszak niedawno temu opowiadano mi je z dokładnymi szczegółami. Wracaj pan do domu, siądź i palnij „obrazek z życia.“

Uścisnął mi rękę i znikł w załomie ścieżki, za kasztanami.

Ja zaś pobiegłem do domu, siadłem i palnąłem... Ha, jeśli opowiadanie moje nikogo nie zajmie, przynajmniej to mnie pocieszy, iż z góry mam rozgrzeszenie autora „Kłopotów starego komendanta...“

* * *

Cofnijmy się wstecz o lat trzydzieści i pięć... więcej, panie, jak o ćwierć wieku. Puściwszy się Akademicką Ulicą ku lwowskiej *Alma-Mater*, to jest ku wszechnicy św. Mikołaja, wydostawszy się na pierwsze piętro (korytarz na lewo) i przez dziurkę od klucza, w czwartych z rzędu drzwiach, wkradłszy się do wązkiego lecz długiego pokoiku, zastaniemy w nim leżącego na wznak na sofeczce wątłego, wymokłego, szesnastoletniego brunecika, który podłożywszy sobie pod kark łokieć prawej ręki, w lewej trzymał wielki ar-

kusz zadrukowanego, ostemplowanego papieru i uporczywie odczytywał go to z góry na dół, to z dołu do góry.

Kochany „Stary Komendant“ i tak zdradził *incognito* zapowiedzią własnej mojej przygody z przed laty. Nie wypada mi więc, jak tylko bez dalszych ceregieli przyznać się otwarcie: tak, leżący na sofeczce młodzian — to Wasz sługa. Z nieopisanem zadowoleniem i zasłużoną dumą *eks-abiturienta* badał on szczegółowo kreskę po kresce, kropkę po kropce, wymownego *testimonium* tak upragnionej *maturitatis*.

Pokoik skromnie, lecz schludnie był urządzony. Zwyczajnie jak u przyszłego akademika. Jedynie nad sofką zwracało uwagę coś w rodzaju wiszącej na ścianie panoplji. Na tablicy w ramach olchowych, powleczonej zielonem suknem, błyszczał kordelas, brzeszczotem i pochwą ułożony na krzyż, zwieszała się na taśmie dubeltówka — i torba borsucza — i trąbka — i rożek na proch — i skórzany woreczek na śrut — i maszynka na pistony; słowem cały myśliwski rynsztunek.

I to u miejskiego młodzieniaszka? Ba, od chłopięctwa czuł on już w żyłach niepowściągnięty pociąg ku szlachetnemu zawodowi *Nemroda*. Częścią grała w nim krew rodowa, częścią w podrostku już rozdmuchał tę namiętność widok polującego na wsi, w czasie wakacyj, wu-

jaszka. Wprawdzie dopiero kilka razy w życiu nasz młodzian strzelbę miał w ręku i zaledwie mógł się poduczyć, jak z zabójczem narzędziem obchodzić się należy; a jednak niechnoby kto był pozwolił sobie w jego przytomności niewinnie zażartować z „panów myśliwców od niedzieli“, a pojedynek nieunikniony.

Z powagą więc pokazywał zazdrosnym kolegom zajmującą swoją zbrojownię, objaśniając dokładnie przeznaczenie każdego przyboru, sposób jego użycia i okoliczności towarzyszące objęciu go w posiadanie. Jeszcze w piątej klasie za studenckie zaoszczędzenia nabył on był na tandecie borsuczą torbę; w szóstej zdobył się już na kordelas i prochowniczkę; w siódmej doczekał się trąbki i woreczka na śrut; w ósmej, maturą zajęty, zaledwie już tylko zdołał wzbogacić swój zbiór maszynką na kabzle. Lecz za to, po szczęśliwie zdanej maturze, wujaszek nadesłał mu w upominku szczyt jego marzeń, cudownie rzeźbioną lepażówkę. Uzbrojenie stało się zupełnem, a on sam uczuł się pasowanym na kapłana boskiej Diany, w pełnem znaczeniu tego wyrazu.

*

Na sofeczce tedy wyciągnięty, rozkosznie napawałem wzrok dokumentem, stwierdzającym akademicką moją dojrzałość, aliści nagle drzwi odskoczyły z trzaskiem i wpadł powidłami za-

morusany Tośko, jedyna płci męzkiej latorośl stróżowej Jakubowej.

— Gwałtu, paniczu!

— Co się stało?

— Okropieństwo, co się stało! Niech panicz zaraz biegnie do *botaniki.*

— Do ogrodu? Po co? Na co?

— Strach, jakie zwierzysko!

— O! o!

— Jak Boga kocham! Słyszy panicz? To Rózia; ona poświadczy.

Wpada Rózia z pałającem pysiem, gwałtownie robiąc płucami.

— Paniczu! Jej, co tam w krzakach siedzi!

— No, cóż siedzi?

— Smok! Takie ślepie ma, aż spojrzeć strach.

— A zęby, o, takie! — dodaje zadyszany Tośko.

— A pazury, o, takie! — uzupełnia Rózia.

— Ogon ma na trzy łokcie...

— Nieprawda, nie ma ogona!

— Ma ogon! A kudły jasno kasztanowate.

— Nieprawda, czarne ma kudły!

— Nieprawda, bo kasztanowate!

— Nie kłóćcież się dzieci — przerwałem z powagą sędziego, acz serce tłuc mi się jęło jak młotem. — Które z was widziało zwierza na własne oczy?

— Ja, paniczu!

— Ja, paniczu!

— A więc oboje. Dobrze dziatki. Jakiej wielkości ten zwierz?

— Jak pies — woła Tośko.

— Nieprawda, jak krowa — oponuje Rózia.

— Zwolna, zwolna, dziateczki. Coś więc niby między psem a krową. A jakiej barwy futro? Tylko mówcie prawdę tak, jak widzieliście na własne oczy.

— Kasztanowate, paniczu.

— Czarne, paniczu.

— Nie zgadzacie się z sobą. Widocznie jest więc barwy niejednostajnej. Pewnie ma cętki?

— Ma cętki.

— Nie ma cętków.

— Eh, kto tam dojdzie prawdy... A w których krzakach siedzi?

— Pod biblioteką.

— Nieprawda, pod szklarnią.

We drzwiach, łamiąc ręce, staje sama pani Jakubowa.

— Jezu milatyński, paniczu! W *botanice* siedzi jakaś bestja!

— Wiem, wiem.

— Moja biedna, stara kokoszka! Tak regularnie znosiła jaja!

— No?!

— Przypadkiem wleciała do *botaniki* przez okno... i...

— I co?

— Bestja wyskoczyła z krzaka i schrupała ją, het, z pierzem i kośćmi. O, ja nieszczęśliwa sierota!...

— Ot, bredzicie. Może to obcy kot?

— A cóż to? nie poznałabym kota?! Widziałam straszydło, ot, na te moje rodzoniutkie oczy. To coś okropnego, to nie tutejsza poczwara.

— Nie tutejsza?

Serce groziło mi wyskoczeniem z piersi; mimowoli skierowałem oko ku dubeltówce.

— Jakubowo... Wyście starsza, doświadczona kobieta. Powiedzcie, jak *ono* wygląda?

— *Ono* wygląda strasznie i okropnie, paniczu. *Ono* wielkie jak, nie przymierzając, baran.

— Jak pies — woła Tośko.

— Jak krowa — oponuje Rózia.

— Cicho, dzieci, matka mówi. Otóż, paniczu, wielkie jak baran, a żółciuteńkie jak kanarek, tylko że ciemno nakrapiane.

— Ależ czarne, matusiu!

— Nie czarne, kasztanowate, matusiu!

— Cicho, dzieci!

— Język, paniczu, ma czerwony jak rozpalona dusza do prasowania, a ogon gruby jak maczuga!

— Nie ma ogona!

— Ma ogon!

— Cóż bo znowu... Każde z was prawi co innego. Chyba wam się przyśniło. Zkądby tam wziął się dziki zwierz w ogrodzie?

— Jak to zkąd? A *mażanerja* na „Zielonem?...“ Może *ono* uciekło z tej budy, a jak weźmie chrupać, to nas w tej *botanice* wszystkich wyżre do nogi!...

Na te słowa Tośko z Rózią w płacz. Jakubowa przygarnęła dzieci do matczynej piersi i na przemian ocierając im oczy fartuszkiem, sama gorżkiemi zalała się łzami.

— Cyt, cyt, Pan Bóg łaskaw...

Hm! powiedziała: z menażerji... To już trafiło mi do przekonania. A gdyby tak było?... Nic nadzwyczajnego. Z menażeryj często umykają dzikie zwierzęta, szerzą paniczny postrach, a nawet stają się nieraz powodem nieszczęsnych wypadków...

Tymczasem pod oknami rósł gwar coraz donośniejszy. Wychyliwszy się, spostrzegam gromadkę uniwersyteckich stróżów i innego autoramentu służby, zbrojnej w drągi, kilofy do rozbijania gołoledzi, łopaty, haki i osęki.

— Panicz!! — zawołano i kilkanaście głów podniosło się ku pierwszemu piętru.

— Moi dobrzy ludzie, co to za zwierz w ogrodzie?

— Alboż my wiemy? Jakieś smoczysko, czy co. Trzeba dać znać na policję.

— Po co tu policji? — przerwie stary Jan. — Przecie panicz ma fuzję.

— Oj, paniczu, paniczu! — jęczy *unisono* chór — zastrzel panicz smoka!...

Na twarz wystąpił mu lekki rumieniec. Co za wzniosła sytuacja!... Cała ta wylękła trzódka nieporadnych nieboraków zawisła wzrokiem na moich ustach, oczekując wyroku. Wszyscy ci ludzie widzą we mnie obrońcę dziatek swoich i żywego swojego inwentarza, jedynego zbawcę w obec grożącego im krwiożerczego potwora.

Poważnie wyprostowałem się, powściągając wzruszenie.

— Owszem, moi kochani. Zaraz *sam* zejdę, lecz trzeba mieć się na baczności, ażeby zwierz nie uszedł przez parkan lub na was nie wypadł przez bramę.

Gromadka, z przerażeniem utkwiwszy oczy w żelaznych kratach, jednym rzutem tłoczy się w przeciwną stronę.

— Nie lękajcie się... *Ja* z wami. Zaraz zejdę *sam*. Przedewszystkiem jednak baczność i rozwaga. Kobiety do izb! Ty, Piotrze, z drągiem staniesz u bramy.

— Ja się boję sam.

— Więc Jan z osękiem stanie koło ciebie. Szymon z Bartłomiejem zajdą od szklarni i za-

czekają na mnie pod parkanem. Pięciu chłopców z łopatami potrzeba mi do nagonki. Tomasza, Franciszka, Łukasza i Grzegorza z kilofami zatrzymuję przy sobie. Ty zaś, Antek, pędź na drugie piętro, siądź w oknie od ogrodu i uważnie patrz w krzaki.

Po otrzymaniu dyspozycji, donośnie i tonem stanowczym wygłoszonej, wszyscy pospieszyli na swoje stanowiska. Zostałem sam i westchnąwszy pobożnie z głębi duszy, z pospiechem jąłem przysposabiać się należycie do walki. Naturalnie przyodziałem się w nowiuteńką, myśliwską kurtkę, z zielonymi rabaty; włożyłem niezbędne filcowe kamasze po kolana; narzuciłem na bakier czapeczkę zdobną w pióro głuszca i w sowią główkę ze szklanemi ślepkami; przez barki przewiesiłem borsuczą torbę, róg z prochem, worek na śrut, maszynkę na kabzle, naostatek manierkę i trąbę, poczem zabrałem się do nabijania obudwu lufek lepażówki, w braku kul i lotek używając podwójnych nabojów ptasiego broku. Podczas gorączkowej tej manipulacji wysypałem na podłogę kilka garści prochu, gdyż ręce trzęsły mi się jak w febrze. Równocześnie wiodłem z sobą taki monolog:

— Wielki jak krowa... To niedźwiedź... Ale niedźwiedź nie targnąłby się na starą kokoszkę... Pewnie więc wilk... Ale wilk nie żółty jak kanarek... Żółty, a czarno centkowany... Ogon na

trzy łokcie... Język czerwony jak rozpalona dusza do prasowania... Ha, to *pantera* z menażerji!... Onegdaj przypatrzyłem się jej dokładnie.

Zadrżałem. Jeśli to pantera?!... A jednak, gdyby udało się położyć ją trupem, zanim nadciągnie żandarmerja... A ona, ach, gdyby mi z łaską boską nie zrobiła nic złego... Cóż za tryumf!... Co za sława... Wszystkie gazety trąbiłyby o mnie...

Jestem gotów. Przeżegnawszy się, biegnę. Na korytarzu wstrzymuje mnie matka.

— Lolu, stój! Dokąd pędzisz? Kto wie, co to jest?... Na co tej maskarady?

— Moja mamo, bezbronnych biedaków nie mogę przecie opuścić w takiem niebezpieczeństwie...

Pędzę schodami.

Przed gmachem roją się tłumy ludu co niemiara. Czekają już Franciszek, Tomasz, Łukasz i Grzegorz, najsilniejszych czteru chłopów z całej akademji. Każdy z nich dzierży w ręku żelazny, ciężki kilof. Zakomenderowałem: „naprzód!“ i pomknęliśmy do ogrodu.

U bramy, na posterunku, stali Piotr z Janem, dygocąc od strachu.

— Odwagi, dobrzy ludzie, odwagi... *Ja* z wami...

Wtargnęliśmy za kratę. Na czele uszykowałem czteru moich siłaczy. Za nimi ja, uzbro-

jony w lepażówkę. Za mną nagonka. Za nagonką to cofający się, to naciskający tłum. Z okna drugiego piętra huka Antek:

— Hop! hop! W krzakach cicho. Siedzi pod szklarnią.

— Nieprawda! — zagłusza go czereda niewieścich spektatorów, obsaczająca cały szereg dalszych okien. — Nieprawda! Siedzi koło „ronda“, pod złamaną lipą, w pokrzywach.

Ruszamy do „ronda“, pod złamaną lipę, w pokrzywy.

Od strony szklarni czekał przy parkanie Szymon z Bartłomiejem.

— Stać!

Ściągam z posterunków Jana z Piotrem, tudzież Bartłomieja z Szymonem, zbliżamy się ku gąszczom zarosłym pokrzywami i komenderuję dalej:

— Otoczyć krzak! Dwóch z prawej, dwóch z lewej! Wy czterej stańcie przy mnie. A teraz nagonka niech wyje co siły i łopatami tłucze po gałęziach. Naprzód!

Co do mnie, ustawiwszy tuż przy moim boku z prawej Tomasza z Grzegorzem, Franciszka zaś z Łukaszem z lewej, zająłem środek ścieżki i zwrócony ku gęstwinie, odwiodłem kurki.

Na dany znak, rozległ się srogi hałas i trzask łopat druzgocących gałęzie.

— Jest! jest! a bij! — zawołało nagle kilku z nagonki, odskakując z przerażeniem.

W głębi krzaka coś się ruszyło i łysnęło, niby para ognistych ślepi. Odetchnąwszy głęboko, zmierzyłem i... łup! łup! z obudwu luf od razu. Naboje widocznie zanadto obfitowały w proch, gdyż strzał gwałtownie pchnął mnie wstecz. Równocześnie z nim jęknęło coś opodal, w gęstwinie zaś załomotało, jak gdyby zwierz gotował się do skoku.

W popłochu rzuciliśmy się ku bramie.

Oni wszyscy — no... i ja także. A nuż pantera tylko postrzelona?...

Już znaleźliśmy się blizko bramy, gdy koło nas przebiegł jakiś starozakonny, wlokący bladą, omdlałą niewiastę, sam zaś nieludzkie wydający tony. Innym razem, w obec mniej niezwykłych okoliczności, epizod ten byłby może zwrócił moją uwagę, lecz w tej chwili głos Antka gromko dał się słyszeć z okna:

— Leży! Leży na ścieżce! Zabity na śmierć!

Wróciliśmy.

Na ścieżce istotnie leżało, jak struna wyciągnięte, jakieś zwierzę wielkości jamnika. Patrzę: gęste, żółtawe miało futerko i potężny ogon kształtu wiechy. Do zakrwawionej, lśniącemi, ostremi zębami zaopatrzonej paszczęki, przylgnęły ślady pierza po Jakubowej kokoszce.

— Żbik, nie żbik... Kuguar, nie kuguar... — szepnąłem zadumany, trącając go kolbą.

— Lis szelma! — zawołał nadbiegając stary Jan.

— Lis?...

Spadłem trochę z obłoków, lecz lis zawsze to zwierzyna. Wszak na lisy odbywają się piękne polowania. Jeszcze z pięć takich skórek, a będzie lisiurka. Cóż to za raj, pysznić się lisiurką z własnych łupów myśliwskich! Lecz oto i Antek.

— Bierz, malcze, i nieś go za mną.

Spojrzałem dumnie po otoczeniu, które rozstąpiło się z uszanowaniem, poprawiłem z fantazją czapeczki, zarzuciłem lepażówkę przez plecy i puściłem się ku domowi: przodem ja, za mną Antek dźwigający łup, za Antkiem hufiec zbrojnych, dalej nagonka, nakoniec żywo giestykulująca galerja widzów. U wnijścia do gmachu z trudnością przebić się zdołałem przez ciżbę wskazującą to na myśliwca, to na jego trofea. Nawet na schodach nie brakło ciekawych.

Na piętrze, tuż przed samemi drzwiami, rzecze nagle do mnie Antek:

— Paniczu, a co on tu ma?

— Pewnie ranę z postrzału. Mierzyłem prosto w serce.

— Ej, nie. Tu, na szyi. Jakiś pasek.

Spojrzę: na szyi lisa pod futrem, połyskiwała wąziutka, misterna, łańcuszkowa obróżka. Zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie... Nagle, na korytarzu, za drzwiami, słyszę niewieści płacz i groźne męzkie wymówki. Otwieram i wchodzę.

Matka zlewa wodą szlochającą żydóweczkę, słaniającą się z krzesła; obok zaś towarzysz jej, blady, choleryczny żydek, wymachując rękami, pomstuje:

— *Gewałt!* Co to jest? Policaj! *Todgeschojssen, todgeschlugen!*

— Oto nabroiłeś! — surowo przywita mnie matka.

— Ja? Upolowałem przecie lisa... — odpowiem trochę jeszcze wyniośle, a przecie nieco już skonfundowany.

— Polowanie w publicznym ogrodzie, w jasny dzień, w samym środku miasta, co za niedorzeczność! Patrz, gdzieś tam na ławce siedzieli oboje. Teraz rozpytał się, tu mi ją przyniósł i dziewczę ze strachu wciąż mdleje.

— *Todgeschojssen! Todgeschlugen!* Policaj! — zawodzi żydek, usuwając się ostrożnie z pobliża dubeltówki.

Skręciłem się zmięszany. Wtem na korytarzu nowa ukazuje się postać nieznanego sługusa w wojskowej czapce.

— Proszę państwa... Pani majorowa prosi, ażeby państwo oddali naszego lisa.

— Jaka majorowa?

— A ze Stryjskiego przedmieścia. Dzieci płaczą, bo lis przegryzł łańcuszek i uciekł.

— Co? Więc on był oswojony?

— Jak pies, proszę pana. Jakoś go źle dziś przypilnowałem i... niech państwo oddadzą, bo dzieci bardzo lamentują.

— Bież go sobie. Oddaj mu, Antek.

— Dla Boga! Taż on nie dycha...

— Jakże ma dychać — objaśnia Antek — skoro zastrzelony?!

— Oj, głoważ moja, głowa!... Lisiu, lisiuniu, a kiwnijże ogonem; może jeszcze masz dech w sobie... Wszyscy Święci, wszyscy Święci!... Jak z nim wrócić, skoro się nie rusza?!... Pan major uszy mi oberwie...

Łzy puściły mu się ciurkiem; to czule głaszcząc lisa, to wstrząsaniem budząc go do życia, rwał sobie włosy z rozpaczy.

— Miła przygoda, nie ma co mówić — burczała zakłopotana matka. — Chłopczysko prawie pod wąsem, maturę zdał i takiego nawarzył piwa... Żeby choć ojciec był w domu... Co ja teraz z nimi tu pocznę?!...

*

Z wielką biedą udało się przecie biedaczce wyprawić szczęśliwie starozakonną parę, nieco udobruchaną. Biadającego sługusa *par force*

wytrąciłem za drzwi wraz z lisem nieboszczykiem. Zadudniało przed gmachem i z dorożki wypadł mój ojciec. Kilku skokami był już na górze.

— Gdzie Lolo?... Na Halickiem zgiełk... jakiś straszny wypadek w botanicznym ogrodzie... Gdzie Lolo?...

— Jest mężu, jest.

— Zdrów?

— Zdrów...

— Nie postrzelił się?

— Broń Boże...

— Ah, otóż i on! Co ty tam robiłeś w ogrodzie?

— Nic, tatku... Polowałem na lisa...

— Na lisa? Proszę... proszę!... Pokażno, synku, dubeltówkę.

Podałem ją w milczeniu.

*

Obejrzał, zaniósł ją do swojej kancelarji i zamknął w dębowej szafie na dwa spusty.

Takie to urządziłem sobie, na własną rękę, pierwsze „polowanko“ z nagonką; cudowna zaś moja lepażówka przebyła w ojcowskiej szafie dwuletnią kwarantannę.

XIII.

Z okropnych — najokropniejsza.

Potężny twórco „Ostatnich dni skazanego“ — cześć ci!... Ty jeden ocenić go zdołasz, o niedościgniony piewco straszliwego a tajemniczego majestatu śmierci!...

I ty zrozumiesz go, niezrównany mistrzu penzla, który ucieleśnić umiałeś piekielną rozpacz mózgu, odrąbanego od tułowia toporem gilotyny!...

Dla was, o wielcy myśliciele Gallji, spisał on te karty; jeno każcie je sobie z galicyjskiego przetłómaczyć, a postarajcie się o przekład wierny, wytrawny, należycie uwypuklony a niemniej porywający od oryginału, iżby ze szkodą autora nie sprawdziło się przysłowie: *Traduttore—traditore.*

Zaręczam, że duchy wasze tak go pojmą, jak odtętnić mu niezdolne serca obojętnej onej czerni, której z apatycznej drzemki nie obudzi ani obraz wielkich cierpień, ani jęk cierpiących wielkości.

Łzę nad jego łzami któż-bo uroni?

Chyba rozbitek, pasujący się z głodową śmiercią, pyłek ów maluczki w kruchej łupinie, pośród głębi bezdennego oceanu...

Nieopatrzny chyba górnik, w czeluściach podziemi na wieki zasypany urwiskiem...

Nieszczęsny chyba nieboszczyk, nagle budzący się z letargu w cieśni zimnej, głębokiej mogiły...

Nikt inny nie zdolen odczuć onej chwili.

Bo też dożył on chwili tragicznej zgrozy, chwili z czarnych najczarniejszej, najokropniejszej z okropnych.

*

Był młody, bardzo jeszcze młody.

Był przystojny, wcale przystojny.

Był już popularny, ogromnie popularny. Jak zły szeląg znano go i w mieście i za kulisami. Drukowano go tu i ówdzie; spotykał się z nazwiskiem swoim na afiszach; czegoż nie dostawało mu do zupełnego szczęścia? Ptasiego mleka... Ztąd rozumiał o sobie niemało. Zdawało mu się, iż wyłączny stanowi przedmiot ogólnego zajęcia; że na ulicach i w amfiteatrze ciekawe spojrzenia tłumów ogniskowały się w nim z pewnym pietyzmem; że o nim tylko rozprawiano na publicznych zebraniach i w prywatnych kółkach; że wszystkie dziewice w skrytości niepokalanych swoich marzeń jemu tylko poświęcają wstydliwe westchnienia; że wszystkie wdówki ku niemu tylko strzelają błyskawicznemi torpedami źrenic; że wszystkie bez wyjątku mężatki na jedno jego „ach!“ gotowe puścić w niepamięć dom, konsolację, małżonka, obowiązki swoje i przysięgi, iżby na oślep rzucić mu się w objęcia...

Kto temu winien? Sława... A sława korci; a sława nadyma... Imię mistrza od pociągla, Herostrata, tyle przebrzmiało wieków!... Puściwszy z dymem świątynię Artemizy w Efezie, naraził się samochcąc na konflikt z sądem karnym, byle za każdą cenę uwiecznić się w dziejów pamięci...

On zaś, to jest nasz on, party niepowściągnioną żądzą rozgłosu, był nawet skory wszystkie poetyczne płody swego ducha rzucić w piec, byleby mu bohaterski ten czyn wieczność zapewnił. Dość powiedziano...

*

Tak więc szyku zadawał młodością, urodą i rozgłosem w całej parafii.

Miał zaś przyjaciela, przyjaciela od serca. W wirze światowego zgiełku duchy pokrewne, niby świetlane meteory, bezwiednie pociągane ku sobie, szukają się wzajem, znachodzą się i łączą w bratnim uścisku.

Poety druhem — artysta... Artysty druhem — poeta...

W ścisłem zlaniu się duchów uzupełniają się obadwaj i we dwu stają się jednostką.

W wirze światowego zgiełku, na przestrzeni między Łyczakowską a Gródecką rogatką, młody Pindar zrozumiał młodego Fidjasza, a młody Fidjasz przylgnął do młodego Pindara. I we dwu utworzyli jednostkę. A co za jednostkę!

Orest z Piladem mogliby byli u nich chodzić do terminu.

Pindar stwierdzał słowem honoru, że w piersi Fidjasza tli święta iskra geniuszu.

Fidjasz przysięgał, że Pindar przepełniony jest duchem wielkim.

Pindara wieszczby głosiły, że Fidjasz zaćmi kiedyś sławę Kanowy i Thorwaldsena.

Fidjasz prorokował, że Pindar wprawi kiedyś wszystkie pięć części ziemskiego globu w nieme osłupienie zachwytu.

Kędy zaś rzuciłeś okiem, razem ich widziałeś ręka w rękę: w teatrze i w miejskim ogrodzie, w niedzielę przed katedrą, na Wałach w sobotę, a po kilkakroć codziennie na *Zmudzi**) w „szyjce“.

I rzekli sobie raz, gdy skromna buteleczka *sherry* pustem już świeciła dnem, — że fizyczne życie wielkiem jest głupstwem, realną zaś wartość jedynie ma nieśmiertelność.

Do nabycia nieśmiertelności niezbędny jest wspaniały dar niebios: talent; lecz i reklamka nie zawadzi.

— Gdy przedemną zawrzesz powieki — rozłzawiony wyjęknął Pindar — napiszę na twój zgon elegję. Niech świat się dowie, kogo utracił...

---

*) Ongi cukiernia Żmudzińskiego we Lwowie.

— Nie! — żywo zaprotestował łkający Fidjasz — tyś większy odemnie. Tobie przypada w udziale uprzedzić mnie w pochodzie ku nieśmiertelności. Skoro ciebie już nie stanie, dłutem w marmurze przekażę pamięć twoją potomnym...

*

W kilka dni po zawarciu tej, dla obudwu stron kontraktujących tak zaszczytnej konwencji, padł grom z jasnego nieba.

...Oh, są potęgi czarne,
Moce zawistne, w piekieł skryte głębi;
Broń ich: to mordy i łuny pożarne —
Hasło: zagłada — a lot ich... jastrzębi!

Owoż stało się, że po gruntownem zbadaniu przy pomocy druha, o ile „na Żmudzi“ *sherry* „dotrzymuje“ *cognac'owi*, nasz Pindar, z trudnością dobiwszy się późnym wieczorem do wrót rodzicielskiego mieszkania, rozebrał się w swoim pokoiku, wyprężył się na łóżku i z dziwnem walcząc rozdrażnieniem nerwowem, objawiającem się duszną zmorą i bezsennością, jął ekstemporować:

...Cóż po marnem życiu?
Aniołów słyszę lorelejskie chóry...
Nieśmiertelności! W skrzydeł twych powiciu
W przeźrocze chciałbym popłynąć lazury...
Pójdź, upragniona!...

W tem burzliwą deklamację nagle przerwało charczenie. Podniósł się na łokciach wylękły i blady, napróżno usiłując piersią zaczerpnąć powietrza. Jedną dłonią chwycił się za głowę, drugą za gardło. W śmiertelnej trwodze próbował krzyknąć i... omdlał.

Szczęściem, sługa w kuchni przez cienką, drewnianą ścianę posłyszała rzężenie. Na jej wołanie o pomoc, cały dom stanął na nogach. Łoże chorego otoczyła przerażona rodzina. Biedne ojczysko stało nad jedynakiem z załamanemi rękoma; struchlała matka bezprzytomnie usunęła się na kolana; drżąca siostra, z durszlakiem miasto dzbana, biegała z pokoju do kuchni i z kuchni do pokoju, szukając wody i nie mogąc odszukać ani kropli, lubo na korytarzu potrąciła sobą o pełną beczkę, na stoliku zaś, tuż przy omdlałym braciszku, pełna stała karafka. Jeden tylko zuch, Maksio, nie stracił przytomności; bez czapki i kurtki pomknął po lekarza.

Nadpędził dorożką Dr. Pneumotorax, pokiwał głową i lodem w pęcherzu obłożył choremu czaszkę.

Około północy, Pindar rozwarł szeroko powieki, utopił wzrok w pękatej peryferji odrapanego kaloryfera w kącie pokoju i wyszeptał:

— Znam cię, duchu wieczności... Postać twoja wiotka, a skrzydło twoje białe jak śnieg...

Eskulap pędem posłał po pijawki.

Po pierwszej z północy chory znów zlekka otwarł oczy, oblicze zwrócił ku piecowi i rytmicznie, acz bełkocąc, tak wygłosił:

Luba! Ciebież mi żegnać?... Charon już, niestety,
Czeka mnie niecierpliwie nad brzegami Lety...
Addio... Do widzenia... Rozłąki łza pali;
Żegnaj mi... i tak dalej... tak dalej... tak dalej...

Dwadzieścia pięć małych, czarnych, żarłocznych potworków, okoliło wieńcem skronie Pindara; pijawek wieniec, niby wieniec wawrzynu...

O czwartej minut 30, chory uporczywie zagadnął niemy piec w kącie:

— Fidjaszku! Naprożno bujnymi wstrząsasz splotami... Taki co *cognac* to *cognac*, a *sherry* to arszenik...

Po szóstej z rana Eskulapiusz zaproponował nieśmiało *consilium*...

Odbyło się *consilium*. Djagnoza zdeklarowała groźne zapalenie mózgu. Zaordynowano nową porcję pijawek, puszczenie krwi, bańki, kataplazmy, okłady, wcierania, proszki i miksturę.

Rodzina w ponurem milczeniu, dech zapierając w piersiach, oczekiwała przesilenia.

A Maksio pod drzwiami, drzemiąc na stołeczku, od czasu do czasu przecierał oczy, niecierpliwie wzruszał ramionami i mruczał:

— Sfiksowali. Alboż ja go nie znam? Był gdzieś z kompanją na kolacji, taj tyle!

*

Nazajutrz, w jasny już dzień, Pindar zbudziwszy się, powiódł przytomnym wzrokiem dokoła. Nic mu nie dolegało. Głowa lekka, umysł swobodny, boleści żadnych. Tylko na podniebieniu, mimo proszków i mikstury, czuć się dawał niejaki posmak alkoholu, niby mgliste, niejasne wspomnienie.

W ogóle czuć się także dawały prawidłowe skutki lekarskiej ordynacji.

Po użyciu pijawek, baniek i upustu krwi, ani ręką rusz, ani nogą. Zebrał myśli i z wysileniem przystąpił do skrupulatnego przeglądu dziejów ostatnich dwudziestu czterech godzin. U stóp jego łoża, snem w krześle zmorzona, spoczywała blada, spłakana matka. Widocznie nie rozbierała się wcale i nad ranem zluzowała małżonka.

Pindar zadumał się. A więc nie umarł. A więc mógł umrzeć... Dreszcz przebiegł mu pacierzem. Tak młody! Tak przystojny! Tak popularny... Myśl okropna!... A nieśmiertelność? Miła rzecz, piękna rzecz, rzecz nie do pogardzenia, ale — za życia...

Wytężył słuch. Na korytarzu skrzypnęły drzwi i usłyszał stąpanie kroków. Usłyszał także djalog:

— Można go obaczyć?

— Kogo?

— Pindara.

— Jakiego Pindara?

— No, młodego pana.

— Niemożna.

— Dla czego?

— Bo niemożna.

— Muszę go obaczyć, póki czas.

— *Dochtor* zakazał.

— Doktor? Umarłemu kadzidło. Gdzie leży? Puszczaj!

— Tu leży, za drzwiami. Nie puszczę, bo zakazano.

— Ależ ja jestem Fidjasz!

— A ja jestem Maksio i nie puszczę, bo zakazano.

— Za godzinę będzie za późno.

— Idź pan sobie z Bogiem i z tym garnkiem.

— Łotrze, jestem Fidjasz, a to gips.

— Gips? A to po co? Młodemu panu nie połamało ani ręki, ani nogi.

— Jestem Fidjasz. Puszczaj, albo...

— Co to? Rozbój?!

Podsłuchujący zbladł jak prześcieradło; pot kroplisty wystąpił mu na czoło; przymknął powieki i niespokojnie poruszył się w łóżku. Czujna matka zerwała się z krzesła, rzuciła okiem na twarz chorego i na palcach wysunęła się z pokoju.

— Kto pan jesteś i czego pan sobie życzysz?

— Jestem Fidjasz, pani dobrodziejko. Pragnę być dopuszczonym do nieszczęsnego mojego druha.

— Wybacz pan. Lekarze ostro wzbronili...

— Ha, więc to była choroba zaraźliwa.

— Nie, panie, niezaraźliwa.

— A zatem pozwoli panie dobrodziejka...

— Powtarzam, niepodobna.

— Racz pani dobrodziejka uwzględnić, że za godzinę będzie za późno...

— Truchleję... Co pan przez to rozumiesz? Dla czego za późno?

— Szanuję boleść macierzyńską; lecz niemiłosierne prawidła natury...

— Panie, pan mnie przerażasz... Nie pojmuję zgoła... Lecz oto nadchodzi mąż... Mężu, bój się Boga, rozmów się z tym panem!

Chory drzeć począł jak osika. Chciał się podnieść i nie mógł; chciał zawołać, także nie mógł. Usłyszał głos ojca niespokojny i przytłumiony:

— Czem mogę panu służyć?

— Jestem Fidjasz, artysta rzeźbiarz, druh od serca syna pana dobrodzieja.

— Bardzo nam przyjemnie, lecz wybaczysz pan...

— Umiem uszanować boleść rodziny, wszelako moc obowiązku sroga jest i bezwzględna. Dałem słowo i dotrzymam. Gipsową jego maskę mieć muszę.

— Innym razem, łaskawy Panie. Jak można tak mało mieć serca i w takiej chwili...

— Właśnie najstosowniejsza. Za godzinę będzie za późno.

— Jak to, za późno?

— Rysy sztywnieją i zmieniają się częstokroć nie do poznania.

— Co pan bredzisz?... Miejże wzgląd na kobietę i wytłumacz się...

— Natychmiast. O dziewiątej spotkałem Dra Pneumatorax'a. Upewnił mnie, że pacjent...

— Kończ pan!

— Nie przeżyje godziny.

— Ależ, panie...

— Jak to? Więc nie skończył jeszcze? A tu jedenasta!... Właśnie chciałem wczas zdjąć mu maskę.

Uszu chorego dosięgnął odgłos jęku z piersi biednego ojca i spazmatyczny wybuch płaczu matki.

W pokoju był sam... Cicho, głucho jak w grobie... A więc śmierć, śmierć, śmierć!... Żadnej ucieczki, żadnego ocalenia... Niewolno mu przeżyć godziny, a ta godzina wybiła już przed dwiema godzinami... Ginąć, ginąć w kwiecie wiosny... Tak młody, tak przystojny, tak popularny!...

Włosy najeżyły mu się drutem; resztki krwi zastygły mu w żyłach; nieopisana, okropna, piekielna rozpacz ogarnęła całe jego jestestwo; wszystkie mięśnie, nerwy wszystkie wzdrygnęły

się, stawiając szalony opór straszliwemu wyrokowi.

I zdawało mu się, że ciało jego tężeje nieruchome, bezwładne, rozciągnięte, że promieniami uchodzi zeń świadomość swego „ja“, że rysy oblicza sztywnieją mu lodem i że na nie zlewa się gęsty, lepki, wapnem cuchnący strumień gipsowej masy, zakleja mu oczy, zatyka nos i uszy, zamurowuje usta i dławi...

Precz, widmo!... Żyć, żyć, żyć!!!...

*

I cóż, potężny twórco „Ostatnich dni skazanego“, nieprawdaż, tyś ocenił cały ogrom jego męczarni?...

I ty niezrównany mistrzu pędzla, i ty odmalować w sobie zdołałeś trawiącą pracę jego mózgu, nieprawdaż?...

Pojęliście go i uroniliście łzę nad jego niedolą...

Bo też była to chwila, chwila zgrozy, z czarnych najczarniejsza, najokropniejsza z okropnych!

*

W kilka dni później, „na Żmudzi“, w *szyjce*, obadwaj siedzieli przy marmurowym stoliku. Przed Fidjaszem złociło się w czarce ulubione *sherry*; do Pindara uśmiechał się zalotnie kieliszek *cognac'u*.

— Słuchaj, Fidjaszku, bodaj cię pokurczyło z twoją przyjaźnią! Nieśmiertelność, rzecz to miła i piękna i ponętna... Ale śmierć... brrr!...

Jak to powiedział zbójca Moor?

„Czas i wieczność, skute z sobą ogniwem jednego mgnienia oka. Tajemniczy kluczu, ty zatrzaskujesz za mną kaźnię żywota, a przedemną odsuwasz wrzeciądze przybytku wiecznej nocy. Powiedz mi, o powiedz, straszny kluczu, kędy mnie zawiedziesz?!...“

— Głupstwo, Pindarku. Twoje zdrowie!

— Głupstwo?... Oh, Fidjaszku, Fidjaszku! Pomnisz tyradę opryszka Kollera, gdy się urwał z szubienicy:

„Na wszystkie skarby mamony! Nie pragnę dożyć tego po raz wtóry. Śmierć to coś więcej od skoku pajaca, a bojaźń śmierci stokroć straszniejsza od zgonu!...“

Aureli Urbański.

Z ZA KULIS

i ze świata.

Szkice, obrazki, humoreski.

Tomik IV.

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

[1856]

XIV,

Fabius cunctator.

(Po części coś nakształt wstydliwego poniekąd niby-plagiaciku).

§. 1.

Że też na świecie są ludzie, którzy urągając solidnym prawidłom wiązania myśli, dwu zdań jako-tako logicznie sfastrygować nie potrafią, — ludzie, w ustawicznej żyjący kłótni z zasadami zdrowego sensu i prostej konsekwencji, — ludzie, dla których matematyczna analityka apokaliptycznym jest potworem, — dla których wszelkie liczbowanie czczym jest wymysłem, — dla których nawet powszednie $2 \times 2 = 4$ zgoła nie istnieje, — a przecie zakały te społeczeństwa pytlować, mleć i klepać umieją bez tchu i wypoczynku i z onejże racji u płci nadobnej (płci, niestety, wszelkiej arytmetyce, algebrze i geometryi tak wrogiej) wprost niezasłużonem cieszą się powodzeniem.

Powodzeniem takiem cieszy się np. wietrznik, pan Zefiryn Rajmund Wichrowicz, świeżuteńki,

prosto z igły, akcesista w Kociubińcach, — pan Zefiryn Rajmund, którego jedno skrzydlate słówko jak na wyścigach przepędza drugie, który wierci się i kręci, jak huczące furkadło w wirowy ruch puszczone szpagatem studenta, a który panienkom zuchwale oślinia liliowe łapeczki.

A panienki, pozwalając mu się emablować, okrzyczały go towarzyskim, miłym, grzecznym, zajmującym kawalerem!...

Jużci takiem powodzeniem nie pochwali się stateczny pan Fabjan, który (mimo dojrzałego już wieku) w potocznej gwarze Kociubiniec zwan jest poczciwym Fabciem, a którego widzimy właśnie w ciężkiej fazie żmudnej pracy umysłowej. Nietylko bowiem w głębokiej pogrążony jest zadumie ; czuje on już nawet coś nader subtelnego i niezaprzeczenie nader coś rozsądnego na końcu języka, wtem nagle — —

Chwilkę cierpliwości. O najważniejszym zapomnieliśmy szczególe. Pan Fabcio siedzi właśnie na niziutkim taboreciku u stopek panny Balbiny, wydłużone zaś jego ramiona, (niby dwa wyprostowane ramiona rozwartego cyrkla), opasane pasmem różnobarwnej włóczki, służą kłębkowi w paluszkach kociubinieckiej *Circe* za motowidło.

Panny Balbiny? Tak jest. Panny Balbiny, Bińci, Bisi, — rozkosznej, bujnie rozkwitłej curusi pana Jana Kapistrana Chrapiełły, najbardziej

wpływowego rajcy miasta Kociubiniec, opasłego, wiecznie potem zlanego, sapiącego jak miech kowalski pana rajcy, którego organ węchu, kształtu rozrosłej tykwy o kanoniczno-fioletowym refleksie, wobec zmiennego nacisku powietrza oraz wewnętrznych wzruszeń, dziwną odgrywa rolę miejskiego barometra a zarazem termometra, jak to poniżej skonstatować będziemy mieli sposobność.

Fabcio, przykucnąwszy tedy u zerkających ciekawie z pod falban pantofelków panny Bisi, właśnie nader coś subtelnego a niezaprzeczenie coś rozsądnego czuł na końcu języka, wtem nagle — —

Jeszcze nieco cierpliwości. Nieodzownem staje się pouczenie, że stateczny pan Fabjan piastuje obowiązki „dochodzącego“ Mentora przy rozwydrzonym Telemaku, Jacusiu, braciszku panny Bisi, — jak nie mniej, że ksiądz kanonik wraz z księdzem katechetą zaliczają tegoż Mentora do szczupłej liczby „najporządniejszych“ pod słońcem młodych ludzi. Bo też (nie chwalący się) Fabcio z wyszczególnieniem wszystkie pozdawał egzaminy, celując w przedmiotach wiedzy ścisłej, mianowicie przyrodoznawstwa, jeszcze zaś mianowiciej wszechmatematyki, do której od dzieciństwa szczególne miał nabożeństwo. Spokojny ruch wahadłowy zegara jego żywota, naukowo wyrażający się formułką: $\tau = \pi\sqrt{\frac{l}{g}}$ nigdy na szwank nie został narażony. Formułka ta, stanowiąca niejako noso-

bienie myślącego erudyta, przylepła do wypukłej jego skroni etykietą, jakby ją przygwoździł raz na zawsze który ze szkolnych koleżków, zcichapęków. Jużci nota z obyczajów we wszystkich Mentora świadectwach stale opiewała: *wzorowo*. I zasłużenie. Mentor bowiem od powicia nie zakłócił nigdy spokoju ludziom; nawet mamce; muszce nawet, ni pająkowi; ust zaś swoich nie skalał nigdy ani gryzącym dymem (zwijanej po zakątkach) papierosowej bibułki, ani choćby znikomą kropelką (jasność myśli mącącego) płynu. Jak też młodemu, porządnemu Mentorowi przystoi, w zimie o dziewiątej, w lecie o dziesiątej z wieczora, codziennie spoczywa już sobie z wrodzoną powagą na systematycznie usłanym tapczaniku, wertując lepkie zużyciem karty ulubionego *Krawczykiewicza* lub *Żmurki*.

Uczony Fabcio czuł tedy nader coś subtelnego a niezaprzeczenie rozsądnego na końcu języka, wtem nagle — —

Cierpliwości jeszcze odrobinkę. Jeśli ksiądz kanonik wraz z księdzem katechetą Fabcia zwą wzorowym, młodym człowiekiem, to przeważnie zapewnę *ex re*, że białogłowom nigdy nie zaziera w oczęta. Ah, a przecie *casus* zrządził *fatalis*, że raz jeno, raz jedyny, Mentor zajrzał w oczęta panny Bisi Chrapiellanki, miasto w zabazgrany „szubieniczkami“ sekstern garbatego swojego Telemaka — i owo coś się z nim stało, coś niepo-

jętego i nieobjętego żadnym, metodycznie pogłębionym rozdziałem *Krawczykiewicza* ni *Żmurki*. Miarowe, regularne wahadełko spokojnej jego duszy fatalnie wyszło z równowagi. Ni spokoju... ni snu... ni apetytu. „Decymałki“ plączą mu się chaotycznie, dotychczasowa zaś nieomylność matematycznych „kombinacyj“ i „permutacyj“ ustąpiła miejsca cyfrowym dziwolągom w „rozbieżnym“, mętnym szeregu, którego „wykładnik“ w nieprawidłowych podrygiwał prysiudach, ni to ów djablik z wywieszonym ozorkiem we fiolce *Kartezjusza*...

Siedział tedy skurczony Fabcio na taboreciku u kończyn ciekawych pantofelków panny Bisi Chrapiellanki, sztywnie wyprostowawszy ramiona opasane włóczką. Wzrok skromnie utkwiwszy w bretnalu podłogi, to milczał w głębokiej zadumie, to bąkał półsłówkami w odpowiedzi na rzadkie zagadnienia małomownej *Circe*. W dziesięciominutowych odstępach stwierdził już skwapliwem potakiwaniem, że w istocie na ulicach miasteczka kanikularna dokucza spiekota, że w istocie na oficynach ratusza dach gontami pobijać zaczęto i że w istocie Dyzia, sędzianka, ukazała się w farze na nieszporach z kolącym bukietem bodiaków na pomiętej tiurniurze. A że mowa była o słońcu i kanikule, już-już nabierał rozpędu do wyznania — — nie, do zrzucenia z końca języka nader poważnej i dla panny nie-

słychanie zajmującej uwagi, że promień słonecznego światła, robiąc 42.000 mil na sekundę, wedle ścisłych obliczeń dosięga nas w 8 minutach i 13 sekundach, — — wtem nagle wpada nieznośny ów Zefiryn, Rajmund Wichrowicz, (kieszonkowe wydanie małomiasteczkowego Lowelasa), — podskakuje w szykownych rzutach piszczeli ni to wróbel na nitce, — wykręca zwinnego pirueta na pięcie, — nieskromnego wyciska całusa na panny rączce, półtora milimetra nad zgięciem serdecznego paluszka, — a zanuciwszy trel jakiś (lichą reminiscencję z „Sinobrodego“), rzuca się bez ceremonii na szeslong, bezpośrednio tuż obok panny Bisi (bezwstydnik!..), — wyrywa Mentorowi motek włóczki (zuchwalec!...) i nuż, furcząc jak kołowrotek, pleść smalone duby ni w pięć ni w dziewięć: „że onegdaj pannusia cierpieć miała pono na atak migrenki, że całe Kociubińce wzdychając tęsknią do anielskiego jej widoku, że mimo przebytych cierpień źrenice jej błyszczą jak dwie polarne gwiazdy“ itp. bzdurstwa, żadnej nie mające styczności z kanikułą, oficyną ratusza i sędzianki zbodjaczoną tiurniurą (nieuk!...).

A panna Bisia. dopiero co (że tak powiemy) chemicznie-kwaśno reagująca i małomowna, staje się naraz ożywioną. dowcipną i wyłącznie z fanfaronem w długą wdaje się konwersację, jak gdyby obecny i przytomny młody nasz uczony

w niewidzialne rozpłynął się *vaccuum*, ni to na fałszywych *premissach* oparta *hipoteza*.

Podniósł się z taborecika skonsternowany Fabcio i pierwszy raz w życiu wielkie poczuł w sobie wzburzenie. Wzburzenie to, podniesione do nieobliczalnej potencji. chemik nazwałby fermentacją, wywołaną drożdżami zazdrości. Oh, jakżeby rad „*dodać*“ sobie nieco energii, by „*mnożąc*“ nieskończony rzęd miażdżących argumentów, zagrozić bezecnemu wiercipięcie doraźnem „*podzieleniem*“ jego szkieletu na poszczególne składniki, a przynajmniej część biorąc za całość, jakżeby rad zaproponować mu „*odjęcie*“ choć jednego żebra!... Każdy jednak szanujący się matematyk, umiejący coś więcej nad cztery zasadnicze działania arytmetyczne, pospolitym nie ulegnie instynktom.

Porwał tedy za czapkę — i wyszedł.

Miły Boże!... Nie potrafi on wprawdzie jak fryga wykręcić się na pięcie, w obawie obalenia etażerki lub zerwania firanki; również nie ośmieliłby się aplikować pannom wszeteczne całusy półtora milimetra nad zgięciem serdecznego paluszka; co do nucenia zaś rozwiązłych jakichś figlasów z „Sinobrodego“, trudno wymagać od ciętego arytmetyka, algiebrzysty i geometry, ażeby mógł sobie zapamiętać inną jaką melodję, krom powszechnie znanej o kotku filucie, co to wlazł na płotek i mruga; nareszcie nie poczuwa

on się do nadmiaru cywilnej odwagi, iżby zdołał, przysunąwszy się w bezpośrednie pobliże niewiasty i obłąkane zawracając białka, czcze i bezwartościowe szeptać jej komunały; natomiast czuje on wyższość swoją tak matematyczną, jak moralną, albowiem Zefiryn Rajmund Wichrowicz trzpiotem jest, pyszałkiem, sprośnikiem, gładyszem, umizgusem i wiercipiętą, niemającym jasnego pojęcia o prostej „regule trzech“ a cóż dopiero o „*Brigg'a* logarytmach“, że zaś „cyfry Ludolfa“ (π) z pamięci nie wyrecytuje, szyję dać można na pewniaka. Słowem, między *X*-em (Fabciem) a *Y*-em (Zefirynem), napróżno szukałbyś „stycznej“; jedyne *tertium comparationis* między dwiema temi „potęgami“ stanowiła magnetyczna inklinacja do panny Bisi...

A jednak panna Bisia poczciwą jest panną Bisią!.... Wybiegłszy na schody za uchodzącym w piekielnej emocji Mentorem, przesłała mu słodkie: „*do widzenia*, panie Fabjanie“.

Pan korrepetytor, już na progu bramy, wstrzymał się na chwilę, głęboki złożył ukłon w kierunku pierwszego piętra i sznurkiem puścił się dodom, tak po drodze obliczając zadumany:

„Zmiana kwaśnej reagencji panny w jego obecności, na dziwnie alkaliczną w obecności Zefiryna — bezsprzecznie to *minus*, olbrzymie *minus*; wybiegnięcie panny na schody i wydzwonione z wdzięcznym uśmiechem: „*do widzenia*,

panie Fabjanie!“ — to *plus*, potężne *plus*. *Plus* i *minus* znoszą się wzajem, — stadjum tedy zgoła niezmienione. *Status quo ante.*

„Do widzenia, panie Fabjanie“.... Zapewne, brzmi to słodko. W duszę wstępuje otucha i pewność siebie, jak po rozwiązaniu zawiłego zrównania $x^{a} + y^{b} = \sqrt{x\,(a+b) - y\,(a-b)}$.

I zrobiło mu się ciepło; co zaś znaczy podniesienie temperatury choćby o jeden stopień, objaśnia najdosadniej fakt naukowo stwierdzony, że ciepło, którem 1 ℔ wody od 0° R. ogrzejesz na + 1° R., równoważy się sile mechanicznej, która 1.367 ℔ w 1 sekundzie podnieść jest w stanie do 1 stopy wysokości. Tak jest: 1.367 funtów, tj. 137 centnarów. Uwzględniając tedy ciężar kości wraz z mięśniami wietrznika Wichrowicza i obliczywszy go w zaokrągleniu w maksymalnej wadze 1 centnara, już przez podskoczenie temperatury o jeden stopień wysadzał 137 Wichrowiczów w powietrze; wprawdzie o jedną zaledwie stopę, ale... wysadzał.

Wszelako, skoro zapuścił się w polną uliczkę po za koszarami żandarmerji, ciągnącą się wzdłuż samych płotów i sztachet, cały rzęd kołów tych ogrodzeń wydał mu się w optycznej perspektywie długim, nieskończonym szeregiem pionowych, olbrzymich, przygnębiających *minusów*.

Temperatura znów opadła. Napięcie chwi-

lowo podnieconej energii zredukowało się do zwykłego poziomu. Z opuszczoną skronią jakby pod naciskiem kilkuset atmosfer, wrócił do kawalerskiej swojej izdebki i dnia tego — nie spożył kolacji.

§. 2.

Co?... Ty, miałbyś pokazać się w domu pana rajcy?...

Hebes Jacuś, miasto gruntownego wrażania sobie w ciasną mózgownicę teorji o „liczbach wielorakich“, strzela z katapultu gruchające purcle na sąsiada gołębniku, oczywista bez żadnego pojęcia o matematycznych rudymentach z dziedziny ballistyki. Nie idź, Fabciu!

Pan Chrapiełło burczy cię po kątach, że hebes synalek żadnych nie robi postępów; każda zaś z tej przyczyny irytacja zmienia kanoniczno-fioletową barwę wiadomej tykwy na barwę ciemno-oliwkową... Nie idź, Fabciu!

Atoli hebes Jacuś z początkiem września siąść ma we Lwowie *do poprawki*, na samą zaś myśl ponownego *spalenia* synalka rodzic obfitym zlewa się potem i trze zapamiętale oliwkową część facjaty, póki nie ściemnieje do barwy granatu. Jak więc sądzisz, Fabciu?...

Zresztą panna Bisia rzekła mu: *do widzenia*!

Jeszcze raz zanalizujmy krytycznie dwu tych, na pozór błahych słówek znaczenie. „*Do wi-*

dzenia“ znaczy = „co rychlej pragnę ujrzeć cię, panie Fabjanie“; założenia zaś tego ścisłą konsekwencją jest = „pan Zefiryn, Rajmund Wichrowicz zawsze obojętnym był mi facetem, Zefirynowi nie pozwolę więcej przysiadać się tak blisko, Rajmundowi pulchnej nie podam rączki do wyciśnięcia na niej całuska, chichotać się zaś nie będę, gdy Wichrowicz znowu zionąć zacznie inwektywami i z oburzającym cynizmem przezwie pana Fabjana *ułomkiem*“.

Ty, Fabciu — i *ułomek*!.... Jakto? nie jestżeś prosty jak struna? A jeśli trzymasz się nieco pochyło wskutek chwalebnego ślęczenia nad rozwiązywaniem algebraicznych zagadnień, nie trzymałże się również pochyło wielki Newton, myśliciel niedościgniony?... Wichrowicz twierdzi, że niebieskie twoje okulary, cytrynowa cera twojego oblicza, szczecinowe uwłosienie wypukłej twojej czaszki i cichy, niby skradający się krok szczupluchnego twojego odnóża, przypominają policyjnego detektywa z francuskiej melodramy.... Wszystko fałsz! Niebieskie okulary dodają ci jeno powagi, chroniąc przekrwione ślęczeniem powieki od zgubnego wpływu wapiennego kurzu; żółtawa cera jest jeno wynikiem ustawicznego wytężania myśli; o szczecinowym zaroście i wspomnieć nie warto wobec przyznania ci „wypukłej“ a więc „niepospolitej“ czaszki; krok zaś spokojny, z namysłem stawiany, nie tupiący prze-

raźliwie obcasami, znamionuje wytrawnego statystę. To nie wicherkowate podrygi Zefiryna Rajmunda!

Ty, Fabciu, — i *ułomek*!... Idź więc; idź na złość Wichrowiczowi. Prawda, że hebes Jacuś ani weź pojąć nie może teorji „liczb wielorakich“ — wszelako hebes Jacuś bratem jest panny Bisi, panna Bisia zaś pożegnała cię na schodach słodkiem: „*do widzenia*“...

§. 3.

— Dobry dzień, panie Fabjanie.

— Dobry dzień, panno Balbino.

— Po lekcji wstąp pan do mnie na górę, panie Fabjanie!

— Całuję rucie panny Balbiny dobrodziki.

Oczywista ucałował je tylko w przenośni, utartego używając wysłowienia się $^{11}/_{13}$ części inteligentnych rodaków z nad Pełtwy, Bugu i Dniestru.

A było to przed korrepetycją.

Po korrepetycji wstąpił „do niej, na górę“: wstąpiwszy zaś, uczuł się „taki“ zniewolonym do wstydliwego cmoknięcia jej w rączkę, gdyż mu panna piąstkę do ust przytknęła. Sam sobie nie wierzył; stało się jednak. Dokonanego faktu dowodem: gwałtowne, nowe podskoczenie temperatury i nagły rozwój tak potężnej siły cieplika,

że tenże zamieniony w mechaniczną pracę lokomobili, trzystu takich Wichrowiczów wysadziłby w powietrze.

„U niej, na górze“, nie umieścił się wprawdzie na szeslongu bezpośrednio tuż obok dziewicy; za to sama panna przysiadła się doń tak bliziutko, że (haftowany w pół-elipsy) perkalowy jej fartuszek muskał go po kolanie. Chwilę siedzieli w milczeniu. Młody uczony sapnął z cieśni skurczonego wzruszeniem żołądka.

— Dlaczego pan wzdychasz? zapyta panna Bisia.

— Dlaczego wzdycham?... Ja?... Nie wiem... To mój zwyczaj; zazwyczaj jednak nie mam tego zwyczaju.

Znów milczenie. Dziewica w przyspieszonym tempie robiła pończoszkę, młodzieniec zaś kolejno wyciągał sobie stawy u palców, nader przyjemny sprawiając tem łoskot. A serce biło mu jak młotem.

— Panie Fabjanie, budzę pana.

— Nie spię, panno Balbino dobrodziko...

— O czem-że pan dumasz, panie Fabjanie?

— O czem?... O czem?... O tem, że młot parowy o sile 12.000 ℔ i o wysokości spadania 6 stóp, może w jednej minucie 600 wykonać uderzeń i kuć tak przez 24 godzin nieustannie, podczas gdy serce ludzkie — — (tu urwał i zarumienił się po uszy).

Znów milczenie.

— Panie Fabjanie, czy nie widziałeś się pan wczora z panem Zefirynem? (tu znowu panna zarumieniła się po uszy).

Dlaczego zarumieniła się po uszy, kto to wie; atoli Fabcio nie był w stanie zrobienia ciekawej tej ekspertyzy, ponieważ od trzech kwadransów zajmującego djalogu nie podnosił zgoła rzęs spuszczonych ku podłodze. W każdym razie bardzo niemile dotknęło go tak niewczesne zagadnienie. Cóż bowiem za styczność mieć może niecny Wichrowicz z młotem parowym, kującym z siłą 12.000 ℔ przez 24 godzin bez przerwy?

A przecie nasz *cunctator* zebrał się na wyskok cywilnej odwagi i postanowił kwestję postawić jasno, acz delikatnie:

— Panno Balbino... Dlaczego zapytujesz mnie o sprośnego a zuchwałego tego skoczka, skoro właśnie masz sposobność tyle innych, wdzięczniejszych uczynić zagadnień? Dlaczego np. nie spytasz, droga panno Balbino, ile drgnień na minutkę czyni obecnie serce twojego niewolnika, jeśli czerwony promień widma słonecznego uskutecznia 458 biljonów drgnień eteru w jednej sekundzie?...

Tego rodzaju interpelację miał właśnie Fabciu na końcu języka, gdy wtem — —

Zaiste, (jak wiadomo z pamiętnika „Smołowca“) są ludzie malikowaci od urodzenia — i nic

im się nie wiedzie. Np. ochoczy kasjer magistratu w Kociubińcach gotów zawsze z inspektorem miejskiej straży bezpieczeństwa puścić się walca na trzy *pas* w swojej kancelarji, lecz zaproś go jeno na tańcującą herbatkę z ciepłą kolacyjką, na której z pewnością podasz hegelajskiego od Rosendufta, natychmiast dostaje reumatycznych ataków i zgrzytając zębami kładzie się do łóżka. Podobnież i panna Klekocińska; niechno sprosi do siebie zastęp (zawsze dobrze poinformowanych) starszych panienek na pogawędkę o Kociubinieckich nowinkach przy garncowym imbryku kawuni, a nieochybnie skipi się śmietanka. Pana Fabjana nie sposób nazwać reumatykiem, acz przy każdej zmianie aury „drze“ go nieco w lewej łopatce i „strzyka“ w prawej lędźwi; nie skipia mu się oraz śmietanka, na śniadanie bowiem i na podwieczorek posila się ukropkiem (trzeźwą mieszaniną wody i zbieranego mleka); — wszelako prześladuje go zawsze jedno i to samo specjalne, indywidualne jakieś licho, że skoro jeno przy pannie Bisi coś stanowczego a niesłychanie ważnego ma na końcu języka, w tej chwili wpada niegodziwy a przewrotny —

§. 4.

Zefiryn Rajmund Wichrowicz, który w rozwierżganych lansadach ucinając galopka ku pan-

nie, łokciem wymierzył szturkańca w bok Mentora, strącił mu szafirowe okulary i tak boleśnie nadeptał na odcisk u małego palca strzykającej nogi, że Fabcio z sykiem węża uskoczył na środek saloniku.

— Co to, panie Fabjanie?...

— Nic, panno Balbino dobrodziko... Czas mi na lekcję do pani rejentowej...

I znowu porwał za czapkę — i chromając wyszedł.

Zanim wyszedł, pochwycił uchem niewątpliwe cmoknięcie . .przypuszczalnie w pulchną rączkę półtora milimetra nad zgięciem serdecznego paluszka; pochwycił także uchem (atoli już za drzwiami) duet niewieściego chichotu z męskim rozpukiem, który zabrzmiał mu zgrzytem fałszywie rozwiązanego *pensum* z dziedziny matematycznej akustyki i który długo, długo zgrzytliwym echem ciągnął się za nim, ni to rachunek „łańcuchowy bez końca“...

Ah... i panna Bisia nie wybiegła już na schody i nie pożegnała go słówkiem: „dowidzenia!“... Wielkie to, niewątpliwe *minus*; niemniej za potężne *minus* poczytywać należy wzięcie udziału przez pannę Bisię w wokalnym popisie parskającego Zefiryna. Natomiast zaprzeczyć się nie da, że niespodziewane podanie rączki do pocałowania stanowi wartość co najmniej dwu piramidalnych *plusów*. Dwa *plusy*

z dwoma *minusami* znoszą się — znowu tedy *status, quo ante.*

Mimo tego zgoła nierozpaczliwego wyniku wyczerpującej refleksji, cały minął tydzień — i jeszcze jeden tydzień — co czyni dni piętnaście, a nasz Fabcio nie powziął jeszcze stanowczej decyzji, żali pokazać się lub nie pokazać w domu pana rajcy. Na urgensy rozsrożonego papy nie dawał żadnych odpowiedzi, doręczającego zaś bileciki hebesa Jacusia przyjmował leżąc na sieniku z rozwartym *Krawczykiewiczem* w ręku i zastanawiając się głęboko nad zaletami i trudnościami „rachunku różniczkowego". „Chory jestem na influencję. Nie pójdę"..

U schyłku piętnastego dnia zapukał ktoś do drzwi. Nasz uczony nie odsunął zakrętki; zerknąwszy jednak przez dziurkę od klucza, spotkał się ze wzrokiem zerkającego z zewnątrz, zgiętego w czworo pana Chrapiełły. Z każdego poru facjaty papy kulawego Jacusia tryskał ciurkiem pot; tykwa zaś, stanowiąca facjaty tej ozdobę, zużywszy kolejno wszystkie barwy tęczy, zczerniała już jak inkaust galasowy.

Odszedł z niczem sapiąc i dmuchając pan Chrapiełło; atoli żałobny koloryt radzieckiego ornamentu wywarł na naszym matematyku nader przygnębiające wrażenie; obsiadło go kąsające mrowisko wyrzutów sumienia. Piętnaście obrotów

ziemi około własnej osi, licząc dobę po 24 godzin, czyni 360 godzin, czyli 21.600 minut, czyli 1,296.000 sekund; a że (wedle sprawdzonych dat statystycznych) na kuli ziemskiej co sekundy rodzi się i umiera jeden osobnik, nasz tedy Mentor pogrzebał w zaokrągleniu 1,300.000 śmiertelników nie „wypytawszy“ zadanych Telemakowi „lekcyj“. Niemniej 1,300.000 urodziło się na naszym płanecie niemowląt od chwili, gdy tenże Mentor po raz ostatni wsiąkał w płuca wonny oddech siostrzyczki hebesa Telemaka. I ugiął się biedny Fabcio, ni to pod tłocznią prasy hidraulicznej... I ogarnęła duszę jego taka tęsknota, jakoby dziś, nagle, nieodzownie zapotrzebował logarytmów — lekkomyślnie wczora sprzedawszy je antykwarzowi. Uchowaj go Boże od takiej lekkomyślności!... Rzucił niespokojnem okiem ku szafeczce przy łóżku — logarytmy spokojnie a poważnie leżą na swojem miejscu.

A gdyby wychylić się jeno z izdebki — zaułkami przekraść się w pobliże parkanu, okalającego siedzibę pana rajcy — i choć z daleka zabłądzić spojrzeniem ku ostatniemu okienku piąterka?... A gdyby?!...

Ha, spojrzy — i powróci.

§. 5.

Przebóg!... Brama w parkanie zawarta na kłódkę; story w oknach pospuszczane; Bryś samotny bresze na łańcuchu.

Pan rajca wczora wyjechał — i panna Balbina wczora wyjechała — i hebes Jacuś wczora wyjechał — i dromedar-szturmaczysko, Tekla, wczora wyjechała — wszyscy wyjechali — na wieś — na świeże powietrze! Wyjechali — i za sześć dopiero tygodni spodziewani z powrotem. Panu rajcy gwałtem potrzeba świeżego powietrza, albowiem wiadome jego fiolety stale już przybrały odcień galasówki. Pannie Bisi temci

niezbędniejsze świeże powietrze
gdyż liczko jej codzień bledsze.

Hebes Jacuś zakrapiać się niem może do syta, gdyż do poprawki siadać niema po co i z czem. Dromedara zaś, Teklę, mieć przy sobie muszą, na świeżem bowiem powietrzu nie podobna żyć jeno świeżem powietrzem.

Niechby tam pan rajca — hebes Jacuś — i Tekla — ale panna Balbina!

I dokąd wyjechali?... Stróżycha nie wie.

Od czegoż algiebra? A ma się do B, jak A^1 do B^1. — A (pan rajca Chrapiełło) ma się do B (pana rajcy Gapiełły), jak A^1 (pana Chrapiełły konfidencja przy codziennym kufelku) do B^1 (pana Gapiełły dobrodusznej gadatliwości). Pan Gapiełło tedy nie uczyni tajemnicy Stanu z kierunku wycieczki pana Chrapiełły.

Pan Gapiełło nieśmiałego Mentora przyjął grzecznie; prosił nawet siedzieć. Z kwestji wyjazdu zgoła nie czyniąc tajemnicy Stanu, oświad-

czył dobrotliwie, że kum Chrapiełło nie zamierzał drogi zbyt dalekiej i że osiadł kędyś w okolicy, na wilegiaturze, podobno na folwarku w Młynówce. Pani Gapiellina prostuje, że miejscem chwilowego zamieszkania kuma są Piszczatyńce, u dzierżawcy. Młody pan Gapiełło sprzecza się stanowczo, że Jacuś wspomniał mu o Skowyczynie, kędy pan rajca nająć miał dwie izby u podwójciego; natomiast zaś panna Gapiellanka z uśmiechem politowania konstatuje, że sama panna Bisia wybrała sobie gniazdeczko u leśniczego w Boratyszczach, z tem nadmienieniem, że pan Chrapiełło tam jeno udać się może, kędy udać się pragnie panna Chrapiellanka.

Fabcio podziękował niskim ukłonem — pospieszył ku domowi — w czerwoną chusteczkę związał pół bułki chleba i półtora funta salcesona i — — i piechotą puścił się w Ulissesową podróż po romantycznych siołach w bezpośrednim kolistym obwodzie Kociubiniec.

Owo, jak wielką jest potęga poczucia obowiązków, zwłaszcza zaprawionego „zwierzęcym magnetyzmem“...

Potem zlany, zjajan, skurczon we dwoje, krąży pan Fabjan ni to jeden z czteru księżyców Saturna; wiedzie go bożek Merkury, skrzydłonogi patron podróżnych, pocztyljonów, telefonistek, przemysłowców, matematyków — i rzezimieszków.

W Młynówce, na folwarku, nadszarpał mu nogawicy rozżarty jakiś Kusy czy Burek, postrach wędrownych cyganów; kto wie, żali bez wszelkich zachodów nie byłby mu poogryzał łydek, gdyby nie zupełny brak tego (u arytmetyków zbytecznego) artykułu. Hej, hej — niema nad spokój i „wyznaczanie pierwiastków!“...

W Piszczatyńcach, sumiasty obywatel wiejski, upatrzywszy sobie bezsprzecznie w Ulissesie domorosłego *Ravachol'*a, dźwigającego w czerwonej chusteczce bombę (nie salceson), palcem wskazał mu wrota i w Jowiszowym wrzasnął gniewie do zamorusanego pacholika: „Kuba, łotrze, internacjonał wpuszczasz mi do sieni? A moje *srebło*, skurczybyku!“... Hej, hej — niema nad spokój i obliczanie „cięciwy koła, opisanego na wieloboku!...“

W Skowyczynie, na polu, omal żywcem go nie przebódł rozhukany wół, podrażniony widokiem czerwonego zawiniątka; na domiar, umykając między gospodarskie budynki, wędrowiec nasz wpadł po kolana w gnojówkę. Hej, hej — trzeba ci tego było, nieboże?... Siedzieć było spokojnie przy stole, z ołówkiem i kątomierzem w ręku i kunsztownie kreślić sześcioboki i trapezoidy!...

Atoli wielką jest potęga poczucia obowiązków, zwłaszcza zaprawionego „zwierzęcym magnetyzmem“...

Na granicznym usiadł słupku — wzrokiem dokoła zatoczył spiralnie — przetarł skroń — westchnął głęboko — i zabrał się do salcesona. Nad nim drogoskaz wskazywał palcem na lewo; na drogoskazie zaś zatarty stał napis: „Boratyszcze“.

Boratyszcze — ostatnia to naszego Ulissesa nadzieja. Jeśli i tu srogi spotka go zawód, marsz z powrotem do miasteczka!

Nieopodal boratyszczenieckiego drogoskazu sączy się krzakami smętnie mruczący ruczaj, w braku dosadniejszej nomenklatury pospolicie zwany: potokiem. Nurtów czysty kryształ, melancholijną szmeru monotonią, zwabił znużonego wędrowca ni to syreniem zawodzeniem *Lorelej*'i. Fabcio wsunął do kieszeni szczątki niespożytego salcesona owinięte w bibułę i zbywszy się guiotącego obuwia, w płytkich fal modrej wstędze zanurzył rozpalone stopy. W tem, po przeciwnej stronie leszczynowego krzaka, cichy słyszy plusk i odgiąwszy gałązkę zoczył — Ondynę. Odwrócona plecyma, barczysta i klockowata, naturalistycznie podkasana po kolana, stała pochylona w wodzie — wabiąc srebrne rybki?... nie, wyżymając z wilgoci rozmaite damskiego kroju rozmaitości... Ondyna, na trzask odginanej gałązki, spojrzała za się — i nasz Fabcio radośnie klasnął w dłonie. Tak, to Tekla-dromedar, kuchmistrzyni pana Chrapiełły. W Boraty-

szczach tedy bawi pan rajca — i kulawy Jacuś — i (co ważniejsza) panna Bisia... Nigdy wnioskowanie nie odbyło się na gruntowniejszych premissach, kędy bowiem Tekla pierze damskie rozmaitości, tam też przebywać musi i ta, która te rozmaitości brucze. Że zaś już u pp. Gapiełłów pouczono naszego myśliciela, że w Boratyszczach niema dworu, urzędową zaś reprezentację obszaru dworskiego sprawuje leśniczy, Fabcio tedy gorączkowo naciągnąwszy obuwie, na przełaj polami puścił się ku leśniczówce.

Łatwo napisać: puścił się... Im krótsza odległość oddziela go od celu peregrynacji, tem gwałtowniej trzęsą mu się zarysy łydek. Gwoli utrzymania równowagi zmysłów, powtarza głośno z pamięci po trzykroć „sens Pitagoresa“: $(r^2 = \frac{1}{4} s^2 + d^2)$. Otóż i lasek; pod laskiem płot; za płotem wirydarzyk; w pośrodku wirydarzyka domek: nad gankiem domku jelenie rogi; to leśniczówka. Jak na złość, furtka z przeciwnej strony.

Pan Fabjan, przełażąc przez płot, naraził nieco na szwank odnośną część nowiutkich nankinowych ineksprimablów, ale przez płot przelazł — a przelazłszy, znalazł się na ścieżce, żółtym posypanej piaskiem. Lekkie szturknięcie w kolano, drugie w zwieszoną prawicę, trzecie w najbliższe są-

siedztwo lędźwi, zniewala go do zniżenia kąta widzenia o 45° stopni. Przed nim, z wywieszonym językiem, przykucnęła charcica; za nim legawiec dobiera się do tylnej kieszeni tużurka; z prawej przyziera mu się podejrzliwie jamnik, z lewej gończak. W milczeniu machają ogonami i patrzą. Zrazu przerażony, skombinował coprędzej nasz badacz, że to bibuła z salcesona jest przedmiotem wzruszającej psiej owacji. Nuż więc czule po łbach głaskać wielce przyzwoitych przedstawicieli poczwórnej odmiany gatunku „*canis domesticus*“, przemawiając do nich kolejno z niewymowną słodyczą: „poczciwa psiunia, nie kąsa — nie kąsa, poczciwa psiunia“...

Lecz co to?... Kościste czyjeś dłonie śrubą opasują mu czoło, zasłaniając oczy; śruba ta (jakkolwiek nie Archimedesa) nagłym a gwałtownym swoim naciskiem niewypowiedzianego nabawia go przerażenia. Ofiarą paść zbójcy, wprawdzie u rubieży lasu, lecz tuż pod samą leśniczówką, zaiste wypadek godny pożałowania!... Doraźnemu ulegając popędowi sięga do kieszonki i pankfongowej, posrebrzanej dobywszy „cebuli“, ofiaruje ją krępującemu go złoczyńcy w zamian za życie. Przypuszczamy, iż gotów był nawet rozstać się z traktatem z zakresu trygonometrji (z którym nigdy się nie rozstawał), byle groźne odwrócić niebezpieczeństwo. I rozległ się wybuch wesołego śmiechu,

kościste palce usunęły się z przed oczu — oglądnął się trwożliwie — i spostrzegł Jacusia, hebesa Jacusia i pannę Balbinę. Oboje kładli się od śmiechu. Mój Boże! Tyle powikłanych wrażeń... Płot i podarty nankin; łakome kundysy i miłość; morderca i panna Bisia!...

Ująwszy go poufale pod ramię, panna powiodła go ku leśniczówce. Kto ztamtąd wyszedł? Pan rajca wyszedł. Na widok niedbałego korrepetytora wiadoma tykwa barwę *indigo* zmieniła na blado-marmurową. Kamienista tucza cierpkich wyrzutów lunęła na głowę obżałowanego, który w niemej skrusze winowajcy nawet z nich się nie otrząsł, jak to czyni przemokły kąpielą pudelek. Zaledwie zdołał wykrztusić:

— Influencja, panie rajco dobrodzieju... influencja...

Z konsternacji Mentora skorzystał złośliwie Telemak, urywając temuż obluzowany guzik u tużurka, za co policzkiem poczęstowany przez rozsrożonego papę, z wyciem ukrył się w gęstwinie niedojrzałego agrestu, srogie w nim swoją żarłocznością sprawiając spustoszenie.

— Papusiu, pan Fabjan obłożnie był chory: spojrzyj, jaki blady!... (pospieszyła z interwencją poczciwa panna Bisia). Pan Fabian będzie nas codziennie odwidzał w Boratyszczach, przysiędzie z Jacusiem fałdów i wszystko się naprawi.

— O tak. codziennie... najświętsze słowo honoru... (bełkoce korrepetytor); przed południem trzy godziny, po południu trzy godziny... i wszystko się naprawi.

Pan rajca przetarł chustką czoło, potem czuprynę, potem kark, potem wiechy wąsów i podał winowajcy prawicę. Znana tykwa, jak skóra na kameleonie, połysk sinawego marmuru przemieniła w barwę wiosennej róży, z różowej przeistoczyła się w ponsową, z ponsowej w *berliner-blau*, z *berliner-blau* w *indigo*, poczem zawahawszy się na chwilę między ciemniejszym a jaśniejszym odcieniem, cofnęła sie do normalnego swojego, ceglasto-buraczkowego kolorytu.

Usiadł Fabcio na ganku, pokrzepiony przez pannę trzema kwartowemi szklenicami wody z malinowym sokiem. I zrobiło mu się nader słodko... Pan Chrapiełło chrapał, panna Balbina robiła pończoszkę i cuda, cuda opowiadała o rajskich rozkoszach wiejskiej willegiatury. Gość, usiadłszy bokiem do panny domu, nie miał już sposobności czy odwagi zwrócić się ku niej twarzą; jak więc siadł, tak siedział — i słuchał; słuchał — i w niepamięć puścił „decymałki“ — „integrałki“ — „potencjałki“ — i „dyfferencjałki“...

Gdy słonko miało się ku zachodowi, ruszył z powrotem do Kociubiniec. W uszach dźwiękami harfy brzmiały mu ostatnie słowa panny Bisi:

— Jutro więc, zaraz po ósmej z rana.

— O panno Balbino dobrodziko... jutro... pojutrze... życie całe, do grobowej deski... (Cóż, kiedy ta odpowiedź wpadła mu na myśl dopiero u rogatki Kociubiniec).

§. 6.

Noc Fabcio przepędził niespokojnie. Prześladowały go „proporcje“ z pryskających cyferek, podobniusieńkich jak dwie krople wody do palących ślepków panny Balbiny. Że nocą walecznie potykał się z myślami, dowodem tego liczne nazajutrz sińce po twarzy i bezsennością popodbijane powieki. Ze wschodem słońca poszkodowane naciągając nankiny, następujące zestawił zrównanie:

— Jeśli gorąca u papy interwencja panny Balbiny „ma się“ do dziwnego częstokroć jej postępowania, jak pogardy godne zuchwalstwo Wichrowicza „ma się“ do głębokiej mojej erudycji — ile zedrę par nankinów, zanim pulchniutką rączkę panny nazwę moją?...

Ktoś puka.

Chluba mechaniki, Archimedes, Syrakuzanin, gdy siedząc w kąpieli zasadnicze odkrył prawidło hidrostatyki, wyskoczywszy z wanny zawołał: *Heureka!*

Młodzieży nowoczesnej chluba, Fabjan, Kociubińczyk, nie dał wprawdzie susa z kadzi, poważnie jednak zawołał: *Herein*!

Wchodzi — — zgadnijcie, kto?... Pan rajca? — Nie. Hebes Jacuś? — Nie. Wchodzi... pan Zefiryn, Rajmund Wichrowicz, akcesista.

Przebrzydły świszczypała, wpadłszy w kapeluszu na głowie i potrąciwszy krzesło z miednicą, zatapia uczonego cichostępy — obala kałamarz i zlewa atramentem drogocenne skrypta — przy tej sposobności zaczernia sobie inkaustem nosek jasnego kamaszka i ociera go w czyściutkie Fabcia prześcieradło — oniemiałego matematyka konfidentnie klepie po obojczyku — i huknie:

— Jak się masz, Fabciu.

(Przemawia doń wprost przez „ty“, jak gdyby z sobą zjedli beczkę soli...)

— Kochasiu, pozwól się uściskać.

(I Fabcio pozwolił się uściskać, Wichrowicz bowiem był w stanie znaczniejszą rozwinąć mechaniczną siłę mięśni...)

— Byłeś w Boratyszczach? Odwidziłeś kulasa? Cóż Bisiunia?

(Nazywa ją: Bisiunią!...)

— Zazdroszczę ci, kochasiu, przechadzki. Bardzo piękna okolica. Radbym i ja skoczyć na leśniczówkę — ale ta przeklęta kancelarja!

(Co kogo obchodzi jego kancelarja?...)

— Mój ułameczku, mógłbyś Bisi wielką wyrządzić przysługę.

— Pannie Balbinie?

— Będzie ci wdzięczną. Bardzo wdzięczną. Oto liścik od mojej siostry, Heluni, z pensji, ze Lwowa. Kochają się obie okrutnie. Zaniósłbym go sam, lecz ta kancelarja, ta kancelarja!... Gońże, Fabusiu, z listem na leśniczówkę i doręcz go Bisi — lecz zaraz, zaraz, dziś przed obiadem. Przeklęta kancelarja!...

I nie czekając aprobaty, poklepał Fabcia znów po obojczyku — szczelnie opieczętowany list cisnął na kołdrę — i jak wpadł, tak wyleciał. Rakieta nie człowiek. Postrzeleniec!

Matematyk uniósł list do oczu, odczytał: „Kochanej mojej Bisi w Boratyszczach“ — i pomyślał sobie: Właściwie człek nie na to stworzony, iżby cudze naszał listy; oni czynią to nie jako ludzie, lecz jako listonosze... Marki pocztowej ni śladu; wszelako bilet mógł być przesłany we wnętrzu innego pisania, od siostry do brata. Gdyby stało na kuwercie: „Do lubych rączek Imci panny Balbiny Chrapiellanki Dobrodziejki“, gdyby liścik różowym, pachniącym uderzał welinem — byłaby to rzecz iście podejrzana... Wprawdzie dolny brzuszek wielkiego *B* w wyrazie *Bisi* i *Boratyszczach* nie damski i nie pensjonarski zdradza charakter, — któż jednak skonstatować zdoła, ażali właśnie panna Helunia męskiego nie jest charakteru?...

Zresztą panna Balbina będzie wdzięczną...

Co więcej, przeklęty Zefiryn klepie po obojczyku — a klepie „niech go nie znam!“...

Ha no, chyba list doręczyć wypada.

§. 7.

Był w Boratyszczach — i zapieczętowany wręczył bilecik.

I panna Bisia podziękowała mu czułem, powłoczystem spojrzeniem i grzecznym nazwała go kawalerem.

I długo, długo prawiła mu o Heluni na pensji, we Lwowie — o Heluni, serdecznej przyjaciółce, kreślącej wielkie *B* z wypukłym brzuszkiem.

I po drodze z powrotem, koło mostka nad potokiem, dopędził go hebes Jacuś i wsunął mu w rękę troskliwie opieczętowaną odpowiedź Bisi do Heluni — na ręce Wichrowicza.

Zaniósł list poczciwy Mentor — dlaczegoż nie miałby odnieść i odpowiedzi?

Nieprawdaż?...

§. 8.

Skoro świt, do znużonego, ciężkim snem zdjętego wędrowca zakołatał z piekielnym hałasem Zefiryn Rajmund. Wpadł, rozmachem łokcia zdruzgotał kawalerskie zwierciadełko w orzechowych ramkach, zauważywszy zaś, że ramki srodze nadtoczyły czerwie, cisnął je najobojętniej

za okno, strącając z futryny na ulicę szklany słój z oryginalnym Zaskrońcem (*Tropidonotus natrix, L.*) w spirytusie. Skwapliwie wyrwawszy z pod pościeli odpowiedź Bisi. który to papierek koniuszkiem wyzierał z pod poduszki, znów uciął *tryllera* z lwowskiej operetki, pożyczył sobie czystej chustki do nosa leżącej na komódce, spotrzebował rozrzutnie całą prawie paczkę szwedzkich zapałek, zanim zatlił półłokciowe, o żrącym dymie *virginia* — i wypadł jak z procy.

— Ułomeczku, *adju!*

(I nie palnąć-że kanalję w łeb, bodaj trójkątem?!)

Jedenaście już razy wędrował Fabcio do Boratyszcz, jedenaście razy nosił liściki Heluni do Bisi i jedenaście razy wracał z responsami Bisi do Heluni — na ręce Wichrowicza. Przez przeciąg jedenastu tych dni panna ani słówka nie wspomniała o niecnym gagatku. Dwunastego dnia z rzędu stanął Fabcio na leśniczówce, bez bileciku od Heluni... Z jakiego powodu, zaraz się dowiemy.

Jeśli nietuzinkowy, poważny i pracowity młody człowiek, pełen wybitnych zdolności, nadto zaś niezgorszy matematyk rozschwytany bywa po korrepetycjach, nikt onego popytu nie policzy do okrzyczanych siedmiu mirakulów świata. Fabcio szczycił się sympatją każdej szanownej

głowy rodziny i każdej czcigodnej gospodyni domu w całych Kociubińcach, że zaś cioteczna jego Jmć pani z Bąków Trzmielczyna, szerokie liczyła koło znajomości, to też dzięki wymownej jej protekcji zaproszono Fabcia w dom pani komisarzowej Dziądzilińskiej w charakterze preceptora trzech wielce obiecujących wyrostków, ofiarując mu za mentorskie trudy objad „z trzech“ i wieczerzę „na ciepło“.

Acz *Pepo* lizał wciąż brodę, *Nepo* gryzł zapamiętale paznogcie, *Fipo* zaś z predylekcją dłubał w nozdrzach, panicze niezbyt opornie pojmowali rudymenty czterech głównych działań arytmetycznych i *ein-mal-eins* recytować poczynali wcale znośnie.

W zacnem tedy kółku rodzinnem pani Dziądzilińskiej siedział właśnie nasz uczony przy lekcji, zatykając usta *Pepowi*, trzepiąc po palcach *Nepa* i zwężając nozdrza *Fipowi*, wszystkich zaś trzech równocześnie egzaminując z tabelki mnożenia „na wyrywki“, — aliści...

Ha! — Co za wszechmądre, wszechwładnego losu zrządzenie! Fabciu, czy słyszysz? cłyszysz, Fabciu? Hej, przystawisz ty stołka nędznemu Zefirynowi, Rajmundowi Wichrowiczowi —

i stłuczone pomścisz orzechowe zwierciadło —

i strącony słój z oryginalnym zaskrońcem w spirytusie —

i zinkaustowane czyściutkie twoje prześcieradło —

i nadane ohydnie imionisko ułomka —

i bezczelne mizdrzenie się do panny Balbiny.

Drżyj niegodziwy Wichrowiczu, godzina obrachunku wybiła!

Siedząc bowiem, jak wyżej powiedziano, przy lekcji z *Pepem*, *Nepem* i *Fipem*, usłyszał w bocznym pokoiku radosny wykrzyk pani komisarzowej, witającej Zefiryna Rajmunda przybyłego w towarzystwie młodej jakiejś damy o cienkim stanie i głosiku. Niebawem za przywartemi drzwiami rozwinęła się żywa, acz przytłumiona konwersacja. Atoli szczypta tego, co nasz Mentor wśród ujadania szpica Fidelka i wrzaskliwego recytowania trzech młodych komisarzewiczów uchem ułowić zdołał, szczypta tego, co nasz mentor przez niedomkniętą szparę okiem pochwycił, wszystko to już wystarczało nad potrzebę, by zedrzeć maskę obłudnikowi i raz przecie napiętnować przewrotnego zdrajcę...

Wichrowicz nieznajomą, młodą damę otwarcie tytułował „jedynym swoim kocurkiem“ —

Wichrowicz nic sobie nie robiąc z obecności pani komisarzowej i szpica Fidelka, co trzy minuty sekund piętnaście z przeraźliwym mlaskaniem cmoktał młodą damę w usta —

Wichrowicz, na klapsy młodej damy żadnej nie zwracając uwagi, zachowywał się wobec niej z wyuzdaniem niepowściągnionego cynika — i co więcej, pannę Balbinę wziąwszy z nią społem na języki, uczynili ją wyłącznym przedmiotem wesołych jakichś, niedosłyszalnych docinków.

Tak to, panie akcesisto?... Obaczymy!

§. 9.

— Kochany, drogi panie Fabjanie! — (zawołała rozpromieniona panna Bisia, bieżąc na przeciw przybysza aż do fatalnego onego płota przed leśniczówką). Prędzej!.. Prędzej!.. Nie nudź pan, proszę.

— Czem mogę służyć pannie Balbinie dobrodzice?

— Jakto czem? A list od Heluni? — Pan milczysz?... Rany boskie — — może stało mu się co złego?... Mówże pan!

Mu?... Co za *mu?*... Nie: *jej?*... Nie: *Heluni*? Miejże rozum, Fabciu, *mu*: to listowi).

— A więc chory — śmiertelnie chory!... (zbladła jak chusta).

Kto? List?... Widoczny skutek kanikuły. Albo Fabcio dostał bzika — albo Bisia cierpi na kongiestje.

Ha!... A gdyby to: *mu*, znaczyć miało: *Zefi*...

Oh... Bombą nie czerwone one zawiniątko z salcesonem!... Bomba dynamitu i nitroglicyryny pełna — to pierś Fabcia, wzdęta pierś jak

moździerz po sam wylot ostro nabita, w której głąb żarząca się padła iskra. Nabój rozsadzi ją, jeśli żaru tego nie wyzionie.

I wyzionął go Fabcio.

— Panno Balbino — —

§. 10.

Dosłowne podanie caluteńkiej perory byłoby dopuszczeniem się kardynalnego błędu pisarskiego i zbyteczną torturą dla Czytelników, którzy po raz wtóry słyszeć tego nie potrzebują, co już przez szparę i słyszeli i widzieli wraz z Fabciem. Dość, że wrażenie wybuchu bomby dałoby się chyba porównać z paniką, wywołaną przez znaną eksplozję we francuskim parlamencie.

Bisia, jak narcyz z grządki panieńskiego wirydarza uszczknięty, klapła w trawę i siadła sztywna, bez ruchu.

Fabcio, napawając się wywołanym przez się efektem, pochylony nad panną, tak kończył:

„Owóż widzi panna Balbina! Gładysz nikczemny, maltretując porządnych ludzi w panny Balbiny przytomności, śmiał panny Balbiny rączki ośliniać obleśnie; co jednak nie wiadomo pannie Balto, że nowiutkie zinkaustował mi prześcieradło i kapitalne zgruchotał mi lusterko — i z okna strącił mi słój z oryginalnym, świetnie zakonserwowanym zaskrońcem — i że dziś mmizga się cynicznie do innych białogłów, jak wczora

umizgał się do panny Balbiny — i że z niemi natrząsa się z panny Balbiny, jak z panną Balbiną naigrywał się ze mnie. O, panno Balbino, panno Balbino!... Maż ten furfant wiecznie mącić spokój panny Balbiny — i cudzą poniewierać pościel —i cudzy rujnować dobytek — i gnębić porządnych ludzi, którzy panny Balbiny najwierniejszymi pragną być — — (tu urwał i dodał po chwili) — listonoszami...

A panna Bisia?

Panna Bisia, wciąż niema i blada, siedzącą pozyturę zmieniła nagle w leżącą — i przymknąwszy powieki, legła nieruchomo wśród niemniej bladych narcyzów.

Ponieważ nasz uczony (nie obyty z tego rodzaju sytuacjami) nie miał pod ręką ani kolońskiej wódki, ani octu, ani wody, ani żadnej rzeczy która cyrulika jest — ponieważ zresztą spostrzegł ociężałą Teklę drepcącą z nożem kuchennym w zębach i szamocącą się oburącz z zrozpaczoną kwoką — uczony nasz tedy, zrobiwszy pół obrotu ku lewej, kłusem puścił się do miasteczka.

„Murzyn uczynił swoje — murzyn może odejść!!“

§. 11.

Fabcio, dopadłszy stolika w swojej izdebce, siadł, zamyślił się na chwilę i tak kombinował:

Dwu ich było, Wichrowicz i on. Wichrowicz pobity z kretesem. Zasada pospolitego odejmowania uczy: *jeden* od *dwu* — zostaje *jeden*. Tym *jednym*... on.

Porwał papier i pióro; pióro zamaczał w kałamarzu i napisał:

„Droga Cioteczko Dobrodziko!

Niepokój rośnie w mojem łonie w kwadratowym stosunku do rozrastania się wyrazów, które w tej chwili pióro moje sączy. Niech się Cioteczka Dobrodzika nie lęka; tym razem nie rozchodzi się o nabycie nowych sztyfletów u pana Dratewki, ani nawet o podzelowanie starych. Przystępuję *ad rem:*

1. Ciociu Dobrodziko, kocham się. Ale w kim?

2. Kocham się szalenie w pannie Balbinie Chrapielance. Ale od jak dawna?

3. Od siedmiu miesięcy, Cioteczko Dobrodziko, od fatalnego momentu, kiedy to hebesowi Jacusiowi podyktowałem, że $3 \times 3 = 7$; (panna Balbina przebiegała właśnie przez pokój).

4. Ciociu Dobrodziko, tracę głowę — a głowa to przecie matematyka, nie do pozłoty!

5. Czy prawda, że na realności pana rajcy zaintabulował się Chaskiel z sumą 1750 złr. a. w. z $^0/_0{}^0/_0$-mi?

6. Dlatego proszę Ciotunię Dobrodzikę pouczyć mię karteczką przez Pawełka (oddawcę

niniejszego), co uczynić — jak uczynić — i kiedy co w tej mierze uczynić należy?

Do śmierci przywiązany *F.*
Wielmożnej Imć Pani z Bąków Trzemiełczynej
w miejscu".

List za pośrednictwem Pawełka wysłany. Siedzi — i czeka. Czeka — i duma, Duma — i drzemie. Drzemie — i śni.

I zda mu się, że w mglistych ramach szarych obłoków zjawia się przed nim olbrzymia, czarno lakierowana, gąbką z kredy do czysta wytarta, błyszcząca tablica... Czarne tło zwolna zaludniać się jęło szeregiem wiotkich postaci...

Nasamprzód wyłonił się z ciemności pan rajca Chrapiełło; tykwa oblicza lśniła mu najpyszniejszym granatem... Frak niósł wedle kanikuły na opaszki; frak to był o długich połach, także granatowy; poniżej granatowej, przykrótkiej kamizoli, granatowe wązkie wspinały się pantalony; od batystowego półkoszulka z „fatermerderami" granatowy odbijał halsztuk: w granatowych zaś rękawiczkach granatową unosił, potężną sakwę. Dodać wypada, że u granatowego fraka unosił się granatowy bukiet z granatowemi wstęgami, że buty „na glanc" wysmarowane były słoniną — i że na granatowej sakwie, różową pelą wyhaftowana błyszczała cyfra: *10.000*.

Zanim hebes nadbiegł Jacuś, skubiący niebotyczną równiankę, do której był przywiązany.

Hebes Jacuś mignął w powietrzu urwanym mentorowi guzikiem i rozłożywszy się na tablicy, oddał się z lubością zajmującej grze *w cepaka*.

Lecz i on rozwiał się zwolna w mgle; miejsce zaś jego zajęli ubukietowani trzej komisarzowicze. *Pepo* nie lizał brody, *Nepo* nie ogryzał paznogci, *Fipo* nie dłubał w nozdrzach, wszyscy, zaś trzej cudownie recytowali całe *ein-mal-eins* bez najdrobniejszej usterki...

Za nimi w kwiatach i w wydętych krenolinami atłasach nadpłynęły: pani komisarzowa Dziądzilińska z ujadającym Fidelkiem i Ciotunia Dobrodzika z odpowiedzią listowną w opierścionkowanych paluszkach. Uśmiechając się czule, odlepiła kopertę i dobyła z niej dziesięć nowych pokaźnego obszaru karteczek. Zaledwie potrząsła niemi znacząco w powietrzu, milczkiem nadsunął żółty jak wosk, wychudły jak szczapa Wichrowicz, w arabską skulony *3-kę*; z ramion widma, ni to całun grobowy, zwieszało się atramentem zbryzgane prześcieradło...

I zagrzmiał w przestworach donośny bas pana Patelni, kociubinieckiego organisty, intonując naprzemian to zamaszystą kołomyjkę, to uroczyste *Veni-Creator*... Zadzwoniły dzwony — huknęły moździerze — i...

...I na tablicy ukazał się strojny pan Fabjan ze strojną panną Balbiną u prawego ramienia. Panna Bisia wlokła za sobą okrutny, śnieżny,

tybetowy szlep; ze skroni, mirtowym okolonej wiankiem, spływał koronkowy welon, stopki zaś (ciekawe owe stopeczki) ściskały białe, atłasowe pantofelki na dwucalowych korkach...

Dokoła młodej pary radośnie pląsały w powietrzu różno-barwne i różno-kształtne „sumy“, „różnice“, „iloczyny“ i „ilorazy“, grupując się w jeden niedościgniony okiem szereg, tworzący w bengalskiem oświetleniu *ludolfowskie* $\pi = 3{,}1415926535\ldots$ *in dulce infinitum.*

Borba, kalikant przy miejskiej farze, zadął w miechy — policjant magistracki uderzył w wielki bęben... i...

...I pan Fabian, przetarłszy powieki, zoczył przez szybę pastucha pędzącego bydło z pola i w popsowaną pocztową dmącego trąbkę, zoczył oraz za parkanem sąsiada, bednarza, nabijającego na beczce obręcze.

U progu stał Pawełek z odpowiedzią Cioci i — z parą sztyfletów w ręku.

§. 12.

„Kochany Fabciu, mój siostrzeńcze!

Bałwan z ciebie, kochańciu. Oddawna nosiłam się z myślą ożenienia cię z jaką poczciwą a ciepłą panienką. Idjotyzm twój zniechęcił przywiązaną ciotkę. Zaniechałam projektu — i dobrze zrobiłam; dowodem list twój dzisiejszy. Nasam-

przód, zakochany młodzieniec za moich czasów adresował się wprost do panny, nie zaś do własnej starej ciotki; a potem rady u mnie mogłeś zasiągnąć ustnie, nie pisemnie. Że zaś pisemnego domagasz się responsu, oto go masz:

1. Kochaj się, skoro masz ochotę. Ja niedołęgi protegować nie myślę.

2. Bisię wybij sobie z głowy, gdyż po słowie jest z Wichrowiczem.

3. Widocznie liczyło twoje safandulstwo na to, że oświadczę się za ciebie u Bisi, potem u rajcy, nareszcie że dam za ciebie na zapowiedzi i za ciebie nakoniec się ożenię.

4. Posyłam ci nową, stanowczo ostatnią parę bucików — i daj mi czysty spokój.

Twoja kochająca cię ciotka

Z Bąków Trzmielczyna“,

. . . . . .

Oberwałeś „bałwana“ i „safandułę“ — i dobrze ci tak Fabciu... wszak (do krocset tysięcy decymałków!) powiadają żeś mężczyzna, winieneś tedy z męską działać energią!... To, co Ciotunia Dobrodzika nazywa: „po słowie z Wichrowiczem“ bajką jest, prześwietny sądzie!... Wichrowicz zdruzgotany, powalony w pył, uniemożliwiony!... Że zaś Fabcio „safandułą“ i „niedołęgą“ nadal nie pozostanie, zaraz wam tego dowiedzie, gdyż „ciche wody brzegi rwą“...

Dalej, Fabciu! Spiesz do Boratyszcz — tym razem bez kunktatorstwa. Sam, we własnej osobie, oświadczysz się pannie i papie.

Fabcio, nad wyraz wzruszony, do stanowczego tego kroku przystępuje z powagą i namaszczeniem.

„Żegnam cię, stryszku mój zaciszny“ (deklamuje, odświętny zaciągnąwszy tużurek i gumielastyką wycierając rękawiczki) — żegnam cię cichy świadku kontemplacyjnego, skupionego w sobie, anochoretycznego, kawalerskiego, mojego żywota... Maluczko, a przestąpię twoje progi po raz ostatni, by zająć wiadome trzy pokoiki na piąterku od frontu w realności Bisi. Zaskrończe oryginalny w nowo-sprawionym słoju, w spirytusie o 23° *Tralles'a*, bywaj mi zdrów! Bisia nie ścierpi cię na damskiej swojej gotowalni; zresztą ona sama zastąpić cię pragnie. Zwięzły *Krawczykiewiczu* — ubóstwiany *Żmurko* — przebaczcie mi chwilowe zaniedbanie! Jak syn marnotrawny, pełen skróchy, nawrócę się do was rychło; — klnę się na świętość gorżkich słodyczy Hymenu. Zawsze w was czerpać będę otuchę i siłę w walce z przeciwnościami nieznanego jutra“...

W zachwycie chwyta drogie kompaturki i przyciska je do ust. Z wnętrza książki wysuwa się cienki liścik i zatrzepotawszy jak motylek, pada u stóp entuzjasty.

Podnosi go. Ah, ostatni to niedoręczony jeszcze bilecik Bisi do Heluni na ręce Wichro-

wicza. Albo panna pieczętowała go w pospiechu, albo lakowa powłoka skruszyła się w skutek uderzenia o podłogę, dość, że koperta niedyskretnie rozdziawiła paszczę. Fabcio, który za chwilę oświadczy się pannie, który jedynego, niebezpiecznego usunął już współzawodnika, który tedy uważać się już może za narzeczonego panny Balbiny, prawie za małżonka panny Balbiny — Fabcio ma prawo czytywać jej listy, ma nawet pewien obowiązek.

Czyta więc.

„Zefirku mój, najdroższy *Fifi!*

Kiedyż Cię obaczę? Tęsknię — a jednak pilnuj kancelarji, bo od Twojego awansu wszystko zależy. Bez dekretu nie pokazuj mi się na oczy. Fabcio pośredniczy skrupulatnie. Poczciwe chłopczysko za wiele się uczy — ztąd codzień głupszy. Tysiąc całusów — Twoja — do zgonu

Bibi.

. . . . . .

Wchodzi Pawełek i podaje jeszcze jeden list.

„Panie!

Do tego czasu uważałam Go za uczynnego i pewnych, poważnych zasad nie pozbawionego przyjaciela naszego domu. Atoli bolesny a zuchwały żart, jakiego dopuścić się ośmieliłeś, przekonał mnie, że obok dziwnie zacofanych pojęć, wprost złośliwe masz serce. Nad umysło-

wem pana kalectwem ubolewam; skutków moralnego kalectwa nie przebaczę nigdy. Papa prosi pana stanowczo, ażebyś zaniechał dalszych korrepetycyj, tak obecnie w Boratyszczach na leśniczówce, jak też później w Kociubińcach.

Balbina Chrapielanka.

Post scriptum Nr. 1.

Siostra moja, Hela, przybywszy ze Lwowa z niespodziewaną wieścią o moim awansie, stała się przedmiotem niecnych pańskich potwarzy, które ostatecznie w jej brata ugodzić miały Mimo wyjaśnienia całej sprawy, nakręciłbym panu długich uszu, gdyby nie usilne prośby zdeklarowanej mojej narzeczonej, panny Balbiny i nie znakomity mój humor z racji nowego dekretu. Danego pannie solennego przyrzeczenia dotrzymać pragnę; we własnym jednak interesie schodź mi pan z drogi, gdyż na jego widok łacno złamać mógłbym słowo, panu zaś kark.

Wichrowicz.“

Post scriptum, Nr. 2.

Loco sigili czerni się olbrzymi, rozbryzgany „żyd“, z którego wyłania się pięć koszlawych liter: *A KUKU!!!!*

To ręka hebesa Jacusia.

XV.

Co mu opowiedział sztyleciк do rozcinania kartek.

„Szanowny Panie!

„Punktualność jest grzecznością królów“. Aforyzm ten lubicie pp. lireraci zastosowywać przy lada okazji, aż do znudzenia. Czy nie należałoby zastosować go przedewszystkiem — do *siebie?*...

„Trzeci miesiąc upływa, jak na usilne pańskie żądanie — etc., etc.

„W oczekiwaniu zapowiedzianej tak stanowczo noweli o psychicznym podkładzie, odmówiliśmy propozycji pańskiego kolegi, pana Pisklątka, który — etc., etc.

„Gdy tylokrotne a delikatne nasze aluzje — etc., etc. — pozwalamy sobie przypomnieć się pisemnie etc., etc. — z nadmienieniem, iż gdyby do niedzieli przed dziewiątą zrana — etc. etc. — bylibyśmy z ubolewaniem zniewoleni — etc., etc.

„Przy tej sposobności racz pan przyjąć — etc., etc.“

List ten pana redektora *en chef* (z niejakiemi skróceniami) wiernie reprodukowany, niech będzie dowodem, w jakich nasz *ktoś* był opałach.

List ten — to obelga. Kolegą *ktosia* anemiczne jakieś pisklątko?! Kolegą *ktosia*, który chyba z orłami puszczać się zwykł w zawody?! Kolegą jego, literackie one chuchro, najlichszego pokroju kompilator, co krok chwytany na plagiacie?! Pisklątko — a on — on, autor pięciu oryginalnych tragedyj, trzynastozgłoskowym rymowanym wierszem; on, autor siedmnastu oryginalnych dramatów, dwudziestu i pięciu oryginalnych komedyj i półtorej kopy oryginalnych nowel i humoresek?!

List ten — to płód brutalnej niewyrozumiałości. Honorarjum uiszczono z góry; ani słowa. Nikt nie przeczy. Cóż w tem jednak osobliwego? Pan redaktor bezmyślnie skrobnąć potrzebuje piórem: „Administracja" wypłaci panu X. tyle a tyle" — i basta. Ale stworzyć coś, by to coś przelać na papier i tem czemś (o psychicznym podkładzie) zaimponować takim... pisklątkom, to procedura mniej już gładka; na domiar, jeśli tem czemś ma być nowella o fizjologiczno-psychologicznem pogłębieniu. A gdzie pomysł? A gdzie wykonanie? A gdzie pogłębienie, ha?...

Tak, list ten to kramarskie barbarzyństwo w obec człowieka talentu.

A doręczono mu go w sobotę, wieczorem.

W sobotę, wieczorem!...

A w sobotę, w południe, śniadanko w powszechnie znanym handelku Musiałowicza & Janika

było przepyszne, międzynarodowe. Stuletnia starky litewska, astrachański kawior z sycylijską catrynką, porter angielski pstrąg marynowany z Delatyna, węgierski maślacz, benedyktyn francuski i arabska mokka. Fetował sympatyczny Zyzio; a więc i sympatycznego Zyzia fetowano. Resztki „schwyconego“ honorarjum za „nieuchwytną“ nowellę o psychicznym podkładzie pochłonął Janik & Musiałowicz...

Gdy po nadludzkiem „dławieniu węża“ t. j. po mozołach pogodzenia tak różnonarodowych tendencyj, spoczął nareszcie w swoim gabineciku, w głęboki zapadł sen. I śniło mu się — —*) Alboż on pamięta?

Dość, że poduiósłszy się z piekielnym bolem głowy, na ścienuym kalendarzyku odczytał straszliwe, baltazarowe *Mane-Tekel Ufarsin*. Ścienny kalendarzyk przekonał go po długich poszukiwaniach. że to była sobota. Ósmą z wieczora wydzwonił szyderczo zegar na kominie ratusza (nie na kominie, na wieży).

I zawisnął nad *ktosia* skronią groźny miecz damoklesowy — i nasunęła mu się na oczy gruba księga sznurowa na pulpicie pana administratora. Księga sznurowa dostarczyłaby statystykowi nader ciekawego materjału.

*) Słabą stronę niniejszego cyklu obrazków stanowi częste powoływanie się na sny. Chwała tedy Panu na Wysokościach, że ów „k t o ś“ snu swego nie pamięta. (Przyp. zecera).

Głowa pęka.

A Muszka? Jak nie dotrzymać jej słowa i nie odnieść dziś jeszcze po przedstawieniu gotowych już, wypieszczonych jambów, stanowczo mniej kulawych od jej barona. Jamby na honor udatne; od słowiczych dźwięków roztajałaby lodowa powłoka oziębłego jej serduszka. Oh, ten kulawy baron!...

Ba, rękopis musi być odesłany. Musi!

„Pozwalamy sobie przypomnieć się pisemnie — etc., etc. — z nadmienieniem, iż gdyby do niedzieli przed dziewiątą z rana — etc., etc. — bylibyśmy zniewoleni — —“

Co za udręczenie!... Co za wstręt do zamaczania pióra w atramencie!...

Chory jest — no, chory. Białka oczne wyłażą z gwałtownie pulsującego czoła; nogi ołowiane; ręce drżą; żołądek kurczy się złowieszczo; w gardle zgrzebłem drapie — i pisz tu nowellę o psychicznem pogłębieniu!

Skacze po gabineciku, ni to głodny tygrys, miotający się po żelaznej klatce menażerji, gdy zbliża się godzina żeru.

Pomysłu! Idei! Na Boga, zawiązku!

Wznosi źrenice ku powale, pełza wzrokiem po podłodze, zagłębia go porządkiem w czteru ciemnych kątach izdebki. Żadnego natchnienia ni krzty pomysłu, nic... nic... głucho... pusto... Sahara.

. . . . . .

Na komódce, obojętnie, zimno, nieruchomo leży sobie sztylecik do rozcinania kartek; sztylecik długi, cienki, ostry jak szpilka; misternie cyzelowany sztylecik; upominek kulawego barona, ofiarowany czarującej Muszce; upominek czarującej Muszki, ofiarowany *ktosiowi*. Leży sobie spokojnie na mierzwie literackiego rupiecia, na brogu starych gazet, zużytych druków, nieczytelnych notatek, przedawnionych rachunków, popstrzonych przez muchy szkicowanych strofek i niezałatwionych listów.

Głowa pęka.

Porywa za rękojeść. Gardziel chyba sobie poderżnąć lub japońską modą popełnić na sobie samobójcze „harikari“. Ale to nie stworzy nowelli o psychicznym podkładzie.

W porywie rozjątrzenia — bnch! — ugadza w papierową stertę.

Ostrze zaryło się głęboko; pionowo, w bezkrwawej ranie utkwiło mordercze narzędzie. Z pewnym rodzajem zadowolenia wpatrzył się w zwiniętego, niemego trupa. Folgę dał wzburzonej pasji, a (co najważniejsza) nie potrzebuje lękać się mściwego ramienia prokuratora.

Wpatrzył się z lubością w niemego trupa i — rozjaśniło mu się w duszy.

Na każdej przekłutej karcie ostra stal przeszyła jakiś wyraz. W swoim przelocie nadziała cały szereg słówek.

A gdyby puścić się na literacką loteryjkę — po kolei spisać rzędem przebite wyrazy — a potem, potem starać się rozwiązać łamigłówkę?

Szalona myśl lepsza od żadnej. A więc — do roboty!

. . . . . .

Na samym czubie onego stogu szpargałów, pierwszy padł ofiarą wstępny artykuł politycznego jakiegoś dziennika z przed lat sześciu.

Ostrze ugodziło w słówko: *ona*.

Początek wielce obiecujący. Wprawdzie słówko: *ona* (jak to skonstatował na prędce) odnosiło się do podmiotu z poprzedniego zdania, a podmiotem tym była: *Kochinchina*, wszelako słówko: *ona* jest mu deską zbawienia.

Ona — to heroina. Niewiadomo jeszcze, żali „*ona*“ znaczy: panna czy wdowa (mężatki, jako nowell heroiny nieznośnie przejadły się już z łaski francuskich pp. romansistów) —; zachodzi również wątpliwość, żali „onej“ popielate-blond lub też krucze przypiąć warkocze (że przypinane, zaręczyć mozna z góry!) — niemniej trudno na podorędziu powziąć decyzję, żali „onę“ sielankowym z lepszych czasów, lub też postępowym, emancypacyjnym natchnąć duchem; zawsze jednak schwytał już swoją „onę“ t. j. heroinę, a to ułatwia genezę tworzenia.

Drugą warstwę papierowej sterty stanowiły szczątki spłaconego ongi szczęśliwie (przezornie

przedartego) wekslu na rzecz obywatela Gedajle Krokodillvogel. Ostrze rozkroiło na dwoje cyfrę 150. Liczba skromna; atoli uzupełniwszy ją w fantazji dwoma zerami, otrzyma się pokaźnych 15.000, które naszej heroinie (w ciężkich tych czasach) ogromnego dodadzą uroku. Jeśli to panna, będzie posażną; jeśli wdówka, będzie ciepłą. A więc wdówka! Dlaczego? Panna z posagiem nie byłaby przecie czekała, aż „*ktoś*“ wyda ją za mąż; jeszcze w majteczkach powleczonoby ją od lalek przed ołtarz. Natomiast wdówka oglądać się musi na przepisany ustawą (i względami przyzwoitości), termin pozbycia się żałoby. To przecie jasne.

(Boże... Boże... jak ten łeb cięży!...)

Bohaterka jest tedy wdową, a zatem godziwą heroiną moralnego romansu. Nadto może nawet nie być pierwszej młodości. Skoro rozporządza pewnym kapitalikiem, śmiele oktrojujmy jej cztery krzyżyki z przewyżką. Nic na tem nie straci.

Sujet poczyna już nabierać kształtów konkretnych.

A gdzie heroina — tam i bohater.

Heroina rozporządzająca pewnym kapitalikiem' ma-ż ograniczać się na pielęgnowanie bonończyków lub papużek?... Zużyte „*cherchez la femme*“ zmieńmy tedy oryginalnie na „*cherchez l'homme*“. Gdzie heroina — tam i bohater.

(W pokoju duszno... parno... głowa pęka.)

Następny wyraz, morderczą rozpruty stalą, da ci bohatera.

Nowy kłopot. Na trzecim z rzędu świstku niewiadomego pochodzenia majaczy się zaledwie dostrzegalne, nic nie mówiące: *i*, króciutkie *i*, wzdłuż pionowej laseczki przecięte jak brzytwą. „*I*“ — to wszystko lub nic; łącznik wręcz obojętny lub rozstrzygający stanowczo. Powiedz np. „młody“ *i* „przystojny“, a powiesz banalnie coś powszedniego; natomiast rzekłszy: „stary“ *i*... „mniej mądry“, użyjesz dopowiedzenia nie tyle uprzejmego, ile nie rozmijającego się z prawdą. „Mądrych“ bohaterów romansu nie wiele; ci zaś, których pp. nowelliści sztucznie wyłowić potrafili, nie mieli jakoś szczęścia. Po śniadanku u Musiałowicza pragniesz wszystkich widzieć szczęśliwymi; *ergo* bohater może być starym, nie będzie jednak celował nadmiarem inteligencji. Co więcej, zrobiwszy go „młodym“ i „rozsądnym“, w tym specjalnym wypadku skwitowałbyś od jednego zamachu z życiowej prawdy. Młodzian bowiem, syn XIX. stulecia który w niewieścim kantorku zwęszywszy 15.000, z nazgajowatą indolencją czeka sobie spokojnie, aż go nowellista z właścicielką kapitaliku zapozna, — młodzian tego pokroju na miano „rozsądnego“ zasługiwać nie może; młodzian ów popsułby po prostu prawidłowy zawiązek powieści.

Bohater tedy będzie „starym“ *i*... „głupim“. Tak każe nieubłagana, acz nieco poplątana loika pośniadankowej konsekwencji. A jużci „głupim“ być musi, skoro uwierzył, że dama z kapitalikiem, wdówka, dawno już pełnoletnia, okrążona tłumem ochoczych Fikalskich, rączkę mu odda z gorącego przywiązania a nie z jakichś tam jedynie sobie znanych powodów.

A może mu nie zależy na gorącem przywiązaniu?...

Następnem ogniwem w ściśle powiązanym łańcuchu myśli — jest: nasz bohater musi być... bankrutem. Gdyby se swobodnym umysłem Naboba odcinał sobie kuponiki, nie gnębion natręctwem pp. Krokodillvoglów i innych tego sortymentu ptasząt — nie tyle wertowałby tabulę, ile metrykę heroiny; skoroby tedy figlarz-djablik „w starym piecu zapalił“, łysy niebankrut bezprzecznie posunąłby do pierwszego lepszego pulchnego podlotka, a nie łakomiłby się na przekwitłe wdzięki heroiny i mizerne jej 15.000.

Rezultat:

Bohater liczy sobie conajmniej wiosen 55, nie grzeszy zbytkiem rozumu i wolen jest od wysilających kombinacyj, kędy i na jaki procent ulokować ma zapasową swoją gotóweczkę.

Tak każe nieubłagana, acz nieco poplątana

konsekwencja loiki czyli loika konsekwencji.

(Uf!...)

. . . . . .

Heroinę masz, masz i bohatera. Teraz kwestja. co z nimi począć.

Ratuj, sztyleciku!

Oto zmięty skrawek zatłuszczonego papieru, rachunek poczciwej Małgorzaty. praczki. Elaborat to mozolny, autograf straszliwie niekali-i nieortograficzny, rachunek zresztą od dawiendawna jeszcze nie wyrównany. Poczciwa, cicha, potulna, cierpliwa Małgorzatko! Reklamę przyjm jako zadatek szczególnego szacunku; na resztę — poczekasz.

Puginał wystrzępił wyraz „*pszut*“. Był to ów *przód* półkoszulka, na piknik literacki w ubiegłym karnawale tak kunsztownie przez Małgorzatkę nakrochmalony, iż pod calowym pokładem bielidła znikły kompromitujące ślady (wszystko gryzącego) zęba czasu.

Ten *pszut*, w skutek assocjacji myśli, nie wywołuje-ż na mglistem tle wyobraźni postaci młodego mężczyzny (przypuśćmy adepta jurisprudencji) o wulkanicznem spojrzeniu, polifemowych barkach, absalonowych kędziorach, a nieco zbyt krochmalnym, *ergo* nieco defektownym półkoszulku?

Evoë!... Pochwyć go w lot, adepta tego jurisprudencji, jako trzecią działającą osobę. (Ztąd

wypływa naocznie, że bądź co bądź bez *młodego* nie napiszesz romansu).

Młodzian ten nie będzie fałszowanym surogatem w rodzaju licznych surogatów XIX. stulecia. Będzie on synem swojego wieku, tj. acz „młodym“ lecz nad podziw „rozsądnym“ adeptem jurisprudencji, gotowym za zimny kruszec gorące ofiarować serce, nie oglądając się na metrykę heroiny. Zwykła wymiana artykułów handlowych.

Evoë!... Brnijmy dalej. Osoby działające masz — przystąpmy teraz do *akcji*.

. . . . . .

Bankrut-inwalid, zręcznie odmłodzony kosmetykami i pachnidłami woniejący, przy falujących dźwiękach melodyjnego *valse brillante*, sentymentalnie oświadcza się o owe 15.000.

Wtem zjawia się sztywnie wykrochmalony adept jurisprudencji, prawdziwy *pchutt!* i równocześnie, wśród wulkanicznych spojrzeń, tem gwałtowniejszy przypuszcza szturm do słabo bronionej twierdzy wdowiego serca.

Zaciekłego tego starcia się afektów, pragnień i interesów, słowem dramatycznej onej kolizji wynik byłby niewątpliwy, tj. wdowa bez namysłu oddałaby swój kapitalik młodemu adeptowi jurisprudencji o polifemowych barkach i nakrochmalonym półkoszulku, w skutek czego skończyłaby się cała historja zbyt dorywczo i niesenzacyjnie — gdyby dobroczynny puginalik

nie był następnie ugodził w nieczytelną prawie zgłoską „*art*“...

„*Art*“ — to Artagnan, artyzm, artylerja, artykuł.

Tak. Artykuł testamentu. Nieboszczyk, kaustyczny ś. p. pan małżonek (widocznie czerpiąc z krynicy doświadczenia, nabytego w ciągu kilkunastoletniego małżeńskiego pożycia) zastrzegł sobie z zachowaniem wszelkich wymogów prawa, iż jejmości (pod zagrożeniem utraty $^2/_3$ części spadku) nie wolno po raz wtóry połączyć się nierozerwalnym węzłem hymenu jak jeno z osobnikiem statecznego wieku, powyżej poważnej pięćdziesiątki, ze stanowczem wykluczeniem wszelkich młodszych wyznawców przebiegłej jurisprudencji. Dlaczego? Mój Boże, dlaczego?... Bo mu się tak podobało. Przypuśćmy, że (za życia) młodszych onych adeptów miał już wyżej uszu...

Na podstawie zastrzeżeń artykułu testamentu młody konkurent-jurysta zniewolony byłby do cierpliwego przetęsknienia trzydziestu i trzech ponurych jesieni, zanim rozmiałaby mu się urocza wiochna, illustrowana wdowim kapitalikiem; co znów pociągnęłoby za sobą żałobną onę fatalność, że przedmiot uporczywej jego tęsknoty, w dniu zaślubin, cieszyłby się zasłużonym jubileuszem przeżytej siedmdziesiątej i ósmej rocznicy wdowiego żywota.

Victoria! Nowe zawikłanie. Inwalid mógłby

się dobić mamony — lecz nie zechce go wdowa; młodego adepta pragnie wdowa — lecz nie zdolen dobić się mamony. Górą artykuł testamentu!

(„*Ktosiowi*“ kleją się powieki. Kiwnął raz i drugi głową, uderzył czołem o krawędź stolika, wstrząsnął sobą, ziewnął — i bada dalej. Czarodziejski sztyleciku, ratuj!)

. . . . . .

„*Jag*“... — „*wazonik*“ — „*kropną*“ — ...*ansu*“

Cztery wyrazy ostrzem puginału z kolei przekłute. Kombinujmy.

„*Jag*-ody cierpiącej srodze heroiny zbladły. I bladą była, jak porcelanowy *wazonik* ze zwiędłą pelargonią na wdowiem jej okienku. Walkę uczuć wiodła o-*kropną*. Myśl jednak pozbycia się $^{2}/_{3}$ kapitału, kosztem nabycia miłego sercu młodziana, trzymała jeszcze od siebie na sążeń dyst-*ansu*.“

Albo:

„*Jag*-usia, heroiny fertyczna subretka niemniej rozkochanemi spojrzeniami oblewająca barczystego młodziana, upuszcza (na tegoż widok na ulicy) filigranowy *wazonik* z pelargonią. Wdowy delikatne paluszki *kropną* Jagusię po świeżej, rumianej twarzyczce, poczem zirytowana chlebodawczyni, gwoli uspokojenia rozdrażnionych nerwów, sięga po ostatni tom rom-*ansu* pana Daudet'a.“

Z dwu tych interpretacji — druga bezsprzecznie lepiej się nadaje.

Heroina przerzuca zrazu bezmyślnie kartki romansu, zwolna jednak zagłębia się w zajmującej lekturze. U pana Daudet'a postanawia zasięgnąć rady na dylematyczne swoje udręczenia.

„*Kob..*“ — „*... ędze*“ — „*umie*“.

„*Kob*-ieta jest stworzenia aniołem. Niezmiennie wierna przysi-*ędze*, jeno poświęcać się *umie*.“

Albo:

„*Kob*-ierzec ślubny jest sobie kobiercem, jak każdy inny kobierzec. Niedoł-*edze* oddaje się rączkę, serce zaś temu, który je zroz-*umie*“.

Ot, i rada. Jak tu nie przychylić się do wtórej tej wersji?

A że, w dalszem następstwie, stal sztylecika przeszyła niezadrukowany jakiś kącik ćwiarteczki — (nie, coś przecie czerni się; to... kropki; wygodny znak pisarski, tajemniczy domyślnik) — domyślamy się przeto, że nasza wdowa również przychyliła się do wtórej onej wersji...

Tu pauza.

. . . . . .

„*Ktoś*“ prztyknął piórem, znów ziewnął, przeciągnął się w krześle jak długi, odwrócił karty rękopisu i obliczył. Na jeden feljeton wystarczy. W następnym opisze szczegółowo, co mu uzupełni puginalik. W niedzielę numer dziennika nie wyjdzie z druku; pozostaje tedy 48. godzin do wykończenia tragicznej historji „o ciepłej wdówce“ i „starym bankrucie.“

„*Ktoś*“, zadowolony jak nigdy, kładzie na czele manuskryptu napis:

„*Co mu opowiedział sztyleczik do rozcinania kartek*“, u spodu zaś arkusza dopisuje sakramentalne: „*Dokończenie nastąpi.*“

Potem — skwapliwie Muzy swojej dzieło powierza grubej kuwercie i zalepia ją za pośrednictwem języka.

Potem — gorączkowo kładzie na niej adres: „Do szanownej redakcji“ itd.

Potem — lekki jak czyżyk wypada na ulicę, nucąc półgłosem wielką arję podług własnego libretta do nieskomponowanej jeszcze opery niewiadomego muzyka:

Odetchnij, piersi, swobodnie....
Ha, zemsty spełniony już czyn!

Potem — list ciska do pocztowej skrzynki.

Potem — potem zdąża jeszcze wczas pod westybul gmachu hr. Skarbka, by zaofiarować szczebiotliwej Muszce dedykowane pannie jamby.

A potem?

Potem — (ach, było to w niedzielę, w samo południe) — woźny redakcyjny uszczęśliwia go kartą wizytową pana redaktora *en chef*.

Pan redaktor *en chef* ołówkiem na bilecie nakreślił bardzo lapidarnie:

„Manuskrypt do zwrotu. Mam zaszczyt podziękować za — *już*, nie prosząc o — *jeszcze*.“

XVI.

Przez jedną dobę miljonerem.

Przewertowawszy szereg moich obrazków, możnaby zrobić mi zarzut, że nieraz na rzeczywistych faktach pozwalam sobie zawieszać fantastyczne, operetkowe kostjumy, podczas gdy na wytwory bujnej fantazji usiłuję zarzucić płachtę realistycznej prawdy. Ztąd tu lub owdzie budzi się może skieptyczne powątpiewanie: a nuż nie wszystko, co za fakt dokonany podaję, istotnie oglądało dziennie blaski galicyjskiego słońca lub nocny kaganek lodomeryjskiego księżyca?... Ha no, to też cokolwiek autorskim, wybujałym zda się Wam być wymysłem, raczcie przyjąć — *cum beneficio inventarii*...

Na obronę moją podniosę okoliczność, że w zgrzytającym łańcuchu dni autorskiego mojego żywota, szatanek przekory w tak czułą a niepożądaną wziął mnie opiekę, że nieskończona serja żądełkowatych jego ukłuć wystarczyłaby na obdzielenie niemi z pół szwadrona podobnie niepospolitych śmiertelników. Wszelkie tedy niedowiarstwo, zdradzające się niechętnym pomrukiem: — „i to wszystko znów *jemu* przytrafić

się musiało!“ — wzburza mi żółć, najdraźliwszej dla mnie dotykając kwestji, kwestji prawdomowności. Zresztą nie wiele Was to obchodzić winno, ażali zdala na farfurze pokazana Wam pularda, istotnie pulchną, kruchutką, smaczną jest pulardą, wprost z gastronomicznego zakładu hotelu *Imperial,* lub też żali teatralnym jest jeno surogatem z pokostowanej tektury.

Tak, czy owak, kosztować jej państwo nie będziecie.

Tym razem jednak upewniam Was uroczystem słowem poważnego feljetonisty, że ja, z szarego końca nadpełtwiańskich literatów plebejusz, przez dwadzieścia i cztery godzin byłem — miljonerem.

*

Miły Boże! Co to za rozkosz w uzasadnionem nurzać się przeświadczeniu, że jest się niewątpliwym właścicielem okrąglutkiego miljonika!... Sześć owalnych a pękatych perełek po prawej stronie grubej, imponującej jedynki odurza, zwłaszcza, jeżeli siedm tych wielomownych cyfr ni ztąd ni zowąd spada na nas nagle z jasnego, modrego firmamentu. Owo dlaczego i dziś jeszcze, acz ułuda fatamorgany od tylu już lat rozwiała się ni to opar leśnego mokradła, dziwne czuję oszołomienie, skoro w pamięci przebiegam wszystkie fazy czarownej onej doby — i skoro po-

nętny obrazek grubej a imponującej jedynki po lewym boku sześciu owalnych a pękatych perełek nasuwa mi się przed oczy...

*

Akt pierwszy. Scena przedstawia szczupły, zapylony lokal urzędowy. Kurzem matowe szyby z lewej; drzwi do pokoju szefa w pół otwarte z prawej.

W pośrodku sceny kulawy, olbrzymi, sosnowy stół, zarzucony rachunkowemi księgami, oraz pożółkniałymi, nadszarpanymi aktami, okalającymi potężny, antyczny kałamarz z przed narodzenia Chrystusa, z wetkniętym weń tuzinem szpetnie zczerniałych piór gęsich. W głębi wyranżerowane szafisko o spaczonych pułkach dźwiga stosy spiętrzonych, postronkami powiązanych „rektyfikatów“, po których (w niczem nie zamąconym spokoju) snuje się przeźrocza sieć pajęcza.

Scena pierwsza. Przepraszam... Mimowoli dałem się unieść nawyczce zacietrzewionego dramaturga. Wszak ci piszemy feljeton, po cztery centy austr. wal. od wiersza druku, nie zaś ponury dramat lub skoczny wodwilek. Zmieńmy tedy styl, na co nas stać przecie!

W izbie, której prymitywne akcesorje od pierwszego wejrzenia pouczają, że znajdujemy się w kancelarji krajowego buchalterzysty, sie-

działem sobie ongi przy koszlawym urzędowym stole, dumając. Odsunięty na bok, zaledwie co rozpoczęty a już fatalnie pokreślony referat szupasowy z niemym wyrzutem zezował ku sinej ćwiarteczce konceptowego papieru, niedyskretnie zerkającej z pod ochlapanego inkaustem przyciskacza. Na marginesie tajemniczej ćwiarteczki mógłbyś był dostrzedz kilka par rzędem spisanych rymów, cierpliwie oczekujących na uzupełnienie poetycznym, porywającem tekstem. Czekały jednak napróżno. Nie dość bowiem z odmętów tworzenia wyłowić osobliwe dźwiękiem i formą, a zgodne brzmieniem końcówki; zszyć je jeszcze należy (ile możności) stosowną osnową t. zw. poematu — a to zszyć tak subtelnie, iżby ani śladzik szwu nie pozostał.

Gdy więc mozolnie uganiałem się po mglistych obszarach wyobraźni za jakim-takim stosownym pomysłem, znużony wzrok wlepiwszy w trutnia przybłędę, przechadzającego się flegmatycznie po zewnętrznej ścianie zakurzonej szyby, nagle, jak błyskawica, mignęła mi myśl. Pierwsze, gotowe już stadło żeńskich rymów: — „*piekło*“ i „*zaciekłą*“ — wprost szepce mi do ucha:

— Nuże, młody teorbanisto, płomienną zagrzmij pobudką! Odważnie, głową naprzód, dawszy nurka w rozpieniony prąd nowomodnego a doraźnego rozcinania węzłów zagadnień społecznych, całe porusz „*piekło*“ i walkę wydaj

„*zaciekłą*“ pyszałkowatej a zwartej falandze plutokratów, bezdusznych onych wyznawców Złotego Cielca, których dewizą: „Kapitałem wyzyskuj pracę“...

Grzmijmy!... Na gromką nutę nastroiwszy bardon, gorżkim jadem (jak kalafonją) potarłem mu struny, iżby tem piekielniejszemi zatrzeszczały złorzeczeniami i klątwy; tem ci piekielniejszemi, ile że naonczas pobierając zaledwie 500 florenów austr. wal. rocznego *adjutum*, (podczas gdy taki wyzyskiwacz, pan rewident, zagarniał ich trzy razy po 500 florenów), w zaułkach ducha nader skrajnym hołdowałem instynktom...

Z rozmachem zabierałem się już do wyważenia „z posad bryły świata“, aliści z drugiego pokoju warkął chrypliwy baryton ciemiężcy - rewidenta:

— Panie praktykancie, proszę przekonać się w *conto - corrente*, czy gmina Tubylcze spłaciła już w zupełności zaległe koszta szupasowe w kwocie $75^1/_2$ ct. a. w. W razie restancji wystosujesz pan bezzwłocznie *urgens* i *wyekshibujesz* sprawę zaległości *przypomnieniem z urzędu.*

Co?... Jak?... Koszta szupasowe? — *urgens?* — *conto - corrente?* — *ekshibit?* — *przypomnienie z urzędu?*...

Okropne przebudzenie!... Z wyżyn słonecznych, z nad olimpijskich lazurów nie podobna sro-

motniej runąć we wstrętną kloakę kameralistycznej buchalterji!... Ohyda!... W chwili, gdy najcudowniejsza gra wyobraźni ucieleśniać się poczyna, skraplając się w ciecz stałą, w pewne ujętą formy, w chwili, gdy wstrząsający poemat jak Pallas-Athene z pękającej czaszki Zeusa na świat się wyrywa, *przypomnieniem z urzędu* każą ci *urgować* zaległe koszta szupasowe?...

Och, gdyby nie 500 florenów a. w. rocznego *adjutum!...*

Zgrzytnąwszy, zmiąwszy ćwiartkę konceptowego papieru i skrzętnie ukrywszy ją w kieszonce kamizelki, z miną pacjenta po zażyciu jalapy przerzucać jąłem z odrazą paginy foljantu *conto-corrente*, — aż tu wsuwa się do kancelarji niepokaźna figurka osobnika o krótko strzyżonych bokobrodach, facet jakiś niepozorny w ciemnych okularach i z sztywnym ukłonem rzecze:

— Pan nadkomisarz zaprasza pana dobrodzieja do swojego biura.

— Co za nadkomisarz? Co za biuro?

— Jestem... z przeproszeniem... z policji.

Chryste Jezu! Doza jalapy była za silną... Wprawdzie, krom niewysnutego z duszy światoburczego poematu, niczego zgoła nie miałem na sumieniu, — a przecie uczułem, że krew do ostatniej kropelki umknęła mi z policzków. Widocznie są zaprosiny, które częstokroć niewytłuma-

czonym, a jednak mimowolnym przejmują nas dreszczem...

— Może pomyłka w osobie? — bąknę nieśmiało.

— Ba! Któżby nie znał nazwiska pana dobrodzieja?

Pochlebiło mi to zaręczenie niepośledniej popularności, pierwotnego jednak wrażenia wcale nie zatarło.

— Nie wiadomo panu, co za sprawa?

— Nie mogę służyć; tyle wiem, że nie cierpiąca zwłoki.

Masz pasztet!..

— Dobrze. Za pół godziny będę u pana nadkomisarza.

— Mam honor — — i wyszedł.

Drżącą dłonią potarłem spocone czoło.

Chryste Jezu, co ja im zrobiłem?... Jeszcze raz zakołatałem do skrytek mojego sumienia. Nic... nic... Nikogo nie zamordowałem, nawet niechcący — nie przywłaszczyłem sobie niczyjej portmonety — na wekslu nie położyłem w roztargnieniu obcego podpisu — legalnej władzy nie stawiłem oporu — w tajemne nie wdałem się konszachty — czego oni chcą odemnie?...

Ha, już go mam! Bez wątpienia zatrzymano mi komedję w cenzurze. Jasne, jak słońce. W dziesiątej scenie pierwszego aktu (przyznaję, nieco drażliwej), w pietnastej scenie drugiego aktu

i w dwudziestej piątej, szóstej i siódmej trzeciego aktu, dopatrzono się widocznie zamachu na moralność publiczną. Co za szkoda! Szkoda niepowetowana!... Cały sukces komedji zawisł od tych pieprzyków, od tej papryki w djalogu. A tu zażądają zmian.

Czekajcie, zmienię ja wam na... lepsze!

Uspokojony pospieszyłem do pana nadkomisarza.

— Witam.

— Sługa pana nadkomisarza.

— Racz pan usiąść.

— Przedświetna władzo, za co mnie prześladujesz?

— My, przyśladować pana?

— Wszelkie skreślenia położą mi sztukę. Odpowiedzialność za klapę w obec sądu przyszłości niech spadnie na was i na wasze dzieci.

— Nie rozumiem.

— Cóż w tem tak niemoralnego, że młoda mężatka, mając starego męża —

— Któż pana posądza o niemoralność?

— Jak to?... Więc nie o to się rozchodzi?

— Za pozwoleniem. Pańska godność?

— A to pyszne! Dopiero-co zaręczył mi wasz ajent, że znają mnie w mieście (krótko mówiąc) jak łysego konia.

— Bez kwestji; to tylko prosta formalność. Ojciec pański stale zamieszkały we Lwowie i jest doktorem?

— Filozofii.

— Dość, że doktorem. Pieczętujecie się —

— *Nieczują.*

— Jesteś pan jedynakiem?

— Jedynakiem, jak to pierwszy lepszy podręcznik biograficzny pouczy.

— Prócz pańskiego ojca, o ile nam wiadomo, nie mieszka we Lwowie żaden doktor praw, filozofii lub medycyny szanownego tego nazwiska?

— Żaden.

— Raczy mi pan podać prawicę.

(Gwałtu! Zamierza robić na mnie antropometryczne pomiary!... Waham się.)

— Pozwól pan, niech Go uścisnę i najserdeczniej Mu pogratuluję. Cieszy mnie nad wyraz, że los (częstokroć tak niesprawiedliwy) hojnie swoimi względami obdarzył prawdziwy talent, idący w parze z zacnością charakteru.

— Dzięki za kompliment z ust tak fachowego znawcy. Zwrot pański krasomowczy muszę sobie zanotować; atoli celu jego pojąć nie mogę. Nie spodziewam się od losu żadnego hojnego —

— Tem przyjemniejsza niespodzianka. Czy słyszałeś pan co kiedy o członku godnej waszej rodziny, Ireneuszu?

— Ireneusz?Na honor, nie przypominam sobie.

— Ireneusz. pułkownik wojsk królewsko-portugalskich.

— Ah, więc na imię było mu Ireneusz? Istotnie wspominano u nas w domu o jakimś dalekim, dalekim kuzynie, który po smutnym wyniku roku 1831. ofiarować miał swoją szpadę na usługi rządu w Madrycie czy Lizbonie. Ożenił on się tam podobno z bogatą wdową i zrobił wielki los.

— Pułkownik *Don Ireneo*, herbu *Nieczuja*, zmarł przed kilku miesiącami na zimną febrę w plantacji swojej na wyspie Madejrze i cały ru-i nieruchomy majątek (w braku sukcesorów po kądzieli) zapisał jedynemu synowi doktora tegoż nazwiska i herbowego klejnotu we Lwowie. Jak na początek doszły nas dość pobieżne wskazówki ze strony odnośnego poselstwa we Wiedniu i zażądaliśmy bliższych wyłuszczeń; atoli zważywszy, że pan toż samo nosisz nazwisko, pieczętujesz się *Nieczuja*, że jesteś jedynakiem, synem doktora we Lwowie i że, w myśl pańskich zapewnień, żadnego innego niema kandydata o tych warunkach, — nie zachodzi tedy jakakolwiek wątpliwość. Gratuluję panu schedy miljonowej.

— Miljonowej?... Mnie — cały miljon?!

— Rozległe plantacje w koloniach, na Madejrze i na Azorach — willa w Oporto — pałac w Lizbonie — gotowizną około 200.000

w portugalskich *milreisach*. Podobno jest tam coś i na hiszpańskich wysepkach Śródziemnego Morza.

— Panie radco dobrodzieju, nie żartuj pan. Mąci mi się w głowie...

— Żarty nie byłyby na miejscu. Chyba — że pan nie ze Lwowa, nie jedynakiem, nie synem doktora, nie pieczętujesz się *Nieczują* —

— Ja nie ze Lwowa? Tu urodziłem się, uczęszczałem tu do szkół, tu urzęduję i drukuję moje dzieła. Jedynakiem jestem, a zatem jedynym potomkiem płci męskiej naszej linii. Że mojemu rodzicowi najprawidłowiej przysługuje tytuł doktorski, o tem wiesz pan radca tak dobrze, jak ja; że zaś klejnotem naszym rodzinnym *Nieczuja* —

— *A propos* Nieczui, o ile szepce mi mały mój paluszek, przekonania pańskie wybujały nieco w kierunku ultra-demokratycznym...

(Twarz oblała mi struga krwi. W skrytce kamizelki zaciężyła mi ołowiem zmiętoszona, wiadoma ćwiarteczka sinego konceptowego papieru...)

— *Plait-il?* Ja ultrasem? Szlachcic, panie, z dziada i pradziada? To mi się podobało! *Je m'en moque!*

— Mniejsza z tem. Winszuję miljonika, z którego pan zapewne najlepszy zrobisz użytek.

— Hm... Jak pan radca sądzisz? Z jakiej

właściwie racji szlachetny pułkownik nikogo nie obdarzył, jeno *mnie?*

— Ha, to już nie moja rzecz. Pan twierdzisz, żeś jedynym potomkiem waszej linii; może zresztą wpadł mu w ręce za granicą pański afisz albo która z pańskich książek?

— *Dame! Naturellement...* Że też mi to zaraz na myśl nie przyszło! *Au revoir, monsieur le commissaire!*

*

Uważacie państwo? Od niechcenia nawinęła mi się jakoś francuszczyzna. Niech mówią, co chcą — zawszeć to język światowy, zdolen wszelkich, najsubtelniejszych zwrotów i odcieni, język, odróżniający *nasze towarzystwo* od pospolitego gminu ulicy.

Ilu skrzydlatymi skokami zbiegłem za schodów, nie pomnę; *mais je vous assure*, że znalazłszy się na chodniku, przed gmachem policji, spoglądać jąłem do koła na dachy kamienic, jakoby ze szczytu Łysej Góry lub Wysokiego Zamku, tłumne zaś grupy przechodniów wydały mi się *à vol d'oiseau* rojem rozłażących się lilipucich mrówek. Stąpając bacznie, (ni to ów pana Swifta ś. p. Gulliwer) całą wytężyłem uwagę z obawy, ażeby podeszwą eks-praktykanckiego mojego bucika nie zgnieść kilkorga nędznych dwunożnych tych wymoczków.

Przed „Narodnym Domem“, uchyliwszy czapki, woła ku mnie dryndziarz:

— Może jazda?

Impertinent! Zmiażdżyłem go jednym pociskiem krezusowego spojrzenia, w którym malował się szczyt pogardy. Ja, miljoner, miałbym się poniżyć do lichej, ulicznej jednokonki, rozwożącej po pod rogatki społeczne charłactwo, *la lie du genre humaine*?...

Skinąwszy na przejeżdżającą dwukonną remizę od *George'a*, huknąłem gromko: „Na telegraf!“

Rodzice moi bawili właśnie w kąpielach w (rozpoczynającym dopiero swój zawód) Żegiestowie; iskra elektryczna niechże piorunem udzieli im tak senzacyjnej wiadomości.

Telegrafuję tedy:

„Dr. (etc. etc.) Muszyna. Ekspress: Żegiestów. Portugalczyk Ireneusz zmarł. Plantacje w koloniach. Oporto willa. Lizbona pałac. Miljon. Ambasada poszukuje spadkobiercy. Spadkobiercą ja. Podaję się do dymisji. *Via* Wiedeń jadę do Lizbony. Proszę o pieniądze na drogę. Czekam niecierpliwie.“ (Podpis.)

Sapristi! (myślę sobie), toż to chwycą się za głowy!... Miljon *du noir sur du blanc.*

Urzędnik, odbierający odemnie depeszę, powstał z pełnem uszanowaniem własne ofiarując mi krzesło, zanim wystawi recepis.

Rzucam się znowu w miękkie objęcia poduszek remizy i wyciągniętym kłusem pomykam do biura krajowej buchalterji, rozkoszując się w myślach wrażeniem, jakie wywołam w gronie dotychczasowych koleżków.

Pan rewident (*maître fripon!*) przyjmuje mnie groźnem zmarszczeniem brwi i charakterystycznem krząknięciem, zapowiedzią huraganu *à propos de bottes.*

— Panie, w godzinach urzędowych wymykasz się z kancelarji. Gmina Tubylcze zalega.

— Nie wymykam się wcale. Otwarcie opuściłem biuro na godzinę.

— Ale gmina Tubylcza zalega.

— *Hein?* Pal ją djabli. Niech sobie zalega.

— Panie, panie — narażasz się na dyscyplinarkę. Skoro mówię, że gmina Tubylcze zalega —

— Dajże mi pan spokój z tą gminą Tubylcze! *Tant de bruit pour une omelette!* Świat się nie zawali.

Pan rewident sponsowiał. Potem zbladł. Potem znów sponsowiał. Zgorszony, oburzony *monsieur mon sous-chef* plasnął w szerokie dłonie i (jak sam ją nazywa) „szewską“ wybuchając pasją, z prawego ramienia zdarł pochwę z czarnego glasperkalu, którą zwykł był ochraniać rękaw surduta od plam atramentu, tudzież od wytarcia,

grzmotnął nią o podłogę i jak lew rozjuszony ryknął majestatycznie:

— Ja pana nauczę!!

A ja na to z flegmą:

— *Cet homme est tombé en délire.* Burzliwa scena zgromadziła dokoła nas obudwu cały etat „funkcjonarjuszy“, ze zdumieniem podziwiających zaczepną moją postawę, *et j'en jurerais,* panowie subalterni okrutną odczuwali *„frajdę“* w głębi ducha z racji, że nieznośnemu pedantowi przytarłem nieco rogów.

— Ja pana podam do zasuspendowania! — zasyczał, z majestatycznego lwa w mściwego, zjadliwego przemieniając się węża. Przypomniał mi go nawet swoją postacią; długi bowiem a cienki, w porywie „szewskiej“ pasji podniósł się na palcach, wyciągnął się jak struna, wygiął się w trzy kabłąki i paznogciem ksiuka, jak żądłem, dźgnął ku lewemu mojemu oku.

Ce discours fut injurieux.

— Niech się pan nie trudzi — *lui réponds-je* z marmurowym spokojem) — sam właśnie zamierzam podać się do dymisji. *C'est ca.*

— Oho?! A *adjutum?*

— *Je m'en moque.* Ofiaruję go panu jako dodatek drożyźniany, celem sprawienia sobie nowego rękawa z glasperkalu, oraz wanny do nasiadowych kąpieli. A zdałyby się i zimne natryski. *C'est ca.*

Boa constrictor z trzech kabłąków zwinął się w jeden kłęb i bezsilnie usunął się w wygnieciony fotel; ja zaś ciągnę dalej, cedząc słówko po słówku z zacięciem generalnego mowcy lewicy, druzgocącego doszczętnie ministra premiera. (Już to miałem zawsze *le don de la parole*).

— *C'est ca. Don Ireneo*, szlachetny grand portugalski i dywizjoner, wysokich orderów kawaler a kochany Nasz kuzyn, raczył usnąć w Panu, ceniąc zaś (po nad skromne Nasze zasługi) literacki Nasz talent, z grona licznej rodziny wybrał właśnie Nas i mianował Nas jedynym a wyłącznym miljonów swoich spadkobiercą. *Tout le monde approuve cet acte de justesse.* W tych dniach *via* Wiedeń wyjeżdżamy do Lizbony gwoli objęcia spadku w prawne posiadanie. Jeśliby kto z panów — (kończę, zwracając się do zdumionych piszczyków) — bawił kiedy w okolicach tej stolicy lub w pobliżu Oporto, prawdziwą sprawi nam przyjemność, odwidzając Nas w którym z Naszych pałaców. Toż samo na Azorach. *De même* na Madejrze. *De même* na Malorce lub na Minorce A teraz — *adieu*!

— A gmina Tubylcze?... słyszę za sobą stęknięcie pana rewidenta.

*

Remiza czekała przed bramą. Kazałem spuścić daszek karety, ażeby gawiedź uliczna nie była

pozbawioną rzadkiego u nas widoku miljonera; wygodnie ułożyłem się na tylnem siedzeniu, o przednie zaś oparłem z fantazją kamaszki i wolnym truchcikiem, tętniącemi arterjami miasta, potoczyłem się ku Teatralnej Kawiarni.

Z artystami dramatycznymi zawsze jedno, nierozerwalne stanowiliśmy kółko. Ja — tworzyłem, oni moje twory — grywali. Oni — chwalili, ja — znowu tworzyłem. A że równocześnie zamieszczało się o nich pochlebne recenzje, dlaczegoż chwalić mnie nie mieli? A że chwalili, dlaczegoż ja znowu nie miałem tworzyć?

Z całym tedy zastępem synów Thalii i Melpomeny zawsze byłem ty-a-ty, co też i mnie — i im — prawdziwy zaszczyt przynosi. Im — gdyż od pierwszej chwili nawiązania z nimi zażyłych stosunków nabrałem przekonania, że mimo zawodowych, iście odrębnych właściwości swojego stanu, wbrew dziwacznym jeszcze uprzedzeniem zacofańców (z nader małymi wyjątkami) na rzetelną zasługują przyjaźń i na szacunek; mnie — ponieważ wieczorni owi „królowie“, „książęta“, „możnowładcy“ *e tutti quanti*, z wysokiego szczebla drabiny społecznej nie zbyt są skorzy do „tykania się“ z lada pierwszym lepszym dziergaczem rymów, a choćby nawet gromowładnym recenzentem.

W Teatralnej Kawiarni, w salce od bufetu na lewo, odwieczne było ich kasynko artystyczne.

Tam to zawsze na społy z nimi ważne odbywałem narady; tam to krytykowało się, spiskowało to w interesie dyrekcji, to przeciw bezwzględnym zakusom jej absolutyzmu; tam też borykałem się z nimi w *domino*, której to szlachetnej a myślącej gry (jak Wam już wiadomo) zagorzałym jestem lubownikiem.

Wchodzącego bohatera dnia powitały życzliwe objawy sympatji i hałaśliwie krzyżujące się okrzyki:

— No, przecie raz!

— A chodźże, wierszorobo!

— Jest wolne miejsce. Siadaj na czwartego.

Przy marmurowym stoliczku, pod lampą, walczył zaciekle: *Pafcio* vis-à-vis z *Hadżi-Ljq*, oraz *Koips* vis-à-vis z *Van-Bykiem*; nieopodal zaś bilardu zażarty wiedli z sobą harc: *Dri-dri*, *Ziomek* i dziekan dominikarzy, poważny a wiecznie milczący *Salamandra*. Reszta towarzystwa, chmarami dymu tytoniowego owiana, *kibicowała* gwarliwie, to karcąc niefortunne dostawki, to aplaudując zręczne kombinacje zapaśników i puszczając mimo uszu żałobne utyskiwania zżymającego się *Van-Byka*: „Panowie, trochę ciszej! Tylko żadnych oznak radości, ni ubolewania.“

— Milordowie! — zawołam z wydętej piersi, ministerjalnie oparty o krawędź bilardu. — Milordowie, proszę o głos!

— Cóż to za mina?, przerwie szyderczo kaustyczny *Szpigelberg*.

— Czekajcie, on coś wie! — poskramia rozciekawiony *Kiwon-męczennik* atak złośliwego *Szpigelberga*.

— Tak jest, milordowie! Wiem, że wasze te kostki sypną się pod stół na dwa moje słowa.

— Dyrekcja bankrutuje?!

— Buda zamknięta?!

— Lin wytrzeźwiał?!

— Cholera morbus?!

— Wszytko furda, milordowie! Dwa te słowa są:

— Nie gadaj.

— Jestem miljonerem!!

Wybuch wesołego chichotu zagłuszył lapidarną moją odpowiedź.

— Śmiejcie się, milordowie, a ja odkupuję „dyrekcję“, niech mnie to kosztuje, co chce.

Nowa salwa śmiechu.

— Na honor, nie żarty. Mam miljon. Jeśli mi „dyrekcji“ nie sprzedadzą, na placu Castrum stawiam nowy teatr. Wszystkich was angażuję w czambuł. Gaże podwójne. Znajcie pana.

Cisza nastała, jakby mak siał. Wiara nuż spoglądać z pod oka to na siebie, to na mnie, a w przenikliwych tych spojrzeniach malował się nieukrywany pewien niepokój. Wyczytałem

w nich krótko-węzłowato: „Oszalał". Lord *Pafcio*, acz stateczny a wytrawny dyplomata, mruknął przez stół do *Hadżi-Loji:*

— Szkoda chłopa. Już to narwany był zawsze.

Niewiara ta spotęgowała moją irytację.

— Hola, ażebyście się przekonali, że to co mówię, mówię przy zdrowych zmysłach, dodaję: Pałac w Lizbonie, drugi w Oporto, plantacje na wyspie Madejrze i na Azorach, wille na hiszpańskiej Malorce i Minorce, pięćkroćstotysięcy w portugalskich *milreisach en gotiu*. Oto owoc popularności mojej w kraju i famy za granicą. A co?!

Wyrecytowane szczegóły nie tylko nie byłyby się przyczyniły do zaimponowania niedowiarkom, lecz prawdopodobnie byłyby ich zniewoliły do powierzenia mnie przemocą krytej dorożce, celem odstawienia „bredzącego fiksata" do popijarskiego instytutu pod lekarską obserwację, gdyby nie Merkury *Wachs*, niestrudzony kursor teatralnego Olimpu, który z impetem wpadłszy do kawiarni, wielkim wołał głosem już od progu:

— *Gewałt!* Co za wiadomoszcz' Gdzie nasz *puryc?* Jest u w kawiarni?

— Spokojnie, *Wachs*. Nie chlipaj, a streszcz się.

— Buł panicz już u w policje?

— Byłem.

— I już panicz wszystkiego wie?

— Wiem, panowie jednak nie chcą dać wiary.

— Aj, waj! Co tu nie wierzyć? Jak tu nie wierzyć? *A ganze portygałysze Milion*!

Zerwali się z siedzeń; kostki domina posypały się po podłodze.

— *Wachs*, nie gadaj. Zwarjował *miszures*.

— *Miszures*? Nu co tu gadacz? U w zagranice jakiś *graf* czy *general* zapisał paniczemu w testament *a ganze portygałysze Milion*!

— *Wachs*, pokrako... Może to zmowa?

— *Parole d'honneur*, zaręczam wam uroczyście, nie zmowa. Dziś wezwano mnie do dyrektora policji. Zostałem spadkobiercą szlachetnego granda, miljonera, kuzyna Ireneusza w Lizbonie. W tych dniach wyruszam do Portugalji, corychlej jednak wracam z mamoną, buduję nowy teatr na placu *Castrum* i angażuję was z dubeltowemi gażami. Znajcie pana. *Voilà tout*!

Nuż gratulacje, nuż wyrywać mnie sobie z rąk do rąk. Poczciwe, serdeczne dusze pobeczały się z radości. Spłakałem się i ja.

Lord *Pafcio*, osławiony a genialny łatacz wiecznie powikłanych swoich „interesów“, odciąga mnie na stronę:

— *A conto* dasz?

— Po powrocie, ile kto zażąda. Znajcie pana. A teraz *monsieur Jules*, (kiwam na dzierżawcę

kawiarni), staw tu Asan na mój rachunek tyle złoconych szyjek, ilu nas obecnych.

Zabrzęczały w koszach flaszki, strzeliły korki. Hucznie bawiliśmy się do siódmej z wieczora, najdokumentniej omawiając cały plan przyszłej kampanii. Zamianowałem reżysera (oczywiście *Pafcia*) i tegoż zastępcę ; powyznaczaliśmy sowite gaże i *feu* od występu, nie oszczędzając dochodów z zamorskich plantacyj. *Lunię, Siunię* i *Fipuchne* podnieśliśmy z chóru do godności „artystek“ ; na arkuszu *in folio* spisaliśmy sążnistą listę niezbędnych „forszusików“ ; upatrzyliśmy idealnego kasjera w pewnym zbankrutowanym, lecz w towarzystwie nader miłym bankowcu ; *Pafciowi* powierzyliśmy dodatkowo (za osobnem honorarjum) sekretariat : — słowem rzecz poszła jak z płatka. *Souvent, qui choisit, prend le pire.*

Senzacyjną wieść usłużne duchy poniosły za kulisy, ja zaś, za szczątki miesięcznego mojego adjutum nabywszy bilet do parterowej loży tuż przy samej kortynie, w różowym humorku rozsiadłem się na purpurowym aksamicie, tyłem do sceny.

Grano pieprzne, błyskawiczno-postępowe francuskie jakieś dramidło. Galerja huczała, wściekle oklaskując każdą tyradę przeciw „spanoszonym wampirom społeczeństwa“. Gdybym był cenzorem, absolutnie przed światło kinkietów nie puszczałbym sztuczydeł iście demoralizujących, których

ostatecznym celem nikczemne zohydzanie (tradycją i wiekami uświęconych) pojęć, zuchwałe apelowanie do jakichś tam ubrzdanych praw ogólnoludzkich, oraz szatańskie podjudzanie do otwartej walki na noże pracy z kapitałem. *Il faut inculpier cette maxime*, że ci niepoprawni szerzą jeno zgubne, przewrotne jakieś teorje, że wprost niebezpieczne i ładowi publicznemu zagrażające propagują mrzonki, czem w przewróconych łbach nienasyconych obszarpańców żarłoczne rozdmuchują chuci. W ogóle jestem zdania, że liberalne rządy, niedołężnie kokietując z bandą radykałów, postępują sobie z zaciekłą tą czeredą zbyt oględnie, w czem oczywista także indolencja, dziwna apatja, bezradność i brak należytej energii nie małą gra rolę.

Postęp?... Nowe prądy?... Ludek?... *Je ne souffre pas entendre tous ces mots.* Co za ludek? Na co prądów? Gołego publicystę-sankilotę, doktrynera snującego tak zbrodnicze utopje, powinno się *immediatement* zamknąć pod klucz lub wyświecić za granice kraju, za krańce Europy, za Atlantyk, hen, do Ameryki, kędy dla rozkładszych onych żywiołów otwarte pole do propagandy. Tu, gdzie tradycyjne poszanowanie dla gniazda, krwi i fortuny (chwała Bogu!) nie utraciło jeszcze pod nogami gruntu, tu niech nam święty da spokój wstrętna ta hołota. *Jls veulent machiner une debâcle, coquins*!

Oburzony do żywej pieczonki, byłbym trzasnął drzwiami loży zaraz po drugim akcie, gdyby nie przypadek, że w ostatnim rzędzie parterowych krzeseł zauważyłem Jadwinię z mamą, panią radczynią. Obiedwie lornetowały ku mnie z nieznośnym, nawet nieprzyzwoitym uporem, szepcząc sobie coś na ucho, snać zdumione magnacką moją nonszalansją, z jaką dłubałem sobie w zębach.

W międzyaktach zniewolono mnie do przyjęcia całego szeregu wizyt z gratulacjami; wieść bowiem o olbrzymiej sukcesji gruchnęła po amfiteatrze. Gdy nareszcie po ostatnim akcie spadła zasłona i demonstracyjne rozległy się wywoływania aktorów, którzy z bardzo nagannem przejęciem odegrali role „ofiar kapitału," wychyliłem się z loży i śmiałym a głośnym sykiem dałem wyraz mojej indygnacji. *Canaille!*

Wybiegłszy z korytarzyka umieściłem się u stóp posągu hr. Skarbka; z jednej bowiem strony wypadło Jadwinię z mamą odprowadzić do domu, z drugiej zaś gwałtownie parło mnie do pochwalenia się moim miljonem. Co to szkodzi?... *Qu'importe?*...

Jadwinia i ja, kochaliśmy się na zabój. Ona była córką pana radcy rachunkowego — ja praktykanciną. bez nadziei awansu. Pan radca wręcz zamknął mi przed nosem konsyliarskie swoje progi; wszelako pani radczyni, mniej zda

się „rachunkowa“, zwyczajnie jak tkliwa mamusia, pozwalała od czasu do czasu na przechadce towarzyszyć sobie i córeczce, „byle papa się nie dowiedział“.... Wierzyła ona nie tyle zapewne w przyszłą moją urzędową, ile w literacką moją „gwiazdę“; rymy zaś mniej lub więcej szczęśliwe zawsze znachodzą oddźwięk na „czułej strunie“ niewieściego serca... Skwapliwie tedy unikałem papy, mamę wycmoktywałem po łapkach, Jadwini zaś dedykowałem ogniste moje sonety.

Kochaliśmy się (powtarzam) na zabój... A jednak, w dniu tak dla mnie decydującym, zapomniałem był zupełnie o rozmarzonej Jadwini. Zrozumiecie.. *Une telle surprise, tant d'émotion!*

Co więcej, gdy z loży dokładniejszej obserwacji poddałem banalną zresztą jej twarzyczkę, od razu wydała mi się znacznie mniej jakoś pociągającą. To też mimowoli prześladować jęły moją wyobraźnię (podziwiane ongi przezemnie w kawiarni) illustracje czasopism zagranicznych, podających przepyszne wizerunki światowych piękności *high-lif'u*! Co tam za dystynkcja — jakie linie klasyczne — co za gracja — co za styl, wykwint a finezja!... *Tant mieux*; muszę sobie kupić *Almanach de Gotha*.

Revenons à nos moutons. Panna Jadwinia, skoro mnie pod posągiem czekającego spostrzegła,

ciemnym oblała się szkarłatem: w oczach jej błysnął ni to promyk szczęścia. Bardzo mnie to zaniepokoiło; ukłoniłem się sztywnie. Mama, znacząco uścisnąwszy mi rękę, zaraz *à bout portant* rzuca mi pytanie:

— Prawdaż-to? Co za niespodzianka! Z ust do ust podają sobie zajmujące szczegóły. Świetna zatem sukcesja?

— Ujdzie, mościa dobrodziko.

— Jakto *ujdzie*? Munio pani hofratowej opowiadał nam przecie —

— Półtora miljona, mościa dobrodziko. *Sans mentir*, półtora miljona, nic licząc pałaców w Lizbonie i w Oporto, will na Malorce i Minorce, oraz plantacyj na Madejrze. *C'est ça.* Jak na ciężkie czasy, *ce n'est pas mal, cette bagatelle.*

Panna Jadwiga zbladła; lodowy *timbre* mojego głosu, mianowicie zaś końcowy frazes odpowiedzi musiał zgrzytem dotknąć rozpieszczonego jej uszka. Tego właśnie chciałem. Nerwowe kobiety, na zabój w nas rozkochane, nader przezornie przygotowywać należy do pewnych *coups d'etat*... (*A propos*, czy też w księgarni znajdę choćby jeden egzemplarz owego *Almanach de Gotha*?

— Pan odprowadzisz nas przecie? — słodkiem gruchaniem zagadnie mnie panna, z tkliwą prośbą podnosząc ku mnie wilgotne nieco oczęta.

— *Je suis à votre service.* Pozwolę sobie towarzyszyć paniom, zwłaszcza, że muszę je pożegnać.

— Pożegnać?... Pan wyjeżdżasz?...

— Opuszczam Lwów. Spieszę *via* Wiedeń do Lizbony, celem objęcia spadku w prawne posiadanie. *C'est ça.*

— Bardzo słusznie; konkluduje mama.

— A więc pan wyjeżdżasz, chucha panna ledwie dosłyszalnym szeptem lecz... lecz... pan... pan rychło powrócisz?

— Zależeć to będzie od wielu okoliczności. *On a des affaires par-dessus la tête...* Radbym zresztą rozglądnąć się nieco po szerokim świecie. *Mesdames*, służę paniom.

Prawe ramię (z przyzwyczajenia) podałem mamie, lewe (od serca) córce. Na ulicy proponuję wzięcie remizy. Panna Jadwiga sprzeciwia się stanowczo :

— Tak piękny, księżycowy wieczór... Daleko przyjemniej wracać piechotą.

Peste! Pannie może i przyjemnie, nie wątpię; przechadzka bowiem przeciągnie się o jaki kwadrans ; co do mnie, pragnąłbym wyrwać się co rychlej. Żal mi dziewczęcia... a przecie katastrofa nieunikniona. (Gdzie ja nabędę ten *Almanach de Gotha?)* Zamilkłem ja ; zamilknęła i panna. Byliśmy *au bout de notre latin.*

— Spodziewamy się, (przerwie chwilowe mil-

czenie pani radczyni) i liczymy na to (doda z przyciskiem na wyrazie: *liczymy*) — że przed odjazdem zechcesz pan nas odwidzieć. Z prawdziwą przyjemnością powitamy pana u siebie. Radca oczekiwać pana będzie z niecierpliwością.

— Ależ, mamo...

— Pan radca, dobrodziko? Pan radca jakoś nie zbyt łaskaw na mnie.

— Co za uprzedzenie! Zresztą, wobec niespodziewanej zmiany stosunków —

— Ależ mameczko... z wstydliwym wyrzutem wpadnie jej w słowa ambitna panna. Czułem, jak szarpnęła radczynię za rękaw mantyli.

— *N'est ce pas?* — zauważę szyderczo — *on élira le plus digne.* Przybyło mi osobistej wartości. Pan radca zaczyna mnie cenić.

Skonfundowana mama zamilkła; znów poczułem, że panna zadrżała. Nie zwracając głębszej uwagi na tak uzasadnione zresztą wzruszenie, rozwinąłem przed damami cały, obszerny plan mojej podróży. Tydzień zatrzymam się we Wiedniu, poczem na Tryest, Wenecję, Rzym, Neapol, Marsylję, Walencję, puszczę się do Madrytu, zawadziwszy po drodze o Malorkę i Minorkę, kędy malownicze posiadam wille. Z Madrytu udam się do Lizbony i załatwiwszy sprawy prawniczej i finansowej natury, pospieszę do Paryża. Tam (rzecz łatwo zrozumiała) zabawię czas dłuższy Z Paryża wartałoby skoczyć do

Londynu, by na Bruksellę, Berlin i Drezno powrócić do kraju. Prawdopobnie jednak z Londynu parowcem kompanji transatlantyckiej popłynę do plantacyj moich w kolonjach; wszelako decyzja w tym kierunku zależeć będzie od orzeczenia powag lekarskich, zwłaszcza, że dla Europejczyków klimat tamtejszy ma być zabójczy. Bądź-co-bądź, *à tout prix* posiadłości one starać się będę spieniężyć z wolnej ręki; *une vente à l'amiable.* Cóż bowiem za kłopot z bydlęcymi onymi murzynami; na domiar usamowolnienie niewolników fatalnie wpływa na obniżanie się wartości plantacyj trzciny cukrowej.

A krokodyle — a lwy — a tygrysy — a jadowite owe grzechotniki! *Ma foi,* lekkomyślność nie do przebaczenia rezykować zdrowie i życie, mając do dyspozycji dwa miljony w brzęczącem złocie. *Moi, je ne veux pas m'exposer.*

Panie słuchały w głębokiej zadumie; od chwili do chwili z piersi panny wyrywało się ciężkie westchnienie, przerywane powściąganem łkaniem.

Ot, nerwowe kobiety...

Bon! Stanęliśmy *enfin* u bramy kamienicy. Zadzwoniłem na stróża. Przy pożegnaniu, spojrzawszy przypadkowo w oblicze panny Jadwini, nie mogłem nie dostrzedz przy świetle latarni. że srodze była spłakaną. Oj, te nerwy, nerwy!.,. Mniemam, że one łzy wycisnęło głuche echo,

rozbijające się po rozdętem serduszku konsyliarzewiczówny, ponure echo: *„poirt de rêveries“*!..

Wymknąłem się jak z parni, zręcznie uprzedzając wszelkie głębsze, niepożądane wywnętrzenia. Żal mi dziewczyny, na honor, żal... lecz któż temu winien, że nie sposób zażegnać katastrofy? *Almanach de Gotha* tkwi mi w mózgu goździem. *La conjoncture est favorable*; trudno zawiązać sobie los; trzeba z niej korzystać.

*

Kolacyjka w drezdeńskim. Nowa serja interpelacyj, wyłuszczeń i wiwatów. Efektowna scena ze złoconemi szyjkami świetnie powtórzona. Poleciwszy wszystko zapisać na mój rachunek, *rompu de fatigue*, po północy wlokę się na dobrze zasłużony spoczynek. Słodziuchny — rajski spoczynek!

Śniłem tak błogo... tak błogo!... W smaragdowych blaskach przesuwała się przedemną edeńskich mirażów panorama...

Pałace marmurowe o ażurowych fasadach, płaskorzeźbach i sztukaterjach — urocze szalety w stylu klasycznego renesansu — ciemne seledynowe gaje potwornych dracen i aloesów, z nad których strzelały wysmukłych palm palczyste wachlarze — a dokoła majestatyczne, niezmierzone, błękitne morze... morze... morze...

Nad ranem, właśnie w najsłodszej chwili estetycznego upojenia, posłaniec z telegrafu podaje mi depeszę. Rozrywam kowertę; to odpowiedź ojczulka.

„Pułkownik Ireneusz nie krewny. Nadzieje bezpodstawne. Dymisji nie brać. Żadnych wybryków. Pieniędzy nie posyłam. Oczekuję listu.“

Diable!... Wybacz najdroższy dawco mojego żywota, atoli starsi panowie bezbarwną, szarą prozą pospolitego wegietowania na wskróś przesiąkli, stają się w końcu niewiernymi Tomaszami i nieznośnym grzeszą skeptycyzmem. Wulkan zionie w mych żyłach; fibry pękają we mnie od gorączkowego napięcia; zgoła nie pojmuję płaziej tej, zimnej krwi!... Cóż ztąd, że pułkownik w żadnym z nami stopniu pokrewieństwa? A mój talent, a mój rozgłos — to nic?!... A ambasada, a policja — to nic?!... A powszechne gratulacje, a zawarte kontrakty — to nic?! Tak sobie fantazmagorje — mrzonki z palca wyssane — fligi-migi — słowem: *rien du tout*?!...

Papo, papo!. Jakby tu nie rozchodziło się o miljon — o pałace w Lizbonie i w Oporto — o wille na Malorce i na Minorce — o plantacje w koloniach! Telegrafujesz sobie najflegmatyczniej: „Żadnych! wybryków!“... *Je m'en moque.* Jest na to rada. Poczciwy, uczynny nadkomisarz niech sam zatelegrafuje do papy. *Sans doute*, nie odmówi mi tej przysługi.

Spozieram na zegarek. Godziny wloką się, jak pakowna bryka żydowska zaprzężona w jedną, nędzną zagłodzoną chabetę. Skaczę do okna. Stoi nieruchomy zegar ratuszowy; zapomniano go chyba nakręcić. *Peste*! Depcę drżącymi z niecierpliwości obcasami podłogę, krocząc wzburzony po pokoju od okna do pieca i od pieca z powrotem do okna, pogwizduję tryumfalny marsz majerberowski z „Proroka“, a co stanę przed szybą, zerkam ku cyferblatowi ratusza.

Uderza dziewiąta. Policyjne biura muszą już funkcjonować. Zbiegam po schodach, rzucam się w pierwszą lepszą dryndę i wpadam pod św. Florjana.

Pan nadkomisarz na mój widok przybiera jakąś minę zrzadniałą, niewyraźną; podaje mi krzesło widocznie zakłopotany.

— Ah, to pan... Zapewne we wiadomym interesie?

— Oczywista. Złoty panie, uczyń mi przysługę. Mój stary zachorował na niedowiarstwo. Zatelegrafuj uprzejmie od siebie, z urzędu.

— To jest... właściwie...

— Za pierwszą pańską bytnością na Malorce lub na Miuorce potrafię się wywdzięczyć.

— Nie ma za co, łaskawco; nie ma za co...

— Zawsze to grzeczność i przysługa.

— Ba, zapewne... to jest... właściwie... pan

wybaczysz, lecz — lecz — mylnie zostaliśmy poinformowani.

Okropne te wyrazy, illustrowane niespokojnym wierceniem się policyjnego hemoroidarjusza na skórzanej poduszce, wstrzymują mi wartki obieg krwi w żyłach ; jak kleszczami ściśnięte piersi tamują mi oddech.

— Jakto, panie radco dobrodzieju?... Zgoła nie rozumiem...

— W ciągu nocy otrzymaliśmy z poselstwa dokładniejsze szczegóły.

— Oh?!...

— Przedewszystkiem miljon redukuje się do kilkudziesięciu tysięcy...

Odetchnąłem. *Une petite dégringolade...*, przecie jednak skrobać piórkiem nie będę. Gmina Tubylcze może sobie zalegać z szupasowymi kosztami. Buchalterja — *quel maudit métier!...*

Kupię sobie wioseczkę i wierzchowca — groomowi zaś sprawię ciemno granatową liberję z żółtemi wypustkami, jak to widziałem u Potockich.

— A wreszcie, (zająkuje się dalej nadkomisarz), nie wspomniałeś mi pan ani słówka o doktorze praw, panu Franciszku.

Strętwiałem.

— Ależ...

— Przeoczyłeś pan widocznie mecenasa, doktora Franciszka.

— W Czerniowcach, panie, w Czerniowcach!

— No tak... Swojego jednak czasu mieszkał we Lwowie. Owóż ten pan Franciszek bliskim jest krewnym spadkodawcy i (jak panu zapewne wiadomo) syna ma jedynaka.

— A więc... to *on*?!

— On, panie. Ubolewam nad fatalnym zbiegiem okoliczności. Jedynak pana mecenasa właśnie stał się sukcesorem ś. p. pułkownika.

*

Z pod św. Florjana wysunąłem się straszliwie przygnębiony, unicestwiony, bez życia...

Dopiero-co olbrzym potężny, nagle maluchnym, drobniutkim poczułem się pyłkiem — a dokoła mnie ruch, gwar, wesele...

Co krok pokornie usuwałem się czupurnym przechodniom z drogi w niemej trwodze, by nieoględna czyjaś stopa nie rozdeptała mnie, znikomego mikroba, na miazgę...

Pierzchnął słoty sen; smutna została rzeczywistość...

W urzędzie, rozsrożony tyran-rewident ciśnie mi pod nos okrutny fascykuł z aktami gminy Tubylcze i (no!...) da on mi się we znaki!...

W Kawiarni Teatralnej *monsieur Jules* czeka z rachuneczkiem za szampitry...

U radców — drzwi zamknięte...

Spróbowałem zakląć choć z cicha, po francusku. Gdzie tam! W jednej chwili ulotnił mi się cały zapas wykwintnych i mniej wykwintnych frazesów — i na rogu placu *Castrum* wyzionąłem z otchłani rozgoryczonych płuc:

— *Ażeby was wszyscy...!*

*

Ot, i losu przekorne igrzysko.

O niesprawiedliwości ślepej, małodusznej fortuny!...

Oni, ci zakamieniali czciciele Złotego Cielca, Benjaminki te podłej mamony, wsie mają, pałace, kapitały; spadają na nich jak grad niezasłużone sukcesje; wylegają usprężynowane balzaki, nużąjęc po łokcie ramiona w wypełnionych po brzegi szkatułach i z lodowym uśmiechem pogardy naigrawają się z gołej hołoty, *kontującej* przy biórkaah koszta szupasowe...

Nie wytrzymam. Tego już za nadto. Dajcie mi nóż! Stanowczo przystaję — do anarchistów!!!

Aureli Urbański.

Z ZA KULIS

i ze świata.

Szkice, obrazki, humoreski.

Tomik V.

[1896]

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

XVII.

Było to na filozofii, anno — —

(Rzecz z palca nie wyssana, z rozwlekłych gawęd sędziwego archiwisty nieco streszczona, przez biegłego stenografa sumiennie spisana, a przez pewnego „powszechnie cenionego literata“ mozolnie opracowana i w dziesięciu ekscerptach Sykofantom ku pożarciu do druku podana).

Ekscerpt pierwszy,

w którym „wielce utalentowany“ literat, z równą łatwością władający prozą i rymem, reprodukuje cierpkie utyskiwania pesymisty na uwiąd starczy dzisiejszego pokolenia. Przy tej sposobności nie bez emocji dowiaduje się czytelnik, że sędziwy archiwista nie zawsze sędziwym był archiwistą, oraz zasięga języka w kwestji rodowodu czcigodnego staruszka.

Fuimus Troes. — Wymarli Hektory;
Na ich mogile stary duma wyga.
Jak dąb stuletni, acz odarty z kory,
Stoi — i marzy — i wspomnienia ściga.
Świat w koło skurczon, przeżyty, czy chory,
Ni to w cytrynie kurczy się ostryga;
Więc brzęknie w bardon zmarłych mrący Bojan,
A wy słuchajcie! *Finis*... Niema Trojan.

Dajcież mu spokój z tą „bez serc, bez ducha“, z młodą tą, anemiczną waszą generacją! Z pod krzaczystych, białych jak mleko brwi,

śledzi on bacznie, jak nowomodne zdechlaczki z przekąsem natrząsają się ze zgarbionego oryginała, gdy w długiej po kostki, wyszarzanej kapocie, z czapicą nasuniętą na czoło, z plikiem aktów i z kolorowym parasolem pod pachą, zżółkniały i pokaszlujący, taszczy się chodnikiem do swojego archiwum.

Ongi, ongi, niedołęga ten żył, szalał, z niejednego pieca chleb gryzł... i gdyby się na dobre rozgryzmolił, całą registraturę zalałby fascykułami z priorów ruchliwego żywota. Człowiek sobie, panie dobrodziejaszku, i bryknął nieraz.

A wy — hę?... Ni krzty młodzieńczej fantazji. Ni śladu krewkiego zapału. Niedorostki, szyderczem wypełzłych ust wydęciem, maskują nudy przeżycia, niczego właściwie nie przeżywszy. Dopatrz-no mi się wśród nich dziarskiego chłopca, coby o świcie uciął białego mazura. Jak Boga mego, wymokłe Fikalczątka! Mizeraki, chyłkiem zmykające pod pierzynę po ciepłej kolacyjce. Tfi, panie dobrodziejaszku, rodzaju ludzkiego despekt!

Stary mól za to — proszę spojrzeć. Na samo wspomnienie o młodocianej wiośnie, zapala się, gryzie nerwowo bukszpanowy cybuszek krótkiej, węgierskiej fajeczki; cykając pluje w prawo i w lewo; widać, że krew mu bucha do zapylonego archiwum reminiscencyj.

Czcigodna osobistość p. archiwisty zgoła nie jest wymysłem literackiej fantazji. Istotnie wdy-

chiwał on jeszcze do niedawna wapienne pyły Lwiej stolicy. Nie zaszkodzi tedy podać potomności niektóre, charakterystyczne szczegóły jego rodowodu.

Dziad jego, z przelotnej rodziny niemieckich *Heuschreck*'ów, nadciągnąwszy ongi *von der blauen Donau* nad gościnne brzegi Pełtewki, po długiej, nader gorliwej pracy na niwie fiskalizmu w charakterze c. k. podatkowego „*gieb Geld*“, zawarł nareszcie strudzone powieki. Przed ostatecznem tem „zamknięciem bilansu“ żywota, złożył on dowód iście niezwykłych lingwistycznych zdolności, poduczywszy się (po czteru deceniach spożywania galicyjskiego chleba) wymawiać dość poprawnie: „*arkusch podatkowe, pane dobrodscheju*“ — i „*zaplacz, pane dobrodscheju*“.

Syn nieboszczyka, który tymczasem urósł był na wytrawnego funkcjonarjusza o dwu gwiazdkach na aksamitnym kołnierzu przy c. k. urzędzie kameralnym, ożeniony z córką mieszczanina z pod „złotego mostu“ na Zamarstynowie, w razie naglącej potrzeby wcale już zrozumiale wysławiał się w języku „slawanckim“. Niepoślednią w tym względzie zasługę przypisać należy szanownej matronie a połowicy jego, która nawzajem czteru jeno niemieckich wokabuł nauczyła się od małżonka. Szermierzyła ona niemi z nigdy nie za-

wodzącym sukcesem. Cztery te wokabuły brzmiały: „*Esel einer*“ i „*Halts Maul*“.

Stadła onego jedyny frukt, zacny nasz archiwista, od pierwszego młodości zarania taką do rodzinnego swojego nazwiska zapłonął awersją, że jakoś w rok po śmierci rodzica (jeszcze na szkolnej ławie „w trywiałce“) podpisywać się jął: *Hajszrek*, ku niezmiernemu gaudium koleżków, błogosławionych ludzkiemi nazwiskami, jak np. Jasio Wywdalewicz, Kazio Cetnarowski, lub Mikolko Szarpun. Dwaj pierwsi (świeć im Panie!) dawno pomarli; trzeci żyje jeszcze, szanowany powszechnie majster rymarski i właściciel pięknej realności za *Kręconymi Słupami* na *Rurach*. Ostatni z rzędu szkolny ów koleżka budzi w pamięci pana archiwisty pewien niemniej charakterystyczny epizod z czasów „trywiałki“. Owoż w niedzielę, przy wyjściu z ekshorty, niewiadomo już z jakiej racji, nazwał on koleżkę *Hajszrek*'a „szwarcgelberem“ i „szwabską duszą“. Czupurny malec urządził mu pięścią w gębę taką „płaskorzeźbę“, że Mikolko przez trzy doby nie zdołał zaprowiantować magazynu swego żołądka w skutek nadmiernego obrzmienia bramy wjazdowej. Prawda i to, że za samowolne owo zatamowanie komunikacji, krewki nasz inkulpat całe wymienione trzy doby przedumał w szkolnym karceresie, głęboko zastanawiając się nad tajemniczą zagadką narodowościowych antypatyj — i zło-

rzecząc losom, iż nie pozwoliły mu narodzić się Szarańczewiczem lub Motylkowskim, miasto rzucenia go w świat Wywdalewiczów, Cetnarowskich i Szarpunów ze wstrętnym stygmatem *Heuschreck*'a.

Politycznych perypetyj gawędziarza nie zamierzamy stać się dziejopisem. Zawiodłoby to nas zbyt daleko. Atoli sam już epizod z ławy „*der Muster-Haupt-Normal-Schule*“ dowodzi, że od chłopięctwa urastał zeń mąż fantaziej wielkiej i — dzielnej ręki. Zastrzegając sobie tedy do odpowiedniejszej chwili wytrawne studjum z dziedziny politycznej psychologii: „*O Hajszreku*“, jako reprezentancie polakożerczej rasy, który zakosztowawszy matczynego, zamarstynowskiego mleka, za obelżywe imionisko „szwabskiej duszy“ zapalczywie daje w gębę — poczem czynny udział bierze w burzy, ukojonej przez Hammersteina zbombardowaniem lwowskiej akademii — poczem po madjarskich *pusztach* ugania się za Jellacz'a graniczarami, — poczem kamienie tłucze po tureckich gościńcach, — poczem w dziurawym kubraku emigrusa błąka się w tęsknicy po paryskich zaułkach, etc., etc., — ograniczymy się jeno do odtworzenia Wam tragicznej pewnej historji z onego hajszrekowskich lat wiośnianego okresu, któremu (dziadów jego współplemiennik) znakomity *Jean Paul Richter* nadał miano: „*Flegeljahre*“.

Ekscerpt wtóry,

nadmieniający pobieżnie o niejakich, zgoła nie przedpotopych specjalnościach galicyjskiej stolicy; w dalszym ciągu usiłujący odmalować specjalną ekstazę novo upieczonego filozofa; zakończony zaś pouczającym przykładem zgubnego działania nikotyny.

W szkole — (przyznamy) — nigdy nie był *primus*
I gniótł go ciężko *Komeniusza* przymus.
Wstrętne *der-die-das* okrutnie mu zbrzydło;
Wierzgał, jak tabun żujący wędzidło,
Gdy z wołem w parze orać go się zmusza.
Tak rósł — i rosła rogata w nim dusza.

Hajszrek, nagabywany wciąż przez złego ducha przekory, *Hajszrek*, bez miłosierdzia bity (nie w ciemię) za karygodne zaniedbywanie się w przyswajaniu sobie „*der deutschen Mutter-* (*!*) *Sprache*“, z niemałym trudem przeborykał się przez *poetykę* i *retorykę* — i szczęśliwie wybrnąwszy z pod jezuickiego bizuna Księdza Prefekta, odetchnął pełną piersią, wpisany w poczet *filozofów*. Gdy ze szczytu Piaskowej Góry, z niezapadłej jeszcze naonczas ruiny prastarej baszty, (pod którą zwykł był zazwyczaj w krnąbrnem zadumaniu opłakiwać skutki lekceważenia znienawidzonych *der-die-das*'ów), gdy tedy z czubałka ruiny dokoła wzrokiem ogarnął pozamiejski krajobraz, zdawało mu się, że szerokiego tego świata wyłącznym jest dziedzicem, wyłącznym, samowładnym panem Żółkiewskiego, Grodeckiego,

Stryjskiego i Łyczakowa, nie eliminując rynku z niezbombardowanym jeszcze a imponującym kwadratem lwowskiego *Hôtel de ville*. A jak gruntownie znał on ukochane swoje, rodzinne gniazdko, nie przekabacone jeszcze w europejskie mrowisko koszarowych kamienic, acz Bogiem a prawdą, na każdym kroku obijały mu się o uszy przeklęte owe *der-die-das*'y. Hajszreków byłbyś naonczas zliczył na palcach; tłumami za to szwargotały *Heuschreck*'i. Ba, nawet Wywdalewicze i Cetnarowscy uważali za punkt honoru popisywanie się na forum miasta wyższą ogładą, zażywając srodze niefortunnie języka *Hammerstein*'ów.

Mimo to, Dobrodziejaszku, — hej, hej! — gdzieżeś dawny ty Lwowku z patrjarchalną, kopułkowatą wieżą ratuszową, — z poważną, pokościelną akademją, której ani się nie śniło, że los każe jej kiedyś odegrać rolę filji „Narodnego domu“, — ze skromnym teatrzykiem na placu *Castrum*, — z zieloną górką Wronowskich, nie przytłoczoną jeszcze cegłami cytadeli, — z pełną odświętnej werwy *Pohulanką*, — z romantycznem ustroniem *Żelaznej Wody*, — z jednopiąterkowym zajazdem szlagonów „pod Tygrysem“ u brzegu pluszczącej leniwie Pełtewki, — z moczarkami na „Zielonem“, błotkami na „Chorążczyźnie“ i bagienkami na „Janowskiem“. Hej, hej!... Dokumentniej znał on wszystkie te

specjalności cichutkiej siedziby trzech arcybiskupstw i jowiszowego gubernium, aniżeli obecnie niezgłębione mateczniki zbutwiałych swoich rektyfikatów, do których bez indeksu ani rusz! Nadto dodajmy, że nowo kreowany filozof, chłop już pod wąsem, nie wychylił był jeszcze ani razu wiecznie rozczochranej czupryny po za herkulesowe słupy miejskich rogatek.

Było to zaś *anno... anno...*, kiedy „babka była panną“.

Et, albo kto z Was, dobrodziejaszku, pojąć zdolen, co naonczas znaczyło: z pod prefektowskiej dyscypliny dostać się *na filozofię*. Wolno-ć było publicznie sprezentować się z pianką w zębach, sękatą wywijać palicą, białogłowom zazierać pod olbrzymie fordachy kapeluszy, kochać się nawet w cnej połowicy pana profesora. *Kurz und gut*, panie dobrodziejaszku, (tfu! wyrwało się z przyzwyczajenia) niewolnik najkompletniejszym stawał się wyzwoleńcem.

Owoż wyzwoleniec nasz pobiegł przedewszystkiem na „Halickie“ i buńdziucznie zajął stanowisko na rogu wojskowej strażnicy „*Dajczmajstrów*“. W najbliższem sąsiedztwie marsowego przybytku skrzypiał szyld z jaskrawo namalowanym mahometaninem. Czciciel proroka w papuzim turbanie i w cytrynowych pantoflach siedział sobie w kuczki, sztucznie bez żadnego punktu oparcia wisząc w obłokach dymu i z taką

fatalistyczną lubością pykał z nardżila, że młody filozof nie zdołał oprzeć się pokusie. W lot zaopatrzył się w paczkę „*Sonne und Mond*“ i w porcelanową „*majznerówkę*“ z odkręcadełkiem. Napełniwszy lulkę wonną siekaniną odurzającego zioła po samą nakrywkę, pyknął sobie po raz pierwszy w życiu, rozkosznie się zaciągnął i tocząc za sobą potężną kometę dymu, z powrotem podążył ku obserwacyjnemu punktowi u halickiej strażnicy. Podparł sobą jej węgieł i dumnie spojrzał wzdłuż placu.

W świat, przez różowe spoglądając szkiełka,
Bujasz, młodości, o wodzie i chlebie.
Rojeń twych jednak czarodziejska mgiełka,
Co z lulki dymkiem wzlata gdzieś w podniebie,
W burze się skropli jutro, w orkan dziki —
Wonnych zaś dymków skutkiem... „kociokwiki“.

Od kościoła OO. Bernardynów ku rynkowi wiła się nieprzerwana wstęga przechodniów. Nadsapał i Ksiądz Prefekt, jezuita, wczora jeszcze postrach studenta. Jak z ziejącego krateru Wezuwiusza buchnął mu w okulary butny wyzwoleniec. Ksiądz Prefekt, machnąwszy chusteczką, uszedł co żywo. Tryumfator okręcił się za uchodzącym — i cała połać kamienic okręciła się za nim. Z kamienicami okręcił się także długi rzęd odwiecznych, olejnych, zakopconych latarń. Słowem, niepojęta stała się zakrętanina. Filozofowi wypadła z zębów rozpalona porce-

lanka. Ni to trąba jerychońska, zagrzmiało mu nad uchem:

— *Kikero!* Co tu robisz?

Był to koleżka, *Homunkulus,* gigant piramidalnego wzrostu, grubym połciem sadła dokolusieńka oblany. Pochwycił chwiejącego się konfratra w mastodontowe objęcia i obwisłe jego skronie przytulił do piersi.

— *Kikero,* co tu robisz?

— *Ich, ich brüte* — wyjąkał wpółnieprzytomny konfrater, straszliwie blady, zapewne w supozycji, że to Ksiądz Prefekt z bizunem omotał go potwornemi ramiony.

— *Kikero, Kikero,* co tobie? — (Wtem nogą potrącił o rozpryskaną „*majznerówkę*") — Rozumiem. Pójdź!

Ekscerpt trzeci,

czyli zaczątek romantycznych dziejów czworga serc, z których każda para płci odmiennej. Słówko o ambitnych aspiracjach popadjanek z przed czasów bombardacji. Mąszercia i Tutawusia.

U południowego stoku górki Wronowskich, w wąwozie dzisiejszej uliczki, wiodącej na cytadelę, w przysiadłym do matki-ziemi domku, zakwaterował się był „kątem" spasły *Homunkulus* z wiernym swoim kommilitonem. Zawlokłszy go tedy do wilgotnej izdebki, stęchlizną cuchnącej i grzybem, zlał mu zawartością glinianej makutry

rozczochraną czuprynę, ułożył mizeraka na studenckiej pryczy, przykrył warstwą zszarpanej waty, która za lepszych czasów szczyciła się mianem kołdry — i tak spełniwszy miłosierny uczynek Samarytanina, przebiegać jął deski trzeszczącej podłogi, zapadającej się pod niespokojnymi jego krokami, jak klawisze zdezolowanego klawikordu.

Chodził, chodził, mruczał i stanął.

— *Kikero*, nicponiu! Bębny rozjeżdżają się na wakacje. Djabli wzięli korrepetycje. Masz co dutków?

Kommiliton, ponuro westchnąwszy z głębin zbuntowanej dyspepsji, upuścił na deski spłowiały, paciorkowy woreczek. *Homunkulus* podniósł, zważył w garści i nie zbudowany lekkością paciorków, z pogardą cisnął je na watę. Znów skrzypi podłoga. *Homunkulus* przechadza się w zamyśleniu.

— Słuchaj, ja co innego. Gdybym jeno chciał, byłby pański wikt, królewska stancja i wspaniała pozycja w świecie. Rozumiesz, gdybym jeno chciał. Ty przepisywać będziesz panu Kamińskiemu role po dziesięć obolów od arkusza i statystować w kusym orszaku Bryndusa. Ja (ho! ho!), ja, co innego. Gdybym jeno chciał. Słyszysz? Mógłbym dać szusa na prowincję.

Kikero ściska łeb pięściami i milczy.

— Świetna propozycja. Guwernerka na czas wakacyjny, w Sanockie. Dom h r a b s k i. Słyszysz? h r a b s k i. Cugi, kucharz, kamerdyner w bawełniannych rękawiczkach. Gdybym jeno chciał, calutkie utrzymanie, a pańskie. Co za pozycja — i rulonik cwancygierów w srebrze. Miesięcznie z góry.

Siłą woli uniósłszy się na łokciach, stękający towarzysz z podziwem i ze źle utajoną żaluzją wlepił mdłe źrenice w wybrańca fortuny. Guwernerka w h r a b s k i m domu... w h r a b s k i m... mój Boże!

Homunkulus mruczał, namyślał się, długo walczył z sobą, nareszcie zawołał:

— *Kikero*, nygusie, jedź!

Pacjent zrzucił z siebie okrywadło i siadł na pryczy.

— Uważasz, mazgaju, *verbum* to *verbum*. Dałem słowo *Mąszerci*. Nie pojadę. Odstępuję ci kondycję. Jedź!

Jeden skok — i *Kikero* zawisnął u szyi *Homunkula*.

— Zbawco! Salwatorze!

— Ale... przysługa za przysługę.

— Żadnego a l e; dyktuj warunki.

— Wytniesz mi dystychon do Mąszerci. Tobie to jak z płatka.

— Dwa... pięć... dziesięć.

— Jeden, ale taki, uważasz, no!! Kładź się, zielona żabo. Godzina drzemki postawi cię na nogi i doda weny. Bo to musi być coś... coś... uważasz *extra!* Ja tymczasem pędzę rzecz ułożyć. Marsz w bety!

Homunkulus wybiegł, *Kikero* zasię zanurzywszy kudłaty łeb w makutrze, zabrał się do zamówionego dystychonu.

Mąszercia bezsprzecznie wartą była poetycznego polotu. *Homunkulus* (jak dwa a dwa cztery) z koleżki byłby śmiertelnego zrobił sobie wroga i rywala, gdyby nie — *Tutawusia.*

L'amour... die Liebe... Raju tego lazur
Wieszczów natchnieniem, czy to Gal, czy Mazur,
Lapończyk zimny, czy gorący Hiszpan.
Siądź więc — chwyć pióro — zamaczaj — i pisz pan!

I *Kikero* siadł — zamaczał pióro — i jął pisać. Tymczasem posłuchajmy, kto była *Mąszercia*, a kto *Tutawusia.*

Mąszercia i Tutawusia były to sobie dwa świeżutkie, jak pączki na maśle pulchniutkie podlotki, miluchne popadjaneczki. Ta blondynka, tamta brunetka. Ta z pod Rymanowa, tamta z pod Rozdołu. Obiedwie u MM. Ormianek uzupełniały we Lwowie swoją edukację, prywatnie zaś „na stancji“, pobierały lekcje francuszczyzny, co (jak na one czasy) niepomału świadczyło o zasobności i ambicji zacnych duszstarowników, ich życiodawców.

Dwudziestoletni *hic* (*generis masculini*) i szesnastoletnia *haec* (*generis feminini*) niepomierną zdradzają skłonność do zawiązania *hoc* (*generis neutrius*), tj. niewinnych negocjacyj, które biorą początek w strzelistych supirach, kończą się zaś co najmniej na wymianie słodkich bilecików, gryzmolonych ołówkiem, z dotkliwą częstokroć zakałą ortografii, na wydartych z seksternów szpargałkach.

Kto z Was, Najmilsi, łez nie ronił ongi,
Przysiąg koszlawe kreśląc dziwoląg?..

Popadjanki, z onego okresu dziejów galicyjskiej ojczyzny, pisywały i przemawiały mniej może poprawnie, aniżeli w dobie dzisiejszej, wszelako, jeśli grubo podszyta kieszeń tatusia pozwalała na sięgnięcie w wyższe sfery edukacji i poloru, próbowały liznąć także nieco *grammaire*'y. Francuszczyzna w onych czasach i w onej sferze, należała jeszcze do nader rzadkich osobliwości; pokazuje się jednak z niniejszego, że do rzędu nieprawdopodobieństw zaliczyć jej nie można. Nie dziwota tedy, że szpargałki kruczowłosej Handzi z pod Rozdołu rozpoczynały się tkliwą apostrofą „*Mą szer!*“, — podczas gdy złotowłosa Domcia z pod Rymanowa zwykła je była kończyć stałem zapewnieniem: „*Tu tawu*“. Stąd między *Homunkulem*, a tegoż powiernikiem, *Kikeronem*, w tajemniczych szeptach wyrodziły się kabalistyczne miana bogdanek.

Los postanowił, że *Mąszercia* wakacje przepędzi we Lwowie. Natomiast *Tutawusia* po milionach zaklęć, łez i przysiąg w kruchcie u MM. Ormianek, odjechała do mamy, pod Rymanów. Została *Mąszercia*, — zostaje zatem i *Homunkulus*. Decyzja ta *Homunkulus*'owego losu rozstrzygnęła o losach *Kikerona*.

Gdy opasły gigant z powrotem wpadł do izdebki, kommiliton jego deklamował po raz setny z natchnieniem Ariosta, a z namaszczeniem keltyckiego Druida:

Amora nawskróś przewiercony strzałą,
Jęczy *Akteon* w pętach Twych, *Dyjanno*!
A Tobie przecie jeszcze to za mało,
O cudna panno...

Z Plutona ciemnic, z za wezbranej *Lety*,
Rycze ku Tobie przez głębinę szklanną; *(sic)*
A Tobie-ć jeszcze za mało, niestety,
O boska panno..

Sylene srebrna nie nęci mnie z Nieba; *(sic)*
Ni złoty *Helios* z tarczą swą poranną; *(sic)*
Jakichże przysiąg, na *Zeusa*, Ci trzeba,
O sroga panno...

Arcydzieło rozmachanego geniuszu wprawdzie nie mogło rościć sobie prawa do miana: dystychonu, atoli Olimp, zestawiony w nader kunsztownej konfiguracji, oraz gorżkie żale nad urogością rozdolskiej popadjanki, (która zresztą z tej racji do żadnej nie poczuwała się winy), wprawiły rozkochanego *Homunkula* w tak nie-

kłamane uniesienie, że w zachwycie palnąwszy kułakiem w dołek rymotwórcy, zawołał:

— A ty Kanibalu! żeby cię dunder... Ruszaj w Sanockie!

Ekscerpt czwarty,

traktujący o tem, z jaką mozołą novoczesny Jazon ekwipował się na wyprawę po Złote Runo.

— Stań-no, chłopie, a prosto. Rozpatrzę się w twojej garderobie.

Kikero usiłował wyciągnąć się jak struna; atoli zawiasy kolan odmówiły mu sprężystego posłuszeństwa. *Homunkulus* okrążył go z badawczą skrupulatnością handlarza nierogacizny.

— Nie. Ani du, du. Dreliszkowe ten-tego po kostki — wigoniowy, wytarty szpencer — świecące łokcie — spalone cholewy — i ty wybierasz się, łotrze, w *hrabski* dom?! Osusz sobie łeb i goń na miasto!

Obywatel Feiwel Nusselblatt, przy ulicy Smoczej, zażywał u lwowskich filozofów reputacji uczynnego dostawcy i artysty w swoim fachu. Wybredność jego smaku nie ulegała żadnej wątpliwości.

To też *Kikero*, jak paw pysząc się imponującym swoim wyglądem, opuścił progi jego „magazynu“, wyekwipowany w *hrabski* dom z całym szykiem nadpełtwiańskiego *incroyable*'a. Ciemno-oliwkowy rajtfrak z bronzowym, man-

szestrowym kołnierzem, niecił wprawdzie niejakie podejrzenia, jakoby już po dwakroć był nicowany; seledynowa, w ceglaste paski kamizelka, zapięta na błyszczące, stalowe guziki, zdradzała już wprawdzie chęć zarumienienia się w poczuciu swojej niemłodzieńczości; wszelako kanarkowa, obcisła, poniższa część ubrania z szerokim lampasem i o skórzanych sztruplach, bezsprzeczuie zaledwie raz jeno zetknąć się była mogła z balją pani Feiwlichy. Koronę dystynkcji stanowił kastorowy boliwar o szerokich rondach, któremn chyba ten jeden zrobić mógłbyś zarzut, że nie. potrzebnie zapadał po same nozdrza filozofa Obywatel Nusselblatt z za progu jeszcze cmokał z admiracji. Troskliwy *Homunkulus* po trzykroć wracał do „magazynu“, utyskując na przydługie nogawice dolnego, przykrótkie zaś rękawy górnego ubrania koleżki, atoli obywatel Nusselblatt (artysta fachowy i koneser) taką wypalił mu prelekcję o praktyczności przydługich szarawarków ze względu na ewentualny wyrost, przykrótkich zaś rękawów ze względu na wygodę przy pisaniu, że wszelkie dalsze certowania się malkontenta okazały się bezpodstawnym grymasem.

Z nieboraka przeistoczyć się w „porządnego“ człowieka nie trudno, wobec takiego materjału, kroju i gustu; przy wypuszczeniu jednak eleganta z „magazynu“ zaszły pewne trudności, którym położyły kres dwie wysłużone pierzyny,

powierzone artyście w zastaw, oraz niewinny skrypcik, podpisany przez obudwu nabywców, solidarnie zaś kontrasygnowany przez dwudziestu i siedmiu zacnych kommilitonów.

Poczciwe chłopcy nie poprzestali na tym dowodzie koleżeństwa. Miedziaki złożywszy do miedziaków, pokryli koszta Jazonowej *„okazji“* w głąb sanockiej Argolidy. *Cyklop* obdarzył go na pamiątkę perkalową, kraciastą chusteczką; *Seneka* nie zapomniał o parze pocerowanych rękawiczek; *Holofernes* uszczęśliwił podróżnika grubym łańcuchem z rzeszowskiego złota, maskującym zręcznie niedostatek czasomiaru; *Alcybiades* wetknął mu w kieszeń rajtfraka kilka jabłek na drogę — i tak ościskany, ocałowany, spłakany, wskoczył do żydowskiej budki za grodecką rogatką i zniknął w kurzu gościńca.

Ekscerpt piąty,

świadczący o niepowściągliwie rozkiełznanej fantazji młodego filozofa, która z racji lipcowej kanikuły puszcza się na rozdroża, niemniej o przysłowiowej niestałości męskiego plemienia. Kikero, a z nim czytelnik, robi znajomość z przedsiębiorczym inkwizytorem w osobie damy pięknej, jak malowanie. Stara historja o „paniczu“ i „dzievicy“.

Żydowska budka trzęsła. To prawda. Nie zdołała jednak z oszołomionego podróżnika wytrząść upartych rojeń, które jak muchy obsiadały mu móżdżek, zwłaszcza, że rozpięte nad

budką płótno wzbraniało delektowania się widokiem wiejskich łanów. Jeno woń ich wciągał w rozdęte płuca, napawając się nią do sytości po pierwszy raz w życiu.

Fantazja *Jazona*, chyżo bieżąc przed chromą szkapiną, zawiodła go do bawialni *hrabskiego* pałacu... Z okien zwieszały się prawdziwie *hrabskie* koronki; na wytwornej zaś kanapie iście *hrabskiego* salonu, rysowały się poważne postacie pana *hrabiego* i pani *hrabiny*, nad których *hrabskimi* tupetami majestatycznie błyszczały w powietrzu dwie *hrabskie* korony... Siedzą milcząc obok siebie, pan *hrabia* i pani *hrabina*. widocznie mrąc z niecierpliwości oczekiwania.., Aż tu *hrabski* strzelec w złocistej liberji anonsuje u drzwi: „N. N., filozof“... Wchodzi *Kikero* w Nusselblattowym, ciemno-oliwkowym rajtfraku, składa głęboki ukłon — i okazałem swojem *exterieur* piorunujące sprawia wrażenie... Pan *hrabia* pod wpływem nieopisanego tego wrażenia powstawszy z grandezzą, przedstawia czcigodnej *hrabinie*: „N. N., filozof“... Pani *hrabina* podnosi się z dobrotliwym macierzyńskim uśmiechem, szepcząc łaskawie: „Bardzo mi przyjemnie“ — i *hrabska* rączkę podaje mu do ucałowania... Pan *hrabia*, w zbyteczny nie zapuszczając się dyskurs, skinieniem przywołuje ugalonowanego fagasa: „N. N., filozof. Wikt przy pierwszym stole — tapetowany salonik na piętrze —

wszelkie wygody. Macieju, żeby mi panu na niczem nie zbywało“... Potem pan *hrabia* sięga dłonią ku złotej tacy i ruchem, pełnym arystokratycznej, *hrabskiej* elegancji, podaje gościowi rulonik srebrnych, bitych cwancygierów...

Myśl, w kanikuły opowita cisze,
Miód ssąc, jak motyl, w kwieciach się kołysze...

— Ależ to spiekota! Duszę się.

Słowa te budzą zadumanego podróżnika; słowa, wynucone dźwięcznym, miękkim, aksamitnym głosikiem. Wprawdzie (mówiąc z pewnym muzycznym recenzentem) „przyćmiony *timbre* wokalizacji w górnym rejestrze raził nieco surową ostrością, za to zaś dolny rejestr zdradzał pewne znużenie, objawiające się chropowatością intonacji“, atoli mniej doświadczonemu młodzianowi głosik ten brzmiał dźwięcznie, miękko, aksamitnie. A że aksamitny głosik musiał przecie jakąś mieć właścicielkę, podniósł oczy i przyjemne uczynił spostrzeżenie, że płótno żydowskiej budki, krom filozoficznej jego jaźni, kryło zarazem jaźń rodzaju nadobnego, nieznajomej towarzyszki podróży. Fizys damy, jak delficka wyrocznia, stanowczej nie dawała odpowiedzi na drażliwe zagadnienie w kwestji wieku. Mogła być pierwszej, mogła być i nie pierwszej młodości. Płeć walczyła o prym z śnieżną białością ponowy; bujne róże, na niej wykwitające, pozwalały prze-

sądzać, że krasę swoją bardziej zawdzięczają zabiegom sztuki, aniżeli prawdzie natury; aparat za to wzroku, zamieszczony w dwu ognistych kulach, miotających się niespokojnie w podkreślonych ołówkiem orbitach, funkcjonował z przerażającą intenzywością

Młodzian spiekł raka, upomniał się jednak corychlej, zwłaszcza, że nieznajoma potrafiła dziwną natchnąć go odwagą, podając mu wypieszczone paluszki.

— Duszno mi. Pomożesz mi pan wysiąść?

— Z ochotą.

— Buda wlecze się pod górę. Przejdźmy się nieco piechotą.

— Służę pani.

Wysiedli. Śnieżnolica podała mu nasamprzód tulejkę z lodowatym cukrem, potem ramię. Za wlokącą się budką, wolnym krokiem, ręka w rękę, upalili spory kawał drogi. Nader zajmująco zawiązana pogawędka, niebawem przeszła w stadjum poufałych zwierzeń.

On rad był wielce — ona wielce rada;
Ona go pyta — on zaś odpowiada.

Dama nietylko odznaczała się swobodą sztukowania djalogu, lecz i nie była pozbawioną wybitnych zdolności inkwizytorskich. Zręcznymi zwroty nad wyraz szybko zorjentowała się we wszystkich szczegółach, dotyczących wycieczki

Jazora w Sanockie. Przy tej sposobności przeróżne obrabiało się warjanty na temat: „filozofia“ — „praktykantura“ — „adjutum“ — „stała posada“ — „klasa dyet“. Młodzian (oczywista) przezornie wyłączył z konwersacji wszelką wzmiankę o *Tutawusi*.

Nawzajem Śnieżnolica nie czuła potrzeby zachowania w tajemnicy dwu szczegółów pełnych wagi: nasamprzód, że jest jeszcze stanu zupełnie wolnego, — a potem, że zdradliwy ród męski nie cieszy się u niej najlepszą reputacją. Uważała również za stosowne napomknąć, że przeświadczenie o wiarołomności mężczyzn zgoła nie przeszkadza gorącej jej inklinacji wyszukania sobie (na tym padole płaczu) dozgonnego przyjaciela, któryby ją z bagniska pessymizmu wydźwignął.

Na przełomie góry, znów usadowili się w budce. Usadowili się, ile możności, najbliżej siebie.

Po *Tutawusi*, druga z rzędu była to białogłowa, z którą tak niebezpieczny wiódł djalog. *Tutawusia* bezsprzecznie wiosenniejszem pociągała pysiem, atoli parafiańskie jej maniery nie zdołałyby wytrzymać konkurencji wobec swobody i dystyngowanego rezonu indagatorki, przerzucającej się ze swadą wytrawnego dyplomaty z przedmiotu na przedmiot, a ciskającej półsłówkami, domyślnikami, uśmieszkami i szmerami palących spojrzeń. Szale porównania nie

ważyły się długo. Lada puszek, Zefiru powiewem zlekka nadniesiony, przeważyć musiał na stronę wymownej rywalki. Puszkiem tym była rozstrzygająca okoliczność, że *Tutawusia* tęskniła w oddali — rywalka zaś chichotała się pod bokiem.

Biło mu też serce, biło. Aromat kobiecego sąsiedztwa, podniecony słodyczą lodowatego cukru, łechtał mu nerwy, pobudzając do coraz śmielszych zwierzeń. Nie skłamiemy, dodając, że każde pytanie i każdą odpowiedź zamykał gorącym pocałunkiem, wyciskanym na białych paluszkach panny Hermenegildy.

Było jej — Hermenegilda.

W Głódku westchnęła „dziewica“. Westchnął i „panicz“. Potem westchnęli oboje, „panicz“ i „dziewica“.

W Mościskach „panicz“ wyznał „dziewicy“, że z głębi duszy błogosławi *Homunkula* za odstąpienie mu kondycji.

W Sądowej Wiszni namiętną stwierdził przysięgą, że teraz dopiero niejakiego nabrał wyobrażenia o rozkoszach Adamowego raju.

W Przemyślu „dziewica“ zagadnęła znienacka „panicza“, zali dobiwszy się stałego arkusza, nie omieszka matrymonialnej poświęcić się karjerze? Zacukał się rozgorączkowany „panicz“ i wydał z gardła ton jakiś zagadkowy, ton, który wogóle do niczego nie zobowiązuje; „dziewica“ jednak czule uścisnęła go za serdeczny

palec i nuż domagać się natarczywie, ażeby strudzony wędrowiec spoczął godzinkę w Rymanowie, w domu najstarszej jej siostry.

Owszem. W Rymanowie krótką zabawi godzinkę. Kawunia „bez szczypty cykorji, z lukrowanym sucharkiem“, nęci go niepomiernie. Okolicy jednak unikać będzie skrzętnie...

Na wspomnienie Rymanowa i okolicy, z topieliska lekkomyślnej niepamięci porwały się, jak stadko spłoszonych krzyżówek, mary przysiąg, wygłoszonych w kruchcie u MM. Ormianek.

Ekscerpt szósty,

czyli nie-racławicka panorama pogromu „panicza“, do której uwiecznienia na płótnie brak autorowi penzla Styki i Kossaka.

Rymanów. Budka zatrzymuje się na rynku. Dychawiczna szkapa powetować sobie musi ubytek wątłych sił godziną popasu. Wyrajtfraczony *Kikero* w towarzystwie rozpromionionej Hermenegildy spieszy na kawunię „bez szczypty cykorji“. Pudełko i tobołek panny dzierży w lewej garści, u prawego zaś ramienia wiedzie znajomą Nieznajomę, a raczej daje się w tryumfie wieść ku dworkowi na przeciwległym końcu miasteczka. Wchodzą na ganek.

— Paraska!

— Paraska!

— Mój czepek!

— Mój staniczek!

— Paraska!

— Paraska!

Przewodniczka półgłosem wyjaśnia *Kikeronowi*:

— To moja średnia siostra i córeczka jej, moja siostrzenica. Zjechały do najstarszej mojej siostry. Na *św. Petra i Pawła* odbędzie się u tutejszego parocha prażnik. Co za prażnik! Szkoda, że pana nie będzie. Wyhulalibyśmy się na umor. Proszę do pokoju — tędy — na prawo. Tylko bez ceremonii, jak w domu, u siebie.

Panna trzepie się w podskokach, wprowadziwszy go do schludnej, czysto wybielonej izdebki i zrzuciwszy kapelusik, oswobadza gościa od pudełka i zawiniątka.

— Usiądź-że pan. Odłóż ten kastor. (Błyszczący kastor, przedmiot dumy filozofa, umieszcza na szczycie staroświeckiej szafy, sięgającej pod sam pułap). A teraz, wybaczysz pan łaskawie, że się usunę na chwileczkę.

Podskakująca panna wpadła do alkierza, skąd dolatywał obiecujący brzęk filiżanek, pomięszany z niewieścim szeptem i z szelestem wykrochmalonych spodnic, co pozwalało domyślać się żeńskiej kongregacji. *Kikero* nadstawił ucha.

— Filozof, powiadasz?

— Ze Lwowa? Nie może być.

— Jedzie na guwernera.
— Do hrabstwa? No, proszę.
— A przystojny, ciociu?
— I bardzo. Obaczycie.
— Do hrabiego jedzie? Do hrabiego? Serjo?
— Jak Bozię kocham.!
— Brunet? Blondyn? Szatyn?
— Obaczycie.

Konkregacja przeciągnęła się dość długo. Nareszcie otwarły się drzwi. Wyczubione trzy damy weszły kolejno gęsiego. Najstarsza siostra panny Hermenegildy — średnia siostra panny Hermenegildy — i panna Hermenegilda we własnej osobie.

Prezentacje.

Wtłoczono filozofa na sofę — na sofę, sterczącemi sprężynami niezmiernie kolącą, lecz tak obszerną, że wszystko czworo zmieściło się jakoś obok siebie.

Dyskurs, zrazu banalny, jak zazwyczaj bywa:
Dzień parny. Słońce piecze. Piękne będą żniwa.
Mróz w zimie. Wiosna słotna. W lecie za to skwary.
Sługi złe Mięso drogie. Chory ksiądz Wikary.
Od zachodu się chmurzy. Na zlewę się zbiera.
Nocuj pan. W żaden sposób. Szkoda!.. *Et cetera.*

Średnia siostra uniewinnia nieobecność córeczki:

— Moja dońka kończy tualetę i zajmuje się przyrządzeniem kawuni. Pan lubisz kawę? Już

to my używamy na kawce. Ani szczypty cykorji. Donku! (woła), pospiesz się, serce!

— Siostra właściwie nie powinnaś panienki wyprowadzać do gości, (pouczającym tonem zauważa ciocia Hermenegilda), jeszcze to dziecko, pensjonarka.

— Zmiłuj-że się, Henciu, dziewczynie czas. Lat piętnaście. Wyrośnie, jak dziczka.

— Jakież pańskie zdanie?

— Czyje?

— Pańskie, panie filozofie.

— Moje zdanie?... Zapewne. Aktualnie, spiekota nieznośna. Upaliliśmy sporo mil. Ile tego będzie, mościa dobrodziko?

— Biedny filozof, głodny i znużony. Siostruniu, podajcież raz podwieczorek. Paraska!

— Paraska!

— Paraska!

Otwarły się drzwi. We drzwiach stanął pulchny, złotowłosy podlotek z malwą w warkoczyku. Dźwigała na potężnej tacy imbryk, garnuszki ze śmietanką, rzędem ustawione filiżanki z łyżeczkami i srebrną cukiernicę. Podlotek stał w pąsach.

— Moja córeczka.

— Nasza siostrzenica.

— Ah, cioteczko... Ah, mamusiu... Wszak-ci to dobra lwowska znajomość. Jak to pięknie, że pan dotrzymujesz słowa.

— *Tutawusia*!.. syknął filozof, zrywając się z sofy. Srodze zmięszany szurnął podeszwą, otarł chustką czoło i bąknął: Aktualnie...

Ciocia ciska świdrujące spojrzenie. I rumieńce podlotka — i konsternacja filozofa — nie uszły doświadczonemu jej oku. Forknęła nozdrzami, jak rumak węszący wilka.

— Państwo się znacie? Pan przyrzekłeś odwidzić ją — hm — no, no!

— Aktualnie... w przejeździe...

— A gdzież-to zrobiliście tak bliską znajomość?

— We Lwowie... aktualnie...

— W kruchcie u MM. Ormianek, (wyrywa się naiwna, pieszczotliwie przyciskając rąbek tacy do falujących piersiątek).

— W kruchcie — hm — no, no!... Nie do wiary, nie do wiary. A trzymaj-że tacę koczkodanie, bo upuścisz!

— Postaw tacę na stole, donieczko, postaw, (przerywa ze słodyczą mama, promieniejąc budzącą się nadzieją). Pan filozof znużony i głodny. We Lwowie takiej kawuni nie dostanie za dukata. Siadajmy.

— Za pozwoleniem — (poważnym, stanowczym zwrotem rąbnie ciocia, kładąc tamę dalszemu pochodowi imbryka). Za pozwoleniem. (Tu chwyta opadłą bezsilnie dłoń młodziana i wygłasza z naciskiem i uroczyście:) Siostro

Pelasiu — siostro Madziu — mam honor zaprezentować wam *mojego narzeczonego.*

Taca z imbrykiem, garnuszkami, cukiernicą, łyżeczkami i z pół tuzinem porcelanowych filiżanek brzdękła na podłogę. Skorupy otoczyły wiankiem żywe posągi czteru dam i piątego filozofa. Fale czarnego i białego płynu lunęły im pod stopy, tworząc brunatną mięszaninę, pospolicie zwaną *melanżem.*

— Mamo, mamo!... (pisnęła przeraźliwie *Tutawusia,* oplatając ramionami szyję rodzicielki). Mamo, on w kruchcie przysięgał!

— Przysięgał, zbójca?! Puść! (woła mama, wydzierając się z objęć szlochającej latorośli). Puść! (I z rozwartymi szponami mściwej megiery skacze ku uwodzicielowi).

— Przysięgał... (bełkoce żółta jak mumia i sztywnie wyprężona ciocia). Przysięgał... Ha, ha, ha!.. Zdrajca!... Wody!... Ha, ha, ha!...

— Aktualnie... (cofa się nieszczęsna ofiara zbiegu okoliczności). Aktualnie... Pozwólcie panie...

— Milcz acan! (wrzaśnie najstarsza siostra, pani domu). Milcz acan. Wynoś się, pókiś cały.

Przyzwoitości pokruszone względy.
Wynieść się każą?.. Owszem — lecz... *którędy?*

Odwrót do drzwi odcięty. Boliwar na szczycie szafy. Furje napierają. Szczęściem okno otwarte.

Machnął oknem — i w nogi.

— Stój! — najcieńszym sopranem piszczy ciotka, rzucając się za zbiegiem.

— Puśćcie go... puśćcie go... niech go nie widzę... — łka rozpływające się we łzach jagniątko i siada bezwładnie w sam środek melanżowego jeziorka.

— Trzymaj! — rozwścieklonym kontraltem sprzeciwia się mama, chwytając w powietrzu niewidzialne widmo i straszliwie tupiąc mesztami, w skutek czego rozpryskana ciecz zalewa oczka i pysio łamiącej ręce dońki.

— Paraska! (resztkami tchu sapie pani domu). Paraska! Spuść Kruczka z łańcucha!

A nasz winowajca sadzi za sztachety co sił.

Haf! — haf! — haf!... rozlega się za nim infernalne ujadanie kundysa.

Ekscerpt siódmy,

jasno dowodzący, że strach, wielkie mając oczy, małą natomiast rozporządza porcją zdrowego rozsądku i gruntownej refleksji, oraz, że nie każdy zbieg, zmykający na skradzionym koniu, eo ipso jest już koniokradem.

Niewieścich furyj impetem przerażon,
Czesze gościńcem niefortunny *Jazon,*
Acz w żyłach z trwogi ścięły mu się soki...
Włos mu najeżył przestrach wielkooki.
Rozwiane poły falują u fraka;
Łytek okrutna dosięga sobaka.
Wrażego losu gnębi go nauczka;
Furyj się pozbył — lecz nie pozbył... Kruczka.

Że nieszczęsny umknął, rzecz to łatwo zrozumiała. Godziwe załagodzenie tak zaostrzonego

konfliktu w drodze ugodowej było wykluczonem. Że w sposób mniej może właściwy umknął oknem, także nie dziwota. Są w życiu chwile krytyczne, w których ku odwrootwi wybiera się arterję komunikacyjną, wyłącznie pozostałą do wolnej dyspozycji. Że umykając na skrzydłach panicznej trwogi, pędził przed się na oślep gościńcem, tłumaczy nacisk przerażenia, niepowściągnięte parcie przysporzenia sobie jaknajdłuższego dystansu między kończynami szosów nusselblattowego rajtfraka — a kłami rozjuszonego psiska. Dlaczego jednak zbieg, upaliwszy gościńcem dobre pół mili i uwolniwszy się od pościgu poszczutego brysia, przystanął i wysapawszy się nieco, zamiast powrócić do miasteczka i do czekającego nań woźnicy, dlaczego (powtarzam) przygnębiony, z głową zwieszoną puścił się dalej w drogę — dalibóg — racjonalnego nie znachodzę powodu. Powrócić, dopaść budki, kazać zaciąć rumaka i drapnąć z Rymanowa — oto, co radził zdrowy rozsądek. Atoli chorobliwy strach górę bierze nad zdrowym rozsądkiem. A zresztą, kto tam wie... może miał i rację. A nuż wszystkie trzy rozsierdzone siostry (w asekuracji warczącego Kruczka) żydowski wehikuł ogłosiły w stanie wojennej blokady?

Maszeruje tedy filozof gościńcem w przypuszczalnym kierunku hrabskiej rezydencji. Dra-

pie się w spoconą czuprynę i wzdycha ciężko. Przepadł nowiusieńki, błyszczący boliwar. Już go nie ujrzy nigdy.

Zwolna noc spuściła zasłonę na sromotną jego rejteradę. Lada szelest przydrożnej topoli napawa go śmiertelną trwogą. Lada szczęknięcie psa, hen, daleko, gdzieś we wsi, pobudza go do dreptania w przyspieszonem tempie. Każda wierzba nieopodal gościńca przybiera kształty zaczajonej postaci. Maszeruje raźnie — a pot rzęsisty skrapia jego ślady.

Stój!... Co to?... Tentent koni. Czy nie pogoń?... Kto? kogo goni? Jakiem prawem? Przywidzenie!

Przykucnął pod topolą i zaparł oddech w piersi. Tałap! — tałap! — coraz bliżej.

A jeśli trzy siostry i czwarta *Tutawusia* podszczuły już nie Kruczka, ale braciszka, wujcia, szwagierka?...

Jeśli go dopadną, niewinnie posądzonego o zbeszczeszczenie domowego ogniska?... Strach!...

Drgnął — zrywa się — pędzi.

Ba, co koń, to nie człowiek. Tentent grzmi już mu nad głową.

Wtem powstrzymane bieguny zaryły kopytami prawie na miejscu.

— To ty Franek? Tęgo-ś zwijał, bestyjo. Siadaj. W karczmie żydy już się ruszyły.

Kikero odetchnął. Franek — to nie on.

— Cóż-bo? Pójdź haw, drap się na kobyłę.

— Na kobyłę? No, jużci lepiej, aniżeli *per pedes*. Pomóżcie mi człowieku, to chyba wsiądę.

— Tfu! Taż to nie Franek. Co ty za jeden?

— Dobry człecze, zbłąkałem się. Żyd uciekł mi z furą. Dam wam na półkwaterek. Odstawcie mnie do wsi.

— A masz bratku pieniądze?

— Coś tam dytków jest.

— Hm.

W oddali, niby echo nadciągającej burzy, nowy zagrzmiał tentent. Chłop zaklął.

— Siadaj!

Żelaznemi pochwycon pięściami, *Kikero* znalazł się oklep na grzbiecie zdyszanego szłapaka. Machinalnie czepił się grzywy, chłop świsnął powrozem — i jazda!

Cwałem puściły się koniska obok siebie. W tyle huknęły gromkie okrzyki goniących. Tam do licha! Zagadkowa jazda zda się być wielce podejrzaną. Nieprzywykła do podobnych ćwiczeń odwrotna część jego całokształtu rozpaczliwą odbywa podróż po kościstych wybojach. Acz zgoła nie członek Towarzystwa geograficznego, jeździec nasz tyle naraz odkrył cyplów i przepaści, że iście zasłużył sobie na złoty medal męczeństwa.

Pędzą. Ci przodem — pościg za nimi. Już dopadała ich pogoń, alić chłop, pociągnąwszy raz jeszcze powrozem po zadzie szkapy towarzysza, uskoczył nagle ze swoim biegunem przez mostek w bok gościńca. Rumak filozofa odsadził się potężnym skokiem i całą pogoń porwał za sobą. Panie, bądź miłościw jego duszy!

Ekscerpt ósmy,

zakrojony na sielankę, staje się dydaktycznym, ostrzegając osobników poważnych, mianowicie filozofów, przed zadawaniem się z komedjantami.

Wschodzi słonko, wschodzi,
Rumienią się nieba;
Ziewnie w chacie Kaśka:
„Trawy usieć trzeba“.

Wschodzi słonko, wschodzi,
Na czerwonym stropie;
Kuba się przeciągnął:
„Ruszaj kosić chłopie!“

Ćwierka skowroneczek
Radując się słonkiem;
I Kuba-by ćwierkał —
Gdyby był skowronkiem.

Rumiany świt nietylko oblał purpurą sielskie łany i gaje. Zajrzał oraz ciekawie do rowu, tuż przy gościńcu, na skręcie. Z rowu gramolił się właśnie *Kikero*, zbolały na ciele i duszy. Przypuszczamy, że na onym skręcie, ulegając skutkom nieumiejętnej jazdy na oklep, „odłączył

się“ od grzbietu wyścigowca. Z piernatem — nasyp nie wytrzyma porównania. Wszelako, bądź-co-bądź, praktyczną jest on kryjówką, zwłaszcza w nocy, przed pościgiem żydków goniących koniokrada. Przeznaczenie, któremu filozof z goryczą złorzeczyć musiał w Rymanowie, okazało się dość jeszcze łaskawem, tłukąc go jeno na kwaśne jabłko. A wszak-ci mu łacno skręcić mogło łącznik między łbem a tułowiem, lub conajmniej przetrącić mu rękę lub nogę. Bóg strzeże dzieci i — bohaterów nowel i romansów.

Rumiany świt towarzyszył dalszej wędrówce chromiącego *Jazona*. Posiliwszy się w karczemce kiszonym ogórkiem, który wyśmienitą być ma dryakwją na melancholję — i nabywszy po drodze od pastucha słomiany, chłopski kapelusz (niezbyt odpowiedne *pendant* do pańskiego rajtfraka) około południa dobił się nareszcie do Krosna.

W desperacji błąka się po miasteczku, nie wiedząc, co z sobą począć Brak wszelkiej mamony nie przyczyniał się do powzięcia stanowczej decyzji. Skąd wziąć nieco grosza na opłacenie furmanki do hrabskiego *Tusculum*? Piechotą „zajechać“ przed kolumnadę hrabskiego pałacu — jakoś nie uchodzi. Ni żywej duszy znajomej. Nad wieczorem, ponury, łaknący i znękany zauważył, że od niejakiej chwili krok w krok włóczy się

za nim pejsaty łapserdak. Staje on — staje i starozakonny.

— Przeprosim honor pański. Możeby pan był duchem?

— Duchem? Jak to duchem?

— Nu, duchem. Wun zapłaci.

— Kto?

— Pan dyrektorz.

— Co za dyrektor.

— Fin di kumedje. Pan nie czitał afisz? Wuni dżysz grają komedje. Wun zapłaci.

Teatr? Przedstawienie?... Gdzie mu tam w głowie czytać plakaty! Wyraz: „zapłaci“ — arcysłodko połechtał mu ucho. Kiszony ogórek, bez dodatku sztuki mięsa, nie zawsze zdolen zaspokoić cielesne potrzeby człowieczeństwa. Jakataka kolacyjka i nocleg uśmiechnęły mu się w dalekiej perspektywie.

Nadbiega jakiś wygoleniec o dziurawych łokciach i w tureckim fezie z kutasem.

— A co, masz go?

— Jest, ale wun nie chce.

— Dlaczego pan nie chcesz? Szczupły, wysoki, stworzony na ducha. Także ceregiele!

(Ceregiele?.. Miły Boże! Głodny filozof, pod koniec doby, gotów był nietylko udawać ducha, lecz zostać nawet kominiarzem).

— Przepraszam, czy nie pan *Kikero* ze Lwowa?

— Pan dobrodziej mnie znasz?

— Do usług. Cioteczny pańskiego kolegi. Zeszłego roku bawiłem u niego przez tydzień jako subjekt bez kondycji.

— U kogo, panie?

— U *Holofernesa*, pod „capkiem“. Obecnie jestem Ślepowron, pseudonim, artysta dramatyczny.

— Ślepowronie, Bóg mi cię zesłał, ratuj.

— Toś pan goły?

— Jak bizun, panie.

— *Capitalissime.* Proszę ze mną. Spektaklik dziś, jak złotko. W Rymanowie jutro prażnik Zjazd popów, popadyj, popadjanek. Kupa po drodze zatrzymała się w Krośnie. Teatr na prowincji, to jeszcze dziwowisko. Budy ledwie nie rozwalą. Idziesz pan?

— Chodźmy.

Poszli. Na scenie, w zmrokach świątyni, oczekiwał Ślepowrona niecierpliwy pan dyrektor. Ślepowron, choćby z dna piekieł, przystawić miał *ducha*. Normalny *duch*, przed samym spektaklem, zachorował obłożnie (czytaj: strąbił się, jak nieboskie stworzenie).

Pan dyrektor podskoczył ku wchodzącym z długą żerdką w pięści. Za pomocą tejże zapalał płonącym knotem łojówki przed kortyną.

— Jest?

— Jest.

— Natrzeć mu gębę wapnem i odziać w prześcieradło.

— Panie dobrodzieju...

— Niema czasu. Marsz, za kulisy!

— Okrutnie'm głodny.

— Po spektaklu.

— Stać nie mogę.

— Marsz w prześcieradło. Niema czasu. Ślepowron! Poducz go tam wejścia. Do roboty!

Zawleczono filozofa za ostatnią kulisę, natarto mu oblicze blajwasem, brwi poczerniono przypalonym korkiem, kości owinięto popstrzonem przez drobnoustroje prześcieradłem i kazano mu wzdłuż linji, namarkowanej kredą, wykonać kilka wymierzonych, uroczystych kroków.

Z przed kortyny dochodzi go namaszczona przemowa pana dyrektora·

„Szanowna publiczności! Dyrekcja nie szczędziła kosztów, ni zachodu, ażeby godnie odpowiedzieć zaufaniu sławetnego tego grodu. Niesłychanie ważną, niemą rolę *ducha* w niniejszej dramie, będzie miał honor odegrać artysta ze Lwowa, ekstra-kurjerem zawezwany, właśnie zaś w tej chwili przybyły. Artysta zachować pragnie łatwo zrozumiałe (?) *incognito.*“

Szmer. Oklaski.

Rozsunięto zasłonę. Akt pierwszy w pełnym biegu. Tymczasem pan dyrektor staje przed musztrowanym adeptem.

— Gotów? Dobrze. Trzymać się prosto. Duchy nie garbate. Stąpać śmiało, a poważnie. Wzrok demoniczny. Ku publiczności nie zezować. Po bantach nie szperać za spodniczkami. Buty zakryć całunem. Kto acan?

— Filozof.

— Bzdurstwo. Zostań u nas. Będziesz suflować i przez patrony drukować afisze.

— Panie, jutro będę *hrab·kim* guwernerem.

— Furda. Za miesiąc będziesz grywał królów. Byle szczypta sprytu. Spryt, młodzieńcze, to wszystko. Teatr wysprzedany. A dlaczego? Bo mam spryt. Wytnij publice kominka, zlecą się jak gawrony. Na ten przykład: dzisiejszy afisz. Sztuka w trzech aktach. Zrobiłem odsłon jedenaście. Każda ma swój osobny tytuł: „Czerwona maska“ — „W mordowni“ — „Żywy trup“ — „Całus zatruty“ itd. Ha, co?! Artystów mam pięcioro. Na afiszu osób dwadzieścia siedm. Zje djabła, kto się na tem pozna. A moja awizacja? Występ gościnny ze Lwowa — *incognito* — hę?! Podaj dłoń, młodzieńcze. Zostajesz?

— Nie mogę, dobrodzieju. Jadę do *hrabiego*.

— Toś głupi. Hola, Tylczakowski! Zapalić księżyc. Na lewo, gamoniu. Z prawej zachodzi słońce. Kordula, pawianie, przyćmij światło, bo to noc. Baczność! Scena z duchem. Filozof na scenę! A nuże! Acan przyrósł piętami do desek, czy co? Pchnijcież go tam na środek!

Filozof zadrżał, jak we febrze. Pchnięty, jednym susem wypadł na scenę. Z bujającemi w powietrzu ramiony, zachwiał się, szukając równowagi — i stanął.

Grzmot oklasków powitał efektowny występ.

— Ukłoń się. Niżej! (szepcze pan dyrektor z za kulisy). Nie w tę stronę. Ku publiczności. Żebyś pękł, skurczybyku! Teraz marsz naprzód. Zwolna. Po kredzie, hajdamako, po kredzie. Ławka, uważaj! Krocset, wywrócił. Żeby cię pokurczyło!

Filozof stracił zupełnie przytomność. Gdyby nie żerdka dyrektora, którą z za kulisy dźgnął go w lędźwie, byłby nie ruszył ani kroku. Puścił się tedy ku budce suflera, spuszczonym wzrokiem śledząc wzdłuż kredowej linji — alić współgrający aktor, zgodnie z informacją roli, na widok ducha srogi wydaje okrzyk przerażenia. Duch przeraził się jego przerażeniem — podniósł oczy — i w pierwszym rzędzie spektatorów spostrzegł nagle cztery niewieście postacie.

Były to trzy siostry i naiwna siostrzenica. Snać załaknęły rozrywki po wczorajszej katastrofie.

Ciocia uniosła się nieco z siedzenia i piekielnym błyskiem źrenic oślepiła skonsternowanego debiutanta.

— Hermenegilda! — wrzasnął i poderwawszy poły prześcieradła wpadł za kulisy.

Z za kulis wypadł na ulicę.

Na ulicy rzucił się przez płot i wtłoczył się między tyczki fasoli.

Z gąszcza tyczek wyskoczył na gościniec.

Gościńcem, wyciągniętym kłusem, nadjeżdżała właśnie angielska landara w dzielną zaprzężona czwórkę. Lejcowe stanęły dęba. *Kikero* usunął się pod kopyta.

— Wszelki duch chwali pana Boga — zadzwonił zębami staugret, ściągając lejce.

— *Mon Dieu!... Qu'est ce que ça?* — pisnął cienki głosik z wnętrza karety.

— Upior! Uciekaj, kto w Boga wierzy! — huknął zeskakujący z kozła strzelec.

Z landary wyskoczył niemłody, elegancki mężczyzna i przy blasku latarni nachylił się nad leżącym.

— Jakaś kobieta, Michale.

— Zmora, jasny panie... Cholera... (żegna się przerażony Michał).

— *Jules, venez donc...* (błaga dama).

— Pek, pek, wiedźmo... Czego chcesz, duszo pobożna?...

— Cicho, stary głupcze. To jakiś obłąkany.

— Hermenegilda... Kruczek... Tutawusia... Zginąłem. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Ekscerpt dziewiąty,

z którego przekonać się możecie, że djabeł nie tak czarny, jak go malują i że nie każdy galicyjski hrabia jest t. zw. „galicyjskim“ hrabią.

A byłto pałac. Pałac w Pogwizdowie.
Kronika o nim dużo Wam opowie;
Lecz, by nikt długo nie wertował kronik,
Wprost doń Was wiedzie skrzydlaty mój konik.

Na dziesięć mil dokoła nie spotkałeś się ani z takim parkiem, ani z takim pałacem. Ależ bo i w całym powiecie nie byłbyś znalazł drugiego takiego grafa. Hrabia godnym był obywatelem i najlepszym ojcem rodziny. Komtessa, lubująca się we francuskich romansach, przesiąkła była nieco odorem zagranicy; lecz i ona, brylant nie kobieta. Dobrane to stadło wenerowali sąsiedzi; kmiotek śmiało do pałacu sunął w potrzebie. A konzolację wychowywało hrabstwo bez asystencji szwajcarskich bon i paryskich labusiów. Pani hojnym sumptem wspierała szpitale, szkółki i kościoły. Pan potroszę bawił się poważną lekturą, potroszę polowaniem.

Na masz! Wzruszacie ramionami. Skąd on, stary bajarz, dobrodziejaszku, wynypał takiego grafa w Galicji, przed rokiem czterdziestym i ósmym?

Wierzcie sobie — nie wierzcie. A przecie w takim, a nie w innym domu, nasz filozot przeleżał sześć tygodni nerwówki. Ale (panie

dobrodziejaszku) młody koń a człowiek, to jak żelazo. „Kostusia“ wyszczerbi jeno kosą znaczek i smyk, do staruszków! A że wyszczerbi nieraz znaczek, doznał tego na sobie młody filozof. Gdy zwlókł się z łoża boleści, głowę łysą miał jak kolano.

Siedzi rekonwalescent w wygodnym fotelu, smacznie popija winną polewkę i duma. Zerwał się na równe nogi i pokraśniał rumieńcem wdzięczności. Wszedł hrabia, poklepał go z dobrotliwym uśmiechem, posadził koło siebie i rzecze:

— Podczas ciężkiej twojej choroby, szarpałeś się młodzieńcze z niewidzialnym jakimś fantomem i wzywałeś bezustannie jakiejś Hermenegildy. Romantyczne to imię, dziwna maskarada ubrania, w jakiem cię podniosłem z gościńca, nie daje spokoju hrabinie, mojej małżonce. Twierdzi ona, że musisz być bohaterem osobliwego romansu o nader fantastycznym zakroju. No, bujną czuprynkę djabli wzięli. Nie rób sobie z tego nic. Czupryna odrośnie i panna Hermenegilda okaże się w końcu mniej okrutną.

— Oh, panie hrabio... wszystko, byle nie ta kobieta!

— Kobieta. Więc to osoba starsza?

— Starsza, panie hrabio, dobrze starsza. To nie kobieta. To furja, panie dobrodzieju.

— Ha, nie dojdziemy ładu. Jeśli nie masz przedemną tajemnic...

— Ja? Przed moim dobroczyńcą?! (Łzy puściły mu się ciurkiem — i cmok hrabiego w ramię.

— Ejże, ejże. Ne mówmy o tem. Hrabina pała niecierpliwością rozwiązania zagadki. Opowiadaj.

Kikero otarł łzy i z błogiem zadowoleniem, jak u konfesjonału, dał folgę przepełnionemu sercu. Hrabia przysłuchiwał się opowieści z rosnącem zajęciem. Wzmianka o *Homunkulu* i niedoszłej guwernerce, szczególnie zwróciła jego uwagę. Dziwnie wpatrzył się w narratora i śledząc postępujący tok spowiedzi, to się podnosił z siedzenia, to weń opadał, co chwila dłonią zasłaniając prychające usta. Nareszcie, gdy filozof skończył wyczerpujące swoje sprawozdanie. hrabia padł jak długi na szeslong i homerycznym wybuchnął śmiechem. Opowiadający przestał płakać. Słuchaczowi za to łzy kapały jak groch.

— Ta guwernerka... ta guwernerka... oh, oh, oh!... Więc to w mój dom wybrałeś się młody filozofie?

— Tak jest, panie hrabio. Dopiero teraz, wyzdrowiawszy, miałem zaszczyt dowiedzieć się, komu zawdzięczam życie.

— Dajże spokój czułościom. Nie. Nie do wiary. Pyszna historja! Nie gniewaj się, synku, lecz boki bolą mnie od śmiechu. Oh... oh... (Nowy wybuch spazmatycznej wesołości). Daj go

katu, filozof w opałach. A pozwólże, niech cię ucałuję! (I znowu legł na szeslongu, przyciskając rękoma żołądek): Oh... oh... oh!

Kikero, trąc powieki, przeczekał atak spazmów swojego dobroczyńcy, nie wiedząc, czy się weselić, czy smucić. Głęboko odetchnąwszy, hrabia powstał.

— Synku mój, skoro poczuwasz się do jakiejś wdzięczności, toć wywiązałeś się już z długu. Jeżeli zaś chcesz mi zrobić prawdziwą przyjemność, pójdź ze mną do hrabiny. Rzecz całą opowiesz *da capo*.

I uszczęśliwiony *Kikero*, w buduarze komtessy, powtórzył z wszelkimi szczegóły całą swoją odyseję.

Hrabina trzęsła się od śmiechu, utopiwszy oblicze w poduszkach kanapy. Hrabia wił się w konwulsjach na otomanie.

Filozof czuł się szczęśliwym.

Ekscerpt dziesiąty i ostatni,

świadczący o bezgranicznem poświęceniu się opiekuna, czyli walka Rolanda z rozsierdzonym smokiem. Tak zwany epilogus, którym każdy porządny autor zamyka swoją opowieść.

Kikero-rekonwalescent żył sobie jak w niebie. Używał w hrabskim „raju“, ciesząc się niepomiernymi względami jasnego pana i jasnej pani. Nie było dlań owocu „zakazanego“. Przeciwnie,

słodkie kompoty w towarzystwie posilnych pulardek tak mu posłużyły na zdrowie, że w kilka tygodni zaokrąglił się wcale przyzwoicie. Czaszka filozofa jęła obiecująco porastać meszkiem świeżego porostu.

Pewnego dnia, bezpośrednio po obiedzie, zaturkotało przed fasadą pałacu i w westybulu dał się słyszeć piskliwy głos niewieści:

— Czy mogę widzieć się z Jaśnie Wielmożnym Panem Hrabią?

— Gwałtu, Hermenegilda! — wrzasnął trawiący w spokoju rekonwalescent, porywając się od stołu.

Hrabia przytrzymał go za połę.

— Szalony, stój. Rozmówię się z tą damą.

Ha no, usiadł struchlały filozof. Hrabina z dziećmi opuściła jadalnię; pan domu zaś rozkazał gościa poprosić do saloniku obok. *Kikero* siedzi — drży i słucha.

W saloniku toczy się następująca rozmowa:

— Panie hrabio, widzisz przed sobą ofiarę wyrafinowanej przewrotności młodego człowieka, którego gościnnie przyjąłeś w Twoje progi. Pod bokiem dziatek Twoich, niewinnych aniołków, tuczy się bezecny potwór. Potwór ten rozdarł na szmaty dwa niewieście serca. O nikczemności!.. O ludzka obłudo!... O!... O!...

— Z kim mam honor?

— Hermenegilda Pąciurkiewiczówna.

— Racz pani spocząć.

— Spocząć, pod jednym z nim dachem?! A zresztą, dobrze. Siadam. Pozwolisz pan, że się wywnętrzę.

— Wywnętrz się pani.

— Oszukał mnie haniebnie. Zdradził. Zawiązał los sierocie.

— Proszę się uspokoić. Może nie jest tak dalece winien.

— Nie jest winien?! Przebóg, gdybyś pan znał dzieje dziewiczego mojego serca.

— Znam je potroszę, mościa dobrodziejko.

— Ha! — a więc zdrajca chełpił się swoim tryumfem? O panie hrabio, tamto dziecko zapomni i przeboleje; lecz ja — ja — biedna sierota... (Tu słychać utarcie zwilżonego łzami nosa).

— Mam nadzieję, że i pani zapomnisz.

— Nigdy!

— Ależ bo...

— Dziewiczą moją duszę zatruł na wieki. Skonam, a śmierć moja niech spada na głowę uwodziciela!

— Mościa panno, któż znowu widział tak tragicznie?

— Skonam, panie, skonam. Umieram. Oh..

— Janie! (Słychać wejście kamerdynera). Janie, szklankę wody dla dobrodziejki.

— Dziękuję. (Jan wychodzi). I cóż będzie z nami, panie hrabio?

— Jakto, co będzie? Sformułuj pani swoje pretensje.

— Musi ożenić się ze mną.

— Kto? On? Taki dzieciuch.

— Śliczny mi dzieciuch. Rozdarł odrazu dwa serca.

— Nie dałoby się jak załatać?

— Panie hrabio —

— Bo to... jeśli mnie wzrok i pamięć nie myli, przed dwudziestą laty kuzynek mój, hrabia Witalis —

— Co?!

— Potem sąsiad, pan Kalasanty —

— Przestań pan!

— Pono i pan mandatarjusz z Chlebowic —

— Mdleję.

— Janie! (Wchodzi Jan.) Szklankę wody dla pani.

— Idź precz, fagasie! (Jan wychodzi.) Pan hrabia insultujesz mnie we własnym domu.

— Pomagam jeno waćpanny pamięci. Dziwna, jak ta pamięć nie dopisuje; na domiar b. artystce dramatycznej.

— Tak jest. Dawniej poświęcałam się sztuce. Zasługuję też na pewne względy. Mniejsza z tem. Przysiągł, że się ożeni.

— Bóg sądzić go będzie, moja panno.

— I osądzi — i ukarze — i ukarze okrutnie. Bóg pomści moją krzywdę na nim, na jego dzie-

ciach, na jego wnukach i prawnukach w dziesiątem pokoleniu.

— Zostawmy to Opatrzności. Czego waćpanna ostatecznie żądasz?

— Męża.

— Za młody.

— Wyrośnie.

— Schorowany. Łysiuteńki.

— Łysy, nie łysy, ale zawsze mąż.

— Trudna z waćpanną sprawa. Zreflektuj się, proszę. Byłbym gotów do pewnych ustępstw. Oczywista nieprzesadnych.

— Tak?! Sianem wykręcić się chcecie?

— Racz się pani zmitygować. Może szklaneczkę wody?

— Daj mi pan spokój z tą wodą. Cóżto ja pompa?!

— Moja panno, pęka mi ostatni guzik kurtoazji. Gotów'em stanąć w całej nagości oburzenia. Streszcz się waćpanna.

— Dobrze. Streszczam się. Pięć tysięcy jak obszył — albo ślub.

— Janie...

— Cztery tysiące — albo skandal.

— Janie...

— Trzy tysiące.

— Krocset, tego już nadto. Janie!

— Słucham Jaśnie Pana.

— Pomożesz pannie przy wsiadaniu.

— Tak?!... Otóż-to hrabska gościnność. Wandal. Żegnam. Usłyszycie o mnie. Chcę jednak wychylić czarę goryczy do dna. Proszę przy tym świadku, głośno i wyraźnie, wymienić powód, dlaczego pan uwodzicielowi nie pozwalasz ożenić się ze mną? A ty fagasie, wytęż uszy; będziesz przysięgał w sądzie. No cóż, panie hrabio, powiesz pan?

— Powiem.

— A zatem?

— Nasamprzód młokos nie jest uwodzicielem, a raczej waćpanna uwieść chciałaś młokosa. A potem...

— A potem?...

— A potem... *pani mogłabyś być jego matką.*

. . . . . .

Trzask. Wykrzyk Jana, chwytającego się za policzek. Dama wybiega z furją.

. . . . . .

No — i?... No — i?...

No — i nic.

Odtąd obadwaj mieli już spokój. Hrabia i filozof. Przedewszystkiem nasz filozof,

który do Lwowa wnet puścił się w drogę.
Rzecz radbym zamknąć wierszem — lecz nie mogę.

XVIII.

„Tak płata nieraz psoty Konduktor lub przypadek.“

Dwuwiersz, przytoczony z utworu poety, drukowanego nawet „za granicą“, niech nam posłuży za tytuł, oraz za *motto* obrazka, który otwarci nieprzyjaciele autora zaliczą do mniej może szczęśliwych wybryków niedopisującej weny, przyjaciele zaś od serca, roniąc łzy ubolewania, nazwą ciśnięciem w rynsztok poczucia własnej godności literackiej, oraz wyuzdaniem wrodzonej, chorobliwej, a pieniącej się zjadliwości.

Jako zawołani myśliwi, od zarania wiosny żywota lubujący się w różnego pokroju pukaninie, dwa od jednego strzału ubijamy ptaszki, *kukułkę wygodnisiostwa* i *kraskę reklamy*. Z kukułczą bowiem gnuśnością zakradamy się do obcego (a może i niezupełnie obcego) gniazda, zapożyczając sobie wygodnie tytulik — za jednym zaś zachodem, pstrem upierzeniem rodzimej naszej papużki, kraski, reklamujemy poetę, od-

wołując się dyskretnie do Brockhaus'a lipskiej Biblioteki, mianowicie do tomu LXXVIII-go, str. 48-mej. A zatem:

„Tak płata nieraz psoty
Konduktor lub — przypadek“,

czyli: bezprzykładne *mixtum-compositum* pisarskiej nonszalansji, składkowego pikniku brzydkich plotek i komeraży, przenicowanych pomysłów, problematycznej samorodności, oportunnego kwietyzmu, obelżywej wiary w bezgraniczną prostoduszność czytelnika itp. wielce podejrzanych ingredyencyj.

Tyle słów autorskiej ewanielji skruchy.

A teraz, do rzeczy.

* * *

Kilkonastogodzinne, ospałe toczenie się w wygodnem *coupé* po gładkich szynach kolei żelaznej, nie zawsze (zdaniem naszem) zasługuje na miano najprzyjemniejszego sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce. Zrazu, wychylając się co chwila z okien wagonu, bawisz się jak płocha dziecina błyskawicznym jego ruchem, sprężystością służby, punktualnością sygnałów; pociąga cię zmienny wciąż kalejdoskop (tyle już zresztą razy obserwowanych a przeważnie jednostajnych) przydrożnych krajobrazów; słowem, czujesz się w siódmym raju muzułmańskiego proroka. Niebawem jednak ożywienie to zwolna gaśnie, jak

dogorywający gaśnie kaganek; ostre napięcie uwagi tępieje; wytężone nerwy puszczają strój, ni to obwisłe struny zgranego instrumentu; regularny turkot obrotów kołowych i połączone z nim monotonne sapanie wentyla u kolby wprawia cię w dręczący niepokój; miganie w równych bez końca odstępach słupów telegraficznych pobudza cię do niezbyt przyzwoitego rozdziawiania szczęki; w ustach narasta ci niesmak papki; ogarnia cię przesyt, apatja, znużenie.

Cóż dopiero, gdy chłodna, dżdżysta, późna jesień wiernie towarzyszy twojej podróży, bryzgając w szyby mokrymi płatkami śniegu wśród melancholnijnego wycia głodnej psiarni galicyjskiej Bory!

. . . . . .

To ziewając rozgoryczony, to w przerywaną zapadając drzemkę, to sięgając po rozłożoną na walizce „Gazetę Kryminalną“, to odkładając ją z obojętnością znudzonego pasażera, w szarawym zmierzchu nadpływającego wieczora medytowałem smętnie, zaszyty w kąt wagonu, który właśnie był się zatrzymał na pogranicznej stacji w Dziedzicach. Medytowałem — o niczem. Nudy i próżnia. Nietoperze skrzydła czarnych dumań trzepotały się z dzikim szelestem po pustym strychu mojej mózgownicy. Wtem zgrzytnęła klamka, drzwiczki pchnął usłużny konduktor — i na

stopniu ukazał się niski, krępy jegomość o szpiczastej głowie, niegładko ogolonej fizjonomji i o dziwnie odrażającem spojrzeniu. Nieprawidłowy bowiem układ jego źrenic tą raził niewłaściwością, że podczas gdy prawe jego oko szyjący słało wzrok pod kresę twojego kapelusza, równocześnie lewa jego źrenica usiłowała dokonać głębokich wierceń w kieszonce twojej kamizelki. Amerykańska, ryża półbroda na podgarlu również nie przyczyniała się do nadania nabrzękłej twarzy pociągającego wyrazu.

Od pierwszego wejrzenia, jegomość ów całą swoją aparycją wzbudził we mnie wstręt niewytłómaczony.

— *Dobry weczer*, — burknął z czeska gardłowym głosem, strzygąc na krzyż czerwonemi, gałkowatemi białkami. Wtaszczył się do wnętrza *coupé*, gburowato potrącił mnie czemś bez pokrycia, drutów i rączki, a co zapewne nędznym było surogatem parasola, powalił się na przeciwległe siedzenie i warknął:

— *Klaas!*

U drzwiczek pojawiło się indywiduum powierzchowności kolejowego posługacza, uginające się pod brzemieniem sztywnej, od stóp do głowy w szale i okrywadła okutanej postaci ludzkich rozmiarów. Zdumiony i zaniepokojony śledziłem z pąd rzęs, jak nowy mój towarzysz przy pomocy pana „Klaas'a“ umieszczał tajemniczy ów

przedmiot w zagłębieniu wagonu. Przedmiot ten, spocząwszy nieruchomo na poduszce siedzenia, grzbietem o ścianę wozu oparty, przybrał kształty pochylonej nieco w omdleniu kobiety. Wtargnąwszy ciekawem zerknięciem pod rozluźnione fałdy okutania, spotkałem się z maluchną, cudownie modelowaną rączką w perłowej rękawiczce. Nóżki w złocistych, lilipucich pantofelkach dodawały kamiennej tej postaci niewypowiedzianego uroku.

W wieczornym zmierzchu, zarysy jej twarzyczki zaledwie jeno szarzały z po za gęstej zasłony muszlinu; atoli ani welon, ani zmrok wieczorny, nie zdołał przyćmić blasku wielkich, błękitnych źrenic, wpatrzonych we mnie jak w tęczę. Tak jest; od chwili, gdy ją w kącie wagonu ułożono, przeczuwałem raczej, aniżelim tego dostrzedz zdołał, że spojrzeniem konającej gazeli wpiła się w moje oblicze, nie odrywając odeń wzroku. Takiemu prażeniu nie byliby podołali nawet biblijni owi młodzieńcy w Antjochowym piecu.

Co to znaczy?!!

Bezwładna, sztywna, jak nieboszczka. A przecie transport zwłok podlega surowym, lękliwie przestrzeganym przepisom. A więc nie trup?

Dama omdlała — nie skarżyłaby się (wbrew kardynalnym zasadom Hipokratesa) obcemu mężczyźnie wymowną ocząt jeremiadą. A więc nie letarg.

Co to jest?!

Mimo odrazy, jaką przejęło mnie judaszowo-amerykańskie podgardle przybysza, zamierzałem już z kondolencją zainterpelować ewentualnego tego aspiranta do Brygidek o podejrzany stan zdrowia szanownej córy czy małżonki, gdy tenże, nachyliwszy się ku milczącej towarzyszce, zamarmotał coś niezrozumiale, z nieuwagą brutala przygniatając kolanem cudowną rączkę w perłowej rękawiczce. Dama nie syknęła nawet; w piersi jej zaskrzypiało jeno ciche jakieś, bliżej nieokreślone rzężenie, główkę zaś, jakby w odpowiedzi, skłoniła po dwakroć z oznaką potakiwania.

A więc nie mdłości.

Co tedy??

Konduktor zażądał okazania biletów jazdy, wyżłobił w nich obcążkami dwa otworki, zwrócił karty podróżnemu, trzasnął drzwiczkami i odszedł. Trąbka — gwizd — pociąg rusza — jedziemy.

Jeszcze lokomotywa nie minęła zwrotnicy, a już odrażające, rude Judaszysko rozpostarło krępe swoje członki na siedzeniu, wyciągając się z obelżywem lekceważeniem podeszwami do milczącej damy, a podparłszy uszastą czapicę podłożoną pięścią, chrapać jęło w sposób iście oburzający. Jak tylko *on* odwrócił się do *niej* tyłem, słowa nie mówiąc, zaraz rzekłem sobie w duchu: to małżeństwo. Podobna bowiem inso-

lencja w obcowaniu z przedstawicielką płci nadobnej, nie mogła jak jeno utwierdzić we mnie uzasadnione przekonanie, że mimowoli stałem się zgoła zbytecznym towarzyszem podróży małżeńskiego stadła, oraz że miodowe miesiące onej parki w annalach wspólnego jej pożycia zaliczać się już musiały do okresu *tempi passati.*

Przeświadczenie to, w ciągu dalszej jazdy od stacji do stacji, tem głębsze i stalsze w moich kalkulacjach zapuszczało korzenie, ile że dama niezaprzeczenie ciężko była cierpiącą. Drewniana bowiem, trupia jej martwota wobec niezawodnej przytomności umysłu — (czego matematycznym dowodem potakiwanie małżonkowi główką, jak niemniej przeszywający wzrok, sięgający do głębin mojego jestestwa) — nie dozwoliła wątpić dłużej, że zajmująca, pożałowania godna, nikczemnie poniewierana moja nieznajoma w ostatnich czasach nawidzoną i ubezwładnioną została atakiem gwałtownego paraliżu, tudzież, że nieczuły i zatwardziały pan małżonek (zapewne chyba jeno dla ludzkiego oka lub z obawy utraty sporego posażku połowicy) wlecze ją do zdrojowiska *Wildbad*'u lub *Gastein*'u, zręczniej od niejednej białogłowy cerując spuszczone oczka prującego się sumienia.

Biedna, nieszczęsna kobieto! Jakże mi teraz zrozumiałe żałobne twoje spojrzenia! Konwencjonalne względy na rudymenty przyzwoitości

towarzyskiej powściągają Cię od wylewu przed obcym mężczyzną poufałych zwierzeń niewolnicy... Tyran dysze tuż obok. Wprawdzie chrapie w makowym śnie nudów podróży, atoli zbudzić gozdolen lada szept różanych Twoich usteczek... Ciemięzca spi — ale czuwa.

Stacja miga po stacji. W czarnej zadumie przenoszę się wzrokiem to z czapy charczącego gnębiciela na kwef zagadkowej damy, to z kwefu zagadkowej damy na czapkę charczącego gnębiciela. Brutal chrapie, a czapa pochyla się w rytmicznych łukach to wprzód, to wstecz; dama tonie w niemych odmętach gorżkiej rozpaczy, a kwef zwisa nieruchomy, jak pośmiertny całun z katafalku. Oddech anioła tak był leciuchny, niedostrzegalny, że nie odważył się nawet zakołysać pajęczą gazą zasłony.

Z wyłączeniem wszelkiej *arrière pensée* postanowiłem położyć kres nieznośnej sytuacji. Jeszcze raz przezornie zerknąłem ku tyranowi i zebrawszy się na odwagę, z bolesnym półuśmiechem, który starał się być najbardziej czarującym, zagadnę damę *mezza-voce:*

— Pani cierpisz?

(Milczenie — bezruch — martwota).

— Czy pani obcy polski język?

(Martwota — bezruch — milczenie).

— *Vielleicht eine Wienerin?*

(Milczenie — martwota — bezruch).

Skonsternowała mnie nieco ta niemota; pierwszemu jednak niepowodzeniu nie dam przecie za wygrane! Spróbujmy tedy popularnych frazesików w obcych językach — skrzydlatych onych słówek, cieszących się powszechnem prawem obywatelstwa. Na którykolwiek z nich, da przecie jakąś odpowiedź.

— *Madame, ce n'est que le premier pas, qui coute.*

(Żadnego skutku).

— *Nem tudja magyaról?*

(Nic).

— *Dolce far niente, Signora?*

(Ani drgnie).

— *Ne bojte se, Hubiczku.*

(Żeby choć pisnęła!)

— *Hou do you do?*

— *Czort waźmi! Nie lzia małczat.*

— *Sennoritta, sennoritta! Flor de Habana? Millares? Portorico?*

— *Phosphorgiftfri uden Svovl.*

— *Ałłach Maszałłach! Kismet.*

Etc. Etc. Etc.

Ani du, du! Cały popis nadaremny. Poliglotyczna równianka, z najbardziej dobranych kwiatuszków obcych literatur misternie uwita, piorunem zwiędła doszczętnie pod szronem niemego tego mrozu. Przebóg, cudowne to a tajemnicze zjawisko miałożby być głuchoniemem?

Chyłkiem... nieśmiale... drżącą od wzruszenia i palącej ciekawości dłoń wysyłam na zwiady w kierunku perłowej rękawiczki.

— Pani milczysz? Powróćmy chyba do polszczyzny.

Miluchną rączkę, gładką jak łapka koteczki, czuję już w mojej dłoni. Ściskam paluszki i — niewiasta drgnęła. W piersi damy zaskrzypiało ciche jakieś, bliżej nieokreślone rzężenie, główkę zaś skłoniła po dwakroć z oznaką potakiwania.

Otóż i sukces. A więc rozumie po polsku. A więc nie ulega głuchocie; przeto nie jest niemą. A więc drgnęła na uścisk mojej dłoni. A więc życzy sobie dalszej konwersacji. Jeśli milczy — milczy, bo musi. A kto wie, czy język ciężko nawiedzonej ochronił się od zgubnych następstw paraliżu? Zagadka rozwiązana: to *tężec*.

Trzymam więc rączkę... trzymam... nie puszczam. Niekiedy zerknę w stronę chrapiącego potwora — i szepczę.. szepczę... bez pauzy i odpoczynku. A co ścisnę paluszki, dama drgnie i potakuje.

Miły Boże, czego jam jej nie naszeptał!... Wysnułem jej przypuszczalną, ducha mego jasnowidzeniem wyjawioną historję męczenniczego jej żywota — dzieje znęcania się potwornego małżonka nad ofiarą jego nieprawości — postępy apoplektyczno-neurastenicznego kataklizmu, który ją w żyjącego przeistoczył trupa — nikczemną

obłudę wleczenia jej do kąpiel przez bezecnego grabiciela żoninego posagu, czyhającego na ostatnie jej tchnienie — wszystko, wszystko jam jej opowiedział. A ona, ona, pod uściskiem gorącej mojej dłoni potakiwała... potakiwała... nie zaprzeczywszy ani razu.

Dziwny. iście niepraktykowany objaw *jasnowidzenia* po *ciemku*, gdyż miało się już dobrze ku nocy. Jeden przyczynek więcej, do ugruntowania dogmatu „o siostrzanych duchów sympatji, powinowactwie i kollaboracji“ — tryumf mesmeryzmu!

Miły Boże, czego jam jej nie naszeptał, *począwszy* od *końca* ostatnich jej umartwień, a *skończywszy* na *zaczątkach* rodzącej się w moim mózgu suggestji. Dama słuchała nieruchoma, w oczy moje duszą całą zapatrzona. Wyczerpałem wszelkie zasoby dozwolonego flirtu; temat chromał po temacie; przy wiązaniu węzełków na rwącej się wciąż nici dziwnego tego, jednostronnego dyskursu, wystrzępiłem całą moją elokwencję.

Emablować szeptem nieznajomą mężatkę pół godziny, godzinę, dwie godziny, trzy, tuż pod bokiem nieznośnie chrapiącego pana i władcy — stawiać samemu sobie najbardziej podchwytliwe zagadnienia — wciąż sobie samemu najbardziej wymijające dawać odpowiedzi, nie doczekawszy się od flirtowanej cienia nawet półsłówka, ni

śladu choćby powściągniętego ziewnięcia — zaiste, brzemię to zbyt gniotące, zwłaszcza, gdy cięży na barkach wyłącznie jednego *causeur*'a. Ostatecznie szeptać nie było już o czem; krtań wysychała; przełyk trętwiał; w tchawicy czuć się dawała drapiąca zapowiedź tygodniowej chrypki. A dama patrzy — milczy — i słucha.

Pociąg staje.

„*Prerau. Zwanzig Minuten.*“

Ze słodyczą i korną rezygnacją kawalera, starającego się o rękę grubo ciepłej wdówki, lękliwą zanoszę prośbę o urlop na okamgnienie i jak z procy wypadłszy z wagonu, skaczę wprost do bufetu. Jeśli kiedy kto błogosławił dobroczynną tę instytucję — to ja nie szczędziłem jej błogosławieństwa. Aksamitny Szwechater wygładził zachrypniętą krtań, jak miękka szczoteczka wygładza nastroszone włoski pilśniowego Habig'a i wyschłą odwilżył tchawicę.

Dzwonią. Przeklęty dzwonek! Oh, gdyby nie walizka, osierocona w jedwabnej siatce wagonu!

Wsiadam. W powale izdebki kolejowej migoce mdłe światełko lampy. Dama przez drobniuchne otworki welona błagalnym przeszywa mnie wzrokiem. Tyran chrapie.

Krząkam z cicha, zbieram myśli, przecieram spotniałe skronie — wtem muśnie po nich zwisający rożek „Gazety kryminalnej“.

Spada mi pomoc, nie z Nieba, lecz z walizki.

— *Madame*, (szepnę), publicystyka to pyszny wynalazek. Pozwolisz pani? (To mówiąc i licząc się z niedostatecznem oświetleniem wagonu, zapalam stoczek). Przenosisz pani artykuły dziennikarskie osnowy swobodnej? A może w Jej smaku utwory feljetonowe, które w przykrótkiej, lecz subtelnie szamerowanej kurtce nowelki, drażnią nerwy szarpaniem piekących ran społecznych?

Milczy nieruchoma. Znów tedy czołgam się ramieniem ku spiętej, perłowej rękawiczce, sztywne ściskam paluszki — i okutana szalem główka skłania się po dwakroć oznaką potakiwania. Puszczam paluszki — główka cofa się bezwładnie ku tapicerskim sprężynom oparcia.

— A więc może coś z dziedziny kryminalistyki? Kilka właśnie arcydzieł reporterskich mam pod ręką.

Milczenie. Milczenie — to aprobata. *Qui tacet, consentire videtur.*

Sięgam ku walizce i rozkładam lepkie jeszcze łamy wspomnianej Gazety, z fachową znajomością rzeczy babrzącej w najwstrętniejszych zlewkach człowieczych obłędów i mietoszącej z lubością klejowate ciasto szumowin społecznych. Jeszcze raz strzelam z podełba ku chrapiącemu zapamiętale tyranowi, kopcący stoczek sadowię między drukiem a cwikierem — i melodyjnym

acz przytłumionym barytonem czytam, co następuje, oczywista od kropki do kropki sprawiając wzdętej piersi ulgę łatwo zrozumiałemi aluzjami w postaci siarczystej tyralierki westchnień.

. . . . . .

Czytam tedy:

— „*Z ławy przysięgłych*“.

— Po długiej przerwie izba nasza sądowa podjęła na nowo poprawczą swoją działalność roztrząsaniem doniosłego wypadku rzadkiej osobliwości, który z racji głęboko w nurty społeczne sięgającego przedmiotu, w wysokim stopniu ogólną budzi senzację.

Niejaki Makabej Cyganiuk, korzystając z chwilowej nieobecności chlebodawczyni, z zuchwałą nie do wiary bezczelnością uniósł sędziwej starowinie z otwartej szuflady komódki parę używanych już wprawdzie, wcale jednak jeszcze nieźle zakonserwowanych mitynek, nie mniej antyczną broszurę: „O cudownej Meluzynie“ z oddartą kartą tytułową, jako też dwa fotogramy ś. p. nieboszczyka jej małżonka — poczem „dał nogę“, nie tak (szczęściem!) skorą, by złoczyńcy ułapić nie miano. Gdy (wedle podanego do protokołu przez dotkliwie poszkodowaną matronę) zeznania, wizerunki nieboszczyka przedstawiały dla wdowy wartość nieobliczalną, po nad wszelką

ocenę, ponieważ tedy wartość fotograficznych tych zdjęć przenosi przewidzianą odnośnym paragrafem kodeksu karnego sumę minimalną 300 zł. a w., powyższy przeto *casus* kryminalny, który w stolicy i w całym kraju tyle narobił hałasu, kwalifikował się do zawyrokowania przez wylosowaną ławę przysięgłych. Na rozprawę sądową stłoczyła się roznamiętniona publiczność w tak zbitych masach, że gwoli jej bezpieczeństwa, trybunał ujrzał się zniewolonym do potrojenia straży, ażeby tłumy ciekawych, dla których wewnątrz sali brakło już miejsca, powstrzymać od niepożądanych ekscesów. Widzowie, którzy przebojem potrafili opanować wszystkie *wolne* i nawet *zajęte* już miejsca, zaliczają się prawie bez wyjątku do najprzedniejszych sfer naszej metropolii. Naturalnie przeważa — płeć piękna. Na galerji zauważyliśmy artystę dramatycznego, tragika p. Bombenfest-Nadętkiewicza, przybyłego z Warszawy w specjalnym celu robienia studjów na obżałowanym; opracowuje bowiem właśnie rolę rozbestwionego wyrzutka społeczeństwa, która to rola niebawem stać się ma ozdobą artystycznego jego repertuaru. W osobnem zagrodzeniu zajęli siedzenia najznamienitsi juryści stolicy, widok zaś tak wynaturzonego złoczyńcy najboleśniej budził w nich wspomnienia dawnych tryumfów; z posępnemi bowiem minami wymieniali z sobą uściski zacnych pra-

wic, szląc bilety z gratulacjami kolegom swoim na ławie obrońców, kolegom, którym wedle alfabetycznego porządku *ex officio* poruczono obronę w senzacyjnym tym procesie.

Ruch powstał gwałtowny wśród czerni widzów, skoro na salę wprowadzono obżałowanego Cyganiuka. Na pierwszy rzut oka poznać w nim mogłeś typ niebezpiecznego zbrodniarza, potwora, który doprowadzon do ostateczności, w razie, gdyby go osamotniona starowina w izdebce swojej była zaskoczyła, nie byłby się może wzdragał targnąć się na nią najohydniej szkalującemi obelgami, byle jeno utrzymać się w posiadaniu „cudownej Meluzyny“ i reszty wartościowych przedmiotów.

Złoczyńca w bezwstydny sposób przyglądał się publiczności; spostrzegłszy zaś na ławie świadków poszkodowaną, wyzuty z wszelkich uczuć wstydu i skruchy, szyderczo mrugnął ku niej lewą powieką. Orkan oburzenia wstrząsnął salą na widok tak bezbrzeżnego zepsucia. Burza wzmogła się do zenitu, gdy z aktów wydobyto *corpora delicti*.

Obżałowanego zawezwano do zbliżenia się ku onym dowodom niepowściągnionej jego zachłanności i kazano mu przypatrzeć się im dokładnie. Bez tchu, z całem wytężeniem oczekiwała oniemiała publiczność, że matrony mitynki, które nędznik z takiem zuchwalstwem był sobie

przywłaszczył, za zbliżeniem się sprawcy... *krwią się obleją.* Nieomylne to stwierdzenie winy nie przyszło do skutku; zresztą stało się ono zgoła zbytecznem wobec faktu, że potwór dobrowolnie wyczerpujące złożył zeznanie występku — *wszelako bez podania motywów.* Zawezwani z tego ostatniego powodu lekarze sądowi z solennem pospieszyli oświadczeniem, że acz nie należy to do przypuszczeń wykluczonych, jakoby pewne indywidua niemogły zbrodniczym ulegać inklinacjom ku „Meluzynom“, zwłaszcza „cudownym“, oraz ku wyrobom pończoszkowym i t. p. ponętnym posiadłościom, sądowa jednak medycyna nie podaje zasadniczego kryterjum, któreby *puncto* popełnionej zbrodni czyniło ich niepoczytalnymi. Co więcej, żadnej nie ulega wątpliwości, że obżałowany Makabej Cyganiuk w krytycznym momencie nie był pozbawion pełnej samowiedzy niegodziwości swojego występku, albowiem, w bezpośredniem następstwie czynu, rzeczoną parą mitynek przyozdobił kłykcie zbrodniczych swoich paluchów, wszelako na odwrotną stronę, arcywybrykiem tym przebiegłości podstępnie utrudniając wykrycie zbrodni. Zaprzysięgli znawcy, biegli w kaligrafji, wyrazili opinję swoją w tym kierunku, że wyraz „bajwuł“, nabazgrany na jednym z konterfektów ś. p. nieboszczyka, bezwarunkowo i niewątpliwie dziełem jest ręki obża-

łowanego. Gdy, celem dosadniejszego skonstatowania faktu, pp. kaligrafowie postawili żądanie, ażeby obżałowany Makabej Cyganiuk wyraz ten własnoręcznie na papierze uwidocznił, dokonał tenże skwapliwie dwukrotnej próby charakteru swojego pisma, z tem nadmienieniem, że zdaniem jego, t. j. obżałowanego, każdy z obudwu pp. znawców słuszne ma prawo rościć sobie pretensję do wyrazu tego *in petto*. Aczkolwiek (niewątpliwie z umysłu) wyraz ów: „bajwuł“ nagryzmolił zygzakowatą kursywą, kreśląc głoskę **u** z lekceważącem pominięciem surowych reguł ortografji, nie zdołał on jednak zaprzysięgłych pp. znawców wprowadzić w błąd co do identyczności charakteru pisma. Atoli zaledwie decydujący ów szczegół niezachwianemu uległ stwierdzeniu, dziwne zaiste nastąpiło *intermezzo*. Wywłaszczona babina zgłasza się z niespodziewanem zeznaniem: Prześwietny Sąd raczy przyjąć do wiadomości, że razu pewnego, po niewinnej domowej sprzeczce, matrona na jednym z wizerunków ś. p. męża nieboszczyka sama własnoręcznie wykaligrafowała wyraz „bajwuł“, by nieco tym „bajwołem“ podrażnić ambicję małżonka, z której to racji dziś jeszcze najcięższe sobie robi wyrzuty. Po długiej, nużącej debacie, obadwaj pp. znawcy zgodzili się w końcu na prawdopodobność tej okoliczności, uzasadniając zmianę pierwotnego swojego orzeczenia nieza-

przeczalnym argumentem, że przecie bawół do bawoła podobien jak dwie krople wody.

Na tem zamknięto postępowanie dowodowe, poczem tok rozprawy przerwano na godzinę. Z niepomiernem ożywieniem omawiając fazy przedpołudniowego posiedzenia, oraz gorączkową wiodąc dyskusję nad przeczuwanym wynikiem procesu, tłok widzów wysypał się z sali. Po godzinnej przerwie i ponownem zagajeniu, wydarzyła się scena, prawdziwie wstrząsająca.

(*Ciąg dalszy w wydaniu porannem*).

. . . . . .

Skończyłem. Stoczek odkładam i gazetę. Nasamprzód zerkam ku tyranowi — spi. Cherczy jak w agonji. Spojrzę potem w oczka okutanej damulki — milczy nieruchoma; źrenice jeno, źrenice szklane, błyszczące, niezmiennie utkwione w pałające moje oblicze. A więc z nabożeństwem przysłuchuje się mojej lekturze; a więc z pod lodowatej powłoki zasklepionej rezygnacji trysnęło źródełko obudzonego interesu; a więc głos mój, baryton dźwięczny i melodyjny (zdaniem wytrawnego znawcy i profesora pewnego konserwatorjum) trzymający *juste-millieu* między *tenore eroico* a *basso cantante*, (wedle zaś zdania drugiego profesora tegoż samego konserwatorjum i niemniej znakomitego znawcy) wahający się między *basso profondo* a *tenore di*

grazia, potrafił zrobić już wyłom w obwiedzionem szalami (jak wieńcem szańców) serduszku.

— Zajmuje to panią? (pytam półgłosem). Mamże czytać dalej?

I znów ściskam z uczuciem perłową rękawiczkę, a raczej pod miękkiem naskórkiem dziwnie sztywną rączkę tajemniczej pasażerki. Uścisk nieomylną wywołuje reakcję; dama po dwakroć pochyla główkę, potakując.

Tyran chrapie — ja zaś czytam dalej, hamując (ile możności) dzielny mój i donośny organ:

. . . . . .

— „*Sprawa honorowa*“.

— Jak dalece człowiek zapomnieć się może, ulegając podszeptom wyuzdanych namiętności, dowodzi *casus*, który onegdaj stał się przedmiotem sądowo-karnej rozprawy.

Dnia 15. lipca b. r., około godziny drugiej z północy, stał się w zakładzie gastronomicznym „Pod szyjącą tkaczką“ ten pożałowania godny wypadek, że pan Tałakajło, w skutek połączenia sił fizycznych dwoch współkonsumentów, nagle a sromotnie... znalazł się na ulicy. Jaka była geneza niesamowitego tego zdarzenia, na pewne niewiadomo. Z zeznań naocznych świadków tyle jeno wyłania się w tej sprawie, że p. Tałakajło od dłuższego już czasu żywą wzniecał ku swojej osobie niechęć wśród licznego grona klientów

zakładu. Niesympatji tej przypuszczalnym powodem była fatalna nawyczka wydawania z głębin swojego wnętrza tonów (deklamującego własne utwory) pewnego liryka, która to bezwłasnowolna produkcja u ludzi mniej poetycznie usposobionych, pospolicie zwie się: czkawką. Kilkakrotnie już wypraszano sobie popisy niepowołanego koncercisty, atoli zawsze napróżno; wśród zwolenników „Szyjącej tkaczki“ nurtowała tedy złowroga a nie ukrywana agitacja. W krytycznym onym dniu, skoro p. Tałakajło ponownie dał się słyszeć z niezbyt łechcącą ucho swoją produkcją, najbliżsi dwaj u stołu sąsiedzi, srogim uniesieni porywem oburzenia, rzuciwszy się na p. Tałakajłę, ułatwili mu wymuszony odwrót na ulicę, wbrew wszelkim przezeń zgłoszonym „sprzeciwom“. Wydostawszy się na bruk miejski, p. Tałakajło straszliwe wyzionął przekleństwo, na domiar zaś skrystalizował straszliwszą jeszcze groźbę krwawej pomsty. Zażądał także zwrotu swojego kapelusza. Nakrycie głowy wyniósł mu na ulicę posługacz. Temu ostatniemu zwierzył się p. Tałakajło, że bieżącej nocy nastąpi — coś okropnego! Z podobnej osnowy komunikatem zapoznał również wyrostka, który mu z ulicznych naleciałości oczyszczał garderobę. Nareszcie utonął w czarnych oponach nocy, podczas gdy zaniepokojeni goście „Szyjącej tkaczki“, w ponurem przeczuciu czegoś niewypowiedzianego a w nie-

dalekiej przyszłości czegoś okropnego, w milczeniu wychyliwszy „ośm po ośm“ zwolna opuszczali świątynię Gambryna. Wyjątek stanowili porywczy dwaj ekscedenci, na których właśnie ciężyła straszliwa przysięga krwawej pomsty z ust pana Tałakajły.

Długo debatowali dwaj ci panowie, zali mieć się mają lub też nie mają ku domowym Penatom, wszelako, gdy pchnięty na przeszpiegi „*Piccolo*“ wrócił z zapewnieniem, że jak ulica szeroka a długa, żywej na niej nie widać duszy, naonczas i dwaj ci panowie chwiejnymi nieco kroki puścili się do dom.

Zdążali oni wprost w paszczę własnej zguby.

W zacieniu bramy domu, popod którą wiodło ich przeznaczenie, czychał (dygocąc z żądzy pomszczenia zniewagi) tak ciężko zelżony p. Tałakajło. Dwaj przechodnie nie mogli zwrócić nań uwagi; to też zdołał on cichaczem, zakradłszy się po za ich plecyma, zdradliwym podstępem skrytobójczo dopuścić się czynu, do którego popychała go ślepa, nieokiełznana nienawiść. Zamach składał się z kilku odrębnych rękoczynów. Przedewszystkiem wypadł zaczajony skokiem krwiożerczego tygrysa, doraźnem trąceniem głowy o głowę spowodował gwałtowne zderzenie się dwu czaszek tych panów, poczem wyzyskując chwilową ich bezprzytomność, grzmotnął jednego po drugim w najszlachetniejszą część człowie-

czego całokształtu z rozwinięciem ogromu takiej siły fizycznej, że o marnotrawstwo słusznie mógł być posądzony. Nakoniec pochwyciwszy przysposobione szklane naczynie o grubym brzuszku a cienkiej szyjce kształtu flaszki, trysnął cieczą w niem zawartą w oblicza odurzonych adwersarzy i umknął wśród wycia, jęków i wołania o pomoc napadniętych. Ofiary niecnego atentatu, piekielne czując pieczenie tak w oczach, jak na uściech, w niewymownych bolach oddali się wybuchowi rozpaczy, nie wątpiąc na chwilę, że wykonano na nich zamach za pośrednictwem kwasu siarczanego, którego to rodzaju okrucieństwo do niedawna wielką cieszyło się popularnością wśród roznamiętnionych P. T. mścicieli mścicielek swojego honoru. Szczęściem, w najbliższym lokalu ratunkowym, dokąd nieszczęsnych zawiedziono, okazało się najdokumentniej, że ciecz do zamachu użyta, jasna i przeźroczysta, o charakterystycznie ostrym posmaku, była jeno dwuletnim koniakiem z fabryki za żółkiewską rogatką.

Do odpowiedzialności pociągnięty pan Tałakajło składa zeznanie, że podstępnego czynu dopuścił się w obronie splugawionej czci obywatelskiej. Obrońca obżałowanego, młodziuchny rzecznik nader łagodnego temperamentu, z jak najgłębszego przekonania pisze się na podniosły ów motyw.

„Panowie przysięgli!“ (woła z emfazą) „Żali dano Wam należycie uosobić sobie bezdno moralnej otchłani, w jaką runąć musi każdy osobnik, wbrew własnej woli koncentrujący się za progiem, zwłaszcza, gdy czuje się pozbawionym wszelkiej iluzji oddania ząb za ząb, oko za oko?! Żali moralny ten policzek, który bezkarnie przylepnął do naszego oblicza, ni to zdawkową monetę mieliśmy schować do sakiewki? Otóż i odwet. Zetknęliśmy nieco skronie naszych przeciwników i w nader słabem rozcieńczeniu daliśmy im poczuć lekkie, przemijające pieczenie na uściech, podczas gdy w głębinach naszej duszy najpiekielniej piekła nas wyrządzona nam krzywda. Żali mniej srodze wstrząsnęlibyśmy byli podwalinami kodeksu, gdybyśmy dzikim, średniowiecznym hołdując przesądom, gdybyśmy (mówię) puścili się byli na surowo wzbroniony manowiec obmywania plam na honorze, który wprost wiedzie do wetknięcia w bratobójcze dłonie zbójeckich, przedłużonych rzezaków, zwanych wykwintnie — pojedynkowemi szpadami?!“

Na powyższą allokucję nie pozostał dłużnym pan prokurator. Na podstawie właśnieco złożonych, dobrowolnych zeznań obrońcy, rozszerza on oskarżenie swoje na tegoż osobę jako wspólnika zbrodni, w której tak niewątpliwy wziął udział. Obrońca skwapliwie pospiesza z wyłu-

szczeniem nieporozumienia. W żarliwości obrony użył on retorycznego zwrotu „my“, stawiającego go w tak jaskrawem oświetleniu tuż u boku obżałowanego. Z naciskiem zaprotestować on musi przeciw złośliwemu wykładowi swojego *plaidoyer*, tem ci dobitniej, że moralne jego zasady nie powinny ulegać żadnym dwuznacznym interpretacjom.

Ostatecznie wyrok sądowy brzmiał w ten sens: „Zważywszy, że obżałowany z szczególną działał chytrością, ze zdradliwym oraz podstępem, — zważywszy, że obżałowany niezaprzeczone złożył dowody niepraktykowanego zezwierzęcenia, rozcieńczając zdrowotny i zbawienny płyn, za jaki słusznie uchodzi t. zw. „dwuletni koniak“ z fabryki za żółkiewską rogatką, — zważywszy, że uzasadnione acz niesprawdzone zachodzi podejrzenie, jako obżałowany do zamachu użył cieczy wziętej „n a k r e d y t“ z pominięciem stałego zamiaru pokrycia dłużnego relutum, — wyznacza mu się karę dożywotniego więzienia w odosobnionej celi, z zaleceniem wdrożenia wszelkich usiłowań, gwoli pozbycia się trapiącej społeczeństwo czkawki“.

. . . . . .

Znów nieco ochrypły, lecz i dumny przeświadczeniem, że przecie stanęło się na wysokości zadania, odkładam stoczek i gazetę.

— Pani, — (szepczę) — ludzkość wyradza się; moralność upada coraz niżej; wszystko ma się ku schyłkowi; jedna tylko miłość przetrwa zbutwiałe wieki, etyczne kataklizmy i smutną degenerację człowieczeństwa.

A dama z poza welona patrzy — milczy — i słucha. Błyszczące jej oczęta błagają za to wymownie: „Czytaj dalej — czytaj dalej“.

Odetchnąwszy głęboko, bardzo głęboko, podnoszę do cwikiera stoczek i gazetę. Coraz bardziej stygnącem *basso profondo*, coraz ciszej i coraz ociężalej reprodukuję — feljeton.

. . . . . .

— „*Dynamitard. Romans tendencyjny fin de siecle*“.

— Czarne cienie nocy okutały posępnym swoim hawelokiem jedną z najstarożytniejszych i najbardziej plugawych dzielnic stolicy. Noc była czarna, jak plutokraty sumienie, jak dusza kapitalisty, jak czarną jest dola wyzyskiwanego sankiloty, słowem jedna wielka, czarna ciemnica. Na odległość pięciu centymetrów niczego byś obaczyć nie zdołał.

A przecie człowiek, którego właśnie w i d z i c i e skradającego się wąskimi, oślizłymi zaułkami przedmieścia, w i d z i a ł czyhającą nań katastrofę.

Odziany był w pospolitą odzież tych nieszczęśliwych, którzy do dyspozycji żadnej nie

posiadają odzieży. Typowy rzut głęboko zapadłego oka, zakrytego gęstemi pasmami kruczych kudłów, które prawie nieznacznie przedłużały się w rozczochraną blond brodę, zapowiadał zbyt zrozumiale, że człowiek on b y ł b y zdolen — i że właśnie m a zamiar — tej jeszcze nocy złą, nader złą zaspokoić namiętność.

Namiętnością ową — to głód. Komuż, choć raz w życiu, nie zryła jelit żywota trawiąca owa namiętność?

Wybraniec losu, spanoszony odcinacz kuponów, staje się panem i tej namiętności, wprowadzając do swojego wnętrza ten lub ów artykuł żywności, który wedle powszechnie utartej opinji wszystkich ludzi uchodzi za t. zw. środek pożywczy, bez względu na dylemat, zali jest artykułem rzekomo niesfałszowanym, lub też jeno mizerną fuszerką, nędznym przetworem wyzyskiwacza pognębionych.

O fałszerstwach tego rodzaju, psowających nie tak kałduny napychaczy wertheimowskich szkatuł, jak raczej pragnieniem wyssane chłopskie maćki pracującej w pocie czoła ulicznej hołoty, dałby się wysnuć cały szereg pouczających traktatów; atoli traktat kwestję tę wyczerpujący, istotnie przekroczyłby granice, w tym kierunku przez nas wytknięte. A przecie, przy tej okazji, nie możemy wkuć sobie kagańca milczenia, by nie oddać hołdu rzetelnej zasłudze.

Niech nam wolno będzie nadmienić nawiasem, że popularna wśrod ludzi pracy, acz przez zbogaconych konkurentów podle podkopywana instytucja: „Pod pękającą bombą“ — tak Bałłabanówkę, jako i Prababkę, Szwadronówkę, oraz Internacjonałkę szynkuje w stanie iście pierwotnym, dziewiczo niopokalanym. Uczciwy ten a prawy obywatel rozumie potrzeby roboczego ludu. Oby mu matka ziemia tak lekką była, jak ciężkim i wyuzdanym jest — akcyźniany haracz od spirytualiów!

Atoli i na ten akt gwałtu i wyzysku, akt piąty akcyźnianej tragedji spuśćmy zasłonę pogardliwego milczenia — a raczej usiłujmy zgłębić (ołowiem ciężący) problemat, co ma począć wydziedziczony przez społeczeństwo nędzarz, do którego drzwi zakołace blade widmo głodu i pragnienia, zwłaszcza gdy bez przytułku jest i wszelkich pozbawion środków? Co ma począć mianowicie w przygnębiającym onym wypadku, gdy nawet nie posiada drzwi, do których mogłoby zakołatać straszliwe, blade widmo nędzy i niedostatku?

Ludzie bez dachu — nie mają drzwi! Oto jedna z najbardziej piekących kwestyj społecznych, wywiązujących się z niegodziwego ukształtowania socjalnych stosunków zmurszałego świata. Kto poważy się wstrząsnąć prawdy tej opoką?!

On człowiek, nocną porą skradający się po pod grożące upadkiem a nie zdezelowane jeszcze przedmiejskie rudery, on człowiek głodny, a co więcej, spragniony, czuł się w takiem właśnie, ubolewania godnem położeniu, położeniu bez wyjścia...

Pozytywnie negując wszelkie palcami „nieuchwytne“ abstrakcje, a więc negując przesąd jakiejkolwiek wiary w cokolwiekbądź, fantastyczne negując mrzonki zapleśniałego patrjotyzmu i bajkę dla małych dziatek o jakiejś Ojczyźnie, głęboki myśliciel od powicia już absolutną celował wszechrzeczy negacją — i ztąd kwalifikował się na katedrę etyki i moralności, jako wychowawca przyszłych pokoleń. Katedry tej jednak nie powierzyło mu niewdzięczne społeczeństwo. Cierpiał tedy. Cierpiał od fatalnej chwili, gdy po raz pierwszy na świat go wydano. *Homo novus* (jakby się biegły wyraził łacinnik) dziwnym zbiegiem okoliczności nie cieszył się macierzyńską opieką tegoż społeczeństwa. Już niemowlęciem był on pozbawion onej pieczołowitości ogółu, niezbędnej sysakowi na tyle, ażeby mu nie zbywało na codziennym chlebie. Już w powijakach stał on o własnych nogach, co też na charakter całego jego żywota wycisnęło piętno tendecyjnej krnąbrności i zasadniczego oporu. Krnąbrności onej najwybitniejszym wyrazem był nieprzeparty wstręt do wszelakiego wysilania mięśni.

Dziwi was ta niespodzianka? Zaprawdę, człowiek on, on myśliciel, poświęcający cały swój „wolny“ czas rozwiązywaniu zagadnień społecznych i porządkowaniu świata, miałże on myśliciel zakasać rękawy i wziąć się do pierwszej lepszej „roboty“? Natomiast nie uszło skupionej uwadze badacza, że wszyscy dokoła „obywatele“ własności swojej strzegą z przesadną troskliwością; to też znachodził on prawdziwą lubość w częściowem pazbawianiu ich tejże przy lada okazji. Atoli w chwili, kiedy widzieliśmy go skradającego się zaułkami, twarde przeznaczenie odmówiło mu i tej jedynej pociechy w nieszczęściu. „Obywatele“ przekorną rozwinęli czujność — a dobrowolnie, któż odstąpi połowę tego, co posiada, temu, który nic nie posiada?! Z onej racji krzyżowały się właśnie w jego mózgu gorżkie remonstracje przeciw rozmaitym zarządzeniom losu, prawodawstwa i policji, — aliści chrzęst jakiś chrapliwie uderzył o bębenek jego ucha:

„Ka-hu!... Ka-hu!“

Przemowa, którą tu przytoczyliśmy *in extenso* zagrzmiała z czarnego zagłębienia bramy wpółrozwalonego domostwa. Równocześnie od cienia muru odlepił się cień człowieka, owiniętego szczelnie w długą opończę. Pod opończą powinieneś domyśleć się wysokich sztylpów kawalerzysty, które osobistość nieznajomego z m i e n i a ł y do n i e p o z n a n i a.

„Która godzina?“ zagadnie spragniony nasz nędzarz nieznajomego, zastępując mu dalszy pochód.

„Nie tak raptem“, odeprze z jowialnym uśmiechem zagadnięty, widocznie zachwycony zrobieniem znajomości „takiego pana“, który nocą, w ciasnej, wąskiej uliczce zapytuje przechodnia, o ile jego zegarek nie spaźnia się na korzyść ratuszowego. „Mojego remontoaru nie uszczkniesz, koleżko; wszelako wskażę ci drogę uszczknięcia innych czasomiarów i to w sposób mniej niewygodny“.

Tak nieznajomy. W odpowiedzi na tę propozycję, nasz bohater solenne złożył zaręczenie, że uczciwym, acz głodnym jest osobnikiem, który pierwszemu lepszemu oczajduszy, (choćby nim był najzręczniejszy ajent policyjny), nie pozwoli wystrychnąć się na dudka. Zaręczenie zaś powyższe zakończył przezorną uwagą, że piękne słówka nader mało mają u niego waloru, oraz, że bez pewnej, „poręczającej rękojmi“ nie da się wziąć „na kawał“.

Człowiek w sztylpach i w opończy dobył tedy z kieszeni niewinnej puszki, puszki z sardynek, nadzianej dynamitem i nitrogliceryną w towarzystwie bretnalowych siekańców — i znów lekki uśmiech uszlachetnił jego oblicze; potem z za obcisłych sztylpów wyciągnął rewolwer — i uśmiechnął się jeszcze jowialniej; a już zaryhotał się półgłębkiem, skoro dźgnął w powietrze

pałką, z której półmetrowe wynurzało się ostrze. *Każde z trojga* morderczych tych narzędzi w *innej* dzierżąc ręce, wyprostował się z dumą przed skeptykiem, domagającym się odpowiednej rękojmi. Straszliwie zawracając białkami rzecze:

„Jam jest dynamitard, petrolejnik, mąż nowego porządku. Z prawdą nie mijam się nigdy!“

Nędzarz zadrżał. Zjawisko „męża nowego porządku,“ który „nigdy nie mija się z prawdą“, zadało gwałt nawet prostej, nierafinowanej jego naturze i prosta, nierafinowana ta natura uległa osobliwej grozie nieprzewidzianego spotkania. Wrażenie, jakie sprawił, nie uszło oku dynamitarda, który z zadowoleniem zatarł dłonie.

„Stoi przed tobą prezes Stowarzyszenia z nieograniczoną poręką, (odezwał się człowiek w opończy po długiej pauzie, podkręcając chełpliwie kruczego wąsika, dumnie okalającego nosa jego strzelającą piramidę). „Spojrzyj. Co za cętkę zauważasz na mojem popiersiu?“ (Tu odsłonił fałdy opończy).

„Żółtą widzę plamę“ pokornie wychlisnął człowiek płaczu „wyszczotkuję ją, niech Pan Dobrodziej pozwoli“.

„Niewolniku burżoazji!“ gromko huknął człowiek wywrotu. „Ta łatka, sukienna to łatka, i tyle znaczy co: śmierć zdrajcom! Czarna łatka, dla nas, członków Stowarzyszenia hasłem jesi „śmierci wroga“. Biała łatka oznaką, że członek związku ulega prześladowaniu kapitału. Po-

słuchaj. Brak nam właśnie oprawcy, któryby spełniał wyroki trybunału ludzi porządku. Ofiaruję ci osieroconą tę posadę i odtąd miano twoje będzie: „Sęp-Scierwojad.“

„Dobrodzieju...“ (wyjąkał nędzarz, dygocąc na całem ciele), „nie mógłbym też upraszać o delikatniejsze jakie przezwisko?“

„Przenigdy. Pójdź za mną. Trzeba uprzątnąć trupy dzisiejszej nocy“.

Człowiek w opończy, krocząc przodem, zgubił się w czarnej framudze domostwa i c i ę ż k i e, dębowe „wrzeciądze“ odwalił l e k k i e m pociśnięciem średniego palca. Drzwi rozwarły się jęcząc skrypliwie i pozwoliły zajrzeć na podwórze, pokotem wybrukowane świeżo skoszonemi głowami zdrajców Stowarzyszenia. Szczeliny symetryczne wypełniały piszczele, golenie i kłykcie nieboszczyków, co sprawiało oryginalne, niezwykłe, lecz i schludne wrażenie. Minąwszy podwórzec, wyścielony doczesnemi resztkami zaprzańców „nowego porządku“, stanęli przed niskiemi dzwiczkami, które odskoczyły nietknięte. Kilka schodów wiodło w głąb podziemnego sklepienia. Na piersiach człowieka w opończy rozżarzyła się nagle elektryczna lamka Edison'a i brylantowem światłem oblała pełen zgrozy przybytek, oraz sensacyjną tegoż zawartość.

U zwłok młodego dziewczęcia, l e ż a ł — s t o j ą c y nad grobem starzec.

. . . . . .

W miarę rozwijania się akcji w przerażającej tej historji z dziedziny ofiarnej onej klasy ludzi, którzy porządkując nieporządny wszechświat, zazwyczaj giną na zgubne skutki wystawienia języka z racji nazbyt obcisłego krawata,— baryton czytającego, t. j. mój własny, rósł i potężniał, to spuszczając się z cywilną odwagą w basowe bezdnie grobowych i ponurych dudnień, to podskakując tem śmielej w chromatycznej skali o dwie minorowe oktawy i rozpryskując się w wysokich arpedżiach. W rozhukanym oceanie roztargnionej niepamięci zatonęła łódka przezornej refleksji, której rudel trzymał ją dotąd na wodzy. Dawszy się unieść spiętrzonym bałwanom dantejskiego opisu podziemnej otchłani, na której dnie, jak ulęgałki, tarzały się u n i e r u c h o m i o n e ciała pomordowanych, a której krwią sposoczone parkiety z ludzkich czaszek froterował chyba sam arcy-szatan zbrodni, — z najeżonym włosem, z dyszącą piersią dobiegłem nareszcie do najbardziej drażniącego, najbardziej wstrząsającego ustępu „o s t o j ą c y m nad grobem staruszku, który l e ż a ł u zwłok młodego dziewczęcia“, — ha — alić nagle na prawej łopatce czuję dotknięcie obcej dłoni z towarzyszeniem chuchnięcia woniejącego knastrem oddechu — i w ucho, jak grom, padają mi szydercze wyrazy:

— *Na nu mal!... Proczpak sem tak hla-*

sno? A co pak? Ne prawda? A' Pracht-Exemplar von so a' Figur?!

Stoczek i gazeta wypadły mi z rąk.

— Cóż znowu?... Jaka figura?... Co za figura?

— *A' Wachsfigur, automatische. Z mojeho muzeum, anatomische. Wozim sem eho do Widni, do reperaturu.*

* * *

I gotów ktoś uwierzyć, że wszystko, co Wam tu opowiedziałem, rzetelną jest prawdą

Ani krzty prawdy.

Kłamstwo — kłamstwo — i kłamstwo.

Spotkanie w wagonie z czeskim Amerykaninem — to wierutny wymysł.

Emablowanie przez podpisanego automatycznej figury woskowej — to fikcja, na domiar wręcz nieprawdopodobna.

Bombastyczne popisanie się poliglotyzmem, przynoszącym zaszczyt choćby kardynalskiej purpurze samego *Mezzofanti'ego* — to blaga.

Dowcipne wycinki z gazety krymiualnej — to *plagiat.*

Nawet nie ręczymy głową, zali bajka o woskowej lalce wyłącznie naszym, oryginalnym jest pomysłem.

Co iedynie nie ulega żadnej wątpliwości, to pewnik, że wymienić się niechcący a wymieniony

na wstępie poeta istotnie był drukowany w lipskiej Brockhaus'a Bibliotece (Tom LXXVIII. str. 1—304), oraz spryt, z jakim zapoznaliśmy Was z mało u nas znanym niemieckim, ciętym humorystą, *Edwardem Pötzl'em,* niezrównanym sylwetkarzem charakterystycznych typów z wiedeńskich przybytków bogini Temidy. Wplecione do niniejszej ramoty, rzekomo zaś zagadkowej paralityczce odczytane obrazki, jego są pomysłu. Oczywista zlokalizowaliśmy i przykroiliśmy je sobie na naszą modłę, za co prawowitego ich rodzica najserdeczniej przepraszamy. Niechże nam wybaczy bezwzględność, z jaką herszta pospolitej bandy rzezimieszków przeistoczyliśmy w męża zasad, szlachetnego dynamitarda, ofiarnego czyściciela kloak zgniłej burżoazji.

A równocześnie żywiliśmy jeszcze skryty a złośliwy zamiar. Zgrzytający w kąciku zawistnego serca sufler, zły duch niekoleżeńskiego zoilostwa, podszczuł nas do przemycenia Was (o dobroduszni i łatwowierni) za tajemnicze kulisy robót literackich, tam, kędy z taką maestrją wylęga się nieświeże jajeczka oryginalnych romansów, nawet pamiętników i humoresek. Niedyskretny knuliśmy zamiar zdjęcia maski uosobionej rafinerji, z jaką my, współcechowi twórczego bractwa nożyc, kolorowego ołówka, *und der so genannten Kopirtinte,* w razie gwałtownej potrzeby i ogłuszającej stagnacji polotu i na-

tchnienia, z niewinnem roztargnieniem zapożyczamy się na prawo, z wstydliwą zaś delikatnością czerpiemy na lewo; — jak z wrodzonym instynktem stepowego Czerwonoskórca zacieramy przed Bladą Twarzą krytyka ślady autorskich naszych mokassyn'ów; — jak obce dziateczki z nad Dunaju, Sekwany lub Tamizy pokostujemy na miluchne, swojskie murzynięta z nad brzegów Pełtwi, Sukiela lub Gniłej Lipy;— jak ściągnąwszy nęcące garniturki z panów *Poldl'a Gaunersdorfer'a* i *Maksa Reiter'a*, przystrajamy w nie pp. *Cyganiuk'ów* i *Tałakajłów*; — jak nieraz, celem zmylenia tropu, jednym zamachem pióra na papiloty naiwnych szczebiotek sędziwe narzucamy peruki, łotrów zaś z pod ciemnej gwiazdy czarodziejsko pasujemy na kawalerów Orderu Podwiązki.

Wszystko to błahostki, ostatecznie niewinne i przyzwoite, grubem milczeniem uświęcone, praktyką utarte, honoru kodeksem nie wyklęte, karygodną piraterją zgoła nie tchnące, (zwłaszcza zaś w czasach przednowku i posuchy) w szerokich kołach uprawiane stuczki, finezje i sposobiki. To też móle wyrzutów nie potną miękkiego włosa niczyjego sumienia. A wszak ci dwunożny taki przeżuwacz pyłkiem jest jeno w obec czworonożnego wegetarjanina, który czteroma obdarzon organami trawienia, po czterykroć jeden i ten sam przedmiot przeżuć potrafi. I nie dzi-

wota; na każdą jego racicę przypada po jednym żołądku.

Wprawdzie zbyt drobnostkowy i na punkcie lojalności zbyt skrupulatny szperacz mógłby poniekąd z pewnym wyrwać się zarzutem, zarzutem... zawodzącej pamięci; wszelako nikt nie wątpi, nawet skrupulatny on szperacz, że nic tak snadnie nie urania się z pamięci, jak właśnie daty i nazwiska, co też niepomiernie przyczynia się do przeoczenia pobieżnej wzmianki o skromnem źródełku, zkąd się tę lub ową błahostkę niechcąco zaczerpnęło.

Popełniliśmy grzech wielki, nie do przebaczenia, pozwalając Wam przez dziurkę od klucza zajrzeć do suteren drobnego przemysłu pokątnej literatury. Gorzej od grzechu — popełniliśmy beztakt. *Mea culpa, mea maxima culpa.*

Kto winien? Zgrzytający w zakątku zawistnego serca sufler, zły duch niekoleżeńskiego zoilostwa. Niezasłużone laury p. X., — butność p. Y., pyszniącego się cudzemi piórkami, — lekceważenie, z jakiem traktuje nas pan Z. po zakooptowaniu żywcem tego lub owego pomyśliku z niewyczerpanej skarbnicy *Bret-Harte'a,* — dogryzły nam do pieczonek. Poczucie własnej wartości spięło się w nas dęba.

A cóż to? Żali my od macochy? Byle rękę wyciągnąć — a laurów, jak nasiał.

Prawda, że pan X. Y. i Z. srodze obrażą się zdarciem z nich upióropuszowanej przyłbicy. Prawda, że bolesne zazwyczaj następstwa pociąga za sobą targnięcie się na cześć bliźniego, czego wymowną illustracją Mości *Edwarda Pötzla* sprawozdanie z procesu o obrazę honoru — atoli wczas jeszcze pospieszamy z uroczystem zaprzeczeniem, jakobyśmy nosili się z myślą obrażenia literackiej czci panów X. Y. i Z.

Autor niniejszego, z zasady nieubłagany wróg krwawych spotkań z bronią w ręku — w ogóle stateczny przeciwnik wszelkich, choćby mniej krwawych spotkań, mianowicie w zakamarkach Sekcji III-ciej, — gwoli zapobieżeniu niemiłym zawikłaniom, jeden tylko wyrazić może żal,— ten— że pan X. Y., lub Z., przed puszczeniem przez nas w kurs literackiego tego komerażu, nie postarał się za pośrednictwem eksorcyzmu, † w imię Ojca, † i Syna, † i Ducha Świętego, o wypędzenie z zakątka zawistnego naszego serca... przewrotnego, szpetnego onego złego ducha, suflera.

Aureli Urbański.

Z ZA KULIS

i ze świata.

Szkice, obrazki i humoreski.

Tomik VI.

[1887]

Złoczów,
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

XIX.

Z PIĘKNYCH DNI W ARANJUEZ.

(Reminiscencje z lwowskiego „Koła lit. art.“)

Rada cioci Kloci.[1])

Rzecze ciocia: „Mój ty *Lolu*“
(*Lolem* zwie mnie od kolebki)
Ząbków — główki nie masz bolu?
Takiś blady... i niekrzepki.“

Nie. Nie boli nic mnie, ciociu,
Acz niekrzepki ja i blady;
Lecz dziś, Klociu, po Rodociu
Prawić każą mi z estrady —
I na domiar (Jacku Święty!)
Pięknym damom komplimenty.

Jednej zwierzać się miodowo,
Ah, umiałem ja — za młodu...

1) Wierszyk wygłoszony na raucie „Koła.“

Dziś — dla *stu* mieć słodkie słowo,
Nieba!... Ileż to zachodu!

Fraszką, cukrów podać pakiet...
Ale — flirt, nie bagatela,
Gdy sto modrych, czarnych rakiet
Pełnym ogniem z krzeseł strzela...
I w tym ogniu — droga ciociu —
Flirtuj-że tu, po Rodociu!...
Mojaż wina? — Wina czyja,
Że się język w trąbkę zwija?!...

Ciociu, skroń mi otrzej bladą,
W przedsięwzięciu tem roboczem;
Doświadczoną wesprzyj radą:
Pięknym damom prawić — o czem?

Wiesz, jak rady Twoje cenię,
Mimo innych cioci plotek;
Radź — niech wzniecę szmer... wrażenie;
Radź — niech westchnie.... choć podlotek.

Oczarować damy piękne
Dziś gorączki żar mnie pali...
Na to ciocia: „Przestań — pęknę.
Ci mężczyźni — doskonali!“

„Ot, frazesy!... Szkoda próby,
Choć w czułostki się rozdrobisz...
Pięć krzyżyków zlicz, mój luby,
Nie mów *nic* — najlepiej zrobisz!

Autograf.[1])

Tkliwa *Lilli*, wzrok omdlały
W głębi mego topiąc łona,
— Kochasz? — szepnie.
— Kocham... kocham...
Westchnę ja — i westchnie Ona.

Tkliwa *Lilli* do mej piersi
Tuli skroń.
— Czy możesz przysiądz?
— Mogę.
— Miłość wieczna?
— Wieczna.
— Chcę dowodów.
— Złożę tysiąc!

Tkliwa *Lilli* oczka zmruży;
Duma, jakiej żądać próby.
Nagle głuchą przerwie ciszę:
— Twój *autograf* mieć chcę luby!

— Dziś?
— Natychmiast.
— Sroga *Lilli*,
Patrz, jak drżę, jak żarem płonę.
A ty każesz, by mózg wrący
Rymy wiązał Ci natchnione?...

1) Jak poprzedni.

Tkliwa *Lilli* za gors sięgnie,
Zwitek mi podsuwa blisko:
— *Żiro* — szepnie — *carta bianca*;
Luby... podpisz twe nazwisko.

W noc Sylwestrową.[1])

W tak wytrawnych znawców gronie
Głos mi zabrać — nie tak łatwo,
Choćby prozą. Cóż dopiero
Rymy — wieszczów dziergać dratwą!

Sęk nie lada: rzecz traktować
Jasno, zwięźle — i *ab ovo*;
Zwłaszcza, że mnie prze ambicja,
Mówkę palnąć pogrzebową.

*

Skonał — owszem. Skoro skonał,
Chwalmyż go za każdą cenę;
„*De mortuis*“ — rzekł, wieszając
Grzeczny kat — „*nil, nisi bene*“.

Lecz pamięcią gdy wstecz sięgnę,
(Czy dziejopis ja, czy liryk),
Z nekrologu dat spiętrzonych
Wypiać żmudno... panegiryk. —

1) Toast wygłoszony w „Kole“ o północy 31. grudnia 1892.

I napróżno na peanu
Nutę bardon się wysila...
Skonał. — Owszem. — Lecz kto skonał?
Rok m i k r o b ó w... rok b a k c y l a.

Nędzny płód już bocian przyniósł;
W styczniu orzekł areopag:
„Kipnie!“ — — Gdzie tam! Aż do grudnia
Dychawicznie cherlał chłopak.

Przez miesięcy aż dwanaście
Mamkom napsuł krwi ten ssawiec;
Zliczcie jeno: dur — czerwonka —
Z odrą ospa — z krztuścem dławiec.

Aptekarzy i lekarzy
Tydzień w tydzień brał na hocki;
W końcu zbabrał się z kretesem
I — c h o l e r y dostał brodzkiej.

Toż i skonał. — Owszem. — Nie dość,
Że bakcylów siał miljardy;
Obok chorób wszech zarazków
Spłodził nam zarazek — z d r a d y.

Straszny mikrob!... Na bumażek
Szmatkach bujnie w mig się pleni;
Na dno wwierca się sumienia,
W krew się wkrada — wprost z kieszeni.

Lęgnie się i w srebra kruszcu,
Rozlubowan w tem świecidle;

Z rubla skacze w mózg — i toczy,
Aż człowieka zmieni w bydlę.

Choleryczny czerw — poczciwie
C i e l s k o żre; lecz ty zuchwale,
Łotrów dżumo ty ohydna,
D u s z y perłę topisz w kale!...

Ty wścieklizny kąsasz zębem!...
Kto zaś tego jadem grzyba
Raz zakażon — nie ma leku.
Przepadł. Lekiem — s t r y c z e k chyba!...

*

To też — — wesprzyj nas, o Panie,
Wśród wysiłków, prac, zabiegów;
Zdław mikroby — i strzeż naród
Od c h o l e r y... i od s z p i e g ó w![1])

Na zjazd kolegów.[2])

Na serc Waszych klawikordzie
Wieszczy chcę wykonać zamach;
Bm-ol zabrzmią więc arpedżje
W chromatycznych wspomnień gamach.

---

1) Proces Heidigerego w Krakowie.
2) Toast, wypowiedziany na uczcie koleżeńskiej, w 25-letnią rocznicę złożenia „m a t u r y."

Niech odtają w roztkliwieniu
Mężów łona w hart zakute,
Gdy uderzę w serc klawisze
Na braterską, dawną nutę...

Błoga nuta, rzewna nuta,
Od dzisiejszej tak odrębna!...
Więc bez „czynell“ — bez „trombonów“ —
I bez „huku“ — i bez „bębna.“

Gram. — Od pierwszych już akordów
Zimnej pleśni pęka krusta;
Oko zwilża się perełką,
Uśmiech wkrada się na usta.

A choć biały szron, jesienny,
Włos przypruszył, kruczy ongi,
Rzezkiem, krewkiem drgnęły życiem
Tak powazne dziś posągi.

Gram. — Hej, kędyż ławy twarde,
Atramentem w arabeski
Stygrysione — scyzoryków
Ostrzem poszczerbione deski?!...

Łokieć w łokieć — pierś przy piersi —
Zżył się na nich światek mały;
Wspólne bole — i uciechy —
Ah, i wspólne ideały!...

Tuż przy *Jaśku* — *Iwaś* siedział,
A przy *Maćku* siadł *Kiryło* —

Druh przy druhu — brat przy bracie —
Hej, dalibóg... *lepiej* było!

I rozeszli się wprost z ławy
Iwaś z *Jaśkiem*. Zgasła zorza...
Nocą czarcik chuchnął w palce
I przykucnął u rozdroża...

Pek! Niezgody precz ztąd maro —
Braciom jasnej nie mąć chwili!
Dość żałoby. W górę duchy!..
Druh przy druhu dziś odżyli.

Znów, jak dawniej, pierś przy piersi!
A dłoń dłoni się doprasza.
Co rozpoczął wspomnień urok,
Węgra niech uwieńcza flasza!

Patrz! — Flegmatyk, pan *profesor*,
Tysiąc robi półobrotów;
Srogi *sędzia*. stróż Temidy,
Z podsądnymi hasać gotów;

Prezes, głowa cna powiatu,
Rej wesoły wiedzie przodem;
Radcy skarbu lśnią źrenice,
Jakby fiskus płynął miodem;

C. k. Augur, jak wosk zmiękczon,
Szambelański cisnął brokat;

Z procedury zaś lubieżnie
Drwi *Mecenas*, pan adwokat;

I *Moszczerdziej* woła: fraszka!
Co księgosusz! Co posucha!
A *bankowca* złoty humor
Zwyż al-pari ogniem bucha;

Almae matris światłodawca
Tkliwe nuciłby erotki;
Lupus ferox, pan *Starosta*,
Jak jagniątko taki słodki;

Zacny nawet *Kryłoszanin*
Od kościelnych umknął kronik,
Huknąć gotów nam „Petrusia“,
Przewielebny Ksiądz Kanonik.

Brak nam jeno *Eskulapa*,
Co zasiedział się nad Nilem;
Z Ibisami głową kiwa
I łzy roni z krokodylem...

Zato *wieszcz* nie skrewił — krząknął —
I ambrozją nieco cięty,
Trocheami strofy sypnął
Rozkwilony — wniebowzięty...

Niech więc kryształ głośno dzwoni —
Srebrnym niech nam dźwiękiem święci

Rojeń wiosnę i polotu!
Bratnich węzłów cześć pamięci!

Inne czasy — inni ludzie —
W doktrynerów grzęzną matni...
Vivant dawne ideały —
A w ich imię: *sojusz bratni!*

Święcone w „Kole.“

Wzrost miała imponujący. Zazdrościły jej wszystkie rywalki, nie mogące nawet choćby w przybliżeniu sprostać jej *puncto* wysmukłego wzrostu, pulchności i — turniury. To też czarowała wdziękami, przykuwała do siebie oczy kształtną swoją kibicią. Śnieżystą jej skroń dziewiczy zdobił wianek. Oh, co ponętną była, to ponętną!... Jeden, ale ciężki uczyniłbym jej zarzut: wbrew dziewiczej równiance nie celowała nadmiarem skromności... Okrutnie *decoltée* przez całe trzy „*wielkie*“ dni przedświąteczne na chwilę nie opuszczała okna, ściągając na się łakome a sprośne spojrzenia niezliczonego tłumu starych i młodych zalotników. Miły Boże, któż z nas przez Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielką Sobotę nie urządzał jej t. zw. po lwowsku „*fenster-parady?*“... Nareszcie w Sobotę nad wie-

czorem zauważono, że korzystając ze zmroku wymknęła się z cukierni Macieja Kosteckiego i w pewnym rodzaju prymitywnej lektyki pomknęła chyłkiem w kierunku „Koła literackiego". Zdradził ją wzrost; zdradziła ją tusza; zdradził ją urok niepospolity. Zaczęto niebaczną szpiegować z ową obudwu płci właściwą bezwzględnością, goniącą skwapliwie za lada skandalikiem... I przychwycono ją istotnie na skandalicznej schadzce. Licząc zapewne na potężną swą korpulencję, wzgardziła choćby najbardziej obiecującą jednostką i posunęła wprost na *rendezvous* z całą kohortą wielbicieli bez względu na to, iż:

primo, działo się to nad składem lamp *Ditmara*, który amerykańskiej nie żałuje nafty i z nocy robi dzień —

secundo, że o kilkadziesiąt ztamtąd kroków czuwa przecie katedra, która tylko kościelne prawidłowe uznawać może związki —

tertio, że mimo spóźnionej pory wyminąć nie mogła czarnego natłoku ciekawych widzów, amatorów wojskowej porezurekcyjnej defilady.

Owoż względu nie mając na tak kompromitujące okoliczności, skoro tylko ósma wybiła na ratuszu, rzuciła się w objęcia — całej ćmy literatów, publicystów i artystów.

Mróz nas przejął na widok nadobnej tej olbrzymki... Ale też i ślinka pobiegła do ust...

Ba! — Ktoś musi przecie zrobić początek; a do tego niezbędne conajmniej dziesięć kilo cywilnej odwagi. Pan sekretarz *Bełza*, z urzędu swojego, pierwszy zamierzał zamach — postąpił kroczek, lubieżnie zacierając ręce — lecz cofnął się coprędzej. Widocznie w stanowczej chwili zabrakło mu animuszu. Jak się cofnął, tak i w braku męztwa poczuł — natchnienie. Błagalnie wyciągnąwszy ramiona ku doktorowi medycyny, chirurgii i — — — t. d., wygłosił drżącym od wzruszenia głosem:

Sto trudności się napiętrza...
Sam uznaję, żem dziś fuszer
By do tego wtargnąć wnętrza;
Pójdź B....cki, boś — .....

(Po świątecznych libacjach tak mnie opuściła pamięć, że ani weź spamiętać rymów).

Każdy domyślił się już, że była to słynna na całe miasto owa „baba“ z cukierni p. Macieja Kosteckiego, ofiarowana „Kołu“ na Święcone, a tak imponująco niebotyczna, że biedaczka utrzymać niemogąc równowagi, legła na stole jak długa.

Fundatora uczcił czcigodny, ale satyryczno-zjadliwy *Rodoć* następującym charakterystycznym tekstem:

Ród nasz nazywają:
Mocny; niewiast: *słaby*...

Jednak nas zjadają
Tak czy owak — „*baby*“...
W bratniem więc objęciu
Siły zdwójmy słabe —
I choć w sześćdziesięciu
Jedną zjedzmy — babę!“
Wprawdzie by w tem tkwiła
Znowu strona słaba,
Gdyby nasyciła
Kopę — *jedna* „baba;“
Ale pal tam kaci
Kto mocny, kto słaby...
Niech żyje pan Maciej
Fundator — *tej* „baby“!!....

Powiadam Wam, jak się rzucono z impetem — w pół godziny z olbrzymki zostały tylko okruchy ku pożywieniu literackich *myszek.* Zaledwie ocalono cząstkę i wysłano ją z odpowiednim adresem nieszczęsnemu, smętnemu więźniowi w Magdeburgu ..[1])

„Babę“ przeplatały szynki i kiełbasy, te zaś przeplatały znów gęsto krążące puhary, nawzajem przeplatane kwiecistym łańcuchem rymowanych i nierymowanych przemówień i toastów. Widocznie i ta „baba“ — i te „rymy“ — i „nierymy“ — dalibóg były „*mocne*“ i szły prosto

---

[1]) Ś. p. Kraszewskiemu.

„do głowy“, gdyż po jedenastej nad wyraz bawiliśmy się hucznie, wszyscy przemawiając równocześnie, toastując równocześnie i równocześnie rozdzielając i przyjmując serdeczne życzenia. Każdy równocześnie słuchaczem był i mowcą, widzem i działaczem. Pomnę, pod kaflami pieca, zamaszysty nasz, sympatyczny a dzielny mistrz od dłuta, ogromnym głosem *serdeczne* wypowiedział gratulacje krakowskiej „jury“; kolega zaś jego, kochany Fidjasz, unosił się nad majstersztykiem „uwieńczonego“, żałując, że w ręce jego wypić nie może *osobnego* toastu. Malarze toastowali sobie *in gratiam* znakomitych sukcesów na wystawie szkiców. Dziennikarze gratulowali sobie wzajem z racji *tak* cudownie *uregulowanej regulacji* rzek galicyjskich, iż nie wątpić, że *regularnie* co wiosny wylewać nam będą. Moi państwo, alboż to *Nil* nie wylewa *regularnie* co roku? Egipcjanie zaś chwalą go sobie. Czy to nasze *Nile* gorsze?... Alboż my to co?... Sam patrjotyzm ściślejszo-galicyjski powinien dyktować nam radosne dytyramby na cześć *regularnych* naszych powodzi. *O wa*, co mi tam jakiś *egipski Nil!*...

Poeci toastowali — sobie... Nie wiele im potrzeba. Ptaszek, kwiatek, muszka, piękna panienka, stare babsko, dobre winko, kwaśna lura — ot, i jest przedmiot. Pomnę także, iż pewien dramaturg, co to skoro kozła da na scenie, na

trzy tygodnie wzgardza Melpomeną i poświęca się liryce, a gdy go Zoile *ćwikną*, to na trzy tygodnie wzgardza lirą Feba i puszcza się na humoreski, — owoż pomnę że ów jegomość, coś około wtórego kuropiania, na: „Kochajmy się“, tak się wywnętrzył:

Była baba i — znikła... Smaczne były placki —
I znikły... Piał już rymem *Bełza* i *Biernacki*...
A prawili tak czule, wzniośle a zajadle,
Aż się *B...ącz* pod piecem rozlał w własnem sadle..
I znikły... tj. ryny. — Wielkości już piały,
Teraz głos *ja* zabieram, zazdrośny, bo mały.

Tu chrząknął, oczy utopił w kandelabrze i ciągnął dalej:

Życzę „Kołu“, by za rok wszystkim było dano
Zejść się tu znów na „baby“ — lecz z pewną odmianą;

Słuchają wszyscy, jakich to kardynalnych zmian domaga się szanowny wnioskodawca, a on, wzrok odczepiwszy od kandelabra a utkwiwszy go w rozecie powały, rzecze po pauzie artystycznej:

B..cz by schudł; a schudnie (przepowiadam z góry).
Jeżeli raz go jeszcze — „wynagrodzi“ *jury*..
R...ć szczupły satyryk, aby przytył nieco...
B..ie niech „znikomości“ gęściej w kieszeń lecą...
Wydział, aby przewidział, a przewidział *Wydział*
Że nawet na Olimpie *baba* nie zły przydział...
Nakoniec — aby bujny włos się puścił ninie
Na zacnego *Platona* drogiej nam łysinie...

Prrr!... Otoż skutki, gdy rozwierżgany Pegaz nie czuje wędzidła. Na Boga, zastąpcież mu państwo drogę na Parnas i pomóżcie mi osadzić go na miejscu.

Oho.... tręzla zerwana. Pegaz zmienił się w dorożkarską chabetę II. klasy i twardy w pysku — ponosi. Alboż to cuda? Święta, Święta, panie dobrodzieju! Wobec tak uroczystej uroczystości, zarwawszy raz o rymy, nie wypada jak tylko dalej grzęznąć w melodyjnej tej siekaninee. Skoro więc skrzydlata bestja znarowiła się i na oślep pomyka, puszczam „w trąbkę“ przygotowaną, prozaiczną filipikę przeciw Radzie sanitarnej *puncto* epidemii wścieklizny (tym razie *psiej* nie *literackiej*), która w całem mieście paniczny szerzy postrach, i niechcąc pozostać w tyle za zwartym czworobokiem naszych matadorów, ekstemporuję Wam: *Wielki monolog małego, lwowskiego Hamleta*, podsłuchany w Poniedziałek wielkanocny, grubo już po „dzwonieniu na spóźnionych“:

„Strzeżmy Ojców tradycji“... Słusznie — ani słowa.
Pan *Wit* cenne to hasło z pietyzmem chowa
W pamięci, niby w granit wkute, bez przechwałek;
To też je zastosował — w „Święty Poniedziałek“.
Był wszędzie — (bo też z *Wita* niezwykły skrupulat)
Obłykał się marynat — i kiełbas — i rulad.
Nikogo nie opuścił przed poświętnym Wtorkiem;
Zaczął wszędy koniaczkiem a skończył likworkiem.

Gdy ostatniej wizyty zbył się — była pora;
Zapalano latarnie. Ale że z wieczora
Właśnie jakiś handelek od tyłu otwarto,
Zawahał się — podumał — i rzekł: Wstąpić warto.
Wstąpił więc. Chwilkę bawił. Raz, dwa, trzy i — basta.
Wyszedł. Zegar uderzył. Biła jedenasta.
Zasumował się srodze... Jak ten czas uchodzi!
„Czas goni — wieczność czeka“, mawiał Ksiądz Dobro-
Poco się tedy rodzić, gdy żywot tak krótki? [dziej.
I serce mu przygniotły niewymowne smutki;
I łkając, machnął ręką..
„*Być* — czy *nie być*, panie?“
„*That is question*“, rzekł Hamlet: z polska: „to py-
[tanie“.
„*Być czy nie być?*“ Tę kwestję rozwiązać nad siły;
Dla *Wita* i *Hamleta* przedmiot zbyt zawiły.
Gdy mózgu melancholja rakiem się uczepi,
Zawsze się zastanawia: *Być*, czy — *nie być* lepiej.
Hamlet!... Hamlet!.. Cóż Hamlet? Bredzi i to — i to.
I *Wita* jeśli bito, to nie *w ciemię* bito.
Skoro filozofować, to on — — *alfa* — — *beta* — —
Gamma — — i zakasuje mądrego Hamleta.
W kwestji arcysubtelnej radby się zasklepić
Jak rabin — i rozstrzygnąć: czy *pić*, lebo *nie pić*.
Hamletek radzi: „*Nie pić*“ t. j. nie pić *co dnia*.
„Pijaństwo, rzecz to brzydka — i zdrożna — ba, zbro-
[dnia!
„Dowodem, — co? dowody?! Do nich się nie zniżę;
„Czytajcie Krasickiego. Stoi tam w satyrze.
„Rzecz inna kropnąć *czasem*, by zbyć się natręta...
„Kropnąć sobie w kompanii, n. p.: o! w święta!
„Nikt ci za złe nie weźmie, sam Hamlet na czele,
„Choćbyś się i ululał, jako szewc w Niedzielę.
„Tradycja — to tradycja. Od tradycji godła
„Na tyćko — —
Tu zapłakał. Pamięć go zawiodła.

Machnął więc znowu ręką: *et!*... i po pod domy
Sunie chyłkiem — w tem spojrzy: Kto? — Stary [znajomy —
Z ławy szkolnej towarzysz, no, druh, co się zowie.
„Polikarpku! Hultaju! a ty zkąd we Lwowie?...
„Dawno nam z horyzontu znikłeś jak kamfora.
„Witaj, stary! . . . . . .
. . . . „A cóż to? Żonka może chora?
„Kostuś może? Cóż, Kostuś? Czy go odłączono?
„Bo ciężko coś ząbkował — z pięć lat temu pono.
„No, mówże! . . . . . .
. . . Milczysz? . . . . . .
. . . . . Zgadłem. Wiem, co cię kłopoce:
„Nad Kostusia przyszłością w myślach spędzasz noce.
„Prawda. Tu — sęk. Tu — kłopot. Wszystko pnie się [w górę;
„Lecz zawód mu obmyślim, niechno zda maturę.
„Ot widzisz, ja — . . . . . .
. . . „Gdym jeszcze z flaszki ssał, w powiciu,
„Chciano już tor specjalny wytknąć memu życiu.
„Z krzykliwego dyftonga „*o—e*", pan Krescenty,
„(Znasz go, ojciec mój chrzestny i lingwista cięty)
„Proroczo mi horoskop postawił daleki:
— Ten malec będzie kiedyś — *suplentem od greki.*
„Babka moja, Olimpia, wsłuchana w te tony,
„Rzecze: — Ma *c* wysokie; to tenor skończony.
„Wuj zaś, eks-podpułkownik, oponując gniewnie,
„Żołnierzem będzie — (wrzasnął) — a feldweblem... [pewnie.
„Do djaska horoskopy! Przyszłość zawżdy mglistą.
„Nie *tenorem* zostałem, ale — *dyjurnistą.*
. . . . . .
„Stój! I po co się żachać? Kostuś zdradza talent;
„Wybierz mu stosowniejszy jaki ekwiwalent.
„Chcesz — wiersze będzie pisał i chadzał naduty;
„Tylko mu, aż do grobu, spraw serdeńko... buty,

„A swobodnie niech hula pegazowym szlakiem.
„Co do mnie, gdym malutkim, tyćkim był pedrakiem,
„Jużem się nie kłopotał, co począć z tym fantem;
„Nie *geniuszem* być chciałem, ale — *policjantem*.
. . . . . .
„Wniosek ztąd, Polikarpku, że wcześnie nad lata
„*Serjo* miałem poglądy, tudzież, że się bata
„Bałem, jako tradycja każe staroświecka;
„Że w końcu, Polikarpku, we mnie już od dziecka
„Duch tkwił normy, porządku, i żem miał w powadze
„Urząd, skoro z dewocją szanowałem Władzę.
„I jakże z tą zasadą wyszedłem na czysto?
„Młodsi dawno radcami, ja — wciąż *dyjurnistą!*
„Hej, bieda... Czasy ciężkie!.. Dowód mam na Felku;
„Okradł kasę i — drapnął. . . . . .
. . . . . Wróćmy do handelku.
„Chodź duszko, na szklaneczkę; sakwy nikt nie szarpie:
„*Ja* fetuję. Na honor... No, pójdź Polikarpie!
„Gdy się nieco spóźnimy, drynda nas zataska.
„Pójdź-że — nie stój, jak wryty. Cmoknij mnie. Do djaska,
„Oniemiał?!... Czyś tak spyszniał — czyś tak zgłupiał na noc?
„Polikarpku, miej rozum. Wszak ci to Wielkanoc!“
. . . . . .
Umilknął. Cisza.
Hamlet gdy się raz rozczuli,
Do rany przyłóż! Druha w objęciach więc tuli —
Ściska — ślini — i drzemiąc wciąż czeka wyroku:
Być, lub — *nie być*... w handelku.
Aliści ktoś z boku
Dotknie jego ramienia:
„„Pan się ziębisz marnie.
Czas do dom, do łóżeczka. Puść pan tę *latarnię*.““

Latarnię?... Przetarł oczy i przy błysku gazu

Ujrzał — —
Był to policjant. Poznał go od razu.

Puścił słup. Zdjął kapelusz.
„Sto podzięk za radę.
Pomóż jeno, rodaku... bo sam — nie dojadę.

Mikołajowi Biernackiemu
(Rodociowi)
w dzień literackiego Jego jubileuszu.[1])

Strachu ja nie znam. Zdolen byłbym nawet
Zoile zmiażdżyć, ogniem ziejąc z lawet,
I z mściwem piórem wpaść pioruno-oki
Na recenzentów zwarte czworoboki,
A choćby pobit — jak ów Samson ślepy —
Krytyki węgły strzaskać na czerepy.

Strachu więc nie znam; nie zadrży mi rzęsa.
Lecz — żem literat, to jest: człowiek z mięsa,
Nie wiotki Seraf, stworzony na wety
Z tęcz i promieni, z „mgły i galarety“,
I żem nie Cherub bez grzechu przymieszki,
(A są tam różne literackie grzeszki...),
To też mnie mrożą czasem niepokoje·
Strachu ja nie znam — a przecie się boję.

---

1) Rzecz wygłoszona na raucie „Koła“, urządzonym na cześć Jubilata.

Słowem — z respektu dla *Satyry* bata,
Kocham *Rodocia*... a czczę *Jubilata*.

Panowie!
Czasu nie szczędząc, ni pracy,
W skromnym foljancie, jasno jak na tacy,
Podać Wam chciałem w sposób nader czuły
Żywota Jego daty i szczegóły;
Alić, gdym kleił misterny ten opis,
Kot mojej córki schrupał mi rękopis —
I zdechł.
Drobnostką jedynaczki lament;
Lecz oto dowód, co za jad — atrament!
Wszakci kot, bestja odporna, wpółdzika,
Zdrowszy żołądek ma... od czytelnika.

Szczęściem, już w kuźniach redakcyjnych tętni;
Tam nas wyręczą jak najdokumentniej
Wedle wytrawnych biografii reguł.

Rodoć, panowie — —
Ważny pomnę szczegół:
Że się urodził. Fakt ten, bez ogródki,
W ciężkie na przyszłość brzemienny był skutki.
Niesamowite wróżyły przejawy,
Kto zacz był zrodzon.
Noworodek żwawy
Jak lew zaryczał, wymachując pięty —
A ryk ten wieścił: pójdę w malkontenty!

Znamienne oraz poczynając sprawki,
Ssał — ssał, panowie, z zacięciem pijawki.
Niekiedy także, wrzeszcząc w niebogłosy,
Kąsał. — Pijawka żądło miały osy.

Zaledwie podrósł, (szczegół pomnę wtóry),
Elementarne przecierpiał tortury:
Ząbki — kur — koklusz. Rojem go obsiadło.
Nakoniec całe przebył abecadło.
Stąd i zgryźliwość... Nieźle czyta za to —
I pisze... Duszę srodze ma rogatą —
Więc bodzie. Rożki wciąż mu rosną młode;
Snać z mamki łona *mleko* ssał — nie *wodę* —
A raczej płyn ów, co wrąc, syczy dziko,
Łechce i szczypie. — Mamką... wdówka *Cliquot*.

I jeden jeszcze z kociego pogromu
Ocalam szczegół — fakt, nieznan nikomu.
Wśród ścisłych badań nie wykrył pan *Pilat*,
Ni pan *Małecki* — że cny nasz Jubilat
(Skryty, bo skromny, zbyt skromny niestety)
Wszystkie pochłonął, cztery fakultety.
Acz o tem *doktor* milczy *Biegeleisen*,
Z *Leibnic*'em wołam:

Das kann ich beweisen!

Panowie!

Rodoć — to *filozof* kuty.
Nie wojuj szychem, nie wszczynaj dysputy,

Bo za podszewkę *tezy* się dostanie —
W lot przenicuje — wielkie zdziała pranie —
I nakrochmali. Skutek tej imprezy:
Że już nie poznasz twej przepranej *tezy!*
Starej Hellady mędrki choćbyś okradł —
Solon nie wykpi, nie wyłże cię *Sokrat.*

Rodoć — to *medyk.*
Acz Jego mikstury
Gorżkie — lecz zdrowe, jak trutka na szczury;
Wszechradykalne, niezawodne środki
Na dur mózgowy — sumienia nagniotki —
Honoru nieżyt — na zasad dyspepsję —
Na serca wady — ducha katalepsje.
I zimne tusze, smarowania daje
Na trądy różne i różne liszaje.
Ma więc pacjentów moc. Są chudzi — tłuści —
Tu baniek zada — a tam krwi upuści...

Panowie!
Jeszcze nie skończona lista.
Filozof — *medyk* — owszem. A *jurysta*?
Ba, zawołany! Mecenas maëstro
Nad kauzyperdów góruje palestrą;
A czy On z fachu, czy też samouczek,
Jest specjalistą od fint i od kruczek.
Choćbyś się ukrył, w ciup składając pysio,
Nie w paragrafów dziurę — ale w mysią —
Choćbyś, z kodeksem w ręku, szlochał, biadał —

Choćbyś się pięknie, jak scyzoryk, składał —
Skoroś nabroił, drżyj jak w kleszczach liszka;
On: *psa — psem* nazwie, *opryszkiem — opryszka*...
A że za długi mój do rautu prolog —
Kończę.

Panowie!

Rodoć — to *teolog.*

Sami przyznacie panowie i panie,
Że jeśli grzeczne wytnie Wam kazanie,
To z namaszczeniem — tak miodowo — słodko —
Że już dlatego warto być dewotką.
Po kwiatkach bieży swady jego fala —
Smołą nie straszy — kotłów nie rozpala —
Rozżarzonego nie ima się haka —
Lecz z wdziękiem damy światowej *Balzaka*
Duserów miodem bierze Was na wędę —
No... i w pomadkach tnie Wam reprymendę...

* * *

A teraz czas już dobiedz mojej strofie.
O, *teologu!* O, Ty *filozofie!*
O, Ty, *chirurgów* i *palestry* chlubo!
Grom — tnij — pruj — chlastaj — i ćwiartuj,
[aż lubo!
Harapa trzaskiem budź, na bezrobociu,
Onych, co drzemią! Ćwicz — oh, ćwicz — *Rodociu!*
Boć nienapróżno wielki prorok prawi:
„*Allah* — i *bizun*“.

Dixi — et salvavi.

Trajedja w pięciu aktach.[1])

AUTOR,

(wchodzi na estradę z rękopisem pod pachą i kłania się publiczności).

Jestem autorem.

(Po chwili, z naciskiem).

Tak jest, moi Państwo.
Trajedję wysnuć — święte to kapłaństwo;
Na domiar, w aktach wysnuć ją — aż pięciu.

(Wznosi oczy z namaszczeniem).

Bogi... wesprzyjcie wieszcza w przedsięwzięciu!

(Rozkłada manuskrypt — i czyta).

Akt pierwszy. Zgroza.

Uważajcie jeno:
Trup jest na scenie — drugi trup za sceną.
Co akt — dwa trupy. Tak (symetrji gwoli),
Zwykł je uśmiercać druh mój — *Aureoli.*
Lecz choć, jak druh on, wieszam — truję — [ścinam,
On... kończy trupem — ja trupem... zaczynam.
Efekt olbrzymi.

Dwa te trupiąt duchy,
(Sztylety kryjąc krwawe za pazuchy)
Wprost nad orkiestrę spłynąwszy cichutko.
Dyalog wiodą przed suflera budką:

---

1) Feljeton z „Journal parlé," wydanego dnia 25. kwietnia 1893. na „Rancie dziennikarskim."

Jego duch.

„Kury już pieją widm wiotkiemu światu“.

Jej duch.

„„Rzędem już gasną lampy magistratu.““

Jego duch.

„Spieszmy w grób!“

Jej duch.

„„Luby!... przewlecz chwilę zgonu. *(sic.)*
Dźwięk chcę pochłaniać Twego barytonu.““

Jego duch.

„Gruchajmyż. Parter kwili już — i loże.
(Z uczuciem).
„Donna Klaryndo!

Jej duch.
(omdlewając w jego objęciu).
„„Oh!... Don Niceforze!““

Przyznacie Państwo — scena arcyśliczna:
Spirytystyczno-liryczno-tragiczna.
W toń dawszy nurka z natchnienia szalupy,
Jak Neptun pływam. I „duchy“ — i „trupy“.
(Po chwili, do siebie).
Nie klaszczą?... Na nic romantyzmu strugi?
Ha — z innej beczki pocznijmy: ***Akt drugi.***

Szynk, moi Państwo, pod gedłem „drapaczki“.
Gwar — gęgot — klątwy — i ludzie — i kaczki.
Błocko do mierzwy, kał do nich się tuli,
Woń zaś... aromat... chyba nie patchouli.
Szmaty — czerepy — strzępy — i kot bury —
Pijak pod ławą — słowem: wdzięk natury.
A w tej realnej życia atmosferze,
Dalszy tok akcji źródło swoje bierze:
Z kałuży mętów, w lazury się wspina
On — mój bohater, oraz — heroina.
„*La bourse — ou l'eau de vie*“ — to ich dylemat.
(Urywa. Po chwili).
Wy — nic?... Przepraszam; nowomodny temat.
A Wy — nic?... Pięknie! Rzecz chcę wysnąć mądrą,
Z piszczela prawdy szpiku wyssać jądro.
Z porcelanowej, nie glinianej miski,
Realistyczne podać chcę ogryzki,
A wy — nic?...
Dobrze. Męki to przedpiekla!
(Z goryczą).
Klnę Was, o zimne dziatki *fin-de-siecle'a!*
(Tonem naturalnym).
A że czas leci,
Za pozwoleniem, zaczynam: ***Akt trzeci.***

Straszną mam tremę, czy bogactwo treści
W pięcioaktówki ramach się pomieści.
Ja — płytkich flirtów nie lubię Francuza.
Ja — rzecz pogłębiam.

A nuż pęknie szluza?
Atawistycznej genezy preludja,
Subtelne moje nad herosem studja,
Co jadł — co wypił — jak ów chleba bochen
Mózg macerował chłopcu *kat' exochen*,
I jak tam, w szkole, łez pełen i żalu,
W odwrotną stronę drapał się medalu,
Wszystkie te fakty — szczególiki — rysy,
Hurtem popłyną falą... za kulisy...
Heros mój bowiem — nie kto bądź, mój synku!
Acz z pośród kaczek wyszedł, ba — i z szynku,
Naturalizmem przesiąkł *(homo bestia)*
No... i kradł łyżki.

Lecz to inna kwestja.
I heroina moja — życia twardą
Przebyła szkołę. Spojrzyj!

(Tu urywa — i spoziera na zegarek).

Oh... *mille pardons!*
Czas mknie nie żarty.

(Czytając).

Akt czwarty.

*

(Nagle przerzuca karty zeszytu — sięga do jednej, potem do drugiej kieszeni fraka — nareszcie mówi ponuro:)

Pech... W położeniu czuję się niemiłem;
Akt najwznioślejszy — akt czwarty — zgubiłem.

(Tonem naturalnym).

Et, moi Państwo! Stare precz prawidła!
Rutyna dawna strasznie już obrzydła.

Dziś, jak ci piszą, cisnąć możesz w kąty
Pierwszy akt — drugi — i trzeci — i piąty.
Tak nędzne zszyte — tak to luzem kapie,
Że się publiczność nawet nie połapie.
Bogiem a prawdą, ni sensu, ni ładu;
Tezy — syntezy — traktat — gadu-gadu —
Jak mi Bóg miły: poszaleli młodzi;
Akt więc opuścić... zgoła nie zaszkodzi.
Skonstatowawszy to jeno dla faktu,
Przechodzę prosto — do: ***Piątego aktu.***

*

(Krząknąwszy — po pauzie).

Efekt — bo efekt — od wielkiego dzwonu.

REDAKTOR,
(przerywając nagle:)

Stój! — Szpalty brakło. — Koniec feljetonu.

Po za szkołę...

Scena małżeńska.[1])

(Ciemny pokój. Z podniesieniem się zasłony, scena przez krótką chwilę pusta. Drzwi w głębi uchylają się; widać w nich głowę mężczyzny w futrzanej czapie z uszami. Rozglądnąwszy się, mężczyzna wsuwa się ostrożnie do pokoju. Otulony jest futrem; szyja

(1 Odegrana na estradzie „Koła literackiego“ przez art. dram. pp. Mieczysława Frenkla i Stanisławę Pysznikównę; następnie przedstawiona na scenie teatru hr. Skarbka.

owinięta szalem; na nogach wysokie papucze. Wszedłszy, skrada się ku drzwiom z lewej i zaziera przez dziurkę od klucza. Zachnąwszy się, pomyka na sam przód sceny, aż po za budkę suflera).

On, (w sekrecie, do widzów).

Rzekłem: „Pozwól na kwadrans.“ — Kwaśną [robiąc minkę,
Rzekła: „Nie.“ — Rzekłem: „Kociu...“ — Rzekła: [„Na godzinkę“.
Rzekłem: „Dobrze. Godzinka.“ — Rzekła: „Da-
Rzekłem: „Słowo honoru!“ [jesz słowo?“ —
Wracam honorowo.
A może-m się i spóźnił? Pamięć mi się pląta...
Siódma była.

(W pokoju obok bije zegar ścienny. On liczy.)

Raz-dwa-trzy-cztery-pięć.
Co? Piąta?!
Piąta z rana? Zginąłem. (Skrobie się w głowę pod czapką).
Kazań, strach! nie lubię...
A ja, z moją gołąbką, kwartał jak po ślubie.

(Zapala stoczek. Futro, szal i czapkę zawiesza na szaragach u wejścia, poczem w papuczach znów podsuwa się ku drzwiom z lewej. Zagląda przez dziurkę).

Świeci się. W foteliku spiąca siedzi, blada,
Spłakana. Zwisła główka na ramię opada.
W dłoni „Szczutek.“
Biedactwo... Niema i cichutka;
Lecz niech-no się obudzi — da mi ona „Szczutka!“

(Ziewa i przeciąga się.)

Spać!... Oczy mi się kleją. Ba, wejść tam nie sposób.
Nie lubię kazań w nocy i nerwowych osób.

Zaraz: „gdzie?“ — na co?“ — „po co? — tra-ta-
[ta, bez przerwy,
Jakby człowiek był z gipsu. Wszak i ja mam
[nerwy!

(Ziewa).

Oh, te nerwy. (Ziewa). Fatalność. (Ziewa). Słowem,
[katastrofa.

(Ziewa i gasi stoczek).

Ha, przespijmy się w krześle, marząc, że to sofa.

(Siada na krześle, przeciąga się i zwolna zasypia.)

Kociu — — spij, kanareczku — — piąta? — —
[jesteś w błędzie — —
Spij — —

(Otwiera nagle oczy i zrywa się przestraszony).

Co?! (Przeciera powieki). To mysz. Oddycham.

(Uśmiecha się uspokojony). Cyt, jakoś to będzie.

(Zasypia. Pauza. Po chwili, kiwnąwszy sobą, posuwa krzesło z łoskotem).

Ona, (za sceną).

Kto tam?

On, (zrywając się).

Aj! (Skacze ku szaragonu i sięga po futro).

Ona, (wchodzi z lewej w negliżu i czepeczku, z lampą w ręku. Scena oświetla się).

To ty mężu?

On, (słodko, cofając rękę od futra).

Ja, serce. Spij, duszko.

Ona, (zimno, stawiając lampę na fortepianie).

Ja? Spać? Chyba żartujesz. Nie kładłam się
[w łóżko.

On, (niepewnym głosem).

Nie, Kociu?

Ona.

Nie.

On, (czule, biorąc ją za rękę).

Czyś chora?

Ona, (wyrywa mu rękę).

Nie.

On.

Masz taką minę —

Ona.

Migrenę mam.

On, (tkliwie).

Biedactwo.

Ona.

Przejdzie.

On, (robi ruch, jakby chciał biedz ku sypialni).

Daj cytrynę.

Słodką ci lemoniadkę przyrządzę, kochanie.

Ona, (z goryczą).

Słodko mi.

On.

Tak?

Ona.

Rozkosznie.

On, (chwytając ją znów za rękę).

Droga Kociu...

Ona, (wyrywając, ostro).

Panie!

On, (z lekkim wyrzutem).

Moja kotka nerwowa...

Ona, (gwałtownie).

Ja? Ja?

On, (j. w.)

I jak jeszcze!
Moja kotka nie dobra — a ja kotkę pieszczę.
Hej, wszystkie kubek w kubek, krewkie Ewy córki;
Kotki — lube koteczki — lecz są i pazurki.

Ona, (coraz gwałtowniej).

Ja?! Ja?!

On.

Ależ, gołąbku...

Ona.

Ja?! — Ja?! — Czy słyszycie?
O, ja nędzna ofiara! (Płacze). Oh!... oh!...

On, (wyciąga ku niej ramiona).

Moje życie...

Ona, (odskakując).

Precz! Wyjeżdżam do mamy. Czy to rzecz słychana?
Wraca do dom —

On, (przerywa).

Wróciłem.

Ona.

Lecz o szóstej zrana.
„Na godzinkę, żonusiu“... „Nie ruszę się z kąta“...
Fe! Fe! Szósta wybiła. Szósta!

On, (nieśmiało).

Żońciu, piąta.

Ona.

Minut dziesięć!

On, (dobywając szybko zegarka).

Sześć, kotku.

Ona, (tragicznie, przyciskając serce).

To boli... To boli...

On.

Opóźniłem się troszka. Wlokłem się powoli.
Śniegu po pas... Gołoledź... I mroźno... I ślisko...
Ja nie winien.

Ona.

Któż winien?!

On, (ponuro.)

Los. Losu igrzysko.

(Czule).

A ja ciebie tak kocham!

(Ona spogląda nań pogardliwie).

Klnę się —

Ona.

Dalej! Śmiele!

On.

Na niebo i na piekło.

Ona.

Potworze!

On.

Aniele!

Ona, (szyderczo.)

Aniele... Oh, przed ślubem każda wam aniołem.
Potem — (szlocha) potem — po ślubie — (szlocha) „gdy
mamie ją wziąłem“ —
Gdy klamka już zapadła — potem — (szlocha)
gdy się stało —
Gdy odstać się nie może — (szlocha) precz z obłudą,
śmiało!
Anioł jest już —

On, (na stronie).

Djabełkiem...

Ona.

Boże, co za zmiana!
Anioł, z piórek oskuban, służką męża-pana.
Dość! Wyjeżdżam do mamy. Dość tego obłędu.
A zresztą którym to ja tym „aniołkiem“ z rzędu?

On, (uroczyście palce podnosząc do góry).

Pierwszym.

Ona, (złośliwie).

A chuda Jadzia?

On.

Skoro o tem mowa —
Żońciu, pomnij na Fredzia.

Ona.

Potem blada wdowa —

On.

Gwidonek —

Ona.

Ruda Henia —

On.

Kulawy pan Klemens —

Ona.

A Muszka? —

On.

A Prosperek? —

Ona.

Garb —

On.

Delirium tremens.

Ona.

Milcz pan.

On.

Milczę.

(Pauza. On, zirytowany, siada przy drzwiach i ściąga papucze. Ona chodzi nerwowo po pokoju, nagle staje i zaczyna szlochać, łamiąc ręce).

Ona.

Poświęceń tyle, o mój Boże!
Stu miałam konkurentów, a jednak, potworze,
Ciebie nad nich przeniosłam.

(Ociera łzy i liczy na palcach).

Julek — Prosper — Fredzio —
Gwidonek — Klemens — Adaś — Kalasanty —
[Edzio —

On.

Praktykantów połowa — aplikanci — zera —
Figury bez adjutum.

Ona.

Zawszeć: pepiniera!
Co krok dzielny Fikalski.

On.

Kolacji amator.

Ona.

Ale radca, mój panie — ale prokurator!

On.

Cni męże. Prokurator wciąż zakatarzony,
A pan radca, porządkiem, trzy pogrzebał żony.
Ba, od czegoż kosmetyk? Jak murzyni czarni.

Ona.

Milcz pan.

On.

Milczę. Dobranoc. (Idzie na prawo.)

Ona.

Dokąd?

On.

Do spiżarni.

(Wychodzi na prawo).
(Pauza).
(Ona, wzburzona, robi kilka szybkich kroków i staje).

Ona.

Poszedł. Zgroza. Okropność. Bronić się nie myśli.
Tacy to są mężowie. Wiecznie niezawiśli!
Czuwaj — płacz — duszę niech ci szarpią nie-
[pokoje,
„Kotku“... „duszko“... „aniołku“... w końcu zrobi
[swoje.
O zdrajco! — „Drogie serce“... „żońciu“... „moje
[życie“...
Pozwól mu na kwadransik — powróci o świcie.
I lada czem cię zbędzie, miodowemi słowy.
A gdzie wierność małżeńska? porządek domowy?
Dość tego! Zmian, *reformy*, *reformy* nam trzeba.
Czemuż mnie prawodawcą nie zrobiły Nieba?!
Paragrafów bym zaraz stworzyła bez liku.
Mąż do dom wracać winien, kłusem, po capstrzyku.
Spóźni się? Masz paragraf, bez regresu, twardy:
Za *kwadrans* opóźnienia skwituje z pulardy;
Precz z budeniem, mężulku, mimo słodkiej miny
Pieczeń? Nie pieczeń — łyko gryź za *pół*
[*godziny*.
Za *trzy kwadranse* — cała przepada kolacja.
Za *godzinę* — post wielki, głód i separacja.
(Chodzi po pokoju niespokojna. Staje).
W spiżarce chłód. (Macha ręką.)
Niech marznie.
(Po chwili miękko).
Pamiętam, na wiosnę,
Gdy słowiki kantaty nuciły miłosne,

Gdy księżyca mdlał promień i w całej naturze
Czeremchy drżały wonie, gdy kraśniały róże,
Gdy zmysły odurzała wszech-harmonia cicha,
Wówczas on — — (Urywa).
A w spiżarce przeciąg. Ha, niech [kicha!
Paragraf, to paragraf. Odtąd tak stanowię:
Mąż, który — — (Urywa).
Biedny Miecio. Tak wątłe ma zdrowie.
Smętny siedzi, zziębnięty, na starej kanapie,
Bez sprężyn.
(Zbliża się ku drzwiom i nadsłuchuje).
Nieba! Co to? On łka.
(Nadsłuchuje. Z oburzeniem:)
Nie. On chrapie!
Potwór! Potwór, bez serca! Tego już za wiele.
Gdzie rewolwer? I jego — i siebie zastrzelę.
Albo — nie.

(Skacze do fortepianu, siada i gra skoczną polkę z Juanity," uderzając z całej siły w klawisze. Ziewając, z zaspanemi oczyma On wychodzi ze spiżarni i przez chwilę, stojąc, przysłuchuje się apatycznie. Ona zmienia polkę na wielką arję z „Trubadura." On bierze krzesło, ciągnie je za sobą po podłodze, stawia obok niej i siada ziewając. Ona zmienia „Trubadura" na kuplety z „Mikada". On zaczyna zasypiać. Ona urywa nagle i z całą pasją uderza fałszywy akord.)

On, (zrywając się).
Co?! — — Dobrydzień. Jak te chwile [lecą...
(Ziewa).

To „Baron“ — czy „Mikado“? słuch mam tępy nieco.

(Słychać pukanie).

Pan sąsiad puka w ścianę.

Ona, (zrywa się, wybuchając).

Wyjeżdżam do mamy!

On, (z flegmą).

Owszem, droga koteczko. Zatem wyjeżdżamy.

Ona.

Sama jadę. Dziś. Jutro.

On.

Sama? Zaraz jutro?

(Ziewa).

Ha no, skoro koniecznie, papucze weź — futro — Szal —

Ona.

Pozbyć mnie się pragniesz? Dobrze. Coraz lepiej.
Precz mi z oczu! (On chce wyjść.)

Stój!

On.

Stoję.

Ona.

Pan mnie nie oślepi.
Sianem się nie wykręcisz. Do nóg padniesz plackiem.

(Ostro patrząc mu w oczy),

Gdzieś był?

On.

Ja?

Ona.

Tylko prawdę!

On, (po chwili namysłu).

W „Kole literackiem.“

Ona, (śmiejąc się szyderczo).

Literat. Pan literat. A to koniec świata!
Odkąd-że być mam honor żoną — literata?

On.

E, koteczko, cóż znowu. Znają mnie trzy ciotki,
Potwierdzi wuj Kajetan, że misterne zwrotki
Koncypować potrafię. Szast, prast, bez wahania:
„Słodka aura“ — i „Laura“; „manja“ — [i „melanja;“
„Róża,“ „burza,“ „zamruża“ — „wonie,“ „w ło- [nie,“ „płonie.“
Grywam zresztą jak anioł —

Ona.

Ty?

On.

Na arystonie,
A że się nie powstydzę w taroczka czy wista,
Owoż ze mnie literat — oraz i artysta —
Ha no, i „Koła“ członek.

Ona, (podejrzliwie).

Oddawna?

On.

Od wczora.

Ona.

Tak nagle?

On.

Bo to, widzisz... spotkałem doktora,
Tego... tego... doktora, podobno od dzieci.
„Pójdź do *Koła*.“ — „Ja, obcy?“ — Mówi: „Nie
[wstyd-że ci?
Zapisz się.“ — Myślę sobie: a nuż? — A on wtrąci:
„Masz odczyty... dla żońci. Rauty masz... dla
[żońci.“
Słusznie. Są literaci od pióra — i dzicy.
Poszedłem. Zapisali. Wiszę na tablicy.

Ona, (niedowierzająco).

Zaraz dowiem się prawdy.

On.

Owszem.

Ona.

Pytam pana —

On.

Wypytuj.

Ona.

W „Kole“ byłeś?

On.

W „Kole“.

Ona.

Aż do rana?

On.

Do rana. Wśród Augurów czasu się nie traci.

Ona.

Któż tam był?

On, (po namyśle).

Literaci.

Ona.

Przecie nie żonaci?

On.

Owszem. Sami żonkosie. Stateczni — moralni — Katony. Słowo daję. Siedliśmy w jadalni. Zjadłem kotlet. Na honor.

Ona.

Oh, pan z cnoty słynie...
Spędziłeś noc —

On.

Wzorowo.

Ona.

Pewnie przy —

On.

Dominie.

Ona.

Całą noc?

On.

No... uczone były też dysputy.

Ona.

O czem?

On.

O czem?... O wszystkiem. Wyszedłem
[jak z huty.
Literat... ten... tamtemu... nic nie puścił płazem.
Ten mówił... tamten mówił... rozprawiali razem,
Tak, iż z całej tej mądrej pamiętam rozmowy,
Że — — kotlet był barani, a sos paprykowy.

Ona.

Otóż to mąż-literat! Cóż potem?

On.

Co potem?...
Dramaturg, ten pan z bródką, z okrutnym polotem
Dramat czytał.

Ona.

Sens jaki?

On, (namyślając się).

Sens? No — sens na stronę,
Ale były trzy trupy.

Ona.

Cóż potem?

On, (na str.)

Już tonę.

Ona, (chwytając go za klapę tużurka).

Potem? Potem?

On.

Nic.

Ona.

Nic?

On.

Nic.

Ona.

I to wszystko?

On.

Wszystko.

Ona.

Kłamiesz!

On.

Ba...

(Ona rzuca się na krzesło i zasłania sobie oczy szlochając. On naciąga futro, zakłada czapkę, owija się szalem i wdziewa papucze).

Ona, (szlochając).

Co za męki! (Zrywa się). Będę nihilistką — Dam się wykraść — ucieknę —

(Nagle spostrzega go ubranego. Ze zgrozą:)

On w futrze!

On.

Od wiatru.

Idę spać, do urzędu.

Ona, (wybuchając).

Wstąpię do teatru!

On.

Ja także.

Ona. (bieży ku niemu, chwyta go za rękaw futra i wiedzie na przód sceny).

Mam cię, ptaszku! Fe, fe, taki łysy...

Wszystko wiem, Pan z tym, z bródką, biegasz [za kulisy!

On.

Ja?

Ona.

Ty.

On.

Ja?

Ona.

Milcz pan!

On.

Milczę. Kociu, to tortura. Ja... ja z futra wyskoczę. (Zmierza ku wyjściu.)

Ona.

Stój! Dokąd?

On.

Do biura.

Ona.

W nocy?

On.

Trudno, koteczko. Czy to rzecz bezbożna? W biurze spi się w dzień nieraz; to i w nocy [można.

Ona, (łagodniej).

Zdejm futro.

On.

Zdjąłem, duszko. (Ściąga i zawiesza).

Ona.

I szal.

On. (t. s.)

I szal.

Ona.

Dalej!

Papucze.

On, (t. s.)

I papucze. (Stoją chwilę w milczeniu).

Ona, (po chwili).

I pan się nie spali

Ze wstydu?

On.

Moja kociu, wstydzić się? I czego?
Że lwowski *Dant* lub *Sardou* nazwie mnie kolegą?
A nie mile-ż to w uszku brzmi, nie słodko, gładko,
Żeś żoną literata — a więc... literatką?

Ona, (zamyślona).

No, no...

On.

A te odczyty, *cercle* i zebrania!
Damę wiodą na salę — pan prezes się kłania —
Sadzają na fotelu — i pół trąbi Lwowa:
Był pan Karaś, pan Wściubski, pani Flircikowa.

Ona.

(chodzi zamyślona po pokoju. Nagle staje przed nim).

Pan... literat!

On, (całując ją w rękę).

A widzisz. Serduszko masz złote.

Ona.

Kiedyż raut?

On, (zmieszany)

Raut?

Ona.

Słyszałeś.

On.

Podobno... w sobotę.

Ona.

Pójdziemy.

On.

Moja Kociu...

Ona.

O, pan zaraz fuknie,
Lecz to wszystko napróżno. Nową sprawisz suknię—
Z trenem.

On.

Z trenem, koteczko?... Pysio masz tak blade!...
A migrena?

Ona.

Pójdziemy.

On.

A wojaż?

Ona.

Nie jadę.

On, (kwaśno, biorąc ją za rękę).

Więc zgoda?

Ona, (wyrywając rękę).

Nie tak raptem. Nie jadę do mamy.
Raut — i suknia. A potem... potem pogadamy.
Dobranoc. (Wybiega. Słychać zgrzyt klucza w zamku).

On.

Spij, koteczko.
(Sam, wznosi ramiona).
Stwórco — Boże wielki —
Ocalałem. O żony!... O wy, trapicielki!...
(Kiwa głową ponuro).
Stało się. Niech mnie wpiszą — a potem, co żywo,
Marsz na raut z magnifiką; obaczym to dziwo.
Poszła. Ha, czas się przyznać — korciło mnie póty,
Aż... (Ogląda się ostrożnie. Ciszej, do widzów).
Nie z „Koła“ powracam. Powracam... *z reduty.*

Lunio-optymista i Rynio-pessymista.

(DYALOG) *).

Rynio.

Mam cię!

*) Wygłoszony z estrady przez artystów dramatycznych R. Ruszkowskiego i S. Trapszę na Raucie „Koła“.
(Rzecz dzieje się o dziewiątej z wieczora, pod posągiem Jabłonowskiego).

Lunio, (zadyszany).

Puść!

Rynio.

Czekaj.

Lunio.

Biegnę.

Rynio, (chwytając go za rękaw).

Słówko...

Lunio, (wydzierając się).

Ani chwili!

Rynio.

Czwarty już mi umyka. Czyście się zmówili?

Lunio.

Puść!

Rynio.

Nie puszczę. Te nudy!... Mdła ta zmora, blada,
Rozziewana... Co słychać? — Cóż armia Mikada?

Lunio.

Masakruje Chińczyków. Bądź zdrów.

Rynio.

Dokąd? Poco?

Lunio.

Dziewiąta, bój się Boga!

Rynio.

Spać chcesz przed północą?

Lunio, (wyrywając się).

Dziewiąta, puść!

Rynio.

Co tobie? Minę masz pocieszną.

Lunio.

Dziewiąta!

Rynio.

Bardzo wcześnie.

Lunio.

Późno!

Rynio.

Tak ci spieszno?

Lunio.

Pędzę.

Rynio.

Cały w gorączce.

Lunio.

Puść-że...

Rynio.

To nie drwiny;
Hola! biały krawacik. Cóż to? Ślub czy chrzciny?

Lunio.

Raut.

Rynio.

Prawda! Czy nie w „*Kole*“?

Lunio.

A w „*Kole*“!

Rynio.

No, proszę;
Wiesz co? Zostań. Dziękuję za te ich rozkosze.

Lunio, (z oburzeniem).

Co-o-o?!

Rynio.

Lento, piu lento. Rauty te ich znamy:
Trzysta krzeseł na sali — na krzesłach trzy damy.
Kwiatów *multum,* lamp tuzin, fortepian na froncie,
Z tyłu jeden literat, a dwa piece w kącie.
Spiewają, prawda, słodko. Deklamują cudnie.
Noc-byś całą przesiedział, ranek i południe;
Lecz niechno po pustyni wzrok ci się zabłąka,
Mróz chwyta. Radbyś umknąć, nie czekając
[dzwonka.

Lunio, (z indygnacją).

Puść!

Rynio.

Lento, piu lento.

Lunio.

Szukasz ze mną zwady?

Rynio.

Na rauty literackie nie chadzam *z zasady;*
Lecz Florek, nasz Fikalski, rzekł mi raz, jak struty:
„Znasz mnie. *Pchutt* jestem danser. Folblut nad
[folbluty.
I cóż, że mi Kropiowski frak zrobił, jak cacko?
Grom niech spali tę budę ultra-literacką!

Człek radby zadać szyku — a tu miła szansa,
Vis-à-vis, z piecem chyba, dreptać kontredansa".

Lunio, (oburzony).

Florek mówił?

Rynio, (z namaszczeniem).

Sam Florek.

Lunio.

A to gad! To żmija!

Rynio.

Fachman.

Lunio.

Plotkarz.

Rynio.

Pchutt, danser.

Lunio.

Co się z prawdą mija.
Twój Florek, snać, do „*Koła*" widoczną ma ansę.
Wyzwę go, zetnę, zrąbię. Ot, i kontredanse.
Fika nie źle; lecz prawdę mówić nie ma daru.

Rynio.

Gdzież argument?

Lunio.

Ciężkiego nawet wagomiaru.
(Z naciskiem).
Pędzę z „*Koła*".

Rynio, (szyderczo).

Już *z* „*Koła*"?

Lunio.

Zapomniałem chustki.

Rynio.

I cóż?

Lunio, (z dumą, cmokając w końce palców).

Raucik — !

Rynio, (szyderczo, naśladując go).

Dać buzi?

Lunio.

Zgadłeś.

Rynio.

Pustki.

Lunio.

Pustki?!
Padam ci, dawno takiej nie było parady.
Planet męskich dwie kopy, damskich gwiazd [miriady!
Tak tam rojno, tak swojsko, a lubo, a pięknie...
Program *f—f!!* Zabawka, że twój Florek pęknie.

Rynio, (skeptycznie).

Ej?!

Lunio.

Smakoszom biesiada, a Fikalskim gody.
Kobietki... Co za pysia! Klękajcie narody!

Rynio, (jw.)

Klękaj.

Lunio.

Okiem wtargnąłem w niebianek gęstwinę.
Co tam smukłych brunetek! Bóstwa, niechaj zginę!
Co tam śnieżnych blondynek! Złożyć chyba ręce,
Gapić się, no, i wzdychać. Kark dziś pewnie skręcę!

Rynio, (drwiąco).

Ściągnij krawat.

Lunio, (zapalając się).

„*Kotyljon*!...“ Noc przeleci szparko.

Rynio.

Ba, obaczysz, dansera nie znajdzie z latarką.

Lunio.

Nie trwoż się. Jak pod zimę ściągają się wrony,
Cała młodzież wylegla — roty — bataliony!

Rynio.

Wiesz co? Z Florkiem, przypuszczam, sprawa
[nie zbyt czysta;
Lecz tyś grubo przesolił.

Lunio.

Tetryk! Pessymista!

Rynio.

Co za młodzież? To łyse, marcowe kaleki:
Pan mecenas z podagrą — literat bez teki,
Mazgaj — kilku artystów z szeroką przedziałką
Na trzy palce... Hę zgadłem? Będzie nieco miałko.
Słowem, Florek miał rację. Wiedziałem to z góry.

Lunio, (wybuchając).

Bądź zdrów.

Rynio.

Idziesz?

Lunio.

Nie mogę znieść tej sekatury!
Lukrecja! nudzi, gdera, plotek słucha głupców.
Padam ci, chłopiec w chłopca, w sam raz do [hołupców!
Chcesz? spiszę. Całe pióro stemperuję gęsie.
Jak ci utną mazura, teatr się roztrzęsie.

Rynio.

Piu lento.

Lunio.

Puść!

Rynio.

Czekaj! Z góry nie prorokuj.

Lunio.

Bądź zdrów.

Rynio.

Florek, to fachman.

Lunio.

Z Florkiem daj mi pokój!
Bądź zdrów.

Rynio.

Nie idź, ostrzegam. Coś mi syczy w uchu:
Będzie klapa.

Lunio.

Puść!

Rynio.

Klapa!

Lunio.

Zgub się, trapiduchu!

Rynio, (chwytając go za rękaw).

Zresztą...

Lunio.

Co?

Rynio.

Bo to, widzisz... W serce wbiłeś sztylet...

Lunio.

Tobie?

Rynio, (ociągając się).

Mnie.

Lunio.

Nie pojmuję.

Rynio, (po chwile).

Jest tam jeszcze... bilet?

Lunio.

Co słyszę?

Rynio.

Gdybym... widzisz... godząc strony obie...
Od niechcenia... ot, z nudów... przypadkiem... tak sobie...

Lunio.

Gdybyś —

Rynio.

Gdybym... ukradkiem wcisnął się do kąta?

Lunio.

A — frak?!

Rynio, (gorączkowo).

Biegnę do domu.

Lunio.

Pędź! Bije dziewiąta.

XX.

Ewulka.

Kto jak kto, ale utrapiony mój rodzic nie lada zaznał ze mną kłopotów. A już to z obraniem mi zawodu krzyż miał pański. Zaledwie na ławie gimnazjalnej liznąłem *schola - scholae,* ni stąd, ni zowąd, rozsmakował ja ci się gwałtownie w misternym cyrklu i w gładko ohyblowanej stolniczce do rysunków. Pod one czasy kolej żelazna owiana jeszcze była u nas aureolą nowości; nęcił mnie tedy, srodze nęcił, przyszły dyplom inżyniera — boć przecie wymarzony ideał człowieczego szczęścia ucieleśnia się w bezustannej włóczędze na dymiącej i huczącej, czarodziejskiej maszynie!

Dobrze. Zapisał mnie ojciec do szkoły realnej i (co prawda, to nie grzech) z roku na rok pięknemi poszczycić się mogłem promocjami. Aliści, ni stąd, ni zowąd, znowu obudziła się we mnie sroga tęsknica do studjów humanitarnych; głębsze bowiem rozpatrzenie się w ważnej kwestji jeżdżenia na maszynie pouczyło, że przyjemności tej zażywa przeważnie zgoła nie technik, lecz pospolity maszynista — oraz że delicje tego rodzaju wręcz nie wytrzymują porównania z rozkoszami pierwszego lepszego, wrażeń łaknącego turysty. Zobojętniał mi tedy misterny cyrkiel, coraz zaś gnuśniej przyglądałem się z podełba, kiedy Magdusia rysunkową moją stolniczką posiłkować się jęła przy wałkowaniu ciasta na makaran.

Dobrze. Zawrócił mnie ojciec do gimnazjum. I znów (acz *propria laus sordet*) pochwalić się nie zaszkodzi, że corocznie celującym wykazywałem się postępem. Tak zwanych „prymasów“ było nas trzech. Pierwsze miejsce niezmiennie dzierżył obecny minister dla Galicji; z drugiego nie dozwolił się zepchnąć dzisiejszy profesor literatury polskiej na lwowskiej wszechnicy; trzecim zawsze byłem ja. W samej rzeczy jest się czem pochwalić, już przez sam wzgląd na matadory, z którymi ongi, łokieć przy łokciu, wygniatało się szkolne ławy; jeśli jednak o tym fakcie chełpliwie nadmieniam, to raczej dlatego, że tłóma-

czy on nieco pobłażliwość drogiego mi „starego“ na niestałe zachcianki synalka. Dość, że tak w trójkę maszerowaliśmy na czele dzielnej naszej klasy aż do egzaminu dojrzałości. Oczywista, maturę złożyło się z wyszczególnieniem.

Dobrze. Wybierz sobie teraz, synku, wydział. Praktyczny zmysł doradzał poświęcenie się jurisprudencji; boć przecie chleba najrychlej dobija się — prawnik. Immatrykulowałem się tedy na wydziale prawniczym.

Dobrze. Atoli już u schyłku drugiego roku ostygłem z zapału do suchych pandektów i do „*corpus juris*“ Justyniana. Dlaczego? Może z tej racji, że jako „ząbkujący“ już „poeta“ zawadziłem o kulisy, co zgoła nie wpływa zachęcająco na żmudne trudy jurydyczno-mnemonicznych wysileń — a może też i z racji, że zbliżał się pierwszy, ścisły egzamin państwowy. Owoż ni stąd, ni zowąd, zachwalać jąłem przewagę głębokich studjów filozoficznych nad płytkiem przyswajaniem sobie pokoszlawionych §§-ów, a czyniłem to z takiem, lepszej sprawy godnem przejęciem, że rodzic milcząco zgodził się i na tę przemianę.

Dobrze. Porzuciwszy wstrętne „jura“ i otrzepawszy kurz z sandałów, z jurysty przeliniłem się na filozofa. Co ja tam porabiałem na filozoficznym wydziale, o ile zagłębiałem się w bezdenne tajniki rozmaitych systemów tak staro-

żytnych, jak nowożytnych myślicieli — — niech mi będzie wolno przemilczeć.

*

Dr. Franciszek de Paula G—r, sądowej medycyny profesor i jeden z najwybitniejszych członków ciała nauczycielskiego w b. medyczno-chirurgicznej szkole przy uniwersytecie lwowskim, serdecznym był przyjacielem naszego domu i codziennym u nas gościem.

— *Cale ruczi!* (całuję rączki) — donośny okrzyk, połączony z energicznem wycieraniem podeszew o słomiankę przed progiem przedpokoju, mogłeś usłyszeć u nas dzień w dzień, o drugiej z południa, z regularnością zegarka. To zacny, poczciwy pan profesor, ucieszną swoją, łamaną gwarą witał się z ś. p. moją matką. Po chwili, z wyciągniętą prawicą, z wesoło przymrużonemi powieki, uśmiechając się kordjalnie pod dziwnie sumiastym, iście staropolskim wąsem, wkraczał wprost do ojca kancelarji:

— *n' Morgen, Director!*

Niekiedy, dla odmiany:

— *Wol g'speist, Directorchen!*

Pan profesor bowiem, punktualnie o drugiej po obiedzie, stawiał się w ojca kancelarji na stereotypową filiżankę czarnej kawy i na przyjacielską, stereotypową pogawędkę. O trzeciej pospieszał z piętra na dół, na wykład.

Trudno o sympatyczniejszą osobistość pośród napływowego żywiołu. Była to uosobiona, niemiecka „*kreuzfidele, ehrliche Haut*“ w pełnem, szlachetnem znaczeniu tego określenia. Nawet rysy dobrodusznego oblicza nie zdradzały Niemca. Oczy miał jasne, rybie, wesołe, nos pociągły, wąs zawiesisty. Cała postać nadawała się wprost do kapoty.

Dla naszej rodziny w szczerocie swojej wylany, gorąco zajmował się domowemi jej sprawy. Skoro jakaś jaśniejsza zabłysła nam chwila, przybiegał rozpromieniony, od progu już hukając z pełnej piersi: „*mein Komplimentchen!*“ — a jeżeli los dotknął nas kiedy zmartwieniem, w lot zjawiało się zasumowane doktorzysko i szarpiąc sumiaste wiechy, krząkało pod nosem: „*helf Gott... na, na...*“ A już kiedy choroba zagościła w dom, prawie nie odstępował od łoża pacjenta i późno w noc kwapił się zasapany z ciepłomierzem w kieszonce. Lekarzem był uczynnym, bezinteresownym, jak mało. Służba z całej akademji do niego jak w dym. Tu baba zachorzała, tam dziecko; ratuj panie konsyliarzu! „*Na, na. Nema strach...*“ Ratował tedy pan profesor „*Nemastrach*“ biedaków, na każdej zaś recepcie zamieścić nie omieszkał dopiska: *pro me.*

To też szurganie nogami po słomiance i gromkie: „*cale ruczi!*“ witane było u nas zawsze z niewymowną radością. I starszym, i młodzieży,

i służbie, wymykał się serdeczny uśmiech zadowolenia: „doktor przyszedł!“ Co żywo rzucano się ku niemu; jedno z rąk wydzierało mu parasol lub trzcinę ze słoniową gałką w kształcie trupiej główki — drugie rwało się do filcowego, zimą i latem jasno-kawowego półcylindra — trzecie ściągało zeń odwieczne, nastroszone szopy lub długi po same kostki paletot, podczas gdy Magdusia, przyklęknąwszy na podłodze, oswobadzała go z wysokich, do pół łytki sięgających kaloszy. Doktor z posuwistym rozmachem starą matkę cmok w rękę — mnie zlekka potargał za ucho — starszej siostrze szarmanckiego rzucił całuska — młodszą pogłaskał po grzywce — Magdusię nieraz ukradkiem w kąciku uszczypnął, gdzie się dało — i marsz prosto do kancelarji:

— *n' Morgen, Director!*

A szczególną miał pasję popisywania się swoją polszczyzną.

„*Na, na... Versteh' schon mein bissl Polnisch.*“ Straszliwe to było, pogmatwane kłębowisko karykaturalnie poprzekręcanych dźwięków, wywołujące rozmaite niespodzianki, nieporozumienia, wstydliwe nawet konsternacje. Nieraz ani w ząb go zrozumieć; a jednak z paniami, z dziećmi i ze służbą nie rozmawiał, jak jeno „po polsku“. Niech Bóg broni, gdyby kto (choć skromnie) był się ośmielił zadać mu nieprawidłową wymowę lub mylne użycie tego lub owego zwrotu.

— *Sprech' schon correct mein Polnisch. Punctum.*

Niekiedy, zanim dał się ugłaskać, prychał gniewnie z pół godziny po zadaniu mu przez małą Helę lingwistycznego ćwiczenia: „*Brzmi chrząszcz w trzcinie*“ — albo: „*Łapał szwab łapał, nie złapał*“.

— *Nie sllapall. Nie sllapall. Szle muwli ll? Szle? — Wie? Was? — To nie polski ll? Na, na!*

*

Gdy wydział prawniczy zamieniłem na filozoficzny, doktor pochwalił krok mój gorąco, sam bowiem, jako przyrodnik, zapiekłym był przeciwnikiem kauzyperdów („*Malefiz - Rechtsverdreher*“). Lecz gdy i ten zawód budzić we mnie zaczął nieukrywany niesmak, wziął mnie znowu w obronę, a rzecznikiem stał się wymownym — gdyż i on knuł swoje plany. Doktor, siłą mocą z filozofa uwziął się przekabacić mnie na medyka. A zabrał się do rzeczy oględnie, sprytnie, z niczem niezachwianą konsekwencją. Jak pionem na szachownicy, posuwał mną zwolna — wciąż naprzód. Zrazu wyprowadzał mnie na przechadzkę za miasto, przekonywających nie szczędząc wywodów, jak szczytnem jest powołanie zdrowiodawcy; opowiadał mi rozliczne, cudowne szczegóły z własnego doświadczenia, działając na wyobraźnię ambitnego akademika; nie obeszło się

i bez tego, by mi od czasu do czasu nie podsunął zajmującej rozprawki z zakresu popularnej medycyny. Nareszcie zawiódł mnie raz, drugi, na klinikę i do *theatrum anatomicum*. Jak krople dżdżu, spadające bez przerwy, twardy wyżłabiają granit — tak i on dzień po dniu w jeden, jedyny godząc punkt wytyczny, wzniecił nareszcie we mnie gorące rozmiłowanie się w tajnikach boskiego *Asklepios'a*. I niestrudzone zabiegi doktora uwieńczył pożądany skutek; po raz (nie wiem już który) stałem się renegatem zawodu — i jak dla filozofii porzuciłem prawo, tak znowu filozofią wzgardziłem dla medycyny.

Przekonał nas wszystkich, że bez wielkiego zachodu zamysł ten może być uskuteczniony. Wprawdzie najbliższego fakultetu medycznego szukać trzeba było dopiero w Krakowie; wszelako lwowska *alma mater* sama nastręczała się ze swoją szkołą chirurgów, w której Dr. Frańciszek de Paula wybitne posiadał wpływy. Ukończone z dobrym postępem dwa pierwsze lata chirurgii upoważniały do wstępnego egzaminu na trzeci rok medycyny w Krakowie; zaraz tedy w zaczątkach ponownego mojego odszczepieństwa nic nie zniewalało mnie do opuszczenia rodzicielskiego domu, zkąd papa niechętnie byłby w świat wypuścił jedynaka, (zwłaszcza, że jedynak coraz częściej gubił się — — za kulisami)

Dobrze. Macie tedy ze mnie chirurga.

Raz już w mocy szanownego profesora, ciałem i duszą oddałem się jego wpływowi, zwłaszcza, że z całą żarliwością misjonarza położył areszt na wszystkie myśli prozelity. Niemal nie odstępywał mnie na krok. Po wykładach, społem czytywało się naukowe dzieła i zawodowe czasopisma; a żem za młodu pamięć posiadał szaloną, to też w krótkim stosunkowo czasokresie zdumiewające robiłem skoki w nabywaniu teoretycznej wiedzy, acz gorączkowe, niesystematyczne to jej pochłanianie, nieco chaotyczny w mojej mózgownicy wywoływało zamęt. Dość napomknąć, że zaraz z góry całą terapię i patologię *Lebert'a* i *Niemayer'a* wchłonąłem od deski do deski — i że nieobeznany jeszcze z budową człowieka, układem jego szkieletu, ustrojem naczyń jego krwionośnych, mięśni i nerwów — pod względem rozpoznawania i lecznictwa mniej skomplikowanych chorób, byłem jak w domu.

Nie napróżno zwano mnie doktora *Nemastracha* przybocznym adjutantem. Bezemnie nie przestąpił progów kliniki, ni anatomicznego gabinetu; ubolewał jeno, że jakoś przecie nie wypada, ażebym mu towarzyszył do prywatnych jego pacjentów. Gdy z powrotem z kliniki samowtór kroczyliśmy Łyczakowską, zatopieni w poważnych dyssertacjach — niechby nas był kto podsłuchał — a byłby przysiągł, że młodziutki doktorzyna spory toczy ze starym wyjadaczem. Co-

dziennie bowiem u jego boku przebiegając krużganki szpitala, nabyłem już pewnej biegłości w djagnozie, i ku niemałej jego radości popisywać się jąłem książkową moją uczonością. Wszak ci doktor, zbadawszy dokładnie stan chorego, zwykł był zwracać się ku mnie:

— *Nun*, pane kolega, *heraus mit Ding da!*

Po niezbyt głębokim namyśle walę śmiało na chybił-trafił:

— *Hydrops pulmonum* — albo: *Typhlitis stercoralis* — albo: *Apoplexia hemiplegia* — *etc. etc.*

— *Hübsch, brav, exellent*, pane kolega! — rehotało się poczciwe doktorzysko, jeżeli zbyt jaskrawego nie dopuściłem się fałszu. To też byłem dumny, ale to dumny!...

Wszystko drobnostka — gdyby nie rzezanie zwłok. Bez onej odrażającej, szczególnie dla początkujących Eskulapiątek wstrętnej procedury, ani weź dobić się dyplomu; boć wyłącznie z książek i kolorowanych drzeworytów, z macania przyspieszonego tętna i oglądania obłożonych języków niewiele skorzystasz. Ba, ależ cuchnąca rzezanina groziła mi szkopułem, o który roztrzaskać się mogło sztuczne wiązanie mojego zapału. Do łóżek osobników nawet już konających, przystępywałem już bez trwogi, z istotnem nieraz zajęciem śledząc postępu zabójczego rozkładu, którego okiełznać już nie zdoła wiedza i siła ludzka.

Bywałem także świadkiem licznych operacyj; a lubo sam już widok gąbek, miednic i przyrządów sperlał mi czoło zimnym potem, jęk zaś krajanych lub piłowanych przyprawiał mnie o mdłości — nadrabiając miną — trzymałem się jako tako, zachęcająco poklepywany przez czcigodnego p. Franciszka de Paula. Również udało mi się przezwyciężyć wrodzony wstręt do anatomicznych preparatów w słojach i gablotach. Atoli same już przedwstępne czynności, zmierzające do własnoręcznego babrania we wnętrznościach nieboszczyków, pozbawiały mnie zmysłów. Trupi odor tamował mi oddech, jak w kleszczach ściskając mi omdlewające serce. Na widok poćwiartowanych szczątków niedawno drgającego jeszcze cielska wzdrygało się całe moje jestestwo. Naprożno zachętami, strofującym pomrukiem, rubasznemi nawet drwinki, doktor wysilał się na dodanie mi odwagi. Postradałem spokój, sen, apetyt. Wychudłem na szczapę. Srodze martwił się profesor, jakby w przeczuciu, że... że koniec końcem... kiepsko coś będzie z moją medycyną. Uparcie jednak stał jak mur. „*Muss — muss — harte Nuss.*“ Zresztą zaręczał mi solennie, że w młodości, za akademickich czasów, kubek w kubek takich samych objawów doświadczał na sobie.

— *Junger Herr,* pane kolega, *s'wird mir zu dumm. Na, na. Er ist ja zum Teuxel keine*

Kunigunde! (W przystępie złego humoru, z niedocieczonej racji, *niewiasta i Kunegunda* stawały się synonimem w ustach szanownego profesora).

Natury gwałtem nie przełamiesz. Zacna ta dusza, najlepszemi powodowana chęciami, srogą wyrządziła mi krzywdę. Doktorem tako ci nie zostałem — a nabawiwszy się hipochondrji, wyniosłem z Piarów raz na zawsze przeczulone, potargane nerwy.

A teraz Wam opowiem, jak to się stało, żem oto dziś — nie doktorem medycyny.

*

Gdy z ponurych komnat, przesiąkłych trupią stęchlizną, wydostaniesz się na boży świat, pod modry firmament — gdy pomrok sklepienia ustąpi nagle jasnemu, wesołemu światłu dnia, a po wilgotnym, piwnicznym chłodzie obejmą cię cieplutkie promienie słonka — jakże błogiego, upajającego doznajesz uczucia! I zda ci się, że wydarłeś się lodowym uściskom śmierci, że pękły deski ciasnej trumny i że do nowego obudziłeś się życia. Wszystko cię zajmuje, cobądź cię zachwyca. To też dziwnym napawało mnie urokiem dość zresztą pospolite zjawisko drobnego, bladego, wątłego dziewczęcia.

Podlotek, dziecko prawie. Nie żadna panienka z „dobrego“ gniazda, broń Boże. Wychowanka ulicznego szewca-partacza, co to siadając na wę-

drownym zydlu po zaułkach, to w sionce przechodniego domu, to pod lada parkanem, ocala od ostatecznej zagłady obuwie proletarjatu za pięć miedziaków od łatki. Gdy szczęśliwy wypadek pozwoli takiemu „majstrowi“ na rumowisku lub w śmietniku wygrzebać kilka sztuk porzuconych łapci, warto obaczyć, jak on się nad niemi mozoli — przymierza — wykręca — gnypem pruje — smolną dratwą zszywa i młotkiem klepie — dopóki z półtrzeciej pary nie wystrychnie jednej. A gdy ją potem starą szczotką o śladach szczeciny „wyglancuje na czysto“ i na stołeczku wystawi na widok publiczny, ileż to łakomych spojrzeń spocznie na tym majstersztyku! „Hej, hej... gdyby tak choć na niedzielę — na nieszpory!“

Takiego to majstra wychowanką było ono dziewczę. Na Łyczakowie dobrze ich znano oboje. Zwała się: Ewulka. Spotykałem ją prawie co dzień, o jednej i tej samej porze, z południa. W lichej spodniczynie, w podartych trzewikach, w chustce zarzuconej na płową, krótko ostrzyżoną czuprynkę, przybiegała pod szpital, niosąc w garnuszku kilka łyżek strawy na prędce zwarzonej, dla dziadunia. Odszukawszy majstra w oznaczonej z góry bramie jakiegoś domostwa, stawała nad skulonym pokaszlując, dopóki starowina nie przełknął ostatniego kęsu ciepłego posiłku. Potem biegła, do igiełki. A mieszkali gdzieś

hen, za snopkowskiemi cegielniami, u schyłku „złodziejskiej alei Gibbon'a". Rzadko kto z Lwowian zapędza się w tamtą stronę i mało kto zna ten opustoszały szereg (równo w dwa rzędy sadzonych) grabów, zmarniały zabytek zamierzchłej, niemieckiej przeszłości naszej stolicy. Gdyby nie *Piro*, szpitala odźwierny (o którym poniżej), nigdy może nie byłbym się dowiedział o właściwej, dawno zapomnianej nazwie tego ustronia. W zbutwiałych chyba fascykułach magistrackiego archiwum spotkałbyś się z nomenklaturą: „*Gibbon's diebische Allee*." Gdyby nie *Piro*, nie byłbym się także dowiedział bliższych szczegółów o bladej Ewulce i o dziaduniu szewcu.

Przenośny majstra warsztat często wpadał mi w oczy na załomach uliczek, zazwyczaj bowiem otaczała go zgraja bosych, brudnych, zamorusanych dzieciaków z przedmieścia, które z zagapioną powagą przysłuchiwały się kościelnym pieśniom, nosowo nuconym przez szewca. Jak długi boży dzień (z wyjątkiem chyba południa, kiedy z garnuszkiem nadbiegała Ewulka), dziaduniowi od pobożnego kantu nie zamykały się drżące wargi. W czasie posuchy wyciągał niezliczoną moc antyfon, dopóki nie dospiewał się deszczu; w słotę tkliwie suplikował do Milatyńskiego, cudownego Obrazu albo do świętego Marka ewangelisty, aż ci nareszcie pod potęgą żarliwych jego suplik pierzchnęły ołowiane chmury; gdy

alarmowy dzwon na ratuszu uderzył na „gore!“, intonował zaraz pieśń do patrona od ognia, św. Florjana— do każdej zasię wigilii, w przeddzień najrozmaitszych Świąt, osobne zastosowywał spiewane nabożeństwo. Słowem dziadunio niewyczerpaną posiadał skarbnicę kolęd, psalmów pokutnych, adwentowych lamentów, gorżkich żalów, koronek, litanij, godzinek itd., czem w oczach przedmiejskiego pospólstwa ugruntował sobie niepoślednią popularność.

Jeszcze częściej spotykałem Ewulkę, spieszącą z dwojaczkami do łaknącego starca. Szczególnie utkwił mi w pamięci obraz pochylonego nad garnuszkiem zgrzybiałego szewczyska, zajadającego z pewną żarłocznością jałowe ziemniaki — obok zaś zydelka stojącej, bladej dziewczyny, zapatrzonej weń miłośnie i pokaszlującej zcicha. Dziś, gdy w słowa ubieram dawne te wspomnienia, blade dziewczę przyjmuje powiewną postać Lilli Wenedy, karmiącej wodnemi liljami sędziwego ślepca Derwida, któremu okrucieństwo złej kobiety wydarło oczy i skazało go na śmierć głodową... Widzę ją w śnieżnej, klasycznej szacie córy Wenedów, tulącą wynędzniałe rączęta do zapadłej piersi, falującej rozkoszą poświęcenia — a z ust jej srebrne płyną dźwięki tryumfu, niby dalekie echa derwidowej harfy:

Królowo!... Ojca mego nakarmiłam;
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
. . . . . .
W lilijach było ojca mego życie;
Ja życie ojca przyniosłam na głowie —
Jego zbawieniem ukoronowana.
. . . . . .
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdziecinniałemu będzie piersią matki.
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękując za córkę i kwiaty!...

*

W duchu już widzę, jak pewien (w całem mieście znany) *Parys*'ek, przerzucając te kartki, mruży lewe oko, (prawe bowiem zbrojne w połzacany monokl), jak szyderczo potrząsa lwią grzywą i przytłumionem golgotaniem śmiechu wita naiwną spowiedź mojego serca, on — mistrz w swoim fachu — szlachetny łowiec, kłusownik po cudzych kniejach. „Sentymentalny chirurgus i chuda jego Dulcynea!... A to mi łup!... Ulicznego szewca-partacza wychowanka — jakaś tam dychawiczna, podle odżywiona igiełka — ordynarne chuchro, nawet bez kapelusika i parasolki!“ Uspokójmy się, dzielny pogromco! Wątłe to, nędzne stworzeńko w barchanowym kattaniku i podartych trzewikach, zgoła nie było przedmiotem młodzieńczych moich zabiegów. A jeśli

z pewną lubością goniły za biegnącą sentymentalne spojrzenia młodego marzyciela, toć także z lubością padały wiosną na dziewicze liczko świeżo rozkwitłej stokrótki i z zajęciem towarzyszyły lotowi pracowitej pszczółki. Być nawet może, że niewytłumaczonemu ulegając urokowi, nad miarę ongi wyidealizowałem sobie pajęczą postać szwaczki; w grę bowiem wchodziła spora dawka czułostkowości i fantazji, przemocą wyłamującej się z ponurej klauzury szpitala. Tuszę, że to dopowiedzenie osłabi surowość wyroku i zjedna mi pobłażliwość stołecznych Donżuaników.

*

Z czcigodnym profesorem, Drem Franciszkiem de Paula, zapędziliśmy się za snopkowskie debry. Słonko lipcowe dopiekało; mimo to profesor wlókł mnie pod ramię, nie zwalniając kroku i nie powściągając się ani na chwilę w dobitnych swoich argumentowaniach. A było to po operacji, dokonanej właśnie na klinice wytrawną dłonią profesora Nagla. Zniewolony przez mojego protektora, wziąłem był w niej i ja udział w charakterze (opartego o ścianę i drżącego jak osika) niemego widza. *Lege artis* uspionej pacjentce wykrojono z piersi skira; pono nawet trzymałem bandaże czy miednicę z lodem, podczas kiedy operator z zimnym spokojem żywe krajał ciało ni to drzazgę sosnowej deski, mój zaś

protektor na tętnicy rzężącej ofiary bacznie śledził gasnącego ruchu falek krwi. Przez uchylone okno, okiem i duchem, wymknąłem się kędyś w dal, w powietrze — i spotkałem się tam z mglistym obrazkiem bladego, szczupłego dziewczęcia, karmiącego z dwojaczków skulonego starca. W uszach stukało mi młotem... a przecie wyraźnie jam słyszał ciche ich szepty. Jak długo to trwało, nie wiem. Ocucił mnie był z zadumy sakramentalny wyraz: *sufficit*. Kobieta leżała już obandażowana, zbudzona z dylemmatycznego snu. Lekarze opuścili salę, a profesor wywiódł mnie pod ramię na przechadzkę, pod Snopków. W pysznym był humorze; cmokał, krząkał, podśmiechiwał się, wyczerpująco rozumował i stwierdzał po sto razy, że spisałem się jak ostrzelany weteran. I klepał mnie, i ryhotał się, i argumentował — ja zaś dałem się wlec machinalnie, ani nie podzielając wybuchów jego wesołości, ani nie słuchając przekonywających jego wywodów.

Tak znaleźliśmy się w „złodziejskiej alei Gibbon'a".

Nagle doktor urwał i przystanął.

— *Halt! Was giebt's mit dem anaemischen Ding da?*

Na progu rozsypującej się szatry siedziała ona, Ewulka. Załamane dłonie przyciskała do

czoła i kołysząc głową z oznakami niewypowiedzianej rozpaczy, głuche z piersi wydawała jęki.

Puściwszy ramię profesora, zbliżyłem się do zawodzącej.

— Co ci to, moje dziecko?

Podniosła czoło.

— Co mi? Dziadunio umiera.

— Doktorze, (zawołałem), ktoś ciężko zachorował.

— Doktor? Ten pan, to doktor? — — Zerwała się gwałtownie, składając ręce jak do modlitwy. — Dziaduniu, Bóg zsyła nam doktora!... Ratujcie!

Jednym skokiem przylgnęła spalonemi usty do kolan Eskulapa. Pogłaskał dziewczynę po włosach i przekroczył próg rudery. Okropna, zabójcza zaducha wionęła na nas z ciemnej izdebki, a raczej z nory; w głębi, na udeptanej ziemi bez podłogi, na barłogu zgniłej słomy leżał rozciągnięty długi cień starego szewca; z pod głowy sterczały mu szczątki zużytego jakiegoś, zimowego kubraka, zwiniętego w kłębek, z którego garściami sypała się brudna wata. Chory leżał w lichem swojem, ulicznem odzieniu; obok stał na ziemi gliniany czerep z wodą. Na wklęsłych starucha policzkach gorączka wypiekła dwa ceglaste, ostro zakrojone rumieńce. Leżał z rękoma złożonemi na piersi i suchym, dyszącym, urywanym głosem nucił z cicha:

Salve Regina! Zawitaj królowa,
Władnąca Niebem i co ziemia chowa;
Gdy na nas przyjdzie ostatnia godzina —
Salve Regina!

— *Facies Hyppocratica* — mruknął doktor zaraz u progu, przystąpił, obnażył pierś, dotknął tętna. *Typhus petechialis.* — —

*

Biedna Ewulka!... W kilka dni potem dziadunio już nie żył. Zmarł w szpitalu, dokąd profesor chorego bezzwłocznie przenieść rozkazał. Pogrzeb miał poczciwy. Jako akademik szczupłymi jeno rozporządzałem funduszami — wszelako Dr. Franciszek de Paula, jak troskał się o ubogich chorych, tak i nieraz pamiętał o nich po śmierci.

Biedna Ewulka!... Nie będzie już z dwojaczkami biegała na Łyczaków. Przygarnęła ją właścicielka skromnego zakładu robót kobiecych, w którym dziewczę i tak już było prześlęczało nad igłą kilka lat. Komuż nie wiadomo z praktycznych doświadczeń życia, co znaczy takie „przygarnięcie“? Czy to raz *swoi* krzywem patrzą okiem na darmozjada-sierotę, każdy krwawo zapracowany kęs twardego chleba zaprawiając piołunem dobrodziejstwa — — a cóż dopiero *obcy?*

Biedna Ewulka!... W miejskim zgiełku straciłem ją z oczu.

*

Pewnego święta, z powrotem z Pohulanki, mijaliśmy z profesorem bramę smętarza, alić wypadła z za niej Ewulka. Jeszcze bledsza, jeszcze bardziej wywiędła, wciąż pokaszlująca, uczepiła się rękawów Eskulapa, skrapiając je łzami wdzięczności. Swobodną godzinę spędziło biedactwo na mogilnych chwastach, u dziadunia. Źle jej wśród obcych, smutno, niewypowiedzianie nędznie...

Pocieszyliśmy nieco niebogę. Doktor sięgał już do kieszeni, wszelako Ewulka energicznie potrząłszy główką ucałowała jego dłonie i odbiegła. Gdyby się spóźniła, jużby jej tak prędko nie pozwolono „do dziadusia“.

Profesor powiódł za nią wzrokiem, krząknął i burknął jakby do siebie:

— *Ding da... S' Madl ist declarirt stark phtysisch.*

Biedna Ewulka!...

*

Znowu straciłem ją z oczu. Tym razem na długo, na kilka miesięcy. Wakacje — nowy semester — nowe męczarnie w ludzkich jatkach. Już do zapisu szedłem był jak na ścięcie, atoli jak kat nad skazańcem stał Dr. Frańciszek de Paula, ażeby potem przez cały tydzień nie spu-

ścić mnie z oka. A co on się mnie nie nachwalił, sławiąc stałość mojego charakteru, przejęcie się obranym zawodem, osobliwy pociąg do medycyny! A jak mnie obwarował istotnie zajmującemi dziełami i illustracjami! Nareszcie „gwoli rozweselenia umysłu“ zwrócił w szpitalu moją uwagę na niepomiernie rzadki egzemplarz z dziedziny: *mania potatorum*.

Wbrew upewnieniom i wywodom uczonego pryncypała zgoła nic ciekawego nie odkryłem w tym okazie. Rosnący we mnie zarazek karygodnej obojętności na przejawy wszelakiej *paresis*, *paralysis* i przeróżnych *collaps*'ów wzburzył nakoniec żółć zniecierpliwionego optymisty. Zaniechawszy uszczypliwych drwinek i przekonywających argumentów, zaczął — kląć.

— *Donner und Doria! Ein sentimentaler Pavian sonder gleichen!* — huknął mi raz nad uchem z takiem zaperzeniem, że aż niezwykły okaz paralityka zerwał się na równe nogi. Doktor wypadł z sali jak wściekły.

Schodziłem z piętra zimny, apatyczny, znudzony. Cały świat nic mnie już nie obchodził — wraz z pryncypałem — i słuszną czy niesłuszną jego furją. U wyjścia z szpitala, na dolnym krużganku stał odźwierny, ulubieniec studentów, *Piro*. Umiał on wkraść się w szczególną łaskę u każdego z nich, nie szczędząc pochlebstw, przymilania się, niskich pokłonów i — doręczania ro-

zmaitych bilecików. Dobrze mu z tem było, gdyż napiwkami i cygarami opychano mu kieszenie.

— Oh! Oh! Serwusik pana doktoranda! — krzyknął szurając nogą, gdy zamyślony potrąciłem go w zadumie. (Każdego z adeptów chirurgii nie omieszkał obdarzać łechcącym dumę tytułem: doktoranda). — Nie puszczę, dalibóg, nie puszczę. Mam coś nowego, *extra*.

— List?

— Okazik.

— Dziękuję. Widziałem już. *Mania potatorum*.

— Mania czy Kasiuleńka, dalibóg wszystko jedno. Ale nie pożałujesz pan, panie doktorandzie. — I nie zważając na kwaśną moją minę, nieco może zbyt konfidentnie, prawie przemocą wepchnął mnie do ubocznej sali.

Na środku lodowej komnaty, na długim stole, leżał niedużyjakiś „kadawer“, przykryty białem płótnem. Zanim cofnąć się zdołałem ku drzwiom, nad wyraz przykro wstrząśnięty tym widokiem — *Piro* przyskoczył do stołu i zrywając płachtę zawołał z tryumfem:

— A co? Dziś w nocy wydam to dla panów do *prosectorium*.

Na stole — bez tchu — z przywartemi powieki — o trupiej barwie wosku — wynędzniała, kamiennie spokojna leżała Ewulka.

Ani szpital, ani sala anatomiczna, nie ujrzały mnie już nigdy. Powróciłem na filozofię.

O dziwo!... stało to się bez najmniejszego tym razem oporu ze strony Dra Franciszka de Paula.

Ewulkę pogrzebano tuż obok dziadunia. Bezlitośny nóż nie poszarpał nędznego ciała sieroty.

Doktor zabronił.

I on oddawna już *tam* — wśród lepszych światów. Spoczął na wiedeńskim smentarzu, szlachetny, zacny emeryt. W przedśmiertnej malignie majaczył coś z polska. Snać nie zapomniał o kraju, który serdecznie był umiłował.

I *tam* — spotkał się zapewne z Ewulką, wdzięczną, o jak wdzięczną, za pomoc lekarza — za dobre słowo człowieka — i za dwie jałmużny Samarytanina: za dziadunia pogrzeb... i za swój.

Aureli Urbański.

Z ZA KULIS

i ze świata.

Szkice, obrazki i humoreski.

Tomik VII.

[1897]

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

XXI.

NOCTURNO.

W całej akademii nie zwano go inaczej, jak jeno starym mantyką *Wojtowiczem*. Przed tylą a tylą laty, na chrzcie św., posiadł był imię *Dmytra;* w połączeniu z ojcowem nazwiskiem, było mu właściwie: *Dmytro Kostohryz*. Kto tam zgadnie, ile sobie liczył krzyżyków; prawdopodobnie nigdy ich nawet nie liczył. Co mu przyjdzie z liczenia? A chłop to był (pomnę) wystrzelony w górę, wywiędły jak schab, z dyniowatym łbem, łysym jak kolano. Ramiona miał długie, kosmate, iście orangutana, stopy zaś okrutnie rozdeptane. Jak sam niekiedy lubił opowiadać, przewędrował ongi wszerz i wzdłuż całe Węgry z Siedmiogrodem — i Czechy z Morawą — i po tyrolskich piął się górach — ba, nawet biwakował na placu św. Marka, w Dalmacji zasię zalecał się do Bokkezanek. Wszystko oczywista za młodych lat, kiedy to jeszcze wysługiwał się przy wojsku. Owoż stąd datowały się piesze wycieczki dawnego

„turysty z musu“, one pielgrzymki po dalekich, „zamorskich“ krajach.

Staruch trzymał się krzepko, acz cienka jak patyk szyja prosto udźwignąć już nie mogła potwornej głowy; zwieszała mu się tedy z karku na piersi, wskutek czego patrzył na ludzi (jak to powiadają) z podełba; a że brwi miał jak dwa zaśnieżone krzaczyska, przeto z po za tych zarośli czychały niby sowie, zazwyczaj ponure, wprost demoniczne spojrzenia.

Niesamowite człeczysko. Przeważnie mruk i odludek, ni stąd ni zowąd garnął się czasem do ludzi. Świerzbiał go język. Zaledwie jednak się rozgadał — zamilkał, spluwał i mrucząc jak niedźwiedź pod nosem, usuwał się z widowni. Widownią bywał szynczek. Nieopodal św. Mikołaja, przy ulicy dziś Gołębiej, przysiadła była do ziemi niska, koszlawa spelunka: „pod czarnym krukiem“, stałe kasynko uniwersyteckiej służby. Prawda, że rzadko, nader rzadko, lecz przecie i on zaglądnął tam niekiedy w niedzielę lub w święto. Skoro zaś łyknął półkwaterek jeden i drugi, rozwiązywał mu się język. Dmytro przysiadał się do kamratów i gawędził. Opowiadał o swoich marszach i przygodach, o świetnych paradach, o morderczych bataljach. Zawodziła go pamięć; gmatwał więc i daty chronologiczne i dziejowe wypadki; bredził, zasłyszane rzeczy biorąc za swoje.

Najchętniej gwarzył o panu feldmarszałku *Zdradzieckim* (Radeckim), który kaducznie „motłoszył Taljanów.“ A wpadłszy raz na ten temat, przestawał być sobą; brnąc i brnąc, narrator gubił się w ludowej, typowej postaci *Wojtowicza*, o której między rekruckim ludkiem galicyjskiej Rusi niezliczone krążą legendy. Z lubością po sto razy powtarzał jedne i te same, powszechnie znane anegdoty o „kirch-paradzie na Stephansplacu“ — „o sztuczkach pana Zdradzieckiego z magnesem“ — „o nieostrożnym *gryfie* karabina w Alpach, tak, iż omal niebios nie przekłuł bagnetem“ i o t. p. awanturach. Wiekiem zdziecinniały, utożsamiwszy siebie z legendowym kapralem, który jak wiadomo, niepodzielnymi cieszył się względami naczlnego wodza,—*Mantyka* przygody *Wojtowicza*, opowiadał za własne. Wszelako niejeden ze słuchaczy chadzał był także za młodu z tornistrą na plecach i dokumentnie znał one opowiastki z biwaków i koszarowych wieczornic. Dmytro tedy nie mógł bezkarnie łupić z wawrzynów czerwonoruskiego Münchhausena. Nie przerywano mu jednak; niech tam sobie plecie pleciuga: łże, aż mu się z nosa kurzy!... Wszakci za Radeckiego chyba gęsi pasał...

Dano mu zato przezwisko *Wojtowicza* — czem niejako w bezwiednem poczuciu krytycznem zaprotestowano przeciw samowolnemu targnięciu się na cudzą własność literacką.

Mantyka nie chciał lub nie potrafił zrozumieć subtelnego tego protestu, co więcej, nietylko przezwisko przyjął wielce obojętnie, lecz i niebawem począł się oglądać, gdy który z łobuzów huknął nań z za węgła: „Hej, panie Wojtowicz!“

Ot — zgłupiał dziad na starość.

Z wyjątkiem niezbyt częstych posiedzeń „pod czarnym krukiem“, Dmytro nie stykał się z nikim; stronił od ludzi — a i ludzie widocznie go unikali. Nie, jakoby ich zrażał chodzący ten plagiat. Przyczyna temu była inna.

Lwowska wszechnica od dawien dawna nie posiadała medycznego wydziału; przytuliła się jeno skromnie do niej t. zw. Szkoła chirurgów. A że kursy dla przyszłych patronów czyli magistrów obyć się nie mogły bez praktycznych doświadczeń, w popijarskim tedy szpitalu utrzymywano coś w rodzaju kliniki, w akademii zaś u św. Mikołaja odbywały się wykłady. W parterze tegoż gmachu mieściła się sala anatomiczna i prosectorium.

Wojtowicz pełnił obowiązki famulusa przy chirurgicznym tym oddziale. Między innemi, do obowiązków jego należało zasilanie praktycznych demonstracyj i ćwiczeń anatomicznych tak zwanymi: „kadawrami“, t. j. zwłokami zmarłych w szpitalu nędzarzy, którzy po śmierci stawali się prawnym łupem łaknących wiedzy chirurgów.

Dmytro, po za szyneczkiem przy Gołębiej

ulicy, żadnych nie utrzymywał stosunków z towarzystwem *żywych*; wystarczała mu wierna kompanja... *trupów*. Otóż i powód, dlaczego (krom kilku śmiałków z „pod czarnego kruka„) usuwano się trwożliwie z pobliża „trupokrada.“ A posiadał on długi a wązki wózek, bidę na dwu kołach, krztałtu ogromnej trumny z wypukłem wiekiem. Budka ta, przedmiot powszechnego wstrętu i niewymownej zgrozy, czerwonym powleczoną była pokostem, i za dnia, ze sterczącym w górę podwójnym dyszlem, niewinnie i martwo spoczywała w piwnicznym sklepie pod schodami. Dopiero późno w noc, Wojtowicz po nałożonych na schody deskach, wytaczał ją z kryjówki na dziedziniec. Szczególnie zimą, gdy po jedenastej z wieczora w rozległym gmachu wszystkie pogasły światła i wszelki ruch zamilkał — gdy główną, dębową bramę zatrzaśnięto już z łoskotem, podobnym do huku dalekiego wystrzału z działa — wtedy mantyka Dmytro, w wysokiej, stożkowatej, wydrzanej kuczmie, białym przepasany fartuchem, niby duch pokutujący spuszczał się ciemnymi krużganki do piwnic, przyświecając sobie po schodach latarką i głucho stąpając rozdeptanemi podeszwy. Brał się „do roboty.“ Bidę wytaczał na dziedziniec od strony kościoła i skrypliwą w żelaznych sztachetach furtką wymykał się z wózkiem za akademię. Skoro zgrzyt zamku w furtce i turkot kół po kamiennym bruku sły-

szeć się dawał pośród nocnej ciszy, szeptano po izbach, tłumiąc głos w piersiach: „Mantyka jedzie po nieboszczyka...“ Około pierwszej w nocy powracał ze szpitala. I znów słyszałeś turkot kół i pisk zawias w sztachetach; a czyje ucho w bezsenności dosięgły przejmujące te zgrzyty, ten z drżeniem głowę nakrywał poduszką: „Wojtowicz wraca z nieboszczykiem...“

Małym chłopcem, ileż to razy z po za wyskakujących z węgła muru cegieł starałem się przez zakratowane okno zajrzeć w głąb tajemniczej sali, kędy na kamiennych płytach stężałe, nieruchome zwłoki oczekiwały na chciwe skalpele prelegenta i słuchaczy. Zazwyczaj dostrzedz jedynie zdołałem krwisto poplamionych płócien, z pod których ostrymi kontury rysowały się sztywne kształty nieboszczyków. Niekiedy płachtą niezakryte kończyny nóg lub sina dłoń wysunięta z pod płótna, okropnem napawały mnie przerażeniem. Nocami potem prześladowało mnie widmo, spowite w biały całun o krwawych plamach, potrząsając wychyloną pięścią lub stopą, ni to odgrażając się świętokradcy za natrętne pogwałcenie pośmiertnych tajników. A przecie, po całotygodniowych, niezrozumiałych rodzicom gorączkach, niepowściągniętą siłą znów coś mnie parło ku zakratowanym oknom tajemniczej sali...

Inni chłopcy, rówieśnicy moi, próbowali także swojej odwagi; mężniejsi odemnie, zuchwale wspi-

nali się ku kratom, głośno dzieląc się poczynionemi spostrzeżeniami z zagapioną pod murem gromadką kolegów. Nazywało to się: „chadzać na trupy.“

A zawsze każdy z nich czegoś więcej dopatrzył się odemnie. Ten zaręczał, że trup kiwał nań palcem, zapraszając do siebie pod płachtę— ów przysięgał, że nieboszczyk, naguteńki, usiadł sobie na kamiennym stole i zębiska wyszczerzył ku szybom — inny klął się (palce na krzyż), że widział na własne oczy, jak Wojtowicz, podparłszy się pod boki, w wydrzanej swojej, szpiczastej kuczmie stał przy zmarłym i coś mu zajmującego o panu Zdradzieckim opowiadał; nieboszczyk bowiem z podłożoną pod głowę pięścią ciekawie przechylił się ku niemu i wciąż mu jeno potakiwał. Wiadomość ta wnet szeptem obiegła wszystkie korytarze akademii i do szczętu zepsuła i tak już podejrzaną reputację ponuremu mantyce. Ten i ów cisnął mu na schodach półgębkiem lękliwe: dzień dobry — i co tchu umykał, unikając otarcia się o kapotę mruka.

Wojtowicz ohydnej służby przy „kadawrach“ nie pełnił sam. Miał on towarzysza i pomocnika w osobie wychrzty, zwanego Jantochem. I ten był wysłużonym żołnierzem, zajmował zasię ciasną ciupkę w suterenach, tuż o ścianę od starego Dmytra. Wychrzta był żonaty. Przesiadywał czasem u tego stadła Wojtowicz, a Jantochowa oka-

zywała staruchowi szacunek bez miary i wiecznie tylko byłaby słuchała marudnych jego opowieści. Ztąd i Dmytro nazywał ją najmędrszą babą w całej akademii. Najmędrsza — być może; z Jantochem jednak żyła Jantochowa w niezbyt przykładnej zgodzie. Swary wciąż i wygrażania. Co tam swary! Skoro sobie Jantochowa podchmieliła (trafiało się to omal czy nie codzień), piekielny wrzask wtrząsał suterenowym krużgankiem. Stadło staczało bójkę na pięści. To też z podrapanymi policzki, z sińcami pod oczyma, raz chadzał Jantoch, innym razem Jantochowa, niekiedy oboje wespół.

Pewnego poranka przeraźliwy krzyk rozległ się nad piwnicami. Wszystkie kumoszki z całej akademii, acz przyzwyczajone do wojennych okrzyków czubiącej się pary małżonków, znalazły się w pędy w suterenach — krzyk bowiem straszny, nieludzki, zapowiadał niezwykłą katastrofę. Po nocy, spędzonej na językowej szermierce, przeplatanej zaciętą bijatyką, Jantoch, blady jak ściana, stał u drzwi swojej izdebki, zwołując niewiasty do żony, która... „leży w łóżku a nic gadać nie chce.“ Jantochowa „gadać nie chciała“ — boć już i nie żyła. Odcierano babę, drapano ją w pięty, potrząsano bezwładną głową — naprożno. „W żywocie zapaliła się wódka...“ taką djagnozę wygłosił niepocieszony małżonek, co też chórem potwierdziły kumoszki.

Z powodu nagłej śmierci kobiety urząd zarządził obdukcję — i w sercu zmarłej znaleziono ułamaną długą szpilkę do włosów. Ha no, uwięzili Jantocha, choć ręce łamał, rzewnemi szlochał łzami i przysięgę ofiarował na krucyfiks przy gorejących świecach, że nieboszczka, w zapale bójki, sama w pierś wetknąć sobie musiała ostrze tego druta.

Mantyka Dmytro postradał tedy powiernicę i ostatnią „kumpanichę“, a gdy od chwili onych rzekomych rozhoworów z trupem nikt doń nie ozwał się ani słówkiem, Wojtowicz zdziczał doreszty. Już się nie zabłąkał nawet „pod czarnego kruka;“ co więcej, zgoła nie „reagował“ na brutalne zaczepki chirurgów. A lubili oni pożartować z nim po swojemu. Ostrzelani z rzemiosłem, płatali mu prostackie psikusy — to wsuwając mu niespostrzeżenie do kieszeni spreparowane płucko „kadawra“ — to uprzejmie częstując go zawiniętym w bibułę kawałem kiełbasy, która po rozplątaniu zwitka zmieniała się w piszczel nieboszczyka — to ustawiając za skrzydłem odrzwi w ten sposób kościotrupa, ażeby zwalił się na wchodzącego Dmytra, skoro zawołany drzwi uchyli.

Dawniej Wojtowicz podobnego rodzaju figielki przyjmował szerokiem, dziwnie potwornem rozdziawieniem bezzębnych szczęk, co u mruka zastępować miało uśmiech. Po śmierci Jantochowej

i uwięzieniu jej małżonka, mruczysko w ten już nawet sposób nie objawiał swojego zadowolenia. Jak automat spełnił, co mu polecono — i co rychlej wynosił się do samotnej swojej izdebki. Pusta a rubaszna młodzież nuże szyderczo posądzać starucha o „amory z nieboszczką;“ wszelako gdy go raz niesforny zagadnął natręt: żali serce go nie boli po stracie nigdy nie trzeźwej „kompanichy“, odludek tak okropnym błyskiem białek ugodził w oczy żartownisia, że temuż (jak sam się przyznawał) język strętwiał z przestrachu.

Od dnia poronionej interpelacji, Dmytro znienawidził studentów. Niechno się jeno zdarzyła sposobność, dawał się im we znaki, bezzwłocznie donosząc rektoratowi o lada najbłahszem wykroczeniu przeciw regulaminowi. Pomawiano go nawet nie bez pewnej podstawy, że złośliwie stał się powodem wykluczenia kilku zbyt rozpasanych filutów. Niedziwna tedy, że i chirurdzy równą jęli odpłacać mu miarką. Nienawiść studentów rosła; pogróżka padała za pogróżką.

*

Było to późną jesienią, w zaduszki. Noc czarna. Na łyczakowskim smętarzu dawno już na mogiłach pogasły światła i żaden gwar z miasta nie dolatywał do szpitala OO. Pijarów. Wczesny śnieg prószył i zaraz topniał, tworząc wzdłuż ulic nieprzebyte bajury. Dobrze już z północy,

z oświetlonej bramy szpitalnej wytoczyła się długa, czerwona bida na dwu kołach, popychana przez wysokiego, chudego starca w białym fartuchu i w wydrzanej, stożkowatej kuczmie. Tomruk Dmytro z świeżym łupem powracał do akademii. Bida biegła przed nim niezbyt prosto, zygzakiem zapędzając się to w prawo, to w lewo. Zimno a wilgotno. Stary zakropić się nieco musiał od jesiennego, nocnego powietrza. Gdy czerwoną budkę i jej kierownika w pewnem oddaleniu od szpitala objęły ciemności, monotonny plusk błota, krajanego kołami, przerwał chrypliwy monolog odludka Wojtowicza:

— Gorżki chleb. Pałkarzowi zazdrościć! Żyjesz jak pies, stary wojaku. Słowa nie ma przemówić do kogo. Chyba do tych w budzie. Kiedy bościerwo i głuche i nieme! Gadu — gadu, że ci się gęba wykrzywi jak podarty kalosz, a trupskoani mruknie. A gdyby chciało pobaraszkować, toby się człek choć nagadał do woli. Ano, bida! a tobie za się droga. Nie chce ci się prosto do domu? Hi, stary, wio! wio! — —

Toczy się wózek, toczy; mantyka w zygzak kosi za nim nogami i wzdycha.

Prrr! przystanął na chwilę, rękawem otarł czoło z mokrego śniegu, pochylił się nad wiekiem budy i znów rezonuje:

— Babo, spisz? Spij bydlę, kiedyś takie chimerne! A widzisz, gdyby nie twoja chandra,

tobyś mi powiedziała, czy ty siostra od Jantochowej, czy nie siostra. Bo co podobna wiedźma, to podobna. A musiało babsko żłopać za cztery dziewki, bo słychać w szpitalu, że ją przywieźli z szynku — suszykufla. Akurat, jak tamta. Babo, spisz? no co? — —

W budzie cicho... Jeno z wieka sączą się grube krople dżdżu i bełkocąc ciężko padają w kałużę.

— Co chłodno, to chłodno. Spij że sobie, głupia. Ja tymczasem wstąpię na kieliszek gorżkiej. Wio — a no hi! — —

Zatoczył wózek na róg ulic Głowińskiego i Łyczakowskiej, usunął go nieco z drogi pod latarnię i zapukał w okienicę. Snać to pukanie znanem już było w gospodzie, boć nie potrzebował długo czekać. Odsunęły się rygle i na wpół uchylone drzwi wpuściły go do wnętrza.

Zaledwie zniknął za progiem, od strony przedmieścia nadciągnęło dwu młodych ludzi w burkach i kaszkietach.

— Szloma spojrzyj-no.

— Proszę cię, nie nazywaj mnie: Szloma, tylko: Samuel; proszę cię, ty Marek.

— Tyś taki Samuel, jak ja biskup.

— Tyś taki ortodoksus katolik, jak ja ortoduksus żyd. Czego chcesz?

— No, no — nie gniewaj się Szlomku; ja wiem, że ty postępowy. Nie oglądasz się na nikogo,

nie boisz się samego djabła. Ale spojrzyj-no: Co tam na rogu stoi?

— Jaki ty durny, ty Marek. Ja chirurg z ostatniego semestra — i ty chirurg z ostatniego semestra — i ty myślisz, że ja się boję duchów?

— Nie pleć. Co za duchy? Nie straszę ciebie; pokazuję ci budę pod latarnią.

— Rychtyg. Wózek Wojtowicza. A ten zdrajca gdzie? Ten kalafaktor — Dmytro — szelmowski mantyka?

— Wstąpił zapewne na krople. Słuchaj Szloma, wartoby spenetrować, co on na jutro nam wlecze?

— Co wlecze? ano kadawrzysko. Zaraz obaczymy.

Przystąpili. Samuel podniósł wieko bidy, Marek zaś zdjął kaszkiet, potarł w nim zapałkę i tak zasłoniwszy ją od podmuchu wiatru i od śniegu, zapuścił światełko w głąb budy.

— *Hic mulier.* Stary grzyb.

— Przymknij wieko. Przeziębi się nieboraczka.

— Pękłbyś, Szlomo, z djabelskim twoim dowcipem. Pst... Coś skrzypnęło. To Wojtowicz. Słyszysz, jak pomrukuje?

— Usuńmy się. Warto podsłuchać.

Przykucnęli pod parkanem. Dmytro wprzągł się do budki, krzyknął sobie: „wio, stary“ —

i puścił się ku miastu. Dwaj szpiegujący chirurdzy pomknęli za nim, skradając się ostrożnie. Wojtowicz toczy wózek przed sobą — toczy go — i prawi półgłosem:

— Witrynolu dolewa, czy co? Aż w pieczonkach pali. Zkąd on wyrwał, cygan, taki spirytus? Widzisz głupia babo, gdybyś nie była taka uparta, tobym cię był potraktował. — Spisz, hę? — A nu, czarownico, czy ty od Jantochowej siostra, czy nie? Bo to uczyli mnie Taljanie, że człowiek dwa razy na świat się rodzi i dopiero za drugim nawrotem jak kipnie, to już amen na prawdę, jakby osiką serce przewiercił. Szeptali Taljanie, że po świecie zawsze dwóch chodzi jednakowosieńkich, a nieraz i spotkają się z sobą. Ciekawym, gdzie ten drugi się obraca, co to ma być taki sam, jak ja? Gadaj babo — możeś go gdzie spotkała, hę? Głuchmanica, gęby nie otworzy; ani piśnie. Skoro nie o tym drugim, to gadaj o Jantochowej. Bo jabym przysiągł, że ty od Jantochowej siostra. A wiesz ty babo, co ona mi przed śmiercią powiedziała, hę? Powiedziała mi: „Dmytro — ten wychrzta, potępieniec, uśmierci mnie kiedyś pewnikiem, nie dziś to jutro, tak, jak uśmiercił swoją pierwszą. Sztychnął ją drutem w samo serce i przepadło, jak kamień w wodę. To też piję — piję, mój Dmytro — bo mi strach. Pamiętajcie, kumie Wojtowicz, jakbym kiedy raptem wyciągnęła gi-

czały, skarzcie go do kryminału, tego zbója, a niech mi szukają w sercu.“ — —

...No, widzisz babo, ona przeczuwała swój koniec. Wychrzta sztychnął drutem Jantochowę— i znaleźli kolkę w sercu — i wzięli go do kryminału. Uważasz babo, powinien był dyndać zbój, ale nie dynda, tylko siedzi za kratą. — —

...A dlaczego nie dynda, babo? Ba, kum Wojtowicz pies. Jak ludzie z Wojtowiczem, tak Wojtowicz z ludźmi. Prosiła Jantochowa; mogłem ci wszystko wydać przed sądem, bo kazali: gadaj. Ciągnęli za język, czy sama sobie śmierć zadała? Przypadek, nie przypadek? Ha no, lepiej może było wydać, albo co? — —

...Ale ja nie wydał nic, słyszysz babo? Niech się bestje żrą między sobą, jak wściekłe psy. Niechby byli zbójowi dowiedli. A Wojtowiczowi co do tego? Hę — co do tego? Co? — —

...A może ty na mnie zła za to, babo?... Nie spij głupia, powiedz. Skoroś ty od Jantochowej siostra, to masz recht. A skoroś taka sama druga, jak Jantochowa, to takoż masz recht. A zresztą, gniewaj się albo nie gniewaj. Wio, stary, hi! — —

Tak bredził Dmytro — bredził — i spluwał — i klął — i wzdychał — a bidę zygzakiem toczył przed sobą. Dwaj chirurdzy łapczywie chwytali każde słówko, potrącając się ło-

kciami; potem Samuel szepnął coś towarzyszowi do ucha i zwolnił kroku.

Dmytro, ze swoją budą, minął szpital wojskowy, ogniową pikietę, tylne zabudowania OO. Bernardynów i przez Kamienną uliczkę zbliżał się już ku akademii. Wówczas studiosus, przez koleżkę nazwany Markiem, zrównał się z pomrukującym odludkiem.

— Hola, panie Wojtowicz, tak późno z towarem?

Mruk przystanął.

— Kto tam? Czego?

— Ja, z trzeciego kursu. Cóż to, nie poznajecie swoich?

— Idź pan spać. Odczep się. (Budka potoczyła się dalej).

— Ja też idę spać, a nie zatrzymuję. Wolna każdemu droga, to możemy iść razem. W kompanii jakoś weselej. (Milczenie. Kroczą obok siebie). Co tam świeżego wieziecie, panie Wojtowicz? (Milczenie). Modliliście się na głos, panie Wojtowicz? (Cisza). Macie chrypkę, panie Wojtowicz? (Milczenie). Mokrym śniegiem miecie — u ha! Do szpiku przejmuje, panie Wojtowicz. (Nie odpowiada. Koła zatętniły na mostku nad t. zw. fosą.) Panie Wojtowicz, a gdyby tak po kropelce rumu?

Stary przystanął na mostku — krząknął i splunął.

— Zapóźno. Pozamykane.

— Zapukajcie jeno. Ja wiem, wy umiecie pukać po drodze. Puk, puk, panie Wojtowicz!

— Zasię wam. Odczep się pan. Tfu, ale zimno!...

— No, żwawo. „Puk, puk, w okieneczko — otwieraj-że szynkareczko.“ I mnie zimno, panie Wojtowicz. Jeden łyczek — i dobranoc.

— A wózek?

— Poczeka na mostku. Złodziej nie łakomy na taki towar, a tu chlapawka. Uha!

Dmytro mruknął coś niezrozumiałego pod nosem, puścił drążki, poszłapał kilka kroków ku pobliskiej szynkowni i zakołatał do drzwi. Marek zgadł; wnet uchyliły się gościnne wrzeciądze. Umieć jeno zapukać, czy to na Łyczakowie, nieopodal Pijarów, czy to za mostkiem w okolicy akademii! Z dawien, dawna kwitła we Lwowie masonerja.

Zgubili się tedy w szyneczku; aż tu u tyłu opuszczonej bidy wynurzyła się czarna jakaś postać. Postać ta, w której Marek byłby poznał koleżkę Samuela, szybko podniosła wieko, ramiona zagłębiła we wnętrzu budki, wywlokła z niej ciało nieboszczki i z ohydnem brzemieniem spuściła się brzegiem fosy pod arkadę mostku. Po chwili Szloma wrócił sam, zajął opróżnione przez trupa miejsce, owinął się płachtą i wieko przy-

warł za sobą. Zaprawdę nie zazdroszczę mu ani ekwipażu... ani futerału...

Niebawem Dmytro z młodym towarzyszem wyśliznęli się z szynkowni.

— Dobrej nocy, panie Wojtowicz.

— Dobra noc. Ot przecie jeden z całej kupy ryzunów; nie ukąsi, poczciwa dusza. Hi stary, wio!

Podniósł drążki, wprzągł się do budki — i jazda. Łyk rumu zrobił swoje. Wojtowicz kosi nogami i dalej w rozhowory:

— Babo, spisz? Głupia, a kosztowałaś ty kiedy haraku — hę?

Wtem w głębi budy stękło coś głucho:

— Wojtowicz...

— Prrr. Ha hou!

— Kumie... kumie Wojtowicz...

— Czort się z tobą kumał.

— A masz ty sumienie, mantyko?... Masz ty sumienie?...

— Spij babo. Także zebrało się jej na gadanie pod samą akademią. Teraz spij.

— Kumie Dmytro... kumie Dmytro... gubisz duszę.

— Ta czego chcesz odemnie? Także coś!

— Dmytro... Dmytro... ciężki masz grzech.

— Upiłaś się babo przed śmiercią i pleciesz bzdury. Wojtowicz trupów się nie boi. Spij. Wioho!

— Bodaj ci serce przeszpiliło, jak twojej kumie, kiedyś jej krzywdy nie pomścił...

— W imię Ojca — i Syna — ktoś ty, babo?!...

— Jantochowa.

Dmytro jęknął i zsunął się przy wózku na kolana. Wiko odskoczyło — z dna budy okrutne jakieś widmo w białej płachcie podnosić się jęło do góry... i rosło... rosło... rosło...

Wojtowicz jak długi runął twarzą w kałużę.

* * *

Tej nocy turkot wózka i zgrzyt furtki nikogo w gmachu nie zbudził ze snu.

Nazajutrz zrana znaleziono Dmytra na samym środku ulicy. Leżał bez życia, na poły utopiony w grząskiem błocku. Tuż koło niego stała próżna, wszystkim tak znana czerwona budka z wiekiem odwalonem na oścież.

Ha no, przyszła kreska na Matyska; już i po Dmytrze. Napił trochę i uderzyło mu do głowy; staruchowi dawno był czas. Włożono Wojtowicza do czerwonego wózka — zawrócono — i bidę zatoczono wprost do kostnicy szpitalnej u OO. Pijarów.

Nosił wilk owce — ponieśli i wilka. Właściwie powieźli starego wilczyska — i to w tej samej, czerwonej, trupami cuchnącej budce.

Około południa nowy zgiełk. Lament, załamywanie rąk, zbiegowisko. Pod mostkiem, we fosie, wyjący kundys od rzeźnika naprowadził ciekawych na nagie, skostniałe zwłoki kobiety. Mord! Okropny mord w samem śródmieściu, pod bokiem *almae matris!* Nowa tedy komisja. Zwłoki odstawiono również do szpitalnej kostnicy i tam dopiero nabrano przekonania, że to był wczorajszy „kadawer“, wywieziony nocą przez zmarłego famulusa na użytek *prosectorium.* Wdrożono sądowe śledztwo.

Napróżno!... Nikt nie rozwiązał tajemniczej tej zagadki; płonne były wszelkie dochodzenia, bezowocne domysły. A łamano sobie głowy po urzędach — w całem mieście — nawet po gazetach...

* * *

„Poczciwa dusza“, Marek, nie ukończył ostatniego semestru. Marek zniknął — zczezł, jakby go wiatrem wymiotło. Dopytywano się, poszukiwano; nareszcie i zapomniano o młodym chirurgu. Dopiero po latach, jeden z dawnych jego koleżków otrzymał niespodzianie list z tamtej strony Oceanu. Piszący gorżko utyskiwał, że nic mu się nie wiedzie; czego tknie, wszystko marnieje mu w ręku. Taka już czarna jego dola. A pisze do dawnego konfratra, bo niema już pisać do kogo innego; matka, wdowa, nie żyje;

siostry nie wie gdzie szukać. A pisać musi, bo straszna tęsknica prze go do kraju, do którego dla braku środków nigdy już nie powróci... Na miłość Boską prosił o odpowiedź; a radby zasięgnąć języka, co się dzieje z Samuelem?

I dziwna!... Krotochwilny Szloma, „co to nie lękał się samego djabła“, także nie ukończył studjów. Jak ci jął spadać z ciała — i borsuczyć się — i stronić od ludzi — tak koniec końcem znalazł się w lewem skrzydle popijarskiego szpitala. Naonczas mieścił się tam oddział chorych, skąd na zewnątrz głuche dochodziły wycia i szalone śmiechy. Był to oddział obłąkańców. Po kilku leciech okropnych wizyj, skonał w kurczach, z pianą na wardze.

Na oddziale strzegł szaleńca dozorca, rusin huculz pod Czarnohory, *Pańko*. A ten *Pańko* naopowiadać mi się nie mógł o warjactwach Samuela.

Opowiadał, jam słuchał; na podstawie zaś tego, com zasłyszał, spisało się niniejsze *nocturno*.

XXII.

„JUKATAN.“

Cudownie piękny maj — Bogarodzicy miesiąc, obfitością kwiecia czarowny.

Wiosenne słonko miało się ku zachodowi, kąpiąc się w różowych chmurkach u krańca wi-

dokręgu. Z jasnoszmaragdowych traw kobierców, przetykanych barwami tęczy, coraz to rozliczniejsze roje polnych kwiatów wychylały świeżo rozwinięte, nieśmiałe jeszcze główki. Brzozy zwieszały bujne już warkocze; śnieżystymi pyłki lśniły wątłe gałązki czereszni. Fruwała ptasząt swywolna, hałaśliwa rzesza; powietrze przesycała rozkoszna woń bzów i czeremchy.

* * *

W otwartem oknie przedmiejskiego dworku siedziało rumiane, pyzate pacholę. Łokciami markotnie oparło się o futrynę; wzrok chłopięcia to błąkał się po kartach rozłożonej na oknie książki, to ospale spuszczał się ku kolanom, z których pomięta, nadszarpana zwieszała się mapa.

Chłopak, czytając głośno, powtarzał niecierpliwie wyraz za wyrazem, z widoczną niechęcią a z większą jeszcze mozołą przyswajając pamięci ustęp zadanej lekcji geografii. Mapa o grubych, jaskrawo nakreślonych zarysach przedstawiała po cudacku wystrzyżone wybrzeża Północnej Ameryki; przypominały one malcowi skoszlawionego nieco latawca, studenckie orło z wygiętym u spodu cieniutkim rogiem.

A po tamtej stronie ulicy, za sztachetami, właśnie co na berberysowym krzaku usiadł czyżyk i przekrzywiając główkę to w lewo, to

w prawo, szczebiotał coś gadatliwie aż mu żółty puch nadymał się pod gardziołkiem.

Chłopiec zatkał uszy palcami i monotonnie bębni coraz głośniej:

...Północna Ameryka — Ameryka — od północy oblana — oblana Morzem — Morzem Lodowatem — od zachodu Oceanem Wielkim — od wschodu — od wschodu — —

Oh... Jakie to suche, nudne, nieznośne — i to właśnie wtedy, kiedy złote słonko zagląda przez ramy okna, kiedy w powietrzu unoszą się słodkie wonie wiosny! Co chwila coś przeszkadza. To za błędną muszką pomknie chytry wróbelek; to świeżo wylęgły motyl skrzydełek probuje do lotu; to brzęknie zwinna pszczółka. Malec westchnie od chwili do chwili i kuje:

...Zatoki morskie. Odnoga Meksykańska. Od Oceanu Atlantyckiego zamyka ją ku północy półwysep — półwysep Flo... Floryda — —

U sztachet nawinął się opasły, czarnożółty kotek: z berberysu uleciał spłoszony czyżyk. Chwała Bogu! jedna pokusa mniej. Ot, i nowa. W ogródku, na kępce pozostałej z zimy mierzwy, spotkały się nagle dwa krewkie, czupurne koguciki. Zapiały cienkim, niepewnym głosikiem i skoczywszy ku sobie, nuż się czubić. Cup — cup! tną się po grzebykach; już i pochwytały się dziobkami; jeden drugiego nie puści. Chłopię żywym ruchem wychyliło się za okno, okruchem

tynku rozpędziło rozżartych zapaśników — i płaczliwie dalej bębni na pamięć:

...*Od południa zamyka tę zatokę — tę zatokę — półwysep Jukatan — Jukatan — o kształcie wielbłądziego garbu, ściętego ukośnie — ściętego ukośnie — ukośnie — Jukatan — ukośnie — —*

Mój Boże, mój Boże, jakie to trudne!

Leoś rzucił okiem na chodnik; wzrok malca padł na przechodzącego ulicą staruszka. Właściwie staruszkiem wydawał się jeno zdaleka, trzymał się bowiem pochyło, a bladą, dziwnie bladą jego twarz okalała siwa broda. Zbliska sprawiał wrażenie mężczyzny średniego wieku, na którego obliczu choroba lub cierpienie wycisnęły piętno przedwczesnego zaniku. Bruzd na wychudłych licach nie wyorał niedostatek; nie nędza ścięła szronem rzadkie te włosy; czarne bowiem odzienie, i krojem i świeżością, świadczyło o pewnej zasobności przechodnia.

Zagadkowy jegomość oddawna Leosiowi znany z widzenia, a co za natręt!... Skoro jeno chłopczyna w oknie zasiędzie, już z ulicy wysuwa się nieznajomy i szare, mętne zatapia w nim źrenice. Lecz i po za domem, czy to w mieście, gdy studencik wraca ze szkoły — czy za rogatką, gdy z rówieśnikami po gajach i łąkach się ugania — zawsze, jak cień, przemyka się nieopodal czarny, tajemniczy pan, uparcie weń zapa-

trzony. Nieznośne straszydło!... O tak, straszydło; nie dość bowiem, że martwą, posępną swoją twarzą straszy jak widmo z bajki; nie dość, że zawsze czarnem swojem odzieniem przypomina karawaniarza; lecz na domiar kurczy się w pałąk, jak żbik na zoologicznym atlasie gotujący się do skoku. A powodem tego garb — wypukły, szkaradny garb poliszynela.

Rumiany Leoś aż wzdrygnął się na jego widok. Tego jeszcze brakowało! Czyżyk, kot, koguciki, teraz znów garbus — a ta Ameryka taka trudna, taka trudna!... Palcami zasłania oczy i recytuje:

...*Jukatan — Jukatan — o kształcie wielbłądziego garbu, ściętego ukośnie — ściętego ukośnie — —*

Usuwa z przed oczu palce. Na środku ulicy stoi czarny pan; skulony, długie, chude ramiona oparł na hebanowej lasce i szklane białka wlepił w Leosia. Wysoko nad kapeluszem sterczy szpetne garbisko.

Zżymnął się Leoś. Na rumiane usteczka wybiegł złośliwy uśmiech:

— He, *Jukatan!* — zawołał.

Czarny jegomość spokojnie przystąpił do okna.

— Chłopczyku, dla czego nazywasz mnie *Jukatanem?*

Miękki był jego głos i drżący. Na Leosia liczko uderzyły ognie; zmięszany i potroszę strwo-

żony spuścił oczy. Wślad za niemi pobiegł wzrok ułomnego i spoczął na mapie. Wzdłuż garbatego półwyspu wyraźnemi głoskami ciągnął się napis: *Jukatan.*

— Natrząsasz się dziecię z mojego kalectwa. Godziż to się szydzić z nieszczęśliwych?

Zająknął się Leoś; z rzęsy pociekła mu łza wstydu.

— Zmartwiłby się twój papa, chłopczynko.

— Nie mam papy.

— Nie masz papy — łagodnie powtórzył nieznajomy, głaszcząc nastroszoną czuprynkę chłopca. Po chwili, jakby gwałt sobie zadając, zagadnął go ciszej: — A... mama?

— Mama na wsi. Ja tu na stancji, bo chodzę do szkoły.

— Mama często cię odwidza, nieprawdaż?

— O nie; nie odwidza mnie. Mama tak daleko!

— Biedne dziecię... Widzisz — i ja takiego miałem synka; utraciłem kochane, jedyne moje chłopię. Tak było podobne do ciebie. Pozwolisz się ucałować? Nie usuwaj się, nie lękaj się mojego garbu. Nie jestem złym człowiekiem, a papie tam w Niebie, miły będzie mój pocałunek.

Skruszony dzieciak, acz z bojaźnią, milcząco nadstawił czoła. Garbus nerwowym, gorączkowym ruchem objął Leosia, przycisnął go do piersi i długo, długo tulił go namiętnie.

Tuż nad oknem, na rozkwitłej wiszence, rzewnie, cichutko, świegotała zięba.

* * *

Prowincjonalną była aktorką. Jak przelotny meteor — z trupą wędrowną zjawiała się to w tem, to w owem mieście, a wszędy zachwycała widzów. Szalone miała szczęście — szalone. Za każdem ukazaniem się na skromnych deskach małomiejskiej Melpomeny, frenetyczne bito jej oklaski, nie szczędząc nawet kwiatów i wstęg atłasowych z napisami; — prowincja małpowała stolicę. Korespondencje do stołecznych gazet piały jej pochwalne hymny; byłbyś gotów dać wiarę, że to wschodząca, pierwszorzędna gwiazda. Zapewne czarowała talentem? Bynajmniej. Panna Olga wygłaszała swoje role, jak to czynią mozolnie wyuczone papugi; ruchy jej tchnęły szablonem; w dramacie czy komedji, w jedwabnej sukni z trenem, czy przy fartuszku subretki, zawsze jedną była i tą samą — nieraz bezmyślną recytatorką cudzych myśli — była *sobą*. To znaczy: była... *piękną*.

Tłumy wielbicieli wodzić umiała na pasku. W pajęczej siatce brzęczał cały rój muszek. Muszki — to młodzi, ba i starsi obywatele wiejscy, kawalerowie i żonaci, adwokaci i notarjusze, lekarze i urzędnicy. Brzęczało tam i kilku przemysłowców nieokreślonego bliżej wyznania. Zastęp

nie lada! Sami ludzie wpływowi, częstokroć bardzo zamożni. Słowem — matadory.

Panna Olga nie uposażona talentem, posiadała zmysł aktorki; z biegiem czasu, kulisy obdarzają pewnym sprytem. Wszystkich tedy, bez wyjątku, uszczęśliwiała obiecującym uśmiechem; słodkie szepty odpłacała mdlejącem, powłoczystem spojrzeniem. Z tym samym wdziękiem i z równą wdzięcznością przyjmowała tanie bukieciki, jak i drogie braselety. Mimo to, zawistne języki koleżanek nie zdołały zedrzeć z niej aureoli niedostępności; panna Olga nie skompromitowała się nigdy wyszczególnieniem jednostki na niekorzyść czeredy wielbicieli, dyszących u jej rydwanu. — Po długich, bezowocnych, nader nieraz kosztownych zabiegach, cofali się zniechęceni, ustępując miejsca drugim; każdy zaś ochłódłszy z zapałów, żałując straconego zachodu i postradanej mamony, nabywał przekonania, że do serca „limfatycznej tej damy“ — droga jeno przez ołtarz.

Panna Olga wyłączny wytknęła sobie cel: *wyjść za mąż*, wyjść *dobrze* za mąż, a zatem nie za kolegę-aktora. Scenę uważała tylko za środek, wiodący do tego celu; sztuka nie była jej powołaniem. Motylki o lśniących barwach, jak nadleciały, tak i ulatywały jeden po drugim; nie motylki — raczej ćmy złociste, uparcie garnące się do płomyka i uchodzące z nadpalone-

mi skrzydłami, uroniwszy nieco z błyskotek. Tak upłynęło wiosen dwadzieścia i sześć; z wiosennego pączka rozwinęła się w kwiat pełny, zawsze jeszcze ponętny. Artystyczne jej zdolności ani na krok nie postąpiły w fazie rozwoju; panna Olga nabrała tylko manier i tylko nie złowiła — męża.

I stało się, że piękna histrjonka wraz z budą Thespisa zawitała do jednego z tych przybytków władz administracyjnych, co to rościć sobie zwykły pretensję do *szerszego świata.* Powiatowe miasto niezwykłym właśnie chlubiło się nabytkiem. Była nim osobistość niepośledniego znaczenia, przedmiot ogólnego zajęcia.

Administracja powiatu, chromając od całego lat szeregu, doprowadziła do smutnych wyników; jedynie ramię sprężyste, subtelna tylko a pomysłowa głowa przywrócić mogła pożądany ład i rozluzowane czynniki pchnąć na prawidłowe tory. Długo zastanawiano się w stolicy, czyim dłoniom powierzyćby należało spełnienie tak trudnego zadania. Okoliczności nagliły; wybór padł na młodego, pełnego zdolności urzędnika, który w krótkim przebiegu publicznej swojej służby, o całą głowę przerósł poziom biurowego otoczenia.

Pan Kwiryn z ubogiej pochodził rodziny. Studja ukończył o własnych siłach, wytężoną zaś pracą dobił się stanowiska. Niepospolite zdolności parły go coraz wyżej a wyżej. Z pominię-

ciem plejady starszych kolegów, zamianowano go komisarzem i wysłano na powiat z rozległym zakresem działania. Karjera pewna, niezawodna. Wszystkie szczeble hierarchicznej drabiny stanęły mu otworem. Stąpić jeno śmiało i piąć się. Za dwa, trzy lata nieochybnie zostanie co najmniej sekretarzem, jeżeli nie minie go — starostwo.

Siostra księdza dziekana (miejscowa wyrocznia) w nieprzerwanych żyła stosuneczkach z panią radczynią w stolicy; stąd szeroki rozgłos wyprzedził przybycie pana Kwiryna na miejsce urzędowej jego działalności. Z góry już wiedziano z najdrobniejszymi szczegolikami, że w mundurze młodego komisarza przybywa przyszły pan starosta. Wszystkie tedy (dorosłych lub dorastających córeczek) mamy dobrodziejki gorączkowo szykowały się na godne przyjęcie tak upragnionego gościa. Pan Kwiryn, rzecz prosta, stał się oną osią, około której obracać się jął wielki świat partykularza. Kordjalnie ściskali mu ręce ojcowie, czule w dom zapraszały go mamy, słodko wdzięczyły się panny.

No, proszę... i tej harmonii nie psuła nawet okoliczność, że pana komisarza (dość zresztą przystojnego mężczyznę) *fatalne szpeciło garbisko*... Tak, nie psuła — i nie dziwo; garbaci celują zazwyczaj bystrością umysłu i benedyktyńską pracowitością; gdzie zaś nadto i uznanie nie

zawiodło i protekcji namacalne ślady, tam awans nie zawiedzie — karjera w kieszeni.

Pan komisarz obojętnie przyjmował wszelkie oznaki uprzedzającej sympatji; udzielać się nie lubił, gdyż świadom swojej niekształtności, z natury już był małomowny i poważnego nastroju. Aliści do miasta zjechała wędrowna trupa aktorska, a z nią urocza panna Olga.

Domniemanego, przyszłego naczelnika powiatu nad wyraz rozciekawił powszechny chór podziwu, który powitał zjawienie się rozgłośnej pogromczyni serc męzkich. Afisze zapowiedziały: „Zaślubiny aktorki“; pospieszył tedy i on na przedstawienie i ujrzał prowincjonalną gwiazdę. Posągowo była piękną tego wieczora. Omdlałe, powłoczyste jej spojrzenia lekko muskały amfiteatr; niski a jednak miękki głos kontraltowy dziwnie łechtał ucho słuchacza. Odtąd pan Kwiryn ani jednej nie opuścił reprezentacji; lecz oraz przybladł i sposępniał... Poza domem nie widywano go nigdzie, chyba w biurze, albo — w teatralnej sali. Na przedstawieniach, w mroczny gdzieś zaszyty kącik, siadywał bez ruchu, niemy, blady, zapatrzony. Czego dokazać nie zdołały dyplomatyczne wysiłki mamulek, uprzedzające nadskakiwania tateczków, wyzywające wabienia wdówek i tkliwe westchnienia panienek — tego dokonała „*przewrotna aktorzyca.*“ Lubo sam tłumił w sobie tajemnicę swojego serca, wnet

stała się ona głośną. Wprawdzie oszczędzano jeszcze pana komisarza; piękna za to histrjonka miała się z pyszna. Zahuczało jak w gnieździe szerszeni. To zwróciło jej uwagę na koszlawą figurkę pana Kwiryna.

Zadumała się głęboko. Kilkodniowe medytacje wydały plon. Pokazawszy drzwi rozszalałemu młodzikowi, synowi krociowego pana okolicznych włości — publicznie skarciwszy eks-rotmistrza pruskich ułanów, pomorskiego jakiegoś hrabiego, który w zagadkowy sposób jej śladem był nadciągnął — rzuciła lękliwemu garbuskowi rękawicę. Obliczyła się z latkami panna Olga; obliczywszy się, zapragnęła pana Zenona *ręki i — karjery*.

Okropny, nieprzypuszczalny stał się skandal. Mimo życzliwych przestróg i gorących przedstawień, mimo stosu uszczypliwych wierszydeł i listów anonimowych — co więcej, wbrew niedwuznacznym zapowiedziom niezadowolenia u sfer przełożonych — garbus uwierzył w platoniczną, bezinteresowną miłość „*szczwanej komedjantki.*“ Oburzenie — bezbrzeżne; na zewnątrz — najserdeczniejsze ubolewanie; po zakątkach — czarne przygnębienie, płacz i zgrzytanie zębów.

Pan komisarz ożenił się z aktorką.

Panna Olga porzuciła scenę. Wyszła za mąż.

Lada dzień zostanie panią starościną.

* * *

Ah, ten *Jukatan*... ten *Jukatan!*... Widocznie chłopca oczarował.

Od onego wieczora dziwnie ścisły zawiązał się stosunek między czarnym garbusem a Leosiem. Było to coś więcej, aniżeli przelotne poznajomienie się dojrzałego, poważnego męża z dziecinnym, rozwydrzonym malcem, wyżółkłego, pokurczonego Ezopa z rumianym, pyzatym Cherubinkiem. Kontrast wieku, zdrowia, estetycznego nawet wrażenia, jakie wzajem na się wywierali, zamiast odstręczać, spajał ich coraz serdeczniejszymi węzły. Garbus codziennie pospieszał na przedmieście, z każdym zaś krokiem zbliżającym go do mieszkania Leosia, pierś wzdymała mu się rzewnem uczuciem, twarz bladła, usta drżały... Leoś, z książką na kolanach, z oczętami utkwionemi w furtkę ogródka, siadywał w altance; niecierpliwość wyczekiwania wypiekała mu policzki. Przyjdzież poczciwy, kochany garbusek?... A ten garbusek tuli go do serca tak miękko, główkę głaszcze tak miłościwie i łakotki znosi i fraszki ucieszne. Garbusek tak łagodnie, tak zrozumiale objaśnić mu potrafi najtrudniejsze ustępy zadanych lekcyj. Chłopczyna — bez ojca, bez matki — tęskni za *Jukatanem*. Bez *Jukatana* ni nauki, ni zabawy...

Tak ci jest; garbus oczarował dziecko. Po sto razy powtarza to wdowa, urzędniczka, u której Leoś „stoi na stancji.“ I zaciera ręce ko-

biecina. Jezu Nazareński! Życie tak ciężkie; interesów na głowie huk; kto zapracować chce grosz, niema czasu pilnować cudzych dzieci. A ten Leoś łobuz był i szkodnik, jakich szukać. Teraz wszystko inaczej. I uczy się chłopiec, i szyb z procy nie tłucze, i zbytków nie wyprawia, i kotom nie obcina ogonów. Prawda, garbus brzydki pokraka, lecz poczciwości człowiek! Jak on sobie dał radę z łobuzem? Chwalić pana Boga, kobiecina ma spokój.

* * *

Pewnego razu tak zagadnął Leoś towarzysza:

— Proszę pana, nazywam się Leoś. A pan jak się nazywasz?

— Ja, dziecię?

— No tak. Każdy przecie człowiek ma jakieś imię i nazwisko.

— Zapewne. Nazywam się...

— Ciekawym.

— *Jukatan.* Sam mnie tak nazwałeś.

Chłopiec odwrócił twarzyczkę i głośnym zaniósł się płaczem i rzucił się garbuskowi na szyję; potem całował długie, chude jego ręce. Jakże mu żal, jakże mu wstyd nielitościwego wykrzyku!

Odtąd nigdy już nie spytał „czarnego pana“ o nazwisko. Musiał o tem zapomnieć.

. . . . . .

Zbliżały się wakacje. Wakacje — to termin rozłąki. Po całorocznym pobycie „na stancji“, chłopiec przepędzi rekreacje na wsi, u matki. Niebawem już przyślą po niego starego Mateusza.

— Smutno, bardzo smutno będzie mi bez ciebie. Może ani nie wspomnisz o garbusku? Nie żal ci *Jukatana?*

— Czy mi żal? Co dzień modlić się będę za pana — i mamie powiem, niech się także modli.

Garbus zbladł.

— Nie, nic... Nic nie wspominaj twojej mamie: proszę cię o to; wymagam tego. Mama gniewałaby się, żeś przylgnął do brzydkiego, połamanego kaleki. Mama nie zna mnie. Przypuścić gotowa, żeś złą zrobił znajomość. Na świecie dużo, bardzo dużo niedobrych ludzi.

— Kto?... Pan?...

Szeroko rozwarte oczy zdziwionego malca błysnęły oburzeniem. *Jukatan* otarł czoło z potu.

— Chcesz więc, by zabroniono ci widywać się ze mną?

Leoś zapłakał.

— Przyrzecz mi, że nie wspomnisz o mnie ani słówka.

— Nie wspomnę, panie.

Chłopiec przyrzekł, lecz smutnie zwiesił główkę. Jemu tak było spieszno pochwalić się przyjaźnią

czarnego, dobrego pana. Któż o co złego mógłby posądzić poczciwego garbuska *Jukatana?*

* * *

Lada dzień zostanie starościną. Czekała.

W słodkiem oczekiwaniu upływały miodowe miesiące. Pan Kwiryn najczulszym był mężem — kornym niewolnikiem — bałwochwalcą, bijącym czołem u stóp swojego fetysza. Rozgoryczona piękna płeć miasta, histerycznym akompaniując sobie chichotem, obnosiła tysiąc ciekawych szczegółików o szaleństwach rozkochanego „*monstra*“.

Panna kasjerówna, od dwudziestu kilku lat lubująca się w senzacyjnych romansach, nie zazdrości aktorzycy „*garbatego losu.*“ Ona — za nic w świecie nie byłaby wyszła za „*Quasimoda*“, choć potworzysko, w poczuciu niewysłowionego szczęścia, klęka przed „wyłącznym swoim skarbem“, „bóstwo“ z safianowych rozzuwa pantofelków lub ażurowe wdziewa mu pończoszki i „anioła“ ze złożonemi zapytuje rękoma, czem zasłużył sobie na „taką miłość“, na „takie poświęcenie?“

Czy pani komisarzowa była szczęśliwą? Może nią i była, sądząc po spokojnym uśmiechu, z jakim przyjmować raczyła adoracje koszlawego małżonka. Niekiedy nawet pogłaskała go czule po twarzy. Ba, kto wie, czy już nie w drodze *dekret na starostę?*

Gdzie tam w drodze!...

Mianowanie tak niezawodne — przez cały ogół z dnia na dzień wyglądane mianowanie — spaźniało się nad wszelkie pojęcie. Dopiero może po upływie roku, wrócił raz z biura blady jak trup pan komisarz z rozpieczętowanem pismem urzędowem w skurczonych, skostniałych palcach. Przeniesiono go bez awansu w góry, do lichego, osławionego, najpodrzędniejszego zakątka aż pod bukowińską granicę. Karjera skończona. Przeniesienie równało się cofnięciu na podrzędniejsze stanowisko.

Młoda pani załamała ręce. Z jękiem spazmatycznym, z nieukrywanym już wstrętem, odtrąciła garnącego się do jej stóp, zrozpaczonego małżonka. Ukląkł zdaleka, pokorny jak pies zbatożony, i począł ją pocieszać. Ogrom jego miłości przed żadnem nie zadrży poświęceniem... Oh, gdyby był dojrzał złowrogą łyskawicę, która strzeliła z gorejących źrenic pani Olgi — gdyby był pochwycił wściekłe to spojrzenie — byłby struchlał. Atoli powalony gromem, garbus nie dojrzał łyskawicy. Biedak płakał.

Odjazd niedobranego stadła na wygnanie, oczytana panna kasjerówna górnolotnie nazwała *„odwrotem z pod Berezyny“*, przyczem nie obyło się bez alluzji do *„ramienia mściwej Nemezy.“*

Co to był za odjazd!... Widowisko nieprzepłacone. Wzdłuż ulicy, którą szybko pomykały

chłopskie furki z odjeżdżającem państwem komisarstwem, z ich meblami i gospodarskiem ich urządzeniem, wyległo co żyło — całe miasto. W oknach rozsiadły się mamy, córki i ciotunie. Pierwszą furką uchodziło stadło, sieczone z obudwu stron ulicy biczami zjadliwych spojrzeń i szyderczych uśmiechów. Panna kasjerówna z panną aptekarzówną powiewały nawet chusteczkami... Pan Kwiryn oddawał ukłony blady, lecz zdeterminowany. Postradał nadzieje karjery, wszelako wystarczał mu cichy spokój domowy u boku żony-anioła. Kojąco na nerwy oddziaływała także myśl, że piękną kobietę, przedmiot tylu zabiegów, na czas niejaki usunie od szerszego świata. W podgórskim zakątku zapomni o hołdach, przywyknie do domowego zacisza, zostanie wyłączną jego własnością. — Pani Olga siedziała na furze sztywna, nieruchoma, szczelnie zakwefiona. Gdyby nie łzami przesiąkła, gęsta zasłona, płatami lepnąca do wypieczonych policzków, ach, jakiż straszny obraz upokorzenia przedstawiłby się ciekawym oczom tryumfujących!... Nie widzą jej twarzy — domyślają się tylko, jakie piekło wre w podeptanej piersi. Ha, tej hańby garbatemu mężowi nie przebaczy nigdy!...

Odjechali.

Stanąwszy na miejscu, pan komisarz z całem wysileniem oddał się urzędowej pracy; niepojętą dlań zmianę usposobienia w sferach miarodajnych

a decydujących składając na pokątną jakąś intrygę, postanowił dowieść, co potrafi prawdziwa zdolność w parze z pracowitością. Pani komisarzowa, ostatnią wysączywszy kroplę gorżkich łez, utonęła w ponurej zadumie. Napróżno małżonek usiłował rozmarszczyć alabastrowe czoło niemego posągu. Pogardliwem milczeniem zbywając mężowskie czułości, zamykała się w swojej sypialni. Niekiedy rzucić raczyła srodze zaniepokojonemu samotnikowi jedno, niezmienne słówko: „Jedź!“... Słówko to znaczyło: Niedołęgo, wyprzeć się dałeś sprytniejszym; tam, u wielkiego ołtarza, naprawisz złe, unicestwisz krecią robotę, wrócisz zwycięzcą.

Zaślepiony pan Kwiryn!... Nie liczył się ze światem i z jego przesądami.

Bezmyślna pani Olga!... Nie chciała zrozumieć, że *ona* młyńskiem kamieniem zaciężyła u szyi niedoszłego pana starosty.

Pojechał więc; pojechał po raz wtóry i trzeci. Włóczył się od biura do biura; przesiadywał w stolicy tygodniami; wracał znękany.

Tymczasem hrabia z Pomorza, ów rotmistrz pruskich ułanów, nabył w górach za bezcen wioszczynę. Miał on pono zamiar eksploatowania dziewiczych jej lasów i nosił się z myślą pobudowania parowych tartaków. Żydki narzucali się z usługami; wszelako przemysłowiec ociągał się jakoś z narażeniem znacznych kapitałów; ponie-

waż zaś w dzikiem pustkowiu, w towarzystwie chyba niedźwiedzi, żyć przecie nie sposób, zamieszkał tedy tymczasowo — w mieścinie.

Pan Kwiryn, powróciwszy raz z podróży, zastał już skromne apartamenty burmistrza zajęte przez hrabiego. Przypomniał sobie Prusaka z poprzedniego miejsca swojego urzędowania, odgrzebał w pamięci złośliwe pogłoski, które onego czasu obiły mu się; o uszy — i krew mu w żyłach zastygła.

Począł śledzić; rósł w nim niepokój; żmyja podejrzenia pasła się jego męczarnią. Piekielna była to walka, rozpaczliwe zapasy o cześć, szczęście, o to wszystko, co stanowiło istotę jego żywota. Na przemian miotała nim wściekłość i rozpacz. Chwilową jakąś, nieuchwytną pociechę, wnet przygłuszało czarne zwątpienie, poczucie bezbrzeżnej duchowej nędzy. Nie brakło i otuchy. Pani Olga, jakoby nareszcie dała posłuch głosowi serca czy rozsądku, stała się znów przystępiejszą i od czasu do czasu pogodnym, nieco może dziwnym obdarzała go uśmiechem.

Jasna, rozkoszna zabłysła mu chwila. Urodził mu się syn.

Garbus odchodził od zmysłów z zachwytu. Myśl, że jest ojcem, pochłonęła wszystkie inne myśli. Odżył. W uniesieniu, albo plackiem padał u stóp swojego bożyszcza, całując koniuszki jego

pantofelków — albo w pociesznych podskokach chuśtał w pieluchach niemowlę.

I znów minęły miesiące. Dziecina niedołężnie bełkotać zaczynała, ażci naraz z maluchnych, różowych usteczek wymknęło się pierwsze, nieśmiałe: *ta-ta*... Ojciec szalał.

Z rozkosznych marzeń budziło go coraz natarczywsze, coraz bardziej szorstkie: *Jedź!*

Jeździł pan Kwiryn i powracał z niczem. Miasteczko dławiło się od śmiechu.

Są padalce, które kąsając milczkiem, jadem zatruwają nieopatrznych — bo ślepych.

Są płazy, które upaja męka zatrutych, gdyż lubują się w cudzem nieszczęściu i cudzej hańbie.

Pierwsze zabijają wprost, sącząc truciznę do krwi; drugie zabijają pośrednio, biadając obłudnie po niewczasie: „Na Boga, nieboraku, ukąsiła cię gadzina! Ostatni czas wypalić ci ranę...“ Biadają zaś, nasyciwszy się przeświadczeniem dokonanego zatrucia; niebawem za mało im tej rozkoszy; żądne już widoku *działania* jadu...

Nieszczęsny odczytał faryzejskie ubolewania anonima i runął o ziemię.

Podniósłszy się z łoża boleści, ponownie jął badać, śledzić i — wyśledził.

Wybuchnął. Nie broniła się wcale.

Z lodowym spokojem rzekła mu bez litości: „To prawda. Brzydzę się tobą.“

Włosy rwał, tarzał się po deskach podłogi, ryczał. Kobieta mierzyła go pogardliwie.

— Zawiązałeś mi los. Dość udawania — nie mogę żyć z tobą — nie chcę.

Pani Olga szybko zdała sobie sprawę z położenia. Chybiła karjera artystki przez zawiść koleżanek, boć była „za piękną“... Chybiła karjera mężatki, podkopana „intrygą“... Wszelako nie chybi karjera pociągającej, wolnej, trzydziestoletniej kobiety *Balzac'a*.

A więc — rozłąka.

Zażądał stanowczo, ażeby pozostawiono mu dziecię, jedyną istotę, która wiązała go do świata, do której przylgnął całą potęgą ojcowskiej miłości. Ale nie; dziecka mu nie odda. Nie matczyne serce z niej przemawia. Ona nienawidzi garbusa — i zdeptać musi robaka, pomścić doznany zawód, upokorzyć za upokorzenie. Z nagiem brutalstwem cynizmu i nienawiści — cisnęła mu w oczy dwa wyrazy:

— Naiwny głupiec!

Resztę dopowiedziało bezecne oko i drwiący uśmiech skrzywionej wargi.

Zachwiał się, jak wół ugodzony w łeb żelaznym obuchem rzeźnika. Najsroższy z bolów zatargał jego mózgiem i szarpnął jelitami.

Postanowił umrzeć — i nie odebrał sobie życia. Co go powstrzymało nad krawędzią otchłani, z której bezdna wiała nędzna czczość? — błędna

jakaś iskierka, migocąca na dnie czarnej przepaści, iskierka ułudy, którą rozum odpychał, a której łaknęło serce... Mściwa obłudnica mogła skłamać z rozmysłu — mogła się zresztą omylić... A przecie niemowlę do *niego* nauczyło się wyciągać paluszki, na *jego* zasypiać kolanachi *jego* szyję wątłemi obejmując rączętami paplać: *ta-ta, ta-ta*...

Przywiązujemy się do psów i ptaszków, i serdecznie bolejemy po ich stracie. Więzień tkliwie lgnie do myszki, do pająka, choć nie dał im życia. Nieostrożnie zgnieć liche żyjątko, a wszystko mu wydarłeś...

Garbus miał już w sobie coś potroszę z tego więźnia, i z szaleńca potroszę... Bronić będzie pajączka; żyć dlań będzie.

W sądzie — pani Olga dziwną znajdowała lubość w zniesławiających ją zeznaniach; osiągnęła też cel zamierzony, wspaniałomyślnie zrzekając się szczuplutkiej alimentacji. Pana Kwiryna uwolniono od wszelkich zobowiązań w obec kobiety i jej dziecka. Prawodawstwo przyznało je matce.

. . . . . .

Pan Kwiryn zniknął. Słych po nim zaginął.

. . . . . .

Pomorski hrabia, w górskiem zaciszu wystawił malowniczą leśniczówkę w szwajcarskim guście. Pani Olga obrała górski ten szalet na stałą swoją rezydencję.

* * *

Tułał się biedny garbus za granicą, daleko od tego piekła, które było kolebką jego rojeń, stało się zaś grobem jego spokoju, kędy chwilę słodyczy zaprawiono mu jadowitym piołunem, kędy honor ciśnięto mu w rynsztok pod stopy szyderczej gawiedzi, kędy wydarto mu wiarę w ludzi i najszlachetniejsze ich ideały. Wysechł, pożółkł, przedwcześnie posiwiał, pochylił się ku ziemi, jakby w niej cichego szukał zakątka na mogiłę. Pochyloną głowę tem ci potworniej przerósł garb.

No, i żył. Żył w Paryżu. Nadzwyczajne zdolności, znajomość języków, zaspakajały potrzeby żołądka. Serce zamarło.

Po latach, ujrzał raz na Polach Elizejskich chłopczyka. Pacholę, oddaliwszy się nieco od piastunki, uganianiem za wolantem znużone, usiadło na ławeczcze przy samotniku. Zaszczebiotało coś do niego i przypomniało mu sierocię bez ojca, bez nazwiska, które ongi z kwitnącym rumieńczykiem na liczku huśtało się w jego objęciach...

Dalekiem, dalekiem echem, zagrało mu w duszy słodkie: „*ta-ta... ta ta.*“ Wstrząsło nim to echo, ocuciło z głuchej martwoty i póty kołatało w mózgu, aż go wielką, nieugaszoną ogarnęło pożogą tęsknoty...

Kobietą gardził. Zapomniał o niej. Niewinnego dziecięcia czas nie wyrugował z pamięci. On

je *kochał* jak pierwszego dnia, gdy u kołyski uchylono mu firanek. Nadludzką siłą parło go do powrotu.

Wrócił więc do kraju i z trwogą jął się wywiadywać; nieboractwo może już nie żyje.... Na pączek nierozwiniętego kwiecia ileż wrogich czycha żywiołów! Lada mroźniejszy szron ścina kiełkujące życie. Atoli nieubłagany anioł-niszczyciel, secinami dławiący niemowlęta w przybytkach cnót rodzinnych, dziwnie częstokroć oszczędza owoce lekkomyślności i zbrodni.

Odszukał chłopca i godzinami wpijał się wzrokiem w każdy rys jego twarzyczki. Leoś żywym był wizerunkiem matki; lecz w zakroju ust, w oprawie oka, starał się upatrzeć ślady jakiegoś podobieństwa do siebie. I znowu, jak przed umknięciem za granicę, uparta myśl czepiła się mózgu garbusa:

— Jeżeli każde jej słowo, każdy jej uśmiech był oszustwem — czemuż i ostatnia jej obelga nie mogła być jeno wybrykiem furji okrutnicy bez serca?... Co zależało jej na wydarciu mu jedynej pociechy?... A wszakci matka z niej lekkomyślna, obojętna!... W nowem życiu nie stałoż się jej dziecko ciężarem?...

. . . . . .

Pani Olga, w ambitnych upokorzona rojeniach, rychło pogodziła się z losem. W szwajcarskim szalecie, u boku młodego, przystojnego,

wykwintnego Prusaka, w komforcie upływały jej lata. Eks-rotmistrz obwoził ją w szykownym kabriolecie, chełpiąc się posiadaniem pięknej kobiety; a że przeważnie żyli w kołach wojskowych, „przyjaciółka“ pana rotmistrza nie zbyt przykro odczuwała odosobnienie swoje od dawnego towarzystwa.

Tymczasem Leoś podrastał. Ot, biedne chłopię. Matka obojętnie przyjmowała pieszczoty dziecka, które, ni to żywym wyrzutem sumienia, plątało się tam niepotrzebnie. Hrabia, zwyczajnie jak wojskowy, nie lubił dzieci. Do Leosia *nic* go nie wiązało. Kobieta nie potrafiła wzniecić w jego sercu przekonania, że względem *tego* chłopca poważne zaciągnął obowiązki. Namiętnie uprawiał sport myśliwski i wiernym był hołdownikiem zielonego stolika. Zimowe nudne miesiące często spędzano we Wiedniu lub w Berlinie. Oczywista, w takim razie nie narażano dziecka na niewygody podróży... Podrastał tedy Leoś jak dziczka.

Obojgu stał on im w drodze. Skromny, wiejski bakałarz (niewiadomo dlaczego zwany guwernerem) kosztował „wujcia rotmistrza“ zbyt drogo; wujcio stawał się codzień opryskliwszym. Nareszcie wywieziono Leosia do miasta i na przedmieściu umieszczono go „na stancji.“

Samopas prawie puszczony, znalazł się sierota na miejskim bruku — bez matczynego serca — bez ojcowskiego oka — na rzekomej

opiece wdowy staruszki, goniącej na zarobkiem. Sierotą opiekował się chyba Bóg w niebie, na ziemi zaś od niedawna „czarny pan“ — garbus — *Jukatan.*

* *
*

Jutro, pojutrze, przyślą po studencika. Dla ludzkiego oka zabiorą Leosia w góry, daleko, na wakacje.

W altance, na ławce, dumał „czarny pan“, tuląc Leosia do piersi. Malec rozsiadł mu się na kolanach i paplał, jak tęskno będzie mu na wsi, chociaż u mamy. *Wujcio* nie pogłaszcze go nigdy i dotknąć nawet nie pozwoli trąbki, ni fuzyjki; a tyle ich tam wisi po ścianach! Mama także woli, ażeby bawił się za werandą, gdzieś w sadzie, byle nie na pokojach. Najmilej mu jeszcze w stajni, gdzie poczciwy Mateusz sadzać zwykł panicza na starego bułanka. Bułanek stoi spokojnie i jeno bąkom ogania się kusym ogonem. Czasem Leoś pobiegnie do piekarni, do siwej Makryny, co go wyniańczyła. Ale to chyba już wieczorem, kiedy babka przy kądzieli przykucnie w kącie i mruczy, strofując kocura, łasuna, *Maćka.* Babka skarzy się Leosiowi, że *Maciek,* mimo klapsów podbiera się do saganów. Niekiedy Makryna opowiada chłopcu ciekawe historje o złotym królewiczu. Prawi, prawi, całuje Leosia

po rękach i nazywa go złotym królewiczem. Często zapłacze; wtenczas nazywa go *serotońką*...

Nagle chłopak urwał i zsunął się z kolan garbusa.

U wejścia do altany stanęła wysmukła, okazała dama. Z ust jej uleciał stłumiony wykrzyk przerażenia. Garbus porwał się z ławki i zbladł jak trup. Dama przemówiła sycząco:

— Pan *tu?*... Pan *żyjesz* jeszcze?... Leosiu, czego *on* tu chce? Skąd się wziął ten człowiek?

— Mameczko... to... to *Jukatan.*

— Co on ci powiedział? Czego cię nauczył? Matki nienawidzić?

— Nie łaj go pani. Dziecko nie wie o niczem. Każ mu się oddalić.

— Z panem... żadnej nie pragnę rozmowy. Nie znam pana.

— Lecz *ja panią* znam i *muszę* się z nią rozmówić.

— Kto mnie zmusi? Za sobą mam *prawo.*

— *Prawo* pani masz? Gdyby prawa ramię *wszędy* sięgnąć mogło, czy... chciało, nie w koronkach chodziłabyś pani, lecz w drelichu pokutnic u Marji Magdaleny.

Twarz damy zmieniła się ohydnie; była to twarz Megiery.

— Łżysz mnie, garbusie?

— Od pani obelg, patrz, posiwiały mi włosy. Zelżyłaś mnie bez sumienia i bez litości, naj-

nikczemniej, jak jeno kobieta zelżyć może mężczyznę. A jednak przebaczę — oddaj mi dziecko.

— Nigdy. Precz ztąd, malcze! Czekaj na mnie w twoim pokoju.

— Mamo! złota, droga moja mamo... Nie mów mu nic złego... On taki dobry!...

Chłopczyna, we łzach, czepiał się fałdów matczynej sukni, ustami szukał matczynej dłoni.

— Precz!

Szarpnęła chłopcem. Garbus pochwycił go, ostrożnie zniósł po schodkach altany, ucałował go w główkę i rzekł poważnie:

— Mamie trzeba być posłusznym.

Leoś pobiegł ścieżką, lecz nie opuścił ogrodu, Drżący, acz nieświadom całej grozy położenia. przystanął nieopodal za grubym pniem jabłoni i słuchał.

Jukatan powrócił do altany.

— Nie wstrzymuj mnie pan! — wołała pani Olga. — Powinieneś zdaleka obchodzić nas oboje. Po co nasuwasz mi się na oczy?

— Nie *pani* szukałem.

— Kogoś szukał?

— Dziecka.

Zaniosła się od chrypliwego rehotu. W tem spazmatycznem, w wyuzdanem tem parsknięciu tyle przewalało się bezwstydu, że garbus z zaciśniętemi pięściami skoczył ku niej:

— Nędznico...

Pani Olga zmierzyła go zimnem okiem pogardy i nienawiści — odwróciła się dumnie i postąpiła ku domowi.

Mijała już jabłonkę, alić garbus trupiożółty, z sinemi wargi, z obłąkanem wzrokiem, nadpędziwszy pochwycił ją za ramię.

— Kobieto, stój!... Co ci z tego chłopca? Nie kochasz go. W zawodzie, który sobie obrałaś, będzie ci zawadą. Wnet *tamten* cię wypędzi, jak ty *mnie* porzuciłaś. Znów błąkać się będziesz z wędrownymi komedjantami po zaułkach. Spadniesz niżej, aniżeli chciałaś mnie strącić. Pamiętaj, chłopiec kiedyś cię przeklnie.

— Czy tak, mości starosto?

— Nie urągaj. Niech nas sądzi Bóg. Słuchaj, jam jeszcze silny i chcę żyć. Dla niego. W spokoju potrafię zapracować na tego chłopca. Wychowam go, wykształcę. Ciebie nie przeklnie — mnie błogosławić będzie.

— Nie chcę, ażeby cię błogosławił. Wolę, niech mnie przeklnie.

— Nienawiść cię zaślepia. Bredzisz jak szalona. Kto temu winien, co się stało? Ja — czy ty? Ja czysty w mojem sumieniu; lecz ty czujesz głęboko nędzny twój upadek. Widzisz jeszcze nędzniejszą przyszłość przed sobą i to czyni cię wściekłą. Słuchaj, ja dla tego sieroty spodlę się i przyjmę cię pod mój dach, ale gdzieś... gdzieś daleko... gdzie cię nie znają.

— Ha, ha, ha... Czuły Seladon!... I cóż ty mi ofiarować możesz? Kęs spleśniałego chleba i w dodatku ohydny twój garb.

— Poniewieraj mną, depcz, kop... lecz o jedno cię błagam: pozwól, niech chłopiec sam wybiera — *z tobą* niech idzie — albo *ze mną*.

I rzucił się przed nią na kolana, i błagalnie wyciągnął chude palce — a ona, skrzyżowawszy ramiona, śmiała się do rozpuku.

W serduszku malca — za jabłonką — dziwnie coś zabolało. I słuchał... i nie pojmował. Widział przed sobą piękną, okazałą damę, którą nazywał matką, ale ta dama wydała mu się tak złą, tak straszną, że lęk go przejmował. I widział tarzającego się w prochu brzydkiego, małego garbusa, który do tej jego matki modlił się jak do Boga, a modlił się o *jego* szczęście, o szczęście *Leosia*.

Wysunął się cichutko z po za jabłonki, objął klęczącego za szyję i wyjąkał struchlały:

— Moja mamo... ja będę modlił się za ciebie i nie zapomnę nigdy o tobie... lecz pozwól... ja pójdę z nim, z moim *Jukatanem*.

. . . . . .

Źrenice kobiety łysnęły piorunami. Jak z gardzieli wilczycy zawyła wściekłość. Z potwornie wykrzywioną, bladą jak chusta twarzą, wstrętnie szpetna jak wcielona jędza, pochwyciła chłopca za włosy i wlokąc go za sobą, ubiegła kilka

kroków. Przerażony malec z płaczem usiłował wydrzeć się matce. Ten opór rozjątrzył ją do reszty. Furja, odwróciwszy się nagle ku nadbiegającemu Kwirynowi, cisnęła chłopcem w garbusa:

— Masz go. Weź go sobie!

Leoś, z rozpostartemi rączkami, piersią padł na żwir ścieżki i skronią uderzył o kamyk.

Drobna była cegiełka — lecz z ust chłopczyny buchnęła czerwona struga krwi... Leoś już się nie podniósł...

Ryk wydarł się z krtani garbusa.

Jak dziki zwierz, jednym skokiem był już u gardła kobiety — wpił się paznogciami w białe mięso — i zatargał.

Bez tchu, bez życia, runęła na trawnik.

* * *

Czereda wrzeszczącej gawiedzi osobliwemu towarzyszyła pochodowi.

Co za okropne, niepojęte widowisko!

Środkiem ulicy, szkaradny, krwią zbroczony, podskakiwał garbaty jakiś szaleniec i na ramionach, niby malutkie niemowlę w powiciu, huśtał zwłoki pięknego jak anioł chłopczyka.

Garbus uśmiechał się miłośnie do małego trupka i chrypliwie nucił kołysankę.

Tłum w zgrozie biegł za nim, przyzywając straży; niektórzy, odważniejsi, starali się wydrzeć trupa szalonemu starcowi.

Opętaniec zaciekle bronił swojego łupu. Warczał, wierżgał, sięgających kąsał po rękach.

Szedł przed się, wciąż podskakując, i huśtał trupka.

Niekiedy przystanął, ryknął przeraźliwie i wstrząsał zimnemi zwłokami. To znów nucił kołysankę — a ślepie gorzały mu żarem tryumfu:

— Mój! — — mój! — — A no, malutki! zaszczebiocz mi: *ta-ta, ta-ta...*

KONIEC.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

Spis rzeczy.

Tytuł artykułu:	Tom	Str.
I. Yzsym-An-Akpałup	I.	3
II. Pierwszy debiut dramaturga	„	12
III. Tryumf mój w Zagórniku	„	27
IV. Zbudziło się w nim serce	„	47
V. Katastrofa pod cholewkowem	„	68
VI. Z monografii „smołowca“	II.	3
VII. Na przekor	„	29
VIII. Afazja	„	54
IX. Pan Glimke poluje nad Strypą na niedźwiedzia	„	78
X. Oj, ten djabełek	III.	3
XI. O Termopilach czyli autentyczna o literackich bobrach historja	„	28
XII Także polowanko	„	43
XIII. Z okropnych-najokropniejsze	„	61
XIV. Fabius cunctator	IV.	3
XV. Co mu opowiedział sztylecik do rozcinania kartek	„	47
XVI. Przez jedną dobę milionerem	„	62
XVII. Było to na filozofii, anno	V.	3
XVIII. Tak płata nieraz psoty konduktor lub przypadek	„	53
XIX. Z pięknych dni w Aranjuez:	VI.	
Rada cioci Kloci	„	3
Noc Sylwestrowa	„	6
Na zjazd kolegów	„	8
Święcone w kole	„	12
Mikołajowi Biernackiemu (Rodociowi)	„	22
Trajedja w pięciu aktach	„	27
Po za szkołę	„	31
Lunio-optymista i Rynio-pessymist . .	„	51
XX. Ewulka	„	60
XXI. Nocturno	VII.	3
XXII. Jukatan	„	23

1.7.

WYŻSZA SZ[illegible]A
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
202987

Biblioteka WSP Kielce
0072236